



Paweł Majka

POKÓJ ŚWIATÓW



Paweł Majka

Pokój światów

Genius Creations

Bydgoszcz 2014

Spis treści

[Metryczka książki](#)

[Prolog](#)

[PIERWSZY](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[DRUGI](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[TRZECI](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[CZWARTY](#)

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[PIĄTY](#)

[Rozdział 1](#)

[Epilog](#)

[Posłowie](#)

Pokój światów

Copyright © Paweł Majka

Copyright © Wydawnictwo Genius Creations Copyright © MORGNA Katarzyna Wolszczak

Wydanie pierwsze

ISBN ePub: 978-83-7995-002-7

ISBN mobi: 978-83-7995-003-4

Redakcja i korekta: Michał Cetnarowski Korekta: dr Małgorzata Berend Ilustracja na okładce: Paweł Dobkowski Projekt okładki: Paweł Dobkowski Redaktor serii: Marcin A. Dobkowski

Książka dostępna w księgarniach partnerskich: www.MadBooks.pl
www.Bookiatryk.pl



Plik cyfrowy został przygotowany na platformie wydawniczej Inpingo.

Warszawa 2014

Prolog

Gdy wieźli ich odkrytym ku uciezce gawiedzi wozem, ten mały i gruby kulił się przerażony nienawiścią tłumu. Próbował uchylać się przed pomidorami i zgniłymi ziemniakami, przed nieforemnymi pociskami z błota czy kamieniami rzuconymi przez najzuchwalszych. I cały czas szlochał. Wykrzykiwał urywane zdania o swojej żonie i dzieciach i zapewniał płacząco o swej niewinności. Przekonywał, że zaszła straszna pomyłka, jakby wierzył, że ogarnięta furią masa ludzka zechce go wysłuchać.

Wyższy od niego, siwiejący złodziej w resztkach płaszcza uszytego z dziesiątek szmat wdał się w pojedynek ze spragnionymi widoku śmierci mieszczuchami. Pluł na ich głowy, śmiejąc się, ilekroć trafiał w czyjąś zaczerwienioną twarz. Na obelgi odpowiadał obelgami jeszcze wulgarniejszymi i nie szczędził sprośności kobietom. Trzeci ze skazańców milczał.

Elegancki, młody, ale o pełnej dostojeństwa twarzy, zamknął oczy, jakby spał. Nie reagował nawet, gdy trafiały go pociski. Jednych jego postawa zniechęcała, innych irytowała, trudno więc ocenić, czy wybrana przezeń strategia okazała się skuteczna. Istotnie, ciskano weń zgniłymi owocami rzadziej – ci jednak, którzy uparli się pokonać jego obojętność, starali się celować dokładniej i dotkliwiej.

Ostatni z wiezionych ku szafotowi mężczyzn osłaniał twarz, jednak była to jedyna forma uwagi, jaką poświęcał tłumowi. Czasem odzywał się do złodzieja. Zapłakanego grubasa i wyniosłego młodzieńca ignorował. Unosił głowę, wyglądając placu, jakby oczekiwał na nim ratunku, a nie kaźni. Być może miał już dość udręki przedzierania się przez tłum i wołał wreszcie umrzeć, niż dalej pełnić rolę zabawki motłochu.

Gdy dotarli nareszcie na środek placu, strażnicy pomogli skazańcom zejść z wozu i poprowadzili ich pod szubieniczne pętle. Grubasa musieli zaciągnąć siłą, pozostali przyjmowali los ze spokojem. Grubas trafił pod pierwszą, złodziej pod następną, a wciąż nieotwierający oczu, pogrążony jakby w letargu milczek pod trzecią. Gdy i pod czwartą ustawiono jej oblubieńca, sędzia wystąpił, by odczytać wyrok. Tłum zamilkł niemal w jednej chwili. Choć prawie wszyscy znali już plugawe występki osądzonych, wysłuchanie, jak sędzia w majestacie prawa odczytuje ich opis, dostarczało specyficznego dreszczyku, a i należało do rytuału. Nie istnieli zaś na świecie ludzie, którzy nie zdawaliby sobie sprawy z wagi wszelkich rytuałów.

Grubasa skazano za uduszenie kochanki. Złodziej padł ofiarą pecha - nakryty na włamaniu zabił gospodarza pamiątkową szablą stanowiącą część łupu. Milczek okazał się seryjnym zabójcą, któremu udało się brutalnie zaszlachtować cztery prostytutki, nim schwytano go na próbie zarżnięcia piątej. Ostatniego ze skazańców stryczek czekał za zamordowanie czcigodnego pana Burtowieckiego, znanego i

poważanego prezesa kompanii kupieckiej, który niejednokrotnie i na wiele sposobów przysłużył się miastu. Na tę jedną chwilę, gdy odczytywano wyrok, tłum przerwał milczenie, by złorzeczyć mordercy.

W ostatnim słowie grubas raz jeszcze błagał o litość, czym wzbudził niesmak zarówno współskazańców, jak i publiczności. Tłum zagłuszył go gwizdami i wyciem. Kat za to został nagrodzony wiwatami, gdy założył skazańcowi na głowę worek z czarnego płótna, jeszcze nim ów zakończył przemowę. Nieszczęśnik krzyknął przestraszony i popuścił w spodnie, wywołując radość obserwatorów, w tym złodzieja. Ten, zapytany o ostatnie słowo, przeklął sędziego, kata i wszystkich mieszkańców. Przeklinałby pewnie jeszcze długo, ale i jemu nie pozwolono dokończyć. Milczek swoim zwyczajem nie powiedział nic.

- A ty, łotrze? - Sędzia zwrócił się do ostatniego ze skazańców. - Co ty masz do powiedzenia? Przepraszasz może mieszkańców tego miasta za to, że odebrałeś im dobroczyńcę, najszczodrzejszego człowieka pod słońcem?

Mężczyzna przez moment wyglądał, jakby rzeczywiście chciał podzielić się uwagami na temat dobroczyńcy miasta. Zrezygnował jednak i oznajmił tylko:

- Zostało jeszcze trzech.

Sędzia odczekał chwilę, ponieważ jednak zbrodniarz najwyraźniej nie miał już nic do powiedzenia, dał znak katu, a ten nałożył worek na głowę mordercy.

Cokolwiek znaczyły jego słowa, straciło wkrótce znaczenie.

Wszyscy czterej skazańcy zawiśli równocześnie na naprężonych linach ku uciechu tłumowi i zaspokojeniu sprawiedliwości. Odtńczyli taniec wisielców i akompaniując sobie charkotem, zrosili deski płynami fizjologicznymi. Pod workami ich twarze siniały, języki wysunęły się z otwartych szeroko ust. Złodziej umarł szybko, podobnie zabójca prostytutek. Grubas pomęczył się trochę, ale najdłużej, ku powszechnej radości, umierał zabójca kupca, walczący o życie tak wściekle, że męczył się jak żaden wcześniej znany zacnym mieszczanom skazaniec. Nikomu nie zrobiło się go żal, a kat nie skrócił męki.

Gdy wreszcie skończył, kat odciął i jego. Czeladnicy katowscy okradli trupy ze wszystkiego, co mogło się im przydać, po czym wrzucili ciała na wóz i wywieźli je daleko za miasto, na samotne wzgórze pod lasem. Tam porzucili wszystkich czterech wisielców, nie grzebiąc ich, lecz składając w ofierze ceniom. Mordercy nie zasługiwali na litość, a cienie, łase ludzkiego mięsa i krwi, okazywały nieco wdzięczności tym, którzy je dokarmiali. Spłynęły z nieba i wychynęły spod ziemi, ledwie zapadł zmrok. Czeladników nie było już wtedy nawet w okolicy wzgórza.

Cienie najpierw rzuciły się na zabójcę prostytutek. Te, które przybyły później, pożarły złodzieja. Jeszcze bardziej spóźnione ścierwojady niechętnie skosztowały mięsa grubasa, dowodząc jego niewinności niepoehlebnymparskaniem i narzekaniem na plugawy smak.

Tylko najwięksi desperaci spróbowali zdobyć kawałek

mięsa ostatniego ze skazańców. Siedząca okrakiem na jego piersi zmora odganiała każdego śmiałka. Przybrała postać kobiety o czarnej skórze, włosach i oczach. Jej zakończone szponami dłonie stanowiły groźną broń nawet przeciw cieniom. Większość ścierwojadów szanowała jej prawo do żarła, toteż musiała walczyć tylko z nielicznymi, przybyłymi zbyt późno, by zdobyć choć strzęp mięsa. Ci daremnie skradali się ku ostatniemu ze skazańców - zmora okazała się czujna, szybsza i potężniejsza od nich. Najzuchwalsze uciekały z piskiem, ilekroć spadały na nie razy czarnych szponów. Wreszcie, niedługo przed świtem, odeszły wszystkie. Wtedy zmora pochyliła się ku ustom swego wybranka i pocałowała go - długo, namiętnie. Nie oderwała ust, póki ciało powieszzonego nie zadrżało, póki mężczyzna nie poruszył ręką, nie wiadomo, czy próbując odruchowo objąć demonicę, czy przeciwnie, odepchnąć ją.

Charczał, usiłując coś powiedzieć. Położyła mu jedną dłoń na ustach, drugą na piersi.

- Cicho, mój miły. Musisz nabrać sił.

Skinął głową. Dopiero teraz rozwarł powieki, by spojrzeć prosto w jej oczy: czarne, z kręgami głębszej ciemności w miejscu źrenic. Znów wydała mu się piękna, jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Przewyciężając słabość, uniósł dłoń, by pogłaskać jej policzek, jedwabisty i zimny.

- Zostało jeszcze trzech - szepnęła i dostrzegając pierwsze promienie słońca, pocałowała mężczyznę raz jeszcze, długo, aż cała, poprzez usta, wniknęła w jego ciało i duszę.

Pierwszy

Rozdział 1

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

Pociąg wjechał na Dworzec Główny w Krakowie, jak zwykle dowodząc punktualnością potęgi połączonych sił technologii i mocy. Maszynista oznajmił przybycie przeciągłym gwizdem lokomotywy wypuszczającej sprężony strumień pary. Ucałował zawsze chłodny amulet kolejowy, wiszący nad kotłem, i pokłonił się patronowi. Usmarowana sadzą istota, przypominająca nieco skrzaty, jakie spotkać można w kopalniach, pisnęła radośnie i dała nura z powrotem w dogasający ogień. Potężna lokomotywa aż zadrżała od przyływu mocy.

Drżenie przeniosło się na wagony - i te ekskluzywne, należące do pierwszej klasy, i te najtańsze, w których tłoczyli się biedacy w towarzystwie wyjątkowych skąpców. Maszynista uśmiechnął się, pogroził palcem patronowi. Ten odpowiedział z wnętrza kotła radosnym chichotem.

- Pan Kutrzeba? Pan Kutrzeba? - Krzyczał biegnący wzdłuż wagonów siwowłosa mężczyzna. Najwyraźniej nie nawykł do dworcowego zgiełku. Rozglądał się nerwowo na wszystkie strony i odskakiwał, gdy któraś ze zniecierpliwionych

lokomotyw szykujących się do odjazdu wypuszczała pióropusze pary.

Dworzec krakowski należał do największych w kraju, toteż ruch panował na nim wyjątkowy. Choć w Europie ocalało niewiele linii kolejowych i widok więcej niż jednego pociągu na raz należał do niezwykłych, w niektórych miastach lokomotywy zdawały się wręcz tłoczyć. Dworzec w Krakowie pęczniał od przybywających bądź szykujących się do drogi pasażerów, od patronów kolei, od strażniczych cieni miejskich, a także drobnych, migoczących pólisnień towarzyszących rozbłyskom emocji. To właśnie nad dworcem krążyły duchy i demony przyciągane niezwyčajnym nagromadzeniem wszelkich rodzajów mocy.

Ludzi strzegły przed nimi smukłe wieże strażnicze. Każda ich cegła wzmocniona została znakami, ściany każdego piętra ugiwały się od talizmanów. Dyżurów w nich nie potrafiliby pełnić zwyczajni ludzie, toteż zamurowywano w wieżach tych, którzy zdecydowali się poświęcić służbie miastu i poddać przemianom. Trudno było nazwać ich jeszcze żywymi i w ogóle trudno było powiedzieć o nich cokolwiek, mało kto bowiem zdobywał się na odwagę nawiązywania z nimi kontaktu. Bezimienni i groźni, trwali na posterunkach, zadowalając się ofiarami składanymi każdego świtu przez zawiadowców. Nie interesowała ich żywność, a jedynie oznaki szacunku i okruchy miasta znoszone ze wszystkich jego dzielnic. Przyjmowali koralik z rozerwanej biżuterii nobliwej mieszczki, strzęp chusteczki z krwią

dorożkarza albo kamyk kopnięty przez rozkrzyczanego podgórskiego urwisa. Każdy przedmiot muśnięty tętmem miasta dodawał im sił.

- Pan Mirosław Kutrzeba? - Krzyczał siwowłosy. - Pan Kutrzeba?

Wydawało się, że wszyscy pasażerowie opuścili już wagony, kiedy na progu jednego z nich stanął wreszcie ten, którego siwowłosy coraz mniej spodziewał się znaleźć.

- Tutaj - odezwał się ochryplym głosem. Odchrząknął i powtórzył głośniej.

Siwowłosy ruszył ku niemu. Oczekiwał, że Kutrzeba przyjedzie jednym z wagonów pierwszej klasy, a nie ostatnim, najtańszym, w którym zdarzało się upychać ludzi z bydłem i towarami. Czy naprawdę o tego właśnie człowieka mogło chodzić jego pryncypałowi?

Kutrzeba okazał się wysoki, postawny. Skórzana kurtka przecierana do granic możliwości, kiedyś chyba ciemnobrązowa, mogła sugerować, że należał do włóczęgów zaopatrujących się na śmietnikach. Nie lepsze wrażenie sprawiał kapelusz wymięty ponad ludzkie pojęcie, ciemny zapewne od brudu, nasunięty głęboko na oczy. Z kolei lniany szal owinięty wokół szyi pomimo upału wskazywałby, że Kutrzeba to albo dziwak, albo mizerota marnego zdrowia. Jednak torby przybysza należały do znakomitych wyrobów pierwszej jakości, wykonanych ręcznie i na zamówienie. Oczywiście mógł ukraść je komuś po drodze.

- Pan Mirosław Kutrzeba? - Upewnił się siwowłosy.

Uzyskawszy w odpowiedzi jedynie niechętnie skinienie, uznał, że nie do niego należy ocenianie decyzji chlebodawcy, którego i tak nie spodziewał się nigdy całkowicie zrozumieć.

- Nazywam się Franciszek Czus, pracuję dla pana Nowakowskiego, który zdecydował się pana zatrudnić. Proszę mi wybaczyć, spodziewałem się, że skoro pokrywamy pańskie wydatki, znajdę pana w lepszych wagonach.

- Nie pasowałbym tam - odparł nieprzyjemnie zachrypniętym głosem Kutrzeba.

Z tym Czus nie mógł się nie zgodzić. zaproponował, że poniesie część bagaży, Kutrzeba jednak spojrzał na niego w sposób, który sprawił, że służący odchrząknął tylko, po czym odwrócił się pospiesznie i jak mógł najprędzej zaprowadził tego niewydarzonego mruka do oczekującego przed dworcem pojazdu. Nie zobaczył, że Kutrzeba zatrzymał się jeszcze na chwilę, by popatrzeć na lokomotywę. Coś trudnego do określenia zaszło między nim a potężną maszyną. Maszynista wzdrygnął się, jakby dotknęło go złe przecucie. Patron wychylił się z kotła i poprzez metalowe ściany spojrzał Kutrzebie prosto w oczy. Warknął, otrzepał się odruchowo i wyrzucił z siebie litanie ochronnych zaklęć.

Tacy ludzie nie powinni wsiadać do pociągów. Zbyt mocno rozsiadło się w ich duszach nieszczęście. Patron wyczuwał jego niepokojącą obecność od początku podróży i poświęcił wiele sił, by zniwelować jej wpływ. Teraz wreszcie mógł przyglądać się nosicielowi. Rozpoznał go, zadrżał i czym prędzej schował się do kotła. Czekąło go więcej pracy, niż się

spodziewał, jeśli pociąg miał bezpiecznie wyruszyć w dalszą drogę.

Choć krakowianie najchętniej zaprzęgali swoje powozy w konie, pryncypał Czusa okazał się jednym z zamożnych ekscentryków lubujących się w nowoczesnych technologiach. Zamiast eleganckiego powozu czy choćby gustownej dorożki na Kutrzebę oczekiwał pokraczny samochód o wyłupiastych reflektorach i sylwetce, która przybyszowi skojarzyła się z napęczniałą żabą obarczoną garbem dodatkowej kabiny, przeznaczonej wedle zamierzeń producenta do transportu towarów, przerobionej jednak tak, by mogli podróżować nią pasażerowie.

Czus wydawał się zadowolony, prezentując owo szkaradzieństwo i obserwując, jakie wywarło wrażenie na przybyszu. Wyprężył się jak struna i otworzył szerokie, okrągłe drzwiczki prowadzące do kabiny pasażerskiej.

- Co to jest, na bogów? - Kutrzeba zatrzymał się, jakby rozważając, czy nie zawrócić.

- Och, pan może być nieprzywykłym do widoku nowoczesnych pojazdów. Nic nadzwyczajnego, niewiele ich w naszym kraju. To, szanowny panie, samochód. Citroen Acadiane, wersja luksusowa, dopasowana do potrzeb mego pana. Zapraszam do środka. Zapewniam, że nie ma obaw. Jestem znakomitym kierowcą.

- Obyś miał też dobrego patrona - mruknął Kutrzeba,

niechętnie gramoląc się do wnętrza. Czus zajął miejsce w kabinie kierowcy.

Odezwał się po chwili przez interkom, upewniając się, że jego pasażer czuje się wygodnie. Kutrzeba zapewnił go nieszczercze, że tak właśnie jest, choć nijak nie potrafił usadowić się wygodnie w nieprzystosowanych dla ludzi fotelach. Ich kształt powiedział mu wszystko o tajemniczym panu Nowakowskim. Okrągłe fotele o dwunastu rozłożonych centrycznie niskich oparciach mogły świadczyć tylko o jednym.

Nowakowski był Marsjaninem.

Gdy przybyli na Ziemię, początkowo zignorowano ich, choć nie zamierzali się ukrywać. Sferyczne statki spadły na miasta wszystkich kontynentów, by otworzyć wrota hangarów i wypuścić na ludzkość furie przybywającą z przestrzeni. Marsjańska technologia przewyższała wszystko, co byli w stanie wyprodukować nawet najzdolniejsi ludzcy inżynierowie.

Kłopot w tym, że na Ziemi trwała wówczas w najlepsze największa z wojen w historii. W ogarniętym nią świecie wszyscy podejrzewali siebie nawzajem i w niezwykłych machinach zagłady upatrywali przede wszystkim podstępny Prus, Francji bądź Rosji, czy choćby i Ameryki, ale nie inwazji z kosmosu.

Nawet kiedy część prawdy wyszła na jaw, wojna między

ludźmi nie wygasła. Rozbawieni, ale i zaintrygowani Marsjanie obserwowali, jak kolejne strony ludzkiego konfliktu próbują zawiązywać z nimi sojusze przeciw swoim braciom. Dopiero nieprzejednanie przybyszów sprawiło, że ludzkość zawarła kruchy rozejm i zmieniła losy wojny, jednocząc się przeciw obcym.

Koniec końców porozumieli się wszyscy. Nawet Marsjanie musieli skapitulować wobec kataklizmu, jaki mimowolnie wywołali, i zjednoczyć się z niedoszłymi ofiarami, by przetrwać. Dwadzieścia lat po zakończeniu wojny i opanowaniu nowego żywiołu przyjmowali już nawet ludzkie zwyczaje i nazwiska oraz próbowali zrekonstruować technologie, które znacznie podupadły od czasu inwazji. Między innymi z upodobaniem inwestowali w fabryki nowoczesnych silników i samochodów.

Wnętrze kabiny citroena przygotowano pod kątem marsjańskiej estetyki. Najprawdopodobniej pracował nad nim sam Nowakowski, Marsjanie upierali się, że ludzie nie są zdolni pojąć tajników ich sztuki. I rzeczywiście, Kutrzeba obojętnie przyglądał się szalonym nieforemnym łukom podtrzymującym sklepienie kabiny, splecione w chaotyczną płataninę drutu pomalowanego na trzy ulubione przez Marsjan kolory: granatowy, jaskrawożółty i fioletowy. Nie dostrzegał w dziele Marsjanina ani urody, ani w ogóle niczego szczególnego.

Marsjanie nie dziwili go już ani nie zatrważali. Spotkał w życiu kilku, z dwoma nawet pracował, a u jednego

terminował przez rok, ucząc się postępowania z mocami. Choć wielu ludzi wciąż pielęgnowało gniew przeciw najeźdźcom i żaden Marsjanin nigdy nie mógł czuć się do końca bezpieczny, Kutrzeba nie żywił do nich żalu. Od początku inwazji upłynęły dziesięciolecia. Świat zmienił się radykalnie, a Marsjanie stali się jego częścią. Kutrzeba urodził się wprawdzie jeszcze w świecie ogarniętym wojną, jednak to nie Marsjan obwiniał za najgorsze, co spotkało go w życiu. Listę winowajców miał zapisaną w pamięci. Znajdywali się na niej wyłącznie ludzie. Obecnie trzech z nich.

Zawsze wahał się, gdy przychodziło mu korzystać z pociągu. Teoretycznie linie kolejowe ustabilizowały już swoje pozycje, mówiło się nawet o ich rozwoju, ale Kutrzeba wciąż pamiętał czasy, gdy każdego pociągu musiały strzec oddziały kapłanów i szamanów. Czasem nawet oni nie potrafili pomóc. Choć moce poddały się wreszcie wobec sojuszu ludzi i Marsjan i wojna dobiegła końca, wciąż istniało na świecie wystarczająco wiele potworów, by nikt nie mógł czuć się bezpiecznym.

Linia Kraków - Lwów przetrwała i początek ludzkiej wojny, i inwazję, i nawet Kres. Pociągi padały na niej ofiarami napadów, jak wszędzie, jednak niegdysiejsze Oesterreichische Staatsbahn im Gebiet Galiziens, które w trakcie Kresu zmieniły się po prostu w Koleje Galicyjskie i stały samodzielną, niezależną od konających państw instytucją, zawarły osobny pokój tak z Marsjanami, jak i z

mocami. Stało się to na długo przed tym, jak podobny sukces udało się osiągnąć cesarstwu. W 1947 roku, kiedy Republika Narodów, aspirująca do przejęcia spadku po upadłych monarchiach, dopiero zaczynała podejmować negocjacje z Marsjanami, Kolej Galicyjska - wzorem innych niezależnych instytucji - przewoziła już marsjańskich dygnitarzy, zatrudniała marsjańskich obrońców, a nawet zaopatrywała pociągi w pierwszych patronów.

Wszystko to nie zapobiegło katastrofie.

Resztki blisko czterystu ciał wymieszały się wtedy z drewnianymi fragmentami wagonów i strzępami wyrwanej z lokomotywy stali. Jedna z szyn, złamana i wygięta, unosiła się ku niebu, spływając krwią owiniętego wokół niej korpusu pozbawionego głowy. Chyba tylko krzyk patrona dało się słyszeć, bo nikt z garstki ocalałych nie potrafił powiedzieć choćby słowa. Kutrzeba nie słyszał skarg i nawoływań rannych. Wygrzebał się z przełamanej wpół wagonu, odczołgał od torów i długo, długo po prostu leżał, wpatrując się w niebo.

Nie od razu dotarło do niego, co się stało. W uszach wciąż słyszał przeciągnięty do niemożliwości grzmot, po którym nastąpił huk i trzask miażdżonego drewna. Krzyki ginących pasażerów docierały do niego z trudem, dopowiadał je sobie, widząc wykrzywione w przerażonych grymasach twarze. Nie pamiętał, kim był i skąd się wziął na trawie nieopodal resztek pociągu.

Gdy wiele dni później oprzytomniał, wszystko się zmieniło.

Od katastrofy niechętnie korzystał z pociągów czy jakichkolwiek innych pojazdów mechanicznych. A i one chyba niezbyt go lubiły. Jeśli był zmuszony podróżować koleją, wybierał zawsze najgorszy wagon, wiedząc, że wyższe klasy promieniują odpowiednio wyższymi aspiracjami i puchną od dumy swoich pasażerów, przekonanych o własnej nietykalności i nadzwyczajnej roli do spełnienia. Nauczył się już, że uczucia i emocje zyskały na znaczeniu w świecie Kresu i nie zamierzał kusić licha, siedząc w buzujących od energii nieskrępowanego samozadowolenia wagonach. Ściśnięty między szepczącymi ochronne litanie biedakami, lękającymi się stalowych potworów, był bezpieczniejszy. A i tak drażniły go swędzące tatuaże i kłuły amulety pobudzone technologią.

Niewiele lepiej było w samochodzie Nowakowskiego, dlatego niecierpliwie wypatrywał domu potencjalnego klienta.

Jak na złość Nowakowski zamieszkał na Podgórzu, oddzielnym od Krakowa rzeką i stosunkowo odległym od Dworca Głównego. Choć dzielnica ta posiadała własną, raczej ubogą stacyjkę kolejową, docierało do niej niewiele pociągów. Dom Nowakowskiego mieścił się w forcie odziedziczonym po cesarstwie, wzniesionym na jednym z najwyższych wzgórz Podgórza. Marsjanin wybrał to miejsce, jak przez interkom wyjaśnił Kutrzebie Czus, ze względu na bogate złoża pozostałej po pogańskich czasach energii, którą Marsjanie potrafili czerpać z obłaskawionych cieni bądź

bezpośrednio z wiary, której pokłady odkładały się tu od tysiącleci. Nowakowski transformował ją przy pomocy stareńkiego kościółka wzniesionego jeszcze w trzynastym wieku jako pieczęć, której celem było powstrzymanie pogańskich rytuałów i zatrzymanie złego pod ziemią.

Marsjanin przelewał wysysaną z cieni energię i przesyłał ją przez nabrzmiały od wiary kościółek, wzmacniając potęgę fortu. Energię bijącą od rotundy z czerwonej cegły czuć było już u stóp wzgórza. Gdy samochód zatrzymał się wreszcie przed bramą fortu, Kutrzeba odczuwał moc skupioną w budowli niemal jak fizyczny ból. Skulił się, wysiadając, obrócił na palcu pierścień różańca, potarł kciukami tatuaże na wewnętrznych stronach dłoni. Pomogło.

Służący Marsjanina wybiegli po rzeczy gościa. Nie pozwolili im dotknąć toreb zawierających broń i mimo protestów Czusa nie rozstał się z nimi, gdy ruszył na spotkanie z Marsjaninem. Doskonale rozumiał zakaz stawania przed gospodarzem z bronią i celowo go zignorował

- Zawsze mogę odwrócić się i wyjść - warknął, udając, że nie zależy mu na pracy dla Nowakowskiego. - Nie prosiłem się tu.

- W takim razie będzie pan łaskaw zaczekać - odrzekł wyraźnie urażony Czus i wystudiowanie powolnym krokiem ruszył poradzić się przełożonego.

Kutrzeba, ignorując potępiające spojrzenia służby, usiadł na podłodze, oparł się o ścianę i przymknął oczy. Interesowało go, na ile zdesperowany był Nowakowski i na

ile skuteczne okazały się kontakty Kutrzeby, od pewnego czasu zapewniające Marsjanina, że właśnie on okaże się najwartościowszym członkiem planowanej wyprawy. Wykorzystał, kogo mógł, by się tu dostać i postawił na tę grę niemal wszystko, co miał.

Niepokoiliła go ilość zmiennych niezbędna do powodzenia jego planu. Ile już razy próbował szukać innych rozwiązań! Spędzał całe noce, rozmawiając z Wężem, modyfikując plany, szukając sposobów na pozyskanie nowych sojuszników. Wąż śmiał się z niego, kpił, ale widać było, że i jego pociągała intryga. Kutrzeba nie mówił mu wszystkiego i nawet jego starał się wykorzystać. Zakładał, że bóstwo zdradzi go w końcu i próbował uwzględnić i to. Mimo to zdawał sobie sprawę, że plan miał zbyt wiele słabych punktów, że wszystko mogło zawalić się w dowolnym momencie. Na przykład teraz, jeśli Marsjanin wzgardzi jego umiejętnościami.

- Pan Nowakowski przyjmie pana - uraza w głosie Czusa tylko się pogłębiła. - Może zdejmie pan choć kapelusz?

- Może zdejmę - burknął Kutrzeba i wstał. Postanowił grać kogoś niechętnie przyjmującego ofertę Marsjanina. Czy nie przeszarżował? Na ile mógł eksperymentować z cierpliwością klienta i swoim szczęściem?

Parsknął mimowolnie.

Szczęściem - też coś.

Jestem z tobą - przypomniała o sobie zmora. *Szczęście się nie liczy. Tylko ty i ja mamy znaczenie. Czy kiedyś cię*

zawiodłam?

Rozdział 2

Ponad brudnym, podniszczonym kapeluszem, ciśniętym niedbale na biurko dzielące Marsjanina od człowieka, Melizzath'l Nowakowski wszystkimi czterema jawnymi oczami i jednym ukrytym przyglądał się mężczyźnie, którego zamierzał wynająć.

Słyszał o nim tyleż dobrego, co złego, jednak większość jego agentów zgadzała się, że Kutrzeba był dokładnie takim człowiekiem, jakiego potrzebował. Twierdzili tak zarówno ci, których intencje wydawały się podejrzane, jak i ci, którym ufał. Pochlebiał sobie, że potrafił trafnie oceniać tubylców. Przybył na Ziemię z pierwszą falą inwazyjną, jako dowódca grupy szturmowej zaopatrzonej w ciało przystosowane do działań bojowych. Prawie od początku, od nieszczęsnej katastrofy, gdy okręty na orbicie zaczęły eksplodować jeden po drugim a dziesiątki tysięcy żołnierzy zginęło w kilkanaście sekund, zrozumiał, że ocalałym przyjdzie żyć między tubylcami i traktować ich jak partnerów. Przez ostatnie lata zmieniał zatem sukcesywnie ciało, dopasowując je do nowych czasów i wyzwań. Choć oficjalnie siły inwazyjne podpisały pokój z większością instytucji reprezentujących ludzi, wojna w pewnym sensie wciąż trwała. Rywalizowano o wpływy i prestiż, sięgając wcale często po krwawe rozwiązania. Różnica polegała jedynie na tym, że obecnie

konflikt nie miał wyłącznie podłoża rasowego. Przedstawiciele każdego gatunku można było spotkać po dowolnej ze stron. To pociągało za sobą pewne konsekwencje.

Nowe zasady najwyraźniej widać było na przykładzie twarzy, którą Nowakowski przystosował do kontaktów z ludźmi. Ukształtował ją, dopasowując do norm akceptowalnych przez tubylców: wykształcił nos i usta, wyhodował wypustki przypominające czarne włosy, symulujące rzadką czuprynę na głowie, oraz przygotował gustowne krótkie wąsy i bródkę. Nie zrezygnował z budzących w ludziach odruchowy strach i obrzydzenie dwunastu kończyn, przekształcił je jednak nieco, tak by połowa z nich mogła kojarzyć się z nogami, a połowa z rękami. A następnie ukrył je pod garniturami szytymi na zamówienie wedle aktualnie obowiązującej mody. Od trzydziestu lat medytował również nie nad tradycyjnymi sposobami prowadzenia wojny, ale nad modelami biznesowymi. Przejmował kopalnie i nawiedzone wzgórza, stał się udziałowcem Kolei Galicyjskich, a nawet, przez kilka lat, zasiadał w krakowskiej Radzie Miasta. Zdobywał wpływy i wykorzystywał je, lecz przede wszystkim wtopił się w otoczenie tak bardzo, jak tylko było to możliwe dla istoty wciąż nazywanej „Marsjaninem”.

Nauczył się nawet pić koniak i palić cygara, a także czuć ich smak i delectować się nimi, choć wymagało to znaczącej ingerencji w budowę mózgu. Jako niegdysiejszy oficer floty

mógł sobie pozwolić i na to.

Czas względnego spokoju minął jednak bezpowrotnie.

- Pragnę wynająć pana - oznajmił łagodnym barytonem, którego wykształcenie zajęło mu pięć lat ciężkiej pracy nad formowaniem krtani, jamy gębowej i płuc - ponieważ mówiono mi o panu wiele dobrego.

Kutrzeba uśmiechnął się krzywo. Nowakowski uznał, że warto okazać poczucie humoru i odpowiedzieć uśmiechem.

- Naturalnie mówi się o panu także wiele złego. Przy okazji, sądziłem, że powieszono pana w Kielcach?

- Plotki.

- Bardzo mnie to cieszy. Zależy mi na pańskim uczestnictwie w moim przedsięwzięciu. Wiem, że ceni pan sobie konkrety, będę więc mówił krótko. Zdaję sobie sprawę, że tu i ówdzie ciąży na panu wyroki śmierci i że nie brak panu wrogów. Słyszałem, że jest pan zabójcą, kłamcą, oszustem i złodziejem. To dobrze. To oznacza, że jest pan zaradny, oraz że przyda się panu moja pomoc i opieka. Ponadto szacowny Htteph'en'erh von Paulsen bardzo pana chwalił.

- A sądziłem, że gadanie, iż wy, Marsjanie, wszyscy znacie się nawzajem, to rasistowska propaganda.

- Wszyscy nie. Ale z Krakowa do Wiednia jest, przyzna pan, niedaleko. Widzi pan, zależy mi na kimś z pańskim doświadczeniem. Posiada pan pewne umiejętności związane z mocami i umie współpracować z naszą rasą. Potrafi pan biegle posługiwać się bronią, ma też spore doświadczenie w

ochronie karawan. Co najważniejsze, jako jeden z nielicznych zapuścił się pan niegdyś na terytorium Wiecznej Rewolucji i stamtąd powrócił.

- Jeśli chce pan przewodnika po tamtej fabryce grozy, pożegnamy się od razu. Nie zamierzam tam wracać. Za żadne pieniądze.

- Nie zabieram pana tam. Powiedziałem to, by podkreślić, jak bardzo cenię pana umiejętności. Dokładnie takiego człowieka mi potrzeba - łączącego cenne umiejętności z otwartym umysłem. Potrafiącego przy tym zachować się bezwzględnie, jeśli zajdzie taka potrzeba, a także posiadającego wiedzę o terytoriach Wiecznej Rewolucji. By nie tracić czasu na zbędne przekomarzanie się, powiem od razu, że oferuję panu sto tysięcy marek, listy uwierzytelniające ode mnie oraz moją cichą opiekę na przyszłość. Czy jest pan zainteresowany taką propozycją?

- To znaczna suma - odpowiedział powoli Kutrzeba, jakby już obliczając, na co może przeznaczyć wynagrodzenie. - Czego oczekuje pan w zamian?

- Ochrony. Przyjęcia roli przewodnika po znanych panu terenach, jeśli zajdzie taka potrzeba. Niezbędnej bezwzględności. Oczywiście nie byłby pan sam. Zabiorę ze sobą odpowiednią liczbę ludzi, a i panu pozwolę zabrać kilku pomocników, jeśli pan sobie tego zażyczy.

- Dokąd ta karawana i co przewozi?

- Przewozi mnie. Pozwoli pan, że coś wyjaśnię. To nie jest wyprawa handlowa, raczej odkrywcza. Być może nie zdaje

pan sobie z tego sprawy, ale zapasy, które moja rasa przywozła ze sobą, wyczerpują się. Oczywiście dostosowaliśmy się do lokalnych warunków, potrafimy przyswajać ziemską żywność, a nawet cieszyć się jej smakiem. Jednak nasze tworzywa... To skarby, panie Kutrzeba. Na wewnętrznym marsjańskim rynku byle kontener zachowany od czasów inwazji wart jest fortunę.

- I pan zna położenie jakiegoś zapomnianego magazynu?

- Mniej więcej. Nieco ponad siedemdziesiąt lat temu jeden z okrętów zwiadu miał awarię i rozbił się na Ziemi. Do tej pory wszyscy sądziliśmy, że uległ całkowitej zagładzie. Planowaliśmy poszukać jego szczątków po zwycięstwie, tyle że ono nigdy nie nadeszło. Ostatnio trafiły w moje ręce poszlaki wskazujące, że zapasy z tamtego okrętu mogły ocaleć.

- Jakież części? Fragmenty kadłuba?

- Skądże. Właśnie towar pochodzący z zachowanych kontenerów! Nie ulega wątpliwości, że ktoś dobrał się do zapasów tamtego okrętu, ale albo nie wie, czym dysponuje, albo wprowadza je na rynek bardzo niedbale. Ewentualnie może być bardzo sprytny. Jeśli zachowałby się nawet tylko jeden kontener, panie Kutrzeba, zysk ze sprzedaży jego zawartości pokryłby koszty mojej wyprawy ze znaczącą nadwyżką. A jeśli skarbów byłoby więcej... Sądzę, że premia od zdobyczy, którą wypłaciłbym panu w takim przypadku, zapewniłaby panu dostatek do końca życia.

- A dokąd konkretnie mielibyśmy się wybrać?

- Drogi panie Kutrzeba, to powiem panu po podpisaniu kontraktu.

Człowiek i Marsjanin przypatrywali się sobie dłuższą chwilę. Nowakowski uśmiechał się. Miał nadzieję, że wyglądało to przyjacielsko i zachęcająco.

- Sto tysięcy i pięć procent udziału w zyskach - podbił stawkę Kutrzeba.

- Domaga się pan fortuny! Jeden procent. Albo żeby nie tracić czasu na licytację, dwa i pół.

- Trzy.

- Odbiera pan jedzenie od ust moich dzieci!

- Wy, Marsjanie, nie macie potomstwa. Chce pan, żebym wszedł w to w ciemno. I z pewnością wolałby pan, żebym nie puścił pary z gęby. Ja - oszust, złodziej i kanciarz - jak był pan łaskaw zauważyć. Trzy procent zapewni moją całkowitą lojalność i pański stuprocentowy spokój. Niewiele rzeczy jest cenniejszych od spokoju.

Serdeczny, rubaszny śmiech Nowakowski ćwiczył od lat. Był bardzo dumny z efektów. Nauczył się nawet sugestywnie ocierać łzy z oczu.

- Ma pan całkowitą rację! - Zawołał, przestając się śmiać w chwili, gdy i Kutrzebie drgnęły wreszcie usta. - Spokój jest najcenniejszy. Zgoda! Skoro zostaliśmy współnikami, mój nieoceniony Czus wskaże panu pański pokój. Wieczorem, przed kolacją, podpiszemy umowę i będziemy mogli przystąpić do pracy.

Promieniowanie otaczających fort ochronnych fluidów rozprzestrzeniało się na całe wzgórze, a nawet spływało w dolinę, gdzie przy ulicy noszącej imię starożytnego księcia tych ziem rozkraczyła się narożna kamienica, obrastająca dobudowanymi byle jak oficynami. Służyła okolicznym mieszkańcom za przybytek rozrywek. Próżno byłoby spodziewać się w niej dam bądź gentlemanów. Ta okolica przyciągała raczej przedstawicieli niższych klas, szukających najczęściej zatrudnienia u zamożnego Marsjanina bądź jego wspólników.

Czasem przybywali tu nieszczęśnicy, ciężko chorzy, rozpaczliwie wierzący w jakikolwiek cud, bądź po prostu doświadczeni przez życie, spragnieni ratunku tajemnych mocy, żebrzący o wsparcie u starożytnych bądź nowych bogów. Zdarzali się i odmieńcy, przyciągający w Podgórzu mniejszą uwagę niż po drugiej stronie Wisły. Odkąd Nowakowski zamieszkał w forcie, dzielnica obrosła w manufaktury i fabryki, w warsztaty rzemieślnicze, a także w spółdzielnie usługowe, zakładane zwykle przez byłych pracowników Marsjanina. Podgórski kosmita stawiał na rozwój technologii, przyciągał więc inżynierów i badaczy o otwartych umysłach, którzy nie wybrzydzą przy zatrudnieniu. Dla Nowakowskiego pracowali przedstawiciele wielu ras. Niektórzy musieli nosić bransolety bądź pierścienie chroniące wrażliwą maszynę przed ich

nadnaturalnym wpływem, nikt jednak nie narzekał.

Najbiedniejsi zamieszkiwali domy robotnicze wzniesione przez Marsjanina bądź wynajmowali tanie pokoje w starszych, poaustriackich kamienicach. Inżynierowie i kadra kierownicza trzymali się własnych rejonów. Mieszkali w willach, pałacach budowanych wzdłuż najelegantszej ulicy prowadzącej do fortu albo w odnowionych kamienicach otaczających Rynek Podgórski.

Kutrzeba nie potrzebował takich jak oni.

Zamówił kieliszek śliwownicy, oparł się o bar i przyglądał wnętrzu. W kącie sali pięciu mężczyzn grało w karty, ignorując otaczający ich wianuszek kibiców. Na lewo od nich wielkolud, którego łysy czerep lśnił pośród naftowych lamp, daremnie starał się uwieść znużoną młodą Cyganekę, recytując jej wiersze o komicznie koślawych rymach. Dziewczyna tasowała karty, rozkładała je przed sobą, przyglądała się im przez chwilę, wzdychała, zbierała i tasowała od początku. Nawet nie spojrzała na wielkoluda, który przerywał recytację wyłącznie po to, by napić się piwa bądź zamówić następne. Nie doczekał się choćby uśmiechu wybranki, ale wyglądał na cierpliwego.

Jego cień przyciągnął uwagę Kutrzeby, było w nim coś nienaturalnego. Może nad wielkoludem ciążyła klątwa? Jeśli tak, mógłby okazać się interesujący, klątwy dawało się wykorzystać. Jak wszystko inne, były kolejną formą energii.

Tak jak Ona. No, prawie.

Kutrzeba ujrzał Ją niedługo po tym, jak lekarze w szpitalu

uznali wreszcie, że osiągnął stan, w którym zniesie wieści przyniesione przez pracownika kolei. Niewysoki, pulchnawy mężczyzna o szybkich, rozbieganych oczach i podejrzanie ponurej minie stanął nad łóżkiem pacjenta, odchrząknął i nie bawiąc się w ceregiele, oznajmił, że ogromnie mu przykro, ale żona i dwoje dzieci Kutrzeby nie przeżyły katastrofy.

Czy stracił wtedy przytomność na dłużej, czy tylko na chwilę? Czy wrzeszczał, złorzeczył, czy tylko mu się wydawało?

Gdy otworzył oczy, ten sam pulchnawy pracownik kolei z tym samym zafrasowanym wyrazem twarzy siedział przy jego łóżku. Po przeciwnej stronie stała pielęgniarka, panna Ania. Jej smutek wydawał się Kutrzebie szczery. Teraz zrozumiał, czemu uciekała dotąd przed jego spojrzeniami, czemu prędko go uciszała bądź umykała na korytarz.

- Najmocniej przepraszam - przedstawiciel kolei miał głos komicznie piskliwy - ale muszę zapytać, co pamięta pan sprzed wypadku. Usiłujemy wyjaśnić jego przyczyny. Zeznania świadków mogą nam bardzo pomóc.

Panna Ania wyglądała na oburzoną. Kutrzeba odwrócił od niej twarz, by znów spojrzeć na zafrapowanego pulchnego. Nie docenił go tamtego dnia, wziął za zwykłego, pewnie trochę tępawego urzędnika.

- Wyszedłem do wagonu restauracyjnego. Małgorzata z dziećmi mieli do mnie dołączyć... - urwał. - Nie, nie pamiętam nic szczególnego - skłamał.

Wtedy zobaczył Ją po raz pierwszy. Jeszcze niewyraźnie,

jak zjawę. Stała za pulchnawym. Kutrzebie wydawało się, że uśmiechnęła się smutno tuż przed tym, zanim jej postać zbladła i rozwiała się.

Drugi raz spotkał Ją w domu dzień przed pogrzebem. Siedział przy stole naprzeciwko butelki wódki i dziwił się, że nie czuje potrzeby, by się upić. Sięgnął nawet po kieliszek, ale odstawił go zaraz. Nie chciał pić tylko dlatego, że tak powinien zachować się zrozpaczony wdowiec. Nigdy nie upijał się, ani ze smutku, ani z radości. Nie zwykł też pijać sam. Jedynie w towarzystwie przyjaciół i znajomych pozwalał sobie na nieco więcej. Na weselach, obchodach świąt poświęconych lokalnym bóstwom, urodzinach pił dla zabawy, dla towarzystwa, bo tak wypadało. Nigdy, by zabić żal.

Popatrzyli sobie w oczy, jego przekrwione od niewyspania, Jej ciemne, nieludzkie. Ona skinęła wdzięczną, trójkątną główką, on po chwili zastanowienia odpowiedział tym samym. Wtedy zniknęła. Zakręcił butelkę i odszedł od stołu. Zaczynało go już dręczyć inne pragnienie.

Trzeci raz spotkał Ją w knajpie podobnej do tej podgórskiej, tydzień po pogrzebie. Spotkali się wtedy po raz ostatni, bo już na zawsze.

Zostawił na razie wielkoluda w spokoju. Czekał na kogoś innego. Dzieciaka takiego jak on szukał od wielu tygodni, aż wreszcie usłyszał o chłopcu z Podgórze.

Dopiero pod wieczór wtoczył się do knajpy wysoki, lecz chudy jak tyka blondyn o gęstej rozczochranej czuprynie. Potoczył po wnętrzu łagodnym spojrzeniem oczu o białkach

nabiegłych krwią, ale tęczęwkach intensywnie błękitnych, niczym letnie niebo. Mlasnął grubymi, ciemnoczerwonymi ustami, zachwiał się, złapał równowagę, chwytając czyjś ramienia. Wymamrotał coś. Splunął, bardzo nieszczęśliwie, bo na buty mężczyzny, który przed chwilą służył mu za podporę. Tamten zawarczał, odwrócił się gwałtownie, ale rozpoznawszy widać przybysza, pokręcił tylko głową z politowaniem i odepchnął go od siebie.

Blondyn zatoczył się, oparł, tym razem o bar, tuż obok sączącego czwarte piwo Kutrzeby. Skinęli sobie nawzajem głowami i blondyn odtoczył się dalej. Los do spółki z grawitacją pchnęły go ku stolikowi wielkoluda. Ten przerwał na moment recytację i nawet młoda Cyganka odłożyła karty. Oboje obserwowali, jak niesiony siłą bezwładności i przeznaczenia młodzian mknie ku nim zakosami. Na moment przed tym, jak gruchnął na stolik, wielkolud złapał go w długie ręce, zmierzwił mu włosy i pchnął łagodnie ku schodom. Tam przechwyciła chłopaka czarnulka o twarzy jak księżyc w pełni: okrągłej, jasnej i pełnej blizn. Objęła chłopaka i wtaszczyła na piętno, gdzie zniknęli w półmroku, nim jeszcze połknął ich zapuszczony korytarz.

- Zawsze ten sam cyrk - znużeniem w głosie barmana można by zniechęcać całe armie. Sięgnął po przytulone do siebie i jednako puste kufel i kieliszek Kutrzeby. - Czego szanownemu panu nalać?

- Śliwowicy. Ten sam cyrk?

- Ten szczeniak. Zawsze jest ululany na najprawdziwszy,

proszę szanownego pana, amen, zawsze wygląda, jakby nie mógł ustać na nogach, i zawsze ktoś mu pomaga, a dziewczynki dyżurują, żeby się nim zająć. Ja nie wiem, jakim on dysponuje czarem, ale chętnie bym poznał to zaklęcie.

- Nie pracuje, co?

- A kto go tam wie? To jeden z tych, proszę szanownego pana, co to zawsze się gdzieś kręca, z kimś gadają. Wszyscy są mu za coś wdzięczni, ale żeby ktoś go kiedy przy robocie widział - co to, to nie. Ja tam nic nie wiem - westchnął. - Żebym to ja tyle wiedział, ile nie wiem, to mnie by tu już dawno, proszę szanownego pana, nie było.

Kutrzeba opróżnił kieliszek jednym łykiem, cisnął na bar o pół marki za dużo i ruszył w ślad za blondynem.

- A niech szanowny pan powie Śniadej Maryśce, że ja szanownego pana polecam! Ja, Marian z dołu! - Zawołał jeszcze barman, więc Kutrzeba machnął ręką na znak, że usłyszał i zrozumiał.

Śniada Maryśka też słyszała, też rozumiała i miała to gdzieś, o czym poinformowała Kutrzebę, ledwie dotarł na piętro. Stała w szerokim rozkroku, blokując przejście. Podparła się pod boki, które, prawdę mówiąc, owinięte były jedynie pozorem spódnicy, wbiła w potencjalnego klienta spojrzenie wielkich brązowych oczu i nawet nie mrugnęła, oznajmiając, że ten tam Marian z dołu to ani jej brat, ani swat, napiwkami się z nią nie dzieli, a w ogóle to jest jakiś podejrzany, bo nikt nie widział, żeby kiedy próbował się dobierać do dziewczynek. Głos miała aksamitny, kuszący,

usta zmysłowe, a nieznacznie tylko przesłonięte piersi wyprężone ku przybyszowi. Gdy musnęła dłonią jego policzek, poczuł jak Ona zadrżała w nim, gotowa w każdej chwili wydrapać oczy kobiecie, która ośmieliła się dotknąć jej mężczyzny.

- Nie szukam zabawy - wyjaśnił, nim doszło do awantury. - Szukam takiego blondaska. Łatwo go poznać, nie umie poruszać się po prostej.

- Zajęty.

- Z pewnością. Mogę być hojny.

- To nie jest miejsce dla takich jak ty. Chcesz takiej rozrywki, idź na dół, zabaw się z Marianem.

- No, lala! - Chwycił ją za szyję, ścisnął lekko. - Nie zrozumieliśmy się. Blondasek. Który pokój?

- Niech no tylko krzyknę...

- A przyleci tu ten łysy syn Waligóry i połamię mi wszystkie gnaty, wiem. A wiesz ty, co potem jemu i tobie zrobi pan Nowakowski za to, żeście przeszkadzali jego człowiekowi w pracy?

- Och. Picuś, to trzeba było tak od razu, że ty dla naszego dobrodzieja robisz! No nawet ja bym ci za darmo...

- Nic nie chcę za darmo, Marysiu. - Puścił ją. - Pokaż mi, gdzie blondyn, a jeszcze zarobisz czwartaka.

- Daj mu czas, słodki. Zabaw się ze mną, pozwól młodemu poużywać życia. Sam poużywaj. Wszyscy będą zadowoleni.

- Znam takich. Jak skończy, to padnie do rana. Który pokój?

- Dwunastka.

Wcisnął jej ćwierć marki, choć wcale nie spieszyła się, by ją przyjmować. Odnalazł właściwe drzwi i otworzył je jak należy, bo po cichu i ostrożnie.

- Nie teraz, najśłodszy! - Pisnęła dziwka o księżycowej twarzy, siedząca na skraju łóżka. Wydłubywała nożykiem brud z paznokci. - Zajęta jestem, zajęta! Niech ci Ruda Magda da. Albo Jola!

Blondyn siedział za nią, grzebiąc w sienniku. Wydawał się nie zwracać uwagi na nic innego na świecie. Kutrzeba mógłby tu wejść z orkiestrą, a nie rozproszyłby jego skupienia.

- Idź na spacer, piękna pani. - Wcisnął dziewczynie którąś z drobniejszych monet. - Nic nie zrobię twojemu kochasiowi. Porozmawiamy tylko trochę.

Opierała się, dęsała, ale wyszła. Zachichotała, gdy klepnął ją w obfity tyłek, a Ona w nim zawarczała i wbiła mu pazury w duszę, aż się wzdrygnął.

- Pewnie jesteś Jasiek, co? - Zagadnął blondyna.

- Cichajcie, panie, bo wszystko popsujecie. One się już prawie zgodziły.

- Zostaw pluskwy, Jasiek. Mam dla ciebie inną robotę.

- Cichajcież, panie, jeszcze ino chwila!

Kutrzeba uznał, że lepiej dać chłopakowi trochę czasu. Dzięki temu, nim minęło pięć minut, mógł oglądnać, jak pluskwy równym rzędkiem opuściły i bez nich niespecjalnie czyste łożo, po czym karnie wymknęły się na korytarz przez

szparę pod drzwiami.

- Ze wszystkimi umiesz się dogadać, chłopcze?

- Dał mi ptak-dziad takie ziarno, panie. Kto je zje, ten mowę zwierząt rozumie i jak ładnie z nimi pomówi, to może i przekonać do pomocy.

- To dokąd wysłałeś to robactwo?

Chłopak zachichotał i poczerwieniał.

- Tego mi powiedzieć nie wolno.

- Masz na imię Jasiek, tak?

- Tak, panie. Skąd wiecie? Śniada wam powiedziała?

- Wszyscy macie na imię Jasiek - westchnął Kutrzeba, a chłopak wcale się nie zdziwił. Mógł nie należeć do najtęższych umysłów świata, jednak pewne jego zasady były oczywiste i dla niego.

Kiedy Marsjanie użyli swojej broni ostatecznej, spodziewali się, że wyzwolona mitbombami energia uderzy ostatecznie i w nich samych. Reakcja zwrotna następowała na wszystkich podbijanych planetach, bo nie było takiej cywilizacji, która nie miałaby własnych podań, religii i baśni. Toteż przybysze z planety leżącej faktycznie znacznie dalej od Ziemi niż Mars, szcując na Ziemian swoich bogów i swoje demony, podjęli zwyczajowe środki bezpieczeństwa. W miasta i wioski położone blisko frontów uderzyli mitbombami, niosącymi energię wiary ich własnej oraz podbitych dotąd światów. Równocześnie marsjańskie pełzacze i maszyny kroczące przypuściły zmasowaną ofensywę, ostrzeliwując pozycje ludzi nie tylko pociskami konwencjonalnymi, ale też takimi,

które pobudziły pokłady ludzkiej energii wiary.

Mitbomby uderzały precyzyjnie w wyznaczone cele: w pobliżu świątyń, cmentarzy i szkół. Wydawało się, że nie wyrządzały wielu szkód, bo też ich celem nie było niszczenie materii. Gdy saperzy przyjeżdżali rozbierać, jak sądzili, niewybuchy, wokół nich wciąż niewidzialne dla ludzi ziarna już zasysały odkładającą się od wieków energię wiary. Skupiały ją w sobie, by obrodzić obcymi bogami i demonami, których zalążki Marsjanie upchnęli w mitbombach. I by przywoływać zastępy wciąż wspomnianych ludzkich bóstw, wcielanych do inwazyjnej armii.

- Ważny był czas - tłumaczył Kutrzebie von Paulsen, gdy człowiek dotarł do niego, by zdobyć jak najwięcej wiedzy o bogu, którego naiwnie wówczas obwiniął. - Zawsze przychodziła kontra, dlatego zwykle spuszczaaliśmy bogów ze smyczy, gdy już właściwie było po wszystkim. Wy jednak walczyliście tak zajadle swoją śmieszoną, archaiczną bronią, że nie mieliśmy innego wyjścia, jeśli nie chcieliśmy obrócić w perzynę całej planety. Wydało się nam, że mitbomby będą bezpieczniejsze niż broń jądrowa albo ostrzał antymaterią z orbity. Jak widzisz, młody człowieczku, naiwność i głupota nie przynależą wyłącznie do rodzaju ludzkiego. A my mieliśmy mniej czasu, niż nam się wydawało. Wasze opowieści przebudziły się zbyt szybko.

Ludzka zwrotna zrodzona ze wszystkich kłębiących się w ziemskich religiach, przesądach i ideologiach wierzeń stworzyła prawa i istoty, których zaistnienia Marsjanie nie

przewidzieli. Efekty oboczne w postaci lokalnych bogów pojawiały się zawsze i wszędzie, zwykle jednak następowało to nieco później, a powstałe bóstwa nie były w stanie stawić czoła bojowym bogom marsjański. Na Ziemi zdarzyło się inaczej. Ludzka zwrotna okazała się silniejsza niż wszystko, z czym Marsjanie zetknęli się wcześniej. Ogarnięty wojną światową glob był istotnie, jak spodziewali się obcy strategicy, przesiąknięty wiarą, czy to niosącą przekleństwa, czy nadzieję. Czego nie przewidzieli, to tego, jak wielka i gwałtowna będzie siła rozbudzonych wierzeń i przesądów.

W okopach wszystkich frontów cierpiało zbyt wielu prostych chłopców, wyrwanych prosto ze wsi, w których przetrwały wierzenia sięgające średniowiecza, a czasem i starsze. Podczas gdy w miastach sufrażystki paliły już biustonosze, socjaliści głosili potrzebę wyzwolenia z jarzma bogaczy i wykrzykiwali hasła o „opium dla ludu”, zaś bogacze rozbudowywali i unowocześniali fabryki, na wsiach przestrzegano rytuałów, których znaczenia mieszczenie zapomnieli już dawno. Miasto wierzyło w postęp, ale wieś wierzyła w demony i duchy zamieszkujące każdą chałupę. To zderzenie nowoczesności z zacofaniem, technologii z archaicznymi przesądami, niezmiennymi od stuleci, sprawiło, że zuchwała strategia Marsjan przyniosła straszne owoce.

Mitbomby obudziły siłę, która zadała Ziemi rany poważniejsze niż nawet najbardziej niszczycielska broń oparta na nowoczesnej technologii.

Efekty rozpętanego kataklizmu widać było choćby na

przykładzie Jaśka, należącego do wielkiej rodziny trzecich synów.

- Czemu to robisz? - Zapytał Kutrzeba, choć znał odpowiedź. Musiał się upewnić, czy znalazł właściwego Jaśka.

- Bo tak trzeba, panie. Pomóc ludziom w potrzebie.

- Za wdzięczność?

- Wdzięczność to najcenniejsza moneta.

- A dziewczynki ci, Jaśku, nie odpłacają inną monetą?

Chłopak zaczerwienił się po same końcówki uszu.

- Ja... ja, panie, nigdy! One chciały, ale ja nie.

- Czekasz na lepszą?

Jasiek skinął głową. Szybko, nerwowo; zawstydzony, ale szczerzy.

Nada się, uznał Kutrzeba. Prawiczek przekonany, że czeka na niego serce księżniczki, rodowej, albo kapitałowej, był w sam raz. Odkąd ludzka zwrotna po mitbombach wypaliła zdumionym Marsjanom prosto w wielookie twarze, trzeci synowie rodzili się zawsze prostaczkami, chętnie niosącymi pomoc innym i w głębi duszy przekonanymi, że czeka ich wspaniałe małżeństwo. Tak przecież działo się w opowieściach. A od czasu inwazji opowieści stały się co najmniej równie ważne jak fizyka.

Większość z trzecich synów kończyła kiepsko. Póki jednak zachowywali czystość, ludzie tacy jak Kutrzeba mogli korzystać z ich prostolinijności i mocy. Nie bez ryzyka oczywiście.

Człowiek nigdy nie mógł być pewien, czy wykorzystywana moc nie strzeli go niespodziewanie w pysk.

Rozdział 3

*wrzesień 1964 roku starego kalendarza, czterdziesty
dziewiąty rok Kresu, dwunasty rok Pokoju*

Trzaśnięty na odlew w twarz Kutrzeba odleciał pod ścianę, jakby trafiony karabinową kulą, a nie otwartą dłonią. Ale też przyłożył mu nie byle kto, bo sam Żelazny Marcin, chwyt nad chwaty, prawdziwy mistrz zmiękczenia pechowców, którzy narazili się jego nowemu panu.

- Mirku, Mirku, czemu pyszczysz? - Wysyczał Złoty Wąż, zwinięty wygodnie na nigdy niestygnącym kamieniu ustawionym pośrodku izby. Gwizdnął krótko i Żelazny Marcin podszedł do oszołomionego Kutrzeby, by postawić go na nogi i zaraz przyłożyć mu raz jeszcze, w drugi policzek.

Trafiony osunął się wzdłuż ściany. Jęknął. Językiem sprawdził, czy zęby nie wybite. Ku jego zaskoczeniu, trzymały się.

Prawdziwego imienia, jak i prawdziwej postaci Węża, nie znał. Był to jeden z nawróconych marsjańskich bogów wyzwolonych spod władzy dotychczasowych zwierzchników, nazywany przez nich teraz „zdrajcą i renegatem”. Kiedyś Marsjanie ślali za takimi jak on listy gończe bądź zabójców. Po zawarciu pokoju z ludźmi zaniechali zemsty. Niemniej bogowie, którzy porzucili służbę u Marsjan w ciężkiej dla

nich chwili, nie mogli liczyć na ich przyjaźń. I nie liczyli. Rozeszli się po całym świecie, szukając wyznawców wśród ludzi. Kutrzeba szukał któregoś z nich, by ten pomógł mu zrozumieć istotę przyniesionych przez Marsjan mocy. Ludzkich magów się obawiał, a na spotkanie z Marsjanami nie był jeszcze gotowy. Natomiast zbuntowany marsjański bóg mógł wiele go nauczyć, być może za stosunkowo niewielką cenę. Choć potężni, marsjańscy bogowie wciąż nie czuli się na Ziemi wystarczająco pewnie i chętniej niż lokalne bóstwa wchodzili w układy ze śmiertelnikami.

Złoty Wąż uznał górę Turbacz wraz z okolicą za własne królestwo, a górale przekazujący sobie od wieków opowiadki o gwizdzącym królu węży przyjęli jego panowanie, choć nie przestali kłaniać się starym świętym. Wężowi święci najwyraźniej nie przeszkadzali. Przyjmował hołdy i dary, układał się z lokalnymi władzami i podobno pomagał tym, którzy oddali mu się pod opiekę.

- Przyszedłem tylko porozmawiać - wyjęczał Kutrzeba.

- Z pałką niewidką-samobijką? - Prychnął Żelazny Marcin i wyraźnie szykował się do kolejnego ciosu, ale Wąż zabronił mu gwizdnięciem.

- Zwyczajna ostrożność.

- Znowu pyszczysz, Mirku. Wiesz przecież, jak się do mnie zwracać.

Godzinę wcześniej Kutrzeba oświadczyłby pewnie, że prędzej zdechnie, albo rzuciłby kąśliwy komentarz. Jednak starania Żelaznego Marcina błyskawicznie wyrobiły w nim

odruchy dyplomatyczne.

- Zwyczajna ostrożność, wasza wysokość - powiedział więc. - Nie wybrałbym się przecież z takim byle czym na boga.

- Nie doceniasz siły tej broni. Tym bardziej ci się ona nie należy. Marcinie, masz nową zabawkę.

Dyplomatyczne odruchy zaszczepiono w Kutrzebie zbyt niedawno, toteż nie zapanował nad sobą i zaprotestował. Kiedy Żelazny Marcin przestał okładać go niewidzialną pałką, ani przez chwilę nie korzystając z jej samobijności, Kutrzeba był już dyplomata stuprocentowym.

- Bardzo się cieszę, że wasza wysokość zgodził się przyjąć mój mały podarunek - wystękał.

Wąż przyglądał mu się uważnie złotymi oczami, aż wreszcie westchnął zrezygnowany.

- Sprytne, Mirku. Teraz jestem ci coś winien, prawda? Mógłbym uznać, że darowanie ci życia wyrównuje rachunki, ale nie jestem pewien, jak by to pasowało do tych waszych zasad. Jeszcze ich do końca nie rozgryzłem. Masz pojęcie, jakie to denerwujące, że ledwie wyrwałem się z niewoli tych, których nazywacie Marsjanami, a już wpadłem w niewolę waszych reguł? Świat jest zasadniczo i dogłębnie niesprawiedliwy. Marcinie, zostaw nas.

Ledwie ochroniarz wyszedł, wąż zsunął się z kamiennego tronu, podpełzł do wciąż leżącego pod ścianą człowieka i owinał mu się wokół ramienia.

- Wiem ja, co w tobie siedzi, Mirku - zagwizdał. - Znam ja

takie panny. Chciałbyś, bym ją z ciebie wydobył?

Nawet kiedy Kutrzeba potrząsał głową, bolało.

- Ośmielam się prosić, wasza wysokość, żebyś pomógł mi ją nasycić.

Gwizd węża zabrzmiał jak śmiech.

Niespełna osiem lat później Kutrzeba przyglądał się, jak Jasiek rozmawiał z innym wężem. Ponieważ gad był, na oko, normalny, Kutrzeba nic nie rozumiał z jego syczenia, ale Jasiek wydawał się zadowolony. Kiwał głową, uśmiechał się i coś mamrotał. Wreszcie wypuścił stworzenie i z uśmiechem oznajmił Kutrzebie, że i owszem, pan Grabiński mieszka w domu pod Kolejarską Panią, zaraz obok kościoła. I że zdaniem wężusia, przyjaciela kochanego, lepiej będzie, jak się do niego pospieszą, bo ci inni panowie, co tam szli, mieli dusze posępne i mroczne.

Popędzili konie pożyczone ze stajni Nowakowskiego. Rumak Jaśka starał się oczywiście bardziej po tym, jak chłopak porozmawiał z nim po swojemu - szczerze a serdecznie. Wedle zapewnień Jaśka przydzielona mu kobyła bardzo przypominała jakiegoś siwka złotogrzywka, z którym pozostawał w dobrej znajomości jego dziad, też Jasiek. Koń Kutrzeby okazał się znacznie mniej rozmowny, ale na tyle dobrze wychowany, by nie próbować zrzucić jeźdźca. Zależało im, by dotrzeć do Bieżanowa szybko i bezpiecznie, a do Krakowa wrócić przed zmrokiem.

Choć wojna oszczędziła stare miasto chronione przez potężne siły, okoliczne wsie nie miały już tyle szczęścia. Jedna z mitbomb uderzyła ledwie trzy kilometry od Biezanowa i w krótkim czasie rozpętała w okolicy prawdziwe piekło. I tak od czasów wojny żerowały w tych rejonach stwory, które zazwyczaj w dzień pozostawiały ludzi w spokoju, o ile nie zapuszczali się w okolice zrujnowanych domów stanowiących ich siedliska. Po zmroku jednak świat wyglądał zupełnie inaczej.

Odbudowano wprawdzie linię kolejową łączącą Kraków z Wieliczką i w Biezanowie odrestaurowano starą stację, chronioną teraz zaklęciami i duszami spętanych cieni. Jednak ścieżki prowadzące do wsi i stojące przy nich nawiedzone gospodarstwa pozostawiono nietknięte. Toteż Kutrzeba z Jaśkiem jechali wśród ruin porośniętych ciemną, ponurą i odkształconą złowrogimi mocami roślinnością. Mijali koślawe drzewa nachylające się nad ścieżkami i sięgające konarami ku podróżnym. Nabrzmiałe nienaturalnie napuchłą korą pnie obrastały pnącza drżące i prężące się, ilekroć mijali je ludzie. Czasem jeźdźcy dostrzegali nabite na nie kości małych zwierząt i ptaków. Tutejsza roślinność nie gardziła mięsem.

Nawet i tu jednak Jasiek potrafił odnajdywać przyjaciół. Pozwolił odpocząć na swoim ramieniu zmachanemu drozdowi. Żartowali w sposób niezrozumiały dla Kutrzeby, nierozumiejącego nic z ptasich trelów.

Im bliżej znajdowali się Biezanowa, tym wyraźniej przerzedzał się mroczny las. Pojawiły się pierwsze

zbudowane od nowa domostwa, zadbane, otoczone wysokimi płotami na podmurówkach albo i murami. Można było dostrzec wyryte w drewnie bądź wymalowane krwią na kamieniu prymitywne rysunki zwierząt, które składano w ofierze podczas budowania domu, by strzegły jego przyszłych mieszkańców.

Kutrzebę zawsze zastanawiało, jakim sposobem podobne znaki otaczały zwykle także nawiedzone budynki, choć nikt nie przyznawał się do ich wykonywania. Czy to możliwe, że upiory także posiadały swoich patronów? Może składały w ofierze zwierzęta i ludzi, by duchy strzegły ich przed łowcami? Daleko na wschodzie dzikie plemiona przybijały do drzew czaszki zabitych wrogów, związując ich dusze z granicami swych terytoriów. W miastach porzucono ten zwyczaj, choć w trakcie Upadku używano wszelkich sposobów i pętano nawet dusze zmarłych krewnych. Ludzie nieco się ucywilizowali, ale czy to samo można było powiedzieć o potworach?

Nie spotkali żadnego człowieka, choć widać było, że wieś powracała do życia. Nikt nie był ciekaw spraw, z jakimi przyjeżdżali przybysze. W okolicach takich jak ta obcy prawie zawsze oznaczali kłopoty. Z braku ludzi, których można by spytać o drogę, Jasiek zagadywał do ptaków i owadów, aż wreszcie znalazł dobrze zorientowanego węża.

Niewielki parterowy domek przycupnął obok kościoła Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Podobno od wojny proboszczował w nim ten sam ksiądz, jakimś cudem

utrzymujący się przy życiu. Kutrzeba chętnie poznałby opiekujące się staruszką moce, jednak zaniepokojony słowami węża wolał najpierw znaleźć człowieka, po którego tu przybył.

Zastali dom pusty. Więcej: porozrzucone i połamane krzesła, wywrócony stół i drzwi wyrwane z zawiasów - wszystko wskazywało, że mieszkający tu człowiek został napadnięty. Bronił się chyba, ale nie poradził sobie.

Kutrzeba wypadł na zewnątrz szukać śladów, natomiast Jasiek pozostał w środku. Przyglądał się nie śladom walki, ale ścianom i sufitowi.

Odnalazł Kutrzebę, gdy ten daremnie dobijał się do wrót kościoła. Albo staruszek proboszcz zabarykadował się w środku, albo sam uciekł.

- Są jakieś ślady, ale niewyraźne - rzucił Kutrzeba na widok Jaśka. - A ty co znalazłeś?

- Pająk powiedział, że było trzech bardzo złych ludzi. Wyważyli drzwi, poszarpali się trochę z gospodarzem, a potem pociągnęli go ku Wieliczce. Jakies pół godziny temu.

- Znasz wszystkie pająki w okolicy, że ci tak pomagają?

- Gdzieżby. One jakoś gadają między sobą. Jak zaszkodzicie panie jednemu stworzeniu, czy to pająk, czy to ptak, to pozostałe o tym wiedzą i odpłacą wam za to, jeśli będą mogły. Ale wiedzą też, jak im dobry człowiek pomaga.

- Zupełnie jak baby i żebracy. Pół godziny? W konie!

Dopadli tamtych, gdy wspinali się traktem na wzgórze, za którym kończyły się duchowe granice Krakowa, a rządy

obejmowały cienie i bogowie wielicy. Porywacze wędrowali pieszo, spowalniał ich dodatkowo uprowadzony. Z rękami związanymi na plecach, prowadzony na sznurze, którego pętlę obwiązano mu wokół szyi, stawiał kroki niezdarnie, potykał się co chwila i w ogóle starał się iść powoli, czy to spodziewając się jakiejś pomocy, czy tylko uprzykrzając wędrowkę tym, którzy go zniewolili.

Usłyszawszy zbliżające się konie, porywacze zatrzymali się, spojrzeli ku nadjeżdżającym. Nie wyglądali na zaniepokojonych. Kutrzeba z Jaśkiem zbliżyli się więc do nich bez kłopotu. Dopiero gdy wstrzymali konie, twarze prowadzących więźnia sposepniały.

- Nie ma tu co oglądać - warknął brodacz o brzuszku proporcjonalnie okazałym do wzrostu. Choć lekko przygarbiony i niemłody, imponował szerokością ramion i wielkością zaciśniętych teraz w pięści dłoni. - Jedźcie swoją drogą!

Kutrzeba nie bawił się w chytre rozmowy. Nim tamci zdążyli zareagować, wyjął rewolwer i zastrzelił brodacza. Jeden z jego kompanów sięgnął za pazuchę, jak się okazało, gdy przeszukiwali jego zwłoki, jedynie po nóż. Trzeci, widać najrozsądniejszy, próbował uciec. Ten dostał kulę w plecy.

Więzień zachichotał nerwowo.

- Panie, panie, jakże to! - Zawołał zdumiony Jasiek. - Nie godzi się!

- Jakbyśmy ich puścili, mogliby wrócić. I byliby przygotowani.

- Ale ludzi zabijać! Ja z wami dalej nie pójdę!

- Pójdiesz, Jaśku. Wczoraj podpisałeś papier. Trzema krzyżkami, ale zawsze. Wiesz, jaką moc ma taki dokument?

Jasiek, jak wielu niepiśmiennych wierzący w magiczną moc słowa pisanego, pobladł. Uświadomił sobie nagle, że znalazł się w mocy złego człowieka, wtulił twarz w końską grzywę, zapłakał. Koń parsknął pocieszająco i posłał Kutrzebie bardzo nieprzychylnie spojrzenie. Coś tam prychnął po końsku. Wierzchowiec Kutrzeby, ku niezadowoleniu jeźdźca, odpowiedział rzeniem, brzmiącym złośliwie a podejrzenie.

Na wszelki wypadek mężczyzna czym prędzej zeskoczył z siodła.

- To byli źli ludzie, Jaśku - tłumaczył, podchodząc do przypatrującego mu się z uwagą więźnia: niewysokiego, posiwiąłego już, niegdyś najwyraźniej pulchnego mężczyzny.

- Napadli człowieka w domu, związali i wlekli ku Wieliczce. Myślisz, że w dobrych zamiarach?

- Ale zabijać, panie? Ludzi zabijać?

- Jeszcze się napatrzysz zabijania, Jaśku.

Wyciągnął nóż i przeciął więzy niewysokiego mężczyzny.

- Kopę lat, Mirku - wychrypiał piskliwie tamten. - Ale przybyłeś w samą porę. Nie masz może gorzałki?

Oczy miał wciąż zielone, ale jakby ciemniejsze, niż Kutrzeba pamiętał. Na twarzy przybyło mu zmarszczek, lecz nie wszystkie były córkami wieku. Część z nich narodziła się z frasunku, część z marnowania życia. Wiele się zmieniło, odkąd widzieli się po raz ostatni, choć teraz - jak i wtedy -

czuć było w powietrzu prochem.

Stali wówczas oparci o siebie plecami - młody wdowiec, który ledwie miesiąc wcześniej porzucił służbę u księcia Czartoryskiego, i niedoceniany przezeń początkowo grubawy inspektor kolejowy. Kutrzeba ścisnął w rękach pistolety zdobyte na łajdakach, których przyszli dopaść, a Grabiński dwa identyczne, czarne jak noc rewolwery. Kutrzebie zdarzyło się chybić kilka razy i to jego kule odrywały kawałki tynku ze ścian, Grabiński trafiał za każdym razem. Ten człowiek, jak powiadali ci, którzy znali go lepiej, urodził się z rewolwerem w ręce.

Wokół nich konali na podłodze ludzie, którzy stanęli im na drodze. Dwaj oparci o siebie mężczyźni milczeli, póki nie ucichły jęki. Przez chwilę nasłuchiwali, czy nie nadchodzi ktoś jeszcze. Zmora w Kutrzebie oddychała szybko, gwałtownie, jak po biegu, upojona smakiem pierwszej przelanej dla niej krwi. Broń przeładowali wcześniej, szybkimi automatycznymi ruchami. Kutrzeba uważał się za nie lada praktyka, jednak szybkość, z jaką Grabiński opróżnił bębny swoich rewolwerów z łusek, by załadować je ponownie, zrobiła na nim wrażenie. Płynność i szybkość ruchów pracownika kolei wydawała się niemal nienaturalna.

- To robota nie dla mnie - odezwał się był wtedy wreszcie Grabiński. - Myślałem, synku, że ci pomogę do końca, ale to nie dla mnie. Wybacz. Stary już jestem, mam żonę, dwoje dzieci. Nie chcę już zabijać. Nawet drani. Nie tak. Zrozum.

Kutrzeba, któremu niewiele ponad miesiąc wcześniej też

wydawało się, że nie chce już zabijać, zrozumiał.

- Pomógł mi pan więcej niż inni. Dziękuję. Dalej dam już radę sam.

- Jeszcze jedno, synku. Ta dziewczyna, którą czasem przy tobie widzę... Nic dobrego z tego nie będzie.

- Nic dobrego już mi nie zostało - odpowiedział wtedy i odszedł zabijać.

Stali teraz na wielickim trakcie, obaj starsi o osiem lat i znacznie więcej paskudnych doświadczeń. Przyglądali się sobie bez uśmiechu. W tle rzygał i płakał Jasiek, a konie parskwały nerwowo.

- Ilu? - Zapytał Grabiński, niegdyś inspektor kolejowy przepytujący tych, którzy ocaleli z katastrofy, czy nie zapamiętali czegoś szczególnego.

- Jeszcze trzech.

- Jak znam życie, to tych najgorszych, co?

- Znasz życie jak mało kto.

- I pewnie chcesz, żebym ci pomógł?

- A chciałem kiedy czego innego?

- To daj gorzałki!

Rozdział 4

Stan dwóch zatrudnionych przez Kutrzebę pomocników wywołał na twarzy Czusa wyraz głębokiego nieukontentowania. Jasiek wciąż jeszcze chlipał i mamrotał coś o szacunku do życia, natomiast Grabiński nawet w swoim najlepszym garniturze - fakt, że sprzed lat blisko dziesięciu - i z dwoma rewolwerami przy pasie wyglądał, zdaniem sługi, nawet gorzej niż sam Kutrzeba. W dodatku ledwie przybył do fortu, zaczął domagać się gorzałki i przekonywać, że przynajmniej jeden z wozów z zaopatrzeniem powinien wieźć wyłącznie alkohol.

- Pan przysłał mnie, bym zapytał o postępy. Doprawdy, panie Kutrzeba, nie wiem, co zameldować.

- Że wszystko idzie doskonale.

- W istocie?

- Ten młody, chlapiący, to żywy amulet, trzeci syn. Gdy wpada w tarapaty, samo niebo nachyla się, by mu pomagać.

- To rozumiem. Moje wątpliwości wzbudza raczej osoba pańskiego drugiego towarzysza.

- Nie znam lepszego strzelca. Wolę jego od całej kompanii wojska. A do tego to szalenie inteligentny i zaradny człowiek.

- Proszę mi wybaczyć tę uwagę, ale sprawia wrażenie nieco zaniedbanego.

- Wyłącznie dlatego, że od dwóch dni nie piłem! - Uznał za

stosowne wtrącić Grabiński. - Ręce mi się od tego trzęsą. A i skupić się trudno.

Kutrzeba nie zgodził się odwiedzić po drodze knajpy z obawy, że wciąż roztrzęsiony Jasiek mógłby ściągnąć na nich kłopoty. Pojechali jak najszybciej do Krakowa, Kutrzeba i Grabiński na jednym koniu, po drodze zatrzymując się tylko przy domku Grabińskiego. Jak się okazało, nie po wódkę, której nie została choćby kropla, ale po dawno nieużywane rewolwery.

- Zmieniłeś się. - Kutrzeba napełnił trzy kieliszki, ledwie niepokieszony Czus zostawił ich samych w willi Marsjanina. Pierwszy wcisnął obrażonemu Jaśkowi, drugi postawił przed Grabińskim. Inspektorowi nie wystarczył jeden łyk. Jeszcze nie odstawił kieliszka, a już sięgał po butelkę.

- Wszystko się zmieniło - rzucił. Dał spokój pozorom, przystawił flaszę do ust i opróżnił ją duszkiem. Odetchnął jak człowiek, który zakosztował chwili szczęścia. - Usunęli mnie ze stanowiska po naszym ostatnim spotkaniu. Nie, nie. - Zamachał rękami. - Nie twoja wina. Zesłali mnie tu. Jako dróżnika. Wyobrażasz sobie, co może robić dróżnik na trasie, którą przejeżdża jeden pociąg dziennie?

- A Helena?

- Helena nie wychodziła za mąż za dróżnika, tylko za inspektora trzeciej klasy z szansami na wysoki awans. Znalazła kogoś, kto nie marnował szans.

- Przykro mi.

- A mnie już nie. Masz jeszcze jakąś butelkę?

- Aż tyle potrzebujesz?
- Synku, powiem ci prawdę. To dla mnie tyle co nic. Od trzech lat pijam przede wszystkim czarcie mleko. Po nim widzę świat w kolorach, których nazw nawet nie znam, i ręce mi się nie trzęsą. Zwykła wódka to kiepski substytut.
- Wybacz, że spytam. Ale...
- Czy ci się nadam?
- Tak.
- Dwa, trzy łyki czarciego mleka dziennie i odstrzeżę jaja komarowi. Albo litr wódki na dzień dobry, do obiadu i na deser.
- Umrzesz od tego.
- Umrę od kuli albo noża, jak będę trzeźwy. Bo wtedy wystarczy trzech prowincjonalnych oprychów, żeby zrobić ze mną, co zechcą.
- A czego chcieli?
- Ich herszt stracił do mnie cierpliwość. Czarcie mleko kosztuje więcej niż może zarobić dróżnik. Trochę grałem, trochę szarżowałem, trochę zabrakło mi w końcu szczęścia.
- Mogę z nim pogadać.
- Nie trzeba. Po prostu zabierz mnie na tę swoją wyprawę. Albo z niej nie wrócę, albo wrócę z pieniędzmi, i to wrócę gdzie indziej. Tu już mnie nawet robota nie trzyma, wylali mnie dwa dni temu. Dokąd pojedziemy?
- Daleko.
- Kogo jeszcze szukasz?
- Jeszcze jednego pomocnika. Jak go zwerbujemy, to po

drodze zatrzymamy się w Leżajsku, kupimy tuzin golemów i wystarczy. Będą z nich równie dobrzy tragarze, co i żołnierze.

- Dobry plan. Wypiję za jego powodzenie.

Czy Grabiński pił słabo, czy nie do końca szczerze, w każdym razie nie zatrzymali się w Leżajsku. Nawet nie wyruszyli w jego kierunku.

Nowakowski ani nie mrugnął żadnym z wielu swoich oczu, poznając swoich nowych ludzi. Przywitał uprzejmie i Jaśka, niepotrafiącego wykrztusić z przejęcia choćby słowa, i nadto rozgadanego Grabińskiego. Były inspektor kolejowy wyprał i wyprasował garnitur, przyciął nazbyt rozrosłe po bokach czaszki włosy, ogolił się i wyglądał tak przyzwoicie, że musiał być, zdaniem Kutrzeby, w sztok pijany. Rozmawiał z Marsjaninem mądrze, opowiadał o swoim doświadczeniu i popisał się znajomością kilkunastu marsjańskich zwrotów. Nie chwiało się na nogach i ręce mu się nie trzęsły, gdy prezentował umiejętności strzeleckie. Nawet Czus był pod wrażeniem, choć podejrzliwość nie opuściła jego spojrzenia.

- Golemy nie będą nam potrzebne - oznajmił Nowakowski ku rozczarowaniu Kutrzeby. - Jeśli chodzi o siłę ognia, to zapewniam pana, że będziemy dysponować niezbędną do powodzenia naszej wyprawy. Role tragarzy, jeśli zajdzie taka potrzeba, też mogą pełnić członkowie załogi „Batorego”.

- „Batorego”? - Kutrzeba nie był pewny, czy Marsjanin

zdecyduje się na wybór tego właśnie pojazdu. Gdy o nim usłyszał po raz pierwszy, zmora drgnęła znacząco w jego duszy. Miał nadzieję, że Nowakowski podejmie taką właśnie decyzję. Dołożył starań, by go ku niej skłonić, jednak pewności mieć nie mógł.

- Rzeczywiście, nie wspominałem panu o nim. Może po prostu zaprezentuję go panu dziś wieczorem? Nie chciałem go przed panem ukrywać, wszystko wskazywało jednak na to, że nie będę mógł zeń skorzystać. Sytuacja się zmieniła, zmieniły się i plany. Zapewniam, że na lepsze. Ile potrzebuje pan jeszcze czasu, by zwerbować pozostałych członków ekipy?

- Pytanie, ilu ludzi pan potrzebuje teraz.

- Załoga „Batorego” liczy czternastu mężczyzn. Każdy z nich może w razie czego służyć za strzelca. Tych więc nie musi pan rekrutować, tym bardziej że z „Batorym” zyskaliśmy też Mioczkę.

- Mioczkę?

- Pozna go pan dziś wieczorem. A zatem ilu jeszcze ludzi pan potrzebuje?

- W tej sytuacji jeszcze tylko jednego.

- Zdąży pan do jutrzejszego wieczoru czy potrzebuje więcej czasu?

- Czy mi się zdaje, czy sytuacja zmieniła się bardziej niż sądziłem?

Nowakowski nie odpowiadał przez chwilę. Wreszcie westchnął, skinął głową, bardzo po ludzku. Za bardzo.

- Proszę mi wybaczyć. Skoro polegam na panu - a zapewniam, że polegam - powinienem mówić panu o wszystkim. Tak, sytuacja się zmieniła. Wczoraj do Krakowa przybył człowiek pracujący dla kogoś, kogo traktuję jak konkurenta. Dlatego chcę wyruszyć jak najszybciej. Przez ostatnią dobę ciężko pracowałem, by zdobyć dla nas „Batorego”. Prawdę mówiąc, możliwe, że tak jakby go ukradłem. Istnieje więc ryzyko, że prawowity właściciel może mieć do mnie pretensje i popsuć nam szyki, o ile nie wyruszymy jak najprędzej.

- Tak jakby pan ukradł?

- Pan naprawdę musi wiedzieć wszystko?

- To pomaga.

- Dobrze więc, wytłumaczę panu wszystko wieczorem.

Bieguny mocy w Krakowie wyznaczały wieże strażnicze wzniesione dla ochrony miasta w trakcie wojny, ale także miejsca starsze, przeznaczone bogom bądź duchom przed wiekami, zanim ktokolwiek na Ziemi choćby pomyślał o inwazji Marsjan. Gdy poganie usypywali kopiec Kraka, w pobliżu którego usadowił się Nowakowski, Marsjanie podbijali inne planety, nieświadomi, że kiedyś przyjdzie im przybyć i na Ziemię. Przez wieki wznoszono i inne kopce, a najstarszym z nich był ponoć ten usypywany dla córki Kraka, królowny Wandy.

Niełatwo było do niego dotrzeć. Teoretycznie wschodnia

wieża, strzegąca Bramy Pierwszej Kadrowej, obejmowała swym zasięgiem wschodnie obrzeża miasta, jednak we wsi Mogiła prym wiodły inne moce. Stało się tam coś dziwnego. Podobno mitbomba wycelowana w te okolice samowolnie zmieniła kurs i zamiast rozpętać piekło w okolicach kopca Wandy, uderzyła w innym miejscu, wśród rozciągających się żyznych pól, z którymi nie wiązały się żadne szczególne legendy, gdzie nawet ludzi mieszkało niewiele. Zamiast jak większość mitbomb pobudzić ludzkie dusze i wydobyć z nich energię wiary, z której mogliby skorzystać szykujący się już do desantu marsjańscy bogowie bojowi, mitbomba obudziła coś swoistego, czego nie spodziewał się nikt.

Wydawało się, jakby jej energia próbowała otworzyć drzwi do innego świata. Ziemia wyjałowiła się w przeciągu kilkunastu minut, uschła większość drzew w otaczających pola zagajnikach, a ludzie pogarbili się, zmizernieli i zapomnieli o swoim dotychczasowym życiu. Porzucili prace, siadywali tylko przed domami i patrzyli w dal, mamrocząc coś o spodziewanym końcu. Gdy boski desant wreszcie przybył, zamiast czerpać energię z pobudzonej wiary zapadł w bezbrzeżny marazm. Bogowie, zupełnie jak ludzie, zmarnieli. Umniejszeni, poczerniali, zmienili się w demony o czerwonych oczach jaśniejących pod czarnymi kaszkietami. W skórzanych płaszczach snuli się wśród pól, nagabując równie ponurych tubylców, nie czyniąc im jednak krzywdy. Tak jak ludzie o swoim życiu, tak bogowie zapomnieli o swojej misji. Później odkryto, że przyjęli postać

zdumiewająco podobną do czerwonych komisarzy, jednak w 1916 roku nikt nie przeczuwał jeszcze powstania Wiecznej Rewolucji.

Wciąż można było ich spotkać. Z czasem zdiczelili i stali się niebezpieczniejsi. Wędrowali, ciągnąc za sobą watahy odmienionych na własne podobieństwo ludzi. Schwytanych nieszczęśników albo werbowali, albo pożerali. Wciąż promieniowali dziwną, zniewalającą energią, uniemożliwiając rozwój zwyczajowym boskim żerowiskom. Nie wyrosły tu niebezpieczne drapieżne lasy, nawet zwierzęta niechętnie zapuszczały się w te okolice. Grupie Kutrzeby przyszło więc wędrować przez wymarłą krainę, której krajobraz urozmaicały jedynie ponure zagajniki uschłych drzew, usypane podczas wojny wały oraz ruiny dawnych domów i posterunków.

Pośród tej pustyni istniała tylko jedna oaza zieleni, otaczająca Kopiec Wandy, który oparł się dziwnej mocy i skarłałym bogom.

Kutrzeba zamiast samochodem wyruszył konno, ku nieskrywanej uldze Czusa. Zabrał ze sobą wciąż obrażonego Jaśka oraz Grabińskiego, pijanego obecnie jak bela. Dzięki alkoholowi niegdysiejszy komisarz kolei trzymał się w siodle prosto, wzrok miał czujny, a ręce pewne.

Nie wypuszczali z rąk karabinów, w które zaopatrzył ich Nowakowski. Wyprodukowane w niemieckiej części Republiki Narodów, w zakładach należących do jednej z przejętych przez Marsjan fabryk, stanowiły najnowsze dzieło

inżynierii zbrojeniowej. Ich magazynki mieściły trzydzieści nabojów, a bijący na czterysta metrów karabin był w stanie wystrzelić i sto razy w ciągu minuty, jeśli tylko strzelec nadażył z przeładowywaniem. Wzbogacane srebrem pociski potrafiły powalić – wedle zapewnień Nowakowskiego – nawet opętanego tura, co mogło okazać się istotne, gdyby przyszło im przedzierać się przez Wiekuistą Puszcę.

Kutrzeby nie zaskoczyło, że podczas prób na strzelnicy najcelniej strzelał Grabiński. Lokował wszystkie pociski w środkach tarcz niezależnie od tego, czy oddawał pojedyncze strzały, czy opróżniał magazynek serią. W talencie strzeleckim Grabińskiego było coś nadnaturalnego, choć on sam utrzymywał, że wszystko jest kwestią praktyki.

Kutrzebie nowe karabiny nie przypadły do gustu. Doceniał ich siłę ognia, krytycznie jednak, pomimo popisów Grabińskiego, oceniał celność. Wolałby swój stary karabin Browninga, musiał się jednak zgodzić, że w spotkaniu z czarną watahą szybkostrzelna marsjańska broń najpewniej sprawdzi się lepiej.

- Czy jedziemy tam we właściwej porze? - Zapytał Grabiński, gdy nie niepokojeni przez demony zagłębili się w Mogiłę na tyle, że widzieli już zieleniejący ponad brunatną okolicą kopiec. - Zdaje się, że kilka razy do roku budzą się tam jakieś celtyckie duchy.

Jasiek przeżegnał się odruchowo. Jego gest zaniepokoił Kutrzebę. Czy mieli do czynienia z chrześcijaninem, czy chłopak wyniósł tylko z domu jeden z wielu mających

zapewnić ochronę znaków? W samym chrześcijaństwie nie było nic złego, jednak tam, dokąd jechali, taki gest nie był mile widziany.

- Nie ma tu żadnych celtyckich duchów - uspokoił Grabińskiego. - To nie wiesz, że Marsjanie nie budzili prawdziwych bogów, ale to, w co ludzie wierzyli? Tu nikt nie pamiętał o Celtach. Obudziła się tylko Wanda, która strzeże tego miejsca.

- Ja to wszystko wiem, synku - zaperzył się Grabiński. - Co to ja, nie znam zasad? Tak pytam, bo przecież różni to miejsce badali i mogli nanieść swoich teorii.

Z naukowcami, badaczami dawnych kultur, rzeczywiście wojna obeszała się najgorzej, ale i oni narobili dodatkowego zamieszania. Gdy ludzie zorientowali się, z czym mają do czynienia, armie całego świata rozpoczęły werbunek archeologów i etnografów niezależnie od wieku. Siwiuteńcy starszankowie, okopani dotąd za umocnieniami ksiąg w swoich pracowniach, trafiali do sztabów, a czasem i na pierwsze linie frontu. Tłumaczyli na wpół oszalałym oficerom, z jakimi istotami mają do czynienia i jak powinno się je zabijać bądź oswajać. Jeśli byli odpowiednio przekonujący, potrafili - natchnąwszy całe oddziały - przekształcać ożywione moce albo budzić nowe, których wygląd i zwyczaje stanowiły zwykle wypadkową uniwersyteckiej wiedzy i żołnierskich przesądów. Ukształtowane w ten sposób istoty okazały się znakomitymi, choć straszliwymi, sojusznikami przeciw Marsjanom. Swoim

twórcom przynosiły jednak niemal zawsze zgubę.

A przecież tych, którzy zginęli na froncie, ich zamykani w tajnych laboratoriach wojskowych koledzy uważali za szczęściarzy.

- Żadni naukowcy nie namieszali tu nikomu w głowach. Jeśli dotrzemy w zasięg władzy Wandy, nic poza jej gniewem nie powinno nam grozić.

- A często się gniewa ta świetlista pani? - Zainteresował się Jasiek. - My tu z niemieckimi karabinami jedziem. Nie będzie ona zła o to?

Niechęć Wandy do Niemców była przysłowiowa i stanowiła jeden z aspektów jej mocy. Nawet gdyby starożytna królowa chciała okazać nieco elastyczniejsze podejście, moc, która ją stworzyła, nie pozwoliłaby na to. Zarówno bogowie, jak i demony czy wszelkiego rodzaju potwory, byli więźniami swoich legend. Regułom baśni i opowieści musieli się podporządkować nawet bogowie przybyli z odległych planet, co stanowiło jedną z przyczyn, dla których ludzkość udało się w wojnie z Marsjanami wywalczyć remis.

- Wanda przeważnie śpi, chłopcze. I nie ma nic przeciw niemieckim wyrobom, jeśli znajdują się w polskich rękach. Pamiętaj tylko, by panować nad sobą i nie wykonywać znaku krzyża.

- Wanda tego nie lubi? - Zdumiał się chłopak. - Mnie mówili, że ona chrześcijanka.

- Wanda rzeczywiście szanuje krzyż. Ale ten, do którego jedziemy, nie przepada za nim.

Kopiec otaczała drewniana palisada, strzeżona przez uzbrojonych w kusze i prymitywne samopaly mężczyzn w zbrojach i hełmach, które pamiętały chyba jeszcze czasy piastowskie. Spod długich skórzanych płaszczy, utwardzanych na ramionach kawałkami blachy, przeświecały kolczugi, o które klekotały dziesiątki amuletów z kości, szkła, drewna, metalu i muszelek, wplecione w magiczne sznury z dziewiczych włosów bądź potworzych grzyw.

- Przynosimy pozdrowienia od pana Nowakowskiego, Strażnika Kopca Kraka - zawołał prędko Kutrzeba, nim strażnicy, zwyczajem mieszkańców skażonych ziem, rozpoczęli konwersację od ostrzelania rozmówców. - Przybywamy z ukłonami dla Jasnej Pani Wiecznej Dziewicy Wandy!

Wielki, gruby mężczyzna z literą „W” wytatuowaną na czole kazał im schować karabiny do olstrów i wjechać za palisadę z rękami uniesionymi nad głowy. Wyraźnie miał chrapkę na nowoczesną broń i chętnie nakazałby zamordowanie przybyszów. Jednak nazwisko Marsjanina i imię ojca patronki zrobiły swoje.

- Jasna Pani teraz śpi - warknął więc tylko, łypiąc na Kutrzebę nieżyczliwie, a na jego broń z nieskrywaną chciwością. - Będziecie musieli poczekać. Nie niepokoiłi was czarni po drodze?

- Nie. Aż się dziwiłem.

- Urządzili my im tu krwawą kąpiel - zarechotał strażnik. - Chodźcie, podziwiajcie, cóżeśmy dokonali. Bez waszych

cudnych strzelb, ale prawdziwą męską bronią: nożem i strzałą.

Nie zsiadając z koni, dali mu się poprowadzić ku placowi, na którym na kilkunastu palach konali czarni. Schwymano przede wszystkim ludzi, jednak Kutrzeba wypatrzył i demona. Ze spalonymi do kości dłońmi zawiązanymi nad głową, obdarty z czarnej skóry, przypominającej może płaszcz, stanowiącej jednak integralną część ciała, wił się na palu, próbując rzucać zaklęcia. Otaczający go ludzcy słudzy albo już skonali, albo opadli z sił, on wciąż walczył o życie.

- Wyrwali my gadzinie język, to se może seplenić - zaśmiał się strażnik. - Mocny jest, piąty dzień zdycha. Tak i widzicie, czemuście mieli spokojną podróż. My o to zadbali. To się nam chyba co od was należy, nie?

- Nie boicie się zemsty? - Zapytał wyraźnie wstrząśnięty Grabiński. Ku zaskoczeniu Kutrzeby Jasiek sprawiał wrażenie znacznie mniej przejętego. Owszem, przyglądał się z ciekawością demonowi, jednak nie wydawał się poruszony widokiem tak okrutnej kąpi. Być może w przekonaniu Jaśka potwory nie zasługiwały na względy.

- One się razem nie trzymają. Jedna wataha dla drugiej nic nie znaczy. Zresztą nawet jakby się wszystkie skrzyknęły, nie dałyby rady naszej Jasnej Paniencie.

Kutrzeba nie był tego taki pewny. Wanda należała do najpotężniejszych znanych mu patronów, jednak nawet ona podlegała ograniczeniom. Z drugiej strony niezachwiana wiara sług z pewnością dodawała jej sił.

- Prócz pokłonu i darów dla Jasnej Pani Wandy mamy też słówko dla Szulera. Wiecie, gdzie teraz mieszka?

- Kto?

Przygotowany na nadzwyczajne wydatki Kutrzeba sięgnął do sakwy i podał strażnikowi półkilogramową sztabę srebra. Taka jego ilość stanowiła na skażonych ziemiach niemal majątek, Kutrzeba nie zamierzał jednak oszczędzać, skoro dysponował bogactwem Marsjanina.

- Żebym skonał, nie wiem, o kim mówicie. - Strażnik jedną ręką uderzał się w pierś, drugą chował prędko skarb pod pazuchę. - Ja bym waszej wielmożności przecie pomógł. Ale nie wiem.

- Wysoki mężczyzna, długowłosa. Ślepiec.

- Taki co z dziewczuchą łązi? Pokrak?

- Pokrak - skinął głową Kutrzeba, przypominając sobie, że Szuler istotnie tak właśnie o sobie mówił. - Wiem, że tu mieszka. W którym domu?

- On? Za drugim murem. Poprowadzę was. Czego od niego chcecie?

- Pan Nowakowski ma dla niego słowo.

- Taki wielki pan posłał po Pokraka? - Strażnik pokręcił z niedowierzaniem głową. - Co to się porobiło!

Wewnętrznej części osiedla strzegły mury, wzniesione jeszcze przez Austriaków jako część krakowskich umocnień. Za nimi mieszkali tylko co znaczniejsi obywatele grodu Wandy. Kutrzebie nie spodobało się, że należał do nich Szuler. Zastanawiał się też, co mogły znaczyć słowa

strażnika o dziewczynie. O ile pamiętał, Szuler wolał samotność. Do gródka Wandy wybrał się wyłącznie po to, by ukryć się w cieniu istoty potężniejszej od siebie.

Musieli opłacić i strażnika drugiej bramy, nim ten doprowadził ich do poszukiwanego domostwa.

Ledwie przed nim stanęli, a otworzył się drzwi i wyszła z nich dziewczyna, na oko może szesnastoletnia. Kutrzeby dobiegło głębokie westchnienie Jaśka. Chłopakowi musiało się wydawać, że właśnie spotkał swoją księżniczkę.

Trudno było mu się dziwić. Dziewczyna była smukłą pięknością o włosach barwy młodego zboża i ciemnoniebieskich, prawie granatowych oczach, których głębia i smutek zatrwożyłyby każdego prócz skorego do miłosnych uniesień niedorostka. Niewielki zadarty nosek i usta jakby stworzone do uśmiechu sprawiały, że czuło się do niej odruchową sympatię, a jednak jej postawę cechowała powaga, jakiej spodziewać by się można po starszej osobie.

- Tatko mówił, że przyjdziecie - zwróciła się do Kutrzeby. -
Wszyscy jesteście mile widziani. Wejdźcie, proszę.

Kamienna chata przytulała się do muru. Wszystkie jej okna wychodziły na kopiec, wiecznie zielony i świetlisty od blasku swojej pani. Mimo to w skromnie urządzonej wewnątrz panował półmrok.

- Napijecie się, panowie, wody? Może soku z jabłek? Tutaj owoce zdrowe, czyste.

Podziękowali, usiedli przy stole, a ledwie dziewczyna przyniosła dzban i kubki, z sąsiedniej izby wyszedł Szuler.

Nie zmienił się, odkąd widzieli się z Kutrzebą po raz ostatni. Wciąż wysoki, potężny, podobny z postawy raczej do niedźwiedzia niż człowieka, ciągle się garbił i ciągle pozwalał rosnać czarnej brodzie, sięgającej mu teraz do pasa. Inaczej jednak niż przed laty, potężne brodzisko nie było już pełne śmieci, ale czyste, a nawet wyczesane. Najwyraźniej niechętny ludziom Szuler uległ urokowi dziewczyny.

- Witaj, Mirku - sapnął ponuro, tak jak miał w zwyczaju. Też zasiadł przy stole. - Wiedziałem, że nie dasz mi spokoju. Witajcie i wy, goście. Rzadko nas tu odwiedzają, to i rozumiem, że przywiodła was silna potrzeba. A ty, młokosie - wycelował wielgachny palec w Jaśka - nie wgapij się tak w moją córkę.

Jasiek zachichotał nerwowo i zaraz rozkaszał się fałszywie, próbując ukryć chichot. Za to dziewczyna zaśmiała się otwarcie, zarumieniona rzuciła: „Oj, tatku” i prędko uciekła do izby, z której przed chwilą wylazł Szuler. Po chwili dobiegły z niej przesadnie głośne odgłosy sprzątanania.

- Witaj, Szulerze. Dobrze cię widzieć w zdrowiu. I z córką. Gdyśmy się ostatnio widzieli...

- Adoptowana - przerwał mu Szuler. - I nie nazywaj mnie starym imieniem. Tutaj wołają mnie Pokrak. To słuszne, tak powinno być.

Gdy Kutrzeba odpowiedział „nie”, chata jakby zadrżała. Dziewczyna wydała cichy okrzyk i chciała chyba ruszyć uspokoić ojca, jednak drzwi od izby zatrzasnęły się przed nią.

- Tatulu! Puśćcie mnie, tatulu! - Wołała, ale Szuler, który

wolał być nazywany Pokrakiem, nie zareagował. Nie tyle wstał, co urósł nad stołem, potężniejąc ku Kutrzebie. Mrok w izbie nasilił się, przygasł nawet płynący z zewnątrz blask kopca.

- Jestem Pokrak! - Ryknął gospodarz.

Kutrzeba powstrzymał gestem sięgającego po rewolwery Grabińskiego.

- Nie takie imię dla ciebie znalazłem - odezwał się spokojnie.

- Tamtego już nie ma!

Ryk Szulera musiała słyszeć cała wioska. Wydawało się, że ucichło wszystko, tak wewnątrz chaty, jak i w okolicy. Zamilkły kury przechadzające się między domami i gadatliwe zwykle gęsi, nawet ptaki rozkrzyczane na drzewach rosnących wewnątrz bezpiecznego kręgu. Jakby świat zamarł, przestraszony grozą bijącą od istoty, którą Kutrzeba przybył rozdrażnić.

- Wiem, kim jesteś, Szulerze.

Gospodarz uniósł pięść jakby do ciosu. Grabiński nie czekał - wyciągnął rewolwery, Jasiek krzyknął.

A wtedy otworzyły się drzwi - i te, w które uderzała drobnymi piąstkami córka Szulera, i wejściowe, wpuszczając kobietę pełną blasku.

- Na kolana! - Zawołał Szuler odmienionym głosem i tym razem Kutrzeba go usłuchał.

Uklękli wszyscy przed Jasną Wandą, Zawsze Panną.

- Tacy goście przybyli w moje progi, że nie mogłam dłużej

spać – oznajmiła pogodnie. – Wstańcie, proszę. Źle rozmawia się z klęczącymi.

Posłuchali wszyscy prócz Szulera i wtulonej weń córki. Ci jeszcze niżej pochylili głowy, aż jaśniejąca patronka podeszła do nich, objęła oboje i podniosła.

Jasiek rozdziawił usta. Zapomniał już o zachwycie córką gospodarza, właśnie zakochał się po raz drugi. Mamrotał pod nosem, aż Grabiński dał mu kuksańca.

Wanda usiadła pomiędzy nimi. Cokolwiek zobaczył Jasiek, nie mogła to być twarz patronki. Choć Wanda jaśniała łagodnym blaskiem, przecież ukrywał on całkowicie rysy jej twarzy, niczym bieluchny welon pannę młodą przed narzeczoną.

- Przybywacie od strażnika mego ojca?

- Z wyrazami uszanowania i pozdrowieniami, pani. Ojciec wasz śpi, nikt go nie niepokoi. Pan Nowakowski spełnia wolę, jaką księżę przekazuje mu w snach.

- Ojciec mieszka w spokojniejszej okolicy. Szczęśliwy może spać choćby i stulecia. Proszę, przekażcie mu, że córka wciąż go kocha i stara się, jak może, wypełniać swe obowiązki.

- Dziękujemy, pani.

- Macie i dary dla moich ludzi?

- Trzydzieści kilogramów srebra, pani.

- Bardzo się przyda. Dziękuję. Zostawcie je strażnikowi przy bramie. A teraz ważniejsza sprawa. Czemu niepokoiacie mego kuzyna?

- Szykuje się wyprawa, pani. Chciałbym, by wasz kuzyn mi

w niej towarzyszył.

- On pragnie zapomnieć o swoim dawnym życiu.

- Z całym szacunkiem, pani, on nie może o nim zapomnieć.

Szuler warknął coś. Córka szybko pogłaskała go po długich włosach.

- On nie może zapomnieć o swoim imieniu, pani. Ono go...

- zawahał się.

- Oswoiło - podpowiedziała Wanda. - To miałeś na myśli?

- To słowo nie oddaje wszystkiego, pani. Ale tak. Bez niego może stać się tym, czym był niegdyś, jedynie nieopanowaną siłą, czystym gniewem.

- Nie pod moją opieką.

- To prawda, ale chcę go wyrwać spod twojej opieki, pani.

- I unikasz odpowiedzi: dlaczego.

- Wyruszam w długą podróż. Niebezpieczną. Szuler Losu będzie mi w niej bardzo potrzebny. Ale to nie wszystko. Będziemy pewnie podróżować nie tylko konno, ale i mechanicznymi pojazdami. Ktoś musi wtedy czuwać nad moim nieszczęściem, by nie doprowadziło do katastrofy. Szuler mnie zna, poradzi sobie lepiej od patronów machin.

- Mogłabym cię od tego uwolnić. - Wanda spojrzała Kutrzebie prosto w twarz, a on przez chwilę zobaczył jej oczy, duże i jasnoblękitne. Zmora zaskowyczała, jakby spojrzenie Wandy paliło ją żywym ogniem. Zadrapała szponami o duszę Kutrzeby, gotowa wyskoczyć i bić się o niego choćby i z potęgą, z którą miała niewielkie szanse.

- Nie, pani. Dziękuję, ale nie.

- Jak chcesz. - Wydawało się, że posmutniała. - Puszczę z tobą mego kuzyna, jeśli pójdzie z własnej woli.

- Nie pójdę! - Warknął Szuler.

- Jesteś mi winien przysługę - głos Kutrzeby zabrzmiał zimno, okrutnie. Nawet Wanda drgnęła od jego brzmienia.

Szuler znów się poderwał, ale opadł na ławę, powstrzymany przez córkę. Dziewczyna puściła ojca, by podejść do Kutrzeby. Położyła mu dłoń na piersi, spojrzała głęboko w oczy.

- Bardzo was to musi boleć, panie - szepnęła. - O, jak bardzo! Tutaj moglibyście żyć spokojnie, bez bólu, ale wiem, że nie chcecie. Tatku, jesteśmy mu to winni.

- Jesteśmy mu to winni - jęknął Szuler. - Niech będę przeklęty i niech on będzie przeklęty, i godzina naszego spotkania! Ruszemy z tobą, Mirku, obyś szczeł!

- Ruszycie?

- Córuchna idzie ze mną. Wszędzie.

Dziewczyna uśmiechnęła się do Kutrzeby. Niewinnie, uroczo. I z ukrytą w oczach nieokiełznaną potęgą, której nie potrafiłby się oprzeć i której nie umiał pojąć.

Rozdział 5

*listopad 1964 roku starego kalendarza, czterdziesty
dziewiąty rok Kresu, dwunasty rok Pokoju*

Potworna, przerażająca moc tamtego, ledwie co ujarzmiona, towarzyszyła mu, gdy skradał się ku twierdzy wzniesionej na głównym szlaku łączącym Lwów z Przemyślem. Przycupnięty pomiędzy pradawnymi kurhanami fort czuwał nad szlakami kolei częściowo asfaltową, a częściowo kamienistą drogą, którą zmierzali piesi i konni wędrowcy. Stacjonujący w niej żołnierze mieli doświadczenie w walce zarówno z ludźmi, jak i z demonami, toteż Kutrzeba miałby mizerne szanse, gdyby wybrał się na wyprawę sam.

Dlatego wcześniej zadbał o właściwego towarzysza.

Stwór, którego schwytał, pustoszył okolice Przemyśla od blisko miesiąca. Pełen żalu do ludzi, którzy go stworzyli, przypuszczał wściekłe ataki na cywilne i wojskowe transporty, nie bacząc na własne bezpieczeństwo. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy Przemyśl wyśle ku niemu silny, wyspecjalizowany w walce z demonami oddział. Możliwe, iż stwór tego właśnie chciał: zginąć w walce, zabierając ze sobą tylu przeciwników, ilu zdoła.

Kutrzeba spróbował dopaść go pierwszy. Istota taka bardzo by mu się przydała. Planował pierwotnie napaść na

jedno z tajnych laboratoriów, w których hodowano nowe bóstwa wedle zamówień, gdy jednak usłyszał o szalonym bogu, zmienił plany. Łowiąc oszalałe, niezależne bóstwo, nie popadał w konflikt z żadną z korporacji, mógłby nawet liczyć na nagrodę, gdyby udało mu się spreparować dowody śmierci ściganego. A dziki bóg nadawał się równie dobrze jak oswojony. Kutrzeba zaś potrzebował nadludzkiej pomocy bóstwa, które mógłby spętać zaklęciem otrzymanym od Węża.

Porywał się przecież na komendanta Twierdzy Sów, pana życia i śmierci pomiędzy Horodokiem a Medyką, słynnego generała Saczewskiego, najszybciej robiącego karierę oficera w armii Kolei Galicyjskich.

Podczas wścieklej rewolucji, kiedy władcy nowego, rewolucyjnego państwa wciąż sądzili, że uda im się eksportować zbrojnie ich pomysł na nowy świat, wówczas jeszcze major Saczewski stawił czoła zachodzącej Pierwszą Armie KG watasze zjednoczonych pod czerwonym sztandarem wilkołaków. Uratował całą armię, związaną walką z dwoma dywizjami opętańców wiedzionych przez nieumarłego komisarza, i awansował do stopnia pułkownika. Za rajdy, jakie urządzał na terytoria Wiecznej, już po dwóch latach otrzymał tytuł generalski. Powiadano, że Koleje i wolne miasta galicyjskie w znacznej mierze zawdzięczały zawarcie pokoju właśnie temu człowiekowi. Nie było od Kijowa po Kraków ludzi, którzy nie wielbiliby jego imienia.

Kutrzeba zamierzał go zabić.

Tropił dziczejącego boga przez blisko miesiąc. Zdawałoby się, że nie powinien mieć problemów z odnalezieniem bestii szukającej śmierci i nie gardzącej żadnym łupem, a jednak w skażonych puszczech, pełnych najprzeróżniejszych potworów, odnalezienie jednego z nich, konkretnego, nie było wcale proste. Zmuszony do ukrywania się bądź toczenia zajadłych pojedynków na wrogim wszystkim co żywe terytorium, Kutrzeba zaczął tracić nadzieję. Kończyła mu się amunicja, był też coraz bardziej wyczerpany. Zmora niejednokrotnie ratowała mu życie i pomagała uporać się ze zmęczeniem, wiedział jednak, że przyjdzie mu za to zapłacić, gdy dotrze do cywilizacji. Oszukiwany mocami organizm musiał w końcu odchorować nadmierny wysiłek.

Po całym tygodniu pecha szczęście uśmiechnęło się do niego nareszcie w niedzielne południe, gdy zmierzał do traktu wiodącego ku Medyce. Tam właśnie znalazł tak długo tropionego potwora. Dziki bóg dopadł karawanę kupiecką i napawał się jej zagładą. Chował się w gęstym leśnym poszyciu, by spadać na wozy, rozszarpywać je i znów umykać w las, ścigany ogniem strażników. Ludzie walczyli mężnie. Musieli być przerażeni, z pewnością słyszeli opowieści o bogu-zbójcy. Wiedzieli, z kim mieli do czynienia i jak niewielkie były ich szanse.

Krąg wozów ział już trzema wyrwami, gdy zdyszany Kutrzeba dobiegł wreszcie na miejsce walki. Ktoś z obrońców dostrzegł go, zwołał do pozostałych o możliwej odsiecz. Kutrzeba szybko wydobyl z sakwy zawiniątko

zakupione u Węża, ale zamarł, nim zdążył je cisnąć w ponownie szarżującego boga.

Nie! – Szepnęła zmora w jego duszy. *Nie teraz!*

- Zginą! – Szarpnął się.

Tak trzeba. Co będzie, jak zostawisz świadków? Myślisz, że go nie dobiją?

Jeszcze raz uniósł rękę i opuścił ją. Ukrył się, czekając na jedyny możliwy koniec walki. Zaciskał zęby, by nie krzyczeć, i ranił zwiniętą w pięść dłoń, uderzając nią z całej siły w drzewo. A kiedy wszyscy zginęli i jeden potwór oddał się rozpuszczeniu zniszczenia, drugi potwór wyszedł z ukrycia i cisnął weń czarem spętania.

Nie jesteś potworem – szeptała czule zmora. - *Tak trzeba.*

Nie słuchał jej. Rzucił się na spętanego boga, patrzącego nań otępiałym, zdumionym wzrokiem, i okładał go ze wszystkich sił, aż padł na bezbronne boże cielsko, płacząc i złorzeczając tak sobie, jak i jemu.

Działo się to dawno temu, gdy obaj – bóg i on – byli inni i mimo wszystko bardziej niewinni.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

- Dwieście lat temu – głos Nowakowskiego brzmiał uroczyście, stosownie do chwili, gdy stojąc na dziobie okrętu, przypatrywali się oddalającemu się miastu. - Ostatni raz

odlatywałem z portu dwieście lat temu, na czele dwunastu okrętów zwiadu. Każdy z nich mierzył trzysta metrów długości i był w stanie gasić słońca, gdyby zaszła taka potrzeba.

Kutrzeba słuchał go, choć robiło mu się słabo ze strachu. Widział i spotkał już w życiu wiele, nigdy jednak nie kazano mu wsiąść do pojazdu unoszącego się wśród chmur. Owszem, dążył do tego, zaplanował wszystko tak, by dostać się właśnie tutaj i sprowokować tamtego do działania, na które inaczej by się nie poważył. Czym innym jednak jest planować, a czym innym doświadczyć efektów planowania i znaleźć się na największym potworze, jaki wzbił się nad Ziemię, odkąd marsjańskie okręty spadły z nieba.

Sama gondola tego cholerstwa mierzyła ponad trzydzieści metrów długości. Zawieszono ją pod srebrzystym balonem, różniącym się od balonów w innych sterowcach spłaszczonym kształtem, który miał podobno sprzyjać większej zwrotności pojazdu. Kutrzeba chętnie zapaliłby teraz papierosa, fajkę czy choćby cygaro, ale palenie na pokładzie „Batorego” było surowo wzbronione. Wprawdzie balon wypełniono helem, a nie jak w przypadku wielu innych sterowców wodorem, ale śmigła powietrznego statku napędzały spalinowe silniki zasilane benzyną. Pełne jej beczki, starannie zapieczętowane, tuliły się do siebie nieopodal maszynowni na dolnym pokładzie. Teoretycznie chroniły jej tak technologia, jak i magia, jednak Nowakowski nie zamierzał ryzykować. Jego ostrożność wzbudzała w

Kutrzebie zabarwione nerwowością rozbawienie. Marsjanin obawiał się papierosa, a nie przeszkadzało mu, że ma na pokładzie jego - nosiciela nieszczęścia gwałtownie reagującego na wszelkie pojazdy mechaniczne!

- Strzegą nas potężne amulety - upierał się Marsjanin. - Strzeże nas pański ponury patron oraz patroni „Batorego”. I na sam koniec: strzeże nas Mioczka.

Mioczka - wiecznie uśmiechnięte pacholę bliżej nieokreślonej płci, które zostało opętane przez konglomerat wytresowanych duchów i stanowiło przedmiot dodatkowego niepokoju Kutrzeby. Nie przepadał za eksperymentami tego rodzaju. Starał się unikać Mioczki. Jak na złość kapitan „Batorego” koniecznie chciał się z nim zaprzyjaźnić, być może wyczuwając pokrewną, bo opętaną duszę. Możliwe też, że to Nowakowski nakazał mu uważać na zagrożenie, jakie niosło przekleństwo Kutrzeby.

- Lecieliście tu dwieście lat? - Zapytał, by zająć wyobraźnię czymś innym niż widok zbyt szybko i nieodwracalnie malejących drzew, torowiska i pociągu. Wydawałoby się, że po tym, jak wystartowali znad Krakowa, powinien przywyknąć do takich widoków. A jednak drugi start nic nie zmienił. Znow wznosili się zbyt, jak na jego gust, szybko i zbyt, jak na jego gust, wysoko.

- A to tylko z placówki inwazyjnej. Z mojej ojczystej planety do Ziemi jest jeszcze dalej. Podbój wszechświata to zajęcie wymagające wyrzeczeń.

- Więc po co to wszystko?

- Podbija pan inne światy, by samemu nie zostać podbitym, panie Kutrzeba. Przede wszystkim jednak chodzi o zasoby, o energię waszej wiary. Wciąż nie wykorzystujecie nawet trzech jej procent! Proszę pomyśleć, co bylibyśmy w stanie zrobić, korzystając z niej w pełni.

- Jestem w stanie wyobrazić sobie, co zrobilibyście z nami. Te trzy procent omal nie zniszczyło całego świata.

- Doprawdy, przemawiają przez pana uprzedzenia! Przecież to nie my rozpętaliśmy wojnę. Przylecieliśmy tu złożyć waszym rządóm bardzo atrakcyjną propozycję. A wy przywitaliście nas ogniem z armat.

- Bardzo atrakcyjna propozycja dotyczyła poddania się wam bez walki, jak rozumiem?

- Stracilibyście nieco suwerenności, to prawda. Ale zyskalibyście wszechświat. Nigdy nie dziwiło pana, że Marsjanie, jak nas nazywacie, różnią się między sobą?

- Każdy po swojemu przystosowuje się do życia tutaj, prawda?

- Istotnie. Jednak prócz tego jesteście przedstawicielami wielu ras. Ci, którzy dołączali do nas, zyskiwali przywileje.

- Inaczej patrzymy na te sprawy.

- Żałuję tego. Wszystko tutaj tak się marnuje! A ja - Nowakowski uśmiechnął się, choć w jego głosie pojawiła się gorycz - dumny oficer inwazyjnej floty, musiałem ukraść ten prymitywny statek powietrzny!

„Batory”, jak wytłumaczył Kutrzebie dzień wcześniej, powstał w wyniku wspólnego projektu kilku inwestorów, z

których Nowakowski nie był wcale największym. Co więcej, działał skrycie, ukrywając się za podstawionym agentem, udającym nowobogackiego przybysza z południa, który zdobył majątek na spekulacjach srebrem i klejnotami. Twórcy sterowca starali się ukrywać projekt przed Marsjanami. Należąc do stronnictwa radykałów, żywili przekonanie, że ludzkość powinna odbudowywać przemysł niezależnie od najeźdźców, a także samodzielnie dokonywać odkryć naukowych i technicznych, by nie uzależnić się od obcych. Ludzcy radykałowie coraz głośniejszymi wyrażali zaniepokojenie przejmowaniem przemysłu czy uniwersytetów przez Marsjan i za nic mieli tłumaczenia, że właśnie niegdysiejsi wrogowie dysponują najdoskonalszą wiedzą oraz doświadczeniem i że to właśnie oni mogą dźwignąć ludzkość z upadku. Spory trwały od lat i z klubów dyskusyjnych, a także posiedzeń zarządów korporacji, przenosiły się na salony polityczne, a z nich na ulice. W większych miastach zdarzały się manifestacje łatwej do podburzenia biedoty, bywało, że marsjańskie fabryki podpalano, a nawet napadano na samych Marsjan. Dlatego właśnie Nowakowski wolał zachować incognito, choć projekt sterowca bardzo go zainteresował.

- Spójrzcie, panowie! - Zachwalał zdobyczą, oprowadzając po niej nowych członków załogi. - Balon wypełniono helem w miejsce wodoru, dzięki czemu nie grozi nam wybuch gazu, który był takim utrapieniem pierwszych zdobywców przestworzy! Uszyliśmy go z debrodytu, ostatnich

dostępnych na tym kontynencie zapasów niemal niezniszczalnego marsjańskiego materiału. Cztery spalinowe silniki zdolne są stawić czoła nawet wichurze i nieść nas na przekór kaprysom pogody! Czy nie jest to prawdziwie doskonale dzieło inteligentnego i cywilizowanego umysłu?

Córka Szulera przyglądała się wszystkiemu z szeroko otwartymi z zachwyty oczami, nie zauważając nawet, że Jasiek w ten sam sposób przyglądał się jej. Kutrzeba pozostawił ich oboje pod opieką Grabińskiego. Skorzystał z okazji, że Szuler został sam, i odwiedził go w jego kajucie.

- Są z nami obcy - oznajmił Szuler. - Powinniśmy przeszukać okręt.

- Mioczka nic nie wyczuł - zaprotestował Kutrzeba.

- Mioczka to bałwan. Trudno się temu dziwić, skoro ma we łbie dwanaście duchów. W dodatku tak się skupia na tłumieniu twojego nieszczęścia, że prawie nic poza nim nie dostrzega. Nie powinieneś był zabierać mnie na tę wyprawę, Mirku. Nie powinieneś się był w nią sam wybierać. Mam złe przeczucia.

- Zawsze masz złe przeczucia.

- I prawie zawsze się sprawdzają. Wtedy też tak było, tego dnia, gdy mnie schwytałeś. I potem, tamtej nocy, pamiętasz? Pamiętał.

*listopad 1964 roku starego kalendarza, czterdziesty
dziewiąty rok Kresu, dwunasty rok Pokoju, Twierdza*

Sów

- Mam złe przeczucia - szepnął bóg, którego Kutrzeba z pomocą Baby Jagi przez dwa miesiące przystosowywał do nowej roli. Początkowo ujarzmiane bóstwo czuło się wściekle niewygodnie w nowym imieniu, na odmienny sposób kształtującym jego relacje z wszechświatem. Chętnie zerwałoby te więzy, chętnie opętałoby albo i zabiło tych, którzy je nałożyli. A jednak nie mogło. Istniały zasady, wedle których ten podły człowiek, który je spętał i pobił, wtedy, na drodze, wyświadczył mu więcej niż jedną przysługę.

- Darowałem ci życie - wrzeszczał pośrodku pobojuwiska. Nie otarł łez, a może otarł, ale wciąż płakał? Bóg nie wiedział. Oszołomiony i obolały, znów stracił panowanie nad postrzeganiem rzeczywistości i nad własnym losem. - Darowałem ci je, a zaraz i je uratuję, zabierając cię stąd. Staniesz się kimś innym, kimś, kogo nie będą ścigać za zbrodnie dzikiego boga. To już trzy przysługi. A czwartą będzie twoje nowe imię.

„Nie chcę twoich przysług” - tak pragnął mu wtedy odpowiedzieć, ale nie mógł, bo nałożone więzy to uniemożliwiały. Nie potrafił także i dlatego, że sparaliżowało go zdziwienie światem ujrzanym na nowo. Ledwie zyskał świadomość w podziemiach przeklętego laboratorium, gdzie stworzono go z nadziei i modlitw skrzywdzonych wiernych spragnionych swojego boga, a już starał się wyrwać z niewoli ich rozpacz. Zamiast tego zapadał w nią coraz głębiej.

Przetrzymywani w celach więźniowie i ochotnicy zgromadzeni w podziemnych kaplicach wyczuli jego obecność i zwielokrotnili błagania. Wojskowi naukowcy pompowali weń energetyczne sploty ukierunkowanej wiary, próbując stworzyć istotę niemal wszechmocną. Uczył się modlitw osamotnionych wiernych, uczył się i wiary ludzi nauki. Wysłuchiwał ich racjonalistycznych litanii, wysysał z umysłów i dusz nadzieje na spełnienie marzeń o maszynie doskonałej, o bogu-mechanizmie, ogromnym, potężnym i spętanym. Straszliwym i miłosiernym. Stworzonym na kształt i podobieństwo bóstwa, które nie zstąpiło na Ziemię, gdy zewsząd przybywało tylu dawno pogrzebanych bogów. A gdy uznał, że stał się wystarczająco silny, zabił ich wszystkich i uciekł z tamtego ponurego miejsca.

Uciekał nie tyle przed nimi, co przed sobą. Zdawał sobie sprawę, kim przede wszystkim nie był - spełnieniem ich planów, czystym owocem modlitw. Stał się pokraką, nieudanym eksperymentem, jeszcze jedną ułudą wyobraźni niepotrzebnie zmaterializowaną przy pomocy okrutnej technologii Marsjan. Uciekł w skażone terytoria, by tarzać się w ich zepsuciu, by nasiąkać ich dzikością, by popaść w szaleństwo i zapomnieć o wszystkich planach, jakie z nim wiązano. I by zapomnieć o własnej tęsknocie za ich miłosiernym spełnianiem.

Był jeszcze nieukształtowany, jeśli nie liczyć rozpaczliwego pragnienia ucieczki i stoczenia się w spokojną, bezbolesną nicość. Zabijał w napadach pogłębiającego się szaleństwa,

tracąc powoli osobowość i nabierając cech żywiołu, jeszcze jednej chaotycznej formy energii, której pełne były skażone ziemie. Aż tamten człowiek dopadł go i przytłoczył wszystko jednym oślepiająco jasnym pragnieniem, które bóg pojął w chwili kontaktu ze swoją mniejszą siostrą mieszkającą w duszy mężczyzny. Leżał więc pobity, słuchał jego słów i spoglądał na świat inaczej niż kiedykolwiek wcześniej. Rozumiał już wtedy to, czego tamten nie zdołał pojąć do tej pory: że zostali połączeni na zawsze, chyba że zabiłby mężczyznę. Ale wiedział też już, że nie będzie w stanie go zabić.

- Porywasz się na potężnego człowieka - szepnęła wiele dni później, przyczajony w cieniu magazynu żywności Twierdzy Sów.

- Wiem, jak zdobył tę potęgę - warknął Kutrzeba. - Dziś zapłaci za nią prawdziwą cenę.

- Ruszajmy więc - poddał się bóg, który nigdy dotąd nie wypróbował w akcji swoich nowych możliwości zamkniętych w imieniu. Czuł ciekawość. Choć wolałby nie dzielić z mężczyzną niepokojącej więzi, jaka narodziła się między nimi na drodze, gdzie pył i krew wymieszały się ze sobą, przepełniało go podniecenie towarzysza. Uległ mu chętniej, niż gotów był przyznać.

Ruszyli i tej krwawej nocy Kutrzeba przemykał się między domami pełnymi żołnierzy, a Szuler Losu odwracał powiewy przeznaczenia tak, by przypadek pracował na rzecz zabójcy. Dzięki opiece boga każdy szelest, który mógłby Kutrzebę

zdradzić, gasł albo odwracał uwagę strażników. Gry cieni pod gazowymi lampami i pochodniami zatykanymi przy ogrodzeniach zgrywały się z krokami skradającego się mężczyzny, a mimowolna ciekawość, pobudzana nagłym powiewem wiatru bądź złudnym odgłosem z głębi lasu, wiodła strażników daleko od niego. Aż wreszcie Kutrzeba wtargnął do domu generała Saczewskiego, bohatera wojny z Wieczną Rewolucją, zabił dwóch jego strażników na parterze, zabił jego przebudzonego adiutanta na schodach i zabił kochankę generała na piętrze. A potem zwarł się z samym generałem, nabrzmiałym od potężnej mocy ofiary złożonej z kilkuset ludzi ledwie dwa lata wcześniej.

Bóg, którego wtedy nakarmili w sześciu, od tego czasu wspierał generała, w krótkim czasie robiąc zeń bohatera. Jednak tej nocy nie było go przy nim. I wszystkie tatuaże ochronne, amulety i talizmany, litanie i zaklęcia, których bóg nauczył swych najbardziej oddanych wiernych, nie zdały się na nic, gdy naprzeciw niego stanął mężczyzna gnany żądzą zemsty. W jego duszy mieszkała zmora starodawnej krwawej wróżdy, a każdy cios wspierało bóstwo odwracające sprzyjający Saczewskiemu los przeciwko niemu samemu.

- Stało się tak, jak się obawiałem - odezwał się ponuro Szuler Losu, gdy uciekli z Twierdzy Sów i zmierzali w stronę Lwowa. Las huczał o ich triumfie. Żaden drapieżnik nie odważył się zastąpić im drogi, czmychały przed nimi nawet widma.

- Przecież nam się udało! - Zaprzeczył Kutrzeba. -

Poradziłeś sobie! I nie spełniły się żadne twoje złe przeczucia!

- Wręcz przeciwnie - potrząsnął głową bóg. - Spełniły się wszystkie, właśnie dlatego, że ci się udało. Ten był pierwszy, prawda?

- Ten był pierwszy! - Zawołał w uniesieniu Kutrzeba.

- Od teraz nie będziesz już mógł się cofnąć.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

- Nadal nie chcesz? - Zapytał Szuler. - Wiem, że nie możesz, ale czy nadal nie chcesz zaniechać rozlewu krwi?

- Zostało trzech. Trzech najgorszych. Wiesz, że zrobili to jeszcze dwa razy? Doprowadzili do dwóch katastrof, by nakarmić śmiercią swego prywatnego patrona.

- A dlaczego tak zrobili?

- Ze strachu przede mną - przyznał Kutrzeba. - Wiem o tym. Ale to oni decydują. Nie jestem winien tamtych śmierci.

- Nie jesteś winien - zgodził się bóg. - Powiedz mi, Mirku, czemu mi się zdaje, że ta wyprawa jest szczególna?

- Muszę zdobyć fundusze. I przyjaciół. Nie zbywa mi ani na jednym, ani na drugim.

- Tylko tyle? Liczysz, że Nowakowski będzie cię wspierał?

- Może mu się to opłacić, prawda? Występuję przeciw jego konkurentom.

- Nie zrozumiesz Marsjanina, Mirku. I nie powinieneś mu ufać.

- Zbyt wiele czasu spędziłeś w ukryciu. Świat się zmienia. Marsjanie stali się jego częścią, układają sobie tu życie.

- I twoim zdaniem nie marzą o powrocie do domu? Czyżbyś zrobił się durniejszy od Mioczki?

- Do nich leci się dwieście lat.

- Oni się nie starzeją. Nie umierają, jeśli ich nie zabijesz.

- Stracili wszystkie okręty. Nie mają jak wrócić. Jedyne, co mogą zrobić, to wspierać nas w rozwoju tak, byśmy sami nauczyli się budować kosmiczne okręty. Wtedy, może, wrócą do siebie. Ale my będziemy gotowi, jeśli postanowią jeszcze raz spróbować podboju. Nie, przyjacielu, nie boję się Marsjan.

- Cóż, w takim razie bój się choć ludzi. Na przykład tej dwójki obcych, która wtargnęła na pokład. Zdaje się, że ukradliśmy ten pojazd, prawda? Myślę, że nasi pasażerowie na gapę mogą nie mieć dobrych zamiarów.

- Gdzie ich znajdę?

- A bo ja wiem? Poszukaj ich, Mirku. A ja trochę pomogę twojemu szczęściu. Rozglądaj się uważnie, a ich znajdziesz.

Drugi

Rozdział 1

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

Dobrze jest czasem zadrzeć głowę w górę i spojrzeć na Wawel, ten zamek duchów, twierdzę, której nigdy nie zdobyli ani Marsjanie, ani cienie. Patrzenie na Wawel napełniało serca ludzi pewnością i śmiałością – oto istniała opoka, na której zawsze mogli się oprzeć! Zamek strzeżony przez duchy królów nie uległ żadnemu najazdowi.

Kutrzeba musiał go zdobyć.

Królowie kierowali się własną moralnością, przekraczającą rozumienie maluczkich. Nie zainteresowałyby ich racje mściciela, gdyby spróbował ich przekonywać, że powinni odmówić ochrony człowiekowi, który całą swą potęgę i władzę opierał na daninie krwi złożonej bóstwu spragnionemu śmierci. Patron prezesa Banku Galicyjskiego nie miał może wstępu na zamek, ale ludzcy i demoniczni strażnicy otoczyli potężnego człowieka własną ochroną. Królowie doceniali jego możliwości i dokonania na rzecz wzmocnienia Krakowa. Akceptowali cenę, nawet jeśli była nią śmierć maluczkich, w tym żony i dzieci Kutrzeby. Monarchowie nosili własne ciężary i spoglądali na świat w odrębny sposób, tak za życia, jak i po śmierci.

- To niemożliwe - ocenił Szuler Losu. - Nawet z moją pomocą. Moc zmarłych strzeże murów, po których dzień i noc chodzą patrole żywych strażników. Strażnicy są też na dziedzińcu. A Baszta Złodziejska, w której ulokowano siedzibę i skarbiec banku, ma własnych patronów i strażników.

- Mógłbym tam dotrzeć przez jamę - zaproponował Kutrzeba.

- Obok tego bydlęcia? Nawet strażnicy tam nie wchodzi, choć jest podobno oswojony. Nie dasz rady. Tam jest ciemno i - wbrew pozorom - ciasno. Pożarłby cię. A nawet gdybyś mu się z moją pomocą wymknął, to podniósłby taki raban, że przy wyjściu czekałaby na ciebie cała straż miasta.

- Znajdę sposób.

- Poczekaj, aż opuści teren zamku.

- Nie opuścił go od ponad dwóch lat. Odkąd usłyszał o śmierci tamtego.

- Zrobiłeś na nich wrażenie, Mirku. Ale nawet ty nie dopadniesz go na Wawelu. Musisz znaleźć sposób, by wywabić go na zewnątrz.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

- Wyłazić! - Zawołał Kutrzeba, stojąc nad jednym z dwu magazynów paliwa. Cuchnęło zeń benzyną, jakby któraś z

beczek okazała się nieszczęlna, choć towarzyszący mu Mioczka zapewniał, że to niemożliwe. Minę miał przy tym jednak niewyraźną, na ile Kutrzeba umiał ocenić wyraz twarzy kilkuletniego dziecka dzielącego duszę z wyspecjalizowanymi demonami.

Wedle zapewnień opętanego kapitana wspomaganego przez Szulera pasażerowie na gapę schowali się właśnie tam. Kutrzebie towarzyszyło trzech uzbrojonych członków załogi, a i on trzymał odbezpieczony pistolet. Zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli tamci chcieliby wysadzić sterowiec, wystarczy im zapałka. Pozostawało wierzyć, że w razie czego Szuler zdoła tak pokierować przypadkiem, by zapałka nie chciała się zapalić bądź by płomień zgasł natychmiast. Nie bardzo mogli i nie chcieli strzelać w tym miejscu.

- Wyłazić! - Powtórzył. - Wiemy, że tam jesteście. Nie psujcie mi dodatkowo humoru i nie każcie po was wchodzić!

- Spokojnie! Wychodzimy! - Odezwał się wewnątrz donośny, niski głos. Kutrzebie wydał się znajomy. Mimo to, gdy stanął przed nim łysy wielkolud, którego pamiętał z podgórskiej knajpy, poczuł się równie zaskoczony jak inni. I jak inni cofnął się o krok.

Wraz z magią, stanowiącą specyficzną odmianę energii wiary, na świecie pojawiły się i magiczne istoty, a wśród nich olbrzymy i wielkoludy. O ile olbrzymy były dziećmi wiary, iż przed wiekami, w złotej erze świata, to oni rządzą Ziemią, pochodzenie wielkoludów było bardziej skomplikowane i naukowcy spierali się o nie cały czas. Olbrzymy sięgały

wzrostem i piątego piętra kamienic, natomiast wielkoludzie osiągnęli rozmiary stosunkowo niewielkie, bo nie przekraczali czterech metrów wzrostu. Ten, który zakradł się na „Batorego”, należał do wielkoludów przeciętnego wzrostu, liczył na oko trzy i pół metra i pewnie musiał się męczyć w ciasnocie magazynu. Nie bacząc na wycelowaną w siebie broń, przeciągał się na oczach zdumionej załogi i masował obolałe mięśnie. Za jego plecami kryła się Cyganka, którą Kutrzeba także zapamiętał z knajpy.

Nie musiał się długo zastanawiać, komu zawdzięczają nadliczbowych załogantów.

- Za burtę z nimi! - Poleciał Mioczka.

Wielkolud warknął groźnie, Cyganka wysyczała coś, co przypominało przekleństwo.

- Hola! - Zawołał Kutrzeba, wkraczając między wyraźnie zaniepokojonych ludzi Nowakowskiego a pasażerów na gapę.

- Wstrzymaj się, Mioczka! Niech pan Nowakowski zadecyduje.

- Ja tu kapitan! - Napuszył się nawiedzeniec.

- Ta jędza zaraz rzuci na statek klątwę. Chcesz tego? Leć po pana Nowakowskiego, i to już! A ty, paniusiu, pamiętaj, że strzelę ci w łeb, jeśli jeszcze raz usłyszę takie syczenie. Rozumiesz?

Skinęła głową i nawet spróbowała uspokoić wielkoluda.

- Ty. - Kutrzeba wskazał jednego z członków załogi. - Leć po Jaśka, wiesz, tę łazęgę.

Nowakowski i Jasiek przybyli równocześnie. Ten pierwszy

wyraźnie zaniepokojony, a drugi przeciwnie, rozradowany.

- Burzymur! - Zawołał radośnie i za nic mając procedury bezpieczeństwa czy choćby zwykły rozsądek, dopadł wielkoluda i rzucił mu się na szyję. - Przyjacielu!

Wielkolud wyraźnie rozchmurzył się na widok chłopaka. Objął go i przycisnął do wielkiego cielska, aż człowiekowi zatrzeszczały żebra. Także wyglądająca zza wielkoluda Cyganka uśmiechnęła się.

- Taki już dar tego głupka - westchnął Kutrzeba. - Panie Nowakowski, wygląda na to, że mamy dwóch dodatkowych członków załogi.

- Taki balast! - Pisnął Mioczka. - Za burtę ich! Za burtę!

- Najpierw dowiedzmy się choć, jak oszukali twoje superczułe kapitańskie zmysły - nie darował mu Kutrzeba, nie przejmując się nienawistnym spojrzeniem posłanym przez nawiedzeńca. Przywykł już, że łatwiej zdobywał wrogów niż przyjaciół. - Panie Nowakowski?

- Do mojej kajuty - zadysponował Marsjanin. - Natychmiast. Ty, Mioczka, pan, panie Kutrzeba, i Jasiek z przyjaciółmi!

- Zbyt się oddaliliśmy od Krakowa, aby ich tam z powrotem odstawić. - Marsjanin rozparty w przystosowanym do jego ciała fotelu przypatrywał się Burzymurowi i jego towarzysze spod przymrużonych oczu. Jak uważał, nadawało to jego przetworzonej twarzy wyrazu

skupienia i powagi, ale i podejrzliwości. – Nie stać nas też na marnowanie czasu i lądowanie po drodze. Mamy więc dwa wyjścia. Albo posłucham sugestii Mioczki, albo udowodnią mi państwo, że nie tylko nie zagrażają wyprawie, ale wręcz mogą okazać się w niej przydatni.

– No ba! – Wielkolud wydał pierś.

– W pańską przydatność, panie Burzymur, akurat nie wątpię. Niepokoją mnie pańskie intencje. Przede wszystkim proszę wyjaśnić, jak się tu państwo dostali?

– Ja i Burzymur jesteśmy braćmi krwi. – Jasiek odezwał się, nim ktokolwiek zdążył go wyprzedzić. – On mnie broni i zawsze wie, gdzie jestem. To i mnie znalazł. Ja się nigdy wcześniej od niego nie oddalałem, miałem mu rzec, co i jak, ale wszystko działo się tak szybko...

– I nie mogłeś mnie o tym powiedzieć? – Warknął Kutrzeba.

– Wy, panie... – Chłopak opuścił głowę. – Jesteście złym człowiekiem. Ja się was boję.

– Tak i wyczułem – zagrzemiał Burzymur. – Że się bratkowi źle dzieje. My tu przyszli po niego, ale nielekkko na tym waszym statku się schować. A jeszcze czasu brakowało.

„Batorego”, budowanego w hangarze niedaleko siedziby Marsjanina, wykradli w ostatniej chwili, gdy już wszyscy uczestnicy wyprawy popakowali bagaże, a Nowakowski ogłosił, że wyjeżdża i z pompą wsiadł do prywatnego pociągu uwożącego go ku Przemyślowi. Nieważne ilu by za nim nie ruszyło szpiegów, wszyscy musieli być zdziwieni, gdy ledwie

po kilku godzinach przesiadł się do sterowca. Sama kradzież przebiegła płynnie i bez awantur, ku ogromnemu rozczarowaniu Jaśka.

Dorożkami zawieziono ich pod bramy hangaru ulokowanego w przebudowanych poaustriackich fortach pod Kopcem Kraka. Oficjalnie budowle te nie należały do Nowakowskiego, Marsjanin udał nawet, że stoczył o nie przegraną walkę z przedstawicielami Jakubowskiego, przekonanego, że zajmując umocnienia w sąsiedztwie siedziby Marsjanina, rozzłości go. W rzeczywistości Nowakowski chętnie pozwolił przeciwnikowi na to drobne zwycięstwo. Tym chętniej, że w ukrytym przed wścibskimi oczami hangarze, zakamuflowanym jako magazyny, pracowali nadal w większości jego ludzie. Nawet Krak współpracował w tajemnicy z Marsjaninem, co zapewne nie mieściło się w głowach radykałom, przekonanym, że ludzcy bogowie i herosi nie zhańbiliby się sojuszem z obcymi. O ile jednak dawni specjaliści zachowali pracę, strażnicy strzegący ukrytej w forcie fabryczki zostali zatrudnieni przez nowego właściciela. Nawet Kutrzeba nie był pewien, czy nie dojdzie do walki.

Prowadzący załogę Czus po prostu okazał dokumenty, z których wynikało, że byli inspektorami przysłanymi z Wiednia na kontrolę. Nawet gdy startowali, nie wzbudzili niczyjego niepokoju, Kutrzebie wydawało się zresztą, że Marsjanin strażników albo przekupił, albo zaczarował. Przeglądali dokumenty pobieżnie i szybko odwracali wzrok

na moment przed tym, gdy dało się dostrzec, że narzędzia „mechaników” mają lufy.

- Rozumiem, że to pani pomogła panu Burzymurowi - zwrócił się Nowakowski do Cyganki. - Proszę mi wybaczyć, ale wciąż nie poznałem pani godności.

- Sara. Po prostu Sara, panie Nowakowski. Nie znam rodziców, chowały mnie skrzaty i wilki, nim ten tu - wskazała Burzymura - znalazł mnie po takiej jednej obławie. Potem chciał mnie król do taboru, ale ja już nie dla ludzi. Ten tu mi brat.

Wielkolud westchnął nie jak potencjalna maszyna do zabijania, ale zakochany nastolatek. Pamiętający jego poetyckie uniesienie Kutrzeba uśmiechnął się mimowolnie. Najwyraźniej nie o siostrzanej miłości Cyganki marzył Burzymur.

Trudno było mu się zresztą dziwić. Ilu lat nie miałyby Sara, wciąż zachowała dziewczęcy wdzięk i urodę. Jej czarne oczy iskrzyły urokiem, który niejednemu potrafiłby zawrócić w głowie, na pełnych ustach błąkał się zalotny uśmiech. Poruszała się z wdziękiem wychowanej wśród zwierząt i duchów dzikuski i emanowała tajemniczą zmysłowością charakterystyczną dla ludzi, którzy więcej czasu spędzili wśród przedstawicieli nadnaturalnych ras niż z własnym gatunkiem. Ubrana lekko i kolorowo, nie kryła gęstych czarnych włosów pod czepcem, ale spięła je i powpinała w pukle amulety z kory i drewna.

Cała jej biżuteria dowodziła, że wychowała się w skażonym

lesie: liczne bransolety, a nawet kolczyki, miała nie ze srebra bądź złota, ale z drewna i kamienia, tak jak nauczyły ją skrzaty i leśne duchy. Najpewniej znała magię. Przy jej pomocy bez trudu potrafiła odmienić wygląd Burzymura, a może nawet uczynić go niewidzialnym, dzięki czemu niezauważeni wdarli się na pokład sterowca, gdy wykradali go ludzie Nowakowskiego. Kutrzeba pamiętał jednak, że w knajpie wróżyła z kart. Nauczyła się więc także trochę magii swoich ludzi i chyba nie pozostawała do końca szczerą, twierdząc, że trzymała się z dala od ludu taborów.

Niewiele wiedział o ich magii i wierzeniach. Jakich bogów czcili, kogo wybierali sobie na patronów?

- Twoje imię - zapytał, przypominając sobie coś o „Czarnej Sarze”, o której słyszał pod Kielcami, nim go powieszono w tym zacnym mieście. - Skąd się wzięło?

- Skrzaty mi je nadały - odpowiedziała, patrząc na niego z wyraźną niechęcią. - Śmiały się, a ja nie wiedziałam, czy ono coś znaczy, czy nie. A ty, *mulo*, uważasz, że każdy Cygan gorszy, że tak do mnie przez „ty” mówisz?

Zmora poruszyła się w nim niespokojnie, gdy Sara nazwała Kutrzebę tym dziwnym słowem. Cyganka jakby to dostrzegła, bo cofnęła się, wyraźnie przestraszona.

- Dobrze mówił Jaśko! Ty jesteś zły człowiek - szepnęła.

Wyrwę jej te oczy. - Nawet groźby zmora wypowiadała uwodzicielskim tonem. Wszystko, co wiązało się z śmiercią i przemocą, było dla niej niczym łakocie.

„Jeszcze nie teraz. Proszę”.

Zamruczała w nim, łasząc się. Czasem zastanawiał się, czy naprawdę potrafił ją okiełznać, czy nie igrała z nim i nie flirtowała za każdym razem, kiedy tak mu się wydawało.

Nowakowski uznał za stosowne odchrząknąć. Zapewne dostrzegał i wyczuwał więcej niż ludzie, toteż mógł mieć świadomość narastającego nadnaturalnego napięcia.

- Jeśli dobrze rozumiem, panowie są braćmi krwi, natomiast pani związana jest z nimi jakimś rodzajem duchowego powinowactwa. Muszą państwo wiedzieć, że kusi mnie, by posłuchać mego kapitana.

- Wysadź nas, panie, na ziemi, byle gdzie, choćby w głuszy! - Ryknął wielkolud. - Ino tego chcemy.

- Panie Burzymur, proszę wysłuchać mnie do końca. Nie mogę teraz lądować. Zresztą pan Jasiek podpisał kontrakt, w którym zobowiązał się towarzyszyć nam w naszej misji.

- Podpisałeś? - Zawołali równocześnie wielkolud i Sara, i jakimś cudem jej głos przebijał się ponad wielkoludzki.

Jasiek, zawstydzony, skinął głową. Jego przyjaciele pobledli.

- Pan Kutrzeba mógłby, naturalnie, zwolnić go z kontraktu... - Marsjanin zawiesił głos i Kutrzeba dałby głowę, że uśmiech, który pojawił się na jego twarzy, celowo miał być złośliwy.

- Ja jestem zły człowiek. Nie oddam kontraktu za bezdurno. Jasiek leci z nami.

- Cóż, sami państwo rozumieją. Co do państwa... Nie zwykłem marnować potencjału. Jeśli i państwo podpiszą z

nami kontrakt, dołączą do naszej drużyny. Jeśli nie, będą musieli państwo opuścić pokład podczas najbliższego lądowania.

- Czyli gdzie? - Warknął wielkolud.

- Prawdę mówiąc, nie wiem. Najchętniej nie lądowałbym wcale. Zakładam jednak, że będziemy musieli uzupełnić zapasy wody, gdzieś za Wieczną Puszcza.

Cyganka jęknęła. Jasiek zwiesił głowę.

- Też mi wybór - prychnął Burzymur. - Daj pan te papiery. Tylko jedna rzecz. My podpisujemy panu, nie jemu. - Skinął głową w stronę Kutrzeby.

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

- Nie polubili cię - ocenił Szuler.

Siedzieli nad Wisłą, kolejny raz gapiąc się na Wawel po drugiej stronie rzeki.

- Taki mój urok. Nikt mnie nie lubi, ty też. Właściwie nawet sam siebie nie lubię.

- Ale oni mogą cię z tego braku sympatii zdradzić.

- Mam nadzieję, że są na to zbyt chciwi.

Ledwie pół godziny wcześniej opuścili zbójecką melinę, pełną reprezentujących wszystkie możliwe rasy typów spod ciemnych gwiazd. Mieszkało owe towarzystwo na obrzeżach miasta, w okolicach grotty, w której eksperymenty przeprowadzał ponoć przed wiekami czarnoksiężnik

Twardowski, dogadujący się wśród tamtejszych wzgórz z diabłem. Skrzaty i co bardziej cywilizowane upiory, wielkoludzie, a nawet kilka olbrzymów i mieszańcy każdego rodzaju: wilkołaki i niedźwiedziolaki, odmieńcy i nawiedzeńcy, a także zwyczajni, ale nieprzepadający za praworządnością ludzie – wszyscy oni wzniesli tam własne miasteczko. Krakowianie nazywali je Zakrzówkiem, a oni sami Twardym Grodem. Podobno czekali w nim na przybycie słynnego czarownika. Jedni wierzyli, że powrócił on już do żywych wzorem innych słynnych, istniejących w rzeczywistości bądź powołanych mocą wyobraźni dusz. Inni próbowali go przywołać, wierząc weń niczym w pogańskiego boga i czekając, by energia ich wiary zmaterializowała się pod postacią Twardowskiego.

Na obrzeżu tego miasteczka, w gospodzie noszącej – jakżeby inaczej – nazwę „Rzym”, Kutrzeba szukał dla siebie sojuszników. Przebierał wśród włamywaczy i rabusiów skłonnych do każdej brawury, wśród najemników i ochroniarzy, a nawet wśród przeklętych dusz, szukających tylko okazji do zemsty na tych, którzy ciągle jeszcze, na przekór wszystkiemu, mogli spodziewać się jakiegoś rodzaju zbawienia. Wybrał wreszcie dziesięciu, którzy sprawiali na nim wrażenie zawodowców.

- Mam dla nich wystarczającą pokusę, by kupić ich wierność – spróbował uspokoić Szulera.

- Jakąż to?

- Coś z dwieście lat temu trwała tu wojna. Część

magnaterii opowiedziała się po jednej, a część po drugiej stronie. Kraków przechodził wtedy z rąk do rąk. Istniał ród, powiedzmy, że nazywali się Czartoryscy, który trzymał spore bogactwo w tych okolicach. Jego przedstawiciele bali się, że całe to złoto i srebro przejmą ci drudzy. Wysłali więc agentów, by wywieźli stąd, co się da. Ci agenci dogadali się z flisakami. Ukryli skarb w wydrążonych belach drewna. Niestety flisacy zorientowali się, jakie bogactwo trafiło w ich ręce, i postanowili je przejąć. Tu, niedaleczko tego zakola Wisły, doszło do regularnej bitwy. Wygrali flisacy, ale nie mogli już odpłynąć ze skarbem, bo gnało ku nim zaalarmowane całe miasto.

- Utopili je?

- Lepiej. Schowali w smoczej jamie. Mieli tam swoje przemytnicze kryjówki. Opróżnili je i po wypełnieniu złotem zasypali kamieniami. Potem pozabijali się o nie między sobą i nigdy nie wydobyli całości. Ponad połowa skarbu wciąż tam leży.

- A ty skąd to wszystko wiesz?

- Poszperałem w księgach, popytałem ludzi...

- Powywoływałeś duchy?

- Grunt to wiedzieć, które wywołać i jak to zrobić, żeby już tu nie zostały.

- I jak je torturować?

- Znasz mnie lepiej niż rodzona matka.

Pomilczeli chwilę. A potem odezwał się bóg. Starał się mówić powoli, nadnaturalnie spokojnie. Dało się jednak

usłyszeć napięcie w jego głosie.

- Chcesz powiedzieć, że zrobisz skok na przekłete krwią i zdradą złoto złożone w jaskini zamieszkaney przez smoka?

- W grocie, ale reszta z grubsza się zgadza. Jakoś trzeba odwrócić uwagę wawelskich strażników, prawda?

Rozdział 2

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, gdzieś nad Wiekuistą Puszczą*

Sterowiec śledził ich od dwóch dni. Pierwsza wypatrzyła go córka Szulera, nosząca na cześć patronki imię Wanda. Uwielbiała wspinać się po linach łączących gondolę z balonem. Załoga pozwalała jej na to po interwencji Nowakowskiego, uspokojonego zapewnieniami Kutrzeby, że Szuler nie pozwoli, by dziewczynie przydarzyło się coś złego.

Pierwsza wspinaczka Wandy doprowadziła do paniki na pokładzie, rozpętanej przede wszystkim przez Mioczkę i Jaśka. Ten pierwszy wyczuł zawirowania losu i wszczął alarm, przekonany, że to Sara dokonała dywersji i rzuciła na „Batorego” jakąś utajoną klątwę. Z kolei Jasiek, który opuścił obiekt swoich westchnień ledwie na chwilę potrzebną by ulżyć pęcherzowi, przestraszył się, widząc dziewczynę pozbawioną jakiegokolwiek asekuracji, wiszącą na jednej z lin. Wzywając pomocy, ruszył jej na ratunek. Nad nim oszukujący los bóg nie czuwał, toteż skończyło się to ratowaniem sparaliżowanego ze strachu Jaśka przez Wandę, ku uciechu załogi i gniewowi Burzymura i Sary. Od tamtego dnia Burzymur starał się nie odstępować Jaśka na krok, natomiast

wrogość pomiędzy Sarą a Mioczką narosła do poziomu bliskiego otwartej wojnie. Wandy z jakiegoś powodu nikt nie winił. Nawet Burzymur łagodniał w jej towarzystwie, a Sarze zdarzało się rozczesywać dziewczynie włosy i opowiadać jej klechdy skrzatów i wilków.

- Podąża za nami. - Kutrzeba nie lubił oznajmiać oczywistości, od czegoś należało jednak zacząć rozmowę. - Czy ktoś może znać cel naszej podróży?

Z mostku obserwowali z Nowakowskim intruza. Towarzyszył im niezawodny Czus, zastępujący Mioczkę przy kole sterowym, oraz drugi oficer, dokonujący przeglądu systemów łączności i szepczący coś w tym celu do mikrofonu. Jego szepty mieli usłyszeć i zrozumieć nieszczęśnicy w maszynowni. By utrudnić im zadanie, drugi szeptał na przemian z sensem i bez sensu i oczekiwał właściwych odpowiedzi, testując nie tylko sprzęt, ale i załogę.

- Szpiedzy są wszędzie - odparł spokojnie Marsjanin. - W moich fachu, drogi panie Kutrzeba, należy się liczyć z tym, że nie uda się utrzymać wszystkiego w tajemnicy. Biznes to wojna. A jednak nie, nie sądzę, by kapitan tamtego sterowca widział, dokąd lecimy. Podejrzewam, że to „Władysław Jagiełło”, jeden ze sterowców wyprodukowanych wcześniej niż „Batory”.

- Ta grupa, o której pan mówił, zrobiła ich więcej?

- O ile wiem, trzy. „Batory” był czwarty. Jest najnowocześniejszy i najpotężniejszy ze wszystkich. Zapewne po „Jagiełłę” posłano, gdy moje, że tak to ujmę, wrogie

przejęcie wyszło na jaw.

- A pozostałe dwa?

- Sądzi pan, że mogą je wysłać w pościg za nami, by przejąć „Batorego”? To, mimo wszystko, niepokojąca myśl. Wygląda na to, że przydałaby się nam burza. Szkoda, że nie zwerbował pan do swojej grupy planetnika, nieprawdaż?

- Miejmy nadzieję, że oni z braku czasu też nikogo takiego nie zwerbowali. To zastanawiające, swoją drogą, że planując wyprawę powietrzną, nie zadbał pan o kogoś takiego.

- Na szczęście nie docenia mnie pan. Mioczka, którego pan zdaje się nie poważa, ma w sobie odpowiednią duszę. W razie czego rozpętamy burzę, w której się pogubią. Ale jeszcze nie teraz. Jestem ciekaw, co planują.

- Wygląda na to, że doskonale się pan przygotował. Coraz częściej zastanawiam się, do czego tak naprawdę ja jestem panu potrzebny.

Marsjanin wstrzymywał się z odpowiedzią tak długo, że Kutrzeba doszedł do wniosku, iż się jej nie doczeka. Wreszcie Nowakowski oderwał wzrok od falującej pod nim Wiekuistej Puszczy - wielkiego organizmu połączonych ze sobą korzeniami nawiedzonych drzew, pomiędzy którymi wędrowały odrodzone tury i potężne żubry ujeżdżane przez leśne duchy. Puszcza stoczyła kilka wojen z próbującymi ograniczać jej wpływy ludźmi, czy to przedstawicielami Kolei Galicyjskich, czy też Wiecznej Rewolucji. Wygrała wszystkie.

Nauczyła ludzi szacunku do siebie i zamiast się cofać, zdobywała nowe terytoria, zarówno asymilując niezależne

lasy, jak i zalesiając pogranicze. Podbijała świat powoli, lecz systematycznie, gotowa do wojny trwającej dłużej niż życie przeciętnego śmiertelnika. Gdziekolwiek padały rozsyłane przez nią nasiona, wyrastały z nich silne i agresywne pędy. W przejmowanych przez Puszcę lasach wyspecjalizowane, wzmacniane magią porosty natychmiast brały w posiadanie zwyczajne drzewa i przemieniały je w tradycyjnych żołnierzy Puszczy - roślinne istoty o potężnych konarach zdolnych do wykonywania poruszeń niezależnych od wiatru i chronione grubą, pancerną korą. To one falowały niespokojnie, ilekroć padał na nie cień „Batorego”, i wyciągały gałęzie ku napowietrznemu statkowi. Na szczęście gondola płynęła wysoko ponad ich zasięgiem, nie dolatywały doń nawet wystrzeliwane na kształt pocisków nasiona. Puszcza gniewała się, prężyła muskuły, nic jednak nie mogła zrobić.

Kutrzebie przyszło do głowy, że kiedy ludzkość w pełni odzyska niebo, bombardowana z dużych wysokości Wiekuista Puszcza może wreszcie przegrać wojnę. Z drugiej strony - kto wie, jak zachowają się wtedy żyjące w niej demony? Być może teraz nie zaatakowały „Batorego” tylko dlatego, że uznały go za nieszkodliwego przechodnia, bo nawet nie intruza?

- Jest pan moim planem B, panie Kutrzeba - odpowiedział wreszcie Nowakowski. - A może planem A, który zmienił się w plan B? Inaczej to wszystko sobie obmyśliłem, nie zamierzałem porywać „Batorego”. Dowiedziałem się jednak, że moi współpracownicy poznali mą tożsamość i planowali przejąć

sterowiec nim zrobię to ja. Uprzedziłem ich więc, przy okazji zmieniając nasze plany. Proszę mi wierzyć, nie jestem z tego zadowolony. Chciałem wymknąć się z Krakowa po cichu, mylić tropy tak długo, jak tylko się da. Teraz nie mam już czasu na takie subtelności. Jeśli coś pójdzie nie tak, może się pan okazać bardzo potrzebny. A wy, ludzie, nauczyliście naszą rasę, że najdoskonalsze plany mogą posypać się w przeciągu chwili.

- Aż tak zależliśmy wam za skórę?

Marsjanin uśmiechnął się i wyglądało to tak, jakby naprawdę było mu smutno. Przypomniał sobie o ludzkich obyczajach i pokiwał głową.

- Proszę, niech pan spróbuje wyobrazić sobie moją cywilizację taką, jaką była. Osiągnęliśmy stopień technologicznego rozwoju, jaki dla was byłby niedostępny jeszcze przez stulecia. Odmienialiśmy nasze ciała dzięki biologii wspieranej przez potężną technologię. W naszych organizmach pracowały i nadal pracują mechanizmy tak subtelne, że zdolne są uczestniczyć w procesie budowy komórek, a nawet analizować i korygować wady... Jak to nazwać w ludzkim języku?

- Niech się pan nie trudzi. Nie rozumiem. Sam jestem zdziwiony, że wiem, co to „komórka”.

- Powiedzmy, że ciało ludzkie to opowieść spisana chemią. My wszyscy, tak Marsjanie, jak i ludzie, jesteśmy historią opowiedzianą przez atomy. To, kim pan jest, a nawet jak się pan zestarzeje, zapisano w chemicznym alfabecie.

Potrafiliśmy weń ingerować i modyfikować samych siebie. Zastąpiliśmy ślepą ewolucję. Pan wie, co to ewolucja?

- Coś, co działało, póki nie przylecieliście?

- Nadal działa, choć rzeczywiście w specyficznych warunkach. Nawet wobec ingerencji bogów ewolucja wciąż ma pierwszorzędne znaczenie, może mi pan wierzyć. Tyle że dostrzec to i ocenić będziemy mogli za dwieście, może trzysta lat, jeśli moce będą przemieniać świat w obecnym tempie. W gruncie rzeczy można potraktować to, co dzieje się na Ziemi, jako potężny eksperyment.

- Bardzo panu dziękuję za sprowadzenie mnie do roli szczura w labiryncie.

- Ma pan rację, zagalopowałem się. W naszym świecie nawet my, żołnierze, uważaliśmy siebie za swego rodzaju naukowców. Poddawaliśmy się modyfikacjom zależnym od naszych funkcji społecznych. Udoskonalaliśmy się bez końca. Będąc istotami biomechanicznymi, pozostawaliśmy w stałym kontakcie z potężnymi maszynami liczącymi, których mocy obliczeniowej nie potrafiłby pan sobie wyobrazić. Nasz świat był jasny i uporządkowany, nawet przypadek byliśmy w stanie wpleść w mechanizm rozwoju. Kolejne planety i rasy przyłączaliśmy do naszej cywilizacji w sposób planowy, pozbawiony ryzyka. A potem przylecieliśmy na Ziemię i wszystko się posypało. Spotykaliśmy już wojownicze rasy, niektóre znacznie lepiej rozwinięte od was, ale nigdy żadna nas tak nie zaskoczyła. Po raz pierwszy obrócono naszą najdoskonalszą broń przeciw nam.

- Ale na żadną rasę nie wpadliście w samym środku jej największej wojny w historii, co?

- Powinniśmy byli okazać większą cierpliwość - westchnął Marsjanin. - Poczekać, aż skończycie. Ale spalaliście tak wiele emocji, z których mogliśmy czerpać! Cała ta wojna była jednym wielkim marnotrawstwem energii. W dodatku, nie znając was tak dobrze jak obecnie, nie potrafiliśmy pojąć, po co tak naprawdę walczyacie. Jedna z popularnych u nas teorii mówiła, że znacie pojęcie energii emocjonalnej i energii wiary, ale nie potraficie ich wykorzystywać, dlatego urządzacie krwawe igrzyska, by nadmiar tych energii was nie zniszczył. Zapewne bawi pana nasza ówczesna ignorancja?

- Jak się nad tym zastanowić - skrzywił się Kutrzeba - to wcale nie takie głupie wyjaśnienie dla tamtej wojny.

Tej nocy śniła mu się stara ludzka wojna, która przyniosła kres epoce technologii.

Nie potrafił ocenić, do jakiej armii i narodowości przynależał. Wszyscy wokół mówili po polsku, ale czy istniała wtedy armia, w której nie służyły oddziały składające się z Polaków? Niemożliwe okazało się rozpoznanie barw i oznaczeń pokrytych błotem i pyłem mundurów. Żołnierze siedzieli w okopach, starając się nie wystawiać głów ponad umocnienia. Padało.

Ciężkie krople deszczu waliły seriami w okopy, odłupywały

drobiny ziemi i zrzucały je na żołnierskie karki i głowy. Zmęczeni brudni mężczyźni kucali w rosnących z każdą chwilą kałużach i – jeśli tylko starczało im sił – klęli na czym świat stoi. Kutrzeba zorientował się, że otaczający go ludzie mieli hełmy różnych kształtów: i takie wyglądające jak odwrócone misy, i te śmieszne, duże i ciężkie ze szpicami, i takie przypominające garnki. Albo jego towarzysze broni zabawiali się kolekcjonowaniem części umundurowania i uzbrojenia przeciwnika, albo w okopie zgromadzili się Polacy pochodzący ze wszystkich walczących ze sobą armii. Żałował, że nie wie więcej o Wielkiej Wojnie. Nie rozpoznawał hełmów ani mundurów. Przypuszczał jednak, że umorusani i wycieńczeni żołnierze mogli się pogubić po kolejnej bitwie i ukryć w pierwszej lepszej osłonie wypełnionej osobnikami, którzy wiele się od nich nie różnili – byli zziębnięci, głodni, przestraszeni i tak oblepieni błotem, że bardziej przypominali golemy niż ludzi.

A może to właśnie były golemy i Kutrzeba we śnie stał się jednym z nich? W pierwszych latach wojny golemów nie używano, ale już w 1920 roku chyba tak?

- Masz papierosa, Mirku? - Odezwał się ktoś za jego plecami. - Na pewno masz. Tobie zawsze zostają jakieś zapasy.

- Mam jeszcze ciut tytoniu. Ale jak chcesz zapalić w tej ulewie? - Kutrzeba odwrócił się, by podać wilgotne zawiniątko żołnierzowi, którego twarzy nie potrafił rozpoznać.

- Mam swoje sposoby - uśmiechnął się tamten, jednak nie zdążył ich zdradzić, bo w tym momencie ogłuszył ich potworny świst nadlatującego pocisku.

- Strzelają przed czasem, sukinsyny! - Wrzasnął nieznajomy, zakrywając uszy dłońmi.

Uderzenie było tak potężne, że wywołany nim wstrząs obalił Kutrzebę w sam środek kałuży. Część okopu osunęła się, toteż poderwał się przestraszony, żeby nie zostać zasypanym.

- Niewypał - parsknął któryś z żołnierzy. - Nie było eksplozji!

- Ale że tak zatrzęsło? - Nie zgodził się Kutrzeba. Wyjrzał ostrożnie za krawędź okopu.

Nie nadlatywały żadne kolejne pociski, nie było słychać ogłuszających artyleryjskich palb, żadne działa nie grały po stronie wroga.

- Chyba wypalili przez przypadek - ocenił i w tym momencie dostrzegł, że coś poruszyło się jakieś dwadzieścia metrów przed nim, już na terytorium strefy niczyjej. - Czekaście! Coś tam jest!

- Schowaj łeb - poradził ten, którego poczęstował tytoniem. - Dranie specjalnie wystrzelują niewypały, żebyśmy wystawiali łby pod ich snajperów.

Kutrzeba posłuchał odruchowo. Ciekawość jednak nie dawała mu spokoju. Ponownie się wychylił. Przecież to tylko sen.

Coś wypełzało spod ziemi.

Długie na dwa metry mechaniczne ramię zakończone trójpalczystą dłonią wbiło się w podmokły grunt. Zaraz pojawiło się drugie i trzecie. Kończyny napięły się, zadrżały i z głośnym cmoknięciem wyrwały z ziemi przypominający ciemne jajo pocisk wielkości samochodu.

- Chłopaki - zawołał Kutrzeba. - To coś nowego!

- Spieprzajmy! - Obok pojawiła się głowa drugiego żołnierza. Ku zdumieniu Kutrzeby żołnierzowi rzeczywiście udało się zapalić papierosa. - To jakieś absolutne cholerstwo. Machina apokalipsy!

- Nikt nie będzie nigdzie spieprzał! - Zabrział ostry, stanowczy głos zza ich pleców. Najpewniej, jak uznał Kutrzeba, należący do oficera albo samozwańczego bohatera. - Co by to nie było, wytrwamy. Przetrwaliśmy już niejedno piekło, przetrwamy i następne!

Kutrzeba i jego kompan-cudotwórca wymienili smutne spojrzenia.

- Jak tylko go ustrzelą, ja stąd spieprzam - mruknął cudotwórca. - O rany, to rusza na nas!

Z jaja stojącego na mechanicznych ramionach wysunęły się trzy nogi. Stwór, z początku ostrożnie, ruszył ku okopowi Kutrzeby. Szedł powoli, bo nogi zapadały mu się głęboko w błocko. Utrzymywał jednak równowagę. U szczytu jaja wyrosło coś w rodzaju głowy: obła błyszcząca wypustka, pośrodku której świeciło złowrogo czerwone oko.

- Panie poruczniku - zawołał ktoś. - Niech pan na to spojrzysz! To naprawdę wygląda dziwne.

Pan porucznik spojrział.

- To pewnie te nowe czołgi - ocenił po swojemu, stanowczo. - Jakiś prototyp. Dziadostwo. Załatwimy to granatami.

Sekundę później nie miał już części głowy. Ostre czerwone światło wytrysnęło z oka „prototypu czołgu” i ścięło czubek porucznikowej czaszki. Oficer stał jeszcze przez chwilę, wciąż trzymając lornetkę przy oczach i jakby nie zwracając uwagi na brak znacznej części mózgu. Dopiero gdy żołnierze zaczęli krzyczeć ze zgrozy, jakby dotarła do niego świadomość śmierci, bo osunął się na kolana i oparł niekompletnym czołem o krawędź okopu.

- Ja to pieprzę! - Wrzasnął cudotwórca. - Mówiłem, że stąd spieprzam!

Jednak rozsądnie nie wyskoczył z okopu, ale pognał labiryntem jego korytarzy, przepychając się między żołnierzami. Kilku poszło za jego przykładem. Inni skulili się w kałużach albo przeciwnie - wychylili i zaczęli ostrzeliwać napastnika. Ktoś przypomniał sobie o radzie porucznika i cisnął w jajo granatem. Ten odbił się od pancerza i eksplodował między trzema mechanicznymi nogami, nie czyniąc im najmniejszej szkody.

Wtedy okazało się, że jajo miało towarzyszy. Zza zasłony deszczu wyłoniły się jeszcze trzy podobne i natychmiast rozpoczęły ostrzał. Raziły nie tylko czerwonymi promieniami śmierci, ale też seriami karabinów maszynowych masakrującymi nieszczęśników, którzy podjęli daremną

próbę powstrzymania nowej broni. Kutrzeba chował się, gdy wróg celował blisko niego. Przeładowywał karabin i znów strzelał do – jak szybko zrozumiał – Marsjanina. Choć zdawał sobie sprawę, że śnił, bał się nawet ułudy śmierci.

Marsjanie parli niepowstrzymanie na swych trójnogach i prawie udało im się dotrzeć do linii okopów. Wtedy do pracy wzięła się nareszcie artyleria. Pierwsze pociski chybiały, jedynie obsypując Marsjan masami ziemi. Przy trzeciej salwie artylerzyści wstrzelali się jednak i jedno z jaj zachwiało się, gdy pocisk eksplodował na jego nodze, wyginając ją i unieruchamiając. Kuśtykający Marsjanin stał się łatwym celem i już po chwili ogień artyleryjski skupił się na nim.

Kutrzeba nigdy nie widział czegoś takiego. Na trójnog spadła burza ognia. Eksplozje pocisków miały Marsjaninem, oślepiały go wyraźnie, bo zaczął strzelać w panice na wszystkie strony, zabijając ludzi, ale i raniąc własnych towarzyszy. Mimo wszystko utrzymywał się w pionie, wytrzymując nawet bezpośrednie trafienia. Gdy jeden z pocisków zniszczył wreszcie kopułę jaja, trójnog wydał z siebie przeraźliwy pisk i zwałił się na ziemię, pomiędzy wyrzucane eksplozjami fontanny błota. Jeszcze przez chwilę artylerzyści zarzucali go pociskami, aż wreszcie przenieśli ogień na inne cele.

Oszołomiony, drżący z podniecenia Kutrzeba wygrzebał się z okopu i ostrożnie podkraść do Marsjanina.

Nie licząc urwanej „głowy” oraz potrzaskanych ramion i

nóg, pancerz Marsjanina wydawał się nienaruszony. Kutrzeba obszedł go, szukając miejsca, w które mógłby wcisnąć lufę karabinu, by dobić pasażera trójnogu. Gdy zbliżył się do „głowy”, ze środka wystrzeliła ku niemu oślizgła biała macka. Odtrącił ją kolbą. Prędko dopadł szczeliny, wcisnął w nią lufę i wypalił. Ze środka pisnęło boleśnie. Trójnóg zadrżał.

Kutrzeba dojrzał kolejną mackę, wysuwającą się już ku niemu powoli, jakby bez sił. Przydeptał ją, przeładował broń i strzelił. Przeładował ponownie, znów wcisnął lufę do wewnątrz, znów strzelił. Powtarzał, aż skończyła się amunicja. Wtedy wcisnął w szczelinę kolbę, próbując rozewrzeć pancerz. Gdy mu się nie udało, wepchnął do środka granat i uciekł do jednego z licznych lejów po ostrzale artyleryjskim.

Wrócił, ściskając bagnet. Wybuch rozsadził pancerz od wewnątrz i oczom Kutrzeby ukazał się jeden z pierwszych przybyłych na Ziemię Marsjan.

Był biały, bielusieńki, jakby jego skóra nigdy nie zaznała słonecznych promieni. Żył jeszcze. Popiskiwał, trząsł się, zalewany zieloną wydzieliną wylewającą się z ran. Wciąż zachowywał przytomność. Ujrawszy zbliżającego się Kutrzebę, wydał żałosny pisk i spróbował dosięgnąć człowieka jedną z macek. Gdy mu się to nie udało, otworzył otwór gębowy przypominający dziób i strzyknął w człowieka śmierdzącą wydzieliną. Kutrzeba uchylił się szczęśliwie i plwocina upadła na ziemię, zawrzała na podobieństwo kwasu

i wżarła się w glebę.

Marsjaninowi zabrakło sił na drugi atak. Nienawistnie wpatrując się w Kutrzebę trzema czerwonymi oczami, piszczał coś i gwizdał, aż wreszcie skończył.

TO JEST WASZ SOJUSZNIK I PRACODAWCA - usłyszał donośny, ludzki głos Kutrzeba. - TO DLA NIEGO PRACUJECIE! DLA OHYDNEGO ODWIECZNEGO WROGA CAŁEJ LUDZKIEJ RASY! NAPRAWDĘ CHCECIE BYĆ ZDRAJCAMI?

Niespodziewanie Kutrzeba uświadomił sobie, że otoczyły go wszystkie pozostałe przy życiu trójnogi. Sparaliżowany strachem patrzył, jak celują w niego z umieszczonych w „głowach” działek.

MARSJANIE NIE MAJĄ LITOŚCI. DLA NICH JESTEŚMY TYLKO BYDŁEM NA RZEŻ - oznajmił głos i czerwony błysk zakończył sen.

Przebudzony gwałtownie usiadł na koi. Prędko uruchomił jedną z elektrycznych lamp, w jakie zaopatrzone zostały kabiny „Batorego”. W miastach wciąż powszechnie używano oświetlenia naftowego, jednak Nowakowski wolał jak tylko mógł ograniczyć ryzyko pożaru na pokładzie.

Kutrzeba dzielił kajutę z Grabińskim i Jaśkiem. Były pracownik kolei też nie spał. Drżącymi rękami otwierał butelkę, którą zawsze starał się mieć pod ręką. Jasiek natomiast rzucał się na koi, wzywając na pomoc matulę, Burzymura i wszystkich świętych patronów. Wreszcie i jego sen dobiegł końca i chłopak obudził się z krzykiem.

- Niech zgadnę, śniliście o Wielkiej Wojnie i desancie Marsjan? - Domyślił się Kutrzeba.

Grabiński skinął tylko głową, nie odrywając ust od butelki. Za to Jasiek zarzucił Kutrzebę szczegółami swojego snu. Nie różniły się prawie od tego, co śnił on sam i pewnie większość ludzi na pokładzie.

- Co to znaczy, panie? - Jęczał Jasiek. - Jakie zmary nas dopadły?

- Do mnie nie mają dostępu zmary, chłopcze. Więc się nie bój. To żaden demon.

- No więc co, panie?

- To znaczy - odpowiedział mu mlaszczący z ukontentowaniem Grabiński - że na pokładzie „Jagiełły” mają czarownika. I ten sący nam cwanię propagandę do snów.

- Co robić?

- Jutro pewnie Nowakowski powie nam, że Mioczka da radę stawić opór i tamtemu - ziewnął Kutrzeba. - A dziś? Albo przyjdzie nam spędzić kilka bezsennych godzin, albo śnić to samo w kółko.

- Można jeszcze się upić. - Grabiński podsunął Kutrzebie kolejną wydobytą spod koi butelkę. - Jak się człowiek porządnie upije, to nie śni.

Kutrzeba odmówił. Jasiek natomiast porwał butelkę i przyssał się do niej chciwie. Opróżnił ją ledwie do połowy, ale kilka minut później już chrapał w najlepsze.

- Zazdroszczę mu tego snu pocziwca - uśmiechnął się obserwujący chłopaka Grabiński. - Ani się nie przejął tym

czarownikiem na drugim sterowcu. A to przecież poważna sprawa. Czarownicy drogo sobie liczą, mało kogo na nich stać. Jak myślisz, Mirku, czy nasz pryncypał mówi ci wszystko o tej awanturze?

- Głównie wspomina, jak fajnie było latać po kosmosie i podbijać rasy, które nie okazały się na tyle głupie, by stawiać opór. Myślę, że jeśli ukradł sterowiec antymarsjańskim radykałom, których wcześniej wodził za nos, to mógł ich wkurzyć.

- Zastanawiasz się czasem, czy oni nie mają racji?

- Ludzkościowcy? Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Nie pomył mnie z kimś lepszym i mądrzejszym. Mam swoją robotę i tyle. Świat to coś, co toczy się obok.

- Kiedyś dokonasz zemsty, Mirku. Wtedy ten świat toczący się obok może się okazać istotny.

- Może. A może po wszystkim zwyczajnie umrę? Naczytałem się i nasłuchałem o zemście, wiesz? Czytałem o wróżdzie i vendecie, dorwałem albańskiego wieśniaka, który wyłożył mi kanun... Zemsta to ponura śpiewka. Kończy się zawsze w ten sam sposób.

- Jaki? - Nie wytrzymał w końcu Grabiński.

- Gdy dokończysz sprawę, ktoś rusza twoim tropem.

Rozdział 3

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

Ktoś ich śledził. Niewielki i sprytny, o kamiennej fakturze skóry, której barwa doskonale zlewała się z coraz bardziej wypłowiałymi elewacjami kamienic. Owo szarzenie budynków nie stanowiło wyjątkowej cechy Krakowa - tak działo się w większości miast, choć bywały i takie, przede wszystkim na południu Europy, ale i podobno w Azji, gdzie mieszkańcy, niesieni trudnym do zrozumienia szaleństwem, wylegali na ulice, by dekorować domy wszelkimi dostępnymi kolorami. Gdy brakowało im farb, używali owoców, strzępów kolorowych materiałów, a nawet całych bel barwnych płócien porywanych krawcom; bywało, że i krwi, zwierzęcej bądź ludzkiej. Te południowe fanaberie obce były mieszkańcom północy, a i terenów położonych nieco dalej od Morza Śródziemnego. Toteż większość europejskich miast szarzała, a to z tej przyczyny, że trudno było znaleźć kogoś, kto czułby się odpowiedzialny za całą miejscowość. Owszem, istniały municypalne rady, burmistrzowie i prezydenci puszyli się w swoich gabinetach i na publicznych wystąpieniach, funkcjonowały całe kluby jaśniejących od poczucia misji mecenasów i prezesów lokalnych towarzystw.

Niemniej mało kto patrzył na miasto jako na całość.

Nie istniała potrzeba wzmacniania związków między mieszkańcami, ponieważ byli oni złączeni więzią najtrwalszą z możliwych: próbą przeżycia w dzikim, niegościnnym świecie. Za naznaczonymi strażniczymi duszami i zaklęciami murami szalał nowy, chaotyczny świat, pełen istnień gotowych wykorzystać każdą okazję, by wedrzeć się na strzeżone tereny i udekorować domy i ulice po swojemu. Ta wiecznie czujna, przyczajona w pobliżu groza sprawiała, że ludzie skupiali się przede wszystkim na tym, co najważniejsze: na przeżyciu. Nawet sztuka porzuciła błogą niezależność. Artyści odłożyli na przyszłość poszukiwania absolutu, cały swój kunszt poświęcając dziełom mającym zapewniać bezpieczeństwo im i ich klientom.

Choć więc kamienice przypominały zapuszczonych starców, to w ich mury wpisane były całe litanie ochronnych zaklęć, każdy ze skrzypiących stopni na klatkach schodowych posiadał własne ochronne kręgi. Strzeżone były okna i dachy, kominy i progi. Pod fasadami podupadłych budowli kryły się istne fortece.

Skoro śledzący Kutrzebę nieludzki byt przemykał się po gzymsach i dachach, jakby żadne zaklęcia ochronne nie istniały, nie mógł być przybyszem z zewnątrz. Musiał należeć do rodziny licznych miejskich demonów, zaakceptowanych przez mieszkańców Krakowa, a być może nawet stworzonym przez któregoś z nich.

Kutrzeba nie dostrzegłby go, gdyby nie Szuler. Człowiek

czuł niepokój, odkąd rankiem opuścili wynajęte na Kazimierzu mieszkanie. Zdawał sobie sprawę, że to część talentów, jakimi obdarowała go zmora, sprawiała, iż wyczuwał niebezpieczeństwo. Nie potrafił jednak określić jego rodzaju. Dopiero Szuler dyskretnie wskazał mu śledzącego ich z wysokości dachów, niewiele większego od gołębia golema, ukształtowanego na podobieństwo coraz liczniejszych w Krakowie ochronnych gargulców. Światło nie miało dostępu oczu Szulera, zamkniętych na zawsze w chwili, gdy spętał go Kutrzeba, jednak bóg postrzegał świat na wiele doskonalszych sposobów.

- Wciąż ci nie ufają - szepnął. - Nie pomogła ta narada.

- Podrzucmy bestii barana - proponował ledwie wieczór wcześniej przybyły z niemieckiej guberni Republiki Narodów gnom, wymagający, by zwracać się doń per „herr Kuntz”. - Nasączymy mięcho czarem usypiającym, to padnie na jakieś dwa dni.

Że w żadnym wypadku nie mogą smoka zabić, było oczywiste dla każdego. Wszystko, co żywe i nieumarłe, ruszyłoby wtedy ich tropem, skuszone nagrodą wyznaczoną za głowy zabójców świętego obrońcy miasta.

- Dureń - Radosław Duńko, rudowłosy złodziej zarzekający się, że ma w sobie wyłącznie czystą, ludzką krew, strzyknął śliną, wykazując nie byle jaką sprawność. Ciężka od tytoniu kropla poleciała ku gnomowi nie po to, by go trafić, lecz

opaść między jego bosymi stopami. Herr Kuntz zaklął szpetnie i z twardym akcentem i cofnął się odruchowo. Duńko wyszczerzył się do niego paskudnie, odsłaniając nie tyle poźółkłe, co zbrązowiałe zęby. – Smok zje ino to, co mu przynoszą krakowskie służby. Owce, barany, a od niedzieli krowę. Wszystko naznaczone, odchowane przez miasto i rytualnie oczyszczone. Innego żarcia nie tknie.

- Że niby taki mądry ten smok? Panie Oceański - gnom zwrócił się do Kutrzeby nazwiskiem, jakie ten przyjął na czas akcji - ja widziałem różne smoki i kaźden jeden był głupszy od kury. A wiadomo, że kury to najgłupsze stworzenia na świecie.

- Oprócz gnomów - rzucił Duńko i byłaby narada toczona na jednym z podgórskich strychów zakończyła się mordobiciem, a może i rozlewem krwi, gnom bowiem nadzwyczaj chętnie sięgał po ostateczny argument ukrytej pod czapką brzytwy, gdyby za stosowne nie uznał się wtrącić Jakub Szyman.

Ów spokojny kazimierzowski rzemieślnik miał zwyczaj przyciągać uwagę po swojemu, dyskretnie i subtelnie - odchrząkując znacząco. Zważywszy na mikrą posturę Szymana, jego odchrząknięcie, ciche, prawie nieśmiałe, przynosiło efekty, które mogły zadziwiać, uciszało bowiem najgorętsze i najgłośniejsze spory. A wszystko to za sprawą echa. Gdy bowiem Szyman wzdychał, zaraz z cienia odpowiadał mu westchnieniem głos jak pomruk wzbierającej burzy. Był to odzew jednego z pupilków mistrza

garncarskiego, wyrabiającego poza znakomitymi naczyniami także jedne z najlepszych w Galicji golemy, ustępujące może tylko dziełom z leżajskiej manufaktury oraz dokonaniom mistrza z Pragi.

- Panowie - szepnął Szyman i wszyscy nadstawili uszu nie tylko z szacunku dla siły ulubieńca artysty, ale i by usłyszeć, co ów uważany za mądrego człowiek miał do powiedzenia. - Smok Polak mięs nieświeżych i obcych nie je. Rada Miasta zadbała o to, ze względu na legendę skazującą go na zamięłowanie do nadziewanej baraniny. Musimy odnaleźć inny sposób.

- A pański golem? - Spróbował Kuntz. - Nie dałby rady bestii?

- Może tuzin golemów sprostałoby smokowi. - Szyman pokręcił głową. - Ale nie wiem, czy by go nie zabiły. A nawet gdyby, to część z nich z pewnością by strzaskał, a wtedy ślady doprowadziłyby do mnie.

- No dobrze, bydle zre tylko zwierzynę od miasta - nie poddawał się Kuntz. - Wierzyć mi się nie chce, że taki zmyślny, ale niech tam. No to podrzućmy mu dziewicę, nafaszerowaną magią albo narkotykiem.

- Nie tknie - uciął Kutrzeba, choć nie miał takiej pewności. Pomysł podrzucania smokowi dziewicy ani trochę mu się nie podobał.

- No, w to to już nie uwierzę! - Zaperzył się Kuntz. - Każdy jeden smok dostaje małego rozumu na sam zapach dziewiczej piczki! Panie Oceański, czy ten wasz to sodomita?

To znajdziemy mu prawiczka!

- Ten nasz - odparł Kutrzeba - ma specjalną umowę z Radą Miasta i jej nie narusza. Wiem. - Wzniósł dłoń, powstrzymując protesty gnoma. - Smoki są głupie. Wszystkie, herr Kuntz, ale nie ten. Ten jest mądry.

Gnom parsknął. Zamierzał coś powiedzieć, ale Szyman nie dał mu dojść do słowa.

- Wiesz pan, herr Kuntz, co to czakramy? - Zapytał i kontynuował, nie czekając na odpowiedź. - Takie święte kamienie, o których mędrzy ze wschodu powiadają, że są w siedmiu świętych miejscach na Ziemi. Jeden tkwi ponoć pod Wawelem. Od wieków przyjeżdżali z Indii, żeby się grzać w jego promieniowaniu. Czy on był naprawdę przed Kresem, tego nie wiem. Ale wiem, że odkąd wszystko się zmieniło, ten kamień siedzi gdzieś w wawelskiej skale i promieniuje. Ponoć mądrością. Nawet wawelskie cegły mają swój rozum, herr Kuntz. Nawet budynki tutaj myślą. Ponoć Dzwon to nawet i filozofuje, a od jego bicia profesorowie z uniwersytetu tracą zmysły. No to pomyśl pan, herr Kuntz, jak od tego czakramu mógł zmądrzeć smok. Niestety, ten nasz jest mądry i nie da się go głupio podejść.

- Czakram-srakram - mruknął rozeźlony herr Kuntz, ale nie protestował już przeciw smoczej mądrości. - To co, wracamy do domów i zapominamy o sprawie?

- Coś wymyślimy - powstrzymał go Kutrzeba. - Na każdego jest jakiś sposób.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, gdzieś nad Wiekuistą Puszcą*

- Nie mam rady na tego czarodzieja - zmartwił Kutrzebę Nowakowski. - Przyznam, że takiego przeciwnika nie przewidziałem. Mogę oprzeć się magicznym pociskom, czarodziejskim zmianom pogody i klątwom, ale nie koszmarom sennym. My, Marsjanie, nie śnimy i najwyraźniej zbyt małą wagę przywiązujemy do snów ludzkich. Zapewne ci z „Jagiełły” o tym pomyśleli.

- Skoro przy tym jesteśmy... Co pan o nich wie? Jak bardzo mogą okazać się niebezpieczni?

- Co pan wie o ludzkościowcach?

- Że najchętniej odesłaliby was na Marsa albo jeszcze dalej. Że co mądrzejsi biorą z was przykład i zamiast uprawiać partyzantkę, inwestują zrabowane pokolenie wcześniej pieniądze w rozwój technologii. Że jednym z ich mądrzejszych liderów jest Henryk Jakubowski, prezes Kolei Galicyjskich, senator Republiki Narodów, przywódca Polskiej Partii Niepodległościowej. Ważna persona, którą stać na budowę floty sterowców czy to we własnym imieniu, czy w ramach inwestycji Kolei. Czy okradł pan Koleje Galicyjskie, panie Nowakowski? Bo jeśli tak, to lepiej przenieść się na Marsa już teraz.

- Proszę mi wierzyć, nie okradłbym Kolei. Może jestem z

kosmosu, ale nie jestem szalony.

- Więc te sterowce to inicjatywa prywatna?

- Niezupełnie. Istotnie, PPN miała z tym nieco wspólnego, Jakubowski nie zaangażował się w produkcję osobiście. Jak pan wie, senat Republiki Narodów to twór, podobnie jak sama Republika, fasadowy. Koleje Galicyjskie, podobnie jak większość innych korporacji, nie przykładają większego znaczenia do umów, jakie podpisują z rządem Republiki. Zupełnie inną sprawą są umowy pomiędzy korporacjami. Pięć lat temu Koleje Galicyjskie, Transport Europejski, Rolls-Royce i Škoda podpisały traktat o wzajemnej współpracy w odzyskiwaniu nieba. Od tej pory wspólnie pracują nad aeroplanami i sterowcami. W każdym razie oficjalnie. Bo nieoficjalnie każda z nich stara się wyprzedzić rzekomych sojuszników. „Batory” i jego bracia to efekt takiej nieoficjalnej, a nawet nielegalnej działalności. Oficjalnie przedsięwzięciu patronowali książę Tadeusz Radziwiłł i hrabia Józef Kościuszko, dwaj nieco ekscentryczni arystokraci, dość bogaci, by stać ich było na takie fanaberie jak własna flota powietrzna. Ich przykrywką na pokaz była misja przygotowywania ataku na Wieczną Rewolucję, na terenie której znalazła się część ziem należących niegdyś do Radziwiłłów. Tak naprawdę jednak Jakubowski chciał zyskać nieco atutów w rywalizacji z współnikami.

- Kradnąc „Batorego”, zadał pan cios ambicjom Jakubowskiego, ale też ludzkościowcom. Ładnie.

- Nie zrobiłem tego chętnie. Podrażniony Jakubowski

uważniej przyjrzy się wszystkim swym projektom i być może odkryje moje zaangażowanie w kilka z nich. Niemniej czas naglił. Ale to prawda, będzie musiał tłumaczyć się wspólnikom, a fakt, że dał mi się wyprowadzić w pole, osłabi jego pozycję. To pomoże Transportowi Europejskiemu, a prezesi tej firmy są promarsjańscy.

- A to miała być zwyczajna wyprawa po skarby!

- Znajdziemy skarb, panie Kutrzeba. Zapewniam pana, że znajdziemy. Wielki i wspaniały.

Nie uzyskawszy pomocy u Marsjanina, Kutrzeba poszedł po Jaśka, próbującego prowadzić koślawą rozmowę z Wandą. Dziewczyna ignorowała adoratora. Wychyliła się niebezpiecznie przez barierkę, by jak najdokładniej przyjrzeć się Wiecznej Puszczy.

- Dąb! - Krzyczała, dostrzegając wyjątkowo interesujące drzewo. - Dąb tysiącletni! To już Pan Dąb! Witaj, Panie Dębie!

- Mógłbym porozmawiać z ptakami, które na nim siedzą - bąknął Jasiek. Gdy dziewczyna obróciła się ku niemu, poczerwieniał i dokończył niepewnie: - To znaczy, gdyby tu jaki przyleciał. Może tu panienka jakiego przywołać?

- Ja z nimi rozmawiać nie umiem - odpowiedziała dziewczyna z żalem i z powrotem wychyliła się za barierkę, by nawoływać kolejne drzewa i duchy. Mieszkając na stałe z bogiem, nie bała się widać żadnych demonów i potworów.

Kutrzeba zapisał w pamięci, by porozmawiać o niej poważnie z Szulerem. Jak dotąd pytany o Wandę bóg zbywał go i prędko zmieniał temat.

- Ależ panienka! - Szepnął chłopak. - Jaka piękna! Jaka mądra! Jaka cnotliwa!

Siedzący za jego plecami Burzymur prychnął rozbawiony. Jasiek nie przejął się nim zupełnie.

- Nie wiecie, panie, jak zdobyć względy takiej panny? - Wypytywał Jasiek Kutrzebę, kiedy już ten odciągnął go na bok. - Wyście bywali w świecie. Ja tylko to wiem, że jakbym jej w czym pomógł, to by na mnie spojrzała jak na junaka i pokochała. Ale ona nijakiej pomocy nie potrzebuje i ja już zupełnie nie wiem, co robić.

- A twoja Cyganka nie może ci pomóc?

- Takiej pomocy to ja nie chcę! - Rzucił chłopak gwałtownie. - To ma być prawdziwa miłość! No i Sara boi się jej ojca - dodał ciszej.

Poruszył Kutrzebę swoim zażenowaniem. Zdając sobie sprawę, że być może ulega właśnie mocy chłopaka, otoczył go ramieniem i poprowadził ku kajucie, w której upchnięto wielkoluda i Cyganke.

- Może ci pomogę, Jaśku. Ale znasz zasady, najpierw ty pomożesz mnie. Chodź, porozmawiajmy z twoją śniadą przyjaciółką.

- Ale mówiłem wam przecież, że nie chcę uroków!

- Nie będziemy gadać o twoich miłostkach, dzieciaku, ale o twoich snach.

Za nimi, tupiąc aż pokład drżał, ruszył Burzymur. Mijający go ludzie przyglądali mu się z niepokojem i z trudem skrywaną niechęcią. Wielkolud mógł mimowolnie doprowadzić do awarii, a może i katastrofy sterowca. Mioczka nakłaniał go wręcz, by nie opuszczał kabiny i poruszał się jak najmniej. Burzymur odmówił mu, po części z troski o Jaśka, po części z niechęci, jaką żywił wobec kapitana. Zdawał sobie jednak sprawę ze znaczenia swej masy, dlatego starał się poruszać ostrożnie i stawiać kroki delikatnie. Tylko przy Mioczce tupał demonstracyjnie, jakby chciał sprawdzać wytrzymałość pokładu.

- Ten drugi statek - odezwał się niespodziewanie. - Do was mówię, panie zły człowieku, bo chyba lubicie, gdy was tak nazywać. Czuję, że będą z nim kłopoty.

- Może się wtedy przydasz, wielkoludzie. Dla odmiany.

- Drwijcie sobie, drwijcie. A ja życie znam. Będą z nimi kłopoty. Ech, jakbyście zwolnili Jaśka z umowy, to ja bym go wam sam zastąpił.

- Nie dasz rady. Inne macie moce. Taki los, wielkoludzie.

- Zły z was człowiek.

- Żli teraz w cenie. Ale ty chyba też do świętych nie należysz. Nosisz własną klątwę. Nie przecz, wyczułem ją.

- Jak i ja waszą. Powiem wam, co mam ukrywać. Też kiedyś byłem zły. Z Żelaznym Marcinem chodziliśmy po gościńcach, nie szczędziliśmy nikogo, ni ludzi, ni nieludzi. Aż któregoś dnia pocięli nas strażnicy Kolei. Marcin uznał, że dość już chodzenia samopas i poszedł szukać możnego

protektora.

- Znalazł - wtrącił Kutrzeba.

- Tak słyszałem. Ale nie upomniał się u nowego pana o starego druha. Zresztą, co mi tam. I tak bym nie poszedł! Mnie wolność pachniała. Grabiłem jak dawniej, aż jednego dnia porwałem się na samotną Cyganę. Com sobie zamyślał, to wam nie będę nawet mówił, ale gdym ją już miał w ręku, to mnie zaklęła.

- Sara?

- Ano ona.

- I teraz jej musisz służyć?

- Ja nikomu nie służę! - Warknął odruchowo wielkolud. - Ona na mnie urok rzuciła. Potężny.

- Kochasz ją! - Odgadł Kutrzeba, wspominając marne wiersze recytowane przez wielkoluda w podgórskiej knajpie.

- To cię dopadła!

Burzymur zawarczał tylko w odpowiedzi i nie odzywał się więcej.

- Niech ci ta twoja czarna sny chroni - burknęła tylko Sara, gdy już weszli do kajuty. Splunęła przez lewe ramię. - Ja się ciebie nie tknę. Przeklęty jesteś.

- Nie chodzi o moje sny, ale całej załogi. Tej, której obiecałaś pomagać.

- Ja się na snach nie znam!

- To zdradź, na czym się znasz. Może coś wymyślimy?

- Powiedz mi - głos Sary nabrał niespodziewanie spokojniejszych, prawie uwodzicielskich nut - czemu ty

Marsjaninowi służysz? Czemu ci z nim po drodze? Ja wszystkiego nie wiem, ale przecież widzę, że ciebie inna droga woła. Nie lepiej by ci było na nią zawrócić? Ja bym ci w tym nawet pomogła, bo ty nieszczęście przyniesiesz temu statkowi i tej wyprawie.

- Sny, Saro. Interesują mnie sny załogi i niech ciebie też one zainteresują. Przeciw Nowakowskiemu załoga się nie zwróci, w każdym razie nie od razu. Ale to ludzie przesądni, jak wszyscy. Jak sądzisz, jak szybko dojdą do wniosku, że wszystko, co ich złego spotyka, to wina Cyganki? Zajmij się ich snami, Saro. Dla własnego dobra. Wierzę, że znajdziesz sposób.

- Może i znajde! - Warknęła. - Ale ciebie nie tknę. Ty sobie śnij koszmary!

- Przywykłem - oparł spokojnie Kutrzeba i odszedł.

- A jego byś nie mogła zakląć? - Odezwał się Burzymur. - Zauroczyć?

- Jemu już żaden urok niegroźny - westchnęła. - On już bardziej demon niż człowiek. Prawie mi go żal. Opowiedz mi jeszcze raz o tych koszmarach, Burzymurciu. Ja żadnego nie śniłam.

Kutrzeby nie interesowały opowieści wielkoluda ani magiczne umiejętności Sary. Korzystając z rzadkiej wolnej chwili, usiadł na nasłonecznionym zewnętrznym pokładzie. Zmora próbowała porozmawiać, ale ofuknął ją tylko. Otworzył książkę zabraną z kajuty z samego rana. Dawno już nauczył się, że oderwanie od codzienności, choćby na chwilę,

sprzyja rozwiązywaniu problemów. I odpoczynkowi. A był przekonany, że będzie potrzebował wytchnienia na zapas.

- Co tam pan czyta ciekawego?

Mioczka obrażał się na niego może i często, ale na krótko. Wypełniony duszami malec pośród wielu innych zdolności posiadał także moc pozwalającą mu odnajdywać Kutrzebę, gdziekolwiek by się ten nie ukrył.

- Jakież magiczne księgi? - Dopytywał się, podchodząc ostrożnie, ale zdecydowanie. Nie przypominał teraz nawiedzeńca, istoty pełnej niebezpiecznych mocy, ale zwyczajne dziecko. Nie różnił się wiele od berbeci wspinających się na ojcowskie kolana, ciekawych czym właśnie zajmuje się dorosły. Dzieci nie znały znaczenia słowa „przeszkadzać”. Gnała je nieopanowana ciekawość i wiara, że przecież rodzice nie obrażą się na własne dziecko i istnieją po to, by zaspokajać każde jego pragnienie.

- Powieść - Kutrzeba starał się odpowiedzieć oschle, zbyć gówniarza, zewnętrzna powłoka nawiedzeńca przywoływała jednak zbyt wiele wspomnień. Czy umysł nosiciela przetrwał w ogóle inwazję obcych osobowości? Czy raczej duchy osiadły w nim, wypierając gospodarza i pozostawiając tylko jego dziecięce ciało, zdolne wprawiać w zakłopotanie dorosłych?

- Powieść? - Zdumiał się Mioczka i zapominając o ostrożności, nachylił się nad książką. - Powieść! Pan Nowakowski nigdy nie czyta powieści. I pan Czus też. To strata czasu i energii.

- Marsjanie nie rozumieją, co to znaczy wyobraźnia, kapitanie. Zmyślane opowieści to dla nich bełkot. Nie śnią, nie marzą, nie czytają powieści. Są konkretni aż do bólu. Dlatego wciąż nie mogą nas zrozumieć.

- A pan Czus?

- Czus pewnie sam chciałby zostać Marsjaninem. Czegoś chcesz jeszcze ode mnie, czy dasz mi nareszcie chwilę spokoju?

- Niech mi pan poczyta.

- Zwariowałeś.

- Proszę. Nigdy nie czytałem powieści. O czym ta jest?

- O tym, że nasze plany, choćby i najlepsze, zawsze zderzają się z planami innych. Czytam tę powieść w kółko, by o tym pamiętać.

- To chyba nie jest dobra powieść dla kapitana sterowca - ocenił Mioczka, ale nie odszedł. A gnębiony wspomnieniami Kutrzeba poddał się wreszcie i zaczął czytać na głos:

Poruszyć te gmachy i setki im podobnych; zmylić tę straż i tysiące innych, które czuwają nad bezpieczeństwem Egiptu; okazać nieposłuszeństwo prawom, które pozostawił Ramzes Wielki i inni, jeszcze więksi przed nim mocarze, a które dwadzieścia dynastii uświęciło swoim poszanowaniem...

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

Mały golem śledził ich aż do knajpy „U Stasinki”, gdzie dało

się tanio zjeść i niedrogo popić. Stołował się tam cały Kraków, toteż lokal rozrastał się prawie z każdym rokiem, wzbogacając się o nowe pomieszczenia, ale nie o pozycje w menu. Stasinka stawiała na prostotę i na niej wygrywała. Bywały w Krakowie lokale tańsze, bywały i bardziej wyszukane, żaden jednak nie był równie oblegany. Pomimo to jakoś znalazły się dwa wolne miejsca dla Kutrzeby i jego towarzysza.

Odstali swoje, ale dopisało im szczęście - ledwie znaleźli się na początku kolejki, a już dwaj posepni mężczyźni około czterdziestki, surowością tanich garniturów i ponurością spojrzeń przypominający urzędników miejskich, skończyli obiad. Po chwili Kutrzeba siedział już obok zwalistego mężczyzny, o którego stroju nie dało się powiedzieć prawie nic, poza tym że był absolutnie anonimowo byle jaki. Jego towarzysz - nieogolony typ o przekrwionych, lekko skośnych oczach, siwiejących włosach, wyrazistej szczęce naznaczonej starą blizną po nożu i zaniedbanych siwych bokobrodach nie wyglądał zachęcająco, ale Kutrzeba jadał już w gorszym towarzystwie. Spoczął naprzeciwko siwego, nie pytając nawet, czy wolne. Szuler zajął miejsce po drugiej stronie stołu.

- Siedzi na dachu naprzeciwko i się gapi - zameldował człowiekowi. - Nie ma szans, by teraz widział twoją twarz. Nawet jeśli czyta z ruchu warg, jest bezsilny.

- A z twoich nie przeczyta? - Warknął siwy.

- Z moich nikt nic nie przeczyta - odparł wesoło Szuler. -

Ale z twoich może. Więc lepiej siorb ten barszczyk, mlaskaj i mów tylko z gębą przy misie.

Siwy zaklął.

- Melduj - nakazał Kutrzebie, nie patrząc na niego.

- Nawiązałem kontakt z Szymanem. Będziemy współpracować. To pewnie jego golem mnie śledzi. Czy on siedzi w tym całym interesie, jeszcze nie wiem. Ale to możliwe. Co z nim zrobicie?

- Nie twój zasrany interes - wysiorbał siwy. - Rób swoje. Szybciej, bo coś mi się opieprzasz.

- Nie mogę go tak po prostu naciskać, bo się spłoszy. Na razie sprzedałem im skok i chyba się na niego napalili. Jeśli on jest tamtym oddany, to będą chcieli przechwycić skarb. Wtedy byście mogli ich złapać.

- Nasza sprawa, kiedy będziemy kogo łapać. A ty rób swoje. I to rób szybko. Pozwalamy ci na tyle, że powinieneś się wykazać. No, ale ja mam coś dla ciebie. Córka Szymana gdzieś przepadła. Niby ją wysłał na studia do Wiednia, ale zbadaliśmy, że nigdy tam nie dotarła. Dwa miesiące już jej nie ma. Szukaliśmy jej i szukali, i zgadnij, gdzie się odnalazła?

- Pewnie gdzieś na wschodzie?

- A nie, bo w Berlinie. - Siorbanie na moment podejrzenie przypominało śmiech. - To trochę gorzej, bo mało mamy tam ludzi. Ale jakby się okazało, że ten Żyd to nasz człowiek, możemy ją porwać.

- Albo odbić.

- Odbić?

- Szyman miał rodzinę w Petersburgu. Wie, co tamci robią z takimi jak on. Po dobroci by z nimi nie poszedł. Jeśli mają jego córkę, mogą od niego żądać, czego chcą. Jakbyśmy ją odbili, stanąby po naszej stronie. Po co marnować takiego fachowca, jeśli można go zwerbować?

- No to może będziemy ją odbijać - zgodził się siwy. - A teraz bywaj. Mówicie, że to tamten paskudny golem? Będziemy mieć na niego oko. A ty weź się żwawiej do roboty.

- Nie cierpię glin - podzielił się uczuciami Szuler, gdy siwy już odszedł. - Po coś nas w to wplątał? Tak już namotałeś, że za chwilę sam się potkniesz o którąś z nici tej swojej plątaniny.

Zamówili po barszczu i pierogach.

- Sprawa jest skomplikowana. Musimy się dostać w dobrze strzeżone miejsce i przyda się każda pomoc. Jeśli dopisze nam szczęście - Kutrzeba mrugnął do Szulera - to wyjdziemy z tego bez szwanku i jeszcze zarobimy. A kontakt z pułkownikiem Koryckim może nam się przydać i na przyszłość. To nie zwykły glina, przyjacielu. Ważna persona z krakowskiego wywiadu to ktoś, kto może pomóc, jeśli wszystko się posypie.

Rozdział 4

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

Pogoda psuła się, w miarę jak zbliżali się do granic Wiecznej Rewolucji. Nikogo to nie zaskoczyło, na pograniczu pogoda zawsze była paskudna. Granic strzegły nagromadzone przez zniewolonych planetników ciężkie burzowe chmury, gotowe w każdej chwili razić ewentualnych najeźdźców piorunami. Zindoktrynowane ideologicznie wichury czaiły się wśród szkieletów drzew i ludzi - pozostałości po niekończących się bitwach Puszczy z Rewolucją.

Nawet Wanda przestała ryzykować i obserwowała okolice wyłącznie z wnętrza kabiny. Choć senne ataki ustały, członkowie załogi chodzili źli i podenerwowani. Burzymur, wsparty mocą swojego trzymetrowego autorytetu, nie omieszkał im wyjaśnić, że to Sarze zawdzięczają ratunek od koszmarów, toteż Cyganki się nie czepiano. Obrywało się za to sprzętowi. Na pokładzie sarkano na liny i haki, w maszynowni wiele gorzkich słów padło pod adresem pożerającego zbyt chciwie paliwo silnika, w kuchni ciężkie chwile przeżywały garnki i talerze. Nie pomógł Mioczka, który szybko przypomniał wszystkim, że nawet niewinnie

rzucione w złości przekleństwo może przynieść zgubę całemu statkowi, jeśli na przykład ktoś zeklnie linę, a zła energia przeniknie ją i zepsuje. Przekleństwa ustały, ale złość, której nie można było rozładować, tylko w ludziach rosła.

„Jagiełło” śledził ich cały czas. Choć nie zbliżał się, to i nie pozwalał zgubić. Co gorsza Mioczka zameldował Nowakowskiemu, że zbliża się do nich kolejny sterowiec. Nie było go jeszcze widać, ale kapitan „Batorego” potrafił wyczuć jego obecność.

- Czy sprostamy dwóm okrętom, jeśli przyjdzie co do czego? - Zapytał Kutrzeba pewnego wieczoru.

- Byłoby trudniej - przyznał Nowakowski.

Siedzieli w jego saloniku we czwórkę. Kutrzebie towarzyszył Grabiński, Marsjaninowi zaś Czus. Nowakowski okazał się fascynatem brydża. Znalazł w Grabińskim równego sobie miłośnika gry. We dwóch nauczili Kutrzebę podstaw i wciągnęli do wieczornych partii, służących im także za pretekst do narad, ku niezadowoleniu rygorystycznie podchodzącego do gry Czusa. Brydż, przy którym odzywano się nie tylko podczas licytacji, nie był dla służącego brydżem prawdziwym, a karykaturą szlacheckiej gry; obrazoburstwem i profanacją.

- Nie przewidział pan tego? - Zgadł Kutrzeba, zgarniając atutowego króla asem. Przez chwilę Marsjanin sprawiał wrażenie niepewnego, czy pytano go o grę, czy o wyprawę.

- Nie wszystko się da przewidzieć - odparł wreszcie. - Choć ten as... obawiam się, że nieco rozprasza pan dobrego

pana Czusa podczas licytacji, stąd pomyłki. Nie, to bardzo dobrze - powstrzymał przeprosiny sługi. - Gra staje się dzięki temu niecodzienna.

Czus pokręcił mimowolnie głową, lecz prędko zapanował nad sobą. Poczerwieniał zawstydzony. Rumieńce dodały życia jego zazwyczaj statecznej, bladej twarzy, a wyczuwszy to, zawstydził się jeszcze bardziej. Zagubiony wśród przyglądających mu się z łagodnym rozbawieniem mężczyzn, zebrał blotki dziesiątką atu i zdając sobie sprawę, co uczynił, zasłonił twarz kartami, by gracze nie dostrzegli paniki w jego oczach.

Jak wszyscy egotyczni panikarze przejmował się niepotrzebnie. Grabiński, udając brak zainteresowania rozgrywaną przez Kutrzebę partią, bawił się kieliszkiem. Zupełnie nie interesował go Czus i jego klęski i upokorzenia. Kutrzeba, który bardzo nie chciał przegrać, skupiał się na grze tak mocno, że aż karykaturalnie przesadnie. Natomiast Nowakowski wydawał się w ogóle nie zwracać uwagi na tarapaty sługi.

- Radziłbym nie przekraczać granic Rewolucji - odezwał się Grabiński i tym razem Czus poczuł do niego wdzięczność za złamanie brydżowej etykiety. - Oni tam są bardzo czuli na tym punkcie. Poszczuliby na nas wszystko, czym dysponują.

- Był pan tam kiedyś?

- Skądże! Stamtąd się nie wraca. To znaczy w większości przypadków. - Zerknął na Kutrzebę. - Tak czy owak, na kolei krąży wiele opowieści. Próbowaliśmy kiedyś odtworzyć część

trakcji w pobliżu granicy. Nawet przy zawarciu porozumień z tamtymi różnie bywało. Ostatecznie Koleje musiały zrezygnować.

- Powinniśmy zaatakować pierwsi - oświadczył Kutrzeba, zbierając kolejną z niezbędnych lew.

- Wieczną Rewolucję? - Nowakowski uniósł jedną z brwi, bardzo dumny z opanowania tego gestu.

- „Jagiełłę”. Powinniśmy zaatakować „Jagiełłę”, nim dołączy do niego drugi sterowiec.

- Nieprowokowani? Oni nie wykonali wobec nas żadnego wrogiego gestu.

- Nie licząc koszmarów - przypomniał Grabiński.

- Prawda - skinął głową Marsjanin. - Zapomniałem. Jednak czym innym jest zesłanie na kogoś złych snów, a czym innym ostrzelanie statku.

- Nie zgadzam się. - Kutrzeba przeliczył lewy i zmarszczył brwi. Wciąż brakowało mu dwu. - W naszym świecie to dokładnie to samo. Zwerbował mnie pan, bym radził w niespodziewanych przypadkach. Teraz mamy z takim do czynienia. Musimy oddalić się od granicy i zaatakować „Jagiełłę”, nim otrzyma wsparcie. Może dałoby się go odciągnąć nad Dzikie Pola, by nie ryzykować bitwy przy granicy Rewolucji? Wiemy, że jego kapitan nie ma wobec nas pokojowych zamiarów. Jeśli otrzyma wsparcie, nawet nie będzie musiał wszczynać z nami walki, po prostu zepchną nas za granicę Rewolucji. Na pograniczu nie wykorzystamy w pełni umiejętności Mioczki, bo moce na usługach

Rewolucji mogą uznać to za prowokację. Znaleźliśmy się w złej sytuacji i musimy to zmienić. Albo atakujemy, albo zawracamy.

- Nie traci pan czasu na subtelności, prawda?

- Nie zatrudnia mnie pan dla moich słynnych talentów dyplomatycznych.

- Budzi pan miłe moim sercom wspomnienia. - Nawet utrata kolejnej z lew nie zburzyła spokoju Marsjanina. - Z czasów, gdy dowodziłem flotą. I ja bywałem wtedy skłonny do agresywnych kroków. Choć przyznaję, że nie musiałem nigdy zmagać się z silniejszym przeciwnikiem.

- Dlatego niech pan posłucha rady Polaka - wtrącił się Grabiński. - W zmaganiach z silniejszymi mamy bogatą tradycję.

- Co widać nawet i tu - oznajmił Kutrzeba, zgarniając wreszcie ostatnią z lew. - I pięć w kierach wzięte!

- Szczęście nowicjusza - odważył się bąknąć zdesperowany Czus i zaraz przeprosił, zawstydzony jeszcze mocniej. Utkwił spojrzenie w kartach otrzymanych w nowym rozdaniu i udawał, że nie dostrzega świata poza nimi.

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

- Ja wszystko widzę - jowialność w głosie herr Kuntza drażniła Kutrzebę. - Pan jesteś nowy w tym interesie, ledwie opierzony. Mądrze robisz, zwracając się o pomoc do

fachowców. Ale czemu aż do dziesięciu? Starczyłaby połowa.

- Połowy starczyłoby na klęskę, herr Kuntz. Ja chcę zachować głowę i zarobić.

Któryś raz z rzędu przychodzili popatrzeć na Wawel. Gnom uparł się, że potrafi dostrzec rzeczy, których nie umie zobaczyć nikt poza nim. Przede wszystkim miał na myśli słabości smoka, którego pora karmienia właśnie się zbliżała. Z Kutrzebą przywitał się niemal wylewnie, Szulerowi ledwie skinął głową, traktując go widać jak ochroniarza, a nie współnika. Bóg przyjął rolę i nie odzywał się, jak na porządnego ochroniarza przystało.

Gdy jedni strażnicy miejscy trzymali gapiów odpowiednio daleko od Smoczej Jamy, drudzy pędzili już ku niej stadko dokładnie ostrzyżonych owiec i baranów oraz trzy świnie. Otumanione jakimś specyfikiem, a może czarami, zwierzęta nie wyglądały na zdenerwowane. Potulnie dały się zaprowadzić ku jamie i nie okazały strachu, nawet gdy wyłonił się z niej smoczy pysk - długi, zielonobrazowy, przypominający nieco łeb krokodyla, ale znacznie większy. Jasnozielone smocze oczy nie były pozbawione inteligencji.

Gapie zaczęli klaskać na widok gospodarza jamy. Bestia zwróciła ku nim łeb, pochylił go w geście, który zebrani wzięli najwyraźniej za ukłon, bo wzmoгли oklaski. Nie zwracając już na nich więcej uwagi, smok wygramolił się całkiem z pieczary. Przyglądał się dłuższą chwilę zwierzętom, jakby zastanawiając się, które z nich wybrać najpierw. Wreszcie sięgnął potężną łapą po najmniejszą z

owiec, nabił ją na pazur, podrzucił nad głowę i złapał w powietrzu, miażdżąc jednym kłapnięciem potężnej paszczy.

Do oklasków dołączyły wiwaty.

Herr Kuntz widocznie pozieleniał.

- Popisuje się! - Jęknął, zasłaniając usta perfumowaną chusteczką. - To przekłete bydlę przekształciło rzeź w spektakl!

- Ludziom się podoba.

- Ludzie...! - Zachnął się gnom, ale nie dokończył myśli, być może podejrzewając, że Kutrzeba mógłby mieć mu za złe rozmyślania na temat różnic między gatunkami.

Dalszą ucztę smoka obserwowali w milczeniu. Gdy żegnany oklaskami jaszczur wrócił do legowiska, herr Kuntz otarł pot z czoła i wyraził nadzieję, że złota i srebra w smoczej jamie jest naprawdę sporo.

- O ile tam rzeczywiście cokolwiek jest. - Obrzucił Kutrzebę poważnym spojrzeniem. - Bo jednak wydaje mi się dziwne, że nikt tego skarbu dotąd nie znalazł.

- Kto miał go szukać? Gdy flisacy go ukrywali, wokół szalała wojna, a miasto kilkukrotnie przechodziło z rąk do rąk. Panował chaos. Po wojnie też nie było lepiej. Kraków był w ruinie, stacjonowały w nim wojska nie jednego, a dwóch zaborców. Zginąć było tu łatwiej niż żyć. Nawet ci, którzy wiedzieli o skarbie, bali się po niego wrócić.

- A po Kresie? Czemu żaden mag tego nie znalazł? Czemu smok tego nie wyczuł?

- Może przez czakram? A może dlatego, że wzgórze pełne

jest zapomnianych starożytnych ruin, kości, świętych drzew i posążków zakazanych bogów? Tu nikt nie kopie, herr Kuntz, nikt niczego nie szuka. Przyjęto, że wszystko, co tkwi w tych skałach i ziemi, wzmacnia moce Wawelu. Kopanie tutaj to świętokradztwo.

- Czyli jeszcze i to mamy wziąć na sumienie?

- Pan ma sumienie, herr Kuntz? Coś tak bezwartościowego?

Gnom zarechotał nieszczercze.

- A pan? Panie Oceański, nie będę owijał w bawełnę, starałem się czegoś o panu dowiedzieć. Ale nikt nigdy nie słyszał o żadnym Oceańskim. Nic to, przyjąłem, że podał pan nam fałszywe nazwisko. Popytałem u wróży, kazałem pana śledzić ludziom wrażliwym na moce. I wie pan co? Wróże nie potrafią pana wyczuć ani opowiedzieć pańskiej przeszłości bądź przyszłości. A ci drudzy umieją tylko rzec, że znajduje się pan pod szczególną ochroną, której natury nie pojmują, ale która ich zdaniem stanowić może rodzaj klątwy. Sądzi pan, że coś takiego pomogło mi zbudować zaufanie do pana?

- Niech pół tony srebra je zbuduje, herr Kuntz. I jeszcze ćwierć tony złota. Tyle tam zostało.

- I wie pan to od duchów? Przecież z żadnym, który by coś wiedział o tamtych wydarzeniach, nie można nawiązać łączności!

- Te, które można łatwo znaleźć, odciąłem.

- Kim pan jest, u diabła, że ma pan takie możliwości?

- Herr Kuntz, czy ja pana pytam, kim pan jest i jakie

naprawdę nosi pan nazwisko? Co robi pan w Krakowie, skoro nie groziło panu żadne niebezpieczeństwo w Berlinie, z którego przyjechał pan rok temu? Nie, herr Kuntz, ja pana o to nie pytam. Ufam, że - podobnie jak ja - chce pan zarobić. Pół tony srebra, herr Kuntz. To nie jest skok na jakiś bank. To wtargnięcie pod wawelskie wzgórze, jedno z najlepiej strzeżonych miejsc w mieście. To oszukanie smoka i strażników, wymknięcie się wróżom i wywiezienie prawie tony kosztowności w ciągu jednej nocy. Coś takiego wymaga przygotowań, a te przygotowania kosztują. Nie jestem jakimś złodziejaszkiem czy byle bandytą, herr Kuntz, ale poważnym inwestorem. Gdybym nie kupił zabezpieczeń przed wróżami, to od dawna musiałbym się obawiać najlepszych jasnowidzów z wawelskiego wzgórza, bo oni wiedzieliby o tym skoku, jeszcze zanimbym go panu zaproponował. A pan się martwi, że się zabezpieczam? Niech pan będzie szczęśliwy z tego powodu, herr Kuntz. Niech pan pomyśli, że opłaciłem nawet zabezpieczenia obejmujące was wszystkich.

- Zbytek łaski! - Warknął gnom, ale opanował się szybko. - To znaczy, bardzo jestem panu wdzięczny, oczywiście. Ale ze mnie niech pan te osłony zdejmie. Posiadam własne i obawiam się, że pańskie mogą neutralizować moje.

- Jak pan sobie życzy. Czy mogę uznać, że jesteśmy współnikami?

Gnom skinął głową. Bez wahania uściśnął wyciągniętą ku niemu dłoń i odszedł.

- Myślisz, że ci uwierzył? - Zapytał Szuler.

- Tak się przestraszył tych moich zabezpieczeń, że w nie uwierzył na pewno.

- Nie chronisz ich przecież. Nie stać cię.

- Ale on nie ma jak tego sprawdzić. Zresztą, wróże i tak nas nie śledzą. Korycki o to zadbał.

- Kiedyś pogubisz się w swoich kłamstwach, Mirku.

- Wszystko jest kłamstwem, przyjacielu. Nasze życie to ułuda. Jeśli wierzysz, że zawsze, czy choćby jutro, będzie tak jak w tej chwili, okłamujesz sam siebie. Ten gnom udaje, że nie pracuje dla Rewolucji, chociaż golem, który nas śledził, pobiegł prosto do niego. Ja okłamuję jego. Korycki pewnie też jakoś mnie okłamuje. Wygra ten, który okaże się najlepszym oszustem.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

- Podobno oszukał pan śmierć? - Wanda odnalazła Kutrzebę, gdy ten przypatrywał się Wiekuistej Puszczy z dziobu okrętu. Pozostawił Marsjanina samego z doradcami, uznając, że będzie lepiej, jeśli bez niego przemyślą to, co im powiedział. Mioczki pozbył się po przeczytaniu jednego rozdziału powieści. Choć nawiedzeniec napraszał się dalszej lektury, Kutrzeba demonstracyjnie zamknął książkę i odszedł.

- Nie ma z tobą Jaśka?

- Chciałam z panem porozmawiać sama, więc tatko trochę pomógł mu się zgubić na dolnym pokładzie.

- Wygląda na to, że stworzyłem patrona nam obojgu. Czego ode mnie chcesz, mała?

- Na początek odpowiedzi na pytanie.

Podeszła do niego i jak on oparła się o balustradę. W ciemnościach prawie nie było widać drzew, można było za to wyczuć ich drapieżną obecność. Gdyby mogły, rozerwałyby sterowiec na strzępy i pożarły jego pasażerów. Nienawidziły ludzi tak bardzo, że gotowe były poświęcać całe hektary Wiekuistej, byle tylko wygrywać kolejne bitwy i wypierać z nich ludzi. Kutrzeba słyszał, że podobno istniały jakieś plemiona, które doszły z Puszcza do porozumienia. Nie wierzył w to. By zacząć negocjować, trzeba pozostać żywym na czas rozmów, a żaden człowiek nie przeżył spotkania z drzewami Wiekuistej, jeśli nie liczyć wstrząśniętych weteranów kolejnych wojen. Owszem, w innych lasach ludzie mogli żyć wśród nawiedzonych drzew i zwierząt, jak choćby Sara. Nawiedzone lasy bywały dzikie i niebezpieczne, jednak żaden z nich nie nienawidził ludzi tak bardzo jak Wiekuista Puszcza. Co najwyżej polowały na nich jak na inne zwierzęta.

- Kto ci to powiedział? Szuler? Z nim przy boku dokonaliśmy tego i owego.

- Nie tatko. Pan Grabiński. Powiedział, że powieszono pana w Kielcach, ale pan oszukał śmierć.

- Ach to... - Zatęsknił za papierosem. To była niezła chwila, by się zaciągnąć, choćby po to, by zastanowić się nad

odpowiedzią. Zmora podpowiedziała mu kilka. Ku jego zaskoczeniu żadna z nich nie dotyczyła wyrzucenia Wandy za burtę. – Nie można oszukać śmierci, dziewczyno. Da się igrać z demonami i bogami, a nawet z urzędnikami podatkowymi. Ale śmierć jest nieprzekupna i złośliwie bystra. Jak już umrzesz, to nie żyjesz.

– Czyli nie powieszono tam pana?

Zmora zachichotała. Kutrzebę dziwiło, a nawet niepokoiło, że podobnie jak większość znanych mu nadnaturalnych istot, i ona musiała żywić słabość do Wandy. Nawet Mioczka zaczynał oglądać się za dziewczyną jak zakochany szczeniak. „Do diabła, sam lubię tę smarkulę!” – uświadomił sobie. Jednak zmora była związana tylko z nim, nie powinna żywić ciepłych uczuć do nikogo innego. A może to jego sympatia do dziewczyny na nią oddziaływała?

– Powiesili mnie. – Czasem nic tak nie zniechęcało natrętów jak szczerść. – Zabiłem tam łajdaka, który kiedyś doprowadził do śmierci mojej żony i dzieci. Ale oni widzieli w nim tylko szefa jednej z największych międzynarodowych spółek handlowych; gościa, który dawał zatrudnienie przynajmniej połowie z nich, łożył na szkoły i szpitale. Prawie świętego.

– Może chciał odkupić winy?

– W takim razie wystawiłem mu odpowiedni rachunek. Uwierz mi, dziewczyno, na jego zapłacenie nie wystarczyły te drobniaki dobrych uczynków. Za krew płaci się krwią. Śmierć to jedyna moneta.

- Jak pana złapali?

- Nie było ze mną Szulera. Jego nieobecność przynosi mi pecha.

- Pan Grabiński mówił, że pewnie chciał się pan dać złapać. Żeby wszyscy myśleli, że pan nie żyje.

- Pan Grabiński czasem za bardzo kombinuje. Złapali mnie, bo skręciłem nogę, gdy przeskakiwałem taki jeden murek. Straciłem tam cholernie dobre pistolety.

- Pan mnie zwodzi! A ja chcę wiedzieć, jak pan przeżył.

- Znasz moją opiekunkę, prawda? W razie czego potrafi zwiększyć moje możliwości. Wytrzymam dłużej niż zwykli ludzie bez jedzenia i picia, potrafię nie spać przez tydzień albo dwa i prawie nie czuć przez to zmęczenia. A czasem moje mięśnie i kości reagują trochę inaczej. Na przykład mój rdzeń kręgowy potrafi wytrzymać więcej, a pętla zaciskająca się wokół szyi nie udusi mnie tak łatwo. No i serce może zwolnić tak bardzo, że marny lekarz - albo, powiedzmy, kat - nie usłyszy jego bicia. Jeśli masz przyjaciółkę, która umożliwia ci to wszystko, musisz tylko odstawić komedię: widowiskowo rzucić się na sznurze, charczeć, wreszcie zeszywnieć. Tłuszcza ci uwierzy, bo zobaczy to, co chciała zobaczyć. Potem zapadasz w sen, bo mózg nie wytrzyma zwolnionego rytmu serca, i wszyscy wierzą, że nie żyjesz. Tylko kostucha puszcza do ciebie i oko i grozi ci łobuzersko palcem, bo jej nie da się oszukać. Czy zaspokoilem twoją ciekawość?

- Prawie. A co potem?

- Potem człowiek się budzi na żerowisku cieni i potrzebuje nowych spodni, bo organizm też został oszukany i zareagował po swojemu. Czemu pytasz o to wszystko?

- Sara twierdzi, że pan już nie jest człowiekiem, tylko żywym trupem. Chciałam się przekonać. I nie spotkałam jeszcze nikogo, kto by przeżył śmierć. Wie pan, kiedyś będę chciała porozmawiać z tą pana przyjaciółką.

Obróciła się ku Kutrzebie, ale wyczuł, że nie patrzyła na niego, ale na zmore. Ta zareagowała dziwnie. Przestraszyła się Wandy, ale i ucieszyła na myśl o zapowiedzianej rozmowie.

- Kim ty jesteś, dziewczyno? - Szepnął Kutrzeba.

- Jeszcze nie wiem, proszę pana - odpowiedziała wesoło. Dygnęła i uciekła. Może dlatego, że wyczerpała swoją ciekawość na ten wieczór, a może dlatego, że Jasiek odnalazł w końcu drogę i teraz zbliżał się do nich.

- Pan Marsjanin wszędzie pana szuka!- zawołał na widok Kutrzeby, udając, że wcale nie zainteresował się Wandą. Najpewniej Sara podpowiedziała mu nową strategię. - Spotkałem pana Grabińskiego, on też kazał mi pana szukać.

- Pan Grabiński - mruknął Kutrzeba. Musiał się dowiedzieć, skąd Grabiński wiedział o wydarzeniach w Kielcach. Czy wieści mogły dotrzeć do zapijaczzonego dróżnika na zabitej dechami wsi? - No, skoro oni dwaj tak mnie szukają...

- Co pan myśli? Że po co?

- Myślę, Jaśku, że trzeba nam się szykować do bitwy.

Rozdział 5

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

Stawili się uzbrojeni po zęby w starą, wysłużoną broń, typową dla półświatka z Zakrzówka, albo w to, co kto zdobył w ostatniej chwili. Przynieśli noże i szable o rodowodzie liczonym w dziesięcioleciach i w wiekach. Za pasy powtykali pałki, samopały i wyglądające czasem porządnie, choć też naznaczone wiekiem, pistolety. Duńko zdobył nawet całkiem nowy karabin, a herr Kuntz ugiął się pod ciężarem garłacza, który na jego gnomich plecach wyglądał jak armata. Mieli też ze sobą liny, szpadle, siekiery i kilofy. Trudno się było nie uśmiechnąć na ich widok.

Szyman zjawiał się w towarzystwie pięciu golemów, które miały zająć się transportem skarbu. Pomalował je w nieregularne grafitowe i bure plamy, dzięki czemu stwory były prawie niewidoczne, gdy w ciemnościach opierały się o ściany kamienic.

- To wszystko na smoka? - Kutrzeba opanował rozbawienie i uniósł brwi w wyrazie dezaprobaty. - Przecież mówiłem, że bydlakowi nic się nie może stać.

- Jak się na mnie wyszczerzy, to nie będę myślał o tym, kto mnie potem będzie ścigał, tylko o tym, że albo on, albo ja -

wystękał herr Kuntz. - Jakby co, wystrzele mu prosto w pysk i położę drania trupem. Napatrzyłem się, co potrafi. To na wypadek, jakby pańskie tajne metody zawiodły, herr Oceński.

- A właśnie - odezwał się Gudrycz, chudy stary bandyta ze Lwowa, z którego przeniósł się do Krakowa, jak sam mówił: „Na emeryturę, bo tu spokojniej”. - Zanim tam pójde, chcę wiedzieć, jak żeś pan tego smoka uspił. Jak pewnie i my wszyscy.

Obejrzał się na kompanów, a ci pokiwali głowami zgodnie a ponuro. Tylko herr Kuntz się wyszczerzył, zdradzając, że to on podsunął Gudryczowi pomysł niemalże buntu.

- Mamy trochę czasu. - Kutrzeba wzruszył ramionami, jakby nie zauważał napięcia albo przynajmniej nic sobie z niego nie robił. - Jak się nad tym zastanowić, sprawa była prosta. Smok zje tylko starannie wyselekcjonowane mięso z miejskich hodowli, prawda? Urządzą z tych jego posiłków widowiska raz dziennie.

Gnom zbladł na wspomnienie.

- Wszyscy je widzieliśmy - odezwał się Duńko. - I co z tego?

- Widzieliście to, co chcieli wam pokazać. A powiedzcie mi, szlachetni mężowie, co smok pije?

- Wodę z Wisły? - Spróbował odgadnąć najmłodszy ze wszystkich Jacek zwany Jajcusiem. Wzbudził tym powszechną wesołość. Napięcie opadło, gdy bandyci zgadywali jak długo mógłby pożyć smok po wypiciu „łyku

wiślanej krynicy” albo czy poradziłyby sobie w starciu ze zmutowanymi wiślanymi rybami, jakimi matki straszły krakowskie urwisy.

- No więc co smok pije? - Przerwał żarty herr Kuntz, któremu humor psuł się wyraźnie, w miarę jak Kutrzebie się poprawiał.

- Źródlaną wodę, wino, miód, czasem nawet gorzałkę - wyjaśnił Kutrzeba. - Wszystko równie dobrze selekcjonowane jak i żarcie. Wybrani więźniowie nawet kosztują tych napojów, nim trafią do smoka, sprawdzając, czy ktoś ich nie zatrul bądź czy nie nadpsute. Musicie wiedzieć, że bydlak dostaje naprawdę przednie trunki.

- To są jakieś bajdy! - Zachnął się Duńko. - Podmieniłeś je pan, czy nie? Dałeś radę?

- Dałem.

- Jak? - Gnom już nie mówił, ale krzyczał. - Jak, u licha, dałeś pan radę podmienić wodę smokowi?

- Sprawdzają, czy trunek nie jest zatruty - teraz to Kutrzeba wyszczerzył się radośnie do Kuntza - ale nikt nie sprawdza, czy jest mocny. Wystarczyło podmienić beczki u dostawcy. Na wino równie dobre, ale cięższe i mocniejsze. Więźniowie nie skarżyli się, że dostali mocniejsze wino do spróbowania, bo humory i gusta smoka to nie ich sprawa. Że trunek nie jest zatruty, przekonano się, gdy nic im się nie stało. A przecież nie upili się szklanką, prawda? Co innego smok, który wypił dziś tego wina pięć beczek.

- Jeśli rozumiem - jak zwykle, gdy do rozmowy wtrącał się

mistrz Szyman, pozostali zamilkli - nie otruł pan smoka, ale go upił?

- To nawet lepiej, prawda? Obserwowałem go dzisiaj podczas karmienia. Nawet wzbudził niepokój strażników, bo coś strasznie porykiwał. Okazało się, że to był smoczy śpiew. Zażądał jeszcze wina i dostał kolejną beczkę, a potem jeszcze jedną. Przed czwartą był pijany w sztok. A teraz śpi jak zabity. Jedyne, co może się wam nie spodobać, to jego chrapanie.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju*

- O tej porze pewnie większość z nich śpi - mamrotał Mioczka, jakby litania pobożnych życzeń mogła zapewnić powodzenie planom załogi „Batorego”. Co chwila zerkał nerwowo na Kutrzebę, nie mogąc się nadziwić, że mężczyzna zamiast swojego kapelusza ma na głowie hełm stanowiący część wyposażenia sterowca

- Kapelusz pozwala wyglądać i czuć się jak największy chojrak w okolicy. Ale kiepsko chroni przed odłamkami - wyjaśnił mu Kutrzeba, lecz Mioczce wyraźnie trudno było przyjąć to do wiadomości. Cokolwiek myślały mieszkające w nawiedzeńcu duchy, w oczach dziecka mściciel wyraźnie stracił.

Dzień nie wstał jeszcze, ale już przejaśniało się nad

Wieczną Puszczą. To nie pierwsze promienie słońca wspinały się po pniach drzew, ale ich zapowiedzi, liliowe linie światła zza horyzontu.

- Wachta nie śpi na pewno. - Czus stał przy kole sterowym. Gdy spoglądał na Mioczkę, nie potrafił ukryć irytacji. Co denerwowało sługę Marsjanina w wielokrotnie nawiedzonym berbeciu, Kutrzeba nie wiedział. Być może rozkochany w nauce i technice Czus nie lubił wszelkich nadnaturalnych istot?

Ludzi wyznających podobne przekonania zachowało się zaskakująco wielu. Choć urodziło się już kolejne pokolenie, niepamiętające jak wyglądał świat pozbawiony cudów, niektórzy uparli się, by udawać, że nadnaturalne zjawiska ich nie dotyczą. Trafiali się wśród nich prorocy głoszący rozciągniętą na dekady apokalipsę, nawiedzeńcy religijni posuwający się do samookaleczania albo samozwańczy naukowci mesjasze, szaleni naukowcy, w tajnych laboratoriach szukający lekarstwa na „metafizyczną zarazę”. W ostatnich latach modna była teoria wielości światów. Jej wyznawcy utrzymywali, że Marsjanie nie przybyli z innej planety, ale z jakiejś równoległej rzeczywistości. Wierzący w to ludzie poszukiwali wrót, które do niej prowadziły, by następnie je zamknąć. Czy Czus mógł należeć do takiej sekty? Zdaniem Kutrzeby wydawało się to mało prawdopodobne. Przy wszystkich swoich dziwactwach służący pozostawał ślepo zapatrzony w Marsjanina.

- Nie możemy liczyć na pełne zaskoczenie - zgodził się

Nowakowski.

- Nie bez magii - rzucił Mioczka. Aż roznosiło go od chęci użycia mocy. Na wszelki wypadek Kutrzeba przypomniał mu o założeniach planu. A ten zakładał, że nie użyją magii ofensywnej, ani w ogóle żadnej magii, jako pierwsi. Nie nad Wiekuistą, która mogłaby odebrać to jako atak na siebie. Kutrzeba wolałby walczyć z dala od Puszczy, gdzieś nad Dzikimi Polami, by w pełni wykorzystać umiejętności nawiedzeńca. Musiał się jednak zgodzić z Marsjaninem, że na dotarcie nad Dzikie Pola mogło zabraknąć im czasu.

- Jeśli mamy zaatakować, to teraz - upierał się Marsjanin.

Prawdę mówiąc, Wiekuista Puszcza mogła im dać przewagę. Nie mieli na pokładzie czarownika z prawdziwego zdarzenia, dysponowali za to mocniejszymi silnikami. Jeśli tamci też nie użyją magii, ludzie Nowakowskiego powinni wygrać. A jeśli mimo wszystko jej użyją i Wiekuista zareaguje zgodnie z oczekiwaniami... Kutrzeba uśmiechnął się okrutnie.

- Dwa kilometry - zameldował Czus. - Za dziesięć minut powinniśmy osiągnąć zasięg.

Nie zbliżali się do „Jagiełły” otwarcie. Zmienili kurs ostrożnie, jakby próbując oddalić się do granicy Rewolucji. Zamiast skierować się na wrogi sterowiec bezpośrednio, udawali, że okrążają go po łuku, starając się zachować jak największą możliwą odległość.

- Ja ich mam w zasięgu już jakiś czas - radio zaskrzeczało głosem Grabińskiego, przyczajonego z karabinem

snajperskim na górnym pokładzie. Opancerzony mostek „Batorego” skrywał się na pokładzie dolnym. Kutrzebie kojarzył się z bunkrem. Pancerne szyby w oknach zaopatrzone dodatkowo w kraty i otoczono żelaznymi framugami pokrytymi ochronnymi runami i fragmentami rytualnych pieśni. Bardziej niż przed kulami żelazo miało chronić przed nienawidzącymi tego metalu demonami i duchami. - Widzę tę ich sterówkę. Siedzi tam trzech gości. Gapią się na nas.

- Wyglądają jakby podnieśli alarm? - Zapytał Marsjanin.

- Kwadrans temu było ich tylko dwóch. Ale nie sprawiają wrażenia bardzo przejętych. Jakbyś pan miał nowocześniejsze zabawki, to byśmy ich mogli już teraz popieścić.

Choć Nowakowski lubował się w nowinkach technicznych, „Batorego” uzbroił w karabiny maszynowe Mausera starszej generacji, posiadające znacznie mniejszy zasięg niż najnowsze cacka niemieckiej firmy - MG-42. W opancerzonych stanowiskach strzeleckich lepiej spisywały się karabiny starszego modelu, dysponujące większym kątem ostrzału. Na każdej burcie „Batorego” znajdowały się trzy takie gniazda. Dodatkowo umieszczono na dziobie i na rufie sterowca, przeznaczonego najwyraźniej do zastosowań bojowych. Z kim zamierzali toczyć wojnę jego twórcy, Kutrzeba mógł tylko zgadywać. Kandydatów znalazłoby się wielu.

Ludzie zmuszeni byli do ciągłej walki nie tylko ze

zorganizowanymi tworami przypominającymi Wiekiwą Puszczę czy Rewolucję. Skażone terytoria, które Republika Narodów starała się odzyskać, w tym przypadku lojalnie wspierana przez armie korporacji, pełne były półdzikich hord ludzkich i nieludzkich. Na czele części z nich stawali charyzmatyczni watażkowie, zdolni na jakiś czas jednoczyć pod swoim sztandarem istoty wszelkich gatunków i stwarzać z nich groźne bandy. Inne dzikie i szalone stada oszalałych demonów przypuszczały destrukcyjne rajdy na cywilizowane terytoria. Ich celem było jedynie niesienie śmierci i zniszczenia. Ubrojony i zdolny razić wrogów „Batory” znalazłby wśród nich zajęcie. Na razie miał jednak służyć do walki z ludźmi. Zdaniem Kutrzeby było to tyleż ironiczne, co zgodne z mechanizmami historii i niezmiennym bez względu na okoliczności ludzkim charakterem.

- Niech pan zachowa cierpliwość. - Marsjanin wyzbył się uprzedniej przesadnej uprzejmości. Gdy zdecydował się przyjąć bitwę, na powrót odżył w nim stary kapitan kosmicznego okrętu, żołnierz nie raz dowodzący inwazyjną flotą. Kutrzeba obserwował go z ciekawością. Takiego Marsjanina dotąd nie widział. Przybysze jak mogli starali się ukrywać drapieżną część swojej natury, podkreślali na każdym kroku, że dla nich czas podbojów już minął. Choć trudno było Kutrzebie czytać z twarzy Nowakowskiego, miał pewność, że Marsjanin bawił się znakomicie po raz pierwszy od dekad. Znow znalazł się w swoim żywiole.

Zazdrościł mu. Podczas gdy prawie wszyscy inni otrzymali

zadania bojowe, on miał jedynie pełnić rolę doradcy Marsjanina w sprawach Wiekuistej. Nie znał się zupełnie na zasadach walki powietrznej. Mógłby się przydać co najwyżej, gdyby doszło do abordażu. Tego jednak akurat zamierzali uniknąć.

- Tysiąc pięćset metrów.

Można już było otworzyć ogień. Jednak Marsjanin zamierzał wyczekać, aż zbliżą się jeszcze o sto metrów, po których, gdyby zachowali kurs, musieliby zacząć oddalać się od „Jagiełły”.

Pierwsze strzały oddał, zgodnie z planem, Grabiński. Jego brytyjski Lee-Enfield, który wybrał w miejsce polecanego mu przez Czusa nowocześniejszego mausera, wypalił trzy razy, nim odezwały się karabiny maszynowe na lewej burcie. Grabiński strzelał kulami, na których wyźłobiono przekleństwa i klątwy wobec szkła. Gdy pocisk uderzał w szyby, wyzwał klątwę obracającą najbardziej nawet opancerzone szkło w proch, jeśli tylko nie było odpowiednio magicznie zabezpieczone. Dwaj członkowie załogi zginęli od razu. Trzeci, ranny, zdołał się schować, jednak z dala od steru. Przez jakiś czas „Jagiełło” był zdany na łaskę i niełaskę „Batorego”.

- Wiekuista jest zainteresowana - Kutrzeba przekazał Nowakowskiemu informacje otrzymane od Szulera. Dzięki wsparciu Zmory nie potrzebował radia, by się z nim komunikować.

Bóg wspólnie z Wandą obserwował Puszczę. Wsłuchiwali

się w szum jej liści i skrzypienie konarów. Szuler próbował odczytywać szepty drzew i polecenia płynące splątanymi korzeniami. Wanda wypatrywała demonów. Towarzyszył im Burzymur uzbrojony w karabin maszynowy, który otrzymał od Marsjanina. Wielkolud poowijał całe ciało taśmami amunicji, nie licząc chyba za bardzo na pomoc Jaśka, którego oficjalnie przydzielono mu jako wsparcie.

Kule uderzyły w gondolę „Jagiełły”, ale jej nie przebiły. Ześlizgiwały się także po balonie chronionym takim samym marsjańskim materiałem, jakim zabezpieczony był balon „Batorego”. Tam jednak, gdzie trafiły w iluminatory, pociski przebijały się do wnętrza sterowca, zadając mu niewidoczne z pokładu „Batorego” rany.

- Szykuje się do ataku? - Zapytał Nowakowski.

- Nie bardziej niż zwykle. - Wiekuista zawsze była gotowa do ataku, jej agresja nie знаła umiaru. Teraz jednak pozostawała bardziej zaciekawiona niż zagniewana. Póki ludzie walczyli między sobą przy użyciu technologii, której nie pojmowała, traktowała ich raczej jak ciekawostkę niż zagrożenie.

- Ruch na pokładzie! - Zawołał Grabiński.

Pierwsi nieszczęśnicy, którzy wypadli z kabin na pokłady zewnętrzne, zginęli od ognia karabinów „Batorego”. Jakiś człowiek, tylko raniony, oparł się o balustradę, ale w tym właśnie momencie mocniejszy powiew wiatru przechylił sterowiec i ranny wypadł z krzykiem za burtę. Puszczą przyjęła go z otwartymi ramionami.

Zdarzało się, że mieszkający w sąsiedztwie Wiekuistej ludzie starali się przekupić ją, składając ofiary. Najczęściej poświęcali zwierzęta, bywało też jednak, że porywali sąsiadów. Puszcza przyjmowała każdą przelaną w jej imieniu krew, nie oszczędzała jednak ofiarodawców, gdy decydowała się sięgać po ich gospodarstwa.

Ostatni z ocalałych na mostku „Jagiełły” spróbował ustabilizować sterowiec. Grabiński ukrócił jego ambicje.

- Strasznie tu telepie od tych waszych maszynówek - usprawiedliwił się.

Choć na mostek nikt już nie próbował się dostać, „Jagiełło” po chwili wyrównał lot.

- Mogą nim sterować z maszynowni - uznał za stosowne wyjaśnić Nowakowski. - To niewygodne, ale możliwe.

„Jagiełło” ruszył ku „Batoremu”. Już odgryzał się ogniem, prowadzonym przede wszystkim z karabinów pozostałych przy życiu członków załogi, ale także z karabinu maszynowego na dziobie. Pojedyncze kule sięgały okien na mostku „Batorego”, nie zdołały jednak pokonać pancernych szyb.

- Przyspiesza - zameldował Czus. - Co on kombinuje?

Mioczka syknął niespodziewanie. Podskoczył zaraz, wydając z siebie pisk; jego głos zadziwił wszystkich. Nawiedzeniec sięgnął do jednej z kieszeni i wyrzucił nad siebie garść srebrzystego pyłu.

„Wiekuista pręży muskuły”.

- Czary! - Krzyknął Kutrzeba, choć Marsjanin musiał

zdawać sobie z tego sprawę, bo Mioczka miotał się już po mostku w opętańczym tańcu, rzucając zaklęcia różnymi głosami i w różnych językach. W dzikim rytmie uderzał w szamański bębenek. Kilka dusz naraz broniło „Batorego” przed magicznym atakiem. Mimo to sterowiec zachwiał się gwałtownie od uderzenia stworzonego czarami wiru powietrznego. Nagle siadło na nich znużenie i zniechęcenie. Jak mieli wygrać z magią? I wtedy usłyszeli śpiew Sary, która zdecydowała się wspomóc nawiedzeńca.

Choć nie ruszyła się ze swojej kabiny, jej głos wypełnił wnętrze całego sterowca. Nie przypominał dźwięków, jakie mogłoby wydać ludzkie gardło, zbliżony był raczej do wilczego skowytu rozciągniętego i grającego na wielu tonach.

„Próbowali nas tu pousypiać - roześmiał się Szuler. - Niezła ta leśna panna!”.

- Na pokładzie! - Zawołał Czus. Głos drżał mu z przejęcia. - Spójrzcie na „Jagiełkę”!

Spod pokładu wrogiego sterowca przez wąski luk wypełzała ciemna postać, humanoid o nieludzkich proporcjach ciała. Był nie tyle wysoki, co długi. Nienaturalnie chudy, przypominał węża utkanego z dymu, gdy podciągał się na długich, chudych jak patyki rękach, by wspiąć się na wyższy pokład „Jagiełki”.

Ostrzał karabinów maszynowych skupił się na nim natychmiast, ale kule nie robiły na celu większego wrażenia. Humanoid stanął na dziobie sterowca i rozprostował

ramiona. Zaraz na jego dłoniach zaczęły kłębić się małe burzowe chmury. Wystrzeliły z nich wici, opętując przestrzeń nad sterowcem i zasysając wilgoć z powietrza. Po chwili kilkanaście chmur burzowych, podczepionych do płanetnika wiciami wyrastającymi z jego dłoni, pęczniało już nad „Jagiełłą”. Cały czas rosły. Igrały w nich iskierki przebudzonych piorunów.

- Mógłbym go zdjąć! - Zawył Mioczka - Mógłbym!

- Tylko obrona! - Krzyknął na niego Nowakowski. - Zrozumiano?

- Tak jesssst! - Wysyczał obrażony nawiedzeniec i zaraz wydał z siebie dziki okrzyk, jakby trafił go wrogi pocisk. Upadł na kolana, ale wstał szybko. Oczy jarzyły mu się czerwonym blaskiem, z uszu i nosa sączył się dym. - Zabił mi Szestuja - jęknął.

- Tylko obrona! - Przypomniął zimnym, nieznoszącym sprzeciwu głosem Nowakowski. - Panie Kutrzeba?

„Szuler! Co do cholery z tą Puszczą? Mają tam cholernie skutecznego czarownika!”.

„Gniewa się. Jeszcze chwila”.

- Jest i drugi! - Zawołał Czus. - Niech mnie diabli! Zabrali ze sobą dwóch!

- Byli gotowi. - Marsjanin uśmiechnął się wyraźnie zadowolony z nowego wyzwania. - Oczekiwali walki. Miał pan rację, panie Kutrzeba. Trzeba ich niszczyć pojedynczo. Co z Puszczą?

- Drażnią ją.

- Oby nie okazała się dziś wyjątkowo cierpliwa.

Pierwsza salwa przebudzonych piorunów uderzyła w otwory strzeleckie. „Batory” zadrżał, a jego karabiny na moment zamilkły.

- Bez strat! - Zameldował pierwszy oficer. - Tylko oślepiło ludzi na chwilę!

Drugi z planetników wspiął się na balon „Jagiełły”. Usiadł na nim okrakiem i zawirował ramionami jak wiatrak. Przywoływał wicher.

- Są ledwie tysiąc metrów od nas - zameldował Czus.

Im bliżej znajdował się „Jagiełło”, tym mocniej mogły na nich oddziaływać jego czary. Kolejna palba piorunów wycelowana została w mostek. Mioczka odbił je, choć nie bez trudu. Utrata jednej z dusz osłabiła go. Otarł pot z czoła, kaszlnął, splunął krwią i zaraz roześmiał się dziko. A ledwie chwilę później pisnął innym zupełnie, zboląłym i przepelnionym żalosną skargą głosem.

- Dziewięćset metrów!

Pierwsze uderzenie wichru przeszło bokiem, zneutralizowane wspólnym wysiłkiem Mioczki i Sary. Ramiona planetnika przyspieszyły. Ten drugi także zwiększył wysiłki. Kolejne wici burzy wyrosły z jego dłoni i zaczęły pięć się ku niebu. Chmury wykwitwały na nich zbyt szybko jak na gust Kutrzeby.

„Wkurzyli ją - w myślach Szulera brzmiała mściwa satysfakcja. - Teraz patrzcie!”.

Kutrzeba obrócił się ku Marsjaninowi i zameldował z

uśmiechem, że wygląda na to, iż wreszcie wszystko zaczyna iść zgodnie z planem.

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

Zerknął na zegarek, dochodziła czwarta trzydzieści po południu. Banda uzbrojonych po zęby bandziorów zaczynała się niecierpliwić.

- Powtórzmy wszystko jeszcze raz - zdecydował. - Żeby miał pewność, że wszyscy znacie plan.

Któryś jęknął niczym uczeń napominany przez belfra. Oczywiście, Duńko. I naturalnie herr Kuntz natychmiast zbeształ go i wygłosił pochwałę konieczności powtarzania przydzielonych każdemu zadań. Ci dwaj byli niczym przerysowane postacie z groszowych historyjek. Wiele Kutrzebie ułatwiali.

- Soczysty, Kielich, Brzytewka, Kafar! - Rzucił.

- Ja z Brzytewką zaraz lecimy na Błonia - wyrecytował Soczysty. Niewysoki łysol, niejednokrotnie zamykany, a nawet wydalany z Krakowa za rozbój, zawsze znajdował sposób, by wrócić do miasta. Miał znajomości właściwie wszędzie i potrafił się dogadać z każdym, z wyjątkiem kibiców Cracovii, której kibicując Wiśle, szczerze nienawidził. - Tam już będą na nas czekać chłopaki. Rozmawiałem z nimi, wszystko poustalane. Zrobimy zadymę, jakiej Kraków nie widział.

Brzytewka, półwielkolud nieskłonny do nadużywania słów, uśmiechnął się tylko i pokiwał głową przypominającą jabłko, bo okrągłą i rumianą. Rozumu nie miał prawie wcale. Trzymał się Soczystego i z ochotą wykonywał jego polecenia, o ile dotyczyły bitki. Wszelkie inne zajęcia poza laniem po pysku Brzytewkę nieodmiennie nudziły. A że robił się zły, gdy tylko zaczynał się nudzić, kto mógł, dbał, by półwielkoludowi nie brakowało rozrywki. Piłkę nożną kochał, choć nic a nic nie rozumiał jej zasad. Wystarczyło mu, że po każdym meczu można było poprzetrącać parę gnatów.

Obaj mieli na sobie klubowe bluzy. Twarze wymalowali totemicznymi symbolami Wisły Kraków, głowy wygolili gładko, by i na nich wymalować herb zespołu, a w uszy powpinali piłkarskie amulety.

- My to samo w Cracovii - zameldował mrukliwy podobnie jak Brzytewka, ale i tak bardziej rozmowny od swego towarzysza, Kafar. O ile on był zwyczajnym człowiekiem, to przybyły z serbskich gór Kielich upierał się, że pochodził od wiły spętanej podstępem przez ojca.

Utrzymywał w związku z tym, że stworzony został do wielkich czynów, niczym herosi z legend, co do jednego księżęta zrodzeni ze związków mężczyzn i wił. Nie odzywał się prawie wcale, bo wobec takiego pochodzenia nie zamierzał zniżać się do gadania z byle ciurą. Kafara uważał za swego sługę, co siłaczowi pochodzącemu z Podola nie przeszkadzało. Możliwe, że cenił Serba za jego talent do podrzynania gardeł, jednak przede wszystkim kochał się w

śpiewanych przez Kielicha pieśniach o wielkich czynach serbskich herosów, o bitwach i przemieszczeniu kobiet. Wprawdzie Serb śpiewał wyłącznie po serbsku, jednak Kafar szybko nauczył się go rozumieć.

Inaczej niż Brzytewka i Soczysty, ich dwójka nie kibicowała żadnemu z krakowskich zespołów. Udało im się jednak dostać w szeregi kibiców Cracovii, dotrzeć do ich watażków i przekonać, że wiślacy szykują wyjątkowo paskudną zdradę zaraz po przypadających na tę sobotę derbach. Dzięki temu najzacieklejsi kibice Cracovii szczególnie przyszykowali się na mecz. Ściągnęli do miasta nie tylko kibiców zaprzyjaźnionych drużyn, ale także ich szamanów i hodowane specjalnie kibicowskie potworki. Nieopodal Błoń, w odpowiednio zabezpieczonych piwnicach, trzymano poprzetwarzane psy, koty, rysie, żbiki, a nawet dziki i niedźwiedzie. Dołożono starań, by te derby przeszły do historii miasta.

- Dobrze. - Kutrzebie prawie było żal, że nie zobaczy tej bitwy. - Karolek?

Młody półkrwi planetnik, choć liczył dopiero piętnaście lat, już teraz przewyższał wzrostem nawet Brzytewkę. Na strychu kazimierzowskiej kamienicy, w której urządzili swój sztab, musiał siedzieć cały czas pochylony, by nie zahaczać głową o strop. Wydawało się, że nie słuchał pozostałych. Bawił się mikroburzami, które przerzucał między palcami.

- Będzie burza nad Wawelem - jego głos przypominał szum ulewy. - Przez mury nie przejdę, ale uderzę wokół nich.

Deszcz będzie ciął ludzi po głowach, aż się pochowają. Ścianę deszczu postawię taką, że nic nie będzie widać na wyciągnięcie ręki.

- Dogadałeś się z wodnikami?

- Palcem nie kiwną. Wasza droga wolna. Zresztą większość pójdzie oglądać mecz. A panny wodne mają się trzymać z dala od zamku.

Mistrz Szyman pokiwał głową z uznaniem. Jego golemy miały czekać przyczajone w Wiśle, bo właśnie rzeką planowali unieść skarb.

- Deńko?

- Kiedy wy, panie Oceański, wejdziecie z tym swoim potworakiem do jamy smoka, ja z Gudryczem i Jajcusiem ubezpieczamy wam tyły. Potem wchodzimy do jamy, jak już będzie bezpiecznie. Jajcuś zostaje na czatach, jakby co.

- Herr Kuntz?

- Wkraczam, jak już wszystko zabezpieczone. Różdżka wskaże skarby. Mam zaklęcie na kruszenie skał, choć myślę, że trochę dynamitu w zapasie nie zaszkodzi. Wziąłem i kwas...

- Nie oczekujemy wykładu na temat alchemii i mistrzostwa kasiarskiego. Wystarczy mi, że jest pan gotowy.

- Jeśli można. - Kuntz przełknął ślinę. - Chciałbym i ja wejść z wami do jamy od razu.

- Ech, ten pański brak zaufania, herr Kuntz...

- Pan mnie nie rozumie, herr Oceański! - Oburzenie w głosie Kuntza brzmiało niemal szczerze. - Wy bestię chcecie

podtruć dodatkowo eterem. Praktyk alchemii jak ja przyda się, by ocenić, czyście tego eteru nie podali jej za mało. Albo za dużo. Nie chcemy, żeby smok zdechł, albo co gorsza obudził się zbyt prędko. Prawda?

- Nie mam dla pana maski gazowej, herr Kuntz.

- Przyniosłem własną! Dobra niemiecka robota!

- On nam przed jamą do niczego niepotrzebny - poparł gнома Gudrycz.

- Jak o tym pomyśleć, tylko by się pętał pod nogami - zarechotał Duńko i splunął gnomowi między stopy, jak lubił.

- A weźcie se tę łajzę!

Kutrzeba udał zastanowienie. Popatrzył na Szulera. Spoglądał przez chwilę w jego zamknięte od ich pierwszego spotkania oczy. Poudawali, że porozumiewają się magicznym sposobem, choć myśli boga wyrażały jedynie brak cierpliwości dla wszystkich spiętrzonych wśród spiskowców zdrad.

- Dobrze więc, herr Kuntz - powiedział wreszcie. - Idzie pan z nami. Panowie, zbliża się piąta. Każdy zna swoje zadania. Przewidziana przez wróżów burda ma być większa niż ich najgorsze sny, zrozumiano? Ściągniecie na Błonia całe rezerwy krakowskiej policji. Mecz kończy się piętnaście po piątej, będzie pewnie dwadzieścia na szóstą, nim wszyscy opuszczą stadion. Do wpół do siódmej bitwa powinna osiągnąć apogeum. Wtedy w okolicach zamku zerwie się ulewa. Dziesięć minut później zaczynamy my. Bitwa na Błoniach musi potrwać przynajmniej do siódmej. W każdym

razie o tej porze wy się stamtąd zrywacie, nie chcę, żeby was pozamykali. Do dziewiątej wieczorem wszyscy mają być w domach. Przez tydzień żaden nie pokazuje światu swojej paskudnej gęby. A za dwa tygodnie spotykamy się w Kalwarii i dzielimy łup. Czy wszystko jasne?

Nie podobały im się te dwa tygodnie, tak jak i nie podobała im się podróż do Kalwarii. Rozumieli jednak, że im dalej od Krakowa, tym lepiej, a Kalwaria miała swoje bóstwa opiekuńcze i patronów, których dało się przekupić. Teoretycznie mogło im się udać i nikt się o skoku nawet nie dowie. Smok obudzi się z bólem głowy, który weźmie za kaca, policja - zajęta pacyfikowaniem bitwy - nawet nie zauważy włamania. Jednak jak stwierdził wcześniej Kutrzeba: „Im piękniejszy plan i im bardziej jesteśmy z niego zadowoleni, tym większa szansa, że coś się w nim rypnie”. Zbyt często doświadczali prawdziwości tych słów, dlatego przystali na dodatkowe środki ostrożności.

- No, to na stanowiska. - Herszt bandy wyszczerzył się radośnie i drapieźnie. - Lada moment zaczną się cuda, jakich to miasto jeszcze nie widziało.

Rozdział 6

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, nad Wiekuistą Puszcza*

Najpierw ujrzeni ptaki. Całe stada małych i dużych kruków, wron, srok, ale także wróbli, kosów, szpaków i jaskółek, które poderwały się z gałęzi w jednym momencie, jakby na rozkaz. Nie było wśród nich naprawdę wielkich drapieżników. Orły, jastrzębie i sokoły otaczały rosnącą chmurę ptactwa na wzór pasterzy, kierujących je ku wybranemu celowi; w tym wypadku ku „Jagielle”. Choć ptaki miały wiele barw, chmara wydawała się czarna pod cieniem burzowych chmur. Początkowo nieróżniąca się prawie od ptasich stad, jakie zobaczyć można nad miastem, przybierała kształt coraz regularniejszy, aż wreszcie przypominała jednego ogromnego ptaka o ostrym dziobie wymierzonym w sterowiec. Potwór, na którego złożyły się setki, a może tysiące organizmów, zbliżał się ku „Jagielle”.

Na sterowcu zauważono już niebezpieczeństwo. W miriadowego ptaka, którego rozpiętość skrzydeł przekraczała dwadzieścia metrów, uderzyły przyszykowane przeciw „Batoremu” pioruny. Tam, gdzie trafiały, zwierzęta zajmowały się ogniem. Płonące truchła odpadały od stada i

zarząc się, opadały ku Wiekuistej, gdzie prędko starały się ugasić je pomniejsze duchy. Na nad-ptaku te straty nie robiły wrażenia. Znacznie mocniej zaboląło go niewielkie tornado, stworzone naprędce przez drugiego planetnika. Wgryzło się w jedno ze skrzydeł i zaczęło je pożerać, zasysając ptaki w pobliżu. W przeciągu zaledwie kilkunastu sekund poważnie zraniło żywą chmurę, odrywając od niej zainfekowane tornadem skrzydło.

Gdyby nad-ptak był prawdziwą istotą, musiałyby spaść i zginać. Ale on był tylko kształtem, utrata skrzydła, choć bolesna, nie mogła powstrzymać stworzeń kierowanych wolą Puszczy. Bestia nie zwolniła. Pomimo rozpaczliwych starań planetników ogromne ptaszysko o jednym już tylko skrzydle dotarło do sterowca i zawirowało wokół planetnika splatającego burze. Stwór wrzasnął rozdzierająco. Kłęby w jego dłoniach eksplodowały od tłumionej dotąd wysiłkiem woli energii. Zabiły zapewne kilkadziesiąt zwierząt, ale pozostałe już opadały ciało przeciwnika, rwąc je na strzępy.

Wici zerwały się z wyciągniętych rąk. Uwolnione chmury zaczęły się rozpraszać. Choć wciąż miały pioruny, nikt nimi już nie kierował. Razy z nieba spadały teraz po równo na Puszcze, „Batorego”, ale i na „Jagiełkę”.

Napastnicy porzucili kształt wielkiego ptaka. Zmienili się w rój zabójców, z których każdy działał sam, ale zgodnie z wolą stada. Drugi z planetników tkął już kolejne tornado. Czarnoksiężnik wysłał przeciw ptakom rój owadów, wypuszczony z wielkiego słoja, który przytaszczył ze sobą.

Zrobił to raczej w próbie odwrócenia ich uwagi, niż wierząc, że zadadzą wojownikom Wiekuistej rzeczywiste straty. Najwyraźniej nie był przygotowany na coś takiego. Pytanie, jak Wiekuista zamierza poradzić sobie z atakiem z powietrza, znalazło wreszcie odpowiedź.

- Powinniśmy się stąd zabierać - efektywność latających napastników niepokoiła Kutrzebę. Najwyraźniej Wiekuista, dotąd polegająca przede wszystkim na własnej sile i nieustępliwości na ziemi, zaczęła w końcu prowadzić działania wywiadowcze i przyszykowała się także do walki z odbudowywaną flotą powietrzną. A może to owocowały doświadczenia walk Wiekuistej z Rewolucją? - Osiągnęliśmy cel. „Jagiełło” wyeliminowany.

- Jeszcze nie. - Zafascynowany Marsjanin nie potrafił oderwać wzroku od zagłady sterowca. - To widowisko jest tak niezwykle!

- Staniemy się jego częścią, jeśli nie zwiejemy stąd czym prędzej. Gdy Puszcza nasyci się „Jagiełłą”, zwróci ptaki przeciw nam. Zabierajmy się.

Marsjanin milczał przez długą chwilę. Nie potrafił oderwać wzroku od „Jagiełły”. Z pierwszego planetnika pozostały już prawie tylko iskrzące błękitnie z ran strzępy, kiedy na pokład wybiegło dwóch ludzi w czymś, co przypominało średniowieczne pancerze. Uginali się pod ciężarem butli przyczepionych na plecach. Mimo to spieszyli się do konającego demona.

Gdy zbliżyli się, z wylotów tego, co w pierwszej chwili

można było wziąć za strzelby, wyprysnął ogień. Dwa jego jężory spadły na zwierzęta i ciężko rannego pługownika. Ptaki płonęły, skrzecząc, odpadały od ciała demona, starały się uciec poza zasięg ognia. Niektóre rzucały się ku strzelcom, ale ci asekurowali się nawzajem. W dodatku obu wspomagał drugi z pługowników. Tak kierował wiatrem, by ten niósł ogień z miotaczy daleko ponad ich zwyczajny zasięg. Pęta płomienia w zawirowania powietrza, tworząc z nich kłęby ognia, którymi miotał w bardziej oddalone ptaki.

- A więc dlatego tak ku nam gnali, sukinsyny - zrozumiał Kutrzeba. - Nie chodziło o czary. Mamy taką broń?

- Zbyt trudno zapanować nad ogniem w powietrzu. Myśli pan, że może im się udać?

- Są bez szans. Niech pan spojrzy na Puszcę.

Z drzew podrywały się kolejne zwierzęta. Tym razem musiały być ich dziesiątki tysięcy. Orły kształtowały z nich trzy wielkie ptaszyska. Pierwsze formowały się wielkie czarne dzioby, od początku wycelowane w „Jagiełłę”.

- Zabierajmy się stąd - powtórzył Kutrzeba. - Póki jeszcze możemy.

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

- Wciąż moglibyśmy zawrócić - upierał się Szuler.

- Ja nie. Sam mówiłeś. Dla mnie już odwrotu nie ma.

Ulewa wywołana przez Karolka, nastoletniego pługownika,

naznaczona była szaleństwem młodości. Spadła gwałtownie, bez zapowiedzi, od razu jako ściana deszczu, bezlitosna i okrutna. Nikt poza szajką Kutrzeby nie mógł tego dostrzec, ale wszędzie tam, gdzie znajdowali się ludzie niezwiązani z akcją, deszcz był bardziej rześisty. Szczególnie mocno uderzał w strażników i tych nielicznych policjantów, którzy nie dołączyli do funkcjonariuszy starających się opanować na Błoniach największą bitwę kibiców w historii miasta. Komendant policji zmuszony był prosić o pomoc wojsko Republiki i oddziały największych korporacji, by opanować zamieszki. Bójki między kibicami zwaśnionych klubów nie należały do wydarzeń nadzwyczajnych, zwłaszcza przy okazji derbów, jednak tym razem rozmach, z jakim obie strony przygotowały się do walki, zaskoczył nawet miejskich wróżów i policyjnych jasnowidzów. Walczący nie ograniczyli się do zwyczajnych bądź wspomaganych magicznie broni i potworów z prywatnych hodowli, ale ściągnęli też na pomoc niezarejestrowanych czarowników i szamanów.

- Nie ma dla ciebie odwrotu od zemsty. Ale możesz porzucić tę szaleńczą akcję.

- Miałbym zmarnować te wszystkie przygotowania? Nigdy bym sobie tego nie wybaczył, przyjacielu. No i pułkownik Korycki też pewnie nie.

- A wybaczy ci rozpętanie zamieszek? Zdaje się, że o nich nie wiedział, prawda?

- Sza! Idą nasi współnicy.

Herr Kuntz wyglądał wręcz zabawnie w naciągniętej na

głowę zbyt dużej masce gazowej, dostosowanej do rozmiarów gnomiej twarzy domowymi metodami. Przyjął jak zwykle postawę pełną wyższości, którą we własnym mniemaniu miał za dostojną.

- Wchodzimy? - Potrząsnął jedną z przygotowanych przez Kutrzebę butli z eterem, którym mieli dodatkowo uspić smoka.

- Momencik, muszę zamienić dwa słowa z naszym specem od pogody.

Płanetnik siedział na brzegu Wisły, zaraz obok ledwie wystających nad wodę łbów czterech golemów. Gadał coś do nich, nie przejmując się zupełnie tym, że ignorowały go całkowicie. Co pewien czas przerywał wpół zdania, zadzierał długi łeb w górę i wypatrywał czegoś między strugami deszczu. Może badał rytm i kształty kropli? Płanetnicy potrafili zliczać w ułamku sekundy i dziesiątki tysięcy kropli deszczu, oceniać ich wagę i rozmiar. Ledwie Karolek spojrział w niebo, wracał do urwanego monologu. Kutrzeba pogratulował mu dobrze wykonanej roboty i podszedł do stojącego nieco na uboczu Szymana, udzielającego ostatnich instrukcji golemowi-przewodnikowi.

- Ma na imię Róża - oznajmił półgłosem, ale wystarczająco głośno, by Szyman go usłyszał. Wiele zależało od reakcji twórcy golemów. Tak naprawdę nadal nie mieli z Koryckim pewności, czy córkę Szymana uprowadzono, czy sam wysłał ją za granicę, by się zabezpieczyć, a może wyszkolić dziewczynę na kolejną bojowniczkę Rewolucji. Musieli się

upewnić, bo woleli Szymana zwerbować niż więzić. - Obecnie mieszka, czy może powinienem raczej powiedzieć jest przetrzymywana, przy Wotanstrasse 19 w Berlinie. Nic jej nie grozi, póki jest pan potulny, prawda?

Szyman nic nie powiedział, ale ręka golema wystrzeliła ku Kutrzebie i łapsko z żywej gliny chwyciło go za gardło.

- Nie mam czasu na takie zabawy - wychrypiął Kutrzeba, nawet nie próbując się uwolnić. - Kuntz zaraz się zdenerwuje, że w tym deszczu nie widzi mnie obok siebie.

- Czemu nie mam pana zabić? A może „towarzysza Oceńskiego”? Kim pan naprawdę jest?

- Taki ze mnie towarzysz, jak z koziej dupy trąba. I zdaje się, że z pana też. Niech się pan nie przejmuje, że trzymają pana córkę. Lokal w Berlinie już jest pod naszą obserwacją. Jak trzeba, to panu córkę odbijemy.

- Teraz, gdy wiem, gdzie ona jest, sam o to zadbam. Czegoś pan ode mnie za to chce. Czego?

- Jak przyjdzie ktoś ode mnie, to zrobi pan to, o co poprosi.

- Z rąk do rąk, co? Jak nie tamci, to wywiad? Nigdy się od was już nie uwolnię!

- Lepiej z nami niż z tamtymi, prawda? Czy ten pański produkt regionalny może mnie już puścić?

- Lepiej samemu. - Szyman westchnął, popatrzył na Kutrzebę niezbyt życzliwie, ale uwolnił go z golemiego uścisku. - Ale samemu się nie da. Pan wie, że...

- Wiem - przerwał Kutrzeba, nie chcąc dopuścić do sytuacji, w której cokolwiek by Szymanowi zawdzięczał.

Prawa z opowieści narzucały surowe rygory wzajemności. Spętał Szymana samą informacją o miejscu przetrzymywania jego córki. Nie zamierzał dać się wciągnąć w podobne zobowiązanie.

- Długo coś pan z nim gadał. - Gnom łytał na Kutrzebę po swojemu, czyli podejrzliwie. - Tu czas nagli, a pan się zabawia w pogaduszki.

- Ostatnie ustalenia. No, wchodzimy!

Smoczą Jamę od świata odgradzała solidna brama z poświęconego drewna, wzmocniana żelaznymi ćwiekami wygrawerowanymi w symbole mające chronić gospodarza przed demonami i upiorami. Wprawnego kasiarza, jakim był herr Kuntz, nie powstrzymały ani one, ani nawet solidny, także zabezpieczony magicznie zamek.

Rozprawiwszy się z nim, obrócił się ku kompanom, kłaniając się niczym aktor przed publicznością. Nie czekając na Kutrzebę, naciągnął maskę na twarz, uchylił drzwi i wsunął przez szparę końcówkę rozpylacza, uwalniając zamknięty w szklanej butli eter. Gdy wyczerpał jego zapas, zastąpił go Kutrzeba, a po nim Duńko.

Odczekali chwilę, nim weszli. Kuntz, taszczący swój garłacz przygotowany do strzału, zbliżał się do smoka lekliwie. Odetchnął dopiero, gdy Kutrzeba podszedł do bestii i poklepał ją poufale po pysku.

- Z bliska wydaje się mniejszy i mniej groźny. - Nawet zniekształcony przez maskę głos gnoma zabrzmiał pyszałkowato. - Wygląda jak poczciwy safandula.

Zachichotał. Podszedł do smoka i kopnął go w bok.

- Duma miasta! Symbol jego świetności! - Prychnął. - A ja bym go mógł teraz choćby i...

- Popieścicie się później. Herr Kuntz, ma pan tu robotę do zrobienia.

- W masce? Ledwie co wyczuję!

- Niech pan spróbuje powyczuwać przy tamtej ścianie. Powinni byli pod nią ukryć złoto. A ja się tu rozejrzę.

Smok najwyraźniej nie potrzebował lamp. Kutrzeba wyjął elektryczną latarkę, natomiast herr Kuntz posłużył się uwiecznionymi w kryształowym flakonie świetlikami.

Smok, wcale nie tak drobny, jak twierdził gnom, zajmował trzecią część grotu. Kutrzeba obszedł go ostrożnie, by poszukać ścieżki prowadzącej ku zamkowemu dziedzińcowi. Wiedział, że swego czasu wykuto w niej stopnie. Przed ewentualnymi niechcianymi gośćmi zabezpieczała je drobna iluzja, jednak zaopatrzony w odpowiednie amulety Kutrzeba liczył, że zdoła ją rozproszyć. Przydały się o tyle, że zadrzały, gdy Szuler zmodyfikował nieco linie losu. Pomogło. Ledwie chwilę później Kutrzeba potknął się o smoczy ogon i szukając oparcia, trafił ręką w pustkę w miejscu, w którym widać było skałę.

- Coś się panu stało? - Zaniepokoił się Kuntz, bo odgłos towarzyszący upadkowi i przekleństwa Kutrzeby było słyhać w grocie aż za dobrze. Szuler czasem dość swobodnie traktował rolę przynoszącego szczęście.

- Pełno tu kamoli - odburknął Kutrzeba. - A pan coś

znalazł?

- Nic nie wczuwam w tym cholerstwie na twarzy.

- No to może pan już je zdjąć - zameldował Szuler, który maski używać nie musiał. - Możecie już bezpiecznie oddychać.

- Zawołaj pozostałych - polecił mu Kutrzeba.

Duńko z Gudryczem nie przydali się przy poszukiwaniach. Na widok smoka rozdziawili gęby i tak im już pozostało, aż wreszcie różdżka roztańczyła się w rękach Kuntza.

- Jest tu! Złoto! - Zawołał gnom, nie panując nad entuzjazmem. - Cała kupa złota! Nie kłamał pan, herr Oceański!

Różdżka wskazała stos kamieni. Duńko odrzucił je prędko, odsłaniając podłoże. Skała była tam wyraźnie potrzaskana. Podniecony gnom obstukiwał ją lśniącem srebrno młoteczką i sprawdzał różdżką.

- Tak po prostu tego nie rozkopiemy - zawyrokował.

Wyjął z portfela kilka zwitków papieru połączonych srebrną nicią. Ułożył je w kręgu wokół miejsca, w którym powinien znajdować się skarb. Nakazał wszystkim odsunąć się i wymówił z namaszczaniem zaklęcie, w którym słowa łacińskie mieszały się z arabskimi i starogermańskimi. Minę miał przy tym odpowiednio natchnioną i przejętą, przez co przypominał Kutrzebie wiejskich szarlatanów sprzedających ludziom wodę z octem jako panaceum na wszelkie dolegliwości. Odczekali minutę, dwie, ale nie stało się nic. Lwowski złodziej prychnął pogardliwie, Duńko zaklął. Kuntz

upadł na kolana, sprawdzając zaklęcia.

- Magia tu nie działa! - Jęknął. - Wszystko pozabezpieczone! A może smok całą zasysa?

- Trza będzie wysadzać? - Duńko sięgnął do torby z dynamitem.

- Innego wyjścia nie widzę - zasepił się gnom. - Mam niby kije samobije z ostrzami kilofów, ale one też tu na nic.

- Chyba żebyśmy ich użyli na zwykły sposób - podpowiedział Kutrzeba.

- To zajmie zbyt wiele czasu!

- Ale nie porani smoka odłamkami. Do roboty, panowie. Będziemy się zmieniać co dziesięć minut. To nie może być zakopane głęboko.

Dopiero po półgodzinie rozbili skałę na tyle, by dotrzeć do skarbu. Złote i srebrne kosztowności flisacy pozawijali w bele materiału, który zgnił od wilgoci i teraz rozpadał się w rękach. Odkrywcy wybierali wymieszane z monetami ozdoby, pracując w parach zmieniających się co kwadrans. Coraz bardziej nerwowo gnom czerpał złoto garściami i podawał je pomocnikom, a ci prędko zanosili skarby do golemów, niezdolnych przekroczyć próg smoczego domostwa.

- To wszystko trwa zbyt długo! - Złościł się Kuntz. - Już siódma! Cud, że jeszcze nas nie nakryto!

Płanetnik robił, co mógł, utrzymując ulewę. Jej nieustępliwość i intensywność musiała wreszcie przyciągnąć czyjąś uwagę. Na szczęście bitwa na Błoniach trwała wciąż w najlepsze i nawet wawelscy wróże pracujący w ochronie

zamku pożytkowali swe umiejętności, by zdawać z niej relację pozostałym strażnikom. Przyjmowano zakłady, typowano zwycięzców i kibicowano szczególnie wyróżniającym się herosom każdej ze stron.

- Najwyżej nie wybierzemy wszystkiego - zaproponował Kutrzeba. - Ile już mamy?

- Z dwieście kilo? Ręce mi mdleją, teraz pana kolej!

Pracowali jeszcze przez kwadrans, aż nawet Kutrzeba uznał, że nie mogą dłużej kusić losu.

- Najwyżej kiedyś po to wrócimy. Mamy z trzysta kilo. To i tak majątek.

Stojący przy wyjściu Kuntz pokiwał z zapalem głową. Na twarzy wykwitł mu złośliwy uśmiech.

- Prawdziwy majątek - zgodził się. - A dla trzech będzie go więcej niż dla dziesięciu.

- Kuntz? - Gudrycz zamierzył się szpadlem na gnoma, ale nie zdołał zadać ciosu, bo Duńko wyszarpnął niespodziewanie zza pasa pistolet i strzelił złodziejowi prosto w twarz. Lwowiak nawet nie jęknął. Padł na miejscu.

- No i właśnie tak, panie bardzo sprytny cwaniaku! - Kuntz sięgnął po odłożony na czas kopania garłacz. - Kombinowałeś, kombinowałeś i przekombinowałeś. Trzymaj ich na muszce, Duńko, to spryciarze i zabójcy!

- Zamierzasz zabić smoka? - Zapytał Kutrzeba, obserwując jak gnom sprawdził broń i wycelował ją w smoczy łeb. Po chwili zastanowienia podszedł bliżej i zaczął szukać jakiegoś szczególnie wrażliwego miejsca.

- To będzie prawdziwy cios dla tego burżuazyjnego, przeżartego kapitalistyczną zgnilizną miasta - mrucał niczym zadowolony kot. - Uciąłbym cholerze łeb, ale za dużo z tym roboty. A czasu nie ma, oj, nie ma.

- I co dalej?

- Dalej? Dla ciebie nie ma dalej, szmaciarzu. My uwieziemy golemami mistrza Szymana złoto i srebro, żeby przysłużyło się lepszej sprawie. A was powieszają, o ile ludzie wcześniej was nie zlinczują.

- Myślisz, że cię nie wsypiemy?

- Jeśli przeżyjecie? A co mnie to obchodzi? Tak czy owak wam nie odpuszczą. Nie zobaczycie już słońca. My jesteśmy bezpieczni. Towarzysze przerzucą nas do matuszki Rewolucji. Złoto się ukryje... - urwał. - Myślicie, że jak mu strzelę w ucho, to rozwalę mózg?

- Myślę - odpowiedział mu łagodnym barytonem smok - że cię chyba nie zeżrę, bobym się pewnie struł.

- No i nie taka była umowa - przypomniał Kutrzeba, po czym skoczył ku schodom prowadzącym na wawelski dziedziniec, nim Duńko zdążył wyjść ze zdumienia i strzelić.

Pierwszy zareagował gnom. Wspinając się po kamiennych, śliskich stopniach Kutrzeba słyszał, jak Kuntz wrzasnął przerażony i wystrzelił ze swojej śmiercionośnej, choć przestarzałej broni. Smok zaryczał, ale więcej było w jego głosie rozbawienia niż bólu. Ból pojawił się dopiero w przejmującym skowycie Duńki. Z kolei, sądząc po odgłosach, przerażenie stało się udziałem Kuntza, gdy gnom odkrył, że

golemy zamknęły niespodziewanie drzwi do jamy i zablokowały je od zewnątrz.

Smoczy ryk zaalarmował strażników. Zaraz zaroilo się od nich wokół tajnej ścieżki do jamy, ale Kutrzeba z Szulerem kryli się już wtedy między gałęziami rosnącego w pobliżu kasztana.

- I co teraz? - Zapytał bóg.
- Teraz dopiero się zacznie.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, nad Wiekuistą Puszcza*

Bitwa między Wiekuistą a „Jagiełłą” dobiegała końca. Trzy nowe stada ptaków dokonały tego, co nie udało się karabinowym kulom – potrzaskały kadłub sterowca. Część ptaków przyniosła ze sobą zarodniki grzybów i te, pobudzone nadnaturalnym sposobem, rozrosły się zaraz na całym pokładzie, obrastając i pożerając nawet ludzi.

Zaatakowały i planetnika, ale ten poradził sobie z nimi, pokrywając całe ciało elektrycznością płynącą z jego wnętrza. Wtedy ptaki obrzuciły go żołądkami, z których na kształt klatki rozrosły się wokół demona konary i gałęzie młodych dębów. Korzenie tych samych drzew wrosły w pokład sterowca, wgryzając się w jego drewniane części i drąc na strzępy blachę. Aż wreszcie rozsadziły pokład i przełamały „Jagiełłę” na pół. Choć planetnik niszczył pnie

drzew piorunami, ptaki znosiły wciąż nowe żołędzie. Dla „Jagiełły” nie było już ratunku.

Wszystko to Kutrzeba obserwował przez lornetkę. Nowakowski posłuchał go wreszcie i „Batory”, używając całej mocy silników, uciekał na północ. Marsjanin nakazał też wznieść się jak najwyżej, by oddalić się możliwie od Puszczy.

- Wszyscy nie zginęli - zawołał Kutrzeba. - Patrzcie!

Resztki „Jagiełły” utrzymywały się jeszcze na linach zwisających z balonu, któremu ptaki i drzewa wciąż nie potrafiły zrobić krzywdy. Spomiędzy nich wyłonił się nagle jakiś kształt. Znow kule ognia bluzgnęły na ptaki. Nim zwierzęta otrząsnęły się po tym ataku wrak sterowca i jego najbliższą okolicę otoczyła mgła. Nawet kilka kilometrów dalej załoga „Batorego” usłyszała ryk Puszczy, wściekłej, że wróg mógł jej jeszcze umknąć.

- Aeroplan! Podczepili tam aeroplan! - Marsjanin całkiem ludzkim gestem uderzył jedną z dłoni w coś, co wedle jego kamuflażu miało przypominać kolano. - Zrobili to!

- Zamontowali w sterowcu samolot? Czyżby byli nowocześniejsi od pana?

- Na pewno okazali się dość sprytni, by to przede mną ukryć! Panie Kutrzeba, gdyby użyli go w walce przeciw nam, cała nasza przewaga stopniałaby w mgnieniu oka!

- Cała nasza przewaga nie zda się na nic, jeśli nie zmienimy kursu. - Kutrzeba wskazał ciemne kształty, które oderwały się od trupa „Jagiełły” i wyraźnie kierowały się ku „Batoremu”. Choć część ptaków wciąż przeczesywała

nieustannie rosnącą magiczną mgłą, Wiekuista skierowała oddziały także przeciw drugiemu sterowcowi.

- Jesteśmy od nich szybsi! - Upierał się Marsjanin.

- Nie jestem o tym przekonany. A nawet jeśli, Wiekuista może zwerbować ptaki z innych swoich rejonów i zastąpić nam drogę. Panie Nowakowski, zatrudnił mnie pan jako eksperta do takich właśnie sytuacji. Na północ stąd ciągle trwa Wiekuista, później granicząca z Matką Tajgą. Matka Tajga to inny organizm, ale jeśli tam się rozbijemy, wyda nas Wiekuistej. Pozwoli też jej szwadronom ścigać nas nad sobą i może nawet im pomoże w walce.

- Chce pan lecieć na wschód?

- Wiekuista nie będzie nas ścigać nad Rewolucją, to pewne.

- Ale to samobójstwo!

- Zatem lećmy na południe.

- Oddalimy się od naszego celu!

- Niemniej przeżyjemy!

Zamilkli, aż ciszę przerwał Czus.

- Zbliżają się, proszę pana. Dość wolno, ale cały czas. Są nienaturalnie szybkie. Dopadną nas. Nieprędko, ale jeśli się nie zmęczą, to za kilkanaście godzin nas dogonią.

- Widział pan, co zrobiły z „Jagiełłą”. Mamy jakieś szanse w starciu?

- One się męczą, a moje silniki nie!

- Już raz nie docenialiście mieszkańców tej planety - wypomniał mu Kutrzeba. - Chce pan powtarzać w kółko ten

sam błąd?

- Uwolnię na nie wszystko, co mam! - Wtrącił się Mioczka i być może to przeważało. - Zabiję je! Pożrę pomioty Puszczy!

- Kurs na południowy wschód, panie Czus - zdecydował Marsjanin. - Zabieramy się stąd nad Dzikie Pola. Pełna moc silników. Panowie, oczekuję w mojej kabinie na meldunki co pół godziny. A na razie pozwolą panowie, że ich przeproszę.

Wyszedł, a Czus i Mioczka spojrzeli na Kutrzebę, jakby to jego winili za wszystko. W odpowiedzi wzruszył ramionami i też opuścił mostek.

Na korytarzu spotkał Grabińskiego. Oparty o ścianę snajper pociągał z solidnego gąsiorka. Karabin oparł obok siebie, a w wolnej ręce trzymał zapalonego papierosa.

- I tak spadniemy, nieprawdaż? - Rzucił, widząc zdziwienie Kutrzeby.

- Lepiej byłoby jednak trochę później.

- Chcesz się ukryć na Dzikich Polach?

- Trochę je znam. Dasz tego papierosa?

- Papierosa tak. Gorzałki nie.

Kutrzeba przystał na taki układ.

- Uciekli samolotem, tak? - Zapytał wiele łyków później Grabiński. - Myślisz, że ilu mogło ich tam ocaleć?

- Dwóch, najwyżej trzech. Wydawało mi się, że widziałem trzech. Nie znam się na samolotach, ale ten mi nie wyglądał na duży. Pewnie poleciał pilot, czarownik, który zrobił mgłę, i jeszcze szef tego wszystkiego, jeśli był na pokładzie.

- Ten czarownik był dobry, nie?

- Najlepszy, jakiego widziałem.

- Tak mi się zdawało, że był dobry. - Grabiński pokiwał głową. Zapalił kolejnego papierosa. Zaciągnął się, a potem dłuższą chwilę obserwował dym ulatujący ku iluminatorom. - Dawno już nie strzelałem do ludzi. Myślałem, że mam już dość zabijania, ale dziś ręka mi nie drgnęła. Może to już starość? Sam niedługo zdechnę, to i nic mnie nie obchodzi cudze życie?

- Gadanie. Zrobiłeś, co trzeba było zrobić. Inaczej za moment to my bylibyśmy żarłem dla Wiekuistej.

- Mogłoby być i tak. Strasznie zajadli byli ci z „Jagiełły”, prawda? I zaskakująco dobrze przygotowani do akcji, jak na ludzi zaskoczonych podstępami naszego Marsjanina.

- Może nie byli tak znowu nieprzygotowani? Nie tylko Nowakowski ma wywiad, prawda? Głupotą byłoby myśleć, że inni nie wykazują inicjatywy.

- Myślisz? A może wiesz? Może, Mirku, ty mi wszystkiego nie mówisz?

- Nikt nikomu nie mówi wszystkiego.

- Banał, Mirku. Ale jak chcesz. Myślisz, że dotrzemy na Dzikie Pola?

- Modłę się o to do mojego boga. Też powinienes.

- Ale Wiekuista będzie nas tam ścigać?

- Rozniesie „Batorego” na strzepy, jeśli go dopadnie. Ale może zawróci nad Dzikimi. Albo nas już nie będzie na pokładzie, gdy dopadnie sterowiec...

Grabiński opróżnił ostatnim łykiem gąsiorek. Przez chwilę

wpatrywał się w jego wnętrze, jakby starając się wyparzyć kilka kropel - dezerterów. Wobec niepowodzenia tych starań westchnął żałośnie. Wystukał palcami jakąś smutną melodię na pustym naczyniu, a potem, tknięty nagłym podejrzeniem, spojrzął na Kutrzebę tak, jak spoglądał kiedyś na podejrzanych jako detektyw Kolei.

- Kto twoim zdaniem znajdował się na pokładzie „Jagiełły”?
- Zapytał.

- Ten czarownik? Nie znam go.

- Nie czarownik. Ten trzeci.

- Ktoś ważny najpewniej.

- Ktoś ważny - zgodził się Grabiński. - A ty ścigasz ważnych ludzi, prawda? Prawie samych najważniejszych. Nigdy mi nie opowiedziałeś, za kim gna cię ta twoja czarna panna, kim są ci ludzie albo kim się stali.

Gdy Kutrzeba nie odpowiedział, Grabiński uśmiechnął się smutno i odszedł szukać gorzałki. Kutrzeba odprowadzał go wzrokiem, aż nagle zaklął. Rzeczywiście, nie miał co robić, tylko gapić się na ludzi!

Rozdział 7

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, nad Wiekuistą Puszcą*

Przyglądał się, jak zmora rzucała przekleństwa na ścigające ich ptaki. Zapadł już zmrok. „Batory” od dziesięciu godzin pruł pełną parą przez przestworza, ale ptaki nie opadły z sił. Zmniejszyły dystans powoli, lecz uparcie. Wiekuista zmobilizowała posiłki i tak jak przypuszczał Kutrzeba, spróbowała kolejnym stadem zastąpić im drogę.

Tym razem Nowakowski dał Mioczce wolną rękę i nawiedzeniec rozpętał wokół „Batorego” piekło. Małe, trzymane w ryzach trąby powietrzne porywały i rozszarpywały ptaki, ogniste pioruny je spalały. Mioczce udało się nawet opętać kilka orłów, które zabiły znaczną liczbę zwierząt, nim Puszcza zorientowała się w podstępie i odzyskała nad nimi panowanie. Po wszystkim Mioczka zemdlał z wysiłku, ale zdziesiątkowane stado pozwoliło umknąć „Batoremu”. Nie ścigało go już, lecz trzymało się na dystans, czekając aż dołączą doń dwa kolejne wielkie nadptaki. Wszyscy na pokładzie wiedzieli, że z nimi Mioczka już sobie nie poradzi.

Zmora ukazała się, ledwie zaszło słońce. Czy jej

przekleństwa zadały stadu straty, Kutrzeba nie wiedział. Bawiła go furia zmory, zwrócona jak zwykle przeciw istocie, która śmiała stanąć im na drodze. Gdy teraz opuściła jego ciało, nie podzielał już jej gniewu. Nie pierwszy raz okazała się bardziej żywiołowa i zajadła niż on.

Wydawała się taką drobiną. Smukła, prawie delikatna, mogła zostać wzięta za dziewczynę wypatrującą z pokładu statku ukochanego. Wychylona nad barierką machała uniesioną ręką, wykonując gesty, które można by uznać za pożegnanie.

Rzucała klątwy.

Wiatr rozwiewał jej włosy i niósł słowa ku ptakom. Nie pierwszy raz Kutrzeba zdumiał się jej wdziękiem i urodą. Nie wiedział, jak postrzegali zmorę inni. Słyszał kiedyś legendę z wschodnich stepów, opowiadającą o mężczyźnie przez całe życie spotykającym przybierającą kobiecą postać Śmierć. Gdy zobaczył ją jako młody chłopak, wydała mu się szkaradna. Im bardziej jednak się starzał, tym mocniej zyskiwała ona na urodzie. Aż wreszcie, gdy nadszedł jego czas, z ochotą padł w ramiona najpiękniejszej kobiety, jaką zdarzyło mu się spotkać. Może ze zmorą było podobnie? Może inni widzieli w niej potwora, a tylko on dostrzegał śliczną dziewczynę, bo tylko on był gotowy się z nią związać?

Zorientowała się, że mężczyzna na nią patrzy. Odwróciła się ku niemu, siedzącemu na przysadzistej ławie, pasującej bardziej do statku pasażerskiego niż bojowego sterowca, zawirowała i nagle już siedziała mu na kolanach, obejmowała

za szyję i delikatnie drapała szponami, którymi kończyły się jej dłonie.

- Mirku, Mirku... - Dmuchnęła mu w ucho. - Czego oni wszyscy od nas chcą?

- Powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie.

- Ranisz mnie - szepnęła smutno. Przysunęła trójkątną twarzyczkę ku jego twarzy. Patrząc mu głęboko w oczy, pogłaskała go dłonią po policzku i nagle wskoczyła z powrotem w jego duszę. Usłyszał jeszcze coś, co mogło być szeptem albo jego wyobrażeniem: „Inna jestem! Inna!”.

- Wyczułam, że coś złego wylazło na pokład. - Sara usiadła obok Kutrzeby. Nie wyglądała na przejętą, choć towarzyszący jej Jasiek przypatrywał się Kutrzebie z ustami szeroko rozwartymi ze zdumienia. Towarzyszył im oczywiście Burzymur. Wciąż nosił taśmy z amunicją i karabin przerzucony przez ramię. I on minę miał niewyraźną. - Ona często tak z ciebie wylazi, *mulo*?

- Co to słowo znaczy?

- Że dobrzy ludzie powinni trzymać się od ciebie z daleka.

Odpowiedz na pytanie!

- Nieczęsto.

Zastanowił się, czy powinien odejść. Rozmawiając z tą czarownicą o zmorze, czuł się, jakby zdradzał wierną towarzyszkę. Choć wszyscy powtarzali, że demonka wykorzystuje go, tak naprawdę, odkąd przyjął ją do serca, nigdy go nie zawiodła. Cokolwiek by nie mówiono, byli potrzebni sobie nawzajem. Może gdyby nie ona, niosący go

gniew dawno by zgasł i Kutrzeba zrezygnowałby z zemsty? Nie była to miła myśl. Gdyby poświęcił jej więcej czasu, musiałby spytać sam siebie, czy jeszcze pamięta tamtych troje i czy jeszcze tęskni za nimi i kocha ich tak, jak kochał kiedyś. Być może właśnie po to, by uciec przed konsekwencjami takich refleksji, zdecydował się pozostać z Sarą.

- Kiedyś wcale. Ostatnio przydarzyło się jej to kilka razy.

- Tak po prostu? Wychodziła z ciebie, żeby porozmawiać, pogapić się na świat?

- Nie gapiała się na świat, Saro. Rzucała przekleństwa na ptaki.

- Przekleństwa? Ona sama jest przekleństwem, *mulo*. Twoim i tych, których ścigacie. I nikogo więcej. Jej klątwy nie działają na nikogo poza tobą.

- Może nie wiesz o niej wszystkiego?

- Ty głupi...! - Warknęła Sara, ale niespodziewanie złagodniała. - Może i nie wiem. Nie słyszałam dotąd, żeby zmora tak z człowieka wyłaziła.

- Świat się zmienia, prawda? Może demony też? Teraz ty mi coś powiedz.

- Ciągłe targi? Zły z ciebie człowiek, *mulo*.

- Tego mówić nie musiałaś, to wszyscy wiedzą. Powiedz, jaką ją widziałaś. Jaka ci się zdała?

Sara spojrzała mu prosto w oczy. Niespodziewanie spojrzenie jej pojaśniało, jak od uśmiechu, i zaraz uśmiechnęła się naprawdę.

- Chyba jestem głupsza, niż mi się wydawało - parsknęła, wstając. - Czas na mnie, trzeba tego naszego nawiedzonego gówniarza przywrócić do zdrowia, żeby nas wszystkich poratował, jak przylecą ptaki.

- Nie odpowiedziałaś.

- Niech ci oni odpowiedzą. - Wskazała dwóch wciąż jeszcze oszołomionych mężczyzn. Burzymur tylko odchrząknął, łypnął na Kutrzebę nieżyczliwie i odszedł. Zbierał się za nim i Jasiek, ale Kutrzeba go powstrzymał.

- Piękna była - wybąkał chłopak cały czerwony na twarzy.

- Ja nie wiem czemu, bo straszna. Ale piękna. Nie wiedziałem, że takie potwory mogą być takie piękne. To pewnie chyba na pokuszenie.

- Zrobił ci ktoś kiedy krzywdę, Jaśku?

- Tylko wy, panie. Ale ja wam już wybaczyłem. Wy jesteście zły człowiek, ale złu chyba nie służycie. Los was tak zaklął.

- A idźże już, świętoszku! - Roześmiał się. - Nagle wszyscy mi tu nie wiedzieć czemu życzliwi! Nie mam pojęcia, jak sobie z tym poradzę!

- Burzymur was, panie, nie lubi - pocieszył go Jasiek i czmychnął.

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

Zamieszanie pod Smoczą Jamą przybierało na sile. Gdy

kasztan minęło kolejnych ośmiu strażników, Kutrzeba z Szulerem zeskoczyli z drzewa.

Jak uprzedził Karolek, wywołana przezeń ulewa nie dosięgła wawelskiego dziedzińca. Czary nie mogły też zgasić gazowych latarni, bo nawet moce Szulera miały swoje ograniczenia; potrafił naginać linie losu i wykorzystywać przypadek, nie umiał jednak tworzyć go z niczego. Zaklęcia rzucane w obrębie murów działały, zbyt wielu mieszkańców wzgórza używało najróżniejszych form magii, by można było choćby spróbować ją tu całkowicie zneutralizować. Jednak Kutrzeba słabo znał się na czarach. Polegał tylko na zaklęciach, które otrzymał od wytrawnych magów, a te były kosztowne. Zakupił więc tylko takie, które wydały mu się niezbędne; zaklęcie niewidzialności nie zmieściło się na liście wydatków. Nie mogąc liczyć na żadną osłonę, Kutrzeba uznał, że próby ukrywania się i skradania ku Baszcie Złodziejskiej pozbawione są sensu. Wyprostowany ruszył ku niej środkiem alejki, jakby miał pełne prawo przebywać w tym miejscu.

Strażnicy zatrudnieni przez bank nie opuścili stanowisk i wydawało się, że mają własne zdanie na temat dwójki intruzów, wycelowali w nich bowiem karabiny. Stało ich przed drzwiami sześciu, uzbrojonych w nowoczesną broń, o jakiej miejskie służby mogły tylko marzyć. W mundury wszyli amulety najróżniejszego pochodzenia, a fragmenty ochronnych tatuaży, jakimi pokryli ciała, wystawały spod bielutkich kołnierzy i rękawów uniformów.

- Porucznik Majakowski z policji krakowskiej - zawołał Kutrzeba, unosząc w lewej dłoni legitymację poświadczającą wszystko, co tylko podyktował fałszerzowi. - Przyszedłem powiedzieć, że mieliśmy tu zuchwały napad na smoka. No i sprawdzić, czy u was wszystko w porządku.

- Stój! - Głos dowódcy straży brzmiał na tyle groźnie, by zatrzymać choćby i samego smoka. - Rzuć no nam te papiery, sprawdzimy coś za jeden!

Zachowując się jak wcielenie potulnego urzędnika, któremu tak naprawdę wszystko jedno, co się dzieje, byle sam wyszedł bez szwanku, Kutrzeba cisnął fałszywkę pod nogi strażników. A gdy ładunek ukryty za kartonową okładką wybuchł, oślepiając wszystkich w promieniu dwóch, trzech metrów, Kutrzeba wpadł między nich.

Bank nie zatrudniał byle kogo, ludzi w typie emerytowanych żołnierzy bądź policjantów, większą wagę przywiązujących do zawartości barku niż do kondycji, ale prawdziwych twardzieli, już weteranów, wciąż jednak dość młodych i sprawnych. Jednak nawet oni, przy wszystkich zabezpieczeniach, na jakie zapewne wydali majątek, popadli już w rutynę. Szef banku zapewne nie podzielał ich samopoczucia, ale strażnicy czuli się widać bezpiecznie na chronionym na dziesiątki sposobów Wawelu.

Dwóch pierwszych Kutrzeba pozbawił przytomności ciosami dębowej, acz wypełnionej ołowiem pałki. Poradził sobie bez pomocy Szulera.

Po chwili jednak bóg odwrócił od podopiecznego kule

wystrzelone z karabinów strażników, którzy widocznie wciąż potrafili celować. Pozostali strzelali na oślep. Tych przytomniejszych Kutrzeba zajął małą, podręczną klątwą, kupioną swego czasu u Baby Jagi. Pozostałych zaznajomił z pałką.

- Ciche to to nie było - mruknął po wszystkim Szuler.

- Niech wie, że nadchodzę. Niech się boi! - Mężczyznę ogarnęła już gorączka walki. Zmora krzyczała w nim rozpalona, spragniona spełnionej zemsty. Gdy rzucił się pomiędzy strażników, osłaniała go przed ciosami. Raz wyrwała zakończoną szponami rękę z ciała Kutrzeby i rozplatała gardło strażnikowi zachodzącemu go od tyłu. Choć wiedziała, że pewnie Szuler osłoniłby go jakoś, chciała dzielić krwawe uniesienie ze swoim mężczyzną, pogrążyć się w trawiącej go gorączce i wmieszać w nią własne upojenie.

Drzwi wysadzili dynamitem Kuntza. Kutrzeba nie oszczędzał - wybuch nie tylko wyrwał ze ściany solidną bramę, ale też rozsadził część muru. Teraz w całej już baszcie rozdzwoniły się alarmy, ale jedynie pracownicy banku mogli na nie zareagować. Wawelscy strażnicy albo kłębili się w Smoczej Jamie, zbierając dowody, w tym pojemniki po fałszywym eterze, albo uganiali się po nadbrzeżu Wisły za uciekającym na burzowej chmurze Karolkiem i usiłującym zwiać w bardziej konwencjonalny sposób Jajcusiem. Niektórzy, ulegając pokusie, próbowali zatrzymać dla siebie trochę skarbu, inni uspokajali smoka, który jednym z pazurów przybił do kamiennej ściany herr

Kuntza i powoli przypalał mu pięty gorącym oddechem.

Uzbrojony w karabin zabrany jednemu ze strażników Kutrzeba, wkroczywszy na bankowy hall, nawet nie próbował się kryć. Dzięki wsparciu Szulera dostrzegał ochroniarzy, nim oni zdążyli na niego zareagować. Położył trupem czterech, zanim dotarł do schodów. Wychylił się ostrożnie. Kule nie ominęłyby go bez pomocy dwojącego się i trojącego Szulera.

- Przesadzasz! - Krzyknął bóg.

- Niech się boją! - Kutrzeba zaśmiał się opętańczo.

Zastrzelił strażnika na schodach i pognał na górę, do sypialni, w której kulił się pod łóżkiem łysawy grubasek, zupełnie nieprzypominający w tej chwili jednego z najpotężniejszych ludzi w Krakowie. W spoczonej, trzęsącej się dłoni ścisnął rewolwer, otrzymany niegdyś w prezencie od generała z Twierdzy Sów, z którym przyjaźnili się od dzieciństwa. Modlił się, by pancerne, wzmacniane świętymi i magicznymi symbolami drzwi wytrzymały, i wzywał na pomoc boga, którego stworzyli kiedyś w sześciu, by zyskać władzę i bogactwo.

Wszystko na próżno.

Krąg wymalowany na progu powstrzymał Szulera, nienaturalne szczęście opuściło Kutrzebę, gdy wysadził pancerne drzwi i wszedł do sypialni. Niosła go jednak wtedy już inna siła. Kul wystrzelonych przez grubasa nie odwróciło szczęście. Bankier chybił ze strachu, strzelał na ślepo, trzymając rozchwiany rewolwer w trzęsących się dłoniach.

Kutrzeba wyciągnął go spod łóżka. Zgruchotał mu kolana pałąką, a potem zwyczajnie zastrzelił, nie zwracając uwagi na błagania.

Przyglądającemu się wszystkiemu zza progu Szulerowi zrobiło się żal grubasa. Poprzez linie losu obserwował szarpaninę potencjalności wokół prezesa banku. Dostrzegał zmarnowane szanse na zwyczajne, ale w miarę możliwości szczęśliwe życie i odrzuconą okazję porzucenia zbrodniczego planu. Wtedy jeszcze nie grubas i nie prezes, a ledwie trzydziestoletni jasnowłosy dyrektor jednego z oddziałów banku, wahał się przez trzy nieprzespane noce, czy nie spróbować przekonać współników, by znaleźli inny sposób na skuteczne zrobienie kariery. Wszystkie te możliwości i wspomnienia gasły, opuszczając stygnące ciało. Wcześniej bankier jaśniał od potencjalności, teraz zmieniał się w plamę ciemności podobną do tej, jaką dla Szulera był Kutrzeba. Żadne jasne nici ewentualnych odgałęzień losu nie rozplatały się wokół Mirosława, pochylającego się właśnie nad ciałem bankiera i sprawdzającego, czy nie znajdzie choćby echa pulsu. Ścieżka losu Kutrzeby była jedna, prosta i czarna.

- Jego patron nadciąga, Mirku. Wie już, że się spóźnił, ale chce nas dopaść. Lepiej stąd wiejmy.

- Ukryjesz nasze tropy. Daj mi jeszcze chwilę.

Kutrzeba nachylił się nad uchem nieboszczyka i choć trup nie mógł już nic usłyszeć, wyszeptał w nie krótką, złożoną z ledwie trzech imion litanie.

- A teraz - oznajmił światu - zostało jeszcze czterech.

- Wiejmy - powtórzył Szuler.
- Już możemy - zgodził się Kutrzeba.

I uciekli, choć drogę próbowali im jeszcze zagrozić bankowi strażnicy i przepełniony żalem za utraconym stwórcą bóg zrodzony z krwi i śmierci pasażerów pociągu Kolei Galicyjskich. Chociaż Kutrzeba nie wiedział tego, część ich niespokojnych duchów pomagała im w ucieczce. Nie były silne, te przepełnione smutkiem upiory wędrujące nocami wzdłuż torów, odpędzane przez patronów lokomotyw i magicznych stróżów kolejowych stacji. Trwały w czymś w rodzaju snu, dopóki nie budził ich skowyt dusz opuszczających ciała zabijanych przez Kutrzebę mężczyzn.

Zlatywały się z całego kraju wzorem ptasich padlinożerców szukających ścierwa. Strażnicy miast - czy były to dusze zwierząt zakopane na granicach miejscowości, czy duchy ludzi, którzy pozwolili zamurować się w murach miejskich lub strażnicach - próbowali je powstrzymać. Nigdy jednak nie udało im się odeprzeć wszystkich. Znajdywały wyrwy w barierach, przekradały się skrzyżowaniami dróg, korzystając z pomocy pomniejszych czartów utrzymujących tam przyczółki, albo sięgały do snów grzeszników podatnych na opętanie. Przenikały przez szpary uczynione przez szalonych dywersantów gotowych poświęcać samych siebie, byle tylko szkodzić bliźnim, i przez handlarzy własnymi duszami, szukających okazji do zawarcia dobrego kontraktu z nieczystymi siłami. A potem spadały na splamioną krwawym rytuałem duszę i rozrywały ją na strzępy.

Żaden z mężczyzn, których dopadł Kutrzeba, nie miał szans na zbawienie czy choćby przeistoczenie w mściwego upiora. Duchy pomordowanych ucztowały krótko, a żer przynosił im tylko chwilowe ukojenie. Jednak dodatkowo mąciły tropy i mimowolnie pomagały zbiegom.

Zmora mieszkająca w sercu mściciela widziała te upiory, ale nigdy nie podzieliła się tą wiedzą ze swym nosicielem. Czasem chciała mu o tym opowiedzieć. Zawsze jednak przypominała sobie, iż wśród upiorów dostrzegała także zmasakrowane twarze jego żony i dzieci. I że w ich oczach także nie było już widać choćby śladu człowieczeństwa, a jedynie głód.

Trzeci

Rozdział 1

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, nad Wiekuistą Puszcza*

Tego wieczora nie zagrali w brydża.

Czus trwał przy kole sterowym, z niepokojem oglądając się na ścigające ich wciąż ptaki. Przyjmował meldunki z maszynowni, w której silniki pracowały bez wytchnienia, po czym słał posłańców z informacjami do Marsjanina. Nowakowski wysłuchiwał ich bez słowa.

Sara, strzeżona przez Burzymura i Jaśka, próbowała przywrócić do przytomności Mioczkę. Wanda i Szuler tulili się do siebie, szepcząc modlitwy za Kutrzebę. Grabiński pił, uciekając przed własnymi demonami, a Kutrzeba, siedząc na zewnętrznym pokładzie, układał pasjansa. I myślał.

Najmocniejszą kartą uczynił Marsjanina. Król pikowy leżał pośrodku kręgu wyłożonych kart. Ile mógł wiedzieć Nowakowski, ile się domyślać? Rozczarował dziś Kutrzebę, gdy dał się ponieść walce. Powinien być bardziej opanowany. Może tęsknota za dowodzeniem okrętami kosmicznymi była większa, niż Kutrzeba sądził? Jeśli tak, to czy podobne tęsknoty dzielili inni Marsjanie? Może Grabiński miał rację i wszyscy oni pragnęli tylko jednego: powrotu w kosmos, w te

zimne przestrzenie, których byli jedynymi władcami. Czy to mogło mieć znaczenie? Z pewnością dałoby się jakoś wykorzystać. Na pewno należało się strzec się marsjańskich sentymentów, mogły zaszkodzić całej wyprawie.

Grabiński... Kutrzeba przyglądał się długo waletowi trefl, zastanawiając się, gdzie go położyć. Skąd mógł wiedzieć o egzekucji w Kielcach? Owszem, zapewne pisały o niej gazety. Przecież po to Kutrzeba dał się złapać, by zainscenizować własną śmierć i wysłać sygnał ukrywającym się przed nim w coraz potężniejszych twierdzach mężczyznom, że nie mają się już czego obawiać, bo mściciel nie żyje. Potrzebował przez jakiś czas ich dekoncentracji. Pierwszego udało mu się zabić stosunkowo łatwo, bo nie spodziewał się zemsty. Drugi chował się w miejscu, które uważał za niezdobyte. Trzeci sfingował własną śmierć i ukrył się pod nazwiskiem i postacią ukradzioną nieszczęsnemu Burtowieckiemu. Oszukałby wszystkich, łącznie z Kutrzebą, gdyby duch zamordowanego kupca nie pragnął zemsty. Skrzywdzeni ciągną do siebie nawzajem. To upiór odnalazł Kutrzebę i wyjawiał mu wszystko. Jednak śmierć człowieka, który ukraść mu duszę, nie zadowoliła go. Gdy Kutrzeba odrzucił propozycję zabicia wdowy, duch zaczął nawiedzać syna. Przekonywał go, że powinien zamordować wyrodną matkę, która nie zorientowała się, iż dzieli łożę z sobowtórem. Z punktu widzenia upiора kobieta nie była niewinna. Nie pierwszy raz Kutrzeba miał okazję obserwować logikę upiorów w działaniu. Czy możliwe, że po śmierci sam zmieni

się w kogoś takiego?

Odpędził wspomnienia. Nie należało się rozpraszać. Grabiński mógł przeczytać o wykonaniu wyroku na zabójcy kieleckiego kupca. Ale jak zdołał powiązać fałszywe nazwisko zamordowanego z Kutrzebą, także ukrywającym się pod przybraną tożsamością? Tylko wspólnicy zabitego wiedzieli, kim był zabójca i domyślali się jego motywów. Czy zatem Grabiński dołączył do nich? Z drugiej strony Nowakowski także wiedział, że to Kutrzebę powieszono w Kielcach. Może sztuczka ze śmiercią nie wyszła mu tak dobrze, jak sądził? A może ujawnił się zbyt szybko?

Odłożył waleta trefl na bok, do niewiadomych.

Sara i Burzymur, dama i walet kier. Byli połączeni z Jaśkiem, a tego wybrał on sam. Czy mogli mimo to szpiegować dla konkurentów Marsjanina? Wydawało się to wątpliwe. Inna sprawa, że Sara okazała się znacznie sprawniejszą czarownicą, niż na to wyglądała. Rozumiał, że wolała się maskować, Cyganie zawsze musieli uważać, lincze i pogromy wciąż się zdarzały, choć raczej na prowincji niż w dużych miastach. Położył karty na okręgu.

Młoda Wanda, adoptowana córka Szulera, stanowiła osobną kategorię. W jego talii symbolizowała ją dama karo, towarzyszka króla karo. Z tą dziewczyną wiązała się jakaś tajemnica. Kutrzeba nie rozumiał mocy, jaką dysponowała, ale domyślał się, że należała do niebagatelnych. Odrzucił przypuszczenie, że mogła być wcieleniem prawdziwej Wandy. Jasna Pani nie opuściłaby grodu przy kopcu,

obowiązek wobec wiernych pętał bogów i patronów.

- Kim jest ta dziewczyna? - Zapytał zmory. - Co możesz o niej powiedzieć?

Tym razem, być może z obawy przed Sarą, ciemna istota nie opuściła jego duszy.

Boję się jej.

- Boisz? Ty?

Istnieją rzeczy, których się boję. Na przykład twojej śmierci.

- To naturalne. Zapewne przestałabyś wtedy istnieć. Ale Wanda ci nie zagraża.

Czasem bywasz strasznie głupi! - Rozzłościła się. - *Nie zagraża mi na normalny sposób. Ale... Ja ją chyba polubiłam.*

- Co w tym dziwnego? Wszyscy ją lubią.

Ocknij się! Kim jestem, Mirku?

No tak.

Tak.

Wszyscy ją lubili. Może w tym znajdował się klucz? Może Wanda rzucała urok na załogę „Batorego”? W jakim celu? Ale... Nie mogłaby przecież rzucić uroku na jego zmore! Czy mogłaby?

Nie bądź niemądry.

- Panie Kutrzeba? - Jeden z ludzi Marsjanina wyprężył się przed mścicielem niczym przed oficerem. - Pan Nowakowski prosi pana do siebie.

- Jestem winien panu przeprosiny. - Marsjanin podał mu kieliszek koniaku. - Powinienem był pana od razu posłuchać. Być może uniknęlibyśmy obecnych kłopotów.

- Obliczył pan, kiedy nas dopadną?

- Mamy kilka godzin. Zdążymy nad Dzikie Pola, choć z ledwością. Musi pan wiedzieć, że to mi bardzo nie na rękę. Nadłożymy drogi.

- Czemu nie minęliśmy Wiekuistej od północy? Z Lodowymi i Asgardem da się dogadać. Jednych i drugich można przekupić. Wiekuistej nie.

- Zbyt długi przelot nad Polską byłby niewskazany. Nie sądziłem, że tamci będą nas ścigać poza granicami państwa i Kolei Galicyjskich. To, obawiam się, nie pierwszy i nie ostatni błąd, jaki popełniłem podczas tej wyprawy.

Urwał. Ale nie musiał mówić wiele więcej. Granice stały się czymś kłopotliwym w świecie Pokoju. Kres zniósł z map większość istniejących wcześniej państw. W Rosji wybuchła rewolucja, imperia Austro-Węgier i Turcji rozpadły się pod wpływem powstań narodowych, wspieranych przez przebudzonych bogów i demony, równie wściekłych jak masowo nawracający się na wiarę w nie powstańcy. Dawno zmarli królowie polscy walczyli przeciw Niemcom ramię w ramię z Perunem i Swarożycem, wiły stanowiły doborową gwardię legendarnego księcia Marka, wiodącego hufce Serbów przeciw Turkom usiłującym ratować imperium. Dniepr i Niemen zapieniły się od panien wodnych, w imię wyzwolenia wciągających w odmęty carskich żołnierzy.

Przez całą tę pożogę kroczyli przerażeni utratą okrętów Marsjanie, próbujący wywalczyć dla siebie miejsce na świecie. Ostatnie wierne im bóstwa potęgowały zamieszanie, ale nie tak, jak bogowie dziesiątek podbijanych przez Marsjan ras, którzy teraz zbuntowali się przeciw swym pogromcom i polowali na kosmitów. Z tego krwawego chaosu narodziły się byty podobne do Wiekuistej Puszczy. Ludzie, Marsjanie, ale także co rozsądniejsi bogowie, zrozumieli, że jeśli nie zaczną współpracować, spotka ich zagłada. Ale współpraca ta nigdy nie przebiegała gładko.

W czasie Kresu każdy próbował ratować się jak umiał. Zawiązano sojusze biznesowe i powołano do życia prywatne armie. Gdy nastał Pokój, patrioci - przekonani, że uda im się odbudować niepodległe narodowe państwa - odkryli, że nie tylko zewnątrzni wrogowie stanowią dla nich problem. Koleje Galicyjskie nie widziały powodu, by wyrzekać się raz zdobytej potęgi. Zawiazywały ponadnarodowe kontrakty z innymi potężnymi firmami. By zrównoważyć ich siły, narodowi idealisci powołali Republikę Narodów, dziwaczny twór zmieniający znaczną część Europy w quasi federację narodowych państw, tworzonych w nowych granicach.

Wobec zagrożeń płynących ze strony demonicznych hegemonii nikt nie chciał wojny pomiędzy ludźmi, zgodzono się więc na szereg kompromisów. W Rzeczpospolitej Polskiej rządził król wybierany spośród przedstawicieli odradzających się dawnych dynastii, jako że tylko tacy władcy dysponowali władzą nad częścią narodowych

duchów, demonów i bóstw. Koleje Galicyjskie funkcjonowały niczym państwo w państwie. Granice tego korporacyjnego terytorium nie do końca pokrywały się zresztą z granicami Polski. Na południu kraju Koleje dysponowały większymi wpływami niż na północy, gdzie rolę hegemonia sprawowała odrodzona Hanza. Choć oba te twory pozostawały oficjalnie w sojuszu wymuszonym przez tysiące kontraktów, jednak strefa podziału wpływów została jasno wyznaczona, a na jej pograniczu dochodziło czasem do konfliktów. Mimo to Marsjanin nie mógł liczyć na pomoc Hanzy, która pod względem poglądów politycznych zgadzała się w pełni z Kolejami Galicyjskimi.

- Rozumiem. - Kutrzeba skinął głową. - Przyjmuję przeprosiny. Obawiam się, że znaczną część drogi przyjdzie nam pokonać lądem. Czemu nie zbudował pan samolotu? Czy nie są szybsze?

- Szybsze, może. Ale mniej przydatne. Zapewne pan wie, że pierwsze, co zrobiliśmy po tym, jak wasza zwrotna wysadziła nasze okręty, to zniszczenie waszego lotnictwa. Paradoksalnie to wy mieliście podczas wojny przewagę w powietrzu, bo większość naszych... naszych odpowiedników aeroplanów pozostawała w hangarach nosicieli... Nosiciele to takie okręty, na których przewoziliśmy mniejsze statki powietrzne. Dysponowaliśmy lepszą bronią lądową i większym doświadczeniem, więc zniszczyliśmy większość waszych samolotów, wysadziliśmy wasze fabryki. Cofnęliśmy i zahamowaliśmy wasz rozwój technologiczny. Za co bardzo

pana przepraszam. To także był z naszej strony błąd. Potem nastąpiły czasy magii i chyba tylko my oraz garstka przewidujących ludzi spróbowaliśmy powstrzymać całkowity regres technologii. Dopiero od kilku lat staramy się odzyskiwać przestworza dla Marsjan. I ludzi, tak, tak. Ale nie istnieje samolot o odpowiednim tonażu dla naszej akcji. Żaden nie uniósłby takiej ilości paliwa, która starczyłaby nam na dotarcie do celu. A do wagi paliwa dochodzi jeszcze masa ludzi, zapasów żywności i wody, broni i amunicji... Szybkość to nie wszystko.

- Cieszę się, że pan to mówi, bo przyjdzie nam trochę zwolnić, gdy będziemy wędrować lądem. Jaki jest nasz obecny kurs?

- Za około godzinę przelecimy nad Mińskiem...

- Musimy go ominąć!

- To nam nie pomoże. Nadłożymy tylko drogi i prawdopodobnie zabraknie nam czasu.

- Nad Mińskiem zabraknie nam szans na przeżycie. To jedyne znane mi miasto, którego Wiekuista nie obróciła w perzynę. Za to je opętała. Drzewa rosną tam na dachach nawiedzonych domów jak na zboczach gór. Na ulicach śpią olbrzymy z drewna i betonu. Myślę, że już na nas czekają. Trzymając w łapach wielgachne kawały ścian, którymi nas obrzuca. Bóg zresztą raczy wiedzieć, co jeszcze szykują. Na początek obstawiam dywizjon latających kamiennych gargulców.

- Dysponuje pan znaczną wiedzą. Niemniej mój wywiad

utrzymywał, że Mińsk to już tylko ruina. Że nie zostało tam nic poza Puszczą. I musi pan wiedzieć, że wywiad Kolei Galicyjskich jest tego samego zdania.

- Byłem tam dwa lata temu. Wiem, co widziałem. Ona eksperymentuje, panie Nowakowski, szuka nowych rozwiązań. Sam się pan o tym dopiero co przekonał.

- Zatem korekta kursu - westchnął Marsjanin. - Pan pozwoli, że go przeproszę, ale to trzeba wykonać od razu.

*maj 1967 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
drugi rok Kresu, piętnasty rok Pokoju, Kraków*

- Natychmiast - powtórzył siwy drab, jak gdyby sądził, że mogli nie usłyszeć go za pierwszym razem. - Wynoście się z mojego miasta. Obaj. Natychmiast. Niech to szlag, nie rozumiem, czemu nie miałbym rozwalić was na miejscu!

- To by chyba groziło dekonspiracją, nie? - Zasugerował Kutrzeba, ani myśląc dokądkolwiek się wynosić.

Uśmiechając się bezczelnie, usiadł z Szulerem naprzeciwko pułkownika wywiadu. Odnaleźli go bez trudu w jednej z jego ulubionych spelun przy odrodzonej ulicy Kociej. Gdy otoczono Kraków nowymi murami, natychmiast zmartwychwstały przy nich uliczki unicestwione wcześniej w trakcie wyburzenia starych murów miejskich, jeszcze w dziewiętnastym wieku, a między nimi i Kocia. Współcześni krakowianie co do jednego przeklinali wysublimowane gusta dziewiętnastowiecznych radnych, których odczucia

estetyczne raziły stare mury. Nawet ich ruiny stanowiłyby lepszą osłonę przed siłami nieczystymi niż poobsadzone posągami patronów Planty. Szczęśliwie dla miasta Plant strzegły też patrole wron przechowujących pamięć o starodawnych murach, gdzie gnieździli się przez całe ptasie pokolenia ich przodkowie.

Nastroszone wrzaskliwe ptaszyska obsiadały drzewa niczym fortece, tak jak od średniowiecza obsiadały blanki nieistniejących już fortyfikacji. Choć wrony oficjalnie nie pracowały dla Rady Miasta, a nawet wydawało się, że szczególnie upodobały sobie kapelusze i płaszcze urzędników miejskich jako cel dla bombardowania odchodami, strzegły starych granic Krakowa. Nienawidziły przejezdnych duchów i demonów być może z tego samego powodu, który kazał „starym krakusom” patrzeć z góry na ludzi zamieszkujących ich miasto krócej niż od sześciu pokoleń. Wronie klany trzymające straże na Plantach bywały starsze niż genealogie zasłużonych krakowskich rodów.

- Dekonspiracją? - Prychnął pułkownik Korycki. - Ja tu jestem swój. Po prostu was rozwalę, a kucharze ukryją truchła w spiżarni. Zaglądają tu tacy, którzy chętnie zjedzą gulasz z ludziny.

- Mój kumpel pewnie by im stanął w gardłach i lokal straciłby renome. Niech pan posłucha, wiem, że może być pan na mnie trochę zły o tę awanturę...

- No, jestem. Trochę. - Korycki uśmiechnął się wrednie. - Trzydzieści ofiar śmiertelnych i dwie setki rannych

zirytowały mnie tylko odrobinę, a opierdolu od szefa, któremu prezydent groził wywaleniem na zbity pysk, nawet nie zauważyłem. Ale wpędzenie smoka w alkoholizm i zamordowanie jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w całym województwie nielecho mnie wkurwiły. Oszukałeś mnie! I co gorsza wykorzystałeś.

- Nie mogłem wpędzić smoka w alkoholizm tak od razu...

- Znalazł się specjalista od smoków i wody. Człowieku, wiesz, kogo zabiłeś?

- Wiem. - Uśmiech zgasł na twarzy Kutrzeby, a w jego oczach pojawiło się coś, co sprawiło, że nawet Korycki poczuł nagły chłód. Pułkownik z trudem opanował chęć, by obrócić na palcu pierścień różańca. - Wiem też, że dotrzymałem słowa. Poinformowałem pana o siatce Rewolucji, o której nie miał pan pojęcia, i wystawiłem wam jednego z ich czołowych łączników. Chyba herr Kuntz przeżył u smoka, nie? Założę się, że potem śpiewał aż miło. Macie dowody na powiązania siatki berlińskiej z Rewolucją, a pewnie jeszcze i dziesiątki innych tropów. Szyman pracuje teraz dla was. A jako premię wskazałem luki w systemie zabezpieczeń smoka i Wawelu. Uprzedziłem, że będzie za to cena. Pan mnie jak dotąd tylko skontaktował ze smokiem.

- Ta twoja cena miała nie zaszkodzić miastu.

- A niby jak zaszkodziła? Bank pewnie ma już nowego prezesa, kandydatów tam na pęczki. Co takiego stracili?

- A trzydzieści trupów i ranni?

- A to nie byli głównie najbardziej fanatyczni kibice czy

szurnięci bandyci? Ilu nielegalnych magów przymknęliście przy okazji, że nie wspomnę o hodowcach poczwar?

- Pewnie jeszcze mam być ci wdzięczy? Chcesz list pochwalny od prezydenta? Order?

- Informacji.

- Wypieprzaj z mojego miasta.

- Zrobię tak. Informacje mi w tym pomogą.

- Najbliższa brama znajduje się ledwie pięć minut marszu stąd. Jak teraz wstaniesz, zdążysz przed zamknięciem.

- Panie pułkowniku, rozumiem pana gniew. Jeśli pan chce, możemy posiedzieć tu do rana, przekomarzając się przy wódeczce. Jednak choć na pewno przyjemna, będzie to strata czasu. Albo niech mnie pan zamknie, albo mi pomoże.

- Zamknąć cię nie zamknę. - Korycki machnął na rudziutką kelnerkę. Nie pytając o nic, postawiła przed nim litrowy kufel piwa i odeszła, machając ciemnorudą kitą wystającą z rozcięcia w spódnicy. Wszyscy trzej mężczyźni odprowadzali dziewczynę wzrokiem. Szuler odczytał z otaczających kobietę aur nazbyt wiele. Rozkasłał się niespodziewanie, chwycił dopiero co przyniesiony kufel piwa i wychylił go duszkiem. Korycki przyglądał się temu z kamiennym wyrazem twarzy, po czym wycelował w boga palec i patrząc na Kutrzebę, oświadczył: - Teraz to dopiero jestem wkurzony! Właśnie za ten typowy dla was dwóch przejaw bezczelności i braku szacunku dla władz, a także tradycji naszego starożytnego, taka jego mać i wasza zresztą też, miasta.

Wstał, zbierając się do wyjścia.

- Od tej pory my płacimy. I będę panu winny przysługę - zawołał prędko Kutrzeba. Zerkał przy tym na Szulera, wyraźnie zaskoczony jego postępkami.

- Ta kobieta... - stęknął bóg. - Ona jest...

Urwał.

- Mieszkańcem - dokończył Korycki, na powrót siadając przy ławie. Przywołał ponownie kelnerkę. - Małgosiu, od teraz ci panowie płacą. Przynieście nam trzy kufle ciemnego. Pełno tu takich - dokończył, gdy odeszła. - Nie wiem, jak się rodzą, i nie chcę tego wiedzieć. Ale są wilkołaki i niedźwiedziolaki, a także ich mieszkańcy ze zwykłymi ludźmi, czemu nie ma być więc ludzi pochodzących od lisów?

- Ona nie pochodzi od lisa - bąknął Szuler.

- O? A od czego?

- Wiewiórki - bóg prawie szeptał, bo ogoniasta Małgosia powróciła zaskakująco prędko. Choć wcześniej nie domagała się pieniędzy od Koryckiego, teraz wyciągnęła znacząco rękę ku Kutrzebie.

- Wiewiórki? - Powtórzyli równocześnie Korycki i Kutrzeba, oglądając się za odchodzącą. Zerknęli na siebie, wykrzywili się paskudnie i znów obejrzelni za dziewczyną.

- Wiem, co widzę - upierał się Szuler.

- Jak od wiewiórki? No przecież to chyba niemożliwe?

- Nie chcę wiedzieć jak. - Szuler opróżnił kufel do połowy.

- Za nic w świecie nie chcę.

- Właściwie - Korycki podrapał się po głowie - była taka

sprawa w Krakowie, ale ze dwieście lat temu. Kiedyś chciało mi się sprawdzać stare księgi sądowe, jak jeszcze robiłem w policji. Wiecie, spod Rynku wyłażą czasem stare trupy, lepiej wiedzieć, z czym ma się do czynienia. Coś ze dwieście lat temu powiesili pod Szarą Kamienicą takiego jednego, za spółkowanie z wiewiórkami właśnie.

Pomilczeli. Długo, bo starczyło im czasu na zamówienie kolejnych piw. Małgosia chyba poczuła się urażona ich zainteresowaniem, bo tym razem przysłała koleżankę. Nowa kelnerka wydawała się zwyczajna, póki Szuler nie dostrzegł ukrytego trzeciego oka pośrodku jej czoła. Zmora wyczuła zagrożenie i prędko otoczyła maskowaniem myśli Kutrzeby. Korycki dysponował własnymi zabezpieczeniami.

- I uważasz pan, że on odżył? - Odezwał się wreszcie Kutrzeba.

- Raczej kogoś opętał. Płacze się po Krakowie sporo dusz skazańców. Kurde, zmieńmy temat. Będziesz mi wisiął przysługę, tak?

- Spieprzę stąd. To chyba niezła przysługa, nie?

- Naprawdę chcesz mnie zirytować. Mów, czego potrzebujesz. Sam ocenię, ile to warte.

Kutrzeba przesunął ku Koryckiemu złożoną kartkę papieru. Porzucił kindersztubę i zaczął się do niego zwracać per „ty”. Wspólne spiski zbliżają ludzi.

- Jest tam nazwisko gościa, data urodzin oraz miejsce jego zamieszkania, jak i śmierci.

- Niedawna - mruknął Korycki. - Zbyt niedawna, byś miał

z tym coś wspólnego. Chyba? - Łypnął podejrzliwie na Kutrzebę.

- Jakbym ja go zabił, tobym nie miał o co pytać, nie? Trzy dni po naszej małej awanturce koleś wpadł do stawu w parku we Lwowie i się w nim utopił. Chcę znać wszystkie okoliczności jego śmierci, wiedzieć, kto po nim dziedziczy, co postanowiła nieutulona w żalu wdowa i co stwierdził lekarz podczas oględzin ciała. Wszystko.

- Jakiś twój przyjaciel czy coś w tym rodzaju?

- Coś w tym rodzaju - odparł spokojnie Kutrzeba. - Był mi bliski na swój sposób.

Rozdział 2

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju nad Wiekuistą Puszcza*

Niedaleko od Mińska Mioczka odzyskał wreszcie przytomność. Dochodziła północ i zapewne dlatego mogli z oddali ujrzeć ducha starego miasta, z czasów gdy nie opętała go jeszcze Wiekuista Puszcza.

Białawe, przypominające światło Księżyca i przenikające siebie nawzajem cienie ludzi, zwierząt i budowli, a nawet drzew, z okresu, kiedy należały do świata fauny, a nie demonów, rozświetliły blado okolicę. Jaśniejące pośrodku mroku rozciągającej się na tysiące kilometrów przeklętej Puszczy miasto wydało się Wandzie tak piękne, że zapragnęła do niego się zbliżyć. Na próżno jednak prosiła o to Nowakowskiego, który zastąpił Czusa przy kole sterowym. Mioczka palił się wprawdzie do służby, jednak zarówno Sara, jak i pokładowy lekarz, nakazali mu odpoczywać.

- Nic by mi się nie stało - burczała Wanda, przyglądając się mijanym kształtom. - Nic by mi nie zrobiły!

- Wiem, córuś. - Szuler gładził wielkim łapskiem jej jasne i lekkie niby powiew wiatru włosy. Dla jego oczu jaśniały. Mińsk postrzegał natomiast jako wielkie zawirowanie

niespełnionych historii. Ciekaw był, czy nawiedzone drzewa i hordy demonów bały się duchów niegdysiejszych mieszkańców miasta. – Może umiałabyś im nawet pomóc? Ale mogłyby zaszkodzić sterowcowi i wszystkim ludziom na pokładzie. A i ptaki nadto by się do nas zbliżyły.

- Jasiek nie mógłby do nich przemówić?

- Nie do opętanych, maleńka.

- A on naprawdę umie rozmawiać ze zwierzętami? Bo mnie się zdaje, że tylko się przechwala, żeby zrobić na mnie wrażenie. Jeszcze nie widziałam, żeby z jakimś rozmawiał.

- Bo żadnego zwierzęcia tu dotąd nie było, prawda? Obawiam się, że jeszcze się napatrzysz na jego zdolności, gdy powędrujemy lądem.

- Nie mogę się doczekać, tatku!

Nie tylko ona tęskniła za zmianą sposobu podróżowania. Także Kutrzeba miał już dość sterowca. Dręczyła go jego ciasnota. Podczas wypraw zawsze znajdował czas, by oddalić się od towarzyszy i odpocząć od ludzi, gdy czuł, że nadto się do nich przywiązuje. Na pokładzie statku powietrznego praktycznie nie było to możliwe. Zaledwie znalazł jakiś cichy kąt, zaraz ktoś go tam odnajdywał. Co gorsza nie opuszczało go przecucie, że w krytycznej dla wyprawy chwili jego przekleństwo da o sobie znać i zaszkodzi napędzającej „Batorego” maszynerii. Wolałby, by poruszali się gnani jedynie siłą wiatru, ale wtedy nie uciekliby ptakom. Ptakom, które najwyraźniej nie znały zmęczenia i musiały ich prędzej czy później dopaść.

- Przecież to zwierzęta, nie demony! - Nowakowski, dotąd przekonany, że ptaki opadną wreszcie z sił, poddał się wobec ich uporów. - Rozumiem opętanie, ale przecież posiadają ciała. Ich mięśnie męczą się, potrzebują energii!

- Może się wymieniają? - Zastanawiał Kutrzeba. - Wystarczy, żeby co kilkadziesiąt kilometrów nowe ptaki zastępowały te zmęczone. Widzimy wciąż ten sam ogromny rój, ale może się on składać z innych, ciągle nowych ptaków.

- W takim razie, gdy nas dopadną, będziemy bardziej zmęczeni od nich. Czekam na pana dalsze sugestie, panie Kutrzeba.

- Powinniśmy wylądować mniej więcej tu. - Kutrzeba wskazał na mapie niewielki las otoczony ze wszystkich stron stepem. - Wysadzi pan załogę i puści sterowiec samopas, niech go wiatr niesie i odciągnie pościg.

- Będą już wtedy zbyt blisko! Zobaczą nas!

- Uważam, że pognają za sterowcem. W gruncie rzeczy są tępe. Jeśli Wiekuista kazała im ścigać latający pojazd, to skupią się właśnie na nim. Zresztą, w lesie będą mniej niebezpieczne.

- Czy jest nawiedzony?

- To jedno ze zbuntowanych dzieci Wiekuistej, którym próbowała zainfekować Dzikie Pola. Tutejsza magia go oswoiła. Na swój sposób w każdym razie. Nie zaatakuje nas, jeśli będziemy się odpowiednio zachowywać. W jego środku rozciągają się bagna, trzeba będzie przez nie przejść. Jest tam wyspa, a na niej gródek. W nim znajdziemy schronienie.

Znąją mnie tam od trochę lepszej strony.

- To ludzie?

- Rosjanie, ale Biali. Przebijali się z owładniętej Rewolucją Rosji na zachód, ku Polsce, ale utknęli. Dowodzi nimi dynastia założona przez jednego hrabiego. Czekają na powrót cara. Swego czasu trochę im pomogłem.

- Co dalej?

- Jeśli zabierzemy ze sobą odpowiednio dużo srebra, sprzedadzą nam konie. Odzyskamy siły, może kupimy trochę zapasów i będziemy mogli ruszyć na północ. Trzeba będzie pokonać Dzikie Pola, ale znam tam kilka bezpiecznych miejsc. Zresztą możemy na nich spotkać nie tylko wrogów. Zajmie nam to trochę czasu, ale w ten sposób uda nam się w końcu dotrzeć do Tajgi.

- Nie zaatakuje nas?

- Matka Tajga nie nienawidzi ludzi, jak jej bardziej narowista kuzynka. Puszcę zabiliśmy powoli, nim się przebudziła. Tajga zawsze górowała nad ludźmi, a ci, którzy w niej mieszkali, traktowali ją jak boginię, jeszcze zanim rzuciliście nam na głowy prawdziwych bogów. Przebudzenie niewiele zmieniło. Gdybyśmy tam przybyli ścigani przez Wiekuistą, potraktowałyby nas jak wrogów. Ale gdy tam dotrzemy, nasza potyczka z Puszcą będzie już przebrzmiała historią. Umiem się odpowiednio zachować wobec Matki Tajgi. Jeśli mnie posłuchacie, może nam nawet pomoże.

- Cieszę się, że zabrałem pana ze sobą.

- Spokojnie, z czasem może pan zmieni zdanie. To, co

teraz wydaje mi się istotne, to pańscy wrogowie. Po pierwsze musimy się liczyć z tym, że ich czarownik przeżył. Mogli wezwać pomoc i kto wie, czy naszym tropem znowu nie zmierza kolejny sterowiec. Bo nie sądzę, żeby odpuścili nam po tym wszystkim.

- Może mieć pan rację. Co w związku z tym?

- Prawdę mówiąc, nic nie przychodzi mi do głowy. Czy oni mogą znać cel naszej podróży?

- Istnieje taka możliwość.

- W takim razie będąc nimi, wybrałbym trasę północną. Dotarliby na miejsce przed nami, zabrali wszystko, co jest do zabrania, a potem po prostu na nas zaczekali.

- Nie dodaje mi pan otuchy.

- Od czarowania ma pan Mioczkę, ja wolę twardo stąpać po ziemi.

- No cóż, sądzę, że tym razem może się pan mylić. Gdyby było, jak pan mówi, po co by nas ścigali?

- Oto optymizm! Ale możliwe, że uzasadniony. Potrzebuje mnie pan jeszcze do czegoś? Chciałbym urwać z doby parę godzin snu.

- Tak, niech pan koniecznie odpocznie. Chcę, żeby był pan w pełni sprawny podczas lądowania.

marzec 1968 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju, Dzikie Pola

- Przypomnij mi, po cośmy się tu wybrali? - Kutrzeba

jeszcze raz sprawdził karabin. Broń była jak trzeba, czysta, załadowana, gotowa.

- Żebyś mógł przez chwilę odpocząć - odparł Szuler. - Oczyszczyć umysł, złapać drugi oddech. I żeby oni też od ciebie odpoczęli i przestali się tak ciebie strzec.

- Następnym razem, jak wpadnę na pomysł wakacji, zaciągnij mnie na jakąś plażę z oswojonymi syrenami. Choćby siłą.

Obserwowali watahę wilkołaków szykującą się do przekraczania brodu.

Nieświadome obecności wrogów potwory zachowywały się niczym beztroskie psiaki. Jedne z nich z ochotą wskakiwały do wody, ledwie pozbyły się tobołów i pasów z bronią, inne przysiadły na brzegu, chłepcząc chciwie z rzeki. Pływacy czasem je ochlapywali, a wtedy te popiskiwały i odskakiwały od brzegu albo warczały i przeciwnie - wskakiwały do wody, by dopaść żartownisiów.

Oficerowie otuleni skrzydłami z czarnej skóry próbowali okiełznać przydzielonych im żołnierzy, ale nawet wilkołaki potrzebowały czasem odrobiny wytchnienia i nie reagowały na wrzaski rewolucyjnych komisarzy. Ci, gdyby byli u siebie, na terenach ogarniętych terrorem, najpewniej użyliby broni do przywrócenia porządku. Zastrzeliliby dwóch, może trzech najbardziej rozbawionych podwładnych, a resztę batogami zagonili do szeregu. Na Dzikich Polach nie odważyli się jednak dyscyplinować oddziału na ten sprawdzony sposób.

Zapędzili się ze swoim podjazdem zbyt głęboko na

terytorium wroga. Musieli tego szczerze żałować. Czar Dzikich Pól nie miał do nich dostępu, ale prostych żołnierzy zaczynało ogarniać pragnienie wolności, uwolnienia się od żelaznej dyscypliny Rewolucji i dołączenie do ich dzikich braci, których prawie nikt nie ważył się ujarzmić. Żołnierze jeszcze słuchali rozkazów, ale coraz mniej było w nich dyscypliny i oddania idei.

- Gotowi? - Hrabia Rostow podczołgał się do Szulera i Kutrzeby. - No, panowie Polacy, na mój znak!

Oparł o ramię kolbę karabinu pamiętającego chyba jeszcze czasy cara. Wycelował i wystrzelił pierwszy. Jeden z siedzących na koniu komisarzy wyprostował się gwałtownie, rozłożył czarne skrzydła i wrzasnął rozdzierająco. Wilkołaki, te na brzegu i te w rzece, wpadły w panikę.

Warcząc i skowycząc, rozpierzchły się na wszystkie strony. Jedne skierowały się ku drugiemu brzegowi, byle jak najdalej od wroga. Słusznie spodziewały się, że ścigający ich biali czaili się tylko na jednym brzegu, nie przewidzieli jednak obecności rusalek. Panny wodne chwyciły nieszczęsne potwory za łapy i ścigały w głąbiny. Zazwyczaj nie radziły sobie z ważącymi więcej niż sto kilo wilkołakami, teraz jednak miały do czynienia z zaskoczonymi żołdakami.

Ludzie nie strzelali jednak do wilkołaków. Skupili się na komisarzach. Kutrzeba dobił tego zranionego przez hrabiego i zastrzelił konia pod innym. Czarnoskrzydli próbowali się chronić za pagórkami, ale gdy strzelał Kutrzeba, to nie Pan Bóg nosił kule. Uśmiechając się szeroko, Szuler odmieniał

tory pocisków. Tu nie musiał się ograniczać. Żadna poważniejsza siła nie chroniła czerwonoarmistów na Dzikich Polach. Szulerowi zdawało się nawet, że sama kraina sprzyja mu w tej potyczce.

- Nie jesteśmy waszymi wrogami! - Zawołał hrabia Rostow, gdy już wszyscy komisarze zginęli. Wstał. Wilkołaki, warcząc, czekały na śmierć. - Nie zabiliśmy żadnego z was, nawet rusalki wyciągnęły waszych nieprzytomnych braci na brzeg. Możecie żyć tu wolni albo służyć dalej czerwonym, jak chcecie.

Hrabia gwizdnął i sierżant przyprowadził konie. Oddział odjechał, zostawiając wilkołaki obwąchujące trupy przełożonych. Kilometr dalej zjechali ku rzece, gdzie czekały na nich rusalki wodne, sojuszniczki. Złożyły głębokie ukłony, ledwie dostrzegły hrabiego.

- Wasza wielmożność - zameldowała ich przywódczyni, cały czas pochylona w ukłonie - jak kazaliście, nie skrzywdziłyśmy tych piesków. Gdyby jednak wasza wielmożność życzył sobie ukarać je za przekleństwa, jakie potem wywarkiwały, moje siostry i córki są gotowe. Tamci napotkają jeszcze trochę rzek po drodze.

- Dziękuję wam, mateczko. Dajcie im żyć. Część tu pozostanie, inne zanoszą do czerwonych wieści o tym, jak je potraktowano. To, co opowiedzą, więcej nam da niż ich śmierć. Potrzeba wam czego? Nie bójcie się mówić.

- Jedynie łowów! - Zawołała jedna z młodszych. Uniosła głowę i Kutrzeba mógł zobaczyć jej ogromne zielone oczy i

wąziutkie usta, ledwie kresczkę na jasnej twarzy. Nie wydała mu się piękna, ale pełna jakiegoś niebezpiecznego uroku, którym przez wieki jej ród potrafił kusić i gubić mężczyzn. - Prawdziwych łowów, wasza łaskawość! Przywódczyni zasyczała ostro, groźnie, i zuchwała panna wodna umilkła.

- Raczcie wybaczyć, panie. Rusłana poniesie konsekwencje swojej bezczelności.

- Nie karzcie jej zbyt surowo, mateczko. Młoda jest, to i niecierpliwa. Zapewnię wam jeszcze łowy! Daję słowo, że posmakujecie jeszcze czerwonego mięsa. A gdybyście czegoś potrzebowały, ślijcie umyślnego do grodu. Rostowowie nigdy wam niczego nie odmówią!

Odjechali żegnani słodkim śpiewem. Kutrzeba zrównał się z hrabią.

- Żyjcie tu, jak widzę, w zgodzie ze wszystkimi.

- Tak trzeba, jeśli ma przetrwać Rosja. Nauczyłem się wiele na błędach naszych starych przywódców. Dla przykładu, chcieli waszej, Polaków, pomocy przeciw Rewolucji, ale jedyne, co potrafili wam zaoferować, to niewolę po zwycięstwie. Dumna była stara Rosja, może nazbyt dumna. Ja umiem cenić sojuszników. I wiem, że ich potrzebuję. A słodkie nasze demonice wodne widzą we mnie dobrego pana, to i chętnie służą. Bo każdy, choć wiem, że to niepopularny w Polsce pogląd, potrzebuje pana. Nie szaleńca, jak ci, którzy rządzą teraz w Moskwie, ale ojca, który i zatroszczy się, jeśli potrzeba, i ukarze, jeśli nie ma

innej rady. Tak i postępuję, więc mnie szanują.

- A Kozacy?

- A, rogate dusze! - Roześmiał się Rosjanin. - Urządzają na mnie podjazdy, nakładają haracze na wsie! Porywają panny! To i wojuję z nimi, choć czasem mi się zdaje, że jesteśmy jak kłócący się kochankowie, którzy i tańczą, i wadzą się w tym tańcu. Ale jak nadchodzą czerwoni, to wspólnie ich bijemy. Kozacy to takie nieposłuszne dzieci. Takie też się kocha, wie pan? Tylko czasem trzeba je zapoznać z pasem.

- Marzy im się wolna Ukraina?

- Tak mówią. I może nawet tak myślą. Ale moim zdaniem zupełnie nie tak czują. Oni nie chcą własnego państwa, nigdy nie chcieli. Jak przestali służyć wam, to zaczęli służyć nam. Jedno, czego chcą, to tego, co nazywają wolnością, a co za carów i za waszych królów było tylko bardziej poluzowaną smyczą. Oni kochają się bić i kochają śpiewać. To i kochają Dzikie Pola. Pan na mnie patrzysz spode łba, jakbyś się ze mną nie zgadzał. Ale z takich miłości państwa zbudować się nie da. Dlatego potrzebna im Rosja, choć prawie żaden tego nie przyzna. Jak zmartwychwstanie Rosja - hrabia ucałował krzyżyk wiszący na piersi - to daj Bóg, car zrozumie to i będzie ich trzymał na takiej właśnie poluzowanej smyczy. To wtedy będą szczęśliwi. I wierni.

- Może pan będzie carem?

- Nigdy! - Oburzył się szczerze hrabia. - Ja, panie Kutrzeba, też jestem z tych, co potrzebują nad sobą kogoś większego. Pan zresztą też. Tym się różnimy, że ja o tym

wiem, a pan i Kozacy jeszcze nie. No, pogadamy w domu. Teraz step woła!

Popędził konia, a Kutrzeba pognał za nim.

Spotkał Rostowa nieopodal lasu, pod ochroną którego przodek Rosjanina wzniósł swój gródek. Odpoczywali z Szulerem przy źródółku, blisko którego stoczyli potyczkę z grupą szkieletów powstałych z kurhanów. Stwory miały na sobie poszarpane skórzane kurty i także czapy. Ich poszczerbione miecze pamiętały chyba jeszcze czasy średniowiecza. Kutrzeba roztrzaskiwał poźółkle czaszki strzałami z pistoletu, zostawiając Szulerowi deptanie próbujących się jeszcze poruszać, ale już pozbawionych głów szkieletów.

- To one szły za nami od trzech dni - odezwał się bóg, roztrzając ostatni, podrygujący jeszcze szkielet. Odrzucił kopnięciem kościaną dłoń, próbującą spazmatycznie zacisnąć się na jego nodze. Obrócił się, by ujrzeć, że Kutrzeba ćwiczył jeszcze fechtunek, krzyżując szable z ostatnim ze szkieletów. Ożywieniec poruszał się zaskakująco zwinnie i zdarzało mu się nawet przechodzić do kontry, nie stanowił jednak zagrożenia dla człowieka. - A mówiłem, żeby nie bawić się przy tamtym kurhanie w wywoływanie duchów.

- Wiedza to broń! - Odparł Kutrzeba. Pojedynek znudził mu się wreszcie. Odciął szkieletowi prawą rękę, a potem rozplatał czaszkę. Stał weszła gładko w starą, podgniłą kość, ale i tak trzeba było jeszcze podeptać i rozrzucić trzymające się za wszelką cenę fałszywego życia szczątki.

Teoretycznie właśnie po informacje przybyli na Dzikie Pola. Choć pułkownik Korycki nie zdobył dla nich wielu wiadomości o topielcu ze Lwowa, zaproponował im pracę. Koleje Galicyjskie starały się dowiedzieć jak najwięcej o aktualnej sytuacji na Dzikich Polach, jednak wysłani ku nim agenci przepadali bez wieści. Być może nawet do nich nie docierali. Kraina opanowana przez duchy wszystkich minionych wojen, których na tych ziemiach stoczono bez liku, graniczyła bezpośrednio z Rzeczpospolitą tylko na wąskim odcinku, stale zresztą atakowanym a to przez podjazdy Wiecznej Rewolucji, a to przez dywersantów Wiekuistej Puszczy. By przedostać się na Dzikie Pola, trzeba było najpierw pokonać ten niespokojny odcinek albo przedrzeć się przez jedno z tych dwóch wrogich państw.

- Czemu ja? - Zapytał był Kutrzeba, przeglądając dostarczone przez Koryckiego dokumenty. Kątem oka dostrzegł, jak Szuler oglądał się za pochodzącą od wiewiórek Małgoską. Po kilku wizytach kelnerka zaczęła ich traktować jak stałych klientów, a nawet próbowała flirtować z Szulerem. Jej starania wprawiły boga w zakłopotanie, ale także go ujęły. Kutrzebie uświadomiły, że jego patron nigdy jeszcze nie miał kobiety. - Brakuje ci ludzi?

- Po pierwsze, mają co robić. Po drugie, to robota na boku, żebym miał czym handlować z Kolejami. Po trzecie, jest w tobie coś, co mówi mi, że masz szansę, jakich nie mieli inni.

- Po czwarte, będziesz mi wisiał przysługę.

- Zapłacę wam.

- Oczywiście. Poza tym będziesz nam wisiał przysługę.
- A może po prostu zapłacę wam podwójnie?
- Po prostu zapłacić podwójnie możesz byle komu. Mnie, który dysponuje, jak powiedziałaś, szansami, których nie mają inni, zapłacisz i będziesz jeszcze wisiał przysługę.
- Pomogę Szulerowi wyrwać Małgośkę?
- To żadna przysługa. Ona już go sobie wybrała, tylko on tego jeszcze nie rozumiał.

Nie miał racji. Szuler omal nie zapominał oddychać, wyraźnie widział wszystkie łańcuchy potencjalności przykuwające go do dziewczyny z rudym ogonem. Dokładnie dostrzegał, dokąd prowadziły. Odczytywał zamiary kobiety i swoją przyszłość w nich zapisaną. Nie potrafił tylko znaleźć w sobie dość śmiałości, by ostatecznie ulec apetytom, których do końca nie pojmował.

Rozdział 3

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, u granic Dzikich Pól*

- Nie rozumiem, jak ma nam pomóc opuszczenie „Batorego”! - Denerwował się Mioczka, gdy zaznajomiono go wreszcie z planem. Odkąd oprzytomniał, mówił tylko o walce z ptakami i zemście na Wiekuistej Puszczy. Myśl o pozostawieniu sterowca wydawała się napawać go przerażeniem. Możliwe, że nie wyszedł jeszcze z szoku, jednak Kutrzeba zaczął zastanawiać się, na czym dokładnie polegała więź między nawiedźńcem a okrętem.

Wszystkie jego coraz bardziej odrealnione i histeryczne argumenty nie miały jednak znaczenia. Decyzja zapadła i nie było od niej odwrotu. Tym bardziej, że ptaki zbliżyły się już na tyle, że mogli usłyszeć ich złowrogie nawoływania. Niepokojące, że wielu członkom załogi wydawały się one zrozumiałe, jakby potrafili rozumieć ptasie przekleństwa albo jakby zwierzęta wołały właśnie do nich. Myśli ludzi opanowywały obietnice strasznej i powolnej śmierci. Niektórzy zarzekali się, że prawie czuli smak krwi i rozdziobwanego mięsa. Jeden z mężczyzn wyskoczyłby nawet za burtę w poszukiwaniu ukojenia, gdyby Burzymur

nie powstrzymał go w ostatniej chwili.

Za kołem sterowym stał Czus.

- Zostało nam może pół godziny - oznajmił, gdy już wszyscy zainteresowani zgromadzili się na mostku.

- Myślę, że to najwyższy czas - zdecydował Kutrzeba. - Jesteśmy już nad Dzikimi Polami.

- Żał opuszczać tak dobry okręt. - Marsjanin pogłaskał oparcie specjalnie przystosowanego do jego kształtów fotela.

- Nie jestem najlepszym jeźdźcem. Zawsze wolałem maszyny od istot żywych.

- Mogę je jeszcze pozabijać, panie! - Kolejny raz zaoferował się Mioczka. - Rozpętam burzę i wicherę. Ześlę na nie ogień i lód. Moglibyśmy je pozabijać i wygrać! Cyganka mi pomoże! Wielkolud porozrywa je gołymi rękami! Pozwólcie mi walczyć! - Ostatnie słowa przypominały żałosny skowyt.

- Jest ich zbyt wiele. - Marsjanin potrząsnął głową. - Nawet ja słyszę ich wstrętne głosy.

Dwa z trzech ścigających ich nad-ptaków, pewne już zwycięstwa, zmieniły nieco kierunek lotu, tak by zaatakować „Batorego” z obu burt równocześnie. Przyglądali się ich manewrom, gdy Nowakowski wydawał załodze polecenia. Wszyscy mieli opuścić pokład możliwie maksymalnie obciążeni sprzętem, przede wszystkim żywnością i amunicją. Każdy miał także zabrać ze sobą po dziesięć kilogramów srebra ze zgromadzonych w ładowni zapasów. Wprawdzie oznaczało to, że wylądują straszliwie przeciążeni,

jednak Nowakowski zamierzał zakopać część zapasów, by wrócić po nie, gdy już zdobędą konie.

Po wylądowaniu mieli dysponować jedynie kilkoma minutami, zanim nie dostrzegą ich ptaki. Załoga szykowała się do wyrzucania bezpośrednio z pokładu tylu dodatkowych skrzyń ze srebrem, ile zdążą, gdy tylko sterowiec zbliży się do ziemi. Potem opuścić go mieli także ludzie.

Nim zaczęli obniżać lot, Mioczka wytworzył osłonę z mgły. Nie było to dzieło równie potężne jak mgła przywołana przez maga z „Jagiełły”, jednak zaniepokoiło ptaki i w ich wołania wkradły się nowe tony.

- Kontaktują się ze swoją jędrą matką. - Szuler mógł unieść więcej niż zwyczajny człowiek, toteż obładował się zapasami za trzech. Nawet on jednak nie zabrał ze sobą tyle co Burzymur. Wielkolud dodał kilka taśm amunicji do tych, którymi owinał się wcześniej. Wytaszczył na pokład cztery skrzynie ze srebrem i szykował się do ciśnięcia nimi za burzę. Kutrzeba zasugerował, by część zapasów zrzucić wcześniej na spadochronach, Marsjanin zbyt jednak obawiał się złośliwości wiejących od Wiekuistej Puszczy wiatrów, które mogłyby rozwłóczyć jego skarby po całych Dzikich Polach, a może nawet zagarnąć je nad Puszczę.

Prawie wszyscy ludzie zgromadzili się na zewnętrznych pokładach. Na mostku pozostali już tylko Czus z Mioczką. Marsjanin zniknął w swojej kabinie, pakując ostatnie niezbędne mu rzeczy. Możliwe, jak przypuszczał Kutrzeba, że żegnał się ze swoim okrętem. Nie dowodził nim długo.

- Witaj, ziemio - zawołał Grabiński, poobwieszany torbami zawierającymi przede wszystkim alkohol. - Przybywamy!

marzec 1968 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju, Dzikie Pola

- No i dotarliśmy! - Hrabia Rostow oddał lejce zgarbionemu i nadzwyczaj mocno zarośniętemu słudze, wydającemu pomruki przypominające raczej odgłosy zwierzęce niż ludzkie, odzianemu jednak w nienaganną liberię ozdobioną herbem Rostowów. - Oto mój dom, panowie Polacy! Oto Przystań Carogrodu!

Gródek o nieco przesadnie podniosłej, zdaniem Kutrzeby, nazwie wzniesiono na wyspie wśród bagien. Gdy wędrowali po nich tajną ścieżką, błędne ogniki wirowały wokół, witając powracających z boju. Sławę bohaterów głosili ochryplymi głosami topielcy, których wódz składał hrabiemu meldunki o tym, co się ostatnio działo w bagnach, i chwalił się powiększeniem szeregów o trzech utopionych kozackich zwiadowców. Z polan nadbiegły rusałki o kuszących kształtach i spojrzeniach. Nawet w ich pełne szacunku oddanie wkradały się uwodzicielskie tony, doprowadzające zmore do pasji. Narzucały wojownikom kwietne girlandy na ramiona, chichotały i czerwieniły się pod męskimi spojrzeniami, a ich oczy pełne były słodkich obietnic. Wirowały pomiędzy końmi, raczej tańcząc niż biegnąc.

Czas jakiś człapał obok ludzi leszy w zdobyczej futrzanej

czapie, z której nie raczył oderwać czerwonej gwiazdy, ale zmęczył się wreszcie i zawrócił do lasu, gdy dotarli do bagien. Zastąpił go żabiousty wodnik zarządzający stawami lśniącymi łagodnie wśród bagien i strumykami pomiędzy nimi. Pokłonił się w pas na powitanie i podarował hrabiemu wór świeżo nałapanych ryb. Nawet czaple kłaniały się panu tych ziem, a i drzewa pochylały z szacunkiem korony.

- Tak właśnie winien wyglądać świat - dzielił się poglądami Rostow. - Świat ładu, gdzie każdy zna swoje miejsce i jest dzięki temu szczęśliwy. Oto Rosja w pigułce, panowie Polacy. Rosja, jaką byłaby za cara, któremu pokłoniłyby się wszystkie duchy tej ziemi, uznając go za pana! Bo ziemia to wie i dusze powiązane z nią też wiedzą, że potrzeba światu gospodarza!

Otworzono przed nimi drewnianą, ale mocną bramę, nad którą górowały dwie strażnicze wieże. Wszystko tu było zbudowane z drewna, nie starczyłoby w okolicy kamienia na postawienie choćby chałupy. Jednak wzniesiony wedle starodawnych zasad gródek, przypominający Kutrzebie wiele innych grodów obronnych, jakie powyrastały w całej Polsce, zdolny był w razie potrzeby stawić czoła choćby i armii. O ile jakaś odnalazłaby doń drogę i zdołała przebyć bronione przez demony bagna.

- Mamy tu nawet sosnę z Wiekuistej Puszczy - chwalił się Rostow, prowadząc gości przez tłum wyległych im na spotkanie mieszkańców Przystani Carogrodu. Ludzie padali hrabiemu do stóp, wznosili okrzyki na cześć jego i żołnierzy,

obdarzali życzliwym słowem także gości. Jakaś zarumieniona młoda dziewczyna podarowała Kutrzebie bukiet polnych kwiatów i uciekła spłoszona, nim zdążył podziękować. Prawdziwie gorące powitanie czekało jednak hrabiego u progu jego dworu.

Wydawało się, że spadł tam na niego ucieleśniony żywioł, nie człowiek. Coś białego, jaśniejącego od radości, wypadło przez drzwi i rzuciło się na szyję mężczyzny, piszcząc z przejęcia. Zawirowali oboje, a Kutrzebie zamigotały tylko czarne warkocze i oczy barwy miodu.

- I tyle z mojego dostojństwa! - Śmiał się hrabia. - Oj, Olga, Olga, pokłoń się gościom. Z daleka przybyli!

- Najmocniej panów przepraszam. - Dziewczyna, na oko mniej więcej siedemnastoletnia, puściła wreszcie hrabiego i dygnęła wdzięcznie przed Kutrzebą i Szulerem. Choć starała się przybrać pokorny wyraz twarzy, jej oczy wciąż błyszczały, a i usta drżały jeszcze od śmiechu.

Na pierwszy rzut oka można było rozpoznać w niej córkę hrabiego. Odziedziczyła po nim i wąskie, ale wyraźnie zarysowane ostrym łukiem brwi, i zuchwały, choć delikatny podbródek, i ogień w oczach. Ich kształt i kolor zawdzięczała jednak matce, o czym Kutrzeba przekonał się, gdy przedstawiono go pani Przystani Carogrodu. Spoglądała na niego z zawieszzonego na wprost wejścia portretu kobieta piękna, acz w odczuwalny sposób surowa. Malunek przedstawiał ją naturalnej wielkości. Wykwintna ciemnoniebieska suknia podkreślała zarówno urodę, jak i

wysoką pozycję hrabiny. Za jej plecami jaśniał złoto odległy bal, Kutrzeba mógł niemal usłyszeć radosny harmider, nad który wybijała się harmonia walca. Małżonka hrabiego tłumiała wszystkie te niepoważne odgłosy samą swą obecnością. Kutrzeba odczuł potrzebę, by skłonić się przed obrazem, a gdy posłuchał intuicji, zaskoczony spostrzegł, że i kobieta z obrazu skinęła mu lekko głową.

- Aleksandra, moja własna królowa, na wieki - wyszeptał hrabia, a Kutrzeba usłyszał w jego głosie miłość i oddanie. - Matka mojej Olgi. Zawsze już będzie czuwać nad Przystanią Carogrodu, nawet kiedy mnie zabraknie.

Męża i córkę hrabina obdarzyła uśmiechem, po czym odwróciła się i dołączyła do bawiących się na balu.

- Są tam wszyscy, cała moja rodzina. I ja do nich kiedyś dołączę. Pan nie rozumie?

- Przyznam, że nie spotkałem się jeszcze z czymś takim.

- Żyje tu u nas jurodiwy dotknięty dziwacznym przekleństwem. Jego pradziad zawarł kiedyś pakt z czartem, ale nie z diabłem z piekła, lecz z duszą z naszej ziemi, jakimś przedchrześcijańskim bogiem. Oddał mu siebie i wszystkich swoich męskich potomków w zamian za dar malowania obrazów do cerkwi, tak żeby te obrazy żyły. Namalował więc świętych, którzy wodzili wzrokiem za wiernymi, błogosławili ich i śpiewali psalmy. Biedak zapłacił za to utratą głosu i znacznej części rozumu. A i w końcu wolnością, bo usłyszeli o tym najwyżsi biskupi, kazali go schwytać i przysłać do siebie na sąd. Ostatecznie nieboraka zamknięto w jakimś

klasztory, daleko na północy, a cerkiew z żywymi świętymi zburzono, jako obrazę Boga i dzieło diabelskie. Ale gdy jego syn osiągnął wiek męski, okazało się, że też stracił rozum i głos, i że malować potrafił jak ojciec. I tak to już zostało w tej rodzinie. Kobiety wprawdzie nie chciały się z takimi żenić, ale moi przodkowie dbali, by takiej, która malarzowi urodzi syna, do końca życia niczego nie zbywało. Malują oni nasze portrety, a gdy umieramy, dołączamy do zmarłych na obrazach.

I rzeczywiście, cały dwór pełen był obrazów przedstawiających pokolenia Rostowów przemalowanych ze starych, pozbawionych magii portretów, ale także sceny bohaterskie z historii Rosji, a nawet scenki rodzajowe z minionego świata czy Przystani Carogrodu. Przekłęci artyści malowali i portrety sług, i panów grodu. Najwięcej jednak było obrazów przedstawiających Moskwę z czasów jej świetności, nim zapanowali nad nią czarnoskrzydli komisarze, czerwonoarmiści o krwawych oczach i ich niewolnicy. Po ulicach Moskwy, uwiecznionych przez szalonych malarzy, powozy wciąż woziły arystokratów, a eleganccy młodzieńcy przechadzali się w towarzystwie pięknych kobiet. Dostojni starcy przyglądali się światu z ławek w parkach, nad którymi czuwali policjanci w zawsze czystych i wyprasowanych mundurach.

Kutrzeba nigdy nie odwiedził Moskwy, jednak nie mógł nie dostrzec, że miasto było nierzeczywiste. Z niektórymi budynkami było coś zdecydowanie nie tak, gubiły prostotę

linii, a czasem jednolitość barw. Bywało, że z niektórych dziwnie powykręcanych okien wyglądały twarze przypominające raczej demony niż naturalne istoty – koty o nazbyt mądrych spojrzeniach ludzkich oczu, psy z rogami w miejsce uszu, kobiety i mężczyźni o zaburzonych proporcjach. Niektóre konie wzbogacono o róg wystający z przodu czaszki, inne posiadały rachityczne skrzydła.

- Moskwa była ulubionym miastem mojej drogiej małżonki - tłumaczył hrabia. - Nigdy jej wprawdzie nie widziała na oczy, ale czytała pamiętniki mej prababki, oglądała zachowane zdjęcia i albumy. Jakże ja pieniądze wydałem, żeby zdobywać dla niej pocztówki i obrazy! Ale czy nie było warto? Odtworzyliśmy dla niej, dla nas wszystkich właściwie, całe miasto. Nie dokładnie takie, jakim było, to oczywiste. Musi pan wiedzieć, że szaleństwo malarzy nieco przenika do ich obrazów.

- Czy te namalowane postaci mogą wędrować między obrazami? - Zaciekawiał się Szuler.

- Oczywiście. Jaki inaczej miałyby to sens?

- To jest enklawa w enklawie... - Obrazy i Przystań Carogrodu wyraźnie zafascynowały Szulera.

Siedzieli na ganku, popijając malinową herbatę wzbogaconą nalewką z tychże owoców, i przyglądali się krzątaniu wokół dworu. Gospodarz wkrótce ich opuścił, by zająć się sprawami narosłymi podczas jego nieobecności.

- Świat, jakiego nie ma - powtarzał Szuler. - Nieprawdziwy, a jednak istniejący raj na ziemi.

- Rozumiem, że ci się tu spodobało?
- Nie. Nie wiem. Wiesz, to miasto cudów z obrazów, do których uciekają ich pośmiertne wizerunki... Myślisz, że to prawdziwi ludzie, a nie tylko ich wyobrażenia odkształcone tak, jak wyobrażenie Moskwy?
- Sądzę raczej, że ich dusze, które chowają się w tych obrazach. Jak dla mnie znalazły sobie miejsce dobre jak każde inne, a może lepsze. Słuchaj, ten gród jest zdecydowanie nawiedzony. Ale nawiedzony w całkiem przyjemny sposób.
- Nie jestem pewien. To utopia. A one wyrastają z idei, które są równie pełne bogów i demonów jak religie.
- Co właściwie widziałeś na tych obrazach?
- Chyba to samo, co ty. Tam nie ma żadnych możliwych ścieżek rozwoju wypadków, żadnych potencjalności. Namalowany świat zaplanowano w sposób uporządkowany. Oni namalowali ład, Mirku. W świecie pozbawionym chaosu każda ścieżka jest prosta i prowadzi do wybranego celu, nie ma tam miejsca na przypadek. Namalowali utopię i zdaje mi się, że pan hrabia stara się przenieść jej zasady tutaj.
- Czy to źle?
- Nie wiem jeszcze. Ale wydaje mi się to nienaturalne.
- Powiedział bóg stworzony w wojskowym laboratorium - roześmiał się Kutrzeba, ale nie rozbawił tym towarzysza.
- Długo zamierzasz tu zabawić, Mirku?
- Aż dowiem się wszystkiego, co się da. Mamy misję, pamiętasz?

- Byłeś ty o niej nie zapomniał.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Że Mioczka pozostał na pokładzie „Batorego”, wyszło na jaw, gdy już było za późno. Ludzie przypadli do ziemi wśród traw, za kuframi i worami z zapasami, starając się ukrywać przed ptakami w rzedniejącej mgle. Sterowiec unosił się, przyspieszając gwałtownie. Trzy wielkie nad-ptaki były już tak blisko niego, że zdawało się, iż lada moment dosięgną go ukształtowanymi z ptasiego mrowia dziobami. Krzyczały przeraźliwie. Ludzie zatykali uszy, by nie słyszeć tych dźwięków, w których odgadywano zapowiedzi krwawej uczyty.

- Nie powinien tak przyspieszać. - Pośród przestrachu załogi Marsjanin wydawał się oazą spokoju. Być może od początku Kresu, gdy dowiedział się, że okręty wsparcia pozostawione na orbicie eksplodowały wraz z załogami i zapasami, pozostawiając go jedynie z garstką żołnierzy, nie znajdował się w równie niebezpiecznej sytuacji. A jednak nie wydawał się Kutrzebie przestraszony. Raczej zaintrygowany. Wzbudził tym jego mimowolny podziw, bo sam Kutrzeba bał się jak diabli. Wątpił, by opieka Szulera, a nawet wsparcie zmory, mogły go uchronić przed śmiercią, gdyby ptaki nie dały się oszukać. - Sterowiec powinien wznosić się

jednostajnie, a nie w ten sposób. Ktoś nim kieruje! - Zrozumiał i prędko pojął, kto mógł nie posłuchać rozkazu. - Mioczka! - Krzyknął. - Mioczka! Czy ktoś widzi Mioczkę?

- Niechże pan zamilknie! - Syknął Kutrzeba. - Chce pan ściągnąć tu ptaki?

- Ale Mioczka...!

- Jeśli został na pokładzie, to już po nim. Pomodłę się za wszystkie jego dusze, bo pomaga nam, odciągając te przeklęte ptaszyska. Ale już po nim! Rozumie pan?

Bitwa rozpętała się wokół „Batorego”, ledwie oddalił się od nich o kilkaset metrów. Ludzie na ziemi, wciąż otuleni mgłą, nie zobaczyli tego, ale usłyszeli równoczesny jazgot wszystkich karabinów maszynowych uruchomionych najwyraźniej demoniczną magią Mioczki. Chwilę później dołączyły do nich grzmoty przywołanych przez nawiedzeńca piorunów.

- Szybko go nie pożrą - ocenił Czus. - Pewnie wciąż siedzi na mostku. Tam nie dostaną się tak prędko.

- Niech każdy łapie, co dla niego najważniejsze! - Zakomenderował Kutrzeba, widząc, że Marsjanin zamarł wpatrzony w górę, jakby potrafił przeniknąć wzrokiem mgłę. Wyraźnie nie spieszył się do wydawania rozkazów. - Po resztę tu wrócimy. Rzuć tę łopatę, chłopcze, nie mamy teraz czasu zakopywać skrzyń! Bierzcie broń, amunicję, żywność na trzy dni i tyle srebra, ile zdołacie unieść przez trzy dni szybkiego marszu! Żywo!

- Nie jest pan naszym dowódcą! - Zaprotestował Czus.

- Wasz dowódca właśnie medytuje. Chcesz czekać, aż ptaki tu zawrócą? Do roboty! Jasiek!

- Czego? - Warknął na niego Burzymur, odgradzając Kutrzebę od chłopaka odruchowo ruszającego ku wołającemu.

- Pamiętaj, że on mnie podpisał, wielkoludzie.

- Jak was zabraknie, to i papier nic nie wart - zawarczał Burzymur.

- Jak mnie zabraknie, toście wszyscy nic nie warcie! - Wrzasnął Kutrzeba. - Chcesz się teraz bić? Tutaj? Co ty, myślisz, że chcę ci chłopaka zeżreć? Sara, zabierz ode mnie tego kretyna, nim mnie trafi szlag i we dwóch urządzimy tu taki raban, że ptaki zapomną o sterowcu! Sara!

- Jestem, nie musisz się tak wydzierać, *mulo*. Burzymurciu, proszę. Nie teraz.

Odciągnęła wciąż powarkującego, ale posłusznego jej wielkoluda ku skrzyniom zapasów. Zaczęli zaraz przebierać w nich i obładowywać siłacza całą górą pakunków.

- Wybaczcie, panie, Burzymurowi - zaczął po swojemu Jasiek. - On wzburzony, martwi się o mnie...

- Jasiek, znajdź lepiej jakiegoś pasikonika albo inną stonogę i wybadaj, czy w pobliżu są jacyś wrogowie. Ktokolwiek, czy będzie to stado wilków, czy oddział kozacki. Rozumiesz?

- A może być siostra pszczółka, panie? Bo tu latają, chyba z jakiej pasieki nawet i...

- Cokolwiek, z czym się dogadasz. Byle szybko! Grabiński!

- Zgadzam się z Sarą, chłopcze. Nie musisz tak wrzeszczeć, nie jesteś już w wojsku.

- Zbierz ludzi, pilnuj, żeby nie pakowali byle czego. Sam też dorzuć coś do żarcia do tych butelek, co ci pobrząkują w plecaku. Ja muszę się zająć Marsjaninem.

- Tak jest, panie kapitanie. - Grabiński zasalutował kpiąco, ale niczym dobry sierżant pobiegł ku załogantom sterowca i zaczął opieprzać ich wedle najlepszych koszarowych obyczajów.

Nad nimi wciąż słyhać było grzmoty i terkotanie karabinów. „Batory” nadal walczył.

- Powinienem o tym pomyśleć - smutno odezwał się doń Marsjanin, gdy Kutrzeba dopadł go i zaczął szarpać za jeden z rękawów. - Zwiążaliśmy wszystkie dusze tego chłopca z „Batorym”, by zapewnić sobie ich oddanie. Nie mógł opuścić statku.

- Panie Nowakowski! Powspomina pan potem! Teraz musimy się stąd zabierać! Szybko! Ludzie już prawie gotowi!

- Zawstydzają mnie pan, panie Kutrzeba. - Łagodność w spojrzeniu Marsjanina wydała się Kutrzebie niepokojąca. Czyżby Marsjanin był w szoku? Mężczyzna sądził, że Nowakowski okaże się odporniejszy. - Chyba zbyt mocno przekształciłem się w biznesmena i wymarły we mnie wszelkie wojskowe odruchy. Naturalnie, zbierajmy się. Pan tu teraz dowodzi. Zakomunikuję to wszystkim.

- Dziękuję, ale wszyscy już to wiedzą. Wynosimy się stąd, zanim ptaki zrozumieją, że dostały tylko łupinę od orzecha, i

wrócą sprawdzić co z resztą.

Rozdział 4

*kwiecień 1968 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju,
Dzikie Pola*

- Zawracają! - Szepnął Rostow. - Znowu znalazły nasz trop!

Ścigające ich upiory dosiadały szkieletów koni. Unosiła się nad nimi chmara ptactwa żywiącego się na odpadkach pozostawianych im przez zmartwychwstałą bandę wywołaną pieśniami o minionych wojnach, które śpiewali wędrujący po stepie starcy.

Ich nikt nie ruszał, jakby wszelkie moce porozumiały się co do ich nietykalności, być może zdając sobie sprawę, że to właśnie pieśni starców budziły ich i dodawały im sił. Do twierdz zarządzanych przez ludzi wpuszczano ich niechętnie, chociaż prostaczkowie sądzili, że odmówienie pomocy pieśniarzowi przynosiło pecha. Toteż wędrowców dokarmiano w tajemnicy przed komendantami, burmistrzami i wójtami, którzy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie sprowadzali pieśniarze na najbardziej nawet umocnione twierdze. Wystarczyła jedna pieśń, która pobudziłaby w ludziach wiarę w baśnie i legendy, by na cmentarzach budzili się dawno zapomniani zmarli, powracali bezimienni żołnierze

leżący głęboko pod ziemią.

Pieśniarze, niechętnie widziani w ludzkich siedliskach, byli przyjmowani z otwartymi ramionami na uroczyskach. Nieumarli, demony i upiory witali ich chętnie. Zapraszali na uczty i choć nikt tego nie dowiódł, po wioskach i twierdzach szeptano, że starcy kosztowali na takich poczęstunkach ludzkiego, a nawet i demoniego mięsa.

Kutrzeba i hrabia wyruszyli na uroczysko, które pod wpływem pieśniarza rozkwitło ledwie dwadzieścia kilometrów od Przystani Carogrodu, a zatem na terenach, które hrabia uważał za znajdujące się pod jego opieką.

- Znam ja tego grajka - opowiadał Kutrzebie przy śniadaniu. - Wszyscy oni są nawiedzeni. Prowadzą ich pieśni, których może sami do końca nie rozumieją, które tu są chyba oddzielnym jakimś bytem, jakby upiorami. Opętały ich one niczym demony i za ich pośrednictwem opętują innych. Ale wielu z nich to dobrzy, chociaż nieszczęśliwi ludzie. Ten jednak... O, ten łajdak zaprzedał duszę złu! Tacy jak on służą diabłu, budząc w ziemi to, co w niej najgorsze. Musimy go dopaść, nim stworzy więcej takich uroczysk. Wiem, że jestem solą w oku tutejszym demonom, że skorzystają z każdej okazji, by mi dopiec.

- Są jakoś zorganizowane?

- Zwykle to tylko mniejsze lub większe bandy. Ale ostatnio słyszałem, że znalazły sobie jakiegoś atamana. Trafiają się tacy co jakiś czas. Ludzie albo demony, zdolni zgromadzić pod swoimi rozkazami istoty najgorszego gatunku. Zabijam

ich ja albo... - zawahał się - ...inni. Teraz widać znowu pojawił się jeden z nich i ostrzy sobie na mnie zęby. Pomoże mi pan?

Kutrzeba potwierdził, choć niezbyt chętnie. Cieszyła go wprawdzie możliwość walki z demonami, jednak pragnął opuścić wreszcie gródek. Uważał, że zabawili zbyt długo w tym przyjemnie nawiedzonym miejscu. A że miał rację, upewniał się właśnie dlatego, że Szuler zupełnie się z nim nie zgadzał.

- Miałem rację co do tego miasta - tłumaczył Kutrzebie z przejęciem. - To utopia, enklawa. To świat niemożliwy. Muszę go dokładnie zrozumieć. Zostańmy jeszcze. Proszę.

- Chciałbyś tu żyć?

- Tu nie. Ale w podobnym jakimś miejscu? Może rację ma hrabia, że ludzie potrzebują ostoi, czegoś lub kogoś, wokół kogo mogliby się gromadzić?

- I kto narzucałby im swą wolę?

- Jeśli nie mają własnej? Widzisz w tych ludziach jakiś bunt? Wydają się szczęśliwi.

- Cieszą się, że żyją i że nie grozi im śmierć, zbierająca obfite żniwo na zewnątrz. To nie jest szczęście ludzi, ale hodowlanych zwierząt.

- Hrabia nie szykuje ich na rzeź, ale od niej chroni!

Sprzeczali się tak już od kilku dni. Kutrzebie nie podobał się kierunek, w jakim zmierzały rozważania jego patrona. Zastanawiał się, czy filozofia hrabiego nie trafiała do Szulera właśnie dlatego, że ów był bogiem, stworzonym, by władać i

opiekować się maluczkimi. Może więc Kutrzeba sam opierał się jej, bo nie zamierzał zaliczać się do wielkiej rodziny biernych, potulnych sług. Choć nie miał złudzeń, czy sam wyznacza dla siebie los, pamiętał, że to właśnie butni mężczyźni traktujący innych jak bydło stali za śmiercią jego rodziny. Czy ich pomysły na życie tak bardzo różniły się od filozofii hrabiego? Chyba tylko tym, że on wydawał się być dobrym człowiekiem. Ale może stałby się podobny do nich, gdyby musiał walczyć o swoją pozycję, a nie urodził się już ze społeczną przewagą?

Odpędził od siebie te myśli. Nie czas na nie, gdy ukrywasz się przed ścigającymi cię demonami.

Najazd na uroczysko nie wyszedł im tak, jak planowali.

Demony okazały się przygotowane na atak. Zdaniem Kutrzeby wpadli nawet w zasadzkę.

- Tam - oznajmił hrabia, wskazując wielkie ognisko na stepie. Do szalonej muzyki skrzypka o sześciu ramionach tańczyły wokół niego bestie najróżniejszych kształtów. Kutrzebie przypomniały się sabaty czarownic, o jakich opowiadała mu babka. Wśród bestii nie dostrzegął jednak nagich kobiet. Tańczyły tam potwory z niematerialnymi duchami i upiorami o ciałach ukradzionych trupom, szkielety i ogniste demony zrodzone z krwi oraz wojny. A pomiędzy nimi na honorowym miejscu siedział pieśniarz - siwowłosy starzec, którego długą brodę maleńkie czarty rozczesywały kościanymi grzebieniami, wydobytymi z grobów jakiegoś prastarego plemienia.

Dziad zamknął oczy i przechyliwszy głowę, przysłuchiwał się szalonej melodii. Czasem sięgał po kielich z ludzkiej czaszki i popijał z niego.

- Poczekamy do świtu. W promieniach słońca będą słabsze
- zdecydował w końcu Rostow.

Ale to nie oni wybrali czas bitwy.

Dzika muzyka urwała się nagle. Potwory opadły na ziemię wokół ogniska, a wtedy starzec chwycił lirę, odchrząknął i wydał z siebie dziwny, niespokojny głos. Nie był to jeszcze śpiew, ale wszystkie potwory i tak zakołysały się jednocześnie, a zaraz potem krzyknęły coś, czego Kutrzeba nie zrozumiał. Wtedy dopiero dziad zaczął pieśń.

Nie śpiewał w jednym języku, lecz w mieszaninie wielu, tak ludzkich, jak i pochodzących ze świata demonów. Słowa ruskie, łacińskie i polskie mieszały się z niezwykłymi, drażniącymi dźwiękami, których nie mogłoby wydać z siebie zwyczajne ludzkie gardło. O czym traktowała pieśń, Kutrzeba nie mógł nawet zgadywać, jednak jej melodia wydała mu się miła dla ucha, wręcz uwodząca, zalotna. W pewnej chwili zdało mu się, że starzec śpiewa właśnie dla niego, zachęcając go do czegoś, czego mężczyzna jeszcze nie pojmował. I dopiero kiedy już wstawał ku ognisku, zdał sobie sprawę, że znalazł się pod wpływem czaru.

Potrząsnął głową zaskoczony, że ani Szuler, ani zmora nie uchronili go przed urokiem. Syknął na zmorę, szarpnął za ramię boga - i dopiero wtedy ocknęli się i oni. Związały ich potężniejsze czary. Ich, a także - jak się szybko przekonał -

wszystkich ludzi hrabiego. Nawet sam Rostow podnosił się już z ukrycia i zmierzał ku ognisku. Jego ruchy były niezgrabne, jakby hrabia walczył z własnymi kończynami, jakby jakaś jego część pragnęła pozostać w ukryciu. Niewielu jego żołnierzy zachowywało się podobnie. Większość porzuciła broń i wyprostowana sztywno zmierzała ku demonom.

Kutrzeba spojrział ku upiorom i zaklął. Nie siedziały już wokół ogniska, ale wstały, wpatrując się w nadchodzących. Uzbrojone po zęby oczekiwały, aż ofiary same do nich przyjdą.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Biegli.

Prowadził ich Marsjanin, a Kutrzeba ubezpieczał tyły. Minęło już sporo czasu, odkąd usłyszeli dobiegającą z wysoka eksplozję. Nie wiedzieli, czy to wybuchły wykorzystywane ponad miarę silniki „Batorego”, czy zgromadzone zapasy paliwa. A może to Mioczka wysadził sterowiec, by zabrać ze sobą jak najwięcej ptaków? Nie dostrzegli eksplozji ponad ciemnymi chmurami, prawdziwymi bądź przywołanymi przez Mioczkę albo jakieś inne siły. Tuż po detonacji Nowakowski zaproponował, by ukryć się i sprawdzić, czy ptaki ruszą ku nim, ale Kutrzeba

odrzuć ten pomysł.

- Nie tylko nad-ptaków musimy się strzec. Nasze przybycie nie przeszło niezauważone. Im bardziej się oddalimy od miejsca lądowania, tym lepiej.

- Ale w takim razie wszystkie porzucone przez nas zapasy mogą wpaść w czyjeś ręce!

- Zabraliśmy dość srebra, by kupić konie. Gdy wypoczniemy, sprawdzimy, czy coś ocalało. A jeśli nie, ruszymy tropem tych, którzy połakomili się na nasze zapasy. Może nawet Rostow nam pomoże. Teraz biegnijmy!

Pobiegli. Niektórzy opadali z sił. Tym trochę pomagała Sara, która zdążyła jeszcze na „Batorym” przygotować nalewki ze znanych sobie ziół. Marsjanin zarządził postój dopiero po dwóch godzinach. Padli wtedy, jak stali, strzeżeni jedynie przez Burzymura i Kutrzebę, któremu sił, jak zawsze, dodawała zmora.

- Piętnaście minut! - Ogłosił Kutrzeba bez pytania Marsjanina o zgodę. - Żeby mi żaden nic nie jadł, bo wyrzycacie. Napijcie się trochę, ale niewiele.

- Ile tak jeszcze? - Wydyszał Czus. - Nie wiem, czy podołam.

- Będziesz pan musiał dać radę. Przed zmrokiem musimy dotrzeć pod taką jedną kapliczkę jakieś dziesięć kilometrów stąd.

- To nie tak daleko. Nie możemy zwolnić?

- Inaczej się biegnie po alejce w parku, inaczej w stepie. Nie wiemy, co tam zastaniemy. Tak czy owak trzeba się

będzie okopać. Nie wiem, czy uda nam się przespać tę noc w spokoju.

Dwie godziny później Burzymur musiał przerzucić sobie omdlałego Czusa przez ramię. Nie wpłynęło to na zmianę tempa wielkoluda. Z innymi było niewiele lepiej, mimo że Marsjanin, nie pytając Kutrzeby o zdanie, zarządził jeszcze dwa półgodzinne postoje. Jednak nim zgasły ostatnie promienie słońca, ujrzeli białą kapliczkę zamieszkaną przez Matkę Boską z Dzieciątkiem.

Żaden nad-ptak nie wyłonił się sponad chmur.

- Najpierw okopy, potem kolacja. - Kutrzeba nie miał litości. Sam chwycił łopatę, by przygotować umocnienia. - Burzymur, ustawisz się ze swoim karabinem ku wschodowi. Panie Nowakowski!

- Ma pan i dla mnie jakieś zajęcie?

- Raczej nie. Chciałbym pogadać. Proszę się zastanowić, czy nie lepiej byłoby posłać mnie przodem, żebym pierwszy dotarł do Przystani Carogrodu, tego rosyjskiego miasteczka, i wrócił tu z końmi.

- To wykluczone.

- Nie ufa mi pan?

- Nie ufam sobie pozostawionemu samemu. Coraz bardziej upewniam się, że potrzebujemy pańskiej opieki.

- W takim razie zakopmy część zapasów. Złe siły tu nie podejda, ale ludzie mogą je sobie zabrać, jeśli je znajdą. No i trzeba będzie zostawić część jako zapłatę za opiekę. Ale i tak to się opłaci, bo obawiam się, że drugiego dnia biegu z takim

obciążeniem pańscy ludzie mogą nie wytrzymać.

- A czy musimy aż tak gnać? Ptaki chyba nas porzuciły.

- Ptaki tak. Ale ta kraina pełna jest innych groźnych stworzeń. Do następnego bezpiecznego punktu mamy stąd około czterdziestu kilometrów.

- To, zdaje się, także zabytek jednej z tych religii, które się nie objawiły?

Choć Marsjanie przebudzili na Ziemi dziesiątki tysięcy pomniejszych bóstw, ku rozczarowaniu jednych, a uldze innych wiernych nie przybył za nimi Bóg religii monoteistycznych. Jedni upatrywali w tym dowodu na jego rzeczywiste, niezależne od obcych technologii istnienie, inni tłumaczyli jego brak niewystarczającymi do stworzenia istoty wszechmocnej zasobami energii. Jaka nie byłaby prawda, chrześcijanie, muzułmanie i żydzi, którzy pozostali wierni swoim religiom, i tak podpisywali kontrakty z przebudzonymi nadnaturalnymi istotami, jednak odmawiali oddawania im czci i czekali na własnych mesjaszów.

- Nie wiem, czy moc Madonny się objawiła, czy nie - odparł Kutrzeba. - Wiem tylko, że demony trzymają się z dala od takich kapliczek. Mogą nas tu oczywiście ostrzelać, ale nie ograbią już zwłok, bo będą bały się podejść. Innej manifestacji mocy Marki Boskiej nie widziałem, więc nie wiem nawet, czy coś by się stało demonowi, który by się do niej zbliżył. Ale się nie zbliżają.

- Szulerowi nic się nie dzieje. Burzymurowi też nie.

- Może dlatego, że są w naszym towarzystwie? Nie wiem.

Mam jednak nadzieję, że upiory nie odważą się eksperymentować.

- Jest pan, zdaje się, pewien, że tu przyjdą.

- Wyleżą spod ziemi ledwie zapadnie zmrok. Niekoniecznie będą chciały nam coś zrobić. Jednak ta ziemia jest pełna zmarłych, panie Nowakowski. Większość z nich nie interesuje się ludźmi, póki ktoś ich do tego nie zachęci, ale część chętnie by nas pożarła. Niech pan uprzedzi ludzi, żeby do nich nie strzelali pierwsi. Wtedy nawet te neutralne mogłyby zostać sprowokowane.

Rankiem, gdy już zakopali część zapasów pod kapliczką, znów pobiegli. Ludzie już nie protestowali. Napatrzyli się w nocy na duchy wygrzebujące się spod ziemi, z grobów wykopanych narzędziami dziesiątków armii i plemion przemierzających Dzikie Pola przez wieki. Widzieli szamanów tak starych, że z ledwością przypominających ludzi, oraz żołnierzy Wielkiej Wojny, wciąż zdumionych własną śmiercią i podchodzących tak blisko obozowiska, jak potrafili. Potem, pozostając poza granicą ochronnego pola kapliczki, prosili po niemiecku i rosyjsku o odrobinę jadła. Bywało, że podbiegały do nich czarne psy rzucające się na nieszczęsne duchy i rozszarpujące je na strzępy, które starały się potem pozbierać na powrót do samego świtu. O północy przejechał obok obozowiska tabun czarnych koni, wyglądających jakby oddychały ogniem buchającym z ich pysków i nozdrzy. Prowadził je olbrzymi samiec, na grzbiecie którego siedział czerwonoskóry rogaty demon, obscenicznie

nagi, uzbrojony tylko w czarną szablę.

Gdy nadszedł nareszcie ranek, okazało się, że w nocy i tak mało kto zdołał zasnąć.

- Niektórzy z nas uważają, że to właśnie monoteizm stał się przyczyną naszej klęski. - Nowakowski najwyraźniej nie cenił milczących śniadań. Nie był w tym osamotniony: zanim wyruszyli w dalszą drogę, wszyscy jego ludzie, gdy już zapłonęło słońce, z ulgą wspominali minioną noc i opowiadali o cudach, jakich byli świadkami.

Obserwując ich, Kutrzeba uświadomił sobie, że przyszło mu wędrować z mieszczuchami. Owszem, znali oni rozmaite demony i potrafili z nimi walczyć, dotąd jednak trzymali się blisko miast. Może bronili ich murów przed hordami demonów albo wyprawiali się na skażone ziemie w poszukiwaniu cennych precjozów, ale nigdy nie trafili do dziczy takiej jak Wiekuista Puszcza bądź Dzikie Pola, gdzie nieujarzmione moce stanowiły własne prawo, a nie kryły się przed ludzkimi oddziałami.

- Nie spotkaliście się wcześniej z monoteizmami? - Zdziwił się Szuler. - Wydawało mi się, że są naturalnym etapem ewolucji religii.

- A co w tym naturalnego? - Marsjanin też zdawał się zaskoczony. - Jeden Bóg, by zwięzać w sobie wszystkie prawa i wszystkie ludy?

- Na Ziemi uważa się, że monoteizm przyczynił się do stworzenia wielkich uniwersalnych praw - nie ustępował bóg.

- Uniwersalne prawa istniały, zanim spisali je prorocy jedyne Boga - nie zgodził się Nowakowski. - Bo oni właśnie spisali to, co istniało już wcześniej. Prawa wykształcały się niezależnie od religii, możecie mi panowie wierzyć. Choćby i dlatego, że monoteizm jest waszym, ziemskim wynalazkiem. U nas na przykład od zawsze oddawaliśmy cześć mrowiu bogów, których prędko nauczyliśmy się kształtować wedle własnych potrzeb, a nawet stwarzać. I na wszystkich podbijanych przez nas planetach, niezależnie od tego, czy ich mieszkańcy posiadli już wiedzę o energii wiary, czy nie, było tak samo. Zresztą i na Ziemi wielobóstwo nie przeszkodziło przecież w powstawaniu wielkich państw o skodyfikowanym prawodawstwie, prawda?

- Czemu więc monoteizm okazał się tak groźny?

- Bo był czymś nowym, niezrozumiałą dla nas początkowo koncepcją. Pozwalał wam z niespotykaną siłą kumulować energię, nawet jeśli z jej istnienia nie zdawaliście sobie jeszcze sprawy. Ciężko było opętać i nawrócić na naszych bogów ludzi, którzy widzieli w nich pomniejszych demony i oczekiwali, że jeden, prawdziwy Bóg, zaraz tupnie nogą i wygna obcych. Gdy to nie nastąpiło i wszyscy ci chrześcijanie czy muzułmanie zrozumieli, że ich Bóg nic nie robi, dla nas było za późno. Bo świat zapełnił się już waszymi pogańskimi bóstwami i albo ponawracaliście się na nich, albo powchodziliście z nimi w układy i sojusze.

Kutrzeba nie wtrącał się do dyskusji. Jedyne, co go w niej

interesowało, to zapał, którego Szuler nie potrafił ukryć. A więc to znowu się działo. Jego patron znów uległ jakiejś idei. I zapewne kolejny raz niebezpiecznie go ona rozpraszała.

*kwiecień 1968 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju,
Dzikie Pola*

- Ocknąłeś się wreszcie? - Kutrzeba raz jeszcze potrząsnął Szulerem. Bóg nadal miał lekko nieobecny wyraz twarzy. Mruczał coś niezrozumiale. Kręcił głową na wszystkie strony jak nie do końca rozbudzony, rozglądający się wokół człowiek. - Szuler!

- Jestem - stęknął nareszcie bóg.

- Prowadź moją rękę! - Polecenie Kutrzeby niebezpiecznie przypominało modlitwę. Miał nadzieję, że wciąż oszołomiony pieśnią bóg nie pomyśli, że się na niego nawrócił. - Prowadź moją kulę, Szuler!

Kutrzeba przyklęknął, uniósł karabin, wycelował, wciąż sycząc na swojego patrona, a gdy najszybsi żołnierze Rostowa byli już ledwie o kilka kroków od czekających na nich potworów i nawet sam hrabia przegrał zmagania o uwolnienie się spod uroku, wystrzelił.

- Prowadź kulę, Szuler! - Zawołał ponownie, a bóg go wysłuchał.

Pocisk trafił starca prosto w czoło i pieśń urwała się gwałtownie. A ludzie się przebudzili.

Kutrzeba nie przestawał strzelać, starając się osłaniać tych, którzy ocknęli się najszybciej. Widząc demony, ludzie rzucili się do ucieczki. Potwory, wstrząśnięte śmiercią pieśniarza, zareagowały z opóźnieniem. Gdy jednak pierwszy szok minął, rzuciły się z rykiem na niedoszły łup.

Rostow, jak inni, porzucił wcześniej karabin, więc teraz ostrzeliwał się wściekle z pistoletu, cały czas cofając się ku Kutrzebie. Polak nakazał Szulerowi powstrzymać uciekających. Bóg stawał na ich drodze, krzycząc na nich po polsku i rosyjsku, klnąc na wszystkie świętości i demony, byle tylko powstrzymać panikę. Niektórzy posłuchali. Podnosili porzuconą broń i formowali krąg wokół swego dowódcy. Ci przeżyli, bo potwory wołały ścigać bezbronnych, niż narażać się na ostrzał srebrnymi kulami. Ale nie odpuściły tak łatwo.

Ludzie w końcu zwarli szyki, ale żadne zemsty upiory ścigały ich blisko tydzień. Rostow kluczył, zdając sobie sprawę, że jeśli podąży najkrótszą drogą ku Przystani Carogrodu, wpadnie najpewniej w kolejną zasadzkę.

- Olga się zamartwia - westchnął pewnego ranka, gdy jedli na śniadanie zimne mięso. Bali się rozpalać ogień. Choć w dzień demony były nieco słabsze, a część z nich zapadała się pod ziemię, by doczekać zmroku, wciąż pozostawały groźne. Z całego oddziału hrabiiego ocalała ledwie połowa. - Pewnie aż rwie się, żeby ruszać na ratunek. Oby moja Aleksandra zdołała ją powstrzymać.

- Hrabina mniej się martwi?

- Jest rozsądniejsza, inaczej też już patrzy na życie i śmierć. Gdyby poznał ją pan wcześniej... - rozmarzył się Rostow. - To dobra kobieta, niech pana nie zwiedzie jej pozorna surowość. Za życia była weselsza, radosna. Teraz musi panować nad światem z obrazów. Ona właściwie wypatruje mojej śmierci, bym jej nareszcie tam pomógł. Część moich przodków i krewnych, przyznaję to z żalem, traktuje życie w obrazach jak okazję do niekończącej się zabawy. Gdy dołączę do mojej drogiej Aleksandry, ulżę jej obowiązkom.

- No nie wiem - mruknął Kutrzeba. - Mnie się zdaje, że kobiety lubią władzę. Niech pan lepiej jeszcze trochę pożyje, bo może pan rozczarować hrabinę zbyt wczesnym przybyciem.

- Staram się, jak mogę! - Roześmiał się Rostow. - A i panu wiele zawdzięczam. Cały nasz ród ma dług u pana!

- Ruszajmy, żebym miał okazję go odebrać.

Udało im się. Musieli jeszcze stoczyć potyczkę pod samym lasem, gdzie czaił się na nich oddział widm, zamierzający najwyraźniej powstrzymać uciekinierów aż do przybycia głównych sił. Gdy jednak upiory wypadły ze swoich kryjówek, zaatakował je las. Leszy w futrzanej czapie z czerwoną gwiazdą poprowadził zeń atak swoich mniejszych braci, a także wilków, lisów, borsuków i wszelkiej leśnej zwierzyny. Rój pszczół spadł na nawiedzeńców. Myszy opadły całymi chmarami żywe trupy. Nawet armie mrówek przyłączyły się do walki. Tych, którzy próbowali uciekać,

spętały korzenie traw i krzewów. Nie ocalał nikt.

- Oto jak walczy moja ziemia! - Zawołał z dumą Rostow nad trupem ostatniego z potworów. - Teraz rozumie mnie pan nareszcie?

Jedyne jednak, co rozumiał Kutrzeba, to to, że muszą opuścić gródek. Nie spotkał się z akceptacją Szulera. Bóg starał się namówić go, by zostali jeszcze przez jakiś czas, choćby po to, by odpocząć po trudach ostatnich dni.

- Ani chwili! - Kutrzeba pakował ich rzeczy sam, ignorując bierny opór boga. - Cała ta sielanka nas zmienia. Ciebie zmienia! Mnie!

- Dramatyzujesz.

- Dramatyzuję? A kto dał się zauroczyć śpiewowi dziada? Siedzimy tutaj, czytamy pamiętniki Rostowów i całymi dniami gadamy z jego przodkami zaczepiającymi nas z obrazów. Za bardzo obrośliśmy w tłuszcz, boże. Za bardzo nas uwiodła ta sielskość. Wynośmy się stąd, póki jeszcze możemy!

Hrabia pożegnał ich z żalem, ale nie próbował powstrzymać. Uparł się tylko, że muszą zostać na ostatniej, pożegnalnej i wydanej na ich cześć kolacji. Ponieważ zarzekał się, że odmowa obrazi go śmiertelnie, Kutrzeba ustąpił.

Zaskoczyła go Olga. Dopadła Kutrzebę, gdy ten wypytywał jednego z wodników o obyczaje wodnych ludów w innych częściach Dzikich Pól. Wodnik wycofał się dyskretnie na widok hrabianki, a mężczyzna niespodziewanie pozostał sam

na sam z pannicą znaną mu przede wszystkim z pełnej energii radości. Teraz jej oczy były pełne łez.

- Pan nie może wyjechać! - Zawołała, porzucając utrudnienia etykiety.

Od natężenia uczuć w jej głosie zmora poruszyła się niespokojnie, rozumiejąc więcej niż człowiek. Nie czuła jeszcze wówczas zazdrości o inne kobiety, obawiała się jednak, że jeśli Kutrzeba zapala do jakiegś uczuciem, porzuci pod jej wpływem zemstę. Jej zdaniem już i tak zbyt długo nie kroczyli jej krwawą ścieżką. Pragnęła opuścić Przystań Carogrodu jak najszybciej, i to nie po to, by zapuszczać się głębiej w Dzikie Pola, lecz by szukać następnych mężczyzn z listy Kutrzeby. Nie czyniła mu wyrzutów wyłącznie dlatego, że wiedziała, iż jego nowa misja stanowi część umowy z siwym pułkownikiem, który swoich ludzi wykorzystywał wciąż dla prowadzenia śledztwa na rzecz Kutrzeby. Nadal nie znali nazwisk wszystkich, którzy stali za katastrofą pociągu. Lwowiak albo uciekł przed nimi w śmierć, albo ukrywał się nad wyraz udanie, a stanowił ich jedyny trop. Jednak zmora nie zamierzała Kutrzebie pozwalać na żadne miłostki.

- Muszę - odpowiedział Oldze, dziwiąc się jej łzom, ale także i własnemu poruszeniu. - Panna nie rozumie, ale...

- Oczywiście, że nie rozumiem! - Przerwała mu, czym skonsternowała go do tego stopnia, że nawet nie próbował się odzywać. W tej chwili dziewczyna nie zachowywała się jak perfekcyjnie wychowana hrabianka, ale jak jedna z tych

upartych dziewczyn, które gotowe są łamać wszelkie zasady, byle postawić na swoim. - Jak można papę zostawiać tak po klęsce? On potrzebuje teraz szczególnie pomocy przyjaciela!

Na taki argument ciężko mu było odpowiedzieć.

- Pan jest człowiekiem honoru - zawołała z takim uniesieniem, że prawie w to uwierzył. - Ja wiem, że pan zostanie!

Otarła zdecydowanym ruchem łzy z oczu, ale zaraz nabiegły nowe, może więc by je ukryć, wtuliła się niespodziewanie w Kutrzebę. A gdy sądził, że nic już nie może go bardziej zaskoczyć, szepnęła:

- I jakże pan tak mógł: zapragnąć zostawić mnie...! - Cmoknęła go w policzek i uciekła.

Stał oszołomiony dłuższą chwilę, nie zwracając uwagi na chichoty praczek, przybyłych jak co dzień do strumyka, by stać się świadkami niespodziewanego spektaklu. Aż wreszcie ocknął się na tyle, by zrozumieć, że teraz z całą pewnością muszą opuścić z Szulerem gródek. Jak najszybciej.

Ale najpierw rozprawią się z tym przeklętym uroczykiem.

By tej nieznośnej pannicy o miodowych oczach nie pozbawiać złudzeń dotyczących jego honoru.

Choć zdawał sobie sprawę, że może mu to przynieść więcej szkody niż pożytku, czuł zadowolenie, widząc, że znalazł się ktoś, kto uwierzył w niego.

Rozdział 5

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Trudno w to uwierzyć - Marsjanin nie zareagował dobrze na podejrzenia Kutrzeby. - Osobiście sprawdzałem ich wszystkich. Każdy członek załogi służy mi od lat.

Tej nocy stracili człowieka. Poderżnięto mu gardło, a gdy jeszcze dogorywał, zaciągnięto na puste miejsce po ołtarzu, jakby kpiąc z ich wiary w bezpieczeństwo, które miała zapewniać cerkiew. Jeśli zrobił to demon, musiał być obdarzony szczególnym poczuciem humoru. Kutrzebie jednak wydało się dziwne, że morderca zadowolił się tylko jedną ofiarą, a w dodatku nie żerował na człowieku, lecz uczynił zeń ironiczny znak.

- Musimy brać pod uwagę wszystko.

- Jeśli to ktoś od nas, czemu nie zaatakował wcześniej? Czemu nie sabotował sterowca?

- Nie wiem. I prawdę mówiąc, nie mam głowy do takich spraw. Grabiński mógłby panu pomóc. Kiedyś był kimś w rodzaju policjanta.

Ku niezadowoleniu Kutrzeby Nowakowski uparł się pochować zamordowanego. Słońce stało już wysoko, a od

Przystani Carogrodu dzieliło ich wciąż blisko trzydzieści kilometrów. Wszyscy odczuwali efekty dwóch dni pieszej wędrówki, a i śmierć towarzysza nie poprawiała nastrojów. Ludzie Nowakowskiego obrzucali podejrzliwymi spojrzeniami Sarę i Burzymura, ci rewanżowali się im podobnymi spojrzeniami. Obie grupy zachowywały dystans wobec siebie.

Kutrzeba starał się wykorzystać ten strach, by przekonać ludzi, żeby zdobyli się na jeszcze jeden wysiłek. Przed kolejną nocą powinni dotrzeć do lepszego schronienia. Między nimi a lasem nie istniały już żadne przyjazne miejsca, zdolne zapewnić ochronę. Wprawdzie znajdowali się już na terytorium hrabiego Rostowa, jednak nie mieli pewności, że ruszy im na pomoc, gdyby ich zaatakowano. Mógł wprawdzie czuć się dłużnikiem Kutrzeby, nie musiał jednak wiedzieć o jego obecności. Może sądził, iż jego towarzysz walki już nie żył? Nie zaglądnęli przecież z Szulerem do Przystani Carogrodu, gdy przez Dzikie Pola powracali z Wiecznej Rewolucji.

*październik 1968 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju,
Dzikie Pola*

Szuler gderał, odkąd dowiedział się, że ominą Przystań Carogrodu. Jego argumenty brzmiały logicznie, lecz Kutrzeba zdawał sobie sprawę, że stały za nimi skrywane rozterki boga, któremu zdawało się, że natrafił w rosyjskim

ukrytym mieście na trop czegoś istotnego. Czasem mężczyzna naśmiewał się, że jego patron zaraził się słynną „rosyjską duszą”, którą fascynowali się rozmaici mądrzele z zachodu. Szuler milkł wtedy zagniewany i zdarzało się, że cały dzień wędrowali w milczeniu.

Kutrzeba nigdy by jednak nie przypuszczał, że bóg postanowi go opuścić.

Pozostawił Kutrzebę, gdy ten spał pod gałęziami świętego drzewa, wyrosłego na wzgórzu, na którym od tysięcy lat składano ofiary bogom przybranym w korę i liście. Jacyś poganie znów przynosili tu dary i do drzewa nie miały dostępu stwory nocy. Kutrzeba z Szulerem także pochyłili głowy w modlitwie, oddali część swych zapasów korzeniom. Drzewo zakołysało konarami, choć nie było wiatru. Kilka złotych i czerwonych liści opadło pod nogi modlących się. Zostali zaakceptowani.

Szuler, nie potrzebując snu, trzymał jak zwykle wartę. Wdzięczny mu za opiekę Kutrzeba spał jak zabity. Potrzebował odpoczynku po tym, jak wyrwali się patrolom Rewolucji. Przyszło im walczyć zbyt długo i zbyt ciężko, nadwyrężony wspomaganie zmory organizm domagał się odpoczynku.

Gdy niedługo przed świtem otworzył oczy, boga już z nimi nie było. Tylko zmora siedziała na jednym z wystających korzeni, bawiąc się opadłymi liśćmi. Ku zaskoczeniu Kutrzeby wyglądała, jakby próbowała splatać z nich wianek. Zdarzało się wcześniej, że opuszczała na krótki czas jego

ciało, zwłaszcza wtedy, gdy starał się odzyskać siły. Jednak tego ranka poczuł, że za jej pojawieniem się pod własną postacią stało coś poważniejszego.

- Gdzie Szuler? - Zapytał, więcej odgadując, niż rozumiejąc.

- Odszedł - odpowiedziała jakby nigdy nic.

- Jak to odszedł? Szukać szlaku? Żywności? Na zwiad?

- Odszedł, po prostu. Na zawsze. Od nas.

- Nie mógł!

- Mógł. Kazał ci powiedzieć, że to jego dar dla ciebie. Że nie porzuca cię, ale ratuje. Że odkąd jest z tobą, ryzykujesz ponad miarę i rzucaś się na sprawy, którym nie sposób podołać. Że jeśli by z tobą został, zginąłbyś.

- Co za brednie!

- Wiedział, że tak zareagujesz. Kazał spytać, czy wybrałbyś się do Wiecznej Rewolucji, gdybyś nie miał jego?

- Bzdury! Szalbierstwo! Czemuś ty go puściła?

Przestała nareszcie bawić się liśćmi.

- Bo miał rację - odpowiedziała, patrząc mu prosto w oczy. Zeskoczyła z korzenia i zaraz była przy człowieku. Zarzuciła mu ramiona na szyję, oparła czołem o czoło i szepnęła: - Nie lepiej nam razem we dwoje?

Szarpnął się, ale nie puściła go.

- Tobie się zdawało, że on ci niezbędny - mówiła spokojnie, pewna, że się jej nie wyrwie. - Bardziej już ufałeś jemu niż sobie i słabiesz od tego. On to wyczuł. Sam się miotał, aż znalazł sposób, żeby pomóc ci po raz ostatni. I uwolnił cię od

siebie.

- Może odszedł ode mnie niewłaściwy demon? - Warknął rozeźlony, bo czuł, że zaczyna ulegać słodkiemu głosowi, a ciemność oczu zmory hipnotyzuje go i pociąga. Spróbował ją odepchnąć, a efekt przeszedł jego najśmielsze oczekiwania. Gwałtownie się wyprostowała i przez chwilę wydawało mu się, że go uderzy. Ale ona tylko cisnęła mu w twarz wianek z liści. Cokolwiek trzymało je ze sobą nie wytrzymało uderzenia. Rozsypały się, opadając po twarzy zdumionego mężczyzny.

Dojście do siebie zabrało mu ledwie chwilę, ale zmory już przy nim nie było. Ani w nim. Zamyślony pozbierał rozsypane liście. Uniósł nagle głowę, bo wydało mu się, że drzewo spogląda na niego surowo. Odłożył liście pod jego pień, mamrocząc modlitwę bez ładu i składu. Wreszcie obszedł drzewo, by po drugiej stronie znaleźć zmoreę.

Siedziała tyłem do niego, pochylona, jakby ukrywała twarz w dłoniach. Zobaczył, że drżą jej ramiona, ale trudno było mu uwierzyć, by mogła płakać. Dopiero gdy dostrzegł jej łzy, czarne jak zmorze oczy, kropla po kropli spływające ku drzewu, które spijało je chciwie, zrozumiał, że ostatnimi czasy coś dziwnego działo się nie tylko z Szulerem.

- To było podłe - odezwała się, wyczuwając, że nadchodzi. Nim obróciła się ku Kutrzebie, otarła prędko twarz. - Nie zasłużyłam na to. W żaden sposób.

Nie zgadzał się. Pozwoliła przecież odejść Szulerowi. Ale nie powiedział jej tego. Sam siebie zaskoczył przeprosinami.

I znów miał ją przy sobie.

- Ja ci wybaczam - zamruczała, jakby nic między nimi nie zaszło. - Ale i ty mi wybacz. I jemu.

- Nie widziałaś gdzieś mojej zmory zemsty?

- Im nie wybaczymy nigdy! Nigdy! Ale Szuler naprawdę chciał dobrze.

- Odmieniła go ta wyprawa.

- Wszystkich odmieniła. Ciebie też.

Miała rację. Jeszcze wtedy nie zrozumiał, jak bardzo.

Objął ją i nawet nie zauważył, kiedy na powrót w niego wniknęła.

- Odszedł do Przystani?

Wiedział, że jeśli pójdziesz go szukać, to tam. Odszedł po prostu. Dokądś.

- Zostawił mnie samego na Dzikich Polach!

Nie samego. Ze mną. Ja się tobą zaopiekuję. Lepiej niż on. Zobaczysz.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Coś jest nie tak - usłyszał myśl zmory. - Mirku, coś tu się bardzo zmieniło!

Stali na skraju carogrodzkiego lasu. Jeszcze nie zmierzchało, ale zrobiło się już chłodniej, a cienie wydłużały się znacząco. Z oddali dobiegało ich wilcze wycie. Nie

brzmiało jak odgłos pościgu, raczej jak nawoływanie braci dzielących się informacjami o obcych przemierzających stepy. Kutrzeba nakazał pozostałym czekać. Zbliżył się do lasu jedynie w towarzystwie Szulera. Nawet Wandę pozostawili pod opieką Burzymura i Sary.

- Wyczuwasz coś, boże?

- Zmianę. Pojawiła się jakaś siła. Las wydaje mi się potężniejszy.

- Ale nie obcy? To wciąż ziemia Rostowa?

- Sądzę, że tak.

- No to nie ma na co czekać.

Mężczyzna postąpił naprzód. Wydawało mu się, że drzewa pochyliły się ku niemu, a ich liście i konary pociemniały jakby coś mrocznego objęło je w posiadanie. Zmora zasyczała niczym kotka szykująca się do walki. Zignorował ją.

- Jestem Mirosław Kutrzeba! - Zawołał. - Towarzysz broni i przyjaciel hrabiego Mikołaja Rostowa! Dzieliliśmy krew i strawę, strach i chwałę. Wspólnie karmiliśmy te ziemie i broniliśmy ich! Domagam się prawa przejścia i przewodnika, tak jak mi obiecał, gdyśmy się żegnali!

Powtórzył okrzyk jeszcze dwa razy, nim spomiędzy drzew wyłonił się znajomy leszy w futrzanej czapie, takiej jak przed laty. Czerwoną gwiazdę zastąpił teraz dwugłowy carski orzeł unoszący się ponad czarną czaszką.

- Was, panie, znam - odezwał się niskim, zachrypniętym głosem. - I tego waszego boga, i tę waszą pannę, co ją

nosicie w sercu. Wyście mili memu panu gościu. Ale tych, co za wami, to już nie widziałem i nie mam co do nich żadnych dyspozycji.

- Oni idą ze mną.

- Wy możecie przejść, ale do nich żadnych dyspozycji nie mam - uparł się leszy.

- Prowadź więc mnie do pana hrabiego, bym mógł mu o nas opowiedzieć. A ich na ten czas obejmij ochroną lasu.

- Wy, panie, możecie przejść - powtórzył demon. - I ten wasz bóg, i wasza panna. Tamtych nie znam i nic mi do nich.

- A jeśli ktoś ich zaatakuje?

- Na ziemiach pana hrabiego? - Leszy wydawał się oburzony samym podejrzeniem, że ktokolwiek mógłby ośmielić się naruszyć mir Przystani Carogrodu. - Nie może być! Wiele się tu zmieniło, odkąd u nas bywali. Ja tych waszych tu nie wpuszczę bez pana hrabiego dyspozycji, ale możecie być o nich spokojni. Są tu bezpieczni.

Wydawało się, że nic więcej nie uda się wytargować. Kutrzeba zostawił wyprawę pod opieką Szulera i prowadzony przez leśnego demona ruszył ku gródkowi.

Las milczał. Zwierzyna nie wybiegała na spotkanie przybyszowi, tego się jednak Kutrzeba spodziewał, wszak nie przybywał z hrabią, jak poprzednio. Jednak mimo wszystko to milczenie rozgadane go niegdyś lasu zaskoczyło go. Mogłoby się wręcz wydawać, że las jest martwy, ale widział przecież ślady życia, tyle że nie dostrzegał samych zwierząt.

- Mówiłeś, że wiele się tu zmieniło - zagadnął leszego. - A

cóż to?

- Ano, sami zobaczycie - odburknął demon. - I tak będzie najlepiej. - Więcej się nie odezwał, a i Kutrzeba nie niepokoił go już pytaniami.

Gdy doszli do bagien, leszy odwrócił się i odszedł bez słowa. Rolę przewodnika przejął błędny ognik, także dziwnie milczący, co zupełnie nie pasowało do charakteru tego rodzaju istot. Na bagnach również panowała cisza. Nie słychać było ani rechotania żab, ani żartów wodników, kiedyś chętnie przekomarzających się między sobą i nabijających z topielców. Zniknęły gdzieś czaple.

Sam gródek nie wydał się Kutrzebie odmieniony, dopóki nie przekroczył jego bramy. Tu nikt się przed nim nie chował, jednak na widok mężczyzny cichły wszelkie rozmowy. Ludzie odprowadzali go wzrokiem w milczeniu, aż zaczął się bać, że jego pozycja w Przystani Carogrodu uległa zmianie i miast za przyjaciela zaczął być uważany za wroga. Co tu się mogło stać?

Wyczuwam kogoś potężnego - meldowała równie zaniepokojona zmora. *- Ale nie wiem, kto to.*

Może Rostow zatrudnił jakiegoś czarownika? Albo przywołał potężnego demona, by wspomógł go w walce? Las i ludzi mogły odmienić czary - albo cena, którą trzeba było za nie zapłacić.

Jedno się nie zmieniło. Gdy zbliżył się do dworu, pierwsza na spotkanie wybiegła mu Olga. Starsza o cztery lata, już nie panienska, ale kobieta coraz bardziej przypominająca urodą

matkę, nie mniej radośnie niż kiedyś powitała gościa. Konwenansom najwyraźniej nadal nie udało się jej spętać, bo rzuciła się Kutrzebie na szyję, ściskając go ze wszystkich sił, jakby nie mogła uwierzyć, że naprawdę przybył ich odwiedzić.

- Pan! Pan! - Wołała zarumieniona. Popłakała się z radosnego wzruszenia, ale ani jej w głowie było ocierać te łzy z twarzy. - Jak usłyszałam, nie mogłam uwierzyć! Aleśmy tu za panem tęsknili! Papa ciągle pana wspomina! I ja też...

- Córko? - Głos Rostowa wydał się Kutrzebie nazbyt formalny, może jednak było to tylko złudzenie. - Doprawdy, nie przystoi ci takie zachowanie.

- Ależ papo!

- Olgo Mikołajewno! - Hrabia zmarszczył brwi. - Nie jesteś już dzieckiem! Udaj się proszę do domu, zadbaj o pokoje dla gości.

Wypuściła nareszcie Kutrzebę. Uśmiechnęła się jeszcze, dygnęła, jak powinna dygnąć hrabiowska córka, i odbiegła zupełnie niearystokratycznie.

Rostow westchnął na tyle wyraziście, że z pewnością na pokaz.

- Czasem wydaje mi się, że nadto ją rozpuściłem. Ciągle zachowuje się jak dziecko. Panie Kutrzeba! Przyjacielu! Proszę mi wybaczyć tę scenę i zgoła nieodpowiednie powitanie!

- Ja nie mam mu nic do zarzucenia. Zawsze mile wspominam gościnność Rostowów.

Uścisnęli sobie dłonie. Hrabia zawahał się chwilę, po czym uśmiechnął serdecznie i objął Kutrzebę, na szczęście nie tak mocno jak córka.

- Proszę mi wierzyć, ogromnie się cieszę z pańskiego przybycia! Wszystkich pana towarzyszy nie będę mógł niestety ugościć w domu, nieco ich zbyt wielu, a mamy i innych gości. No i jest z panem Marsjanin... Tak, wiemy o wszystkim, sosna-ambasadorka opowiedziała o waszej podróży i bitwie. Prawdę mówiąc, Puszcza domaga się wydania was. Oczywiście może się pan tego nie obawiać! Proszę, proszę do środka.

- Czy mogę jednak liczyć na zadbanie o moich ludzi? Są wyczerpani.

- Naturalnie. Zaraz pošlę do tego uparciucha, który was nie chciał wpuścić. Natrę mu uszu! Z wiekiem dziwaczeje, niestety. Znajdzie się i dla nich dach nad głową, niechże się pan nie obawia! Teraz jednak proszę do środka, musi pan poznać moich gości!

Ujrzał ich w sali biesiadnej. Obsiedli stół. Poważni mężczyźni w zielonych mundurach, poruszający się nieco sztywno. Krój ich ubrań wydał się Kutrzebie komicznie starodawny. Zgromadzeni przerwali posiłek i przyglądali się przybyszowi w milczeniu. Nie widział, czy bardziej brzęczały odkładane sztuce, którymi dopiero co staczali bezlitosny bój z obiadem, czy rzędy wypolerowanych orderów, które obsiadły ich piersi. Choć mężczyźni starali się zachowywać z godnością, Kutrzebie niespodziewanie skojarzyli się ze sforą

padlinożerców skupioną wokół przewodnika stada. W ich przypadku rolę tę pełnił łysiejący, siwy mężczyzna w mundurze najbogatszym ze wszystkich, acz czarnej, nie zielonej barwy. On nie nosił orderów, jeśli nie liczyć przypiętej na piersi czaszki wyrzeźbionej z kości, nad którą, jak na czapie leszego, unosił się carski orzeł.

Podobne odznaki nosili i pozostali, a nawet Rostow. Jednak u żołnierzy w zielonych mundurach czaszki nikły pod rzędami orderów, a hrabia swoją nosił przypiętą do białej kamizelki, skrytą pod szafirowym frakiem. Rostow wciąż ubierał się wedle mody podpatrywanej na albumach, które kupował żonie; ten styl ubierania był przestarzały już w czasach, gdy jego dziad uchodził przed Rewolucją. Upodobanie do archaicznego stroju wyróżniałoby go wszędzie poza Przystanią Carogrodu i być może częścią polskich dworów szlacheckich, które Kutrzeba odwiedzał. Wobec posępnych zmian, jakie opanowały gródek, dobrze było widzieć, że choć to przywiązanie do zamierzchłej mody pozostało u Rostowa takie, jak przed laty.

- Mój dobry przyjaciel, towarzysz walk przeciw upiorom z uroczysk i Wiecznej Rewolucji, pan Mirosław Kutrzeba - zaanonsował gościa Rostow, by zaraz zwrócić się na powrót do niego: - Nim przedstawię panu wszystkich z tej zacnej kompanii, pozwoli pan, że poprowadzę go ku osobie, która swoją obecnością zaszczyca mnie szczególnie. Oto księżę Michaił Iłlarionowicz Goleniszczew-Kutuzow, marszałek Odrodzonej Świętej Rosji, główny dowódca jej

odbudowywanej armii, który uczynił mi ten zaszczyt, że przybył zaproponować swą przyjaźń i poprosił o rękę mej córki.

Kutrzeba i zmartwychwstały generał wymienili uprzejme ukłony.

Ignorując poruszenie zmory, Mirosław wyznał, iż zaszczyca go spotkanie z tak sławnym żołnierzem. Kutuzow odpowiedział łagodniejszym komplementem, przyznając, że hrabia opowiadał mu o ich wspólnych walkach i wyrażał się o Kutrzebie z najwyższym uznaniem.

- Odrodzona Święta Rosja? - Zaciekawiał się Kutrzeba, gdy zakończył wreszcie rundę powitalną i uściskał dłonie wszystkich zgromadzonych na obiedzie oficerów. Niektóre z nich wydały mu się nazbyt zimne, trupie. - Książę Kutuzow?

- Jest tu, bo pojawił się nareszcie ten, na którego czekałem! - Oświadczył Rostow z przejęciem. - Prawdziwy mąż opatrnościowy, na wezwanie którego powracają dawno umarli bohaterowie!

Wcisnął Kutrzebie do ręki kielich pełen ciemnoczerwonego wina, by mogli razem wznieść toast za powodzenie i triumfy Jego Wysokości, Cara-Mesjasza Odrodzonej Świętej Rosji, Kościeja Nieśmiertelnego.

Rozdział 6

*styczeń 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, Kraków*

Kości kurczaka sąsiadowały w poobijanej misie ze strzępami szkieletów ryb i królika. Twórca stosiku wzniesionego ku czci znakomitego apetytu nie przejmował się najwyraźniej tak mieszaniem mięs, jak i trunków. Obgryzał właśnie wielkimi zębiskami kawał schabu, a popijał go na przemian gorzałką, miodem i piwem. Młaskał przy tym, siorbał i w ogóle hałasował ponad miarę, ale nie przyciągał niczyjej uwagi, jeśli nie liczyć Małgośki, kręcącej z politowaniem głową, i zdumionego spojrzenia Kutrzeby, niemal zahipnotyzowanego widokiem tej barbarzyńskiej uczyty.

Korycki, już nie pułkownik, siedział obok nienażartego monstrum i popijał wyłącznie piwo, a i to czynił drobnymi, zupełnie nieprzystającymi do jego wcześniejszych zwyczajów łykami.

- Trochę się pozmieniało. - Kutrzeba oderwał wreszcie wzrok od wielkoluda o cokolwiek zdeformowanej twarzy. Spojrzał na prawą dłoń Koryckiego, na której pyszniła się złota obrączka z wygrawerowanym zaklęciem wierności.

- Nie poczekała Małgochna na twojego przyjaciela. I z tego, co widzę, słusznie. - Korycki uśmiechnął się dziwnie

krzywo. - To wzięła sobie mnie. Żebyś mnie zabił, nie wiem, jak do tego doszło. Aż kazałem sprawdzić, czy kto nie rzucił na mnie uroku. Ale nie. Po prostu siedziałem sobie przy stole, a tu masz! - Oczy mu zabłyśły wesoło. - Wolność diabli wzięli!

- A ten wielki? Z nim też się ożeniłeś?

Obserwując Koryckiego, Kutrzeba zastanawiał się, czy ten może mu się jeszcze do czegoś przydać. Niegdysiejszy nieokrzesaniec zmienił się w spokojnego, pokornego pantoflarza. O ile nie była to jego nowa poza.

- Tak jakby. To jest, wyobraź sobie, mój ochroniarz. Szarak.

Monstrum przerwało na chwilę rozgryzać wielką kość. Wycharczało coś do Kutrzeby i skinęło mu głową. Odpowiedział podobnym skinieniem i zaraz stracił zainteresowanie rozmówcy.

- Szarak? Że niby nie przyciąga uwagi?

- To akurat wręcz przeciwnie. Ta knajpa niejedno widziała, ale na ulicach miasta... O, tam to się za nim oglądają. Bo to, widzisz, nie jest zwyczajny wielkolud, ale jakiś mieszaniec wielkoluda z sam nie wiem czym. Przylazł tu z Niemiec, z samego pogranicza. Nakładł tam patriotycznie po gębie jakiemuś znacznemu niemiaszkowi i musiał zniknąć.

- Patriotycznie?

- Jemu się wszystko miesza. Polacy, widzisz, mówią, że on Polak, a Niemcy, że Niemiec. Jest ileś tam legend na ten temat i nie potrafią dojść do zgody, to i on nie potrafi.

Prawdę mówiąc, Polaków też lał po gębach, ale to mu jakoś uchodziło na sucho, bo nie trafił nikogo znacznego.

- Toś sobie pięknie dobrał kompana. Czemu właściwie odszedłeś z wywiadu?

Korycki odruchowo pokręcił obręczką. Bąknął, że jako prywaciarz zarabia więcej, a że doszły mu wydatki związane z małżeństwem, to i Kutrzeba powinien go rozumieć.

- Czyli z naszej umowy nici?- zapytał Mirosław, gdy „Małgochna” przyniosła jemu kolejne piwo, a mężowi sok z jabłek.

- A gdzieżby! Wręcz przeciwnie! Teraz się dopiero zacznie nasza współpraca! Mniej pierdół mnie ogranicza i więcej mogę ci płacić!

- Wiesz, że nie pieniądze mnie interesują.

- A powinny, bo otwierają sporo drzwi. No i - nie obraź się - przydałoby ci się jakieś nowe ubranie... Co się śmiejesz?

- Nie śmieję się. Zupełnie nie, elegancie. Masz coś dla mnie? I chodzi mi o informacje, nie robotę.

- Mam. Ten twój lwowski cwaniak chyba rzeczywiście wykręcił numer. Dotarłem do gościa, który mógł coś o tym wiedzieć, ale wyobraź sobie, wpadł pod kopyta oszalałego konia. A żeby było jeszcze zabawniej, koń potem gdzieś przepadł, podobnie jak ciało denata. Dom, w którym ten pechowiec mieszkał, doszczętnie spłonął.

- Czyli nie bardzo jest jak wywołać ducha?

- Trochę ciężko, chyba że ma się kogoś po tamtej stronie.

- I ty masz?

- Ja mam.
- Ile to mnie będzie kosztować?
- Nic ponad informacje, które mi przywiozłeś. Co wiesz?
- Spisałem to.
- Przeczytam. Ale lubię też słuchać. To, co na papierze, czasem gubi to, co można usłyszeć w głosie przesłuch... Opowiadającego. Mów.

Kutrzeba opowiedział mu więc i o wizycie w Przystani Carogrodu i problemach z dziadami i wybudzanymi przez nich uroczyskami. Opowiedział o sotniach kozackich starających się zawierać chwilowe sojusze z kim tylko się dało, o niespodziewanych sojusznikach ze stepów i rosnącym tam w siłę nowym bogu, o Wiekuistej Puszczy, a nawet o Wiecznej Rewolucji.

- Byłeś na terenach Rewolucji? - Korycki ściszył głos. - Chłopie, toż stamtąd nikt nie wrócił! Mów, jak tam jest!

Kutrzeba przypomniał sobie wieś otoczoną betonowym murem strzeżonym przez istoty, bardziej przypominające szkielety niż ludzi. Bronili osady przed watahami pomarłych z głodu chłopów, szukających zemsty na tych, którym udało się przetrwać. Wędrowały za nimi armie dzieci, pomiędzy którymi żywe mieszały się z umarłymi. Czasem dopadały zagłodzonych, którzy oddzielili się od watahy, i wtedy ich pożerały. Kutrzeba zauważył, że dzieci nie porywają się na komisarzy i nie próbują szturmować rolniczych twierdz noszących nazwę „kołchozów”, choć nie darowały ich mieszkańcom, jeśli któryś opuścił schronienie. Komisarze ze

swojej strony też nie nastawali za bardzo na żołnierzy tej okrutnej armii. Mirosław nie wiedział, czy podstawą kruchego sojuszu są jakieś umowy, czy może komisarze uznali, iż przyda im się dodatkowe, choćby i niezależne od ich władzy narzędzie terroru.

- To było straszne - rzekł wreszcie. - Szczegóły znajdziesz w raporcie. Nie chcę o tym mówić.

- Aż tak źle?

- Sądzę, że Szuler opuścił mnie po tym, co tam zobaczył. Już w Przystani strasznie mu się spodobał pomysł wcielenia w życie utopii. W Rewolucji zobaczył, do czego to może prowadzić, ale chyba nie zrezygnował, tylko bardziej utwierdził się w przekonaniu, że trzeba szukać własnego wzoru na raj na ziemi.

- Aha. Tak mi się wydawało, że to filozof. Coś jeszcze?

- Pozmieniało się na Dzikich Polach, gdy przez nie wracałem. Kręcił się tam jakiś karzeł, czarownik, ponoć przybył z północy z jakąś czarownicą... Pojawił się też nowy watażka, o którym zaczynają mówić na całych stepach. Nawet w Przystani Carogrodu o nim wspominali. Ale nikt nie zna jego imienia. Dziady wieszczą, że przybył nowy ataman, który odmieni świat. Błądzący jeźdźcy wyruszyli szukać Wernyhory, objawiły się też ze dwie krwawe Heleny. Ich wyznawcy walczą pomiędzy sobą, choć jedni i drudzy czczą Chmiela. Spotkałem jedną z tych bab. To szalona kobieta, zupełnie bezwolna. Prowadzą ją cwaniacy, nazywający się jej opiekunami. Mają gęby pełne opowieści o

wielkiej Ukrainie, ale Chmielnicki obchodzi ich mniej niż złoto, które rabują z prastarych kurhanów, i baby gwałcone po wsiach. Niemniej wzmagają ferment i nadzieja na przybycie mesjasza rośnie tam w siłę.

- Co to może oznaczać dla nas?

- Dla nas nic, na razie. Zbyt się tam kotłuje, żeby prędko powstała siła zdolna nam zagrozić. Ale dla naszych na Polach może to oznaczać kłopoty.

- Właśnie, ci nasi tam. Spotkałeś ich?

Wspomnienie szarży i dzikiej radości na twarzach istot, których nawet nie potrafił nazwać, przemknęło przed oczami Kutrzeby. Szulera nie było z nim już wtedy, gdy dopadła go jedna z band Czerni. Wiele z nich sнуło się po Ukrainie w poszukiwaniu własnego mesjasza albo z powodu zwyczajnego uzależnienia od przemocy. Uciekał przed nimi kilka dni, ale nie potrafił zgubić tropu.

- Spotkałem.

- I...? To wszystko prawda?

Przymknął oczy i znów przywołał wspomnienie. Dał się wtedy porwać tej szarży, omal się w niej nie zatracił. Była osobnym bytem, boginią powstałą z upojenia wojną garstki żołnierzy, przywołanych efektami ubocznymi marsjańskich energii.

- Wszystko prawda. A nawet więcej. Trudno to sobie wyobrazić. Znajdziesz dla mnie tego ducha?

- Znajdę. Dam ci znać kiedy, to sobie z nim pogadasz. A tymczasem mam dla ciebie małą robótkę. Ale to po obiedzie.

Radzę, żebyś jechał prędko, co dostaniesz, bo Szarak nie przejmuje się prawem własności, jeśli dotyczy ono zawartości talerzy.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Przystań Carogrodu*

Wymówił się od uczestnictwa w poobiedniej konwersacji obowiązkami przewodnika odpowiedzialnego za całą wyprawę i wymknął z salonu, ledwie przedstawił Nowakowskiego rosyjskim oficerom. Kutuzow wydawał się zachwycony okazją do spotkania z Marsjaninem. Posadził go przy sobie i zasypał pytaniami o marsjańskie floty, obyczaje i strategię z czasów, gdy jeszcze byli panami przestrzeni. Nowakowski odpowiadał chętnie, dzieląc entuzjazm przywróconego do życia księcia.

Większość załogi „Batorego” ulokowano w pomieszczeniach dla służby, niezbyt może wykwintnych, ale ciepłych i chronionych przed nieczystymi siłami. Jeden Czus otrzymał pokój w pałacu hrabiego, by móc łatwiej służyć swemu panu, goszczonemu przez samego Rostowa. Sarę i Burzymura ulokowano na uboczu, by nie rzucali się w oczy zaniepokojonym carogrodzianom.

Kutrzeba odnalazł pierwszego oficera „Batorego” i nakazał mu wystawić dyskretnie warty. Nie podobali mu się ci zmartwychwstali żołnierze, miał też złe przeczucia związane

z nowym carem. Niewiele rosyjskich podań o Kościeju mówiło o nim choć jedno dobre słowo. Należał do potężnych, ale samolubnych magów. Owszem, przypominał pod tym względem większość znanych Kutrzebie władców, jednak w jego przypadku to właśnie ludowe opowieści robiły różnicę. O królach i carach powiadano różnie, o Kościeju niemal wyłącznie źle. A w świecie Kresu to właśnie opowieści mogły zdecydować o roli i charakterze tych, którzy się z nich wywodzili. Jan Piotrowicz, pierwszy oficer, przyjął polecenie Kutrzeby z zadowoleniem, niemalże ulgą.

- Ludziom się tu nie podoba. Ponuro tutaj i wszyscy patrzą na nas podejrzliwie - mówił szeptem, rozglądając się na boki.

Wandę i Szulera także potraktowano jak honorowych gości. Zajął się nimi Olga, ciekawa plotek zza zachodniej granicy, „z wielkiego świata”, jak mówiła. Choć Kutrzeba ciekaw był, co miał do powiedzenia Szuler, wołał na razie unikać Olgi. Uznał więc, że najpierw pokłoni się hrabinie, a przy okazji może i co nieco z niej wyciągnie. Musiała być niezadowolona, że mąż tym razem o niej zapomniał i poprowadził gości od razu do Kutuzowa, zamiast najpierw przywieść ich przed jej namalowane oblicze.

Nie znalazł jednak hrabiny na jej portrecie. Przyglądał się przez chwilę tłu, tym razem nieprzedstawiającemu już balu, ale porzuconą ciemną salę. Tknięty przeczuciem obejrzał pozostałe obrazy i także na nich zobaczył zmiany. Do przyjaznych policjantów dołączyli uzbrojeni jak na wojnę żołnierze, część pejzaży uzupełniono o forty i wielkie, robiące

ponure wrażenie zamczyska. Pojawiły się nowe obrazy przedstawiające Kreml; jego mury udekorowano palami, na które zatknięto ciała komisarzy. Wojna wkroczyła do namalowanego świata i przyozdobiła go po swojemu.

- Tak papa wyobraża sobie teraz Moskwę. - Olga dopadła go i zaskoczyła, gdy przyglądał się obrazowi przedstawiającemu Plac Czerwony, istotnie tonący w czerwieni, nie wiedział tylko, czy od światła lamp ukrytych za barwnymi szklami, czy od krwi. Rozlewające się po olbrzymim placu cienie przypominały gęstniejące plamy, jakby krwawa powódź spłynęła na stolicę. Może miała być to metafora rządów Rewolucji, ale przecież obrazy pokazywały raczej spełnienie snów tych, którzy chcieli ją obalić. Może była to więc zapowiedź ich zemsty, świat z ich marzeń? - Mamusia chyba nie jest do końca zadowolona z tego, jak kazał przemalować jej świat.

- Jestem zaskoczony, że porwał się na to.

- Papa czerpie teraz siłę z woli nowego cara, a ona jest potężniejsza nawet od woli mamy. Czy pan się na mnie gniewa? Za to, co powiedziałam wcześniej?

Zaprzeczył odruchowo. Unikał jednak jej spojrzenia.

- Pan się gniewa - zdecydowała. - Dlatego nie wrócił pan do nas wtedy, prawda? A i dziś przybył tylko dlatego, że nie mógł inaczej. Mnie pański bóg wiele powiedział. Ale ja przecież nie powiedziałam wtedy nic złego. Tylko samą prawdę.

- Olgo Mikołajewno...

- Nie, proszę nic nie mówić - przerwała mu, za co poczuł wdzięczność, bo nie znajdował żadnych użytecznych słów. - Jeszcze znów potraktuje mnie pan jak dziecko! I może nawet wtedy miał pan co do tego rację, ale dziś już by się pan mylił. Dorosłam. Ale we mnie tylko to się zmieniło.

Wędrowali korytarzem od obrazu do obrazu, udając, że się im przyglądają, choć żadne z nich nie interesowało się już widokami przemienionej Moskwy. Dziewczyna trzymała się jego ramienia tak kurczowo, że zdawało mu się, jakby złapała się go potrzebująca ratunku topielica. Szukał sposobu, by się uwolnić, ale na próżno. Zmora nie zamierzała mu pomóc. Nadąsała się i milczała, choć przecież zwykle dużo gniewniej reagowała na kobiety próbujące się doń zbliżyć.

- Powinniście stąd uciec - oświadczyła cicho Olga. - Jak najszybciej. Nim to miejsce was pożre. Jak pożarło nas wszystkich.

*luty 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, Kraków*

Duchy rzuciły się na umoczone w baraniej krwi okruchy chleba niczym na największe przysmaki. Obsiadły talerze szarą gromadą, a że były niewielkie, przypominały Kutrzebie krakowskie gołębie, równie nienażarte i nieprzyjmujące do wiadomości, że powinny zachowywać się płochliwiej.

- To jest ten twój kontakt? - Nachylił się ku uchu Koryckiego, by mówiąc półszepem, nie przyciągać uwagi

duchów. - To dziadostwo?

- Myślałeś, że przyniosę zwierciadło Twardowskiego? Ciesz się tym, co masz.

Dziad przyciągnięty przez Koryckiego na strych podgórskiej kamienicy biegał wokół stołu, na którym ucztowały duchy. Coś tam nad nimi mamrotał, podrzucał im nowe okruchy, wydobywane z torby przewieszanej przez ramię. Kutrzebie przypominał jednego z żebraków chętnie przepędzanych z centrum miasta przez policję, zdawał sobie jednak sprawę, że nie powinien nie doceniać takich jak on. Włóczący się po gościńcach na wpół znachorzy, na wpół szamani ciułali stare opowieści i odtwarzali obyczaje sprzed stuleci, na pozór dawno zapomniane. Chrześcijaństwo nigdy nie zatriumfowało wśród Słowian tak jak na zachodzie Europy. Ludzie po wsiach dochowywali wierności pogańskim obyczajom, nawet jeśli patronowali im już święci w miejsce starodawnych bożków. Dlatego gdy świat się odmienił, to właśnie wieś okazała się najlepiej przygotowana.

Potwory nie przekraczały progów drewnianych domów, zabezpieczanych rytuałami odprawianymi przez pokolenia gospodarzy i gospodyń. Ludzie w miastach musieli dopiero nauczyć się, jak przekształcać swoje domy w twierdze chroniące ich przed chaosem, wieś nigdy nie porzuciła tej wiedzy.

- Lećcie, fruńcie! - Zawołał dziad i duchy zerwały się niczym ptaki. Uleciały pod sufit i zniknęły. Kilka wróciło zaraz, sprawdzając, czy nie dorzuciono jadła. Rozpływały się

prędko, nieukontentowane widokiem pustych talerzy.

- Nie ma go! Nie ma go nigdzie! - Zawołały te, które wróciły po godzinie. - Szukałyśmy nad ciemnymi dolinami i ciemnymi rzekami! Nie ma go nigdzie!

Dziad odgonił je, nie dając już ani okruszka.

Te, które przyleciały po dwóch godzinach, zameldowały, że pytały duchów w czterech stronach świata żywych i w niezliczonych stronach świata umarłych, że zeszły pod ziemię i wspięły się na korony drzewa życia, ale nie odnalazły tego, kogo kazano im szukać. Także i one zostały przepędzone. Po trzech godzinach przybyły kolejne dusze, oznajmiając, że okrążyły świat dokoła, wypytując wiatrów i spływając rzekami, by rozmawiać z pannami wodnymi i topielcami, zeszły na dna mórz, których nie tknęła ludzka stopa, i dotarły na szczyty gór, ale także nie znalazły poszukiwanego. I one musiały odejść z niczym.

- No to chyba po wszystkim? - Kutrzeba sięgnął do portfela, by zapłacić dziadowi, ale ten go powstrzymał.

- Jeszcze nie, panie. Poczekamy.

Dopiero po siedmiu godzinach wrócił z poszukiwań ostatni duch. Dziad wysłuchał go, uśmiechnął się i nakarmił całą górą okruchów chleba z krwią. A gdy dusza nasyciła się i uleciała, dziad wyciągnął ku Kutrzebie znacząco dłoń.

- Jest taki jeden upiór - oznajmił usatysfakcjonowany. - Już on o was panie wie i już on was odnajdzie.

- Sam?

- Bardziej on was potrzebuje, niż wy jego - odparł dziad.

Ale przyjrzał się uważniej Kutrzebie i zaraz poprawił: -
Chociaż widzi mi się, że obaj siebie potrzebujecie po równo.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Przystań Carogrodu*

- Nie powędrujemy dalej sami - oznajmił Nowakowski, gdy Kutrzeba odwiedził go w jego pokoju. Ku swemu niezadowoleniu zastał tam Rostowa. Hrabia siedział przy kominku i uśmiechał się życzliwie, jakby po swojemu, a jednak inaczej. Wszystko, co teraz robił, naznaczone było pewną celowością, tłumiącą dawną radość i szczodrość Rostowa. - Nie damy rady.

- Nie sprzeda nam pan koni, hrabio?

- Nie sprzedam, ale za to podaruję! - Roześmiał się Rostow. - Opuścił pan ważną rozmowę, przyjacielu. Okazało się, że znów łączy nas wspólna sprawa! Bardzo mnie to cieszy. Pozostawię panów samych, byście to sobie wyjaśnili.

Nowakowski, zanim zaczął mówić, odczekał, aż za gospodarzem zamkną się drzwi.

- Potrzebujemy ich - stwierdził. - Nie jestem tym zachwycony, ale wygląda na to, że ich potrzebujemy.

- Co takiego się zmieniło? O czym się pan się dowiedział?

- Po kolei. Co pan wie o Kościeju?

- Czarodziej z rosyjskich legend. Bardzo potężny. Bardzo zły.

- Chodziło mi o to, co pan wie o tym Kościeju. O carze.

- A to wielka różnica? Jakież cztery-pięć lat temu pojawił się na Dzikich Polach nowy watażka. Werbował potwory, wsie i miasteczka ukraińskie, rosyjskich uciekinierów. Kozackie oddziały. Kozacy, w każdym razie większość z nich, go nie chciała, oni już mają własnego patrona. Czerń go odrzuciła, bo oni wciąż czekają powrotu Chmielnickiego, którego tu traktują jak boga, ale wielu uwierzyło, że właśnie Kościej zdolny jest odrestaurować imperium rosyjskie. Nie wiedziałem tylko, że ogłosił się carem. Niektórzy sądzą, że stworzy wolną Ukrainę, ale może zapomnieli, że to Rosjanin.

- Jest potężny, prawda?

- Zdławił większość rywalizujących z nim magów, nawet Baba Jaga wolała uciec przed nim do Rzeczypospolitej. A to kawał czarownicy. Pan chce, żeby zapewnił nam ochronę podczas podróży?

- Ochronę zaoferował nam książę Kutuzow. Bardzo interesujący człowiek. Zaskakująco nowoczesny, jak na kogoś przywróconego do życia z osiemnastego wieku.

- Czego chce w zamian?

- Udziału w zyskach wyprawy. To nieco komplikuje sytuację, możliwe jednak, że bez pomocy Kutuzowa realizacja naszych zamierzeń nie byłaby w ogóle możliwa. Pamięta pan, jak mówiłem, że o tym, iż pierwszy statek zwiadowczy ocalał, dowiedziałem się, obserwując czarny rynek? No cóż, nie tylko ja wyciągnąłem podobnie wnioski.

- Kutuzow? Kościej?

- Skądże! Oni nie mają wielkiego pojęcia o naszej technologii, przyszli na świat w świecie mitów i żyją przeszłością. Kutuzow tą, która pamięta, a Kościej tą, którą sobie wyobraża na podstawie opowieści. Ale wielu innych śledzi czarny rynek i wyciąga wnioski podobne do moich. Sądziłem, że wyprzedzam pozostałych, ponieważ dysponowałem danymi pozwalającymi identyfikować mi właściwie każdy marsjański artefakt, jaki trafia na rynek. Okazuje się, że inni potrafili poradzić sobie bez pomocy mojej bazy danych. Mówiąc krótko, z tego, co usłyszałem, wynika, że nie mamy już po co pchać się na Syberię. Wrak został, najprawdopodobniej, okradziony przez Wieczną Rewolucję.

Kutrzeba zastanowił się, czy Marsjanin mógł o tym wiedzieć wcześniej i dlatego właśnie go zatrudnił? Syberyjskie doświadczenia Kutrzeby nie były aż tak wyjątkowe. Nie znał natomiast nikogo innego, kto dotarłby na terytorium Rewolucji i powrócił z niej cały. Czy wszystko mogło zostać ukartowane, a plan wyprawy na Syberię stanowił tylko zmyłkę? Jeśli tak, to być może Nowakowskiemu udało się wyprowadzić w pole także ludzkościowców, bo żadne nowe sterowce nie ścigały załogi „Batorego” przez ostatnie trzy dni. Tyle że Kutrzebie nie zależało ani na skarbach, ani na wspieraniu odrestaurowania carskiej Rosji.

Opuścił pokój Marsjanina zamyślony i zaniepokojony. Czy właśnie przestał panować nad partią, w której, jak wierzył,

dotąd rozdawał karty?

- Zareczam, że nie podsłuchiwałem. - W porównaniu ze swymi poddanymi hrabia Rostow uśmiechał się nadzwyczaj często, choć teraz jego uśmiech wydawał się Kutrzebie mniej sympatyczny niż przed laty. Przechwycił gościa zaraz pod drzwiami pokoju Marsjanina - Czekałem tu na pana, bo nie mieliśmy okazji tak naprawdę porozmawiać, drogi przyjacielu!

- Polityka bywa absorbująca.

Pozwolił poprowadzić się hrabiemu w stronę parku i dalej, ku mieszczącej się w jego centrum ażurowej altance.

- Tu można odetchnąć, znaleźć nieco spokoju. Trudno uwierzyć, jak szybko i gwałtownie potrafi się zmieniać nasze życie. Zapewne jest pan zdziwiony tym, co zastał?

- Nie otrzymuję wielu wieści o wydarzeniach na Dzikich Polach. Przyznaję, że postać nowego cara wydaje mi się zastanawiająca. Nie jest chyba w żaden sposób spokrewniony z Romanowami?

- Cóż, zwyciężył realizm. Kościej mógłby wprawdzie wskrzesić ostatniego cara, jednak nawet ja muszę przyznać, że nie poradziłby on sobie zbyt dobrze w obecnych czasach. Kościej za to jest potężny, a przy tym do cna rosyjski, z ducha i serca.

- A Piotr Wielki? Słyszałem opowieści, że powstał z martwych.

- I prędko do nich powrócił. Przyjacielu, czczę pamięć tego wielkiego cara, jak wszyscy Rosjanie. Jednak żyjemy już w

innych czasach i innym jesteście narodem. Car Piotr... powiedzmy, że nie zyskałby dziś uznania arystokracji. I bez niego mamy wystarczająco powodów do strachu. To tak między nami, starymi przyjaciółmi. Ale dość o polityce! Niechże pan opowiada, jak mu się układało!

Kutrzeba opowiedział o tym, o czym opowiedzieć mógł. Upewniwszy się, że hrabia znał cel ich podróży, zrelacjonował swoje spotkanie z Marsjaninem, którego postać bardzo Rostowa interesowała.

- Jest ich zaskakująco niewielu! - Widząc, że Kutrzeba zapalił fajkę, Rostow sięgnął po swoją. Przyjął tytoń od gościa, zaciekawiony egzotycznym aromatem. - Nie umierają, są potężni i przemyślni, a jednak przetrwała ich zaledwie garstka. Nigdy, aż do waszej wizyty, żadnego nie spotkałem. Słyszałem ledwie o dwóch, poza panem Nowakowskim. Jeden, proszę sobie wyobrazić, nawrócił się na prawosławie!

- Marsjanin monoteista? Rzeczywiście zaskakujące.

- Prawda? A to nie koniec! Udał się do mnichów na górze Athos i otrzymał zezwolenie na zamieszkanie wśród nich. Ściąga do siebie wszystkie demony, potwory i bogów, które chcą przyjąć chrzest.

- Powinien pan o tym opowiedzieć Szulerowi. Religia to jego hobby.

- Pana mniej interesuje ten temat? A jednak wydaje się, że Marsjan ciekawią właśnie nasze religie. Ech, żałuję, że nie mogę z wami wyruszyć!

- Nie spodobałby się panu kraj Rewolucji, zaręczam.
- Da Bóg, nie będziecie musieli jechać aż tam!

Wedle informacji Kutuzowa podjazdy Rewolucji stały się ostatnimi czasy nadzwyczaj aktywne na wszelkich pograniczach. Sądono na Dzikich Polach, że szykują się do nowej wojny i Rostow podjął nawet rozmowy o sojuszu na wypadek najazdu z większymi oddziałami kozackimi. Okazało się jednak, że większość tych działań miała przygotować drogę dla wyprawy, którą Rewolucja wysłała na Syberię.

Czerwonym nie było łatwo przedzierać się przez Matkę Tajgę, której wyznawcy i mieszkańcy nienawidzili ich po rzezi, jaką komisarze urządzili im w pierwszych latach Kresu. Tajga wiedziała też doskonale, jak Rewolucja traktuje lasy na swoim terytorium. Komisarze sami nie odważyli się zatem przestąpić granic Tajgi, ale wysłali do niej ludzkich niewolników, często pochodzących z północnych plemion. Kutuzow uważał, że wysłano kilka grup, w obawie, że na terenach Tajgi część niewolników zdradzi, nie bacząc na to, że ich rodziny pozostały w Rewolucji jako zakładnicy.

- Nigdy nie dowiemy się, ilu tam zginęło ludzi - powtarzał za Kutuzowem Rostow. - Rewolucja nie liczy się ze stratami, pewna, że zawsze zdoła wyhodować sobie nowe armie albo wskrzesić tych, którzy ginęli na wielkim terytorium rosyjskim przez wieki. Koniec końców jedna z wysłanych grup najwyraźniej dotarła do wraku okrętu i go splądrowała. Część zdobyczy przepadła po drodze, bo wielu zdradziło i uciekło, unosząc skarby na własną rękę. Te trafiły potem na

czarny rynek. Ale większą część łupu zachowano. Wedle naszych informacji nie trafiła jednak do Rewolucji. Człowiek, który dowodził wyprawą powrotną, albo też zdradził, albo z innych powodów zamiast do Rewolucji uciekł tutaj, na Dzikie Pola. To nawet zabawne, ale to pański rodak.

- Polacy porozłazili się po całym świecie - odparł Kutrzeba, starając się zignorować przeczucie, które równocześnie targnęło nim i zmorą. Dołożył najwyższych starań, zaangażował wszystkie dostępne środki, by dołączyć do wyprawy Nowakowskiego wyłącznie po to, aby wywabić z kryjówki czwartego z grupy odpowiedzialnej za śmierć żony i dzieci. Czy to możliwe, że niespodziewanie wpadł na trop jeszcze jednego z nich? Przeczucia w tej sprawie nigdy nie zawodziły zmory.

A teraz właśnie uśmiechała się szeroko, drapieźnie. Ci, którzy uciekali przed Kutrzebą, chwyтали się najprzeróżniejszych sposobów, by mu umknąć. Oddanie się pod opiekę Rewolucji nie wydawało się bardziej niezwykle od przemiany ciała i kradzieży czyjegoś życia.

Rozdział 7

*luty 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, Kraków*

Upiór przyszedł do niego, gdy Kutrzeba zasnął w stanicie nieopodal Wężowego Dworu, przy szlaku wiodącym na Gorc. Ścieżka od Turbacza prowadziła tu przez dolinę opadającą jak siodło między dwoma wzniesieniami. Ktoś kiedyś – jeszcze przed Kresem – postawił tam bacówkę z bali drzew wyciętych z porastających Gorce lasów. Gdy wycinano pnie pod budowę schronienia dla owiec i pasterzy, lasu strzegli jedynie ludzie; dziś trudniej było pozyskiwać drewno z górskiego lasu, choć nie należał on do nawiedzonych, jak Wiekuista Puszcza czy Matka Tajga.

Kutrzeba wzgardził schroniskiem na Turbaczu, obawiając się nie tyle ceny, jaką przyszłoby mu zapłacić za nocleg, co raczej tego, iż zabezpieczenia schroniska zapobiegłyby kontaktowi z duchem, na którego czekał od seansu w podgórskiej kamienicy. Czym prędzej opuścił wtedy dobrze ekranowany Kraków, by zwiększyć szanse istoty z zaświatów.

Bacówka także posiadała własne zabezpieczenia, słabły one jednak pod nieobecność bacy, a przy tym bardziej opierały się na czci wobec stworzeń zamieszkujących góry niż na oporze przed nimi. Tylko potężni ludzie i mieszkańcy

miast szli na wojnę z demonami; prostaczkowie zdawali sobie sprawę, że z większością z nich da się dogadać, o ile człowiek ma je czym przekupić. Nawet z łap czarta można było się wyłgać, choć te złośliwe istoty łase były na ludzkie dusze. Co z nimi robiły, nie wiadano. Żadne Piekło, poza Wieczną Rewolucją, nie objawiło się ludziom podczas Kresu, podobnie jak żaden Raj. Nie przybył po ludzkie dusze Lucyfer ani Mefistofeles, choć trafiali się tacy, którzy starali się ich przywołać. Pomniejszych, lokalne diabły, jak Boruta, z którym Kutrzenie przyszło kiedyś skrzyżować szable, wędrowały po świecie, ale demony związane z bardziej uniwersalną ideą Piekła były równie nieobecne, jak monoteistyczny Bóg.

Czarty uganiały się za duszami, jak się zdawało Kutrzenie, głównie dlatego, że takie było ich zajęcie w opowieściach przechowywanych w ludzkich sercach, z których powyłaziły te stwory. O własną duszę Mirosław się zresztą nie obawiał, rozsiadła się w niej już demonica. Bardziej niepokoiły go wilcze stada, i niedźwiedzie-samotnicy, przed którymi w bacówce nie chroniła go ani moc Króla Węża, ani czary zmory. Zasypiał więc z karabinem pod ręką.

We śnie ujrzał Stefana Burtowieckiego jako rozkapryszonego malca z czarną, okrwawioną na krawędziach dziurą wyrwaną w dorosłej, choć skrojonej pod dziecko marynarce. Wystawały z niej wyłamane na zewnątrz żebra, jakby serce samo wyrwało się z piersi kupca. Burtowiecki nie zwracał początkowo uwagi na Kutrzenie,

jakby go nie widział. Siedział na taborecie pośrodku ciemności i komenderował niewidzialnymi dla śniącego duchami, gderając nieznośnie i krzycząc na nie, ilekroć wydawało mu się, że nie dość dobrze wykonywały jego polecenia. Wszystkie one dokładały starań, by odnaleźć zaginione serce Burtowieckiego. Jedne kopały w ziemi, inne wspinały się na drzewa i skały, kilka - na ile Kutrzeba zdolny był pojąć bełkotliwe polecenia dziecka - usiłowało zbudować latawiec, który uniósłby je do chmur. Trafiały się i rozkazy groźniejsze, Burtowiecki nakazywał bowiem swoim widmowym sługom przyglądać się ludziom i sprawdzać, czy serce kogoś żywego nie nadawałoby się dla upiora.

- Pan się bać nie musi - kupiec zwrócił się wreszcie piskliwym głosikiem do Kutrzeby. - Pana strzeże ta czarna jędza. Zresztą, pan też nie masz serca. Tacyśmy sami. Naszukałem się pana - westchnął. - Mówiły mi o panu i diabelskie muchy, i dusze pomordowanych, zmory i niepomszczone upiory. Wszyscy tu o panu gadają. Rad bym ujrzeć pańską twarz, bo ją skrywa jakaś zasłona.

- I lepiej niech tak zostanie.

- Nie ufa mi pan, co? Pewnie tak i lepiej. Ja byłem ufny aż nadto i oto jak się to dla mnie skończyło! Jestem najniezwyklejszym z pomordowanych! Z pana jest człowiek przyzwoity, mści się pan na zabójcach rodziny. Mnie nawet nie to, że nikt nie pamięta, ale w ogóle nikt nie wie o mojej śmierci! Koszulę zakrwawioną, w której mnie zamordowano, spalono. Nie mogę przekroczyć progu własnego domu, żeby

upomnieć się o sprawiedliwość u syna, a moja własna żona gzi się z mordercą jak suka w rui! Widziałem przez okno, jak się pod nim wierci, jak skowycze, jak się go naprasza!

W miarę jak mówił, upiór podnosił głos i ostatnie słowa już wykrzyczał. Zasapał się. Bąble krwawej śliny wykwitły mu w kącikach ust, a oczy załśniły na czerwono.

- Myśmy bracia, mój bezimienny przyjacielu - odezwał się po chwili, już spokojniej. - Ten sam skurwysyn nas skrzywdził. Nie wiem nawet, jak się nazywa ani jak naprawdę wygląda. Ale znajdziesz go pan w moim domu, pod moim nazwiskiem, z moją twarzą i z moją żoną rozkładającą pod nim nogi, w moim łóżu! Zapamiętaj mnie bracie, jestem Gustaw Hieronim Burtowiecki, drugi przewodniczący Kongregacji Kupców z Ziemi Kieleckiej. Zabij złodzieja, a ulżysz sobie i swym pomordowanym. I mnie uwolnisz. A teraz wybacz, muszę poszukać serca, bo pali mnie ta dziura w piersi żywym ogniem!

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Przystań Carogrodu*

Nie do końca zwykły chłopski bimber, klarowny a mocny, żaden tam szlachetny alkohol, co to pija się go tylko, zamaczając wargi, lecz trunek mocy, który pije się prędko, gwałtownie, jakby oddychało się pełną piersią, który pali gardło, acz krótkim płomieniem, a potem pozostaje nie ból,

tylko chęć ponownego zapoznania się z tym samym doznaniem. Taki alkohol pili tego wieczora.

Płyn przechodził przez ciało lodowatą i równocześnie gorącą strzałą, nie otepiając umysłu, ale wręcz go rozjaśniając. Nawet zmora wzdrygnęła się, gdy Kutrzeba opróżnił jednym haustem kieliszek razem z Grabińskim, Szulerem, Burzymurem, Sarą i Jaśkiem. Wanda przyglądała im się tylko, po swojemu, z życzliwą zadumą.

- Kupiłem to od tutejszych - Grabiński aż mlasnął. - Pędzą to na wszystkim, co rośnie przy uroczyskach albo nawiedzonych łąkach, czasem z kwiatów i trawy dotkniętych przez Rusałki. Takie ichniejsze czarcie mleko, tylko lepsze!

Wypili na drugą nogę. Burzymur aż odchrząknął. Sara zachichotała i szturchnęła go łokciem. Nawet Szuler się uśmiechnął, choć jeszcze chwilę wcześniej mącił spokój zgromadzonych zapewnieniami o bardzo złych przeczuciach.

Po trzecim kieliszku, wypitym „dla równowagi”, zrobili sobie małą przerwę. Przegryźli bimber słoniną, a Jasiek nabrawszy odwagi, porzucił na moment kompanię, by przysiąc się do Wandy. Wyjął zza pazuchy jakiegoś robala i swoiście pojmując romantyczne gesty, podetknął go dziewczynie pod nos, dzieląc się z nią opowieściami o owadzych balladach, które tu usłyszał.

- To ci zaloty! - Sarze wyraźnie poprawił się humor. Przysunęła się do wielkoluda, tak że ich uda zetknęły się ze sobą. Burzymur poczerwieniał na twarzy. Nie pytając nikogo o zgodę, dolał sobie jeszcze bimbru i wypił go samotnie. - Już

lepsze te twoje wierszyki, Burzymurciu.

- E tam... - zawstydził się wielkolud. - Kiedy on też wierszem gada. Tyle że robalim.

Istotnie, Jasiek właśnie usiłował deklamować Wandzie owadzie strofy. Choć okazał się kiepskim tłumaczem, niezdolnym do sklecania nawet częstochowskich rymów, dziewczyna wydawała się słuchać go z zainteresowaniem. Owady, jak się okazało, także dotknął urok Dzikich Pól. I one toczyły własne wojny, stanowiące niekiedy odbicie konfliktów ludzkich, a czasem wynikające ze sporów, jakich ludzkie umysły nie były w stanie pojąć. Służyły też wadzącym się ze sobą nawzajem czarownikom i zawierały sojusze z wędrującymi po stepach oddziałami.

- Nie boisz się, że ci córkę zbałamuci? - Kutrzeba mrugnął do Szulera.

- Nie widzę żadnych szans na taki związek, prowokatorze.

- Wszyscy ojcowie tak myślą o absztyfikantach ich córek.

- Ja nie myślę. Ja widzę, Mirku.

I rzeczywiście, bóg obserwował linie potencjalności Wandy i Jaśka, czuwając, czy nie splatają się one w prawdopodobieństwo wspólnych losów. Sam nie wiedział, czy zareagowałby i wykorzystał swoje moce, gdyby do tego doszło. Zmienił szybko wątek, by Kutrzeba, posiadający irytującą umiejętność prędkiego rozpoznawania drażliwych tematów, nie zapytał go o to.

- Jak ci się podobają nasi nowi sojusznicy?

- Sojuszników nigdy za wielu, prawda? - Kutrzeba odkroił

sobie cienki plasterek słoniny. - Kazałem Jaškowi wypytać zwierzęta, co słyssały o tym Kościej, ale twoja córka tak mu zawróciła w głowie, że wrócił z jakimś pasikonikiem, któremu się zdaje, że jest Wernyhorą.

- A nie może być?

- Wernyhora zaszył się w jakiejś kryjówce na stepie. Wszyscy go szukają, ale nikt nie może znaleźć, jeśli sam tego nie chce. Jakby tu przylazł, naprawdę mielibyśmy powody do obaw.

- A nie mamy?

- Jak coś wiesz, to mi powiedz. Nie baw się w wieszczkę.

- Nie podoba mi się ten Kościej. Pootaczał się trupami, to i państwo pewnie chce zrobić trupie.

- Nie oceniaj go po legendzie. Smok Wawelski też jest w legendach typem spod ciemnej gwiazdy, a wyrósł na w miarę porządnego gada. Tam, gdzie zaczynają się interesy, nawet baśniowe mózgi pracują rozsądniej. Zazwyczaj. A że Rosja jest dziś trupem, to i trzeba cudotwórcy, żeby ją ożywić. Ten się akurat nadaje, ze swoimi zapasami żywej wody. Ci jego generałowie to nie upiory, ale prawdziwi ożywieńcy.

- Mówisz tak, bo ci z nim po drodze. A linie możliwości wokół Kutuzowa są prawie wyłącznie mroczne. Nic dobrego nie będzie z tej ich Rosji. Rostow miał wizję może naiwną, bo mu się marzyła Święta Ruś carskiej łaskawości, ale szczerą i jasną. Ci dwaj, Kościej i Kutuzow, mu ją odebrali.

- Mroczni są - wtrącił się Burzymur, coraz wyraźniej skonfundowany zachowaniem Sary i wywołaną nim własną

nieśmiałością. Dziewczyna sama dolewała jemu i sobie bimbrowa, aż musiał zareagować Grabiński, zaniepokojony taką niesprawiedliwością. Odebrał jej dzban i roztoczył nad nim pieczę. – Wiele wędrowałem, wiele widziałem, ale tutaj jest nawet gorzej niż w Krakowie.

– To Kraków taki zły? – Zaciekawiał się Grabiński. – A czemu to? Tam bezpiecznie.

– Tam same spiski. Każdy jeden patrzy na drugiego spodoba. Nikt nie myśli prosto, nikt nie mówi szczerze. Jak idziesz na gościniec, to wiesz: ci są swoi, a tych trzeba prac. Nawet jak cię demony opadną, to też wiesz, że albo je zwiedzisz, albo będziesz musiał się bić. Ludzie w mieście są inni, skryci i cwani. Jak ci tutaj. Ale ci są jeszcze na dodatek mroczni.

– Obronę cię przed nimi, Burzymurciu – zamruczała Sara, a wielkolud aż rozkaszał się z wrażenia.

– Niech zgadnę, pani nigdy nie piła czarciego mleka, prawda? – Grabiński mrugnął niby to do niej, ale tak naprawdę do wszystkich.

– Oj, widzę wokół was takie linie, że aż wstyd spoglądać. – Szuler mrugnąć nie mógł, więc tylko uśmiechnął się, w swoim przekonaniu filuternie, naprawdę jednak dość przerażająco. Jasiek dostrzegł ten uśmiech i pobladł.

– Co wy tam wiecie, barany. – Sara machnęła ręką tak zamasyście, że omal nie spadła z zydła. – Co wy możecie wiedzieć o mnie i moim Burzymurciu!

– O was nic. – Grabiński wzruszył ramionami, odciągając dzban poza zasięg Sary, czy to dlatego, że bał się, iż może go

stracić, czy aby uratować ją przed kompletnym upiciem się. – Prócz tego, oczywiście, że nie umiecie pić. Za to ja czarcie mleko znam aż za dobrze. Ono, widzicie, najmocniej trafia do serc i mózgów tych ludzi, którzy nie wymarynowali ich uprzednio w słabszym alkoholu. Tacy zupełnie nie są gotowi na jego działanie i mogą od niego nawet i poszaleć. Z gorzałką, moi drodzy, jest jak z czarami. Nie należy zaczynać od najmocniejszego zaklęcia, bo można samego siebie zmienić w żabę. Myślę, że lepiej będzie, jak was przed tym bimbrem uratuję. I przyjmę jego ciężar na własne, że tak powiem, gardło.

– Co ty tam wiesz o zaklęciach! – Bąknęła Sara. – Burzymurciu – jęknęła – chyba mi jakoś dziwnie. Może byś mnie wyniósł na pole, nim na widoku wszystkich zrobię coś, czego dama w ogóle robić nie powinna.

– No i zostało nas trzech do podziału – ucieszył się Grabiński, a po chwili ucieszył się jeszcze bardziej, bo Szuler pognął szukać Wandy, która wymknęła się gdzieś z Jaśkiem.

Wychylili jeszcze po kieliszku.

– Podobają mi się te Dzikie Pola, może bym tu został? – Rozmarzył się Grabiński. – Jeździłbym po stepie, strzelał do potworów i zgarniał za nie nagrody. Może i siwy już jestem, ale jakby mi czarciego mleka nie zabrakło, to drżałyby tutejsze wilkołaki. Albo nawet i smoki. Są tu jakieś smoki?

– Żmije są.

– Węże, znaczy się, ze skrzydłami?

– Takie też. Ale ciężko je spotkać. Urządzali na nie

polowania, jak nie chciały przystać po własnej woli do oddziałów zaciężnych. Żaden chyba nie wyrósł tak, żeby osiągnąć prawdziwą potęgę.

- Za mało tej gorzałki kupiłem - zatroskał się Grabiński. - Ledwie jej starczy na dwóch. O. - Twarz mu się niespodziewanie rozjaśniła. - A ta panna, Mirku, to chyba do ciebie?

W drzwiach stała Olga.

- Najmocniej przepraszam. - Dygnęła ślicznie, uroczo, aż obu zabłyśły oczy. Zmora zasyczała po swojemu. - Mamusia pragnie porozmawiać z panem - zwróciła się do Kutrzeby.

Odszedł z nią prędko, pozostawiając Grabińskiego skupionego na samotnym ratowaniu świata przed czarcim mlekiem.

*maj 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, Kielce*

Oczy kobieta miała pełne krwi i smutku. Białka pokryły się jej czerwonymi żyłkami, niebieskie tęczęwki pociemniały od trosk kłębiących się w duszy. Wyłamywała palce, niespokojnie rozglądała się na boki i nawet gdy tuliła się do Kutrzeby, drżała.

- Oj, tyś dobry, tyś mój - szeptała, gdy jej ciało nabierało ciepła od jego ciała, od pieszczot i przychodzącego z nimi zapomnienia o lęku.

Zmora zaciskała usta, zaciskała oczy, a Kutrzeba zatracił

się w twardych od zmęczenia ramionach, w suchych przestraszonych ustach i dotyku zbyt długo samotnych piersi, nadto przywykłych do szlochów. Gładził jej napuchłe pośladki, dotąd głównie klepane szorstkimi od ciężkiej pracy dłońmi, w których nie było choćby śladu czułości. Kupił sobie dostęp do tego wszystkiego niby to ulotnym spojrzeniem, śmiałym komplementem, ale i łagodnym dotykiem w jakiejś ukradzonej chwili, gdy przyszła z zamówieniem od swojej pani do stolarza, mającego wykończyć pracę po mniej zdolnych budowlańcach odpowiedzialnych za rozbudowę domu pani Grażyny Burtowieckiej.

Towarzyszył wtedy służącej w charakterze tragarza. Pan Burtowiecki, który w ciągu ostatnich miesięcy odnosił zdumiewające sukcesy, rozbudowywał obecnie swoją siedzibę, tak by odpowiadała jego nowej pozycji. Łatwo znajdowali u niego zatrudnienie fachowcy, czy to od murarki, stolarki, czy od ochraniań magazynów. Kutrzeba nie miał pojęcia o budowaniu bądź remontowaniu domów, był jednak silny, potrafił dać po mordzie i umiał wysledzić złodziejasków, nieważne czy przybywających z zewnątrz, czy ukrywających się wśród służby.

Prędko spodobał się majordomusowi Burtowieckich. Gdy się sprawdził, zatrudniono go przy karawanie wiozącej żywność do Krakowa. Szybko stało się to jego głównym zajęciem, choć wykorzystywano go także do pomniejszych zleceń. Zwłaszcza od czasu, gdy zaczął się kręcić przy Basieńce, jednej ze służek żony coraz szybciej bogacącego

się i zyskującego na znaczeniu mężczyzny, który ukradł ciało i życie Burtowieckiego.

Samego kupca nigdy nie spotkał. Nim przybył do Kielc, przystrzygł i przefarbował włosy, a zmorze nakazał, by przyciemniła mu barwę oczu. Zapuścił brodę i wąsy. Swoje stare obranie i broń pozostawił u Koryckiego. Ubierał się teraz jak jeden z osiłków-elegancików: w tanie garnitury i niedrogo eleganckie meloniki. Na palce powciskał sygnety, tak z prawdziwego złota, jak i z tombaku, i wepchnął srebrny zegarek w kieszeń kamizelki. Jeśli tylko mógł, nosił białe skórzane rękawiczki. Ilekroć spoglądał na siebie w lustrze, zbierało mu się na mdłości.

Basieńce się spodobał, choć pewnie głównie dlatego, że w ogóle starał się o nią, zamiast po prostu ją sobie wziąć, a potem nie porzucił jej, lecz rzeczywiście o nią dbał. Przywoził jej prezenty z Krakowa i poturbował paru woźniców, którym ciągle się wydawało, że była niczyja.

Ona odwdzięczała mu się, oczekując na jego powrót, czasem nawet u bram miasta. Rzucała mu się na szyję, obcałowywała, szepcząc zawsze tak samo: „Tyś dobry, tyś mój”. Podkradała dla niego smakołyki z pańskiej kuchni albo sama próbowała coś piec bądź gotować, choć nie miała ku temu talentu.

I może od tego kłamstwa też zbierało mu się na mdłości, ilekroć spoglądał w oczy swojemu odbiciu.

Tak trzeba - szeptała zmora. - I ja cierpię, myślisz, że nie? Ale nie ma już z tobą Szulera, a ten zbrodniarz dobrze się

przed tobą strzeże. Tu nie wejdiesz szturmem ani nie pomoże ci półświatek.

- Żal mi tej durnej Basieńki - odpowiadał, a wtedy zmora zapewniała go, że ofiarował nieszczęsnej kobiecie najlepsze chwile jej życia. Przypominała, że tylko przy nim tamta choć na chwilę przestawała się bać.

Lęk towarzyszył Basieńce wszędzie, ale nie tylko jej. Wszyscy mieszkańcy przemienianej w pałac kamienicy Burtowieckich oglądali się niespokojnie za siebie, jakby ktoś ich śledził, choć nie dało się nikogo dojrzeć w izbach czy korytarzach. Na usilne prośby służby sprowadzano księży, egzorcystów i szamanów, a nawet czarownice, nikt jednak nie zdołał ujawnić żadnego niespokojnego ducha, choć złowiono kilka pomniejszych dusz.

Prawdziwy Burtowiecki nawiedzał jedynie Kutrzebę, a i to wyłącznie wtedy, gdy ten przebywał z dala od kamienicy. Wciąż szukał dla siebie serca i wciąż narzekał na brak postępów.

- Czemu po prostu nie wejdiesz z gnatami w łapach i nie powystrzelasz wszystkich, którzy staną ci na drodze? - Zrzędził dziecięcym głosem, dłubiąc w truchle polnej myszy paluchem, na którym wyhodował długi, czarny paznokieć, zakończony ostro niczym szpon.

- Bo mam jeszcze po co żyć potem.

Upiór pożarł serce myszy, aby po chwili prychnąć pogardliwie i pierdnąć trupimi gazami, by pokazać, co sądzi o kurczowym trzymaniu się życia.

- I dlatego, że chcę zabić jednego, konkretnego faceta, a nie dać się zastrzelić, próbując do niego dotrzeć - dodał Kutrzeba. - Nie ułatwiasz mi, strasząc wszystkich w domu.

- To nie ja! - Obruszył się Burtowiecki. - Ja tam wejścia nie mam. Zabezpieczył się ten złodziej ciał i żon! Do tego domu nie dostanie się żaden duch, żaden upiór, nawet jeśli jest jego prawowitym właścicielem. Wstęp mają tylko te dusze, które mu służą. Widzę je czasem z daleka. Krążą po całym domu, wypatrując ataku. One go strzegą przed takimi jak ja. A że straszą służbę, to nikogo nie obchodzi. Kryją się tylko wtedy, jak ma przyjść jakiś ksiądz, i tyle. Mnie to nie pomaga, bo i tak domu strzegą w tym czasie zaklęcia i runy. Ty, a może ty byś dla mnie zrobił tam jakie przejście?

- To nie jest najgorszy z twoich pomysłów. Pomyślę nad tym.

Trudno się jednak było Kutrzebie skupić na planach, gdy leżał obok drżącej Basieńki, a ona wyznawała mu, że odkłada z wypłaty pieniądze dla nich obojga, na przyszłe, wspólne życie.

Być może to właśnie w jednej z takich chwili przyszło mu do głowy, że dla dobra tej dziewczyny powinien umrzeć, gdy już załatwi sprawę.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Przystań Carogrodu*

Gdy rankiem przyglądali się ciału zamordowanego tej nocy pierwszego oficera „Batorego”, Kutrzeba wciąż wspominała rozmowę z hrabiną.

- Śmierć bardzo się zmieniła ostatnimi czasy - przemówiła do niego z niewielkiego portretu opuszczonego chwilowo przez gospodarza, zmarłego dekadę wcześniej majordomusa Rostowów. Przywitali się wcześniej jak poprzednio, uprzejmie acz bez wylewności. - Pamiętam ulice pełne światła i pałace niczym z baśni. Niewiele z nich teraz zostało.

Nie skarżyła mu się wprost, nie ukrywała też jednak, że nie była zachwycona zmianami przyniesionymi przez Kościeja. Nawiedzony malarz co dzień przychodził do dworu i wprowadzał zmiany dyktowane mu przez adiutantów Kutuzowa. Malował też nowe obrazy, rozszerzając terytoria namalowanej Rosji o kolejne wsie i miasteczka. Sam Kutuzow szkicował dla niego plany Petersburga i raz dziennie, przez godzinę, pozował do portretu. Mówiło się, że malarz może zostać nawet wypożyczony z Przystani Carogrodu, by namalować portret samego Kościeja, choć ani Kutrzebie, ani hrabinie nie wydawało się prawdopodobne, by czarownik zgodził się na wykonanie swej podobizny.

- Jego dusza mrocznieje - wyznała Kutrzebie, mając na myśli malarza. - Zalegają się w niej cienie od tych wszystkich okropieństw, jakie każą mu teraz malować.

- I obawia się pani, że nie tylko z jego duszą się to dzieje?

- Jestem tylko portretem - westchnęła, po czym dała mu odpowiednio dużo czasu, by pojał, że powinien gorączkowo

zaprzeczyć. – Jest pan uprzejmy, ale zdaję sobie sprawę z mojej sytuacji. Portrety mają to do siebie, że o ich charakterze decyduje także tło. Ja już się zmieniam pod wpływem tego, co uczyniono mojemu miastu. Obawiam się, że i żywych może dotyczyć ta zasada. Jestem tłem dla swojego męża i córki. Jestem tłem dla Przystani Carogrodu i zmieniam się w unoszący się nad nią cień, jak wcześniej byłam spływającym na nią światłem. Sądzę, że pan to rozumie. Bo rozumie pan więcej niż inni. Proszę nie zaprzeczać, poznałam się na panu. Dlatego starałam się odwieść córkę od tej szalonej miłości.

– Czego pani ode mnie właściwie oczekuje, hrabino – wykorzystał okazję. – Że wyzwę Kutuzowa na pojedynek i go zabiję? Że powstrzymam plany Kościeja?

– Jako Polak nie chciałby pan zapewne restauracji Rosji w dawnych granicach?

– Jako człowiek rozsądny wiem, że to nie nastąpi. Hrabino, ja nie muszę powstrzymywać Kościeja. Zrobią to Koleje Galicyjskie. Te same, które niemal samodzielnie toczą wojnę z Wieczną Rewolucją. Rosja z pani koszmarów nie powstanie.

– Ale będzie istnieć tutaj, w obrazach. Do Moskwy dołączy Petersburg, potem Kijów, może i Warszawa? Całe ściany naszego dworu pokryje narośl tego malowanego imperium, gdzie generałowie Kościeja spełniać będą wszystkie swoje fantazje.

– I ja mam to powstrzymać?

– Rozpacz dyktuje mi te słowa. Nikt inny nie przychodzi mi

do głowy.

Oszalała! Kutrzeba patrzył w namalowane oczy hrabiny i myślał o Oldze, która po drodze wyznała mu, iż wie, że on jej nie kocha, ale ona i tak darzy go uczuciem, nawet wbrew woli mamusi i papy. I że za nic na świecie nie chce wychodzić za małż za trupa, choćby był największym bohaterem Rosji i prawdziwym księciem. Że zabiłaby się, by temu przeszkodzić, gdyby nie wiedziała, że to nic nie da, bo albo Kościej ją ożywi, albo stanie przed ołtarzem jako mieszkanka obrazu.

- Pani liczy na mój honor - odezwał się wreszcie - a może i romantyzm, jaki ponoć cechuje niektórych mężczyzn.

- Jest pan Polakiem... - zaczęła hrabina, ale przerwał jej brutalnie.

- Niechże pani nie wierzy w bajki! Nie jesteśmy narodem błędnych rycerzy!

- Baśnie żyją dziś bardziej niż kiedyś....

- Ale ja z nich nie pochodzę! To nie jest opowieść, a czary to nie cuda. Nie jestem błędnym rycerzem, ani - jest mi niezmiernie przykro, że panią rozczaruję - człowiekiem honoru. Nie mogę pani pomóc. Pomijając wszystko inne, nie wiem nawet, jak miałbym to zrobić.

- Odda pan moją córkę potworowi?

- Czy zabijając go, nie zdradziłbym pani męża?

- Dochowałby pan wierności człowiekowi, jakim był kiedyś!

Pan wie, czym jest cień, prawda?

Wiedział, dlatego nie czuł wstrętu, gdy ledwie dwa

kwadransie później pochylał się nad ciałem zamordowanego, ku któremu przyprowadzili go słudzy hrabiego. Badał rany nieszczęsnego pierwszego oficera „Batorego” i wysłuchiwał raportów zmory, zdolnej dostrzegać rzeczy, które jemu mogły umknąć. Kapitan carogrodzkiej straży, blady i zdenerwowany, powtarzał tylko, że przekracza jego pojęcie, jakim cudem jakieś złe siły zdolne były przedostać się do miasta, tak przecież dobrze strzeżonego przez ludzi i duchy.

- Niektóre potwory sami zapraszamy - rzucił, nie odwracając się za siebie. Ślady pozostawione na ciele ofiary niepokoiły go bardziej niż fakt, że ktoś przełamał zabezpieczenia Przystani Carogrodu.

- Ależ... - Kapitan wciągnął głęboko powietrze, zatrwożony niedopowiedzianą sugestią. - Co też pan mówi!

- Mówię, że to, co zabiło tego nieszczęśnika, przyłazło najprawdopodobniej za nami. I skorzystało z gościny, jakiej nam udzieliliście. Dlatego nikt go nie powstrzymał.

- Ach!

- Otóż to. Ach.

Pożegnał kapitana i udał się do Nowakowskiego, by powiadomić go o swoich podejrzeniach. Tak jak się spodziewał, Marsjanin nie przyjął ich dobrze. W winę Mioczki, któremu Kutrzeba przypisał morderstwa, nie chciał uwierzyć. Bronił swojego kapitana i niechętnie słuchał argumentów Kutrzeby, tłumaczącego, że nawiedzenie - wciąż traktowany jak członek załogi sterowca - był w stanie przedostać się przez zabezpieczenia Przystani Carogrodu.

Ostatecznie niechętnie Marsjanin przyznał, że związany z pojazdem Mioczka mógł uznać, iż porzucając „Batorego”, załoga go zdradziła. Mógł się więc mścić, o ile przeżył.

- Tak bardzo jest pan z nim związany? - Zapytał pod koniec rozmowy Kutrzeba.

- To niezupełnie tak. Owszem, osobiście nadzorowałem proces implementowania w Mioczkę dusz, ale nie jest mi on szczególnie bliski. Po prostu - Nowakowski uśmiechnął się bez wesołości - jeśli ma pan rację, to spartoliłem zabieg.

Rozdział 8

*lipiec 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, Kielce*

„Mam własną misję” – mruknął trochę zły na siebie, a trochę na tę nieznośną kobietę, oglądając się na Basieńkę, wciąż machającą mu na pożegnanie. Stanowiła już tylko niewielką postać, nieróżniącą się prawie od innych stojących w bramie miejskiej mężczyzn i kobiet, z których część także przyszła pożegnać kochanków. A jednak wciąż przyciągała jego wzrok.

- Ja wiem, że ty nie jesteś jeszcze gotów – wychlipała mu prosto w ucho, nim wyzwolił się z jej objęć. - Że w tobie jest jakaś straszna tajemnica. Ale poczekam na ciebie, wiedz o tym.

- Baby, co? - Dowódca ich oddziału, eskortującego karawanę wiozącą żywność, miał w sobie sporo niedźwiedziej krwi. Pochodził z Matki Tajgi, ale musiał uciekać spod jej opieki, gdy zabił po pijanemu szamana, który odebrał mu kobietę. Potrafił zachowywać się rubasznie i przyjacielsko, w walce przypominał jednak ogarniętego szalem berserka. Być może ta zwierzęca domieszka sprawiała, że czasem lekko się jąkał. Zdaniem garnących się doń tłumów kobiet dodawało mu to uroku. Mrugnął teraz do

Kutrzeby i przechylił się w siodle, by podać mu butelkę. – Łyknij sobie, bracie, na t-troskę!

Zwalisty mężczyzna w Kielcach kazał się nazywać Jewgienijem, jednak zmora zdradziła Kutrzebie jego prawdziwe imię, które podsłuchiwała u duchów uwięzionych w talizmanach, jakimi był poobwieszany. Trudno je było wymówić, a ponadto opisywało sposób relacji dowódcy z duchami dziewic pozamykanych w talizmanach, Kutrzeba uznał więc, że pozostanie przy Jewgieniju.

– Ja ci się nawet, braciszku, dziwię. – Obok innych zalet, Jewgienij posiadał także cnotę gadulstwa. – Znaczy, Baśka to n-niczego sobie lalunia. A i pojaśniała przy tobie tak, że chłopcy by ją obracali dniami i nocami, jakby się ciebie nie b-bali. Może i łapy nie masz ciężkiej jak moja, ale jak już się bierzesz do roboty, to solidnie. Masz d-diabła w oczach.

– Odezwał się najspokojniejszy człowiek w Kielcach.

– Wiem, co się ze mną dzieje, jak mnie k-krew zalewa. – Jewgienij wzruszył potężnymi ramionami. – Ale wiesz, jak ze mną jest, braciszku. Ja walnę tak, że może nawet i łeb rozwalę, ale mnie g-gniew mija prędko. Dam komuś po mordzie, a zaraz potem mogę z nim pić gorzałkę. Jeśli przytomny. – Roześmiał się ochryple, okrutnie, ale radośnie. Kilku innych strażników zawtórowało mu na wszelki wypadek, choć nie słyszeli, co mówił. – A t-ty nie przebaczasz i nie zapominasz. Ludzie wiedzą o tym i dlatego się ciebie boją. I baby ci nie ruszą. Ale ty byś mógł pohulać z dziewczynkami, jakbyś chciał, bo one ciebie lubią. Z-za t-ten

mrok w oczach i sercu, i za to zimno. Tak to już jest z babami, że najbardziej lubią tych, co zimni. A gorące chłopaki, jak ja, muszą się o nie starać! Kochasz się w tej Baśce, to się w niej kochaj, ale czemu nie pohulasz sobie w Krakowie? Albo może ty masz tam drugą taką jak Baśka? Co?

Kutrzeba skłamał, że tak właśnie było, sądząc, że ułatwi mu to wymykanie się kompanom z oddziału – po przybyciu do Krakowa szedł zawsze spotkać się z Koryckim. Przekazywał niegdysiejszemu oficerowi wywiadu wieści o tym, co działo się w okolicach Kielc, a sam wysłuchiwał, czego agenci Koryckiego dowiedzieli się w jego sprawie.

- Teraz, gdy znamy się lepiej – oświadczył Korycki poprzednim razem. – Wydaje mi się, że i wiem o tobie więcej.

- Nie o mnie się miałeś dowiadywać, spaślaku. – Z każdą wizytą w Krakowie mężczyzna wydawał się Kutrzebie grubszy. Możliwe, że wcale nie opuszczał już knajpy, którą wykupił wspólnie z żoną.

Niegdysiejsza kelnerka stała teraz za barem, czujnie obserwując wnętrze lokalu. I ona przybrała na wadze. Nie obsługiwała klientów, chyba że wybranych. Przyglądała się za to pracy sług, gotowa doskoczyć do każdego, kto jej zdaniem nie przykładał się do pracy. Uśmiechała się wtedy do ofiary uroczo i pełnym słodczy głośnie opowiadała o doświadczeniu zawodowym swojego męża. Wedle jej słów był niegdyś katem u szalonego czarnoksiężnika, najemnym zabójcą i myśliwym w Afryce, gdzie nauczył się egzotycznych sposobów torturowania oraz obdzierania ze skóry tak, by

ofiara jak najdłużej pozostawała przytomna.

- Może jestem odrobinę tęższy - skrzywił się Korycki. - Ale za to nieporównanie bardziej szczęśliwy niż wtedy, gdy mnie spotkałeś za pierwszym razem. A dowiaduję się o ciebie, żeby jak najlepiej służyć ci pomocą. Bo prócz mnie nie zostało ci wielu przyjaciół, prawda?

- Wrogowie mi wystarczą.

- No, skoro tak, to opowiem ci o wrogach. Pamiętasz tego pokurcza ze smoczej jamy, co żeś mi go wystawił?

- Herr Kuntza.

- Właśnie tego. Wypuścili go.

- Tak po prostu? Za dobre sprawowanie?

- Aż tak głupi to oni nie są. Wymienili go na naszych agentów. Taka, wiesz, wyższa polityka ludzi, którym marzy się odwilż z Rewolucją. Nie ma dla niego powrotu do Republiki Narodów, a pewnie i w Rewolucji go nie pogłaszczą za spartolenie akcji. Ale jeśli przeżyje powitanie towarzyszy, to o tobie nie zapomni.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Pamiętam każdą chwilę z naszych wspólnych wypraw. - Rostow uparł się wyruszyć z nimi w poblize miejsca lądowania. Dowodził przydzieloną im przez Kutuzowa eskortą.

Dobę odpoczęli w Przystani Carogrodu i postanowili wracać po porzucone na miejscu awaryjnego lądowania zapasy. Nowakowski, dla którego dopiero przygotowywano i powóz, i specjalnie dostosowane do Marsjanina siodło, został w gródku. Kutrzebie, który miał nadzieję porozmawiać z nim bardziej otwarcie na osobności, nasunęło się podejrzenie, że zatrzymano Nowakowskiego jako zakładnika.

- Bardzo pan zamyślony - kontynuował Rostow. Gdy opuścili gródek, wyraźnie się ożywił. Już nie mówił tyle o wspaniałej przyszłości, chętnie za to wspominał stare czasy.
- Czy moja córka aby nadto się panu nie narzuca?

- Dużo się dzieje. Jest nad czym myśleć, panie hrabio. Nasza teraz już wspólna wyprawa, pańskie plany, odrodzona Rosja... Przy okazji, czy Kościej utrzymuje kontakt z Ungerami?

- Nowa dynastia chanów sprzyja naszym planom. Wszyscy nienawidzą Rewolucji, ona jedna na świecie nie ma sojuszników. Gdy uderzymy, wesprą nas i jeźdźcy z bezkresnych mongolskich stepów, i nasi Kozacy, i nawet Wiekuista Puszcza i Matka Tajga. Obudzimy gnębiony lud rosyjski i wyrwiemy go spod batogów komisarzy prosto w nasze szeregi! To będzie wojna, jakiej jeszcze nie było!

- Ale nie skończy się wraz ze śmiercią Rewolucji. Pan zdaje sobie z tego sprawę?

- Obawiam się, że ma pan rację. Po pierwszej wojnie przyjdzie nam stoczyć drugą, dużo gorszą, bo domową. Nie nastąpi to szybko, może nawet nie dożyję tego i moich ludzi

będzie wiódł mój syn? A może będziemy walczyć obok siebie? Nie wyzwolimy Rosji bezkrwawo i ja się z tym godzę. Ale pan, przyjacielu, nie odpowiedział na moje pytanie. Czy Olga nie dręczy pana zanadto?

- Pan wie, że ona nie cieszy się na swój ślub?

- Nie rozumie, jaki zaszczyt ją spotyka! - Hrabia wypowiedział te słowa ostro, przez zacięte usta, i mrok spowijający Przystań Carogrodu ponownie zagościł w jego oczach. Szybko zapanował nad sobą. - Ja bym jej nawet do tego zaszczytu nie przymuszał. Ale to konieczność dziejowa, związać Rostowów z Kutuzowem, zbudować potężne stronnictwo popierające nową dynastię i mieć wpływ na jej politykę. Car Kościej jest mądry, lecz potrzebuje doradców świadomych nowych uwarunkowań. On, rozumie pan, jest człowiekiem starej daty, podobnie jak Kutuzow. Inaczej patrzą na świat niż pan czy ja.

- I pani hrabina.

- Ach, rozmawiał pan z moją małżonką. - Rostow uśmiechnął się mimowolnie. Gdy mówił o hrabinie, w jego głosie nadal, jak przed laty, pojawiała się pełna oddania czułość, obecnie jednak zabarwiona żalem. - Prawda! Jej trudno znieść te zmiany w malowanej Moskwie. Ale one są tylko tymczasowe, niechże pan ją o tym zapewni przy następnej okazji.

- Mogę jej nie mieć. Jak tylko zbierzemy zapasy, ruszamy w pościg za oddziałem Rewolucji. Jeśli dotrą do granic swojego terytorium, będzie nam trudniej.

- Zatem gdy powrócicie. Czy to cerkiew, w której nocowaliście?

Nie zatrzymali się na popas w bezpiecznym świętym miejscu. Rostow utrzymywał, że gdy mają go przy boku, wszystkie miejsca na jego ziemi są bezpieczne. Nie pomylił się. Gdy wieczorem rozbili obóz o dzień drogi od miejsca lądowania i z ziemi wypęły duchy, zamiast próbować atakować ludzi, uformowały ze zjaw, ożywieńców, potworów i upiorów szereg, który zaraz wyprężył się na baczność. Wystąpił spośród nich szkielet w hełmie wskazującym, że jego właściciel mógł walczyć jeszcze z mongolskimi zastępami Wielkiego Chana. Stał na granicy obozowiska, której przekroczyć nie było mu wolno, i pokłonił się przed Rostowem, który wyszedł mu naprzeciw. Hrabia opuścił bezpieczną strefę, objął starodawnego wodza i powiedział mu coś, czego Kutrzeba nie usłyszał. Szkielet skinął czaszką, dał znak swoim i jego oddział odszedł.

- Teraz nawet uroczyska są po naszej stronie - zawołał wesoło Rostow, wracając swoich ludzi. - Widzicie, czego potrafili dokonać car i książę? Niechże pan to zapamięta, panie Kutrzeba! Wszystko, co żywe i martwe, składa pokłon prawowitemu władcy tych ziem! Wszystkie istoty ziemi to nasza armia!

- A istoty niebios? - Zapytał go Kutrzeba następnego dnia w samo południe, gdy skończył obserwować przez lornetkę niepokojący go punkt na niebie. - Może nam się przydać ich wsparcie.

Wysoko na niebie nad Dzikimi Polami krążył sterowiec.

*lipiec 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, trakt
krakowski*

- Ścierwojady - Jewgienij splunął przez lewe ramię. -
Wielkie z-złe stado.

Przyglądali się czarnej chmurze ptaków krążącej ponad zagajnikiem, który musieli minąć. Co jakiś czas z gromady odrywali się samotni śmiałkowie, jeszcze w powietrzu walczący o zdobycz czekającą na ziemi. Ptaki skrzeczały na siebie nawzajem, ale nie wyglądały na zaniepokojone.

- Walczą o żer. Myślisz, że mogą rzucić się i na nas?

- D-diabli je wiedzą. Cholera, w Matce Tajdze wszystkie zasady były jasne. Jakbym zobaczył coś takiego, pomodliłbym się, zabiłbym kozła i zawiesił go na drzewie. Ten wasz kraj jest całkiem pomyłony! Tu nie ma żadnych zasad!

Kutrzeba uśmiechnął się w duchu. Narzekanie na kraj, w którym przyszło mu żyć, i wychwalanie pod niebiosa leśnego królestwa, z którego go wygnano, należało do stałych zwyczajów Jewgienija. Jakże wspaniały w jego opowieściach był surowy ład Tajgi, zwłaszcza w porównaniu z nieporządkiem w Polsce i całej Republice Narodów! Najemnicy pracujący dla Burtowieckiego i jego słudzy musieli wysłuchiwać tych opowieści bez końca. Kutrzeba, który prawa Matki Tajgi miał okazję poznać bezpośrednio,

czasem się ze swoim dowódcą sprzeczał. Tym razem sobie darował.

- Jakby tam kto na nas czekał w zasadzce, płoszyłyby ptaki - uznał. - A i duży z nas oddział. Łakomy kąsek, ale trudny do ugryzienia. Ptaki nas nie ruszą.

- Słusznie mówisz. Ale jakoś nieskoro mi się tam pchać. Dusza szczypie.

- Taka robota.

- Taka służba - poprawił go Jewgienij. - Ale masz rację.

Nie miał.

Najpierw wypadły na nich psy. Czarne i wielkie, jak w legendach o czartach włóczących się po polach bitew, gdzie pod cienką warstwą ziemi wciąż zalegają ciała poległych, których duszami nikt się nie zaopiekował. Zwierzęta jednak padały od zwyczajnych kul, choć kilka zdążyło dobiec do konwoju i rozszarpać dwójkę ze strażników.

Gdyby były same, pozostali zbrojni uratowaliby tamtych dwóch. Ale za psami wybiegali już z kryjówek ludzie w złachmanionych ubraniach, brudnych i ledwie trzymających się na chudych ciałach. To nie byli zwyczajni bandyci, ale przedstawiciele jednego z dzikich plemion, które zawiązały się z ludźmi próbujących przetrwać na skażonych energią wiary ziemiach. Traktowani przez bogów i demony jak zwierzyna łowna, wyginęliby, gdyby nie nauczyli się nowych sposobów przetrwania. Zapomnieli o cywilizacji, znaleźli patronów wśród demonów nie mniej dzikich od nich samych i żyjąc na sposoby prymitywnych plemion sprzed tysiącleci,

wywalczyli sobie miejsce w niegościnnych dla ludzi krainach. Skażenie przyswajało ich odmieniając ich ciała i umysły. Choć wciąż przypominali ludzi, coraz częściej przeważały wśród nich demoniczne mutacje. Ziemię, których ludziom nie udało się odzyskać, zaczynała opanowywać nowa rasa.

Nie powinni zapuszczać się tak daleko od swoich siedzib.

Kutrzeba zdołał zastrzelić dwóch, nim skończyła mu się amunicja w magazynku. Nie miał czasu przeładowywać, sięgnął po szablę. Kątem oka zobaczył jeszcze jakiś ruch, ale nim zareagował, stwór będący w połowie człowiekiem, a w połowie turem uderzył w pełnym pędzie w bok jego wierzchowca. Przerośniętymi rogami, których końce wzmocniono krzemiennymi ostrzami, zranił głęboko białe zwierzę.

Impet uderzenia obalił konia na prawy bok. Gdyby nie pomoc zmory, zwierzę uwięziłoby pod sobą Kutrzebę. Na szczęście demonka czuwała. Przez wszystkie lata poznała organizm nosiciela i nauczyła się panować nad nim na poziomie komórkowym. Nie poprzestała na wspomoczeniu pompujących adrenalinę nadnerczy, ale sama wniknęła w układ nerwowy Kutrzeby, wzmacniając biegnące nim impulsy własną bezlitosną wolą.

Zwykły człowiek zginąłby pod przywalonym koniem, jednak Kutrzebie coraz dalej było do ludzi. Gdy pół-tur, który przeskoczył nad konającym zwierzęciem, by dobić rogami obalonego człowieka, z rykiem uderzał w ziemię, mężczyzna stał już za nim i unosił szablę do cięcia w wielki kark.

Musiał uderzyć dwa razy. Obrócił się zaraz, by nabić na ostrze skaczącego nań dzikusa. I pochylił się natychmiast, bo strzegąca go zmore ostrzegła go o ciosie nadchodzącym od tyłu. A potem poleciła, by skoczył w prawo, na napastników odwróconych do niego plecami jeszcze przez dwie, a może trzy sekundy.

Nie posłuchał jej. Ruszył ku wielkiemu dzikusowi w hełmie z wilkołaczej czaszki. Dzikus owinięty był w płaszcz z ludzkiej skóry i unosił właśnie prymitywną, zakończoną kamiennym ostrzem włócznią, by przebić nią rozciągniętego na ziemi przez czterech obszarpańców Jewgienija.

Kutrzebie wydało się zdumiewające, że ledwie pięciu dzikich starczyło, by powstrzymać przybysza z Tajgi, aż usłyszał cichy śpiew dzikusa z włócznią. Szaman skażonych oszołomił dowódcę strażników jakimś zaklęciem.

Kutrzeba uciął mu łeb jednym płynnym cięciem, w które włożył całą siłę, wzmocnioną przez zmore opieprzającą go za - jej zdaniem - samobójcze nieposłuszeństwo.

Zdawał sobie sprawę, że na drugie uderzenie nie starczyłoby mu czasu. Szamanów skażonych wspomagały ich własne mroczne siły.

Dzicy zawyli rozpaczliwie, gdy ich przywódca obracał jeszcze ku Kutrzebie pozbawiony głowy korpus. Jego tocząca się po ziemi głowa nadal wyśpiewywała zaklęcia. Nie miały one jednak już poprzedniej mocy. Jewgienij ocknął się. Zaryczał wściekle. Stracił z siebie dzikusów i zabił ich, nim zdążyli uciec.

W niespełna minutę było po wszystkim.

Dzicy rozpierzchli się w panice. Rozczarowane kruki i wrony, obserwujące dotąd całe wydarzenie z gałęzi drzew, uciekły na niebo, by uniknąć zemsty ocalałych. Tylko kilka najzuchwalszych ptaków powróciło do uczyty na trupach ofiar zamordowanych wcześniej. Gdy strażnicy je zbadali, odkryli, że to najpewniej jacyś lokalni bandyci, którzy mieli pecha i nadziali się na oddział dzikusów.

- Dziwna sprawa - mruknął Jewgienij, gdy przeszukiwali zwłoki napastników, a ciała trzech ludzi, których stracili, pakowali na wóz. W ogniu walki berserk zapominał o jękaniu. - Nigdy nie widziałem, by dzicy zapuszczali się tak daleko.

- Znali nas. W każdym razie ciebie. Ten szaman zaatakował cię specjalnie przygotowanym zaklęciem. Może przyszli za tobą?

- Mamuśka Tajga nie skorzystałaby z przeklętych - odpowiedział, kręcąc w zadumie głową. - Ale masz rację, byli na nas przygotowani. Ktoś źle życzy interesom pana Burtowieckiego. Ale ciebie nie wzięli pod uwagę. Uratowałeś mnie, bracie, a może nawet nas wszystkich.

- Taka robota - spróbował zbagatelizować.

- Nie, bracie. To coś więcej. To dług. Nie myśl, że o nim zapomnę.

czerwiec 1972 roku starego kalendarza,

*pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Pamiętają o nas. - Grabiński nie odrywał wzroku od sterowca. - Musieliśmy im naprawdę zależeć za skórę.

- Nie mogą wiedzieć, że to my, chyba że mają tam na pokładzie wróżów - uspokajał go Kutrzeba. - Jedziemy pod chorągwią Rostowów. Z tej wysokości nas nie rozpoznają.

- Wróżów nie musicie się obawiać. - Przez lornetkę Rostow także przyglądał się sterowcowi. - Książę Kutuzow przykładą wielkie znaczenie do pracy wywiadu. Jesteśmy tu chronieni przed wróżami i jasnowidzami. Żadna wróżba nie wyjdzie jasna na moich ziemiach, jeśli ja jej nie autoryzuję.

Mimo wszystko przyciągnęli uwagę sterowca. Okręt obniżył nieznacznie wysokość i podążał za nimi cały dzień, aż dotarli do miejsca lądowania „Batorego”, by odzyskać porzucony ładunek.

Znaleźli tam większość pozostawionych zapasów. Ponaglany przez Kutrzebę Jasiek wypytywał ptaki i owady o losy ukradzonej amunicji. Żywności i srebra nikt nie ruszył, co zdaniem Kutrzeby wskazywało, że złodzieje należeli do istot nadprzyrodzonych. Rostow wezwał na pomoc lokalne duchy, ale te utrzymywały, że rabunku musiano dokonać za dnia, kiedy spały, nie widziały bowiem nic. Z meldunków wynikało też, że za zniknięcie zapasów nie odpowiada załoga ciekawskiego sterowca, unoszącego się wprawdzie cały czas nad wyprawą, ale trzymającego się na dystans.

Większość ludzi, tak Rosjan, jak i Polaków, pracowała ciężko, by jak najszybciej załadować zapasy na konie i muły i ruszyć ku bezpiecznej Przystani Carogrodu. Polacy nie za bardzo ufali w zapewnienia hrabiego, iż na jego ziemiach nic nie może im zagrozić. Rosjan z kolei denerwował widok unoszącego się na tle przestworzy sterowca.

- Okręt jest tylko jeden. - Grabiński ani myślał poświęcać się pracy fizycznej. Leżąc na ziemi i popijając czarci bimbler, którego na wszelki wypadek kupił za pieniądze Nowakowskiego tyle, że ogołocił z zaklętego trunku piwnice w całym gródku, nie odrywał wzroku od nieba. - Jak myślisz, gdzie jest drugi?

- Może na północy? Nie muszą wiedzieć, że Rewolucja ukradła towar. Nie muszą nawet wiedzieć, że straciliśmy „Batorego”, jeśli rzeczywiście wróżby nie wyszły im na terytorium Rostowów. Albo został zniszczony, jak „Jagiełło”. Będę się nim przejmował, jak go zobaczę.

- Chwali ci się to długoterminowe planowanie.

- Nic nie rozumiecie, ani ty, ani Nowakowski. Wam się zdaje, że cywilizacja już wygrała, bo siedzicie u siebie w bezpiecznych miastach. Niby łążą tam jakieś olbrzymy i trzeba trzymać się rytuałów, by nie dopuścić do siebie złego, ale tak naprawdę w miastach żyje się jak u pana Boga za piecem. Tutaj jest inaczej, niczego nie możesz być pewien. Podania i religie tak się już poprzekręcały, że mało które zasady z klechd mają sens. Myślisz, że jak wilkołaki używają karabinów, to w ogóle to na nich nie wpływa? Przeżyły tylko

te demony i ci bogowie, którzy się dostosowali. Niczego nie możesz być pewien.

- Zgrywasz mruka, ale tak naprawdę lubisz sobie pogadać, co? - Nie przejął się wykładem Grabiński. - Jak tylko trafia ci się okazja, zanudzasz mnie, starego, na śmierć. A przecież ile byś nie głądził, ja wiem, że masz jakiś plan. Od samego początku.

- Przeceniasz mnie.

- Chciałbym. Ale nie jesteś już tym ogarniętym szalem mścicielem, z którym włamaliśmy się wtedy do biura tej firemki, co to miała zapewniać pociągowi ochronę, a zamiast tego wystawiła go na pożarcie. Już nie strzelasz do wszystkiego, co się rusza.

- Nauczyłem się oszczędzać amunicję. A może trochę ochłonałem?

- Akurat ci wierzę. Ta czarna panna ciągle w tobie siedzi. Ona nie pozwoli ci ochłonać.

- Mówiłem ci, demony też się zmieniają. Teraz, wybacz, robota wzywa.

Mieli ze sobą radio. Kutrzeba namówił hrabiego, by podjęli próbę nawiązania łączności ze sterowcem. Dłuższą chwilę radiotelegrafista nadawał wezwanie Rostowa na kilku pasmach, nim doczekali się odpowiedzi.

- To „Bolesław Chrobry” - prymitywne polowe radio nie posiadało głośnika i żołnierz musiał przekazywać im wszystko, co usłyszał przez słuchawki. - Twierdzą, że wyruszyli z misją badawczą, której celem jest poznanie

sytuacji na Dzikich Polach. Proszą o zgodę na lądowanie.

- Nie tutaj - zdecydował prędko hrabia. - Przekaż im pozycję Przystani Carogrodu, niech czekają tam, nad lasem. Nie wolno im lądować, póki nie przybędę.

- Proponują, że nas wszystkich podwiozą. Zapewniają, że będzie szybciej - przekazał po chwili żołnierz.

- Polecieć! - Oczy hrabiego rozbłysły. - O, to dopiero coś! Podziękuj im za propozycję, przekaż jednak, że niestety zmuszony jestem odmówić. Spotkamy się jutro, pod lasem.

- Zatem to pańscy przeciwnicy? - Zapytał cicho, jakby nie chciał, by usłyszeli go żołnierze w zielonych mundurach. Stali z Kutrzbą blisko obok siebie, przyglądając się odlatującemu sterowcowi. - Stoczyliście z nimi bitwę i teraz będą chcieli was dopaść?

- To może zachwiać naszym sojuszem?

- Jest pan moim przyjacielem. Książę Kutuzow rozumie, że słowo Rostowa jest święte, a jego przyjaźń wieczna. Możliwe jednak, że będziemy musieli wykazać się obaj zmysłem dyplomatycznym. Takie sterowce mogłyby przysłużyć się naszej sprawie.

Rozdział 9

sierpień 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, trakt krakowski

- Ktoś ze wszystkich sił stara się nam zaszkodzić! - Grzmiał zza biurka mężczyzna, który ukradł tożsamość Burtowieckiemu.

Ponieważ podczas ostatnich trzech karawan Kutrzeba wykazał się w walce, za rekomendacją Jewgienija go awansowano. Jako Stanisław Bor, tak się bowiem tutaj przedstawiał, miał teraz wstęp na niektóre narady. Zyskał możliwość, by przyjrzeć się celowi. Kupiec nie wyglądał groźnie. Podobnie jak prawdziwy Burtowiecki był wysoki, ale tęgi. Poruszał się nerwowo, rozbieganym spojrzeniem skakał od twarzy do twarzy, jakby spodziewał się ataku z każdej strony. Zatrzymał na moment wzrok i na Kutrzebie, jednak nie dostrzegł w nim chyba nic szczególnego, bo nie poświęcił za dużo uwagi swemu nowemu oficerowi. Kutrzeba nie widział powodu, by przyciągać do siebie uwagę, więc także milczał.

- Atakują i karawany innych firm - wyręczył go Jewgienij, któremu ostrożnie podsunął kilka uzyskanych w Krakowie informacji. - Dź-dzicy przenikają na nasze terytoria i atakują

linie zaopatrzeniowe. Idzie wojna.

- Sami tego nie wymyślili! - Zachnął się fałszywy Burtowiecki. - Ktoś za nimi stoi. I dla naszego wspólnego dobra wszyscy musimy dołożyć starań, żeby dowiedzieć się, kto to taki! Zebrałem was tutaj, by przekazać ważną wiadomość. Od kilku tygodni naradzamy się z przedstawicielami cechów działających w Kielcach, Krakowie, Częstochowie i we wszystkich stacjach karawany pomiędzy nimi. Większość z nas zgodziła się, że nikt nie obroni się sam. Zawiazaliśmy tymczasowe porozumienie, które ma zabezpieczyć nas wszystkich. Tak samo jak inni, będęłożył na obronę naszych interesów. Panowie, miło mi poinformować, że zostałem przewodniczącym Galicyjskiego Towarzystwa Ochrony Lokalnego Biznesu. Dysponujemy już wcale znacznym budżetem. Spodziewajcie się więc wzmocnienia, tak pod względem sprzętu, jak i ludzi.

Wcześniej Kutrzeba z Koryckim też próbował odgadnąć, kto stoi za tymi napadami. To niegdysiejszy oficer wywiadu zaproponował hipotezę, że dzikich nie sprowadzili żadni zewnętrzni wrogowie Republiki Narodów, ale któryś z jej obywateli.

- Rewolucja korzysta na tym tylko pozornie - tłumaczył Kutrzebie. - Niby osłabia część naszych linii zaopatrzeniowych, ale po co? Miałaby nas ostrzegać w ten sposób o planowanym ataku? I to jeszcze w czasie, kiedy nastąpiła odwilż i po raz pierwszy nasi dyplomaci spotykają się z ich dyplomatami? Jaki mieliby interes w atakowaniu nas

teraz? Już prędzej uwierzę, że to ktoś u nas chce storpedować rokowania, nim na dobre się rozpoczęły.

- Bo wojna to biznes?

- Ano właśnie. Tyle że to też bez sensu, bo wojna trwa i tak. Fabryki nie nadążają z produkcją broni dla wojska działającego na skażonych terytoriach. U nas to drobiazg, ale masz pojęcie, jakie pieniądze idą na kompanie kolonialne próbujące odzyskać Afrykę? Żaden biznes nie potrzebuje jeszcze jednej wojny.

- Więc kto?

- Nie wiem. Hanza? Osłabieni niezależni kupcy mogliby zwrócić się do niej o pomoc. Tak bym to widział: jako rozgrywki w rodzinie. Ktoś na tym zyska. Zobaczysz kto, a będziesz wiedział, kto za wszystkim stoi.

- Bardzo mi pomogłeś.

- Szukasz cudotwórcy, idź do jasnowidza. A, przy okazji, wiesz, że wpadłem na trop Szulera?

Przyglądając się przyjmującemu gratulacje Burtowieckiemu, Kutrzeba umacniał się w podejrzeniach, że to właśnie kupiec, póki co, okazywał się jedynym zwycięzcą. Praktycznie od tej chwili zarządzał majątkami większości kieleckich przedsiębiorców, decydował o ich polityce i ewentualnej przynależności organizacyjnej. Owszem, stracił kilkunastu strażników i nieco towaru, mógł jednak potraktować te straty jak inwestycję. Czy człowiek, który doprowadził do śmierci kilkuset osób, by stworzyć i nakarmić prywatnego boskiego patrona, cofnąłby się przed

poświęceniem kilku własnych ludzi?

- Coś taki zadumany? - Jewgienij uderzył go z rozmachem w plecy. - Idziemy opić sukces szefa. T-ty z nami!

Oficerowie straży Burtowieckiego spotykali się w karczmie „U Siwego”. Tym razem też mieli tam pić, do rana, głośno i radośnie. Nie szczędzili grosza podczas takich popijaw, więc wybaczano im i potłuczone szkło, i poobszczypanywane pośladki kelnerek, i nawet kilka przetrąconych od czasu do czasu szczęk klientów, którzy nie dość szybko ustąpili z drogi karawaniarskim kapitanom.

- Teraz tośmy jeszcze ważniejsi! - Już w knajpie wzniosł dumny toast Henryk Mareszka, dzierżąc kufel tak niedbale, że nieco piwa wylało się na głowy kamratów siedzących obok niego. Należał do kapitanów najdłużej służących u Burtowieckiego, żywił w związku z tym przekonanie, że jest najważniejszy w całej kompanii. - Zdrowie naszego dobrodzieja, który tak zacnie się nami opiekuje!

Wszyscy wypili chętnie. Kutrzeba także nie żałował gardła, wykrzykując wiwaty na cześć mężczyzny, którego przysiągł zabić. Uderzał kuflami o kufle innych kapitanów i sam wzniosł kilka toastów. Śmiał się równie głośno jak inni, krzyczał nie gorzej od Mareszki i wdał się w małą bójkę z jakimś strażnikiem służącym u Bołobowa, głównego w Kielcach konkurenta Burtowieckiego. Bołobow należał do tych, którzy nie przystąpili do Galicyjskiego Towarzystwa Ochrony Lokalnego Biznesu, toteż kapitanowie prezesa patrzyli spode łba na jego człowieka, odkąd ten wszedł do

karczmy.

Kutrzeba wykorzystał okazję, gdy silnoreki od Bołobowa podszedł do baru. Zbliżył się do niego chwiejnym krokiem i nie wdając w ceregiele, zaproponował, by wypili wspólnie toast za zdrowie pana Burtowieckiego. Chwilę później kotłowali się już na podłodze, a kompani jednego i drugiego ochoczo lali się po pyskach wokół nich.

- P-pięknieś go, bracie, załatwił - gratulując Kutrzebie, Jewgienij okładał go boleśnie po plecach ciężkim łapskiem. - Ale chyba lepiej będzie, jak cię stąd wyprowadzę, nim psy wpadną tu szukać sprawcy całego tego rejuwachu. B-bo tamci, taka ich mać, na pewno polecili już na skargę.

Żegnani wiwatami, opuścili karczmę. Jewgienij prawie zaniósł ślaniającego się na pijanych nogach Kutrzebę do jego stacji, w której tej nocy nie czekała, na szczęście, Basieńka. Pan Burtowiecki także świętował, toteż każda para rąk potrzebna była do pomocy przy uczcie. Jewgienij wrzucił kompana do łóżka w ubraniu, ale zdjął mu buty i nawet nakrył go kocem, nim wyszedł.

Kutrzeba odczekał parę minut, nim wstał, trzeźwy jak zwykle, gdy czuwała nad nim zmora. Nie spał prawie przez całą noc, planując następne kroki. Teraz, gdy wcisnął agentowi Koryckiego - z którym tarzali się po podłodze, udając zaciętą walkę - kartkę z informacją, że to Burtowiecki stał za atakami na karawany i że on sam obecnie planuje do końca miesiąca zniknąć z Kielc, musiał dokładnie zaplanować swoje kolejne posunięcia. Pewne ruchy już wykonał, należało

jeszcze wzmocnić szanse na przeżycie. A może przeciwnie? Każdy kolejny mężczyzna z jego listy dokładał większych starań, by się przed nim uchronić. Może zatem lepiej byłoby przekonać ostatnich trzech, że nie mieli się już kogo obawiać?

Ignorował upiora zamordowanego kupca, który jak zwykle przyszedł go ponaglać. Rozważał wszelkie możliwości, aż tuż przed świtem usłyszał zgrzyt klucza w drzwiach. Prędko położył się, udając, że śpi, i nawet gdy Basieńka zaczęła go rozbierać, narzekając na durny męski ród, niepotrafiący bawić się inaczej niż po pijanemu, tylko zachrapał. Aż naprawdę zasnął od tego udawania, a Basieńka położyła się przy nim, szepcząc śpiącemu na przemian uszczypliwości i komplementy.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Przystań Carogrodu*

Kutuzow wznosił toast za nowych sojuszników. Wypili go wszyscy, łącznie z Nowakowskim, patrzącym zdałoby się pogodnie na swojego konkurenta - siedzącego po drugiej stronie stołu Henryka Jakubowskiego, jednego z najpotężniejszych ludzi w Galicji, a możliwe, że i w całej Polsce.

Jeden z prezesów Kolei Galicyjskich, senator Republiki Narodów, na co dzień niechętnie opuszczający swój

podkrakowski pałac, sam stanął na czele wyprawy, której celem było przeszkodzenie Marsjaninowi. Wyciągnęła go z twierdzy ambicja pobudzona raportami agentów, którym podrzucił informacje Korycki albo ludzie przekupieni przez Kutrzebę. Skoro sam Nowakowski stawał na czele własnej wyprawy, zmęczony ukrywaniem się i ciągłym oddawaniem inicjatywy Jakubowski dał się skusić i wziął z niego przykład, tym bardziej, że szczególnie zabolęła go kradzież „Batorego”. Ciekaw był przy tym skarbów marsjańskiej techniki, skrywanych w zaginionym okręcie. Wiele zdumiewających machin marsjańskich przepadło podczas wojny. Niedobitki Marsjan niechętnie dzieliły się ocalonymi schematami swoich mechanizmów, utrzymując, że ziemską technologia nadal była zbyt słabo rozwinięta, by poradzić sobie z ich wykorzystaniem. Wizja zdobycia cudów obcej technologii dodatkowo motywowała Jakubowskiego i utwierdzała w przekonaniu, że nie ma człowieka dość pewnego, by mógł zamiast niego stanąć na czele takiej wyprawy.

Senator ukłonił się Kutuzowowi, Rostowowi i Nowakowskiemu, pozostałych nie zaszczycając spojrzeniem, choć przy stole siedzieli także Grabowski i Burzymur z Sarą, Szuler z Wandą i nawet Jasiek, bardzo skonfundowany obecnością tak wielu przedstawicieli wielkiego świata.

Nikt nie poinformował Jakubowskiego, że obrazy na ścianach sali, w której można by zmieścić niewielkie sioło, także na swój sposób żyły. Dlatego hrabina też nie doczekała

się powitania. Rostow mrugnął do Kutrzeby. Sojusz sojuszem, ale nowi przybysze nie musieli wiedzieć o wszystkim. Choć obrazy wydawały się martwe, zadbano bowiem o to, by żaden ruch nie wzbudzał niepotrzebnego zainteresowania ludzi Jakubowskiego, siedzący po jego prawej stronie mężczyzna co chwilę zerkał na nie, wyraźnie zaniepokojony.

Czarodziej wszędzie towarzyszył senatorowi. Wysoki i szczupły, o szlachetnej twarzy, ubierał się z przesadną elegancją, w której mógł rywalizować nawet z Rostowem. Kutrzebę bawił jego monokl, starannie przystrzyżone wąsiki i wystudiowana precyzja ruchów. Nie przeszkadzało mu to czuć respektu przed potęgą maga. Zastanawiał się, czy połączone siły zmory i Szulera wystarczyłyby, by stawić mu czoła. A może to sam bóg, wywołany przed laty przez Jakubowskiego i pięciu pozostałych, wcielił się w tego elegancika? Kutrzebie nigdy nie udało się poznać charakteru tego bóstwa. Z pewnością potrafiło uświetnić kariery całej szóstki, ale to, jakimi mocami się posługiwało, wciąż pozostawało tajemnicą.

Odkąd „Chrobry” wylądował nieopodal Przystani Carogrodu, zmora umilkła. Ukryła się głęboko w duszy Kutrzeby i nie dawała najmniejszego znaku życia, by nie przyciągać uwagi i nie zdradzić swojego nosiciela. Kutrzeba nie potrzebował jednak jej pomocy, by rozpoznać potęgę maga. Moc wręcz od niego promieniowała.

Wcześniejsze rokowania, którym patronował Kutuzow, nie

przebiegły gładko. Kutrzeba nie został na nie zaproszony, sprawozdania z nich przekazywał mu jednak Nowakowski poprzez Czusa. Jakubowski nie ukrywał wrogości wobec Marsjanina i początkowo domagał się wydania go „w ręce sprawiedliwości”. Dopiero gdy zrozumiał, że ani Kutuzow, ani Rostow nie zamierzają spełnić jego żądań, nawet gdy zagroził, że wobec tego opuści Przystań Carogrodu, poszukał innej drogi.

O Kutrzebie nawet nie wspomniał. Ale musiał go szukać. Czas względnego spokoju po sfingowanej śmierci minął. Sam Kutrzeba dołożył starań, by różnymi drogami dotarły do czwartego mężczyzny z jego listy wieści o tym, iż ten, który poprzysiągł mu zemstę, nie zginął w Kielcach i zaciągnął się na służbę do Marsjanina.

Jeśli wcześniej Mirosław niepokoił się, że Jakubowski mógł nie połknąć przynęty, jego obawy rozwiały się, gdy pomiędzy ochroniarzami senatora dojrzał Jewgienija.

*sierpień 1969 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
czwarty rok Kresu, siedemnasty rok Pokoju, trakt
krakowski*

Napady na karawany nie ustawały, teraz jednak każdą zaopatrzone w nadnaturalne wsparcie. Pozwalało to na uniknięcie większości pułapek. Okazyjne wyprawy wojskowe sprawiły też, że często dzicy zmieniali się sami w zwierzyne. W odpowiedzi ściągali oni posiłki, wchodzili w konszachty z

lokalnymi czartami i bandami. Nigdy jednak nie poważyli się na atak na żadne miasto.

Upiór Burtowieckiego namawiał Kutrzebę, by wykorzystali okazję. Powoływał się na znajomości, które nawiązał wśród dzikich, zapewniał, że posiada u nich znaczne wpływy.

- Pomyśl - kusił - jak zgrabnie odwróciliby uwagę straży...

- Za jaką cenę? - Zapytał sucho Kutrzeba. - Ilu niewinnych by wymordowali?

- Za bardzo się tym przejmujesz!

- Przejmuję się, żeby nie stać się takim jak ci, którzy cię zabili. Oni też uważali, że wszystko, co im służy, warte jest każdej ceny. Też już sporo zapłaciłem, ale nie chcę przesadnie powiększać rachunku.

- Rozmawiałeś ostatnio o moralności z Basieńką? - Zakpił upiór i po chwili wył, gdy zmora skoczyła mu do gardła. Mogła nie lubić kochanicy nosiciela, ale zareagowała, gdy poczuła, że Kutrzeba zaraz sam zaatakuje upiora.

- Jutro w nocy. - Mirosław nie zwracał uwagi na upiorze piski. Zmora szczyrzyła kły ledwie o włos od martwej twarzy kupca. Syczała jak kot. Burtowiecki błagał o litość, zapewniał, że nie miał nic złego na myśli. - Podejmiesz próbę zaatakowania domu. Zrobię dla ciebie wyrwę, tym razem się przedrzesz. Ale rzucą się na ciebie jego duchy ochronne.

- Pogonię je po całym domu! Przysięgam!

- O północy.

- O północy!

- Puść go.

Ledwie zmora schowała się na powrót w Kutrzebie, upiór rozviał się z ulgą i zniknął.

Potrzebowałam tego - wymruczała. - Odrobiny rozrywki. Jesteś dla mnie taki niedobry! Ciągłe spotykasz się z tą babą, choć to już niepotrzebne!

Na próżno tłumaczył jej, że gdyby teraz rzucił Basienkę, mógłby wzbudzić podejrzenia. Sam nie wierzył tym argumentom.

Następnej nocy związał i zakneblował kochankę, by nie posądzono jej o współudział. Odprowadzała go zdumionym wzrokiem, gdy wychodził, próbowała coś mówić, wypluć knebel. Pożegnał ją jak umiał najlepiej, choć bez czułości.

- Za murem, na rozstajach, gdzie stoi kapliczka Matki Boskiej Zbrojnej, Pani Tannenberskiej, zakopałem dla ciebie trochę złota i srebra. Starczy ci na dobre życie na wiele lat. Nie jedź tam od razu. Będą cię obserwować. Wytrzymaj rok, jeśli dasz radę. Nikt tego nie wykopie, nie martw się. Czart, który strzeże tych rozstajów otrzymał swoją zapłatę. Zna już ciebie i tylko tobie wyda skarb. Tyle ode mnie. Bywaj.

Strażnicy dworu kupieckiego znali go i przepuścili przez bramę muru otaczającego przypominający twierdzę dom. Gdy nikt nie widział, wydrapał na prowadzących do wnętrza budynku bocznych, przeznaczonych dla służby drzwiach krąg zdolny przepuścić upiora.

Zaczęło się, ledwie dzwony skończyły wybijać północ.

Sam wszedł innymi drzwiami, bo ku tamtym gnały już zaalarmowane dusze, wyjąc jak potępieńcy. Postawiły na

nogi całą ochronę. Kutrzeba już biegał między strażnikami, wykrzykując, że zaatakowali ich dzicy. Nikt nie próbował go zatrzymać, zwłaszcza że zaczęły wybuchać petardy, które poumieszczał naokoło dworu.

Fałszywy Burtowiecki schował się w specjalnie przygotowanym na wypadek ataku schronie, zdolnym wytrzymać choćby i ostrzał artyleryjski, pod którym zawaliłby się cały dwór. Był w nim zabezpieczony przed atakiem duchów i posiadał trzy osobne drogi ucieczki, na wypadek gdyby wyczerpały się zgromadzone zapasy żywności, których starczyć powinno na trzy tygodnie. Wszystko to służyć miało oficjalnie obronie przed napaścią niezidentyfikowanych bandytów, najazdowi skażonych, a nawet przed ofensywą Rewolucji. Kutrzeba zdawał sobie jednak sprawę, że wszystko, cokolwiek robił mężczyzna ukrywający się pod postacią Burtowieckiego, miało zabezpieczyć go przed nim.

Potrzebował trzech miesięcy, by schronienie zmienić w pułapkę.

Nie wejdę tam z tobą - przestrzegła go zmora. - Nie dam rady!

Stali już u progu schronu. Czterej strażnicy dogorywali na podłodze. Kutrzeba trzymał w rękach dymiące pistolety.

- Byleś czekała na mnie tam, gdzie ustaliliśmy.

Mógłbyś to zrobić inaczej.

- Nie wydaje mi się.

Strażnicy nie mieli kluczy od schronu. Gdy już kupiec ukrył

się w jego wnętrzu, można go było otworzyć tylko od wewnątrz.

Tyle że Burtowiecki nie wiedział, iż robotnicy, którzy wprowadzali ostatnie usprawnienia w konstrukcji, zostawili Kutrzebie ukrytą furtkę. Zrobili to po tym, jak zaprowadził ich do bezimiennych grobów w lesie i pokazał kości ich poprzedników.

- W starożytnych czasach faraonowie zabijali wszystkich, którzy znali tajemnice piramid - mówił cicho, ale stanowczo.
- Burtowiecki stosuje tę samą metodę. Możecie zrobić swoje i zginąć albo zrobić nieco więcej i przeżyć, bo to ja będę kierował ludźmi, których zadaniem będzie zamordowanie was. Tylko musicie zrobić coś dla mnie. To będzie drobiazg, nikt nic nie zauważy.

Ich majster nawet nie zapytał o gwarancje, bo nie je otrzymywał od Kutrzeby, a jedynie szansę.

Nie istniał palnik zdolny szybko przepalić stalowe wrota schronu. Nie istniał ładunek wybuchowy, który mógłby je wysadzić, nie zawałając przy okazji całego dworu; a i tak pewnie nie zaszkodziłby ukrytym w schronie ludziom. Wrota zabezpieczono także przed zaklęciami.

I właśnie to zabezpieczenie uszkodzili ludzie, którym Kutrzeba obiecał ocalić życie.

Wypowiedział zaklęcie, które agent Koryckiego przywiózł mu z Bliskiego Wschodu, ze świata pustyń i dżinów mieszkających w lampach. Ścigające upiora zamordowanego kupca duchy usłyszały je i zawyły ze zgrozy, rozumiejąc już,

że zostały oszukane. Rzuciły się ku schronowi, ale zamek w jego wrotach już szczekał, już opadały zasuw i skoble.

Mając nadzieję, że fałszywy Burtowiecki słyszy towarzyszące otwieraniu wrót odgłosy i zaczyna rozumieć, że jego los lada chwila się dopełni, Kutrzeba przestąpił próg i prędko zatrzaskał za sobą wrota, tuż przed nosami rozwścieczonych, ale i zrozpaczonych duchów. Słyszał ich złorzeczenia, gdy schodził w głąb schronu.

Niedługo później wyłonił się z jednego z korytarzy mających zapewnić Burtowieckiemu drogę ucieczki. Miał nadzieję, że dobrze wybrał. Upiór już tam na niego czekał.

- Zabiłeś ich wszystkich? - Pragnął upewnić się upiór.

- Tylko jego.

- Zdrajca! - Rzuciłby się na Kutrzebę, gdyby nie powstrzymała go zhora, która zdążyła wrócić do duszy mściciela wcześniej. - Podły zdrajca! Niewdzięcznik!

- Zabiłem go, zrobiłem swoje. Nic już tobie do mnie ani mnie do ciebie.

- Ja nie skończyłem! - Zawył upiór.

- To już twoja rzecz. Mnie zostaw w spokoju.

Duch patrzył na niego wściekle.

- Wpisałem cię na swoją listę - wysyczał i zniknął.

Kutrzeba usiadł na ziemi, czekając, aż go znajdą. Udał, że rozmasowuje nogę w kostce, jakby nadwyrężył ją podczas ucieczki. Miał nadzieję, że tym, który przybędzie, będzie Jewgienij, wolałby nie zostać zmuszony do zabijania kolejnych strażników.

- C-co ty tu robisz? - Zapytał zdumiony Jewgienij, gdy przybiegł. Był sam, choć nawoływania jego podkomendnych słychać było całkiem blisko. - Czemuś nie ze swoimi ludźmi?

Jeszcze nie rozumiał. Nawet gdy Kutrzeba - zadowolony, że dobrze przewidział, iż do tunelu wychodzącego w pobliżu siedziby strażników Jewgienija pierwszy przybędzie ich dowódca - rzucił broń i wyciągnął ku niemu ręce do skucia, nie wiedział, o co chodzi.

- C-co ty, bracie?

- Nie będę do ciebie strzelał, Jewgieniju. Kogo miałem dziś zabić, tego zabiłem.

- Ty? T-tyś zabił...?!

- Ja.

- Czemu, na Matkę Tajgę?!

- To nie był prawdziwy Burtowiecki. Każ sobie pokazać ciało, zobaczysz. Po śmierci opuściły je czary i wygląda już inaczej. Opętał mnie upiór niepomszczonego. Kazał go zabić.

- Oszalałeś!

- Kości prawdziwego Burtowieckiego znajdziesz zamurwane w blok cementu i rzucone do studni z martwą wodą na szlaku ku Częstochowie. Wiesz której, czarty wokół niej o północy tańczą, myśleliśmy, że ją jaka czarownica zaklęła. Ale to upiór. Każ sobie okazać ciało, sprawdź studnię, to zrozumiesz.

- Oszalałeś! - Powtórzył Jewgienij, ale już z mniejszym przekonaniem. - Wciąż jesteś opętany? Czy już cię ten upiór opuścił?

- Zemsta dokonana, poszedł.
- To uciekaj!
- Puścisz mnie?
- Życie mi uratowałeś! Dług mam. Nie wiem, czy łżesz, sprawdzę. A teraz uciekaj!
- Nie mogę, sił nie mam. I nogę skrzyłem. Ty mnie puścisz, inni dopadną. Widzieli mnie ludzie we dworze.
- Zabiją cię!
- Jak kto dokonał złego czynu, bo go złe opętało, nie jest tego czynu winny wobec prawa. Wiesz o tym. Skażą mnie może za skłonność ku złemu, bo tylko tacy podlegają opętaniu. Ale za mord nie będę odpowiadał. Skuj mnie, Jewgieniju, nawet lepiej, że ty niż kto inny.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Przystań Carogrodu*

Mirosław zszedł do ogrodu, po którym nie przechadzała się już Olga, wykorzystująca teraz każdą wolną chwilę, by modlić się w cerkwi o odmienienie ojcowskiego serca. Położył dzban piwa pod drzewem i sam usiadł obok, czekając, aż Jewgienij go odnajdzie. Nie musiał czekać długo.

- Gdy cię zobaczyłem tam, pod lasem, jak wysiadasz ze sterowca, myślałem, że już po mnie - oznajmił mu, gdy ochroniarz Jakubowskiego stanął obok. Posiwiął lekko na skroniach, odkąd widzieli się ostatnim razem.

- Może t-ty jesteś przyzwyczajony do zrad, ja nie. -
Jewgienij się nie uśmiechał. Twarz miał zaciętą, gniewną. -
Zresztą, trudno cię rozpoznać. Żeby nie to zimno w oczach,
to może bym i nie poznał. Zmieniłeś ich kolor.

- Usiądź.

- Nie wiem, czy mi się chce obok ciebie siadać. Nie wiem,
czy mi się chce z tobą pić to piwo, co żeś je przyniósł.

- To po co przyszedłeś?

- Żeby się upewnić, że to ty. Widziałem, jak cię wieszają,
widziałem, jak wywożą twojego trupa na nawiedzone
wzgórze. Nawet piekło cię nie chciało?

- Nie umarłem. Siadaj. Należy ci się ode mnie piwo. Nie
pozwoliłeś zabić mojej kobiety.

Gdy w całych Kielcach dowiedziano się o postępkach
Kutrzeby, mieszkańcy miasta przyszli pod jego dom, by
wyrównać rachunki, w takim zakresie, w jakim mogli.
Jewgienij ze swymi ludźmi, czuwający nad Basieńką, wybili
im to z głowy, choć wielu strażników nie rozumiało, czemu
ich dowódca bronił kobiety, którą sami uważali za
zdrajczynię.

- T-to nie jest już twoja kobieta. Wie, żeś zdrajca, że ją
wykorzystałeś. Twoje złoto dała na dom dla sierot.

- Dobra z niej kobieta. Siadaj. Życie ci uratowałem,
pamiętasz?

- D-drogo każesz za to p-płacić. Nie wiem, czy nie za
drogo. A może dług spłacony? Może jakbym cię teraz wydał,
toby cię powiesili? Pan Jakubowski bardzo chce cię dostać.

- Dlatego dostałeś tę pracę, prawda? Bo mnie wtedy złapałeś.

- Nie pokazali mi wtedy ciała. - Jewgienij usiadł wreszcie i nawet pociągnął z dzbana. - P-pochowali je prędko, grobu strzegły duchy i zaklęcia. A z tych kości w betonie nie dało się wiele odczytać. Spaliłem je.

- I dobrze.

- T-to i nie wiem, czy mi wtedy nie skłamałeś.

- Ale nie wydałeś mnie teraz.

- Ciągle jestem ci winien życie. A i ciekawi mnie, czemu pan Jakubowski tak chce cię dopaść. Bo Burtowiecki ani mu swat, ani brat. Chyba że mówiłeś prawdę i to nie był prawdziwy Burtowiecki, ale ktoś inny, kogo Jakubowski znał.

- Więc zainteresowała cię ta sprawa...?

- Nie pokazali mi ciała, to raz. Ciebie skazali bardzo szybko, w ogóle nie poruszając kwestii opętania, to dwa. A jak poszukałem, to się okazało, że rzeczywiście Burtowiecki zaczął się od jakiegoś czasu zachowywać dziwnie. Wezbrała w nim ambicja, zaczął działać ostrzej. Nie wiadomo, skąd zdobył dodatkowe fundusze. Wszystko to mogło świadczyć, że nie kłamałeś. To trzy. Pomyślałem wtedy, że jak cię zabili niewinnie, to winien ci jestem, żeby sprawę zbadać, jak się nadarzy sposobność. Gdy przyszedł do mnie Jakubowski, mówiąc, że zabójca mojego niegdysiejszego pryncypała żyje, postanowiłem skorzystać z oferty i się u niego zatrudnić. Zwłaszcza, że i płaci dobrze.

- To cztery, co?

Tym razem Jewgienij nawet się uśmiechnął.

- Powiesz mi, co tu się dzieje, bracie?

- Powiem. A ty mnie wydasz Jakubowskiemu. Nie, nie. -
Mirośław uniósł ręce w uspokajającym geście, bo Jewgienij
zjeżył się i zawarczał zupełnie po niedźwiedziemu. - Zrobisz
tak, bo ja cię o to proszę! Bracie.

- Z-zawsze wiedziałem, że ty jesteś kimś niezwykłym.
Przyznaj, pewnie szykujesz już jaką nową zasadzkę?

Czwarty

Rozdział 1

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Zalegli w wysokiej trawie. Oparci o położone na bokach konie, mądre jak ludzie i bardziej od nich posłuszne, obserwowali marsz upiorów wędrujących traktem ku granicy. Obok siebie szły wilkołaki, zmory i umęczone dusze, które po przebudzeniu posiadały podgniłe trupie ciała, a czasem nawet i szkielety. Wszystkie je zwerbowała Wieczna Rewolucja i słała na ten ostatni niezależny skrawek Ukrainy, jakby mało tam było krwi przelewanej w przebudzonych wojnach wszystkich stuleci.

- Będzie pięć setek - ocenił niemłody już mężczyzna, łysiejący i słusznej postury.

Nie wyglądał na typowego żołnierza, ale też ich oddział przypominał raczej partyzancką zbieraninę niż regulaminowe wojsko. Kiedyś, całe dekady wcześniej, gdy pojawiali się od razu w cwale, z szablami w rękach, pędząc na zaskoczzonego wroga, było inaczej. Wpadali na tamtych w pełnych barwach, na świeżych koniach i z nowusieńką bronią, jakby ledwo co wykonaną. Teraz posługiwali się zdobycznymi karabinami pochodzącymi z czasów, których

nie rozumieli, w świecie ogarniętym pożogą zrodzoną z ich najgorszych koszmarów. Jedno, co się nie zmieniło, to niegasnąca na Dzikich Polach wojna, taka sama jak zawsze, królująca tam przed wiekami i dziś.

- Moglibyśmy ich dopaść - dodał.

- Waści, widzę, zasmakowała krew - mruknął pułkownik obserwujący wroga przez zdobytą na Rewolucjonistach lornetkę, którą tamci z kolei zabrali jakiemuś niemieckiemu oficerowi. - A to jedynie podjazd. Jakbyśmy go porznęli, toby się o nas dowiedział główny oddział. Pójdziemy za nimi po cichu, może dowiemy się, czego chcą. Duży ostatnio ruch na traktach ku polskiej granicy. Może wojna się szykuje?

- A mnie się widzi, że to co innego. Jakby miała iść wojna, to już by nam ślali wici. Może i spospolitowali się w Rzeczypospolitej hetmani, których, jak powiadają, król teraz i spośród mieszczków wybiera, chociaż sam szlachcic. Jacy by jednak nie byli, o dobre obyczaje wojenne dbają i wiedzą, ileśmy warci. Nie, żadnej wojny wielkiej nie będzie. To prywata.

- Ważka ta prywata, skoro wielkie na nią siły ciągną.

- Albo to my wiemy, jak teraz Rzeczypospolita wygląda? Jacy w niej panowie rządzą? Zawsze u nas możni mieli własne armie i własne wojenki. Mogli na nas spaść wszyscy diabli, zmieniając świat w przedpole piekła, ale to się pewnie nie zmieniło.

- Obyś się waść chociaż ten jeden raz mylił. Dobry to czas na wojnę, gdy się czerwoni między sobą biorą za łby. Tak czy

owak, ruszymy za tym podjazdem. Prywatni czy królewscy ku nam ciągną, może im się przydać nasza pomoc.

- A, to na pewno. - Gruby żołnierz podkreślił węża. - Nie ma i nie będzie takiej wojny, gdzie by żołnierze naszej miary nie zrobili różnicy. Zważ, że nie tylko o sobie mówię, ale o nas wszystkich. Bośmy się tyle lat już nawojowali, że nie ma chyba wojennika, co by się mógł z nami mierzyć na doświadczenie. No, chyba że ten tamten...

- Nie wymawiaj waść jego imienia! Czart jeszcze je usłyszy i przylezie!

- Nie wiadomo, po czyjej stronie by stanął. Nie kocha on czerwonych.

- Kogo by nie wspomógł, czart to czart.

- Może on i czart. Ale czy my inni?

- Jak waść czasem co powiesz... - zachnął się pułkownik. - Inni my, bo od Boga, nie diabła. No, nie bocz się waszmość, żeśmy się nie rzucili roznosić ich na szablach. Poigramy my z nimi. Nawet nie zorientują się, kto ich dopadł.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Napastnicy spadli na nich, ledwie opuścili tereny Rostowów. Zaatakowali nieopodal czegoś, co wydawało się miłym dla oka zagajnikiem, a stanowiło śmiertelną pułapkę.

- Czuję magię! - Zawołała nagle Sara. Burzymur zdążył jeszcze odbezpieczyć przywłaszczony karabin maszynowy, a

zmora w Kutrzebie rozpoczęła śpiew, który miał uchronić ich oboje. Nie na wiele to się jednak zdało. Ziemia wokół wystrzeliła jak od wybuchu i nagle zaroiło się od duchów i czartów. Ktoś wystrzelił. Kula minęła Kutrzebę ledwie o włos, odchyłona mocą Szulera.

- Linie twórz! Linie! - Wrzeszczał do swoich podwładnych Talienin, major dowodzący wysłanymi z nimi żołnierzami Kutuzowa. Należał do ożywieńców wciąż przekonanych o słuszności doktryn wojennych wypracowanych przez wielkiego generała w czasach wojen napoleońskich.

Jego ludzie, przede wszystkim piechota werbowana spośród ożywieńców i poddanych Rostowa, nie byli jeszcze do końca zgrani. Przywrócenie z martwych żołnierze zachowali dawną karność, sprawnie przyjmując wyuczony przed wiekami szyk. Nowi rekruci reagowali równie szybko i równie odruchowo. Tyle że zamiast stawać do szyku, chwyтали za amulety i wykrzykiwali zaklęcia ochronne, osłaniali się różańcami i zbijali w najeżoną od bagnatów, głośną od modlitw kupę. Talienin srożył się, wrzeszczał, ale w panującym zamieszaniu rekruci prawie go nie słyszeli.

Stado wielkich psów wypadło spośród iluzji drzew i opadło Szulera. Pierwsze trzy odtrącił, prawie nie zwracając na nie uwagi. Ale za nimi pojawiły się zaraz następne. Atakowały ze wszystkich stron. Skakały Szulerowi do gardła, szarpały go za ręce i wskakiwały na kark, by wreszcie obalić go na ziemię i przykryć sobą całego.

Bóg zaryczał i nagle wokół niego zapadła cisza. Choć psy

wciąż warczały i szczerkały, z ich pysków nie wydobywał się żaden dźwięk. Potem jakby przezroczysty bąbel powietrza narósł wokół kłębowiska psich ciał i zaraz potężna siła roztrąciła je na boki. Szuler wstał natychmiast, ale tych kilka sekund wystarczyło, by napastnicy osiągnęli swój cel.

Wielkie ptaki, nieprzypominające Kutrzenie żadnego znanego mu gatunku, krążyły nad polem walki. Gdy psy odwróciły uwagę Szulera, opadły wielobarwną chmurą nad Wandę. Przez sekundę można było zobaczyć pomiędzy nimi karła w śmiesznie wielkiej czapie, dosiadającego potężnego latającego wilka. Chwytał dziewczynę za rękę i wciągnął ją pomiędzy ptaki.

Prowadzeni przez Jewgienija ludzie Jakubowskiego wpadli między walczących. Nie odważyli się strzelać, toteż okładali szablami i pałkami psy oraz czarty. Te szybko straciły zapach do walki i czmychały, jak mogły najprędzej. Burzymur pociągnął za nimi serią. Grabiński pruć z rewolwerów do ulatujących ptaków i jak zwykle trafiał prawie za każdym strzałem. Stado było jednak zbyt wielkie, by poważnie mu zagrozili.

- Wanda! - Wrzasnął Szuler, od razu orientując się, co zaszło. - Porwali Wandę!

Kutrzeba dobił próbującego się odczołgać wielkiego psa. Rozglądął się, oceniając straty. Iluzja lasu już się rozwiewała, choć wciąż widoczne były na wpół przejrzyste pnie drzew, słysząc było wyczarowany ptasi śpiew i echa nawoływań leśnych zwierząt. Jasiek płakał nad dwoma

zabitymi psami, które szczepiły się w bratobójczej walce, gdy dotknęło je przekleństwo rzucone przez Sarę.

Żaden z żołnierzy Talienina nie zginął, także ludzie Jakubowskiego byli nietknięci. Ktoś jednak rozplątał gardło drugiemu oficerowi „Batorego”, być może próbując dotrzeć do Marsjanina. Nowakowski siedział wyprostowany na koniu w swoim specjalnym siodle. Trzymał po szabli w każdej z czterech rąk, ostrza spływały krwią. Czus próbował sobie opatrzeć zwisające nienaturalnie lewe ramię.

- Mioczka - rzucił Marsjanin w odpowiedzi na pytające spojrzenie Kutrzeby. - Tym razem go widziałem.

Wyjaśniło się, czemu nikt nie atakował ich przez ostatnie dni, gdy odpoczywali u Rostowów. Nawiedzeniec nie ruszył za Kutrzebą ani nie przyczał się wokół Przystani Carogrodu, ale wybrał się poszukać sojuszników. Na Dzikich Polach mógł liczyć na spotkanie wielu zagubionych dusz albo uciekinierów z bardziej cywilizowanych krajów, czy nawet z Rewolucji.

- Stać go na takie rzeczy? - Kutrzeba wskazał rozwiewającą się iluzję.

- Możliwe. - Marsjanin zastanawiał się przez chwilę. - Ale zorganizowanie aż takiej zasadzki, uśpienie czujności czarownika Jakubowskiego... To go przerasta. Związał się z kimś potężnym.

Senatorski mag, który kazał nazywać siebie Janem i nie zdradził swej tożsamości nie tylko tymczasowym sojusznikom, ale nawet Jewgienijowi, podszedł, by upewnić

się, że Marsjaninowi nic się nie stało. Wędrowali z Jakubowskim, jak pozostali, konno. Senator niechętnie zgodził się odesłać sterowiec, przyznając, że nadto przyciągałby uwagę i mógł ostrzec tych, których ścigali. Nakazał nawet kapitanowi „Chrobrego” miotać się nad Dzikimi Polami, jakby wciąż szukał jakichkolwiek tropów.

- Wielka magia. - Czarodziej potwierdził przypuszczenia Nowakowskiego. - Nie jakieś oparte na przyrodzonych mocach czary upiorów, ale wielkie, stare zaklęcia.

- A wszystko po to, by dorwać Wandę - mruknął Kutrzeba, zerkając na zbliżającego się ku nim Szulera. Bóg nie przypominał już siwobrodego starca żyjącego spokojnie pod Kopcem Wandy. Zmroczniał i spotężniał. Spod przymkniętych powiek jaśniało krwawe światło. Wyglądał prawie jak wtedy, gdy Kutrzeba spotkał go po raz pierwszy, gdy jeszcze nie spętał go zaklęciem i nowym imieniem. Wcielenie gniewu.

Czarownik uniósł krzaczaste brwi.

- Po co mieliby...

- Wszyscy won - wywarczał Szuler. - Nie przeszkadzać nam!

Chwycił Kutrzebę za ramię i odciągnął od pozostałych na tyle daleko, by nie było słychać, o czym rozmawiają. Ścisząc głos do wytłumionego warkotu, oświadczył, że muszą odbić dziewczynę. Nie pytał, nie prosił, ale po raz pierwszy, odkąd się spotkali, rozkazywał. Wciąż trzymał Kutrzebę za ramię. Powieki drżały mu, jakby zaciskał je

kurczowo, byle tylko nie odsłonić oczu.

- Ruszamy za Wandą!

„Mam swoją misję” - chciał odpowiedzieć Kutrzeba i przypomnieć, że nie ma takiej siły, która złamałaby więzy, jakie nałożył na boga. Nie powiedział jednak nic, bo powstrzymała go zmora. To zdumiało go tak, że na moment zapomniał i o Szulerze, i o Wandzie.

„Coś powiedziała?”.

Uratuj ją, Mirku. Proszę.

- Wiem, co powiesz. - Szuler nadal starał się zapanować nad sobą. - Że masz swoją misję, a ja jestem ci winny wierność. Ale jeśli mi nie pomożesz, to... to...

- Zamknij się, Szuler - Kutrzeba mówił spokojnie, jak zwykle, gdy stawał wobec czegoś nieznanego i potencjalnie niebezpiecznego. Gdy tak naprawdę czuł poważny niepokój, niemal strach, i gdy równocześnie zastanawiał się gorączkowo, jak wykorzystać tę nową sytuację na własną korzyść. - Zamknij się, myślę.

„Jak ty możesz prosić, żebym porzucił misję? Choćby na chwilę?”

Nie wiem. Nie rozumiem tego, co czuję. Może intuicyjnie wyczuwam, że ta dziewczyna jest ważna dla nas?

- Mirku, do cholery, każda sekunda...

- Zamknij się, Szuler!

„Nie podoba mi się to, co się z tobą dzieje. Zmieniasz się”.

Oboje się zmieniamy, Mirku. Uratuj ją.

„Jeśli masz rację, trzeba znaleźć sposób, by to

powstrzymać”.

- Posłuchaj, na wszystkich...

- Szuler, poczekaj tu na mnie. Uratujemy tę twoją małą.

Nic nie mów. Poczekaj.

- Nie masz pojęcia...

- Nie dziękuj mi, Szuler. Nigdy mi nie dziękuj.

Nowakowski, Jakubowski i Talienin, zastanawiający się wspólnie, co robić dalej, zamilkli na widok Kutrzeby.

- Pan Kutrzeba to poniekąd specjalista od tych ziem - tłumaczył po raz kolejny Marsjanin.

Po raz pierwszy przedstawił go Jakubowskiemu, gdy zgodzili się, że ten jeden raz połączyły ich interesy, bo żadne korporacyjne zwady nie mogą równać się z wrogością wobec Rewolucji. Jakubowski podał wtedy dłoń Kutrzebie, a ten uścisnął ją bez wahania, choć zmora krzyczała, by wykorzystał okazję i zabił go natychmiast. Obiecywała, że doda mu sił i pomoże w ucieczce, że z pomocą Szulera poradzi sobie nawet z czarodziejem. Później przeprosiła za ten napad szału. Przeprosiny zaniepokoiły go bardziej niż tamta furia. Wściekłość stanowiła jej naturę. Miała być bezlitosna, istniała po to, by nie pozwolić wygasnąć jego gniewowi. Nie powinna nawet pojmować idei przeprosin, zbyt blisko im było do wybaczenia. A jednak.

Słyszając zapewnienia Marsjanina, Talienin znów wydał usta w wyrazie pogardy. Według własnego przekonania znał się na Dzikich Polach lepiej od polskiego najemnika i podkreślał to, ilekroć miał okazję. Ponadto mimo śmierci nie wyleczył

się z nienawiści do „polskich zdrajców i buntowników”, zrodzonej podczas dawno minionych wojen.

- Jak pan sądzi, czy to był podjazd Rewolucji?

- Nie wiem, kto to był. Wiem, że chciał Wandy. Ledwie ją porwano, a atakujący uciekli.

Talienin prychnął. Otwierał usta, zapewne, by wyśmiać tak absurdalny pomysł, ale Jakubowski mu na to nie pozwolił.

- Dlaczego pan tak uważa? - Zapytał. - Kim jest ta dziewczyna?

„No właśnie, kim?” - zastanowił się Kutrzeba. Reakcja Szulera była wytłumaczalna, porwano mu córkę. Ale czemu ją porwano? Czemu Mioczka namówił kogoś na taki atak, by uprowadzić dziewczynę, może nie najzwyczajniejszą pod słońcem, ale przecież nie jakoś szczególnie ważną? Może chciał szantażować Szulera? Albo oddzielić Kutrzebę od wyprawy? Jeśli tak, osiągnął najpewniej swój cel. Czy to mogło jednak oznaczać, że za całą akcją stał ów Polak na służbie Rewolucji, o którym mówił Rostow? Czy tym człowiekiem mógł być kolejny cel z jego listy? To wydało się Kutrzebie całkiem prawdopodobne. Rewolucja wyglądała na niezłą, choć paskudną kryjówkę. W takim razie, podejmując pościg, paradoksalnie nie porzucałby misji.

- To w tej chwili nieistotne - oświadczył. - Szuler i ja ruszamy za dziewczyną.

- Nie może pan! - Zaprotestował Marsjanin. - Mamy umowę!

- Nie łamię jej. A właściwie pan zdecyduje, czy ją łamię.

Proszę popatrzeć: nie zostawiam pana samego. Co więcej, przyrzekam, że dołączę do was, jeśli przeżyję. A i wy będziecie bezpieczniejsi, jeśli wyeliminuję tych, którzy nas dziś zaatakowali. Zabieram Jaśka. Dołączymy do was, gdy odzyskamy dziewczynę. Czy to jest zdrada?

Marsjanin zastanawiał się długo nad odpowiedzią. Wreszcie westchnął nieco nazbyt teatralnie i wyciągnął ku Kutrzebie jedną ze swych prawych dłoni.

- Zatem powodzenia. Widzę, że nie odwiode pana od jego zamiaru, oby nie samobójczego. Jeśli przyjdzie panu walczyć z Mioczką... - zawahał się.

- Zabiję go. Jest zbyt niebezpieczny.

- Tak będzie chyba najlepiej, również dla niego. Wie pan, wydaje mi się, że on cierpi po opuszczeniu „Batorego”. Dlatego oszalał.

Odchodząc, Kutrzeba słyszał jeszcze, jak Talienin wyraża opinię na temat najemników niegodnych zaufania. Major niby mimochodem wspomniał o księciu Czartoryskim, nadużywającym zaufania wielkiego Cara Aleksandra, choć ten ofiarował mu stanowisko ministra. Nie pierwszy raz któryś z ożywionych oficerów Kutuzowa, żyjących wciąż wspomnieniami wojny z Napoleonem, starał się przekonać Nowakowskiego, że Marsjanie najlepiej by zrobili, wiążąc się z „prawdziwą Rosją”, by wspólnie wypalić czerwoną zarazę, a później odbudować święty carski raj.

Oczywiście Sara i Burzymur uparli się, że gdzie Jasiek, tam i oni. Zadowolony, że jego przewidywania co do tej pary

spełniły się, Kutrzeba nakazał im tylko uzyskać pozwolenie Nowakowskiego i zmusił do przysięgi, że na czas poszukiwań Wandy będą mu posłuszni. Wielkolud dopiero za trzecim razem wypowiedział przyrzeczenie wyraźnie i bez zastrzeżeń.

Zabrali ze sobą nieco zapasów i ruszyli śladem chmury ptaków unoszących Mioczkę, nieznanego karła i Wandę. Nie ujechali daleko, gdy dogonił ich Grabiński.

- Z Marsjaninem byłoby ci wygodniej - wypomniał mu Kutrzeba.

- Musiałem chyba wytrzeźwieć, że z wami jadę! - Grabiński uśmiechnął się krzywo. - Ale jakoś polubiłem tę dziewczynę. No i pomyślałem, że przyda wam się towarzystwo kogoś rozsądnego.

Kutrzeba nie przegapił porozumiewawczych spojrzeń wymienionych między Sarą a krocącym obok niej Burzymurem, gdy Grabiński mówił o sympatii do Wandy. Dziwnym trafem wszyscy zdawali się ją lubić. Owszem, była z niej miła, wesoła pannica. Ale czemu Sara i Burzymur tak ochoczo zgodzili się wyruszyć z Kutrzebą, zamiast namawiać Jaśka do nieposłuszeństwa, jak robili to dotąd? Sprawiali wrażenie, jakby gotowi byli zgłosić się na ochotnika, nawet gdyby Kutrzeba Jaśka ze sobą nie zabierał. Nie tylko oni zresztą. Mirosław zauważył poruszenie wśród ożywieńców i nawróconych wilkołaków przydzielonych im przez Rostowa. Nawet mag Jakubowskiego zaproponował swemu pryncypałowi, że mógłby wziąć udział w pościgu.

Podjechał do wyprzedzającego pozostałych Szulera. Bóg zagoniłby konia na śmierć, gdyby mu na to pozwolili.

- No dobra, Szuler. Powiedz mi, kim tak naprawdę jest ta dziewczyna.

*luty 1970 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
piąty rok Kresu, osiemnasty rok Pokoju, Kraków*

- Nie wiem, kim jesteś i oczywiście nie próbowałem tego dochodzić. Ale chciałbym ci coś opowiedzieć.

Tym razem Korycki wydał się Kutrzebie szczuplejszy. Zaniepokoiła go ta zmiana, za którą być może szła poprawa kondycji fizycznej. Co mogło zmobilizować byłego szpiega?

Czy żona od niego odeszła? Nie dostrzegł jej za barem.

- Dziecko - wyjaśnił Korycki, obserwujący swego gościa z wprawą zawodowego podglądacza, potrafiącego wykradać ludziom sekrety tylko spoglądając im w oczy. - Niech ci tak gały nie biegają. Dzieciak mi się urodził. Dziewczynka. Bez ogona. Ale i tak nie pozwoliłem jej dać na imię „Basia”. Dostała Magdalena, po mojej matce. Czy mogę teraz przejść do rzeczy?

- Przyjmij wpierw gratulację, tato.

- Szczerze dziękuję. Udała mi się mała. Obie moje panie mi się udały. - Twarz Koryckiego pojaśniała na moment od dumy, ale zaraz powrócił na nią nieodłączny cień. - Śmierć chadza twoimi ścieżkami, Mirku. Obficie ją karmisz. Żaden z ciebie materiał na szpiega. Szpiedzy powinni być cisi,

niewidzialni, wiesz?

- Chciałeś mi coś opowiedzieć podobno.

- Nigdy nie pozwolisz się człowiekowi nacieszyć jego mądrością, co? Ale dobrze. Słuchaj. Żyło sobie kiedyś sześciu studentów. Przyjechali do Krakowa z różnych części kraju, żeby zdobyć tu nie tylko wiedzę, ale i znajomości. Na początek poznali się głównie między sobą, bo prawdę mówiąc, były z nich gołodupce. Gadali ze wszystkimi, o wszystko się rozpytywali. Tutejsi, potomkowie starych krakowskich rodzin, traktowali ich jak pariasów. Dzieci z bogatych rodzin też nimi gardziły. Ale oni wiedzieli swoje i odnaleźli się nawzajem, bo przyciągały ich do siebie rozbuchane ambicje. Nadążasz?

- Nie wiem, czy chcę.

- Chcesz. No więc siedli któregoś dnia, pewnie przy najtańszym piwie, w knajpie gorszej nawet niż ta. I jeden powiedział coś w rodzaju: „Ja nie mam nic, ty nie masz nic, zbudujemy razem potęgę”. Pozostali się zgodzili, bo już się trochę znali i wiedzieli, że ich głównym kapitałem zakładowym była buta. Nie mieli skrupułów. Byli gotowi przekupywać, kraść i zastraszać. Aż któregoś dnia kogoś zabili. Może przez przypadek, może celowo? Może w obronie własnej, bo ścigały ich bandziory jakiegoś lichwiarza? W każdym razie przekroczyli Rubikon. Wiesz, co to Rubikon, Mirku?

- Taka Wisła, tylko bardziej starożytna.

- Wszystkie rzeki są w tym samym wieku, Mirku, więc

pieprzysz.

- Ale nie wszystkie legendy.

- Tego nie wiem. Rubikon to takie zaklęcie z powiedzenia o przekraczaniu granic, a nie żadna rzeka. W każdym razie przekroczyli go i zaczęło być im ostatecznie wszystko jedno, jakimi sposobami się posługują. A jak już zabili więcej ludzi, tym razem z premedytacją, w sposób planowy, i zobaczyli, że nikt ich na tym nie złapał, nabrali pewności, że są lepsi niż reszta świata. I wycięli numer życia. Wykoleili pociąg i zabili jednym ruchem ponad czterysta osób. Czyli świry, nie sądzisz, Mirku?

Nie odpowiedział.

- Ja sądziłem, ale już nie sądzę. Bo dowiedziałem się o kręgu o promieniu trzech kilometrów, namalowanym krwią wokół miejsca katastrofy pociągu. Wiesz, ile potrzeba krwi, żeby coś takiego namalować? Powiem ci, że dużo. Tak dużo, że nawet użycie świńskiej krwi zostawia ślad. Bo tę świńską też trzeba jakoś zdobyć. A skupowanie jej, choćby na raty, choćby przez podstawionych ludzi i choćby w wielu wsiach, trudno ukryć. Sześciu łajdaków zabiło ponad czterysta osób, żeby złożyć ofiarę jakiemuś łakomemu śmierci bóstwu. Wiesz, jak się to nazywa? Oni nazwali to planowaniem. Ja zbrodnią. Poniekąd zbrodnią doskonałą, bo znowu nikt ich nie przyłapał. Oprócz jednego faceta.

- Ciebie?

- Ja byłem drugim mistrzem dedukcji. Sześćdziesiąt dwie osoby przeżyły katastrofę. Jedna z nich poznała prawdę.

- Ta historia ma jakiś morał?

- Że wiedza nas wzbogaca. Bo widzisz, zastanawiałem się, czemu jeden mój znajomy, rozsądny facet, zdolny, przebiegły i odpowiednio bezwzględny, nie jest jeszcze panem, mającym wszystko w dupie milionerem, ale ciągle robi za parobka u takich jak ja. Co pewien czas zarabia grubą kasę. Nic nie wiem, żeby przepuszczał ją na dziwki albo karty czy wóde, ale pieniądze się go nie trzymają. Za to ciągle pakuje się w jakieś awantury. To miałoby sens, gdyby był świrem, ale nie. Gość stąpa po ziemi aż za twardo. Więc musi go napędzać coś, o czym nie wiem. Zadałem sobie kilka pytań: co napędzałoby mnie? Kobieta, to pierwsze przyszło mi do głowy. I nagle spadło na mnie: co bym zrobił, gdyby ktoś skrzywdził moją duszkę? Mówię ci, Mirku, aż mi się zimno zrobiło. Jakby mnie wrzucili do przerębli. I wtedy zrozumiałem, że w bajkach najsilniejsza ze wszystkiego jest nie forsa czy władza, ale miłość. A w opowieściach o tych, którym miłość odebrano, najsilniejsza jest zemsta. Ten mój znajomy to mściciel.

- Cały czas czekam na morał.

- Cały czas to się rozglądasz, jakbyś oczekiwał, że za chwilę ci żule, co to ich pierwszy raz widzisz, okażą się zabójcami, a ktoś przyczajony za drzwiami wykopie je z hukiem, żeby wrzucić tu granaty, przeciągnąć po całym wnętrzu serią z rozpylacza i dopiero potem zacząć zadawać pytania. Wiesz, Mirku, czemu odszedłem ze służby?

- Nie odszedłem.

- Hej?

- Nie odchodzi się z takiej służby, panie pułkowniku. Chyba że ostatecznie.

- Ty mnie chyba obrażasz, albo co. Odszedłem ze służby, bo mi się znudziło kłanianie gnidom. A gnidy mają ten przedziwny talent, że wspinają się po stołkach szybciej i sprawniej od innych i zawsze lądują nad tobą. Mam głupią słabość, Mirku. Zaczynałem jako gliniarz, i ten tępy glina ciągle we mnie siedzi. Zbrodnia to zbrodnia. Owszem, czasem można ją wykorzystać. - Wzruszył ramionami. - Święty nie jestem. Zresztą nasza robota z nikogo nie robi świętego. Ale jedno wiem. Jeśli pozwolisz robactwu żreć i rosnąć, to nagle okaże się, że nie ma nic poza robactwem i jego prawami.

- Tyś się chyba upił.

- A tyś chyba zgłupiał. Bo nie słuchasz. Niby skąd znam dzieje tamtych sześciu? Myślisz, że wymyśliłem sobie całą tę historię? Znam prawdziwe nazwiska całej szóstki.

Nagle świat przestał dla Kutrzeby istnieć. Został tylko jeden stolik w byle jakiej knajpie przy ulicy Kociej i jeden mężczyzna po drugiej stronie stolika.

- Jak ich odnalazłeś?

- Po śladach świńskiej krwi - zarechotał Korycki. - Mówiłem, ale nie słuchałeś. Albo słuchałeś, ale nie słyszałeś tego, co ważne. Tak wiele krwi nie da się ukryć. Zresztą, oni o tym nawet nie pomyśleli. Do głowy im nie przyszło, że ktoś może pytać o świnie kupowane w tamtym czasie masowo w

pobliskich wsiach. Wielcy gracze, którzy obecnie żonglują losami pewnie i całych narodów, poślizgnęli się na świńskiej krwi. Tyle że to żaden dowód dla prawa, Mirku.

- Prawo może sobie...

- Ano tak właśnie pomyślałem. Że i tamten mój znajomy uznałby, że w tej sprawie prawo może sobie wsadzić gdzieś swoje zasady. - Korycki podsunął Kutrzebie złożoną kartkę papieru. - Mam dla ciebie robotę, Mirku. Masz tu dane faceta z Gdańska. Potrzebuję nigdy więcej o nim nie usłyszeć.

- Awansowałeś mnie na kata?

- Facet, o którym ci opowiadałem, wiesz, ten mściciel, skończył na stryczku za zamordowanie jednego z odkrytej przeze mnie szóstki. Do twarzy ci w apaszcze, swoją drogą. Trochę przypominasz w niej chłopców, co to nie zaglądają damom pod spódnice, ale może to i lepiej? W każdym razie tamten gość wiedział, że trzeba rozdeptywać gnidy, by za bardzo nie urosły. I ten gość w Gdańsku to taka właśnie gnida. Też nie zagląda damom pod spódnice. Woli małe dziewczynki. Ale wiesz, to szycha w Hanzie, wszystko ujdzie mu na sucho. No, chyba że jednak nie.

- A takiej wiedzy nie można lepiej wykorzystać? Wiesz, szantażyk we właściwym momencie... Takie tam stare, sprawdzone sposoby.

- Wspominałem, że siedzi we mnie głupi, stary glina?

- Więc jednak postanowiłeś zostać świętym?

- Powiem tak: nie tylko ja. Przydad się na coś, Mirku, a

wiedza cię oświeci.

Rozdział 2

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Nie wierzę. - Kutrzeba po raz któryś z rzędu pokręcił głową.

Zatrzymali się na noc, choć Szuler nalegał, by jechać dalej. Zapewniał, że nie jest zmęczony i pewnie nie kłamał.

- Nie pozwolę ci zajeździć koni - ofuknął go Kutrzeba. - Myśl rozsądnie!

Chcieli usiąść z dala od pozostałych, ale tamci im nie pozwolili.

- My i tak wszystko wiemy - oświadczyła Sara. - Jasiek nam powiedział.

Czerwony na twarzy z przejęcia chłopak tylko pokiwał głową. Nie patrzył Kutrzebie w oczy i bał się odezwać.

- A ten skąd wiedział? - Zdumiał się Szuler.

- Pewnie jakieś muchy nas podsłuchiwały. - Kutrzeba uśmiechnął się kwaśno. - One powtórzyły Jaśkowi, a Jasiek przyjaciołom.

- Mielście, panie, miłą gąsieniczkę na ramieniu - bąknął Jasiek. - Jak usłyszałem, że o paniencie Wandzie rozmawiacie, poprosiłem, żeby was posłuchała. Nie sroźcie

się na mnie. Ja ją przecież wyruszyłem ratować. A nie wiedziałem wtedy, że ona jest...

Urwał.

Burzymur rozpałił rachityczne ognisko, nad którym podgrzali posiłek z zabranych zapasów. Sara przyprawiła go po swojemu i nawet Kutrzeba musiał przyznać, że znała się na ziołach. Jedli w milczeniu, choć Kutrzebie wydawało się, że Jasiek rozmawiał z jakąś ćmą. Miał nadzieję, że wypytywał ją o sytuację na Dzikich Polach, ale nie chciało mu się odzywać do chłopaka, by przypominać mu o obowiązkach. Prawdę mówiąc, nie chciało mu się rozmawiać z nikim.

Czuł złość na Szulera, że ten znów dał się porwać jakiejś utopi. Z jakiego powodu bóg żywił tak idealistyczne zapędy? Czy pozostały w nim echa modlitw wiernych spragnionych boga miłosiernego z laboratorium, w którym go stworzono? A może potrzeba uczynienia świata lepszym stanowiła efekt uboczny jego związania z Kutrzebą? Różnie bywało z magią.

- Córka bestii i legendy, kim ona może zostać? - Opowiadał mu Szuler wcześniej, na drodze. - Każde z nas oddało jej część siebie. Gdyśmy ją znaleźli, nie było w niej już prawie życia. Strzęp dziecka, Mirku. Dwuletnia dziewczynka, cała we krwi, ledwie żywa. Szedłem z pielgrzymami, pragnącymi pokłonić się Jasnej Pani, gdy spadli na nas czarni z Mogilan. Pozabijałem, ilu mogłem, resztę przepędziłem. Przy jednym trupie znalazłem to dziecko. Pewnie je uprowadzili, może na żer, może by przemienić w podobną sobie? Strzęp dziecka. Prawie nie oddychała, a w oczach

miała tylko pustkę. Myślałem, że nie dożyje, ale wytrwała i ofiarowałem ją Wandzie. „Jest w niej życie, ale nie ma już duszy” – powiedziała. „Jeśli chcesz, by żyła, musimy jej oddać część swojego ducha. Ale zastanów się nad tym, Szulerze Losu, bo żadne z nas nie może przewidzieć, co narodzi się z takiego pomieszania”.

- Więc tamci porwali ją, bo dostrzegli w niej cząstkę Jasnej Pani? - Próbował odgadnąć Kutrzeba. - I mogą ją wykorzystać przeciw córce Kraka?

- Nic nie rozumiesz, Mirku. Tu nie chodzi o Jasną Panią, ale o naszą Wandzię. O to, kim może się stać.

- Masz rację, nic nie rozumiem - zdenerwował się Kutrzeba. A gdy Szuler wyjaśnił mu wszystko, najpierw go wyśmiał, a potem powtarzał tylko, że nie wierzy, by jego patron okazał się tak naiwny.

Teraz, przy ognisku, musiał jeszcze zmagać się z wiarą trzeciego syna, cygańskiej czarownicy i wielkoluda, bo oni nie mieli żadnych wątpliwości. Tylko Grabiński zdawał się popierać Kutrzebę, choć nie wyraził tego wprost. Usiadł przy ogniu tak, by trzymać się z dala od pozostałych. Pociągał z butelki zaskakująco małe łyki czarciego mleka i milczał, co niepokoiło Kutrzebę. Jeszcze tego brakowało, by i on się nawrócił!

I dopiero wtedy uświadomił sobie, że nawet jeśli Szuler jeszcze nie miał racji, nie trzeba było wiele, by to, w co wierzył, wkrótce stało się prawdą. W świecie, w którym wiara stanowiła namacalną energię, wiele było możliwe.

- Nie sądzisz, że może oczekujecie od niej zbyt dużo? - Zapytał. Po minie Szulera poznał, że trafił. Bóg mógł być naiwnym idealistą marzącym o patronce bogów, prawdziwej bogini ożywianej i wzmacnianej nie wiarą ludzi, lecz istot nadnaturalnych. Ale nie był głupcem.

- Popatrz, co ze światem zrobiła wiara Marsjan i ludzi - odrzekł bóg. - Jaka to potężna siła. A teraz pomyśl, co mogłaby osiągnąć skumulowana wiara bogów. Gdyby tylko mieli w co wierzyć.

- Wiara bogów czy rodziców? Nie obiecujesz sobie zbyt wiele?

- Nie, właśnie bogów. Normalni ludzie tego nie dostrzegają, ale inne istoty i ci dotknięci mocą już tak. Zobacz, jak patrzy na moją córuchnę Jasiek, jak Sara, jak Burzymur, jak patrzył na nią Mioczka. Oni widzieli, że jest kimś więcej.

- No, ja też coś tam w małej widziałem. Nie, żeby od razu boginię bogów, ale...

- Naprawdę myślisz, że jesteś jeszcze człowiekiem? - Wpadł mu w słowo Szuler. - Zresztą, nawet gdybyś ty pozostał ślepy, Ona, ta w tobie, i tak modliłaby się do córuchny. Musiałbyś to poczuć.

- Nie wierzę! - Uparł się Kutrzeba. Ale przypominał sobie, że dziwiło go, jak Wanda łatwo jednała sobie nieludzkie istoty. Nawet mag Jakubowskiego zdawał się być pod jej urokiem. Nawet zmora.

Zaczął się też zastanawiać, jak mógłby wykorzystać taką

moc, gdyby jakimś cudem okazała się prawdziwa. I może właśnie ten odruch nigdy nieodpoczywającego stratega kazał mu zapytać:

- Pamiętaj, że na tym świecie mesjasze kończą zwykle kiepsko? Naprawdę chcesz skazać ją na ratowanie świata?

*maj 1968 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju, Wieczna
Rewolucja*

Pochowali Chrystusa w ogniu zmieniającym splugawioną cerkiew w stos pogrzebowy.

Gdyby ktoś spytał Kutrzebę, czemu zdecydował się wydobyć zasmuconego drewnianego Zbawiciela z upodlenia, na jakie skazali go komisarze, nie potrafiłby odpowiedzieć. Zabili z Szulerem klientów burdelu, w jaki zmieniono cerkiew, i rozpędzili państwowe dziwki, a potem spalili wszystko, wiedzeni niezrozumiałym odruchem. Być może zbyt dużo zobaczyli przez dwa tygodnie wędrowania po Rewolucji i musieli odreagować wzbierającą w nich zgrozę, by nie oszaleć. Działali w milczeniu, jakby wiodła ich obca wola. A gdy było po wszystkim, długo wpatrywali się w płomienie.

- Ogień przyciągnie patrole - odezwał się wreszcie Szuler.

- Niech przychodzą - warknął Kutrzeba. - Niech wszyscy się tu zleżą!

To przestraszona zhora go otrzeźwiła. Gdy zwyczajne

poszarpywanie duszy na nic się nie zdało, pojawiła się obok człowieka i trzasnęła go z rozmachem w twarz.

- Jeden wart drugiego! - Wysyczała - Dwaj wariaci! Po bogu bym się tego mogła spodziewać, ale ty? Ty masz po co żyć!

Kutrzeba nie odzywał się, zdumiony jej atakiem. Powoli wracało mu opanowanie.

- Za mocno powiedziane, to z tym celem życia - splunął. - Ale wciąż nie mam po co umierać.

- Znaleźli się, chrześcijanie! - Prychnęła, ukrywając się w nim z powrotem.

Rycerze, darowali białogłowom! - Nabijała się z nich jeszcze długo po tym, jak oddalili się od pogorzelska. Kutrzeba nie uciszał jej. Uznał, że należała się im ta bura. Wieczna Rewolucja otępiła ich obu. Przyczyniło się do tego również zmęczenie. Na ziemiach pod czerwonym terrorem musieli się mieć stale na baczności, bo każdy mógł zdradzić i naprowadzić na ich trop czerwonoarmistów. Nawet gdy nocowali w nawiedzonych chałupach w wymarłych wsiach, lękali się upiorów pomarłych z głodu chłopów. Nie dlatego, że mogły ich zaatakować, lecz dlatego, że pewnie by na nich doniosły. Poddane trwającej dekady indoktrynacji dusze potrafiły ulec natrętnym oficerom politycznym i słać Partię, która zamordowała ich i doprowadziła do głodowej śmierci ich rodziny. Pod czerwonym sztandarem kaci często gromadzili się obok ofiar.

Wędrując przez Wieczną Rewolucję, daremnie szukali z

Szulerem choćby śladu opozycji. Istniały wprawdzie bandy sierot mordujące nierozważnych niezależnie od woli komisarzy, jednak nawet one oddawały cześć Wielkim Wodzom Rewolucji, mieszkającym w piramidzie wzniesionej w centrum Moskwy. Nikt nie wątpił w Rewolucję, wszyscy modlili się do czerwonej gwiazdy. Przyglądając się ziemiom czerwonego terroru, Kutrzeba zrozumiał, jakimi mrzonkami były marzenia Rostowa o przebudzeniu udręczonego ludu i jak daremne było wypuszczanie jeńców w nadziei, że łaskawość hrabiego przebudzi ich i nawróci. Nikt, kto nie czcił z całego serca Rewolucji, nie mógł zbyt długo przeżyć na jej ziemiach.

Im udawało się chyba tylko dzięki pomocy Szulera. Ale siły boga wyczerpywały się aż nazbyt widocznie. Garbił się ku ziemi, czasem zapadał w sen na warcie. Mamrotał coś do siebie, a przysłuchujący się mu Kutrzeba z niepokojem odkrywał, że jego patron toczy ponownie ich dyskusje z Przystani Carogrodu. Któregoś dnia przystanęli przed ogromnym, sięgającym chmur pomnikiem Wodzów Rewolucji. Szuler opadł przed nim na kolana i Kutrzeba zrozumiał, że muszą zawracać, póki jeszcze mają szansę.

Wędrowali pod przebraniem. Kutrzeba zabił dwóch komisarzy podróżujących bez obstawy. Na terenach Rewolucji komisarze nie musieli obawiać się napaści, stanowiąc wcielenie woli władzy, dla obywateli czerwonego kraju byli niczym bogowie. Kutrzebę prawie rozbawiło zdumienie śmiertelnie niebezpiecznych demonów, gdy

zaatakowali je z Szulerem. Pewni swej wszechwładzy okazali się niemal bezbronni. Ostrożnie obdarł ich z czarnych skór i uszył z nich płaszcze, pod którymi mogli z Szulerem uchodzić za demony czerwonej gwiazdy, o ile nikt nie przyglądał im się zbyt uważnie. W okolicach kołchozów nie mieli wielu powodów do obaw, ludzie pochylali głowy na sam widok komisarzy. Unikali tylko prawdziwych demonów; te pomagał szukać Szuler, póki jeszcze miał siły.

Odwiedziny w kołchozie wstrząsnęły Kutrzebą niemal równie mocno jak bogiem. Człowiekowi wydawało się, że trafił do twierdzy zamieszkaanej przez żywe trupy. Równymi, przecinającymi się wyłącznie pod kątem prostym uliczkami wsi złożonej z identycznych betonowych budynków wędrowali ospali, milczący ludzie, w których daremnie byłoby doszukiwać się śladu jakichkolwiek uczuć. Początkowo sądził, że skrywali je przed nadzorcami rekrutującymi się spośród ludzi i demonów. Zaryzykował jednak nocleg w kołchozie, dzięki czemu rankiem odkrył przyczynę nienaturalnego spokoju mieszkańców. Obdarto ich z imion, tak jak i wieś pozbawiona została nazwy. Ich numery przyszyto na piersiach parcianych kombinezonów, numer wsi wyryto na jedynej bramie okalającego kołchoz muru.

Centralną część osady zajmował Dom Partii, różniący się od pozostałych budynków jedynie rozmiarem. W trzewia tego ogromnego, pozbawionego okien betonowego sześcianu jeszcze przed świtem spędzano wszystkich mieszkańców. Ponieważ część komisarzy także dawała się połknąć

budynkowi, wiedziony ciekawością Kutrzeba wraz z towarzyszącym mu bogiem dyskretnie dołączył do grupy. Przez pogrążony w półmroku korytarz, oświetlany jedynie kilkunastoma lampkami naftowymi o czerwonych szklach, popędzono ich ku sali opatrzonej napisem „Kino”. Inaczej jednak niż w znanych Kutrzebie kinach, w tym nie było foteli. Ludzie ustawiali się w karnych szeregach przed zajmującym całą ścianę ekranem.

Czarno-biały film, który wyświetlono, nie miał fabuły, Kutrzeba nie dostrzegął w nim najmniejszego sensu. Składał się z ciągu przypadkowo posklejanych sekwencji przedstawiających sceny tortur i mordów. Na sekundy pojawiały się między nimi twarze jakichś ludzi, nieodmiennie wywołując furję zgromadzonych. Mirosław po raz pierwszy widział, że mieszkańcy wsi okazywali jakiegokolwiek emocje. Komisarzom udało się skumulować je w pełną nienawiści furję.

Wszyscy tu są poddani subtelnemu urokowi - poinformowała go z mora, odzywając się po raz pierwszy od wielu dni. Na tych seansach go wzmacniają. Też byś tak ryczał i ciskał w ekran czym popadnie, gdybym cię nie osłaniała.

Krzyki widzów zmieniły się w ciągły ryk, jakby siła kina przemieniła mieszkańców wsi w jeden organizm, w wrzeszczącą z wściekłości bestię. Wyzwolone emocje tłumu, ogarniętego ekstazą nienawiści, hipnotyzowały Kutrzebę. Wreszcie Szuler, dysząc ciężko, wyciągnął go na zewnątrz.

- Przedawkował towarzysz? - Po chwili wahania zainteresował się nim ślaniającym jeden z ludzkich strażników strzegący drzwi Kina. - Trzeba uważać, ta cała energia potrafi ogłuszyć. Ja tam nigdy nie wchodzę. Oczywiście, poza obowiązkowym seansem raz w tygodniu - zastrzegł zaraz. Ale widać było, że nie boi się komisarzy tak jak wieśniacy.

Von Paulsen tłumaczył kiedyś Kutrzebie, że energię da się pozyskiwać z właściwie każdego przejawu aktywności istot inteligentnych, tyle że nie zawsze jest to opłacalne. Wiara, czy to religijna, czy nie mniej potężna wiara dzieci w baśnie i legendy, stanowiła cenne, bo łatwo dostępne źródło energii. Drugie na liście Marsjan były emocje. Korzystali z nich jednak rzadko, ponieważ efekty uboczne okazywały się zwykle na dłuższą metę niekorzystne.

- Znakomite rezultaty można uzyskać, żerując na tłumie - opowiadał spokojnie Marsjanin, który w odróżnieniu od Nowakowskiego miał raczej naturę nie żołnierza, a chłodnego naukowca, dla którego świat stanowi jeden wielki przedmiot badań. - Czy radosnym, czy wściekłym. Jest to dość bezpieczne, ponieważ pozyskując energię z ekstazy tłumy, przy okazji uspokajamy go. Wydawało się nam kiedyś, że energia emocji jest bezpieczniejsza nawet od energii pozyskiwanej z wiary, bo nie towarzyszą jej efekty uboczne w postaci objawień i materializowania się bogów. Okazało się jednak, że na dłuższą metę taka technologia wyjaławia nieodwracalnie każde społeczeństwo. Szkoda. Wie pan, przy

użyciu energii emocji nie istniałoby niebezpieczeństwo takiej zwrotnej, jaka przydarzyła się nam na waszej planecie.

Rewolucja najwyraźniej nie przejmowała się problemem wyjałowienia swoich wyznawców. A może jej inżynierowie nie zdawali sobie z niego sprawy? Kutrzeba nie potrafił sobie przypomnieć, jak długo eksperymentowali z emocjami Marsjanie, nim uświadomili sobie, że ryzykują przetrwaniem całej rasy wyzbywającej się powoli wszelkich potrzeb poza podstawowymi, porzucającej marzenia i ambicje.

- Oj, kiepsko z towarzyszem - szczerze zatroskał się strażnik. - Może kieliszeczek?

Wyciągnął spod płaszcza butelkę i podsunął ją Kutrzebie zachęcająco.

- Z własnej produkcji, towarzyszu. Żadna tam zupa dla szaraków.

Po chwili wahania Kutrzeba pociągnął tęgi łyk.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Pysznie pachnie ta wasza kolacja - odezwał się obcy mężczyzna, podchodząc do nich wedle własnego mniemania niespodziewanie. Tłumił swoje kroki czarami i otaczał się iluzją, która wcześniej miała zapewnić mu niewidzialność, a obecnie nadawała wygląd niegroźnego staruszka. Zapewne jego zabezpieczenia działały w większości wypadków, nie

ukryły go jednak ani przed Sarą, ani Szulerem.

- Poczęstujcie się, dziadku. - Burzymur odciął kawałek mięsa i podał gościowi. - Siądźcie z nami.

Dla niechronionego umysłu przybysz rzeczywiście wyglądał starzej niż w rzeczywistości, choć i pod iluzją nie skrywał się młodzieniaszek. Nieznajomy był niewysokim siwowłosym mężczyzną o wąskich, jasnoniebieskich oczach. Ubrany w kurtkę z niedźwiedziej skóry, podpierał się długim dębowym kijem, poza którym nie miał przy sobie żadnej widocznej broni. Być może nie potrzebował jej, skoro potrafił posługiwać się czarami.

Przyjął poczęstunek. Usiadł przy ogniu, rozdzierając mięso grubymi palcami.

- Pycha! - Młasnął. - Dawno nie jadłem czegoś równie dobrego! A nie macie miodu?

- Miodu nie. - Rozbawiony Grabiński wstał, by podać gościowi jedną z butelek ze swojego zapasu. - Ale mamy coś lepszego.

Starzec przytknął wielki nochal do szyjki i obwąchał ją podejrzliwie. Nagle twarz mu pojaśniała.

- Bimberek z Przystani Carogrodu! - Zawołał i pociągnął łyk na tyle długi, by wzbudzić tak podziw, jak i niepokój Grabińskiego. - Och, co za zacny trunek! Szkoda, że to już ostatnie zapasy!

- Gdzie tam, zostało nam jeszcze trochę, ale nie tu... - Jasiek zakrztusił się od solidnego szturchnięcia Sary.

- Właśnie - ochoczo przytaknął Grabiński, którego życzliwy

uśmiech małał z każdym kolejnym łykiem starca. - Trzeba oszczędzać.

- Dobrego nigdy dość - odparł gość i osuszył, ku zgrozie Grabińskiego, butelkę do dna. - A gardło nawykłe do smakołyków zawsze znajdzie ku nim apetyt! No, pięknie mnie ugościliście! A mięsko... - cmoknął. - Aż mi się przypomniała ojczyzna. Przyznaj się, pannico, uczyłaś się ty gotowania w leśnych kuchniach? Wyczułem aromat sosnowych powiewów, a w nim wspomnienie dzikiego mrozu biegnącego ze stadem reniferów ku zorzom. Bywała panna w moich stronach ojczystych, czuć to, czuć! Niechże ucałuję tę czarowną dłoń!

Zerwał się zaraz, skłonił przed Sarą i nie czekając na jej zachętę, porwał jej dłoń, by złożyć na niej soczysty pocałunek. Zdumiony tym Burzymur tylko stęknął w pierwszej chwili, ale zaraz zawarczał groźnie. Zaskoczona Sara ani nie pisnęła.

- No i proszę - roześmiał się zuchwały starzec. - Nakarmili mnie, napoili i pozwolili pocałować pannę! Dobrzy ludzie jesteście, to wam powiem, żebyście nie jechali w tę stronę, w którą zmierzacie, bo nielekki los na was czeka u celu. Ale nie zawracajcie też tam, skąd przyjechaliście. Najlepiej wracajcie do domów.

- Nie możemy - odezwał się po raz pierwszy od przybycia gościa Kutrzeba. - Mamy pannę do odnalezienia.

- Zawsze ta sama historia, prawda? - Mrugnął do niego starzec. - Młodzian spotyka pannę, kocha się w niej - teraz

mrugnął do Jaśka - a potem ktoś mu ją porywa. Oj, gorące serca! Jedno, co przynosi miłość, to ból i rozczarowanie. Albo panny nas nie chcą i z tym zawsze jest kłopot, nieprawdaż, panie wielkoludzie? Albo nas w końcu chcą i wtedy dopiero robi się ambaras, ale mało kto z was akurat o tym może wiedzieć. Tego doświadczyłem ja, gdym wreszcie oczarowałem swoją Nainę... *I miłość tego dnia poznałem, wraz ze słodyczą jej nieziemską, i męką, która targa ciałem* - wyrecytował. - Nie ma co szukać panien, tyle wam mówię. Zawsze ktoś nie daje rady, jak już się je znajdzie. Częściej my, czasem one. No, to udzieliłem wam już dwóch dobrych rad, za mięso i za napitek. A za prawo do ucałowania tej ślicznej rączki...

- Nie tak szybko - powstrzymał go Kutrzeba. - Tamtych rad nie możemy przyjąć. Więc wciąż jesteś nam winien trzy przysługi.

- Nie jest winą płacącego, że nie wiecie, co zrobić z zapłatą. - Starzec ujął się pod boki. - Nic wam właściwie nie jestem winien, bo samo moje towarzystwo to już skarb. Jak się nad tym zastanowić...

- Wiem, kim jesteś - przerwał mu niespodziewanie dla wszystkich Burzymur. - Znam cię, fiński czarowniku!

- O, uczony wielkolud! To dopiero dziwo! - Starzec zaczął skakać wokół Burzymura, trącając go kosturem, jakby chciał się przekonać, czy nie ma do czynienia z iluzją. - Proszę, proszę, jak się świat pozmieniał! A skąd ty mnie niby znasz, grubokostny?

- Ja... - Burzymur urwał, czerwieniąc się tak widowiskowo,

że było to widać nawet w świetle słabego ogniska. Wahał się, czy odpowiedzieć, tak długo, aż starzec znów zaczął dźgać go kosturem. - Czytałem tamtą balladę - wyznał wreszcie.

- Burzymurcio to poeta - pochwaliła go Sara, a on, choć trudno w to uwierzyć, poczerwieniał jeszcze bardziej.

Wyrecytował prędko, nieco się jękając:

*Dla was, władczyni mojej duszy,
Dla was, dziewczęta pełne krasy,
Baśń, którą wieków pył przyprószył,
Dziś, przeżywając złote wczasy,
Pod szmer przeszłości gadatliwej
Pisałem oto wierną dłońią.*

- No dobrze, wiesz, kim jestem - przyznał starzec i usiadł obok niego. - Czego ty ode mnie chcesz? Czaru, żeby cię pokochała ta czarownica obok ciebie? Piękna jest, to chętnie przyznam. Nawet zbyt piękna. Nic dobrego z zaklętej miłości, wielkoludzie, nie przychodzi. Znasz balladę, to wiesz.

- Ja nic dla siebie nie chcę - zachnął się Burzymur. - Ale wiem, że skoro przyszedłeś, to sam chcesz nam pomóc. Że to wszystko jakoś się z tobą wiąże. Jak w balladzie.

- Trafił wam się wielkolud - prostaczek boży. - Starzec roześmiał się, stukając z uciechy kosturem o ziemię. - O ojczyzno kochana, jecham takiego nie spotkać! Świat się chyba musi kończyć! A może wy tu wszyscy jesteście jakimś bractwem wierzącym w poezję? Łazicie po Dzikich Polach, bratacie się z ludem, tulicie do drzew?

- Temu wielkiemu ponurakowi, którego ani trochę nie

rozbawiłeś, porwano córkę - Kutrzeba wtrącił się, nim skonfundowany wielkolud zdążył znowu coś zadeklamować, do czego się wyraźnie zbierał, bo ponownie czerwieniał na twarzy. - Ścigamy jej porywaczy. To nie jest kwestia romantycznej miłości. Mów, co wiesz, albo zejź nam z oczu. Dług będzie tylko rósł, jeśli nam nie pomożesz. I w końcu cię to odmieni. Albo zniszczy.

- Jednak wierzycie w poezję - pokiwał głową starzec. - Nawet ten ponury, co was prowadzi. Banda dzieciaków.

Obszedł ognisko, patrząc im wszystkim w oczy. Przy Grabińskim zatrzymał się na moment, coś pomruczał, być może oczekując, że mężczyzna wyczaruje skądś jeszcze jedną butelkę. Gdy się nie doczekał, powędrował dalej, aż w końcu usiadł obok Jaśka.

- I bardzo dobrze, że wierzycie - oświadczył. - Kto wie, może to właśnie zdoła was ocalić?

Rozdział 3

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

„Nie uratują dziewczuchy, a pewnie i sami zginą” – powtarzał sobie Czus. Czuł się zaskakująco nieswojo po opuszczeniu oddziału przez grupę Kutrzeby. Choć ta barwna gromada nigdy nie zyskała jego aprobaty, pogodził się z decyzjami Marsjanina, nawet jeśli gorąco mu je odradzał. A teraz poczuł się opuszczony, prawie bezbronny. Nie ma co, zaczarowali go: przeklętnik Kutrzeba, bóg i ta cygańska wiedźma. Może nie zaklęciami, ale w jakiś inny sposób. Jakby sama ich obecność zmieniała może i zuchwałą, ale przecież nienadzwyczajną wyprawę w rodzaj opowieści. I przemieniła Czusa, a nawet jego pryncypała, w tło dla herosów, o jakich opowiada się prostaczkom, by odwracać ich uwagę od rzeczywistych problemów.

A może wszystko to było wynikiem spisku tego Kutrzeby? Od początku jego historia wydawała się Czusowi podejrzana. Swoje już w życiu widział i niechętnie wierzył w zbiegi okoliczności.

Gdy zatrudnił się u Nowakowskiego, trwały jeszcze wojny Kresu. Sądził, że pod opieką Marsjanina odnajdzie nieco

spokoju, tymczasem praca okazała się wielką i czasami niebezpieczną przygodą. Pokochał ją, ale ostatnio coraz częściej tęsknił za choćby odrobiną wytchnienia. Nie miał już dwudziestu lat i zamiast za szturmami i włamaniami tęsknił za strzepywaniem drobin kurzu z palt i marynarek, za pucowaniem złotych naczyń, a nawet za tym, co niemożliwe – za opieką nad potomstwem zapewniającym ciągłość rodu.

- Ten człowiek, panie – rzekł niegdyś do Marsjanina, gdy nikogo nie było w pobliżu – wydaje się dla nas idealny, nawet biorąc pod uwagę jego przeszłość. Po pierwsze jednak z całą pewnością pracował, a może nadal pracuje dla co najmniej jednego wywiadu. Na kogoś, kto powrócił z Rewolucji, musiały rzucić się wszystkie wywiady świata.

- Jeśli się o tym dowiedziały.

- Skoro się nie dowiedziały, to tym bardziej świadczy, że pracuje dla jednej ze służb.

- Dla generała Koryckiego, wiemy przecież o tym. Sam Korycki nam go podsunął.

- Pragnę zwrócić uwagę, że zbyt gładko to wyszło, proszę pana. Owszem, Korycki z pewnością go chroni i na pewno jest oficerem wywiadu. Ale czy chroni go dla wywiadu? Wiele tajemnic otacza generała Koryckiego, odkąd oficjalnie odszedł ze służby. To wszystko rodzi kolejne pytania. Czemu powiedział nam o tym Kutrzebie aż tyle? Może chce się go pozbyć? Po tym, co ten człowiek nawyrabiał w Kielcach, trudno mu się dziwić. To morderca!

- Sprawa kielecka nie jest tak oczywista, Franciszku.

Pogrzebałem trochę. Ten Burtowiecki rzeczywiście nie był prawdziwym Burtowieckim. Nie zdziwiłbym się, gdyby Kutrzeba działał na zlecenie Koryckiego.

- No właśnie, proszę pana. Korycki niby nam wiele mówi, ale równocześnie wiele ukrywa.

- Nie tylko Korycki wystawił Kutrzebie dobrą opinię.

- I to też mnie niepokoi!

- Wygląda na to, że niepokoi cię praktycznie wszystko, co ma związek z Kutrzebą - zniecierpliwiał się Marsjanin. - Pierwszy raz cię takim widzę! Skąd te obawy?

- Nie wiem, panie. - Zmęczony Czus potarł skronie. W przeciwieństwie do pryncypała potrzebował snu. - Dręczy mnie jakieś dziwne przecucie...

- Marsjanie nie miewają przecuć - uciął Nowakowski i Czus zdał sobie sprawę, że dyskusja dobiegła końca. Marsjanie nie śnili, nie miewali przecuć i nie pojmowali sensu istnienia beletrystyki, dlatego nie ufali intuicji, snom i powieściom. I nic nie mogło przewyciężyć ich uporu w tych dziedzinach.

Właśnie dlatego Czus ufał swojej intuicji za nich obu.

Podjechał do trzymającego się zwykle na uboczu maga Jakubowskiego. Czarodziej jechał na wyjątkowo dorodnym czarnym koniu. U siodła kołysała się klatka więżąca równie czarnego jak koń koguta, przyglądającego się znudzonym wzrokiem mijanym krajobrazom. Ptak łypnął ponuro na Czusa, ale szybko znudził się i jego obecnością. Po co czarodziej taszczył ze sobą to ptaszysko i czemu trzymał je

przy sobie, zamiast rzucić je na wóz z prowiantem, tego Czus nie wiedział. Tak naprawdę nie wiedział prawie nic o czarodzieju i to martwiło go dużo bardziej. Zwerbowanie go przez Jakubowskiego umknęło agentom Marsjanina.

- To pan był na „Jagielle”? - Zagaił, by zacząć rozmowę. - Miałem okazję podziwiać pańską pracę.

- Zdała się psu na budę - burknął mag, nawet nie patrząc na Czusa. - Pan chce ode mnie czegoś konkretnego, czy zapragnął ot, tak, porozmawiać? Jeśli to drugie, uprzedzam, że żaden ze mnie gawędziarz.

- A jeśli to pierwsze?

- To nic panu nie powiem, bo wiąże mnie kontrakt.

- Może moglibyśmy go przebić?

Czarodziej i jego ptak spojrzeli na Czusa równocześnie. We wzroku żadnego z nich nie dałoby się odnaleźć życzliwości.

- To niemożliwe. Czy aby nie narusza pan zasad rozejmu, próbując mnie przekupić?

- Jedynie badałem możliwość negocjacji. - Czus uśmiechnął się, postanawiając udawać, że nie zauważył niechęci tamtego. - Ale przyjmuję pańską odmowę do wiadomości. Co nie znaczy, że nie jestem ciekaw, co pana tu sprowadziło.

- Łatwo się pana nie pozbędę, prawda? Proszę zatem posłuchać. Mnie sprowadził tu kontakt, a pana Jakubowskiego chęć utarcia nosa pańskiemu pryncypałowi. Gdyby nie było tu Marsjanina, nie byłoby i Jakubowskiego. Cała ta wyprawa to poniekąd nonsens, igraszka ambicji

dwóch potężnych przedsiębiorców. Tyle że szalenie niebezpieczna.

- A Kutrzeba? - Strzelił Czus. - Co słyszał pan o Kutrzebie?

- Kto to jest Kutrzeba? - Czarodziej uniósł brwi w udanym zdziwieniu i Czus poczuł, że trafił. Nie wyciągnął już jednak od maga nic więcej.

Do wieczora próbował rozmawiać z innymi ludźmi Jakubowskiego, ale nie dowiedział się wiele więcej. Co gorsza ktoś musiał wydać polecenie, by zbywać go tak szybko, jak się da, i kolejni rozmówcy odzywali się coraz mniej chętnie, a nawet milczeli uparcie; jeden posunął się nawet do gróźb.

Dopiero w nocy, gdy położył się już spać, znalazł się ktoś, kto chciał z nim porozmawiać. Podkraść się, korzystając z ciemności, i wykazując się rozsądkiem, najpierw położył śpiącemu dłoń na ustach. Czus szarpnął się, chwycił rękę napastnika, ale tamten był zbyt silny.

- P-przestań pan wierzgać! - Wysyczał. - Cisza! Spokój! P-przyszedłem p-pogadać. Pytał p-pan o Kutrzebę. Czemu? Nie teraz! Odejdźmy trochę.

Odczołgali się nieco od obozu. Choć zaciekawiony, Czus podążał za tajemniczym informatorem niechętnie. Może Jakubowski kazał go zamordować? W dodatku niedobrze było przekraczać ochronny krąg, jaki wokół obozowiska narysował czarodziej. Nie poprawiło mu też nastroju, że wartownicy nie zauważyli ich wycieczki. Czy równie łatwo byłoby komuś przeniknąć do obozu i popodrzynać śpiącym

gardła?

- Kim pan jest? - Szepnął, gdy zatrzymali się nareszcie. Płomień płonącego pośrodku obozu ogniska wydawał się teraz Czusowi niepokojąco niewielki. Ile tak się czołgali w milczeniu? Dziesięć minut? Piętnaście? Ech, za stary był już na takie przygody.

- K-kim jestem, to moja rzecz - odparł szeptem tamten. - Czemu p-pan pytasz o Kutrzebę?

Ciemności skrywały sylwetkę mężczyzny, a twarz nieznajomy zasłonił chustą. Czus zapisał sobie w pamięci, by popytać o jąkałę.

- Niepokoi mnie - odpowiedział zgodnie z prawdą. - Zbyt mało o nim wiem.

- D-dobry żołnierz. Ale chadza własnymi ścieżkami. P-panie Czus, ani pan, ani ja nie wiemy do końca, co tu się dzieje. Nie wiem, czego chce Stach...

- Stach?

- Kutrzeba. Ja go poznałem p-pod imieniem Stanisława.

- Ach, w Kielcach! - Czus przypomniał sobie, że służąc u Burtowieckiego, Kutrzeba ukrywał się pod nazwiskiem Stanisława Bora.

- Pan jednak d-dużo wiesz - syknął nieznajomy. - Może za dużo!

- Tym bardziej się mogę przydać. Mówił pan, że nie wiemy wszystkiego. Co pan miał na myśli?

- Powiem, jak zgodzisz się pan na współpracę.

- Nie wiedząc z kim?

- G-grunt, że ja wiem, kim pan jesteś. Więc zgoda?

- Zgoda.

- No to słuchaj pan. Jakubowski wynajął mnie, bo się Staśka boi. Był pewien, że ten, kto zabił Burtowieckiego, pojechał z wami. Miałem mu go wskazać.

- I wskazał pan?

- Jeszcze nie.

- Czemu?

- Jestem Staśkowi winien życie. Nie zdradę.

- Więc czemu „jeszcze nie”?

- Bo wyobraź pan sobie, że Stasiak sam mnie poprosił, żebym go Jakubowskiemu wydał.

Wszystko to wymagało zastanowienia. W swoim czasie. Najlepiej z czystym, wypoczętym umysłem, a zatem rano. Ale Czus wiedział, że aż tyle czasu nie ma.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

- Opieki, jeśli wszystko się posypie. Nie wiem, w co gra Jakubowski, nie wiem, w co gra Stach, i nie wiem, w co gracie wy. Ale wylądowałem bardzo blisko piekła i nie jestem pewien, kto może mi pomóc uratować mój durny, brzydki łeb, jak wszyscy zaczną strzelać do siebie nawzajem. A że zaczną, to wiem, mówi mi to każdy kawałek ciała. Pan jesteś blisko z Marsjaninem. Jakbyście wy wygrali, pan mu powiesz, że pomagałem.

- To mogę panu zagwarantować. O ile przeżyję. Uściśniemy sobie dłonie?

Gdy nie otrzymał odpowiedzi, Czus zorientował się, że

mówił już w pustkę. Jego rozmówca zniknął, odczował się bezszelstnie. Służący zaklął, bo nie podobało mu się, że został sam. Doczował się do obozu powoli, ostrożnie, cały czas spodziewając się, że wartownicy zauważą go i zastrzelą, nim zdołają go rozpoznać. Gdy wreszcie dotarł do posłania, trząśniętym się całym z nerwów.

A zatem Jakubowskiemu mogło bardziej zależeć na Kutrzebie niż na Marsjaninie? Kim u licha był ten facet?

„Zdecydowanie jestem na to za stary” – pomyślał nim usnął.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Podczas gdy starzec opowiadał o swojej młodości, pełnej przygód, miłości i łupieżczych wypraw, co stanowiło zwyczajowy wstęp do właściwej opowieści, Kutrzeba usiadł przy Grabińskim, który obrażony na Fina z powodu jego apetytu na alkohol, trzymał się od przybysza z daleka.

- Patrz, jak opowiada te swoje bajki! - Mruczał niezycywiście były inspektor kolejowy. - Widać po nim praktykę. Ciekawe, ilu już w ten sposób naciągnął na dobrą gorzałkę?!

- Jasiek wygląda na zafascynowanego.

- Jasiek potrafi zafascynować się kafelkami w toalecie. Pogadaliśmy kiedyś o kolei i pewnie nie będziesz bardzo

zaskoczony, ale mówił, że najchętniej przesiadywał w dworcowych wychodkach, właśnie po to, by kontemplować kafelki i napisy nabazgrane na drzwiach.

- Istnieją, z tego co wiem, wróżbici wróżący z kształtów ukazujących się na glazurze.

- Oczywiście. A także poeci spisujący epopeje z napisów na drzwiach. Czy to znaczy, że warto tracić na nich czas?

- Na tego tutaj warto. Widziałem już różnych dziadów wędrujących po Dzikich Polach. Ten jest inny.

- Wszystko tu jest inne, Mirku. Odkąd się do ciebie przyłączyłem, mam wrażenie, jakbym wylądował w samym środku jakiejś opowieści. Nie żyjesz zwyczajnym życiem, zdajesz sobie z tego sprawę?

- A toś mnie zaskoczył.

- Nie rozumiesz. Tobie się zdaje, że już sam fakt, iż prowadzi cię zemsta, czyni cię niezwykłym. Mnie nie o to chodzi. Widzisz, zwykłe życie to wstawanie rano z pewnością, że nie przydarzy się nic nadzwyczajnego. Że wypije człowiek poranną wódeczkę, potem trochę ponudzi się w drodze do pracy, takiej samej jak zawsze, potem zrobi, co musi, pogada z tymi samymi ludźmi, a przy wieczornej wódeczce zapomni o całym dniu, jakby go nigdy nie było. Z tobą jest inaczej. Nie dlatego, że włada tobą obsesja, ale że żyjesz jak w opowieści. Dajesz się wynająć i już po chwili kradniesz sterowiec, wikłasz się w spór z wielkoludem, staczasz bitwę powietrzną, odwiedzasz miasto z baśni. Ledwie je opuścisz, jakiś czarodziej na latającym wilku

kradnie córkę twojego przyjaciela, a ty rzucasz się w pościg i już pierwszego dnia spotykasz na stepie kogoś, kto wygląda na kolejnego pomyłonego czarodzieja. Mirku, takie rzeczy nie dzieją się nawet w naszym szalonym świecie. Słucham przechwałek tego dziada i w niczym się ta jego ballada nie różni od twojego życia. To mam na myśli.

Starzec kończył właśnie opowiadać, jak to porzucił dowodzenie bandą piratów i poświęcił się nauce magii, by zdobyć czar, którym mógłby rozkochać w sobie uparcie odrzucającą go dziewczynę. Niestety, gdy go posiadał, odkrył, że i on, i jego wybranka postarzelili się, toteż rozkochał w sobie stare i raczej paskudne babsko. Sara i Burzymur roześmiali się i nawet na twarzy Szulera, udającego, że nic a nic nie interesuje go opowieść, pojawił się uśmiech. Tylko Jasiek nadal słuchał z przejęciem i wyraźnie nie widział w nieszczęściu Fina nic zabawnego.

- Sugerujesz, że czeka na mnie na końcu jakiś morał? - Kutrzeba uśmiechnął się kpiąco, za co Grabiński nagroził go spojrzeniem spode łba i warknięciem.

- Gadanie z tobą, Mirku, to jednak strata czasu. Wy, trzeźwi, nie potraficie spoglądać na świat z odpowiednio szerokiej perspektywy, ot co. Na próżno sobie strzępię język!

- Powiedz wprost, o co ci chodzi. Będzie łatwiej.

Grabiński, który właśnie odkrył, że tak naprawdę sam do końca nie wie, o co mu chodzi, zbył go stwierdzeniem, że w opowieściach mędrcy i wyrocznie nigdy nie wysławiają się jasno, wobec czego Kutrzeba zrozumie wszystko w swoim

czasie, czyli gdy dorośnie.

- A myślisz, wyrocznie, że Szuler ma rację? Że ta mała to jakaś boginka dla bogów?

- Myślę, że oni, tak jak my, potrzebują w coś wierzyć. W kogoś. Jaki sens ma życie bogów i demonów? Żyją wedle reguł z legend. Czasem komuś pomogą, czasem przeszkodzą, ale do niczego nie dążą. Nikt nie zbawia bogów, a myśmy ich nauczyli czekania na zbawienie. Kim mała Wanda jest, to nieważne. Ważniejsze, za kim oni tęsknią.

- ...i tak to Czarnomor porywa księżniczki i najpiękniejsze dziewczęta, żeby się z nimi żenić - kończył opowieść dziad. - Bo pragnie on żony dla siebie, i to koniecznie najpiękniejszej. Nigdy jednak jeszcze żadnej nie udało mu się zatrzymać, bo zawsze przybywa bohater, który dziewczynę ratuje.

- Ja! Ja! - Wyrwało się Jaškowi, ale entuzjazm chłopca zgasł zaraz po tym, jak z gardła Szulera wydobyło się warczenie tyleż mimowolne, co groźne.

- I pewnie wy takim bohaterom pomagacie, co? - Zagadał Kutrzeba, nim doszło do bitki, bo Burzymur już podrywał się, by bronić Jaška. - Tak z dobrego serca?

- Swojemu sercu nic do zarzucenia nie mam - odparł starzec. - I pamięta ono, że mam ja własne porachunki z tym karłem. A że własną miłość zmarnowałem, to pomagam cudze ratować. No i przyjęliście mnie do ognia, nakarmili i napoili. To się wam odplacam. Po pierwsze wyjawię wam, że cała siła Czarnomora mieści się w jego brodzie. Jak ją odciąć, straci swoje moce. Po drugie powiem wam, gdzie czarodziej

mieszka.

- A nie za siedmioma górami? - Prychnął Grabiński.

- Prawdę mówiąc, tam właśnie kiedyś miał dom. Ale znacjonalizowano mu zamek, gdy nad tym nieszczęsnym krajem zapanowała Rewolucja. Uciekł na Dzikie Pola, jak wielu przed nim i po nim. Zmienił jednak lokalizację, ale nie obyczaję. Ledwie trzy dni drogi stąd wyrosła pięć lat temu Samotna Góra. Na jej to szczycie Czarnomor zbudował sobie nowy pałac. Jak macie jakieś mapy, to wam go na nich pokażę.

- A nie pojedziecie, panie, z nami? - Zafrasował się Jasiek.

- Tylko bym wam przeszkadzał. Czarnomor wyczułby mnie i uciekł. Ale nie martwicie się, będę nad wami czuwał po swojemu.

*maj 1968 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju, Wieczna
Rewolucja*

- Każdy radzi sobie, jak umie - tłumaczył rozochocony człowiek z Czerwonej Straży, gdy popili z Kutrzebą i Szulerem bimbierku. - Wy, towarzyszu, służycie pewnie Rewolucji, jakby żaden inny człowiek nie potrafił, ale ja też z całych sił, tyle że po swojemu. Słucha czasem człowiek meldunków o przygodach ludzi takich jak wy, o waszej służbie, i aż serce rośnie. Wyście pewnie z daleka przybyli, bo wcześniej was u nas nie widziałem.

- Odsłużyłem swoje w Republice Narodów - wyjaśnił Kutrzeba. - Dwanaście lat między burżujami.

- Ciężka to służba - zgodził się strażnik. - Jak tam jest?

- Paskudnie. Tak, jak mówi Partia. Wyzysk, chaos, bieda.

- Ani przez moment nie wątpiłem, że właśnie tak. A tutaj co przyjechaliście robić?

- Nie wasza rzecz.

- Służba, rozumiem. Ale może mógłbym się wam na coś nadać?

Kogoś takiego Kutrzeba nie spodziewał się spotkać. Każdy dzień spędzony na terytoriach Rewolucji upewniał go, że to kraj zniewolenia na skalę, jakiej dotąd ludzkość nie poznała. Nawet myśl o buncie wydawała się niemożliwa, skoro wysysano tu z ludzi emocje, zmieniając ich w bezmyślnych, pozbawionych woli niewolników. A jednak człowieczeństwo potrafiło przetrwać nawet w takich warunkach, szkoda tylko, że pod najgorszą postacią. Mierziło Kutrzebę, że jedynymi ludźmi, jakim pozostawiono nieco woli i wolności, byli kaci i nadzorcy niewolników, ale nie zdziwiło go to. Czy jednak ta służalcza wesz mogła okazać się pomocna? Zmora podpowiadała, by strzec się tego człowieka, nielojalnego wobec nikogo i zapewne nawet teraz knującego tak przeciw Kutrzebie, jak i przeciw przełożonym. Marzącego o donosie idealnym, który pozwoliłby mu awansować. Myśl, że tylko tacy jak on byliby zdolni odpowiedzieć na apel Rostowa, zasmucała.

- Nie wszyscy są równie pewni i chętni do pracy jak wy,

towarzyszu - zdecydował wreszcie. - Istnieją wśród nas towarzysze nierozumiejący tak dobrze idei i potrzeb Rewolucji.

- Kontrrewolucjoniści! - Zrozumiał natychmiast strażnik.

- Tak i nie. Widzicie, kontrrewolucjonistów łatwo złapać. Oni podnoszą rękę na matkę Rewolucję. Ale są też towarzysze, którzy noszą w sercach nie zdradę, a zwątpienie. Oni nie są tak do końca źli, można ich reedukować. Są po prostu słabi.

- I takich szukacie?

- Możliwe.

- Myślę, że mógłbym już teraz wskazać wam kilku - odezwał się strażnik po chwili zastanowienia. - Numer 1485 na przykład. Mógłby przykładać się do pracy bardziej, gdyby nie jego skłonność do bezwartościowego zamyślenia się. A numer 2435 potrafi się rozmarzyć... W każdym razie wygląda na rozmarzoną - nagle zaczął mówić szybciej. - Wiecie, towarzyszu, przyjmuje taki głupkowaty wyraz twarzy, jakby jej się coś śniło. To znaczy coś... Ale nie, nie, ja nie oskarżam jej o myślozbrodnię, towarzyszu. I nie myślcie, że ja w ogóle wiem, co to marzenia, to tylko tak się mówi...

Aż się spocił, a Kutrzeba zrozumiał, że w tym świecie nawet znajomość niektórych słów może zostać uznana za przestępstwo.

- Ci, którzy muszą czuwać na Rewolucją, zmuszeni są do obcowania z kontrrewolucyjnymi terminami - powiedział uspokajająco, choć strach tego małego człowieczka sprawiał

mu pewną przyjemność. - Nie musicie się niepokoić, towarzyszu.

Sądził, że uspokoił strażnika, w rzeczywistości pobudził jego podejrzliwość. Prawdziwy komisarz nie odpuściłby tak łatwo komuś, kto rozumiał, czym są marzenia. Chyba że planowałby dla kogoś takiego wyjątkowo paskudny los. Kutrzeba nie pojmował wprawdzie sposobu rozumowania strażnika, jednak dostrzegł nagle zrodzoną nieufność w jego spojrzeniu. Zapewnił go, że zainteresuje się numerami 1485 i 2435, a także, że jeśli okaże się on wystarczająco wytrwały i wierny, może spodziewać się w przyszłości awansu. Wreszcie zostawił go i czym prędzej ulotnił się z kołchozu.

- Doniósł na nas, sukinsyn - domyślił się Szuler, gdy ledwie pół godziny później przyglądali się prowadzonemu przez aż pięciu komisarzy oddziałowi, ruszającemu za nimi w pościg.

- Tak mi się wydawało, że w jego losie widziałem jakąś zdradę. Ale tu nawet linie losu są dziwaczne.

- Komisarzy sporo, ale łącznie ich wszystkich tylko dwudziestu. Poradzimy sobie.

Odciągnęli pościg od kołchozu, by ewentualne posiłki nie przybyły zbyt prędko. Szuler chciał jakoś zaplanować zasadzkę, ale Kutrzeba odrzucił wszelkie dobre rady.

- Ofiarujemy im legendę - oświadczył, zdumiewając zmorem tonem, w którym czaił się gniew silniejszy nawet od tego, jaki znała. - Coś, co sprawi, że nas zapamiętają. Stworzymy dziś kogoś na nowo.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Postać z baśni - Grabiński marudził od śniadania, gdy opuścił ich starzec. - Wędrujemy za jedną postacią z baśni, śladem drugiej. I ja to wszystko rozumiem. - Uniósł ręce, by powstrzymać protesty Jaśka. - Żyjemy w takim, a nie innym świecie. Ale, do diabła, przecież oni powariowali. Niby się przystosowują do rzeczywistości, zmieniają, a jednak toczą swoje wojenki z ballad. Gdzie w tym sens?

- Starają się pozostać tym, kim byli - odpowiedziała mu Sara. - Możesz opuścić wieś i schować się w mieście albo zostać zmuszonym do ucieczki z domu, bo ci go zeżarła Rewolucja, ale zostawiasz sobie to, co najważniejsze. Choćby i balladę. Bogowie mają wiernych, demony ofiary. Postacie z baśni tylko siebie.

- A panienka Wanda jest najpiękniejsza na świecie - dorzucił Jasiek, przerywając na moment rozmowę, którą prowadził ze skowronkiem. - Przelatywali tędy. Mówią mi dobre ptaki, że Czarnomor z obcym demonem przeleciał tędy na Wilku Wiatrołapie.

- No pięknie, jeszcze latający wilk! - Jęknął Grabiński. - A ten tu skąd?

- Grasował taki u nas, na wschodzie. - Burzymur podrapał się odruchowo po łysej głowie. - Kiedyś nawet proponował

nam, żebyśmy zrobili wspólnie skok na taki jeden dwór. Ale się Żelazny Marcin nie zgodził. Słyszałem potem, że mu ten skok nie poszedł, jak chciał, i musiał uciekać.

- Dzikie Pola przyciągają zbiegów - przytaknął Kutrzeba. - Pół świata tu przybywa.

- Pół świata i my - burknął Grabiński. - Jakby mało tu było dziwactw bez nas.

- Strasznie pan dziś nie w humorze! - Znudziła się jego narzekaniami Sara. - My idziemy, bo Jasiek podpisał umowę, jak jaki głupi. A pan wszędzie się pcha na ochotnika. I na latający statek, i na ten pościg! Wstał pan lewą nogą czy co, że dziś pan taki skwaszony?

- Za mało, widać, wypilem. - Grabiński sięgnął odruchowo do juków. - To i trzymają się mnie złe przeczucia.

Widzieli już Samotną Górę. Minęli ogromną czaszkę jakiegoś dawno zmarłego olbrzyma. Burzymur zatrzymał się przy niej przez chwilę, podziwiając giganta potężniejszego od większości olbrzymów znanych z miast. Coś tam mamrotał o balladzie, ale mało kto chciał go słuchać. Szuler poganiał wszystkich, nie licząc się ani z ich życzeniami, ani z kondycją.

- Gdybyśmy przyspieszyli, moglibyśmy tam być dzisiaj! - Powtarzał, patrząc z rozpaczą na Samotną Górę. - Kto wie, co ona tam musi przeżywać?

- Nie pomożesz jej, jak dojedziemy tam na zajeżdżonych szkapach i bez sił - upominał go niezmiennie Kutrzeba. - Dotrzemy jutro, przed zmrokiem. To akurat będzie dobra

pora.

- Obyś miał rację, Mirku. Bo jeśli coś jej się stanie...

I tak przez cały dzień. Grabiński zrzędził, Szuler zamartwiał się, nawet postój na popas traktując jak katastrofę, a Jasiek, uśmiechnięty od ucha do ucha, pewien, że nareszcie wstąpił na ścieżkę spełnienia swego przeznaczenia, zagadywał do każdego napotkanego stworzenia.

- Mówiła mi muszka kochana, ta, co ją, wiecie, uwolniłem z pajęczej sieci, choć pan Szuler mówił, że to strata czasu, a pan Grabiński, że to, nieekolo...

- Nieekologiczne - podpowiedział Grabiński.

- Ano właśnie. No więc jednak bardzo ekologiczne, bo była ta muszka wcześniej we dworze Czarnomora, gdzie piece same magiczną mocą pieką od wczoraj ciasta na wesele.

- Co?! - Ryknął Szuler, zawracając konia ku Jaškowi. - Coś powiedział?

- Bo to widzicie, panie - ciągnął Jasiek, tak przejęty spełnianiem celu swojego życia, że ten jeden raz się nie przestraszył. - Trzeba stworzonkom dużym i małym pomagać, wtedy one się odwdzięczają. I jak się im okaże serce...

- Coś o weselu mówił?!

- Na pojutrze je szykują, panie boże. Wasza córka bezpieczna. Zamknięta w komnacie. Powadził się o nią Czarnomor z Mioczką, bo Mioczka chciał na niej jakieś eksperymenty robić, a Czarnomor się uparł, że się z nią

ożeni. I kazał ukryć pannę Wandę. Po komnatach siedzi teraz dwanaście panien w białych welonach, a Mioczka gania jak opętany po dworze, bo nie wie, która prawdziwa.

- Eksperymenty? Gołymi rękami drania rozerwę!

Znów trzeba było go powstrzymać przed nadmiernym pośpiechem. Klócił się więc i obrażał, ale jakimś cudem słuchał rad. Więż zadzierzgnięta z Kutrzebą i imperatyw słuchania jego poleceń mogły mieć tu niejakię znaczenie.

Aż wieczorem następnego dnia stanęli pod Samotną Górą, na szczycie której wznosił się dwór Czarnomora, cały ustrojony kwietnymi girlandami, przygotowany na ślub i wesele.

- To pewnie naszykowali dużo przedniej gorzałki - uświadomił sobie Grabiński i twarz pojaśniała mu po raz pierwszy od dwóch dni. Zaraz jednak cała ta radość zgasła, gdy Szuler obrócił ku niemu głowę.

- W takich sytuacjach - odezwał się bardzo uroczystym tonem Jasiek - bohater staje przed łotrem i rzuca mu wyzwanie. Łotr winien zarządzić trzy próby, bardzo trudne. Ale bohater...

- Łotr każe bohaterowi uciąć łeb i podać go sobie na półmisku podczas wesela - przerwał mu Kutrzeba. - Aż tak oni nie zgłupieli z wiernością opowieściom.

Pierwszym, który się z nim zgodził, okazał się Burzymur. I nim Kutrzeba zdążył wyjść ze zdumienia, zaproponował frontalny szturm.

- Jeden głupszy od drugiego! - Podsumował Grabiński.

- Niekoniecznie. - Kutrzeba podjechał do wielkoluda. - Ruszycie na bramę. Ostrzelasz ją z tej swojej armaty, Jasiek obrzuci granatami. Drzyjcie się, żeście przybyli ratować pannę. Tylko żadnych wyzwania i prób.

- Chcesz na nas ściągnąć całą uwagę! - Odgadła Sara. - Narazić na śmierć!

- Grabiński pójdzie z wami. On, jedyny rozsądny, da sygnał do odwrotu. Godzinę nam zajmie z Szulerem wspięcie się na tę górę. Za półtorej zaatakujecie. Nie macie szturmować dworu ani wdzierać się do środka, a tylko narobić hałasu. Dasz radę neutralizować Mioczkę, Saro?

- Nie wiem. Próbowалаm go poznać, ale on mnie nie lubił, nie dopuszczał do siebie. Wypytywałaam pana Nowakowskiego o jego moce, ale on też zazdrośnie strzeże swoich tajemnic. Spróbuję.

- Ale ja chcę z wami! - Upierał się Jasiek.

- Pójdziemy z Szulerem sami. Zostawimy wam konie. Ty, Jaśku, zostaniesz z przyjaciółmi. Gdy wrócimy z Wandą, uciekniemy razem. Jak nie wrócimy do - Kutrzeba spojrzał na zegarek - północy, uciekajcie sami.

- Będą nas ścigać!

- Mało mnie to wtedy będzie obchodzić, Saro.

- Wy jesteście zły człowiek! - Spojrzała mu w oczy. - Ale życzę wam powodzenia w tej sprawie.

Gdy Szuler z Kutrzebą zniknęli w ciemnościach, Sara wyszeptała jeszcze modlitwę za nich obu. Sposobili się przy koniach do dywersji. Jasiek, markotny, że nie pozwolono mu

wyruszyć po dziewczynę, pochylił tylko głowę i nie odzywał się, aż Burzymur szturchnął go łokciem i omal nie przewrócił.

- Nareszcie zacznie się porządna robota! - Wielkolud uśmiechał się od ucha do ucha. Odbezpieczył karabin maszynowy. - Będziesz mi podawał taśmy z nabojami, bracie! Nie troskaj się! Oj, w końcu się trochę rozerwiemy! Już mi kości trzeszczały od tego jeżdżenia!

maj 1968 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty trzeci rok Kresu, szesnasty rok Pokoju, Wieczna Rewolucja

- Traktujesz bój jak zabawę - wypomniała mu zhora, gdy już było po wszystkim. - Obaj tak go traktujecie. Głupi mężczyźni.

Schowali konie za skałą i stanęli na drodze, którą zmierzał pościg. Kutrzeba, używający wówczas mausera z 1965 roku, którego magazynek mieścił osiem naboarów, zdołał zastrzelić dwóch komisarzy i zastrzelić konie pod pozostałymi trzema, nim dopadła do niego reszta oddziału pościgowego. Kilku ludzi strzelało z siodeł, ale chybiali w pędzie. Szuler nawet nie musiał odmieniać torów ich kul.

Pozostali przy życiu komisarze poderwali się na nogi błyskawicznie. Zaszumiały czarne skrzydła.

Szuler zignorował demony. Skoczył między ludzi, strącając jeźdźców z siodeł potężnymi ciosami. Miotał się między nimi,

rycząc z uciechy, jak wtedy, gdy był jeszcze dzikim rozbójniczym bogiem. Zaskoczeni i przerażeni napastnicy zatrzymali się. Siekli szablami na ślepo, czasem raniąc siebie nawzajem.

Trzeciego komisarza Kutrzeba zastrzelił z pistoletu. Wpakował dziewięć kul w wyszczerzony pysk bestii, nim czarne monstrum padło wreszcie, szarpiąc się jeszcze na ziemi i otulając bezwładnymi skrzydłami.

Demony Rewolucji, choć nosiły przy sobie broń, niechętnie jej używały. Przyzwyczajone raczej do dowodzenia niż uczestniczenia w bitwie, wolały polegać na zębach i pazurach. Dwa ostatnie zaatakowały Kutrzebę, starając się zahipnotyzować go węzowym sykiem. Mężczyzna uwijał się między nimi, tnąc szablą po skrzydłach i kpiąc z potworów, naśmiewając się z ich nieudolności.

A gdy było już po wszystkim, opadł na kolana i śmiał się z ulgi, szczęśliwy, że nareszcie zdołał uwolnić nabrzmiewające w nim przez całą tę podróż nienawiść i zniechęcenie. Ocaleli z grupy pościgowej ludzie przyglądali mu się z przerażeniem. Wciąż miał na sobie płaszcz i kaszkiet ze skóry demona, toteż widzieli w nim jednego z komisarzy. Nie byli pewni, czy to on się zbuntował przeciw władzy, czy też zabił buntowników, spodziewali się jednak, że ukarze ocalałych bez względu na to, czyją trzyma stronę.

Zadziwił ich.

- Numer 1009, towarzysz strażnik - rozpoznał znajomego wśród mężczyzn, których Szuler pozostawił przy życiu.

- Towarzyszu! - Zaskomlał strażnik. - Ja musiałem, kazali mi!

- Donieśliście na mnie. - Gdy Kutrzeba pochylał się nad nim, strażnik skulił się jeszcze bardziej, oczekując ciosu. - Wstańcie. Jesteście wolni. Wszyscy.

Nie wierzyli. Odchodzili, oglądając się cały czas za siebie, spodziewając się strzału w plecy.

- I to ja niby zaraziłem się od Rostowa. - Szuler pokręcił z niedowierzaniem głową. - Myślisz, że dadzą im opowiedzieć innym o tej walce? Rozstrzelają ich i tyle.

- Ale najpierw przesłuchają. I komisarze będą wiedzieć. Myślisz, że oni nie rozmawiają między sobą? Nie opowiadają sobie legend? A może któryś z tych tutaj wykaże się rozsądkiem i ucieknie?

- Legenda demonów... - zamyślił się Szuler.

Cztery lata później, gdy bóg opowiedział mu o Wandzie, patronce bogów, Kutrzeba zastanowił się, czy sam nie podsunął mu tej szalonej idei właśnie tamtego dnia, gdy z taką ulgą zabijali komisarzy, a z mora urządziła im burę, z powodów, których nie rozumieli. Aż Szuler pojął je chyba, bo odszedł.

Rozdział 4

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, Samotna Góra*

Zmora podpowiadała Kutrzebie ścieżki, gdy wspinali się na strome wzgórze. Szczęśliwie skałę zarosły trawy i krzewy, i to ich korzenie ułatwiały wędrówkę. Gdy brakowało korzeni, wbijali noże w ziemię jak najgłębiej. Nie zabrali ze sobą sprzętu do wspinaczki, bo na cóż miałyby im się on przydać na Dzikich Polach? Magazyny „Batorego” mieściły zapewne sprzęt na każdą okazję, zapasy te jednak przepadły wraz ze sterowcem.

Oczywiście, gdyby na przykład poślizgnął się, upadł i zaczął staczać się po zboczu, mógłby liczyć na pomoc Szulera. O ile ten w ogóle zauważyłby wypadek w swoim obecnym stanie. Z zaciśniętymi zębami wspinał się tuż za Kutrzebą, skupiony przede wszystkim na swoim gniewie i rozpacz.

Zbliżała się dziesiąta wieczorem, gdy dotarli wreszcie do murów pałacu. Szuler podsadził Kutrzebę, by ten wspiał się na wysoki mur i sprawdził, czy nie ma w okolicy strażników. Ledwie otrzymał zapewnienie o bezpieczeństwie, bóg przesadził przeszkodę jednym susem.

- Mogły tu być jakieś magiczne zabezpieczenia - syknął Kutrzeba już po drugiej stronie. - Nie spieszysz się aby za bardzo?

Szuler nie odpowiedział. Skradał się już ku pałacowi Czarnomora, głuchy na ostrzeżenia. Kutrzeba pokręcił głową. Zupełnie jakby się zamienili miejscami i teraz to on pełnił rolę tego rozsądniejszego, chłodniejszego. Niezbyt mu to odpowiadało.

Powędrował za bogiem, uważnie rozglądając się po otoczeniu. A było na co popatrzeć, bo nawet w świecie pełnym cudów czegoś tak dziwnego dotąd nie widział. Magik zbudował pałac z fragmentów podpatrzonych chyba w wszystkich możliwych stylach architektonicznych. Choć z tęsknoty za ojczyzną starał się nadać budowli iście rosyjski charakter, obdarzając go mrowiem wież, których kształtów daremnie szukać poza prawosławiem, równocześnie zafascynowały go widać sukcesy rewolucji, bo wieże te wyrastały z ponurego betonowego bunkra, otoczonego kolejnym murem, zaopatrzonym w blanki i baszty niczym średniowieczny zamek. Wszystko to przyozdobiono malunkami i hasłami sławiącymi wielkość Czarnomora oraz wątpliwej urody ozdobami z kości i skór pokonanych przez niego wrogów.

Kopuły wież spływały złotem, okna pyszniły się wielobarwnymi witrażami. Drogę wiodącą do bram pałacu wyłożono masą perłową i przyozdobiono dodatkowo palami, na których osadzono wypchane ciała komisarzy i

czerwonoarmistów. Wszystko to, zdaniem Kutrzeby, było spełnieniem marzeń szalonego, niedojrzałego umysłu. Jakby okrutne dziecko zdobyło absolutną władzę i nie widząc różnic między snem i jawą, ludźmi i zabawkami, spełniało każdy swój kaprys.

Przyspieszył, by dopaść Szulera i powstrzymać go przed szturmem na pałac.

- Czeka! Niech nasi podniosą raban. Powinni już zacząć!

Nie padły jednak żadne strzały, nic nie odciągnęło uwagi strażników. Albo reszta grupy odstąpiła od szturm, albo przepadła.

maj 1971 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty szósty rok Kresu, dziewiętnasty rok Pokoju, Kraków

- Jak kamień w wodę. - Korycki sam nie wiedział, czy bardziej irytuje go fakt, że jego ludzie zawiedli, czy niewzruszony wyraz twarzy tego drania po drugiej stronie stołu. - Sprawdzam dla ciebie ludzi z tej listy, Mirku, i o dwóch nie mogę się dowiedzieć nic a nic. Trzech nie żyje. Dwóch rozpłynęło się w powietrzu. Jeden... - zawiesił głos, obawiając się choćby wymówić nazwisko mężczyzny, którego losy były mu znane.

Wiedział, że człowiek przed nim, z którym współpracował tak długo, że połączył go z nim jakiś rodzaj bliskości więcej niż zawodowej, to pozbawiony wyrzutów sumienia zabójca opętany ideą zabicia tamtych sześciu. Cała ta szóstka miała

wiele krwi na rękach, możliwe, że więcej niż on i Kutrzeba. A jednak wiedział, że w tym przypadku nie może zostawić mścicielowi wolnej ręki. – Ten ostatni jest poza twoim zasięgiem. Poza moim zresztą też.

– Zabijałeś... zlecałeś już zabijanie prawdziwych szych.

– Ale nie takiej. Zresztą gdyby nawet – to byli ludzie obcy. A skoro mogłem ich dosięgnąć, to znaczy, że się zużyli, że przegrali, nawet jeśli sami o tym jeszcze nie wiedzieli. Zabicie jednak kogoś takiego jak on, gdy znajduje się prawie u szczytu powodzenia, jest niemożliwe. Rozpętałbyś piekło.

– Coś bardzo starasz się mnie zniechęcić.

„Bo jeśli się porwiesz na tamtego, nie będziemy już dłużej po tej samej stronie, baranie!” – Korycki miał ochotę powiedzieć to na głos. Może nie podlegał formalnie Jakubowskiemu, ale tak naprawdę nie było w krakowskich służbach ludzi, którzy nie pracowaliby ostatecznie dla Kolei Galicyjskich. Nawet pozorna niezależność generała niewiele pod tym względem zmieniała.

– W ten czy inny sposób służę miastu – wyjaśnił, mając nadzieję, że to wystarczy. – W tej chwili ten facet to znaczna część tego miasta. Rozumiesz? To nie jest jakiś tam dorobkiewicz. To gość, który tu rządzi, a co gorsza, jego cele są zbieżne z celami tych, dla których pracuję.

Osiągnął tyle, że Mirosław się wkurzył. Choć wyraz twarzy mu się nie zmienił, jego oczy rozbłysły taką furją, że aż strzegący nieodmiennie Koryckiego Szarak oderwał się od pochłaniania zupy, powstał ze zlania resztek wszystkich

innych gotowanych w tym tygodniu zup, i sięgnął po zawsze leżącą pod ręką pałkę.

- Zabili ponad tysiąc osób - przypomniał Kutrzeba głosem, w którym było słycać tłumioną wściekłość. - Nawet jeśli ostatnie nie zginęły już na twoim terenie.

Pociąg, który wykoleił się pośrodku kręgu ze świńskiej krwi. Wielicki plac targowy, którego zapadnięciu się nie poświęcono należytej uwagi, pozornie dlatego, że stanowiło to spełnienie przepowiedni sprzed wieków. I wreszcie sierociniec, który spłonął daleko od Krakowa, na skraju wsi leżącej poza wpływami Koryckiego. Po wszystkich trzech katastrofach władza Jakubowskiego rosła. A Koryckiemu zakazano zajmować się tymi sprawami.

- Od tego czasu on mądrzał - odpowiedział Kutrzebie, w przeciwieństwie do niego w pełni panując nad głosem, choć też czuł wzbierającą złość.

Dlaczego potwór z wyżyn społecznych miałby uniknąć losu potworów z nizin? Odpowiedź była prosta: bo takie są wieczne zasady rządzące światem. Tak było przed Kresem, w jego trakcie, tak jest teraz i będzie w przyszłości. A on wystarczająco długo żył w cieniu wielkiej i małej polityki, by nie tracić teraz nerwów na sprawy, których nie jest w stanie ugryźć. Znał swoje miejsce.

- Nie tylko my wpadliśmy na jego trop. Ktoś, kto naprawdę wiele znaczy, porozmawiał z nim i wyjaśnił, że podobne wypadki nie powinny zdarzać się więcej w okolicach Krakowa czy Lwowa.

- I to wystarczy?

Wystarczyłoby, gdyby nie te dzieci. Dranie spalili je żywcem, by nakarmić potworne bóstwo ich bólem.

- Powiem tak, Mirku. Nie mogę ci pomóc w dotarciu do niego. Ale znajdź sposób na wywabienie go. Jak najdalej stąd. Tak, żebym nie musiał ci przeszkadzać.

- To wszystko, na co mogę liczyć?

- Nie jestem sam. Nie wydałem cię, ale oni wiedzą już, że ktoś na nich poluje i pociągają za sznurki. Lepiej będzie dla nas obu, jeśli się przez jakiś czas nie zobaczymy. Co ci powiem na pożegnanie, to tyle, że każdy ma wrogów, nawet najpotężniejszy człowiek na świecie. Znajdź jego wrogów, Mirku, bo sam nie dasz rady. Ty jesteś na niego za mały i ja jestem na niego za mały, i obaj razem wzięci też. Znajdź kogoś odpowiednio dużego, a może ci się uda.

- Polecisz mi kogoś? - Zapytał Kutrzeba, wstając.

- Ja? Ja nie znam tak wielkich ludzi. Ale zainteresowałbym się na twoim miejscu pewnym krakowskim Marsjaninem. Czytałem gdzieś, że Jakubowski wygryzł go kiedyś z Rady Miasta.

Kutrzeba skinął głową.

Odszedł, nawet się nie żegnając.

- I z łaski swojej, jeśli znów planujesz zostawić za sobą górę trupów, zrób to na tyle daleko, żebym jej nie widział! - Zawołał za nim Korycki.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, Samotna Góra*

Jedenaście ciał w białych sukniach, o twarzach zasłoniętych welonami, otaczało przemieniony w ołtarz stół, na którym rozciągnięto dwunastą pannę młodą. Dłonie pomordowanych dziewczyn poprzybijano wokół okrągłego blatu, a ciała rozłożono tak, by rozchodziły się odeń promieniście. W stworzonym w ten sposób kręgu wciąż ziała wyrwa, miejsce na ostatnią ofiarę.

Czarnomor klął, wrzeszczał, ale nie mógł nic powiedzieć. Przywiązany do krzesła, pozbawiony brody, był bezsilny. Wszyscy jego słudzy słuchali teraz nowego pana, czarownika potężniejszego od niego.

Mioczka krążył wokół stołu na grzbiecie olbrzymiego wilka o jaśniejących złoto oczach.

Opowiadał zwierzęciu o swojej wizji, o potędze technologii powiązanej z czarami. Przeklinał swych niegdysiejszych towarzyszy, którzy zdradzili go, porzucając beztrosko „Batorego” ze strachu przed mocą Wiekuistej Puszczy. Kutrzeba nie zwracał na niego uwagi.

Skupiał się na przywiązanych obok Czarnomora Burzymurze, Sarze i Jaśku. Grabińskiego nie było między nimi. Czy zginął? Na myśl o tym Mirosław poczuł cień żalu. Niewielki. Kim był dla niego stary pracownik kolei? Tylko wspomnieniem z czasów, gdy ze względnie szczęśliwego

człowieka zmieniał się w pozbawionego złudzeń mściciela. Grabiński to ostatnie ogniwo łączące go z minionym życiem, ostatni człowiek, który znał go i pamiętał innym. Jeśli zginął, to może i dobrze się stało. Zwłaszcza, jeśli zginął, walcząc. Lepiej chyba tak niż z przepicia.

Ale jak do tego mogło dojść?

- Jasiek - podsunął rozwiązanie Szuler. - Jasiek musiał wykręcić jakiś numer.

Przyglądali się scenie ukryci na tarasie. Czarnomor zaopatrzył swój pałac w takie mrowie tarasów, fikuśnych balkonów i pokręconych zewnętrznych klatek schodowych, że wspólnie tworzyły one odrębny świat. Sądząc po odchodach, zamieszkiwały go głównie ptaki. Część z nich, głównie drobnica, zamiast spać zwyczajem dziennych ptaków, zgromadziła się teraz wokół sali balowej, zmienionej przez Mioczkę w coś, co pewnie miało być świątynią. Poćwierkiwały cicho, jakby starały się porozumiewać ptasim odpowiednikiem szeptów. Niektóre zerkały znacząco na Kutrzebę, ale ani on, ani Szuler nie rozumieli ptasiej mowy. Wszystkie uważnie śledziły wydarzenia wewnątrz sali. Zdaniem Kutrzeby wyglądały na zniecierpliwione.

- Musimy coś zrobić - domagał się bóg, a zmora mu przytakiwała.

Ba, ale co? Gdyby wtargnęli do środka, mogliby co najwyżej zginąć. Nawet mocy Szulera nie starczyłoby na wszystkich żołnierzy Mioczki. A służyły mu teraz i wielkie opętane niedźwiedzie, i dzikie psy, i ożywione szkielety, i

martwiaki. Jakieś rusałki o szalonych oczach. Gromady upiorów ściśnięte pod ścianami. A także ludzie, Kozacy z przeklętych sotni, ubrani wyłącznie na czarno, uzbrojeni w szable ozdabiane ludzkimi kośćmi. Wszyscy oni zgromadzili się w zaimprovizowanej świątyni.

- Wydaje mi się, że on jej nie chce zabić. - Mirosław spróbował uspokoić Szulera.

- Oczywiście, że nie. - Bóg aż się zatrząśł. - On wie, kim ona jest. Chce ją skazać ofiarą z ludzi. Prawie mu się udało, brakuje tylko jednej! Zabiją jeszcze tylko jedną dziewczynę i dopełnią rytuału, a moja Wandzia...

„Jeszcze jedną dziewczynę” - powtórzył Kutrzeba w myślach. Zastanawiał się gorączkowo. A jakie to ma znaczenie? Ile już teraz mogło pozostać w Wandzie z tej radosnej panny, którą dwoje patronów poskładało kiedyś z potrzaskanej psychiki dziecka i kawałków boskich dusz? Zabito na jej oczach jedenaście młodych kobiet. Nawet jedna to byłoby za dużo. Ale czy bóg mógł to zrozumieć? Szulerowi się najwyraźniej zdawało, że świat to przede wszystkim magia i rytuały, że wszystko da się odczarować i zaczarować, a psychika to tylko jeszcze jedno zaklęcie. Czy mógł mieć rację? Może znowu uzdrowi jakoś magicznie Wandę, jeśli tylko rytuał Mioczki się nie dopełni? Zresztą, może tamci nie mają tej dwunastej? Czarnomor zgromadził wokół Wandy tylko jedenaście panien, by ukryć ją wśród nich przed Mioczką. Skąd nawiedzeniec weźmie dwunastą? Czy ten przeklęty magik miał tu jakieś służące? Ale co to za ofiara -

ze służącej?

Co za głupie myśli! Jak niby mają uratować tę dziewczynę? Wtargnąć tam, strzelając na oślep?

Mioczkę Kutrzeba mógłby zabić. Nim wyruszyli, wydusił od Nowakowskiego imiona demonów, które mieszkały w nawiedzeńcu. Podczas podróży wypisywał je cierpliwie na srebrnych kulach, teraz więc dysponował dwoma magazynkami pocisków zabójczych dla wszystkich mieszkańców ciała i duszy niegdysiejszego kapitana „Batorego”. Ale co poza chaosem przyjdzie im ze śmierci Mioczki? Pozostanie cała jego armia. Jak ją pokonać?

Mirosław nie miał czasu na planowanie, bo Mioczka rozwiązał problem brakującej ofiary. Skinął na swoich ludzi, a oni pociągnęli ku ołtarzowi Sarę. Związana i zakneblowana Cyganka nie mogła się przed nimi bronić. Nawet jeśli mamrotała pod kneblem jakieś zaklęcia, jej starania nie przynosiły efektów. Burzymur szarpnął się wściekle, ale nie zdołał zerwać więzów. Jasiek płakał.

Mioczka uśmiechnął się triumfalnie i podjechał na wilku, osobiście przybić Sarę do stołu, a potem poderżnąć jej gardło.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Urznąłbym łeb temu kogutowi - rozmarzył się Czus. -

Bydlak co chwilę zerka na mnie złośliwie, jakby planował mi coś zrobić.

Siedzieli przy ognisku, zając kolację z zapasów zabranych z Przystani Carogrodu. Nawet Nowakowski przystał na to, by skosztować pieczonego dzika, po tym jak Czus zachwalał mu jego smak.

- To dziwny ptak - zgodził się Marsjanin. - Mądrzejszy niż się na pierwszy rzut oka wydaje. Może czarownik zaklął w nim swoją śmiertelność? Albo duszę?

Rosjanie jak zwykle wystawili warty, a Jakubowski jak zwykle nie przejął się tym i wystawił własne. Napięcie między sojusznikami narastało z każdym dniem podróży. Ono także nie podobało się Czusowi. Prawie marzył, by spotkali wreszcie wroga. Pomogłoby to im zapomnieć o niesnaskach w ich oddziale.

- Czy te zapasy z kosmicznego statku są rzeczywiście aż tak ważne, byśmy pchali się w całą tę kabałę? - Wypytywał Marsjanina. - Co innego podróżować sterowcem, wtedy to rozumiem, mieliśmy przewagę, ale teraz?

- Ładunek, który ukradli czerwoni, jest najważniejszy na świecie - zapewniał go nieodmiennie Nowakowski. - Ale to nie wszystko.

Oczywiście, że nie. Tajemniczy sojusznik Czusa miał rację, mówiąc, że dwóch wielkich panów opętała rywalizacja i nie tylko jeden drugiemu nie ustąpi, ale też będą się nawzajem popychać ku coraz większym szaleństwom. Tamten mężczyzna uważał, że w razie konfrontacji Rosjanie staną

raczej po stronie Marsjanina, nie Polaków. Ale czy taka myśl mogła pocieszać Czusa? A może nie staną po niczyjej stronie, tylko poczekają, aż jedni i drudzy pomordują się nawzajem, a potem dobiją rannych?

- To nie wszystko, panie - przytaknął. - Jest jeszcze ten Kutrzeba. I Mioczka. Jakby nie dość nam było wrogów.

- Kutrzeba nie jest naszym wrogiem, Franciszku. Sądzę, że prędzej sojusznikiem przeciw Jakubowskiemu. Cokolwiek łączy tych dwu, działa na naszą korzyść.

W tym kłopot z Marsjaninem, westchnął Czus, zachowując jednak tę uwagę dla siebie. Nowakowski wszędzie widział szanse i korzyści, nigdy ryzyko. Wyprawa w głąb Dzikich Pól, by wyciągnąć tam rywala i być może stoczyć bitwę z jego flotą powietrzną? Wspaniała okazja! Zatrudnienie przy tej wyprawie tajemniczego, realizującego własne cele zabójcy? Cóż za potencjał tkwi w takim rozwiązaniu! I tak bez końca. Wszystko, co zniechęciłoby rozsądnie myślącego człowieka, tylko rozpalało wyobraźnię Marsjanina. Mimo klęski w wojnie z ludźmi, nadal nie był w stanie pojąć, że nie wszystko, co napotyka na drodze, stanowi okazję do wykorzystania.

- Po twoich westchnieniach poznaję, że się ze mną nie zgadzasz.

- Martwię się, panie, że straciliśmy inicjatywę.

- Nie straciliśmy jej, Franciszku. Jedynie operujemy teraz na większej ilości zmiennych. Uwierz mi jednak, że wszyscy nadal realizują moją wolę. Jest nawet ciekawiej, bo teraz

muszę działać ostrożniej, sprytniej... Jakież to doświadczenie! O, witam pana majora przy naszym ognisku. Zapraszamy na kolację.

- Dziękuję, niestety nie mogę skorzystać. Służba. - Talienin podszedł i ukłonił się sztywno. - Wybaczcie, panowie, że przeszkadzam w posiłku, niemniej otrzymałem nowe, niezbyt pomyslnie wieści. Zgubiliśmy trop. Oddział czerwonych uwożący wasze, marsjańskie skarby jakby rozplynął się w powietrzu.

- Odnalezienie ich będzie takim problemem? - Zdziwił się Nowakowski.

- Niestety opuściliśmy już ziemie hrabiego Rostowa, gdzie nawet źdźbła trawy były po naszej stronie. Dzikie Pola są nam mniej przyjazne, możemy liczyć tylko na siebie i naszych zwiadowców. Pan Jakubowski zobowiązał się wezwać sterowiec, być może wyparzą czerwonych z powietrza. Chciałbym jednak prosić, by pan i pańscy ludzie mieli się na baczności. Zniknięcie czerwonych może oznaczać, że szykują na nas zasadzkę.

- Natychmiast wydam odpowiednie dyspozycje. Franciszku?

- Natychmiast, proszę pana.

Gdy Czus powrócił do ogniska, zastał przy nim niespodziewanie Jakubowskiego. Senator przybył w towarzystwie swojego milczącego maga. Czarodziej skinął słudze głową na powitanie, jednak gdy Czus usiadł obok niego, odsunął się odeń znacząco.

- ...nie musimy być wrogami, a nawet przeciwnikami - mówił Jakubowski. - Drogi panie Nowakowski, rywalizacja nie musi oznaczać wrogości. Niechże pan się zastanowi, ile moglibyśmy działać wspólnie! Dla przykładu, zamiast jednym, dysponowalibyśmy teraz trzema sterowcami!

- Ma pan wiele racji. Ale czy pańska frakcja nie opowiada się zdecydowanie przeciw Marsjanom, jak nas nazywacie?

- Nie przeciw wam, ale przeciw kontrolowaniu przez was technologicznego rozwoju ludzkości. To nie czyni nas wrogami. Proszę się nad tym zastanowić. I pan, i ja mamy prawdziwych, wspólnych przeciwników.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, zbocze Samotnej Góry*

- Ładni mi przyjaciele! - Pomstował Grabiński, wędrując ku rozświetlonemu pałacowi. - Sojusznicy... Sukinsyny!

Pocierał obolałą głowę. Burzymur przyłożył mu zapewne wedle swego przekonania lekko, ale Grabińskiemu ciągle huczało w głowie od ciosu wielkoluda. Co za durnie! Przystanął, by pociągnąć łyk z gąsiorka, który na szczęście zostawili przy nim razem z końmi i resztą zapasów. No dobrze, kretynem okazał się Jasiek, któremu całkowicie odebrało rozum. Ledwie na odległość rzutu kamieniem zbliżyli się do bramy otaczającego pałac muru, a dzieciak zaczął gadać o przeznaczeniu i sile opowieści. Grabińskiego

od razu ogarnęły złe przeczucia, zrozumiał, że ciężko będzie upilnować smarkacza. Ile by Jasiek nie miał lat, większość z nich przeżył w przekonaniu, że czeka na niego właśnie taka chwila, że stanie kiedyś u wrót pałacu, w którym zły czarnoksiężnik więził będzie piękną dziewczynę. Trudno, żeby zatem w takich chwili słuchał Kutrzeby czy Grabińskiego.

Pod pałacem wyciągnął nie wiadomo skąd sówkę, niewiele większą od pięści, i o czymś z nią po sowiemu rozmawiał. A im dłużej gadali, tym gorsze przeczucia miał Grabiński. Wcale się zatem nie zdziwił, gdy Jasiek, ledwie odesłał ptaka, oświadczył, że strategię strategiami, ale on wyrusza uwolnić Wandzię, bo nie ma takiej strategii, która równałaby się mocy przeznaczenia. Zresztą - oświadczenie to dopełniło grozy i natchnęło Grabińskiego przeczuciami jak najgorszymi - on też ma własne asy w rękawie.

Niemniej Jaśka Grabiński był jeszcze w stanie zrozumieć. Podobnie jak Burzymura.

- Ja z tobą, Jasieńku! - Zawołał wielkolud, zacierając ręce.
- Taki mi się bracie podobasz! Dzielny, prawdziwy!

- I durny - podpowiedział Grabiński. A rozumiejąc, że tych dwóch głupków zaraz wyruszy na samobójczą misję, a co gorsza sprowadzi śmierć na pozostałych, dodał: - Saro, wytłumacz tym kretynom, że to nie bajka!

I właśnie postępkowi Sary nie mógł się nadziwić. Miał dziewczynę za rozsądną. Owszem, zauważył, że skrywała uczucie do wielkoluda, którego sama opętała urokiem, co

wyglądało niczym historyjka z tanich romansideł. Niemniej poza tym sprawiała wrażenie czarownicy stojącej twardo na ziemi. A tu masz. Gdy Burzymur zezował nerwowo na Grabińskiego, niepewien jak powinien postąpić, a Jasiek przybrał minę skrzywdzonego dziecka, to właśnie Sara spętała byłemu inspektorowi kolejowemu ręce urokiem.

- Wybaczcie, panie starszy - powiedziała.- Ale wiem, żeście szybcy w sięganiu po broń i wierni tamtemu *mulo*. Nie ma zatem pewności, co by wam mogło do głowy strzelić.

- Saro! - Jęknął - I ty przeciwko mnie? Co tam mnie! Przeciwno rozsądkowi! Przecież wiesz, że zginiecie! Plan Mirka ma przynajmniej jakieś szanse powodzenia!

- Wy, miejscy ludzie, mało wiecie, mało rozumiecie. - Cyganka uśmiechała się wcale wesoło. - Wam się zdaje, że stare czasy nie całkiem przeminęły. Ale nie ma tak źle. Dlatego zostaniesz tu, panie starszy. A my odbijemy Wandę. Bo jak to całe ratowanie zostawimy złemu człowiekowi i jego duchom, to Jasiek będzie musiał obejść się smakiem. A to go zabije, panie starszy. Powoli, okrutnie zabije.

- Bardziej niż kula w łeb? Albo nóż w serce? Saro, Saro, to nie jest bajka! Daliście się uwieść magii tej krainy, ale to nie baśń!

- Ucisz go, Burzymurciu, tylko delikatnie - poleciała czarownica. - Nie mogę go cały czas pętać urokiem, będą mi potrzebne wszystkie siły. Pan wybaczy, panie starszy. - Pogłaskała Grabińskiego po policzku i to było ostatnie, co zapamiętał.

Nie mogła go, przeklęta baba, uspić jakimś ziołem?

Teraz pewnie wszyscy już nie żyją. I Czarownica, i wielkolud, i Jasiek. I pewnie nawet Kutrzeba z Szulerem, choć ci akurat wydawali się prawie niezniszczalni. Wszyscy nie żyją.

A jednak tam szedł. Chyba po to, by nakłść wielkoludowi po gębie, jeśli będzie jeszcze żywy, a przynajmniej związany. Bo przecież nie po to, żeby ich pomścić albo ratować. Sam jeden? Musiał być albo trzeźwy, albo głupszy od nich.

Z własną głupotą walczyć nie umiał, ale trzeźwość miał czym pokonać. Pociągnął następny łyk z gąsiorka. Lekarstwo jednak nie podziałało. Nie zawrócił.

Zresztą, co miałby robić sam na Dzikich Polach?

Gdy dotarł pod mur, gąsiorek był już pusty. Grabiński przyglądał się smutno opróżnionemu naczyniu, zastanawiając się, co mówi o nim fakt, że potrzebował ledwie kilkudziesięciu kroków, by wypić tyle czarciego mleka. Potem spojrzał na zachęcająco uchyloną bramę.

- Jakby na mnie czekali - mruknął. - Czyli pułapka. Albo uznali, że nie ma się czego bać, bo zaatakowali ich skończeni głupcy. I jeden rozsądny, ale pijany.

Wyjął jeden z rewolwerów. Odciągnął kurek i ostrożnie zajrzał za bramę. Nikogo jednak nie było. Czy go zlekceważyli, czy też byli przekonani, że złapali wszystkich wrogów i pognali na kaźń jeńców albo zaślubiny? A może na jedno i drugie równocześnie, bo kto tam może wiedzieć, jak czarownik lubił się zabawiać na weselu?

Prawie krzyknął, gdy niespodziewanie na ramieniu wylądowała mu sówka. Pisnęła, jak mu się zdało, zachęcająco.

- Pijacki dar mówienia językami jest przereklamowany, moja droga. Nic a nic nie zrozumiałem.

Wtedy ptaszek poruszył głową, najwyraźniej wskazując w górę. Grabiński spojrział w wskazanym kierunku i ujrzał chmary ptactwa zbierającego się wokół pałacu. Zwierzęta unosiły się ciemnymi chmurami nad dachem, obsiadały liczne tarasy i balkony.

- Mówisz mi, mała, że jeszcze nie wszystko stracone? - Uśmiechnął się.

Poczuł żal, że nie zabrał ze sobą drugiego gąsiorka. Tych parę łyków w piersióweczce w kieszeni kurtki to tyle co nic. Te parę kropel w drugiej, i prawie nic w manierce przy pasie, też właściwie nie robiły różnicy.

- Czyli ruszamy? - Zapytał sówki, wyjmując drugi rewolwer.

Ptaszek pokiwał ochoczo główką i wykrzywił dziób - Grabiński przysięgłby, że tak właśnie było: w uśmiechu.

Rozdział 5

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, Samotna Góra, Pałac
Czarnomora*

Kutrzenie nie uśmiechało się spełnianie ptasich poleceń. Cóż, gdy na ramieniu siedział mu tłumacz, reprezentujący całą tę nienaturalnie cichą hałastrę. Dopiero co uciekali przed jedną ptasią armią, a teraz mieli zdać się na inną?

- Już czas! - Powtórzył ludzkim głosem kruk, który chwilę wcześniej usiadł mu na ramieniu, łypnął groźnie i nim przestraszony mężczyzna spróbował go strącić, zakrakał, że oni tu, dobre ptaki z Dzikich Pól, pamiętają o swoich obowiązkach wobec tych, którzy wyświadczyli im przysługę. I że prędzej padną w walce, nim odstąpią od spłacenia długu Jaśkowi. - Czas!

Ptaka mógł sobie być nawiedzonym idealistą, gotowym oddać życie za dzieciaka, który dawno temu, z dobrego serca, rzucił okruch jakiegoś wróblowi, ale miał rację. Czas już był najwyższy.

Kutrzeba opróżnił magazynek, rozbijając szyby ze szkła udającego kryształ, dzięki czemu chmary ptaków mogły wdrzeć się do środka. Po nich do sali wbiegli Mirosław z

Szulerem. Bóg nie tracił czasu, od razu ruszył do ołtarza, odtrącając odeń strażników. Pochylił się nad Wandą, pogłaskał ją po głowie i nie przestawał szeptać czegoś do ucha, póki nie odpowiedziała skinieniem głowy. Trwali tak przytuleni, jakby wokół nich nie toczył się bój.

A przecież martwiaki już ku nim biegły. Ptaki rozszarpały bezlitośnie każde stworzenie, które miało choć strzęp ciała na sobie; z upiorami i szkieletami radziły sobie ciut gorzej. Co gorsza, Mioczka ocknął się z zaskoczenia i zaatakował skrzydlatych napastników przy użyciu całego dostępnego mu arsenału. Kutrzeba, biegnąc ku nawiedzeńcowi, odtrącił jakiegoś wilkołaka, zastrzelił trzech Kozaków, po czym prędko wymienił magazynek na ten pełen kul z imionami mieszkających w Mioczce demonów. Następnie strzelił nawiedzeńcowi w głowę.

Mioczka zawył. Opadł na kolana. Obrócił się ku Kutrzebie.

- To pan? - Szepnął zaskoczony. - Właśnie pan? Myślałem...

Kutrzeba wpakował mu w głowę drugą kulę i druga uwięziona dusza zginęła w białym rozbłysku. I trzecia, i następna... Mioczka kulił się, płakał i błagał Kutrzebę, by przestał.

Jakiś umarłak rzucił się na Mirosława i padł, zastrzelony.

- Mirku, weź się przestań certolić! - Zawołał zza niego Grabiński, który w tym właśnie momencie przekroczył próg.

Strzelając prawie bez przerwy, bo przeładowywał opróżnione ledwie co bębunki z niewiarygodną prędkością,

przebijał się ku uwięzionym. Wydawało się, że nie celował. Każdy z jego strzałów roztrzaskiwał jednak czaszki żywych i umarłych. Przerwał ogień tylko na chwilę, by uwolnić więźniów. Nie omieszkał kopnąć Burzymura, nim mu pomógł.

Czarnomor spojrzał nań błagalnie. Grabiński roztrzaskał łeb i jemu.

Uwolniony Jasiek popędził ku Wandzie. Ptaki osłaniały go własnymi ciałami, ale on nie zauważał nawet, gdy ginęły, przyjmując wymierzone w niego ciosy. Stał wreszcie naprzeciw Szulera, ciągle ignorującego toczącą się wokół walkę. Bóg tulił Wandę, milczącą, przygaszoną, niegdyś tak pełną życia, teraz przyglądającą się przybranemu ojcu spojrzeniem, w którym nie było nic prócz pustki i żalu.

- Ja ją obudzę! - Zawołał Jasiek i przez chwilę wydawało się, że Szuler go za to zabije.

Kutrzeba zmienił magazynek, by zabić ostatnie duchy w Mioczce, ale wtedy dzieciaka porwał nagle Wilk Wiatrołap i uniósł za okno. Kutrzeba strzelił za nimi i przysięgłby, że trafił, ale wilk nawet nie zwolnił.

- Zabieramy się stąd! - Krzyknął na pozostałych. - Mamy, cośmy chcieli! Uciekajmy!

Wydawało się, że nikt go nie usłyszał.

Burzymur rozbijał wrogów o ściany, ciskał nimi o ziemię i deptał ich, rycząc wściekle. Sara osłaniała mu plecy, miotając uroki na prawo i lewo. Uśmiechnięty upiornie Grabiński oparł się plecami o jedną z fikuśnych kolumn i nie

przystając strzelać, mówił coś do niewielkiego ptaka siedzącego mu na ramieniu. Inne ptaki opadały chmarami na ludzi i potwory pozbawione przywódców, ale wciąż walczące zaciekle.

A pośrodku tego wszystkiego stał Szuler, trzymając w ramionach Wandę i przyglądając się w milczeniu Jaśkowi, który błagał go, by pozwolił sobie pomóc.

Wreszcie bóg pochylił się nad chłopcem.

- Będzie, co ma być - powiedział. - Rób swoje, dzieciaku.

Wtedy Jasiek, nie zwracając uwagi na mimowolne warczenie wydobywające się z bożego gardła, pocałował Wandę.

Pocałował nieumiejętnie, jak dzieciak, któremu wymienianie całusów z dziewczynami dopiero co przestało się wydawać czymś paskudnym i niegodnym mężczyzny. Czerwony na twarzy z przejęcia, ale i tego ciepłego rodzaju zawstydzenia, jakie towarzyszy pierwszym pocałunkom, okazał się zwyczajnym niezgrabnym, spłoszonym i niepewnym odpowiedzi chłopcem. Nie sposób było dostrzec magię w tym pocałunku, nawet jeśli chłopca i dziewczynę otaczało tornado krwi i śmierci, od którego drżały ściany pałacu, a nad dwojgiem młodych stał bóg, który nie wiedział, czy tracił właśnie nadzieję, czy raczej ją odzyskiwał.

Choć czarownica i jej wielkolud uśmiechnęli się w tej samej chwili, mimo że nie mogli widzieć Jaśka i Wandy, choć zmora w Kutrzebie westchnęła nie jak demon zemsty, lecz jak nastolatka, pocałunek Jaśka był zwyczajnym koślawym

pocałunkiem, jaki wspomina się po latach z lekkim zażenowaniem. Czy raczej byłby taki, gdyby Wanda nie zadrżała nagle i nie otworzyła szeroko oczu.

- Och, Jaśku - szepnęła i od tych słów zadrżał z kolei Szuler. Posłał chłopcu spojrzenie, które z pewnością zrobiłoby na nim wrażenie, gdyby Jasiek widział w tym momencie kogokolwiek poza Wandą.

Młodzi patrzyli sobie oboje w oczy, jakby ujrzeli się po raz pierwszy, a czas zatrzymał się wokół nich. Aż Kutrzeba przerwał, szarpiąc chłopaka za ramię.

- Uciekamy, durnie! Ptaki odlatują, a tamci ciągle mają przewagę!

- Nie bójcie się, panie - szepnęła Jasiek. - Mam ja jeszcze asa w rękę...

Nie dokończył, bo Burzymur, który tym razem posłuchał głosu rozsądku, przerzucił go przez plecy i uniósł ku potrzaskanemu oknu.

Zbiegli po zewnętrznych schodach, przeskakując z balkonu na balkon, szaleńczo, jakby nie wierzyli w okrucieństwo grawitacji. A jednak udało im się. Być może Szuler ocknął się na tyle, że czuwał nad nimi, odmieniając złośliwości losu. Ptaki opuszczały ich. Kruk zatoczył koło nad głową Kutrzeby, zaskrzeczał złowieszczo, że oto dokonało się i odleciał wraz z innymi. W końcu została tylko maleńka sówka, która nie wiedzieć czemu upodobała sobie ramię Grabińskiego.

Przez całą drogę Wanda i Jasiek nawoływali do siebie, jedno niesione przez wielkoluda, drugie przez boga.

Burzymur szczerzył się radośnie, słuchając ich, natomiast Szuler, zwyczajem wszystkich ojców, marszczył groźnie brwi. Ale nie odzywał się.

Gdy dopadali bramy, z pałacu w końcu wyłonił się za nimi pościg spragnionych krwi potworów, które przegrupowały siły.

- Szybciej! Do koni! - Zawołał Kutrzeba.

Zbiegali po zboczu na złamanie karku. Świtało. Pierwsze promienie słońca wspinały się po Samotnej Górze, a gdy dotarły do uciekinierów, zagrały na czymś lśniącym, co Jasiek zdołał wyciągnąć z kieszeni.

- Nie bójcie się! - Zawołał. - Mam ja jeszcze asa!

Kutrzeba rozpoznał przedmiot i zawrócił niemal w miejscu, prawie się wywracając, byle tylko zdążyć wyrwać mu z ręki lusterko, nim chłopak rzuci je za siebie.

- Stój głupcze! - Zawołał rozpaczliwie.

Za późno.

*czerveniec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Wszyscy się spóźnili. I Jewgienij zbyt późno pojął, co się naprawdę działo, i Talienin odkrył zdradę, gdy już przykładano mu od tyłu lufę pistoletu do głowy. Odwrócił się tylko po to, by dostrzec zabójczy błysk.

Czus też poskładał prawie wszystkie fragmenty układanki

w momencie, gdy już było za późno.

Tego dnia jechali niespiesznie, bo nie mieli pewności, dokąd zmierzają. Wstali wprawdzie skoro świt, ledwie zapałał czarny kogut czarodzieja, ale zwijali obóz powoli, oczekując na zwiadowców wysłanych nocą przez Talienina. Zjedli w spokoju śniadanie, popili je kawą, a kilku nawet zapaliło papierosy i cygara. Gdy wreszcie przyjechał wysłany jeszcze nocą na zwiad sierżant Cumierew, zameldował, że ciągle nic, że tamci jakby się pod ziemię zapadli. Owszem, znaleziono jakieś tropy, ale inne, jakiejś jazdy jadącej ku wschodowi dwie godziny drogi od obozowiska. Talienin zwołał naradę. Jakubowski obstawał, by oddalać się od tajemniczej kawalerii, Marsjanin proponował, by wysłać grupę zdolną ją śledzić.

Podczas narastającego z każdym ostrzejszym słowem sporu przybył wreszcie sterowiec, na co Jakubowski napużył się, jakby powietrzny statek miał stanowić ostateczny argument przemawiający za jego propozycją. Mina zmarniała mu, gdy Nowakowski zaproponował, by wysłać sterowiec właśnie w ślad za tajemniczą kawalerią, głównie po to, by odciągnąć jej uwagę. Talienin przystał na to aż nazbyt ochoczo. Po Jakubowskim widać było, że waha się, czy nie postawić na swoim wbrew sojusznikom, westchnął jednak tylko demonstracyjnie i przystał na plan.

Sterowiec ruszył więc ku nieznanym jeźdźcom, a pozostali odjechali w przeciwną stronę. Uradzono bowiem, że czerwoni raczej unikaliby kontaktu z jakimikolwiek

wojskami przemierzającymi Dzikie Pola. Nikt nie narzucał jednak zbyt dużego tempa, wszyscy bali się, że mogą zmierzać w niewłaściwym kierunku.

- A czarodziej nie mógłby wyszukać tamtych magią? - Wymyślił niespodziewanie Czus.

Okazało się, że mag nie znał żadnych czarów, które pozwalałyby mu odszukać żywych ludzi. Gdyby chodziło o przywoływanie duchów, chętnie służyłby pomocą. Żywych umiał jednak co najwyżej pozabijać.

- Ani trochę mu nie wierzę - szepnął Nowakowskiemu Czus, a Marsjanin pokiwał tylko głową.

Jewgienij nie zdziwił się, gdy nakazano im jechać pod bronią, w pełnym rynsztunku. Założył opracowaną w zakładach Jakubowskiego kamizelkę, która ponoć zatrzymywania kule skuteczniej od stalowego pancerza, założył też hełm, przypiął pod ramieniem kaburę z pistoletem. Wroga wprawdzie nie było widać, ale może czarodziej powiedział coś Jakubowskiemu, nawet jeśli twierdził, że nic nie wie?

Zachodził w głowę, o co mogło chodzić w całej tej awanturze. O skarby, na pewno, nic innego nie wyciągnęłoby Marsjanina z miasta. Nie potrafił zdecydować, jak oceniać Nowakowskiego. Nie wyglądał wcale na przebiegłego polityka, zdolnego toczyć cichą wojnę z Kolejami Galicyjskimi. Może miał tęgi umysł, ale tutaj, na Dzikich Polach, sprawiał wrażenie wręcz bezbronnego. Czus przynajmniej próbował poznać przeciwnika, nawiązać nowe

sojusze. Nowakowski zachowywał się prawie jak beztroski dzieciak, zachwycony okazją do nowej przygody. Czy tak traktował całą tę wyprawę? Jako zabawę? A może jedynie grą? Nie lepszy był, prawdę mówiąc, Jakubowski, choć jego łatwiej było Jewgienijowi zrozumieć. Marsjanin rzucił wyzwanie jego obecnemu pryncypałowi, być może wzmocnił je przynętą w postaci Stacha, czy jak on się naprawdę nazywał. Nie pierwszy raz ktoś, kogo Jewgienij obdarzył zaufaniem, okazał się dwulicowym draniem. Pierwszy raz jednak był winien takiemu dwulicowemu draniowi życie.

Dochodziło południe, gdy zatrzymali się na pierwszy popas przy żwawym strumieniu, którego zdawały się nie strzec żadne potwory. Najpierw zajęli się końmi, jak należy, dopiero potem zaspokajając własne potrzeby. Jewgienij ukląkł i pomodlił się na wszelki wypadek do patronów strumienia, czym wzbudził wesołość obserwujących go ludzi Jakubowskiego. Pokpiwali sobie jeszcze, gdy niespodziewanie czarodziej przyklęknął obok Jewgienija i także odmówił krótką modlitwę, a dopiero potem napełnił manierkę wodą.

- Miejscy durnie, co? - Spróbował wykorzystać okazję Jewgienij, ale czarodziej odszedł bez słowa. Patrząc za nim, Jewgienij zatęsknił za czasami, kiedy wszystko było proste. Jeździł z karawanami, wiedział, że musi być gotów zabić każdego, kto stanie mu na drodze, i miał pewność, że ludzie pójdą za nim choćby w ogień. Podczas tej wyprawy znał tak naprawdę tylko Stacha, czyli faceta, który już kiedyś go

zdradził.

Tym razem zdrada nadeszła z innej strony.

Zbierali się do drogi, gdy tamci wypadli jakby spod ziemi. Ledwie o kilkanaście metrów przed nimi, po drugiej stronie strumienia, pojawili się piesi. Dowodzeni przez czarnoskrzydłego komisarza czerwonoarmiści trzymali już karabiny gotowe do strzału.

Pierwsza salwa padła, nim ktokolwiek zdołał otrząsnąć się z zaskoczenia. Jewgienij należał do szczęściarzy, kule ominęły go, widział jednak, jak padali żołnierze w zielonych mundurach i ludzie Marsjanina.

- Formuj szyk! - Głos Talienina przebił się ponad lamenty rannych. Taktyka z czasów napoleońskich nie była jedynym anachronizmem, który widziały już Dzikie Pola. Jewgienij, który kiedyś się przez nie przedzierał, uchodząc z Matki Tajgi, widział już i szaleńcze szarże rycerzy w pordzewiałych zbrojach, wchodzące jak w masło w szeregi nieumarłych, i straceńców ustawionych w czworokąt, by odpierać szarże Kozaków uzbrojonych w broń sprzed wieków.

- Formuj szyk - powtórzył jak echo słowa Talienina kapitan Jakubowski i Jewgienij zdziwił się, że z nim nikt nie ćwiczył tej formacji. „Prawda - uświadomił sobie. - Nie przybyłem tu w roli żołnierza, ale zdrajcy”.

Jak się okazało, nie był jedyny. Ludzie Jakuboskiego wycelowali i strzeli pierwsi, ale nie w czerwonoarmistów, lecz w plecy ustawionych przed nimi Rosjan. Jakubowski osobiście zastrzelił Talienina, wypalając mu prosto w

wykrzywioną zdumieniem i wściekłością twarz. Rosjanin poleciał do tyłu i przez maleńką chwilę Jewgienijowi wydawało się, że spróbuje wstać, jakby pragnienie ukarania zdrady było silniejsze od śmierci.

Ludzie Marsjanina nie zdążyli zareagować. Odpierali szturm czerwonoarmistów, gdy Jakubowski nakazał ostrzelać także ich. Większość zginęła od pierwszej salwy, pozostałych dopadli czerwoni. Minęło ledwie kilka minut i pozostało już tylko dobijanie rannych.

Jedynie Marsjanin, którego najwyraźniej kazano wziąć żywcem, bronił się jeszcze. Osłaniał sobą Czusa i powoli cofał się przed napastnikami. W każdej parze rąk trzymał po nowoczesnym karabinie automatycznym.

- Niechże pan da spokój - zawołał Jakubowski. - Nie chcemy pana zabijać. Jest pan zbyt cenny. Gwarantujemy życie także pańskiemu słudze, jeśli tylko podda się pan teraz.

Nowakowski zważył szanse. Opuścił broń. Walka dobiegła końca.

Jewgienij nie zdążył nawet sięgnąć po szablę. Nic nie znaczył w tym starciu, a pewnie i w całej wyprawie. Spojrzał na Czusa. Wstrząśnięty rzezią sługa Marsjanina nie zauważył tego. Proszę, jak odwróciły się role. Jewgienij pokręcił głową, zdumiony. Sądził, że w razie czego uda mu się schronić pod marsjańską opiekę, a wyglądało na to, że to on znalazł się w lepszej sytuacji.

Nie żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. Nie dysponował żadnymi atutami, które pozwoliłyby mu odmienić los tamtych

dwóch.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Nie mamy zapasów amunicji i żywności, straciliśmy konie
- wyliczał Kutrzeba.

- I alkohol - dorzucił ponuro Grabiński, wciąż sprawdzając, czy czegoś sobie nie złamał. Nie mógł się nadziwić, jakim cudem przeżyli.

Gdy Jasiek cisnął za siebie magiczne lustro, przedmiot, zwyczajem obiektów tego rodzaju, zmienił się w jezioro, ledwie uderzył o ziemię. Teoretycznie takie magiczne cudeńka służyły uciekinierom w wielu opowieściach, pozwalając odgrodzić się od pościgu, a czasem nawet topiąc gnębicieli. Nikt dotąd jednak nie wpadł na pomysł stworzenia magicznego jeziora na stromym zboczu wzgórza. A że nawet najbardziej zaczarowane jezioro nie było na tyle magiczne, by oprzeć się grawitacji, kiedy Jasiek zagrał swoim asem z rękawa, niezmiernie ilości wody runęły na nich z siłą potężnej górskiej rzeki, by porwać ich i unieść ku dolinie.

- I alkohol - uzupełnił listę Kutrzeba. - Chociaż w to, że nic ci nie zostało, akurat nie uwierzę. O czymś ty myślał, Jaśku?

- Żeby nas ratować - bąknął chłopak. Siedział u boku Wandy i pozwalał jej głaskać się po głowie. Dziewczyna

spojrzała na Kutrzebę z wyrzutem.

- Tyleśmy przeszli! - Odezwała się jak zwykle: słodko i uroczo. Kwiaty zdawały się kwitnąć od brzmienia jej głosu. - A pan się ciągle gniewa!

Ledwie wygrzebali się na brzeg rozpełzającego się po dolinie jeziora, zdumieni faktem, że udało im się przeżyć, uciekli jak mogli najdalej od góry, poganiani przez Kutrzebę. Wreszcie i jemu zabrakło sił. Pozwolił im zatrzymać się na chwilę.

- Przeżyliśmy cudem - nawet Kutrzeba nie był zdolny rozmawiać z dziewczyną ostrym tonem, choć wyraźnie miał na to ochotę. - Uratowała nas siła Burzymura i moce Szulera. Które ledwie przeważały potęgę głupoty twojego chłopaka, dziewczyno.

- Chciał dobrze - szepnęła Wanda, cała zarumieniona. Pierwszy raz ktoś nazwał Jaśka „jej chłopakiem”. Uśmiechnęli się oboje. Najwyraźniej uważali całą tę sytuację za nadzwyczaj romantyczną.

- Czas się zbierać - zameldował Burzymur obserwujący niegdysiejszych żołnierzy Czarnomora zbierających się pod Samotną Górą. - Tamci podjęli decyzję. Ruszą za nami.

Koni ani sprzętu nie odnaleźli. Nieszczęsne zwierzęta, których nikt nie starał się ocalić w nadprzyrodzony sposób, najpewniej potonęły. Nie mieli czasu szukać ich ciał.

Woda rozplywała się powoli, tworząc teraz raczej bagno niż jezioro. Widząc to, mieszkańcy pałacu ruszyli ostrożnie w dół zbocza.

- Wrócił do nich ten wilk z Mioczką. - W jaki sposób Grabiński dostrzegł to z oddali, Kutrzeba nie wiedział. - Nie zabiłeś go jednak, Mirku.

- Zostały w nim ze trzy dusze, gdy porwał go wilk. I może jego własna na dodatek. No dobra, zbierajcie się. Szuler, Burzymur, liczę, że zostaniecie ze mną.

Zaskoczył wszystkich, łącznie ze zmorą. Tak mu się to podobało, że aż się uśmiechnął.

- Część z nich jest konno, my jesteśmy pieszo. Jest ich z dziesięć razy więcej niż nas. Nie uciekniemy. Nie wszyscy. Kobiety, dzieci i starcy niech zmykają. My zatrzymamy tamtych, jak długo się da.

Burzymur skinął tylko wielką głową. Szuler wyglądał, jakby chciał zaprotestować, zachował jednak ponure myśli dla siebie. Przytulił Wandę, powiedział też to i owo Jaśkowi.

- Może i ja bym został? - Sówka odnalazła Grabińskiego i ponownie przysiadła mu na ramieniu. Wyglądało na to, że nie miał nic przeciw temu.

- Na nic mi się tu z Jaśkiem nie przydasz. Kul ci wiele nie zostało, zresztą proch pewnie zamókł, a szablą pewnie nie umiesz robić? No właśnie. Przydacie się paniom potem.

- Sara mogłaby nas wszystkich ukryć, prawda? - Jasiek nigdy nie tracił optymizmu.

- Niestety. - Czarownica pokręciła głową. - To tak prosto nie działa. Z ledwością starczy mi sił na iluzję dla trojga. A i tak Mioczka, skoro już mnie zna, może zdoła ją przebić wzrokiem.

- No to biegiem! Jeśli przeżyjemy, znajdziemy was. Szukajcie Nowakowskiego, Jasiek pewnie będzie umiał wypytać o niego ptaki albo mrówki. Już, biegiem!

Spodobało mu się, że tamci posłuchali go i nie tracili czasu na długie, łzawe pożegnania. W końcu się czegoś nauczyli.

Gdy odbiegli, tylko Burzymur nie wytrzymał i uderzył w sentymentalny ton.

- Szkoda, że w tej wodzie zgubiłem swój karabin. Przydałby mi się teraz. I tego mi najbardziej żal.

- A nie życia? - Nie wytrzymał i zakpił Kutrzeba.

- Co tam za życie! - Wielkolud machnął łapskiem. - Życie dla Sary albo ginąć za nią, to jedno. Ale karabinu żal.

Jeźdźcy wygrzebali się już z bagna i gnali ku nim, wiedzeni przez latającego wilka.

- Ani tu lasu, ani zwyczajnego wzgórze, żeby się tam bronić. Ledwie kilka pagórków. Pieprzone stepy. - Kutrzeba splunął i wyciągnął szablę. - Liczę na was, panowie.

- Nie zginiemy teraz - oznajmił nagle Szuler. Widzieli już twarze tamtych. - Nie ma tego w liniach losu.

Kutrzeba i Burzymur tylko się roześmiali.

A chwilę później rozkrzyczały się gwizdki. Na ten sygnał zagrały łuki, strzelby i karabiny różnych kalibrów, pochodzące z rozmaitych armii i czasów.

A potem, w pędzie, na zdumionych, zapędzonych w zasadzkę mężczyzn uderzyła kawaleria.

Rozdział 6

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Wieziono ich związanych ku obozowi czerwonych. Siedzieli na wozie wśród zrabowanych zapasów, we dwóch, Nowakowski i Czus. Wszyscy inni zginęli.

- Rostow panu tego nie daruje. - Marsjanin wydawał się spokojny.

- Rostowa już nie ma. - Jakubowski jechał obok wozu. - Pan myśli, że dokąd kilka dni temu poleciał sterowiec? Zbombardowaliśmy gródek z powietrza, żywa noga z niego nie uszła. Na nic się zdały wszystkie czary i duchy. Technologia, drogi panie! Pan powinien najlepiej zdawać sobie sprawę z jej potęgi. Zginęli Rostow i Kutuzow. Moi chłopcy ponabijali ich głowy na burtach „Chrobrego”.

- Barbarzyńca! - Zgroza na twarzy Czusa mieszała się z nienawiścią. - Tam były kobiety, dzieci!

- Wrogowie - uciął Jakubowski. Spiał konia i odjechał, niezadowolony z kierunku, jaki przybrała rozmowa.

- Znikąd nadziei - szepnął Czus. - Och, panie, tak cię zawiodłem!

- W jaki sposób? - Zdziwił się Marsjanin. - Drogi

Franciszku, nie ponosisz za naszą sytuację najmniejszej winy. Któż mógł przypuszczać, że senator Republiki Narodów okaże się agentem Rewolucji!

- Ja mógłbym - odparł zgnębnym tonem Czus. - Więcej, powinienem! Od tego mnie masz, panie. Jak długo byś już nie żył wśród nas, nie pojmujesz głębi ludzkiej podłości. Dla was, Marsjan, wszystko jest jasne i proste. Wiem, panie, jesteś mistrzem strategii i podstępu. Ale wśród was, Marsjan, nie istniała zdrada.

- Przeceniasz mnie, Franciszku. To, co nas zgubiło, to nielogiczność postępku Jakubowskiego. Nie brałem tego pod uwagę, bo sojusz z Rewolucją nie ma sensu. Rewolucja to potwór, nie można się z nią dogadać. Człowiek taki jak Jakubowski powinien to rozumieć.

- Kutrzeba! - Zrozumiał Czus.

- Obawiam się, że nie rozumiem.

- Jakubowski lęka się Kutrzeby. Mają między sobą jakieś niezalutowane sprawy!

- Liczysz więc, że Kutrzeba nas uratuje? Przyznaję, i ja biorę taką...

- Nie - po raz pierwszy w życiu Czus przerwał pryncypałowi. - Nie, proszę pana. Myślę, że Kutrzeba jest powodem nielogicznych decyzji Jakubowskiego. Nie wiem czemu, ale mam pewność, że w tym wszystkim chodzi o Kutrzebę.

- Znów się wywinął! - Jednooki gnom w czarnym płaszczu, dosiadający wielkiego złotego węża zdolnego dotrzymać kroku koniom, dogonił Jakubowskiego. - Straciłem przez skurwiela oko i pięć lat życia. Straciłem pozycję i szacunek. A on wciąż żyje! Czemu pozwoliliście mu odjechać? Już by był w moich rękach!

- Niech się pan nie martwi, herr Kuntz.

- Towarzyszu Kuntz! - Upomniał Jakubowskiego gnom.

- Towarzyszu, naturalnie. Skoro po tym, jak dostarczyliście nam nareszcie jego rysopis, wiemy, kim jest nasz wróg, dostaniemy go, gdy wróci. A gdyby nie wrócił, to znaczy, że zginął.

- Tylko z mojej ręki! - Zazgrzytał zębami gnom. - Inna Śmierć to dla tego łajdaka za mało!

- Miejmy więc nadzieję, że wam nie umknie. Co mi przypomina... - Skinął ręką na czarodzieja. - Bądźże pan tak łaskaw i przyprowadź do mnie Jewgienija. Dziwne, że nie rozpoznał swego niegdysiejszego druha!

- Kutrzeba? - Gęba sprowadzonego po chwili Jewgienija przybrała wyraz nieopisanego zdziwienia wzbogaconego odrobiną słusznej trwogi. - T-to b-był Stach? Toż on był łysy, z t-taką paskudną blizną nad okiem i drugą, na b-brodzie!

- Włosy można zapuścić, a bliznę magicznie usunąć. Lub sobie dorobić. - Jadem w głosie gnoma można by wytruć całe dywizje. - Nie pomyśleliście o tym, towarzyszu?

- S-am sobie wybieram towarzyszy. - Jewgienij splunął tak, że pocisk ze śliny ledwie minął lśniąca cholewę gnoma. Nie

wiedzieć czemu wywołało to na twarzy towarzysza Kuntza mimowolny uśmiech. - Nie wiem, kim jesteś, k-kurduplu, ale na pewno nie moim towarzyszem. Ja znałem łysego brązowookiego Stacha z dwoma paskudnymi b-bliznami na gębie, a ten tu to zarośnięty szarooki typ bez żadnej blizny. Nawet porusza się inaczej. Więc wsadź sobie swoje mądrości w...

- Wystarczy - przerwał Jakubowski. - Nie mam do was pretensji. Tamten człowiek korzysta z czarów. Z łatwością mógł was oszukać. Jesteście wolni.

- Jak ja bym go przesłuchał, po naszymu, moglibyśmy się czegoś dowiedzieć. - Kuntz przyglądał się odjeżdżającemu na tył kolumny Jewgienijowi bez gniewu, ale z groźną ciekawością w spojrzeniu.

- Wszyscy moi ludzie są pod moją ochroną - przypomniał mu Jakubowski. - Miałem zdjęcia z Kielc i też nie poznałem Kutrzeby. To co, mnie też pan... towarzysz przesłucha? Po swojemu?

- Skądże. - Kuntz roześmiał się nieszczercze. - Wy, towarzyszu, należycie do najlepszych synów Rewolucji, zapal aż od was bije! Bo należycie, prawda?

- Należymy - parsknął Jakubowski.

- I dobrze. To pozwólcie, że pogadam z tymi na wozie. Delikatnie.

- Marsjanin jest przywiązany do sługi, można prawie pomyśleć, że to jaki jego krewny. Pamiętajcie o tym.

- Zapamiętam. A wy zapamiętajcie, że teraz to już nie

sługa i pan, ale równe sobie istoty! Może więźniowie, ale zasady Rewolucji obejmują także i ich. U nas nie ma panów!

Wygłosivszy te dumne słowa, gnom napuszył się i odjechał ku więźniom.

- Pięknych mamy sojuszników - odezwał się czarodziej.

Jakubowski spojrzał na niego zaskoczony. Mag dotąd nie szastał słowami, jakby zwyczajem krakowian oszczędzał, na czym tylko się dało, nawet na dźwiękach. Jakubowski posiadał nad nim całkowitą, bezwzględną władzę, jednak pamiętał, że ma do czynienia istotą z legend, której przybycia niektórzy wypatrywali jak mesjasza. Czy ten stwór wyhodowany w tajnych prywatnych laboratoriach mógł zacząć myśleć o samodzielności?

- Moja misja i moi sojusznicy - ofuknął na wszelki wypadek sługę. - Wy też jesteście moi.

- Jestem wasz, póki żyjecie - zgodził się mag. - Nawet tu, choć ponoć w Rewolucji nie ma panów i sług. - Uśmiechnął się, w przekonaniu Jakubowskiego, paskudnie. - Toteż z czystej życzliwości was ostrzegam, panie, że ci sojusznicy nie wyglądają mi na takich, dla których liczy się dane słowo.

- Nic nie wiesz - odparł Jakubowski. - Mam wpływy, którym ten kurdupel nie może zaszkodzić.

Poczuł jednak niepokój. Rewolucja była okrutną i podstępną bestią. Jak wiele mogła zmienić w mężczyźnie, któremu pomógł ukryć się w niej trzy lata wcześniej? Wydawało się, że człowiek ten postępował zgodnie z planem Jakubowskiego, ale czy Rewolucja nie mogła go opętać?

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

Posadzono ich na koniach, które bardziej przypominały duchy niż zwierzęta. Były wprawdzie materialne - inaczej niż świetliste wierzchowce otaczających ich żołnierzy - ale opętano je jakimś niezwykłym rodzajem czaru, którym związany był cały oddział.

- A Mioczka znowu zwiął. - Grabiński przyglądał się przez smutną chwilę manierce, nim opróżnił ją z resztek alkoholu.
- Uniósł go ten latający wilk, taka jego mać. Jak tak będą działać we dwóch, to już chyba nigdy ich nie dorwiemy.

Jezdni wypadli na wojowników Czarnomora jakby znikąd. W jednej chwili wydawali się poranną mgłą łaszącą się do stepu, w następnej byli już strzałą wbijającą się w oddział zdumionych potworów. Rozszarpali wroga, a potem dobili tych, którzy starali się bronić w nieskładnych gromadach i tych, którzy próbowali ratować się ucieczką. Tylko Mioczka i latający wilk zdołali wyrwać się z zasadzki.

- Czołem waszmościom! - Zawołał tęgi żołnierz, nie będący wprawdzie dowódcą, ale najwyraźniej uważający się za takiego. Gdy jego towarzysze jeszcze kończyli krwawą potyczkę, on uznał za stosowne podjechać do zdumionych ocalańców. - Duch w was potężny, nie mogliśmy takich rycerzy pozostawić tym psubratom! A waćpana chyba znam?

- Spojrzał na Kutrzebę jakoś dziwnie.

- Jeździłem kiedyś z wami.

- Poznaję! Używaliście wtedy nazwiska Kutrzeba, niesłusznie wstydząc się rodowego! A piękny macie herb, w sam raz do naszego bajkowego świata. Dobrze was spotkać, chociaż i w potrzebie! A wilkiem się nie martwcie! Już jego godziny policzone. Większe od naszych szykowane są na niego szable.

Teraz Kutrzeba z druhami jechali między żołnierzami tej barwnej kompani. Przewodzili jej we trzech: niewielkiego wzrostu pułkownik, porucznik pancерnej chorągwi w barwach księcia, o którym wciąż śpiewano na Ukrainie trwożne pieśni - mąż poważny, o obliczu jakby wykutym z kamienia - i jeszcze wielki smutnooki rycerz z dwuręcznym mieczem przewieszonym przez plecy. Chętnie ruszyli z Kutrzebą za wiedzioną przez Grabińskiego grupą, uciekającą pod maskującym czarem Sary. Konno prędko ją dogonili.

- Ja ich znam! - Szepnął zdumiony Grabiński, gdy szlachcic z bielmem na oku, pomimo swego kalectwa, wypatrzył ich schowanych pod iluzją Sary. - O Boże! Jak to możliwe?

Wanda padła w ramiona ojca, a Sara wielkoluda. Kutrzebie przypadło w udziale powitanie Grabińskiego.

- Wszystko jest możliwe - uśmiechnął się Mirosław. - Marsjanom się zdaje, że ich energie ożywiły tylko bogów, baśnie i legendy. Nigdy nie pojęli, że ludzie mogą tęsknić też za tym, co im wymyślili pisarze. A o tych naszych wybawcach uczyły się i marzyły całe pokolenia.

Podjechał do niewielkiego pułkownika, by wypytać go o przyczynę ratunku.

- Jechaliśmy innym tropem - przyznał pułkownik. - Wybaczcie, waszmość, ale wasza sprawa mniejsza jest od tej, której służymy. Ciężkie czasy przyszyły na Dzikie Pola, czarno tu od wrogów. A najgorsi ci zza wschodniej granicy. To ciemność wcielona. Aleśmy dostali rozkazy od najwyższej tutejszej szarży, żeby was ratować. I powiem, żeśmy je spełnili z ochotą.

- Odeskortujecie nas do reszty naszych ludzi?

- Tego nam nie wolno. Zostawimy wam konie i prowiant, ale trzeba nam ścigać oddział, który ledwie co wkroczył w granice Dzikich Pól z Rewolucji. Ale i tym waszej sprawie się przysłużymy, bo to diabły, co miały zasilić szeregi waszych wrogów. Odprowadzimy was do bezpiecznej, dobrej staniczki. Wierni ludzie w niej służą, to i odpoczniecie tam. Da Bóg, a spotkamy się jeszcze.

Przed wieczorem stanęli pod warowną stanicą, gdzie powitano ich ostrzegawczym strzałem i żądaniem hasła. Dopiero gdy załoga przekonała się, z kim ma do czynienia, wrota rozwarły się szeroko, a na powitanie przybyszom wybiegł sam komendant.

- Waści to powtórzę raz jeszcze. - Opasły szlachcic, którego przyjaźń z Grabińskim zrodziła się bardzo prędko, a to dzięki wspólnej miłości do zacnych trunków, nachylił się w siodle ku nowemu druhowi, by mieć pewność, że ciszej wypowiedziane słowa dotrą do adresata. - Ci tutaj to dobrzy

żołnierze, wierni. Ale niczego od nich nie jedzcie ani nie pijcie.

I zawrócił konia, by dołączyć do oczekującej już na niego reszty oddziału. Jeszcze pułkownik pomachał Kutrzebie na pożegnanie, a smutny rycerz uzbrojony w dwuręczny miecz pożegnał się zaskakująco wylewnie z Burzymurem, z którym chyba przypadli sobie do gustu, bo wymieniali się przez całą drogę opowieściami o niespełnionych miłościach. I zaraz zagrała trąbka. Konie, których nie ograniczały pęta fizyki, od razu przeszły w cwał i rozplynęły się w mgłę, w której przez chwilę słychać było jeszcze wesołe okrzyki, echo trąbki i czyjś śmiech. Zaraz jednak wszystko ucichło, a i mgła się rozwiała.

- Jacy niezwykli! - Zawołała Wanda. - Cudowni! Co to byli za żołnierze?

- Czyś ty jej niczego nie uczył? - Naskoczył na Szulera Grabiński. - Klasyki dziewczyna nie zna?

- Jakiej klasyki? - Bronił się zaskoczony bóg. - O czym ty mówisz? Wandzia umie czytać! To jakieś postaci historyczne?

- Bogowie i Marsjanie! - Złapał się za głowę Grabiński. - Jacy ignoranci! Mirku, nam trzeba ten świat, ten naród ratować, ale nie szablą, a piórem! Jak wrócimy, ja panienkę wszystkiego nauczę! Bo ten panienki tatko... - Potrząsnął głową zniesmaczony.

- Spokój tam! - Ofuknął ich Kutrzeba. - Z koni! Trzeba się przywitać!

Zeskoczyli z siodeł i wyszli na spotkanie ożywienca w

kontuszu.

Ulokowano ich w niewielkim, ale ciepłym i dobrze wyposażonym domku. Stanicy strzegł oddział upiorów, z których jedne mówiły po polsku, inne po rusku, a niektóre nawet po niemiecku. Inaczej niż oddział małego pułkownika, posługujący się każdym rodzajem broni - od starodawnych luków, przez muszkiety, po nowoczesne karabiny pochodzące z rewolucyjnych fabryk - obrońcy stancy stronili od anachronizmów. Wśród ich arsenału królowała broń czarnoprochowa.

- Żadne złe tu nie podejdzie - chwalił się pan Boryłowicz, komendant twierdzy. - Znają siłę naszych szabli i dzikie upiory z uroczysk, i czarni, i czerwoni, i Kozacy, i inni zbóje z band. Jedna Rewolucja niczego się nie boi. Podchodzą tu czasem ich zagony, ale gromimy je. Raz za razem. I tak choćby i do końca świata!

Przedstawił gości rodzinie. Żona i dwie córki, piękne i dostojne, czasem, jeśli spojrzeć na nie przez zmrużone oczy, przeświecały potrzaskanymi skrwawionym czaszkami. Gdy popatrzeć tak na synów pana Buryłowicza, dostrzegało się dziury wyrwane w ciałach, a twarz jednego z nich była w połowie spalona. Ogień strawił też kiedyś mury stancy i prawie wszystkie domy, prócz tego, w którym ulokowano gości. Powidok jednak zaraz mijał, a oczom ukazywał się inny obraz - dumne nienaruszone ściany, dzielni mężczyźni o

śmiałych obliczach i piękne kobiety.

- Waszmość wszystko widzi i rozumie - pojął pan Buryłowicz. - Ano prawda, dopadli nas. Tydzień odpieraliśmy szturm za szturmem. Morze krwi przelaliśmy, ale tamtych wciąż przybywało, jakby cała Ukraina zebrała się pod naszymi murami. Nikt żywy nie uszedł. Ale wróciliśmy. I już nie odejdziemy. No, dość o smutnych sprawach! Pięknie zapraszam na ucztę i zabawę! Będzie i muzyka na cześć tak zacnych gości. Kto z wrogiem Rzeczypospolitej walczy, ten mi brat, czy on człowiek, czy duch, czy bóg z dawnych czasów. Tylko, za co ogromnie przepraszam, nic naszego jeść ni pić nie możecie. Bobyście już tu z nami zostali i zmienili się w takich jak my. Dusza boli, że jak jaki Niemiec, a nie szlachcic, muszę gości przyjmować, ale taka już nasza dola.

Zasiedli więc na ucztę w sali przyozdobionej futrami ściągniętymi ze zwierząt legendarnych i prawdziwych, portretami przodków i zdobyczną bronią. Duchy muzykantów grały skoczne ukraińskie i nieco dostojniejsze polskie melodie. Każdy z obrońców stancy witał gości przyjaźnie, zaraz też co zuchwalsi młodzieńcy przybiegli prosić panny do tańca i ani im przeszkadzało, że one żywe, nie martwe.

- Wiem ja, że różnie pomiędzy ożywionymi i upiorami bywa - odezwał się pan Buryłowicz. - Słyszałem, że biją się między sobą, a i są panowie szlachta, co sarkają, gdy im przychodzi budzić się w zbiorowej mogile obok szaraczków. Ale my tu jesteśmy prości żołnierze, co się cieszą każdym objawem prawdziwego życia. Ojczyźnie służymy, a krew dla niej

przelana, to dla nas jedyny dowód na prawdziwe szlachectwo. Kiedyś - popił z kryształowego, zdobionego złotem i szlachetnymi kamieniami pucharu - i myśmy byli inni. Ale nawet my wiemy, że inne czasy nastały. Teraz bronimy się tu u boku mieszczków i nawet chłopów, co pouciekali z Rewolucji. Trzy dni walczył u mego boku gadający niedźwiedź, nim padł. A padł, bo własnym ciałem mnie osłonił. Gadający niedźwiedź, a bardziej szlachetny od niejednego księcia, com go znał w dawnych czasach. Wiecznie trwająca wojna wiele człowieka uczy, panie Kutrzeba. No, zdrowie, za krew i śmierć!

- Za krew i śmierć! - Zawołali jego ludzie. Kutrzeba też wznosił toast, tyle że ich własnym winem, które otrzymali w prezencie od żołnierzy małego pułkownika.

- Zatańcz ze mną, Mirku - poprosiła niespodziewanie zmora, a on posłuchał jej, zdziwiony.

Nie wyskoczyła z niego, jak to miała w zwyczaju, ale wysunęła się zeń ostrożnie, gdy odszedł od stołu. Nie przejmowała się zmienianiem postaci, nadal była tą samą czarną, wiotką dziewczyną o czarnych oczach i dłoniach zakończonych szponami. Jej postać przyciągnęła uwagę przede wszystkim gości. Ani gospodarz stancy, ani jego ludzie nie przejęli się pojawieniem między nimi jeszcze jednego demona.

Grabiński zmarszczył brwi, patrząc jak zmora chwyta Kutrzebę za rękę i ciągnie go ku środkowi sali, gdzie Wanda tańczyła już z Jaśkiem, a Szuler z jedną z córek pana

Buryłowicza. Sara uśmiechnęła się smutno, gdy ją mijali, a miotający nią w tańcu Burzymur przeciwnie, uśmiechnął się serdecznie. Ani zmora, ani Kutrzeba nie zwrócili na nikogo z nich uwagi. Zawierowali.

Miejsce Kutrzeby przy gospodarzu zajął Grabiński. Zapytał o coś. Pan Buryłowicz skinął głową i wyszli razem.

Kutrzeba i zmora znaleźli ich, gdy wreszcie sami wyszli, by Mirosław mógł odetchnąć. Demonica porwała go w magiczny tan i nagle przestraszył się, że zatraci się w nim w zupełnie, do muzyki upiorów. Wirowali wokół niego znajomi i obcy, a jemu zaczęło się wydawać, że bardziej należy do rodu duchów niż ludzi. Zmora śmiała się niczym młoda dziewczyna na pierwszym balu, a on pomyślał, że dobrze jest trzymać szczęśliwą kobietę w ramionach, i tak się przestraszył tej myśli, że zamarł w miejscu i szybko wyszedł z sali, a za nim wybiega zmora.

Oparł się o drewnianą ścianę, równocześnie twardą, bezpieczną i woniejącą spalenizną. Oddychał ciężko. Zmora przysiadła obok niego. Posmutniała wyraźnie. Milczała, ale nie chciała puścić jego dłoni.

- Co ja tu robię? - Usłyszał i przez chwilę wydawało mu się, że to jego własne myśli. Ale to mówił Grabiński siedzący na ławie obok pana Buryłowicza, ledwie kilka metrów dalej, pod wielkim dębem. - Przyjechałem za człowiekiem, którego znam tak naprawdę ledwo co... Nie widzimy się prawie, a co się spotkamy, to wspólnie wojujemy...

- Takie przyjaźnie najlepsze! - Buryłowicz, inaczej niż

Grabiński, przemawiał głosem pełnym życia i radosnym. - Wybaczcie, że przerwałem. My, żołnierze, którym nie odpoczynek pisany, a wieczna walka, odwykliśmy od obyczajności.

- I ze mnie żaden dworski piesek. Może to i prawda z tą walką, jak mówicie. Tylko, widzicie, żaden ze mnie też wojownik. Ot, nastrzelało się do zbójów, taka praca. Tropiłem złodziejów, co okradali kolej, a czasem prowadziłem pościgi za zbrojnymi bandami urządzającymi napady na pociągi. Czasem strzelało się do ludzi, czasem do demonów. Bez różnicy.

- Z żywymi i zmarłymi jedna walka - zgodził się pan Buryłowicz.

- Stare czasy - machnął ręką Grabiński. Ani on, ani szlachcic nie zauważyli Kutrzeby i zmory za plecami. - Potem przyszło opamiętanie. Ale jak przestałem tropić i zabijać, skończyła się łaska przełożonych. Mirek myśli, że mnie zdegradowano, bo poszedłem z nim na tę pierwszą akcję. Ale to nie tak. Dyrekcji wszystko jedno było, kogo zabijałem, zresztą to też byli bandyci. Dyrekcji się nie spodobało, że więcej zabijać już nie chciałem. Widzicie, jak tam stałem z Mirkiem, ramię w ramię, zobaczyłem w nim coś takiego... - urwał.

- Straszny człowiek, ja to widzę. Straszny wojownik i przyjaciel też straszny. Bałbym się go nawet ja. Ale nie boję się, bo jest w nim honor.

- Honor? - Grabiński zaśmiał się ochryple. - Przepraszam.

Niewiele my dziś wiemy o honorze. Proszę mi wybaczyć, ale honor to mit.

- Dziś mity ożywają, prawda? - Odparł pogodnie szlachcic.

- Chyba nie wszystkie. W mieście, w Kolejach Galicyjskich, w senacie, radach miejskich, w radach korporacji, a nawet w byłe dyrekcji najmniejszej fabryczki, honor to coś z przeszłości. Patrzymy na ten honor jak na iluzję, coś, czego nigdy nie było, refren z bajek, które opowiadały nam matki, gdy im się jeszcze zdawało, że mogą nas ukształtować.

- Wiele w waszmości goryczy.

- Ma skąd płynąć. Wie pan, co trzymam w ręku?

- Oka z tego nie spuszczam. Jest waszmość moim gościem. Ale jeśli upije waść choć łyk z tego dzbana, stanie się moim domownikiem. Ja zawsze rad będę dobrego żołnierza. Ale czy tego waszmość właśnie chcesz?

- Przyszli do mnie jakiś miesiąc przed tym, nim mnie odnalazł Mirek. - Grabiński, jakby nie słyszał odpowiedzi komendanta. - Powiedzieli, że przyjdzie do mnie dawno niewidziany przyjaciel. Opowiedzieli, jak zabijał, i że nie mogli trafić na jego trop, bo chroniły go potężne moce. Ale znaleźli sposób. Sprawdzili losy wszystkich, z którymi mógł się zetknąć. Tak dotarli do mnie i jeszcze jednego faceta... Nieważne. Przyszli i powiedzieli, że Mirosław powróci w moje życie. I że odzyskam żonę i dzieci, i służbę i honor, jak pan powiedział. Jeśli tylko we właściwym momencie im go wydam.

Szlachcic milczał.

- Żeby nie miał wątpliwości, powiedzieli, co zrobią z moją żoną i tymi dziećmi, jeśli się nie zgodzę. Pał sześć żonę, zdradziła mnie, taka jej... Ale dzieci! Od lat ich nie widziałem. I co na to pana honor?

- Honor - odrzekł pan Buryłowicz - to nie jest żadna iluzja. Sam pamiętam mężczyzn i kobiety, dla których honor był jak krew i powietrze. Wychodziło się na szable przed armię, przed rzesze wrogów, a każdy z nich tylko marzył, by człowieka zabić. Stawało się na szable z ich orędownikiem i tylko jeden pozostawał żywy. I można się było odwrócić plecami do tych wszystkich wrogów i odejść. Co ich powstrzymywało poza słowem człowieka, którego się właśnie zabiło, jak nie honor? Ale może masz waszmość rację, może to baśń. Ja czasem nie wiem, czy to, co pamiętam, to rzeczywiste wspomnienia, czy sceny z ballady. Byłem kiedyś człowiekiem, a teraz jestem legendą. Może odmieniają mnie ludzkie wyobrażenia o tym, jak drzewiej bywało? Może to wszystko piękne poezje, a honoru, jak waść mówisz, nigdy nie było? Ale powiem waszmości jedno: nawet jak go wtedy nie było, to teraz już jest. I za jedno mi, czy wyrósł z historii, czy z ballady. On istnieje i to nie jest iluzja, a potężna siła. Jak magia, jak siły, które sprawiają, że dzień wstaje i noc zapada. Teraz wszystko się pozmieniało. Teraz moc bierze się z baśni i z czarów, i z nowoczesnych mocy tego nowego świata, którego nie znam. Bo tacy jak ja, upiory, ożywieńcy a nawet postaci z baśni w niego wierzą.

- I jak ma mi to, z całym szacunkiem, pomóc?

- Jak chcecie, to się z tego dzbana napijcie. Ja was chętnie pod swój dach przyjmę. W was jest honor, on wam powie, jak postąpić.

- Honor? - Grabiński znów się roześmiał bez śladu wesołości w głosie. - Toż ja już raz uciekłem! Gdy oni mnie zostawili, ci posłańcy diabła, przez tydzień zaciągałem długi u ludzi, którzy nie wybaczą, jak im się długów nie zwraca. Żeby mnie zabili. Bo sam nie umiałem tego zrobić. I wie pan, co się stało? Byłem już o tyle, o włos od sukcesu. I kto uratował mnie z ich rąk? Właśnie Mirek. Czy to nie kpina losu?

- Nie mnie wkraczać w wyroki Opatrzności. Ale może was dwu łączy coś więcej niż zwykle losy ludzkie? Mości panie Grabiński, mnie pora wracać na ucztę. Ostańcie tu, pomyślcie nad tym, jak się losy splatają, i podejmijcie decyzję taką, jaką każdy człowiek musi podjąć sam. Po mojemu, żadna wam ujmy nie przyniesie.

- Zatańczmy - szepnął Kutrzeba, widząc, że Buryłowicz wstaje. - Chodź, zatańczmy.

- Nie porozmawiasz z nim? Powinieneś...

Pociągnął zmoreę za sobą, nim Buryłowicz zobaczył ich i zorientował się, że podsłuchali rozmowę. Wstydział się tej ciekawości, która kazała mu słuchać, czuł, jakby zdradził w ten sposób Grabińskiego. I choć ciekaw był jego decyzji, uznał, że jedyne, co może teraz zrobić dobrego, to podarować staremu człowiekowi tej nocy samotność.

Zaciągnął protestującą, ale równocześnie uległą zmoreę na

sałę i tańczył z nią do rana. Gdy grajkowie nie mieli już prawie sił, demonica po prostu wtuliła się w niego i kołysali się w miejscu do coraz bardziej rozleniwionych melodii, a jego dziwiło jej ciepło i wzruszenie. A kiedy niebo zaczęło jaśnieć za oknami widmowej stancy, pocałowała go w policzek, dziwnie nieśmiało i niewinnie, i ukryła się w nim.

Ledwie wstał świt, wsiedli na wypoczęte konie i żegnając się serdecznie z całą załogą stancy, odjechali.

Rozdział 7

*wrzesień 1971 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty szósty rok Kresu, dziewiętnasty rok
Pokoju, Kraków*

Wysoki mężczyzna, któremu Korycki, nie znając jeszcze jego imienia, nadał kryptonim „Fircyk”, wyjechał z samego rana z Krakowa dorożką i skierował się ku Zakrzówkowi. Dorożkarz, jak prawie wszyscy ludzie jego profesji, pracował dla Koryckiego, toteż generał nie wybrał się za obiektem w podróż osobiście, ale czekał na jego powrót, popijając koniak w jednej z knajpek w okolicach Rynku.

Korzystał z tej radości ostrożnie. Choć uważał, że nadal mógł pochwalić się mocną głową, duszka najukochańsza coraz srożej patrzyła na jego sympatię do alkoholu. Zaczęła mu reglamentować ilość przyswajanego tygodniowo trunku i urządziła potężną burę, ilekroć przyłapała go na przekraczaniu jej zaleceń. Za każdym razem te pełne ciepła awantury bawiły Koryckiego, przyjmował jednak pokorną minę i pozwalał się łajać. Jakby nie był jednym z najpotężniejszych ludzi w mieście, przed którym drżała większość istot żyjących w krakowskich cieniach.

- Wrócił - zameldował kelner, stawiając przed generałem filiżankę herbaty. - Nie spotkał się z nikim. Łaził tylko, jakby

zwiedzał. Teraz kazał się wieźć do franciszkanów.

Do kościoła? Ciekawe.

Nie istnieli chrześcijańscy czarodzieje. Niektórym wydawało się, że mogą łączyć magię z tą zazdrosną religią, ale koniec końców, o ile wierzyli naprawdę, musieli zdecydować, czy odrzucają moce, czy chrześcijaństwo. Nawet najpotworniejszy demon mógł także przekroczyć bramę kościoła, żadna moc nie odpychała go za próg, Korycki w każdym razie nie słyszał o takim przypadku. A jednak demony bały się choćby przechodzić obok kościołów. Unikały krzyży i święconej wody, można je było wypędzać z ludzkich ciał egzorcyzmami, choć Bóg w żaden widowiskowy sposób nie manifestował swej potęgi. Wszystko to wydawało się Koryckiemu tak tajemnicze i niezwykle, że spędzał raz w miesiącu przynajmniej godzinę z pewnym włóczącym się po bandyckich zaułkach księdzem, by choć spróbować pojąć, o co chodziło w chrześcijaństwie po Kresie. Czy jego siłą miało być właśnie to, że w przeciwieństwie do reszty przemienionego świata nie korzystało z cudów?

„Starzeję się - uznał - skoro zastanawiam się nad takimi sprawami. Wszystko przez te dzieci!”

Kochał swoje szkraby, i nie tylko dlatego, że dostrzegał w nich ślady siebie samego, ale przede wszystkim za to, ile w nich dostrzegał Małgochny. Kochał każdą spędzoną z nimi chwilę, nie potrafił jednak zaprzeczyć, że po raz pierwszy zaczął myśleć o starości i śmierci, gdy lekarz pokazał mu pierworodnego. „Spłodzi moje wnuki - pomyślał wtedy. -

Zostanie, gdy mnie nie będzie”.

Oczywiście nie powinien liczyć na tak zwyczajne rozwiązanie. Pewnie ożywią go, by pełnił służbę przez wieki. Jego zwierzchnicy niechętnie pozwalali odchodzić swoim sługom na wieczny spoczynek.

Dokończył koniaczek, po czym eskortowany potajemnie przez czterech agentów i jawnie przez Szaraka udał się na ulicę Franciszkańską. Najpierw przeszedł pomiędzy dwoma mierzącymi się od wieków wzrokiem kościołami dwu żebraczych zakonów, potem obok pałacu, w którym gnieździła się Rada Miasta. Gdy wkraczał w chłodny spokój kościoła o ścianach upstrzonych obrazkami kwiatków, pochylił głowę, jakby oddawał cześć Bogu.

Z witraży w nieco przerażający sposób przyglądali mu się wymalowani przez cokolwiek szalonego artystę święci. Uczni i artyści tysiące razy próbowali przywołać z zaświatów Wyspiańskiego, ale ponosili klęskę za klęską. Matejko powrócił ochoczo, by do końca świata ciągnąć swoje opowieści o historii Polski, także Długosz też nie dał się dwa razy prosić. Zaraz po ożywieniu pognał pokłonić się królom, a oni zamknęli go na Wawelu i nikt więcej kronikarza nie zobaczył. Większość artystów nie miała nic przeciwko powrotowi do świata i ku ukontentowaniu snobów Kraków szybko dołączył do wielkich nekromantycznych stolic sztuki i kultury. Niektórzy ożywieńcy przyjeżdżali z daleka pozornie po to, by wyklócać się z zakonnikami o swoje serca, w rzeczywistości łasi czakramidowej magii potrzebowali tylko

pozoru, by osiąść w mieście, z którym nie zawsze byli związani za życia. Wyspiański wydawał się mieć to wszystko w nosie i ani razu nie odezwał się choćby do wylewających siódme poty mediów i czarownic starających się go ściągnąć. Przyglądając się zaprojektowanym przezeń witrażom, Korycki był mu wdzięczny za tę konsekwencję. Facet musiał być wyjątkowym świrem. A tacy, geniusze czy nie, sprawiali kłopoty.

„Fircyk” siedział w jednej z ław. O tej porze niewiele osób przychodziło do kościoła, wierni woleli kontaktować się z milczącym Bogiem za pośrednictwem nabożeństw. Jacyś ojczulkowie wysłuchiwali spowiedzi, kilku braciszków krzątało się, ścierając wosk z ołtarza i zamiatając kaplice. Pięć babć mamrotało swoje prośby i zażalenia, a trzech agentów Koryckiego udawało modlitewne skupienie. Szarak uparł się, że nie przekroczy kościelnego progu i czuwał na zewnątrz, blady i roztrzęsiony. Zdaniem Koryckiego jego ochroniarz znajdował się o krok od nawrócenia. Te potwory, które najbardziej bały się chrześcijańskich mocy, potem najchętniej się na nie nawracały. Straci go, cholera. Szkoda.

Przysiadł obok „Fircyka”. Gość wcale nie wyglądał, jakby się modlił, ani mu w głowie było zginać kolana przed boskim majestatem.

- Jest wiele innych ław. Pustych - powiedział, nie odwracając wzroku od witraży nad ołtarzem.

- W tym problem, że puste, panie magik. Ja szukałem takiej z panem.

- Zatem to pański niedojda łąził za mną przez całe przedpołudnie?

- Zaraz tam niedojda - obruszył się Korycki, przeklinając w duchu nie dość biegłego agenta, ale ciesząc się też, że „Fircyk” zdekonspirował tylko jednego. Ciekawe którego? Pewnie „Czyżyka”, on zawsze był nadgorliwy. - Może miał panu dać coś do zrozumienia? Czemu pan tu przyszedł?

- Zwykle w kościołach nikt nie zawraca mi głowy. To dla mnie miła odmiana.

- No tak, pewnie u pana Jakubowskiego ma pan zajęcie na okrągło, co? - Korycki pozwolił sobie mrugnąć porozumiewawczo, bo przyciągnął w końcu spojrzenie tamtego. „Fircyk” zmrużył oczy i westchnął.

- Proszę przede mną nie zgrywać idioty, panie generale - mówił cicho, być może szanując spokój świątyni, lecz stanowczo. - Pan wie, kim jestem, a mnie ostrzeżono przed panem. Ale skoro dysponuje pan wiedzą na mój temat, to wie pan też, że mnie nie zwerbujecie. Jest to, że tak powiem, metafizycznie niemożliwe.

- Obecnie owszem. Póki żyje ten, który pana przywołał i związał ze sobą, że się tak...

- Nie zostałem przywołany, panie Korycki, ale stworzony! - Przerwał mu tamten gniewnie. - Nawet moje wspomnienia to tylko mieszanina legend i tego, co na temat niby-moich czasów wiedzieli historycy. Nie jestem tamtym, ale niby-tamtym.

- A to coś zmienia? - Szczerze zainteresował się Korycki.

- Prawdę mówiąc... nie wiem. Takie tam metafizyczno-ontologiczne rozterki. Niech pan już sobie idzie. Żaden z nas nie zyskuje na tej rozmowie.

- Pozwolę sobie się nie zgodzić. Pan wie, czemu go stworzono? Pański stwórca się boi. I, prawdę mówiąc, ma do tego podstawy. Nie, nie chodzi o mnie - zapewnił szybko, widząc, że tamten zbiera się już do riposty. - Nie przyszedłem tu straszyć czy grozić. Przyszedłem pomóc. Któregoś dnia stanie pan przed mężczyzną, który przyjdzie zabić Jakubowskiego. Jeśli mu się uda, będzie pan wolny. Jeśli tak się stanie, jeśli zabójca przeżyje, niech mu pan powie, że ja osobiście proszę go, by pana oszczędził.

- Jeśli to zrobię, to moja wolność prędko się skończy, bo będę panu winien przysługę, prawda?

- To trochę mniej krępujące więzy niż te, które znosi pan dzisiaj. Że tak metaforycznie powiem.

- Wy, ludzie, wszyscy jesteście tacy sami. Zawsze tylko szukacie okazji, by kogoś wykorzystać.

- My, ludzie, nie mamy magicznych mocy, które mogłyby nam zastąpić naszą małą, poręczną podłość - odparł Korycki, przeżegnał się na wszelki wypadek i odszedł.

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, obóz oddziału Rewolucji*

Czarodziejowi kazano być obecnym przy spotkaniu,

posłuchał więc i przyszedł do naprędce wykopanej ziemianki, otoczonej prymitywnymi umocnieniami i kręgami magicznych zaklęć przygotowanych znacznie bardziej fachowo.

- Jak zawsze posłuszny! - Prychnął pogardliwie jednooki gnom, któremu się zdawało, że nienawiść dawała mu nieco wolności. - I zawsze z tym swoim ptaszyskiem!

Czarodziej zignorował go. Postawił klatkę z Miglancem na stole, by ptak miał dobry widok na ludzką małostkowość i zdrady. Sam usiadł obok.

Jakubowski już witał się z nadkomisarzem - człowiekiem w czarnym płaszczu aż parującym mroczną mocą. Czarodziej nie chciałby stawać przeciw niemu. Zastanawiał się, czy zostanie do tego zmuszony. Na razie musiał się przed nim pokłonić. Przywołany nagłym gestem Jakubowskiego wstał i ukłonił się oszczędnie.

- Ach, to ten! - Nadkomisarz oglądał go niczym bydlę na targu. Czarodziej ciekaw był, czy każe mu pokazać zęby i uśmiechnął się w duchu. Do licha, nie miałyby nic przeciwko temu, by mściciel zabił tych dwu. Niestety, przynajmniej przed zabiciem Jakubowskiego będzie musiał go powstrzymać.

Pięciu czerwonoarmistów eskortowało Marsjanina do wnętrza ziemianki. Towarzyszącemu mu Czusowi nie poświęcono niemal wcale uwagi. Czy miało to stanowić jakąś demonstrację? Znający akta tamtego czarodziej wiedział, że nie należało go tak lekceważyć.

- Drogi panie Nowakowski! - Nadkomisarz prawie podbiegł do Marsjanina, by objąć go niczym przyjaciela. Nowakowski cofnął się o krok i uniósł cztery ręce, demonstrując ciężkie kajdany, na których wyryto ochronne zaklęcia.

- Co za barbarzyństwo! - Zawołał nadkomisarz. - Proszę natychmiast to zdjąć! Aleksandrze - zwrócił się do Jakubowskiego - nie wierzę, że mogłeś tak potraktować naszego gościa!

- Dopóki znajdował się pod moją opieką, było mu wygodniej. To ten twój sierżant...

- Rozstrzelać łajdaka! - Ryknął nadkomisarz i czerwonoarmiści wybiegli spełnić rozkaz. Nie minęły trzy minuty, gdy do uszu zgromadzonych w ziemiance dobiegła równa karabinowa palba egzekutorów. Kuntz zachichotał, Czus pobladł, a Jakubowski skrzywił się niemal niedostrzegalnie, ostrożnie. Wyraz twarzy Marsjanina się nie zmienił.

Nowakowski usiadł przy stole, nalał sobie wody z karafki, na której można było dostrzec inicjały Rostowów. Napił się z wyraźną ulgą, nie odrywając wzroku od butelki.

- Sądziłem, że tylko ostrzelaliście Przystań Carogrodu z powietrza...

Wydawało się, że nie mówił do nikogo konkretnego, ale to nadkomisarz uznał za stosowne odpowiedzieć:

- Och, zbyt wiele było tam dóbr, by pozwolić im się zmarnować.

- Obrazy?

- Pana interesuje sztuka? Zachowaliśmy te, które ocalały. U nas nic się nie marnuje.

- Panie Nowakowski. - Jakubowskiemu zdecydowanie brakowało dziś cierpliwości, co zaintrygowało czarodzieja. Takie zachowanie nie było podobne do jego pana. Zwykle, gdy zwyciężał, celebrował triumf. Czy bał się tego Kutrzeby, czy swojego sojusznika? - Porozmawiajmy o nas, nie o mrzonkach białych Rosjan. Zaraz wszystko panu wyjaśnię. Przedtem jednak, towarzyszu Kuntz, czy to już nie pora na was? Nie dajcie czekać naszemu sojusznikowi.

Kuntz zasalutował służbiście. U wyjścia zatrzymał się jednak, jakby tknięty nową myślą.

- Czy mógłbym użyć sterowca? Szybciej by poszło. A i bezpieczniej.

- Bierzcie go, towarzyszu! - Zdecydował Jakubowski i skinął na swego czarodzieja. - Będziesz dowodził statkiem. Kuntza słuchaj we wszystkich pozostałych sprawach.

- Chcemy zaproponować panu sojusz - oznajmił nadkomisarz, gdy zostali we trzech.

- Sojusz? Przeciw komu? - Marsjanin zwrócił się do Jakubowskiego. - Pan jesteś z Kolei Galicyjskich, reprezentujesz też Republikę Narodów. A pański przyjaciel, którego wciąż mi nie przedstawiono, to wysoki oficer Rewolucji, która walczy tak przeciw Kolejom, jak i Republice. Cóż za sojusz chcecie mi zaproponować i z kim oraz przeciw komu, bo już się pogubiłem? I jak, na przestrzenie, miałbym

zaufać takim sojusznikom, skoro dopiero co wymordowałeś pan rodzinę naszego wspólnego sprzymierzeńca, a jego głową przystroił swój statek?

- Posiadamy pewne argumenty - odpowiedział mu nadkomisarz. - Proszę pozwolić, że się przedstawię. Nazywam się Tadeusz Bryk, jestem generałem Rewolucji, jednym z jej najbardziej zaufanych ludzi. Jednym z bardzo nielicznej, elitarnej grupy, która dowodzi komisarzami. I zdołałem wydobyć z dna jeziora to, po co pan wybrał się na Syberię. Pozostałości waszego statku. Oddam panu większą część zdobyczy, na znak dobrej woli, jeśli dojdziemy do porozumienia.

- Oddamy - wtrącił Jakubowski.

- Oczywiście. Oddamy.

- Tak chcecie mnie kupić?

- Pana kupić się nie da. Tak chcemy okazać, że można i warto nam ufać. Pan się przejmuje śmiercią Rostowów? A któż to był ten hrabia Rostow? Marzyciel, wspomnienie minionego na zawsze świata. Zabić go, to jak przetrzeć oczy po przebudzeniu. Pan jesteś Melizzath'l Nowakowski, Marsjanin, rękojmia przyszłości. Zabić pana byłoby zbrodnią, a co gorsza marnotrawstwem. Natomiast pozyskać pana... O, to prawie gwarancja triumfu. A odpowiadając na pana drugie pytanie. Przeciw komu? Otóż, drogi przyszły sojuszniku, przeciwko wszystkim.

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Mioczka będzie nas ścigał. Rewolucja będzie nas ścigać. I wszystkie potwory Dzikich Pól też będą chciały nas dostać - wyliczał Grabiński, coraz bardziej marudny, w miarę jak kończyły się zapasy alkoholu w jego ostatniej butelczynie. - Wszyscy, cały cholerny świat, będzie nas ścigał. Mogliśmy posiedzieć jeszcze dzień, dwa w stancy. Ale nie. Tłuczemy się na koniach, co do których nie jestem nawet pewien, czy istnieją, bo dali nam je bohaterowie literaccy skłonni do rozwiewania się w mgłę. A dlaczego? Nie wiem.

Kutrzeba nie skomentował tego marudzenia, zadowolony, że Grabiński nie zdecydował się pozostać w stancy.

- W takich miejscach nie należy zostawać dłużej niż trzeba - warknął zniecierpliwiony Szuler, który o nocnych rozterkach inspektora nie wiedział, toteż nie widział powodu, by go oszczędzać.

- Ale może właśnie było trzeba? Ty, bóg, nie mogłeś nam tego wywróżyć?

- Nie jestem jasnowidzem - odburknął Szuler, dodatkowo podminowany, bo Wanda częściej jechała u boku Jaśka niż przy ojcu. - Widzę linie losu bliskich ludzi. Twoja zaczyna zbaczać na niebezpieczne ścieżki.

Grabiński sklął go i podjechał do Sary, by namówić ją na postawienie mu wróżby z kart. Doczekał się jedynie

informacji, że czarownica dysponuje klątwą impotencji, którą zawsze chciała wypróbować, ale dotąd nikt wystarczająco jej nie zdenerwował.

Jasiek zagadywał do każdego ptaka w okolicy, nie po to jednak, by wydobyć od nich jakieś informacje, ale by popisywać się przed Wandą. Odkąd przyczynił się do jej uratowania, nabrał pewności siebie. Wanda z kolei może nie wpatrywała się w niego jak w obrazek, ale wyraźnie dała się uwieść magii przeznaczenia.

- Zmarnuje mi córuchnę - mamrotał Szuler. - Zabić go nie mogę, bo by mi nigdy nie wybaczyła, ale przysięgam ci, Mirku, że chętnie był mu skrócić kark.

- Boisz się, że zbałamuci ci dziecko czy boginię?

- Szuja jesteś.

- Przyjaciel jestem. Dlatego mówię szczerze.

- Szczerze to ty mi powiedz, cóżeś robił przez całą noc z demonem zemsty, który powinien gryźć cię w serce i duszę, żebyś nie zboczył ze ścieżki pomsty. Bo mnie się zdawało, żeście tańczyli. To jakieś nowe rytuały?

Zmora milczała. Zamilczał i Kutrzeba.

Jechali sobie, rozmawiając tak wesoło, aż Jasiek zameldował wreszcie, że ptaki, użyteczni przyjaciele, mówią, że mnóstwo wilków zmierza ich śladem, a nawet otacza ich już powoli, lecz nieubłaganie.

- Jakbyśmy popędzili konie, to może byśmy im uciekli! - Zasugerował.

- Dobra rada, ale głupia - zbył go Kutrzeba. - A o wilkach

wiem od dawna. Popytaj, Jaśku, czy ptaki nie widziały gdzie latającego wilka. Albo naszych ludzi. Przydaj się na coś.

- Pan mnie nie szanuje! A ja już nie ten sam, co na początku podróży! Ja teraz...

- Ale ja jestem ten sam, co i dawniej - przerwał mu Kutrzeba. Posłał chłopakowi spojrzenie, pod którym tamten aż się skulił. - Przydaj się na coś, powiedziałem!

Wilki wędrowały ich śladem, ledwie opuścili stanicę, zdawał sobie z tego sprawę każdy, prócz zakochanego młodzieńca i jego dziewczyny. Szuler nie potrafił zobaczyć linii losu związanych z dziesiątkami wilczych watah ściągających chyba z całych Dzikich Pól i ostrzegł Kutrzebę, że nad drapieżnikami rozciągała się czyjaś potężna opieka.

- Oczywiście. - Kutrzeba nie wydawał się zaskoczony. - On je prowadzi.

- Wiesz coś, czym chciałbyś się podzielić?

- Przed wieczorem wszyscy będziecie to wiedzieć.

Pierwsi wyjechali im naprzeciw Kozacy, ukrywający się dotąd wśród traw sobie znanymi sposobami. Przybyli z opuszczoną bronią, na znak pokojowych zamiarów. Nie przypominali tych z czarnych sotni zaprzędanych śmierci ani z sotni czerwonych, walczących w skrojonych przez rewolucyjnych krawców jednako burych mundurach. Grupę Kutrzeby otoczyła barwna kompania, w której każdy przyodziewał się wedle własnej fantazji, starając się wręcz przelicytować towarzyszy w szalonych pomysłach i kosztownych ozdobach. Barwne kurty poobwieszano złotem i

drogimi kamieniami, które pyszniły się też z pierścieni ponasuwanych na place. Nawet dość nowoczesne karabiny przyozdobione były złotymi inkrustacjami z zaklęciami.

- My was teraz powieziemy - oznajmił dowódca oddziału, ledwie się przywitał. Przed paniami pochylił się głęboko w siodle. Nawet Sarze rozbłysły oczy na widok tego junaka, a Wanda tak pokraśniała, gdy na nią spojrzeł, że Jasiek na wszelki wypadek uznał za stosowne odchrząknąć i zasłonić ją własnym ciałem. - Nie bójcie się, jesteście wśród przyjaciół.

Popędzili konie, bo Kozacy nie mieli w zwyczaju jeździć powoli. Pognali w świetle zachodzącego słońca, a potem w ciemnościach, a obok nich, już zupełnie otwarcie, pędziły wilki. Konie parskwały niespokojnie, jednak drapieżniki nie zamierzały im nic robić. Kutrzeba nie potrafił ocenić, jak długo tak jechali. Zwodziły ich czyjeś czary, bo nie potrafił też zapamiętać drogi. Nikt im na niej nie stanął, upiory i demony trzymały się z daleka, jakby nie jechali przez Dzikie Pola, ale jakąś cywilizowaną, podmiejską drogą.

Wreszcie dostrzegli polanę, całą otoczoną ogniskami, ale też bladym, nadnaturalnym światłem. Nieprzeliczone wilcze rzesze czekały tam na nich w nienaturalnym jak na zwierzęta milczeniu. Otaczały siwowłosego brodatego mężczyznę, siedzącego przy największym ognisku. Kozacy, ledwie zsiadli z koni, padli przed nim na kolana. Ich dowódca też ukląkł, ucałował biskupi pierścień na wyciągniętej dłoni i zameldował, że oto przywiódł tych, których ojciec życzyli sobie widzieć.

- Dziękuję ci, Jurku. - Siwowłosy pobłogosławił go, kładąc dłoń na kruczoczarnych włosach żołnierza. - Dziękuję wam wszystkim! A wy, mili goście, nie lękajcie się, podejdźcie. Z radością was wśród nas widzimy!

Zsiedli więc z koni. A gdy zbliżyli się do siwowłosego biskupa, zobaczyli, że w jego potężnym cieniu siedzieli Wilk Wiatrołap i Mioczka.

Rozdział 8

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Kraków*

Trudno się było oprzeć wrażeniu, że znalazł się w gnieździe wrogów. Na przykład ten zgarbiony łysol, ośmieszający się archaiczną marynarką i tym komicznym monoklem ze zwykłego szkła, zastąpił go oficjalnie na stanowisku w krakowskich służbach i dokładał wszelkich starań, by zdyskredytować Koryckiego i usunąć go stamtąd ostatecznie. Otyły blondyn, siedzący z nim przy stoliku, był jednym z najniebezpieczniejszych spośród znanych Koryckiemu zabójców. Choć ścieżki jego i generała nigdy się nie skrzyżowały, sam fakt, że siedział w towarzystwie łysola, Korycki uznał za niepokojący.

Minął ich, odpowiadając na nieszczere ukłony i uśmiechy, tak jak minął też Lemańskiego i Fizyliota, dwóch analityków odpowiedzialnych za politykę miasta wobec Warszawy, kiedyś służących mu z oddaniem, dziś być może pracujących przeciw niemu. A gdy przekroczył wreszcie próg Sali Mroku – jak ku jego na poły rozbawieniu, na poły zażenowaniu nazwano jedno z pomieszczeń, przez co czuł się tu czasami jak bohater powieści za pół grosza – i usiadł naprzeciw

trzech mężczyzn, których twarze skrywał cień, nadal miał wrażenie, że znajduje się wśród nieprzyjaciół. Chociaż ci akurat byli jego przełożonymi.

Komisji Ładu z Klubu Cieni przewodził mężczyzna, który kazał się nazywać komandorem. Mogło to świadczyć zarówno o jego marynarskiej przeszłości, jak i o czymś wręcz przeciwnym. Sekrety otaczające kapitułę Klubu, zrzeszającego przede wszystkim aktualnych i niegdysiejszych agentów wywiadu, pozostawały nieprzeniknione nawet dla Koryckiego. To Klub zdecydował o jego oficjalnej emeryturze, Klub nadał mu stopień generalski i klub wysługiwał się nim jak byłe sierżanciną.

- Otrzymał pan meldunek od „Dwurekiego”. - Komandor nie tracił czasu na powitania. - Jak ocenia pan ryzyko śmierci senatora?

- Skoro „Myszołów” wyruszył jego tropem, już wcześniej wydawało mi się znaczne. Teraz... Nic się w tym względzie nie zmieniło.

- A to nie Jakubowski ściga „Myszołowa”? - Zdziwił się mężczyzna siedzący po prawej stronie Komandora. Jego piskliwy głosik sprawiał wrażenie przestraszonego. W sumie trudno mu się było dziwić, rozmawiali o zabójstwie jednego z najpotężniejszych ludzi w Galicji. Czy jednak członek Kapituły powinien okazywać lęk, a choćby niepokój?

- Będzie pan łaskaw wyjaśnić, panie generale - w głosie Komandora nie było słyhać żadnych uczuć. Ten człowiek, w przekonaniu Koryckiego, zdecydowanie znajdował się na

właściwym miejscu.

- Ponownie wsparliśmy „Myszołowa”. - Korycki miał nadzieję, że i jego głos nie zdradza niepokoju, jaki ogarnął go, ledwie wszedł do Klubu. Cała ta sprawa zdecydowanie go przerastała. Nie potrafił przestać zastanawiać się, czy po wszystkim Kapituła nie uzna za stosowne pozbyć się także i jego. - Nie tylko podsunęliśmy mu pomysł wykorzystania Marsjanina, ale także wystawiliśmy jak najlepsze referencje. Z kolei Jakubowskiemu podsunęliśmy tyle tropów, że nie mógł ich zignorować. Tym bardziej, że taka wyprawa wydawała się dlań znakomitym pretekstem, by spotkać się z „Konradem”. Niestety, Jakubowski potwierdził wszystkie nasze podejrzenia. Prowadzi własną grę.

- Czy mi się zdaje... - ostatni z członków Komisji mówił tak cicho, że niemal szeptem. On także potrafił skrywać emocje. Musiał być kiedyś nauczycielem, uznał Korycki. Za każdym razem, gdy się odzywał, brzmiał, jakby wygłaszał wykład. - ...czy działania Jakubowskiego są w gruncie rzeczy racjonalne i byłyby nam na rękę?

Korycki zgadzał się z nim całkowicie. Lubił Kutrzebę i prywatnie kibicował mu nawet, rozumiał przecież jego motywy. Jednak tym razem racje wielkiej polityki przemawiały raczej za Jakubowskim. Gdyby senatorowi i „Konradowi” udało się zrealizować ich plan, ta część świata zmieniłaby się nie do poznania! I to, Korycki wierzył w to głęboko, na lepsze.

- Nie dysponujecie, panowie, pełnym obrazem sytuacji -

uciął Komandor. - Podobnie jak Jakubowski. Niech wam wystarczy, że pan senator znacznie przekroczył swoje kompetencje i *de facto* wystąpił przeciwko nam. Jego plany, choćby i najszlachetniejsze, nie mają znaczenia, są niczym wobec naszych planów. Umrze. Panie generale, proszę nam streścić ostatni meldunek „Dwurękiego” i przedstawić dokładnie obecne położenie „Myszołowa”. Czy potrzebuje naszej pomocy?

*czerwiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Nic nie jest proste, mój synu - starzec ledwie przywitał gości, zaprosił Kutrzebę na spacer. Obaj wyruszyli w obchód wyznaczanego ogniskami obozu.

I wilki, i ludzie pochylały przed nimi głowy, a Kutrzebie zdawało się, że nawet i rośliny reagowały na przejście siwowłosego. Jak niegdyś na ziemiach Rostowa, tak i tu cała przyroda oddawała cześć swemu gospodarzowi. Widział coś podobnego w Matce Tajdze i Wiekuistej Puszczy, tam jednak leśne quasi-państwa podporządkowane były w całości jednej władzy. Na Dzikich Polach zmagali się ze sobą rozmaici hegemoni i kandydaci na nich. Nie inaczej było w miastach, których mieszkańcy nie byli skłonni do oddawania władzy w ręce jednego bóstwa czy demona. Własnych patronów miała każda kamienica, a nawet każde mieszkanie. Ludzie

obwieszali się amuletami wielu bóstw i – jak Kutrzeba – tatuowali na sobie zaklęcia w rozmaitych językach. Żaden jednak patron nie mógł się równać z tym, przy którym kroczył właśnie Kutrzeba.

- Losami nas wszystkich sterują wiatry wiejące z różnych stron – ciągnął starzec – a za każdym z nich stoi ktoś z własnymi racjami. Nawet tu, w tej dzikiej a prostej krainie, starają się rządzić nami istoty ukryte w cieniu.

Towarzyszyła im wilcza eskorta, a także Mioczka, nadal dosiadający Wilka Wiatrołapa. Nawiedzeniec nie odzywał się do Kutrzeby, nawet na niego nie spoglądał. „On jest już mój – poinformował Kutrzebę zaraz na wstępie biskup. – Obaj są. Nie musicie się ich obawiać. Żaden wilk, choćby i czarodziejski, nie zdoła oprzeć się memu rozkazowi. A to dziecko potrzebuje spokoju”.

- Dla mnie wszystko jest proste – nie zgodził się Kutrzeba.
- Mam cel. Nic poza nim nie istnieje.

- Sam wiesz, że to nieprawda, synu. Tę ciemność w tobie co i rusz rozpalają jakieś ognie. Nawet twój osobisty demon je dostrzega. I nie jesteś tak samodzielny, jak ci się wydaje i jak byś chciał. Jak i, niestety, ja.

- Ty? Ty jesteś bogiem. Najbliższym idei jednego, wszechmocnego Boga, jakiego spotkałem.

- Heretyk! – Biskup uśmiechnął się, ale była w tym uśmiechu drapieżność i groźba. – Nie mów takich rzeczy, synu. Jestem chrześcijańskim biskupem, wypatrującym ponownego przyjścia Pana.

- Nie dla Dzikich Pól. Tu cię czczą jako boga.

- A co tam ze mnie za bóg! - Biskup machnął ręką. - Wymieszali we mnie tyle wierzeń, wszyscy ci moi wierni i stąd, i z innych krain, że w porównaniu ze mną ten nieszczęsny dzieciak, w którym poupychano siłą różne dusze, to wcielenie ładu. Wiodę wilki, bo mnie wieki temu uczynili wilczym pasterzem, w miejsce jakiegoś starego demona. Władam strzępem tego nieszczęsnego kraju, bo tutejsi prostaczkowie wierzyli we mnie prawie jak w Boga. Wszystko to mnie wiąże, pęta. Ani ze mnie prastary bóg, ani ortodoksyjny chrześcijanin. Nie ma we mnie prawdziwej siły, synu, musisz to zrozumieć, byś mógł zrozumieć to, co uczynię tobie. Posłuchaj mnie, dziecko, cierpliwie i uważnie. Nie powiodę swoich żołnierzy na twoich wrogów. Oni mają karabiny ze srebrnymi kulami zdolnymi zabić nawet ożywione legendy. I karabiny maszynowe, które zraniłyby wiele moich wilczych dzieci, nim byśmy ich dopadli. Zbyt wiele śmierci kosztowałaby mnie taka bitwa. Stary bóg śmieje się z tego, ale biskup płacze.

- Znam opowieści o tobie. Jak uderzeniem pastorału strzaskaleś bramę jakiegoś zamku. Rewolucja przyjdzie do ciebie tak czy owak.

- Po pierwsze to nie o mnie, ale o prawdziwym biskupie. Ja jestem tylko jeszcze jednym duchem, nie myl jednego z drugim. Myślisz, że jestem tym samym bóstwem, którego błagają o pomoc marynarze? Nosimy to samo imię, ale żaden z nas nie jest prawdziwy. A jest jeszcze i ten trzeci... W

każdym z nas jest siła i z pewnością pokonalibyśmy ten, stosunkowo niewielki, oddział Rewolucji. Ale nie chcę strat, jakie by się z tym wiązały.

- Zatem nam nie pomożesz?

- Więcej, synu. Wydam cię w ich ręce.

Zmora skuliła się w Kutrzebie. Chętnie rozdarłaby gardło biskupowi, zdawała sobie jednak sprawę, że nie mogła zagrozić temu, którego jeszcze przed Kresem nazywano na Ukrainie następcą Boga. Zastanowił ją także spokój Kutrzeby.

- A mówisz mi to, ponieważ...?

- Ponieważ wiem, że dla ciebie żadne sojusze z tymi, których przysiągłeś zabić, nic nie znaczą i jeśli będziesz musiał, obrócisz się nawet przeciw przyjaciołom, gdyby stanęli ci na drodze. Bez względu zatem na okoliczności, spróbujesz zabić wielkiego senatora. A ja chciałbym, żebyś przy okazji zdobył dla mnie sterowiec. Przyda mi się w nadchodzących latach. Wiesz przecież, że mam już dla niego kapitana.

Sterowiec przyleciał po nich ledwie dwie godziny później. Wilki zawyły na jego widok, a i Kozacy wymierzili w niebo dwa zdobyczne ciężkie karabiny maszynowe. Wszyscy wpatrywali się w okręt lądującego majestatycznie na polanie.

Ciemny, jeszcze z herbem Jakubowskiego i znakami Kolei Galicyjskich, ale także z czerwoną banderą powiewającą na

rufie obok flagi galicyjskiej, sterowiec opadał pomiędzy ludzi, duchy i zwierzęta jak przybysz z innego świata, pewnie i spokojnie. Całe zastępy biskupa wyszły mu na spotkanie. Tylko Wilka Wiatrołapa i Mioczki nie było nigdzie widać.

- Pięknie - burknął Grabiński, widząc schodzącego po trapie czarodzieja, któremu towarzyszył jednooki gnom. - Sami pakujemy się w ręce wroga.

- Ty możesz zostać. - Widok Kuntza zaniepokoił Kutrzebę. Gnom miał z nim prywatne porachunki. Czemu nie rozstrzelano go za spartaczoną misję? Czy nie taki los czekał w Rewolucji wszystkich, którzy zawiedli?

Znów zastanowił się, czy nie lepiej było spróbować ucieczki. Dali się zaciągnąć Kozakom w pułapkę, nie zmieniały tego zapewnienia biskupa, że mimo wszystko wiązały ich wspólne cele. Miał rację Korycki, gdy mówił, że czym innym jest zabijanie możnych, a czym innym wplątanie się w politykę. Każdy kolejny z jego celów okazywał się trudniejszy do osiągnięcia. Czy będzie musiał rozpętać wojnę, by dopaść piątego?

Całą broń musieli oddać Kozakom, bardzo zadowolonym z takich prezentów. Biskup pobłogosławił zdobyczne pistolety i karabiny, by nie zawiodły nowych właścicieli. Szabli i noży nie chciał przyjąć. Oświadczył, że biała broń ma duszę, która umiera dopiero wraz ze śmiercią właściciela. Wydarta żywemu zemści się, jakby dysponowała własną wolą.

- Poznajesz mnie, Oceański? - Mściwa radość aż rozpierała gnoma. - Nie spodziewałeś się, draniu, prawda? Oj, zgotuję

ci piekło, zdrajco!

Kuntz kazał zakuć wszystkich, łącznie z kobietami. Biskup namawiał Wandę, by pozostała z nim, nie chcieli się jednak zgodzić na to ani Szuler, ani dziewczyna. „Gdzie oni, tam i ja!” – oświadczyła, nie wiadomo, czy mając na myśli ukochanego i ojca, czy też całą drużynę. Szuler z kolei powiedział biskupowi prosto w oczy, że nie da zrobić z córki zakonnicy i zakuć jej w kajdany jednej religii. Biskupowi zabłyśły na to oczy i wydawało się, że dwaj bogowie spróbują zaraz sprawdzić, który z nich okaże się silniejszy, ale Wanda nie pozwoliła im na to. Wkroczyła między obu, objęła ich i wyszeptała coś, co mogło być prośbą, a mogło i błogosławieństwem. Cokolwiek powiedziała, obaj zmieszali się i odstąpili od siebie.

- Ja tu nikogo nie zdradziłem. - Kutrzeba szarpnął się, gdy zakładano mu kajdany. Obejrzał się na biskupa i splunął ku niemu.

Kuntz śmiał się. Demonstracyjnie uśmiechnięty podbiegł do biskupa z wyciągniętą ręką. Starzec uścisnął ją bez wielkiej ochoty.

- Mądrzejsiście niż wasza gasnąca religia! - Pochwalił go gnom. - Rozumiecie gdzie przyszłość! Napiłbym się z wami za początek owocnej współpracy, ale czas nagli. Na tego tam już czekają. Bywajcie, towarzyszu! Wybaczcie, że nie czekam od was błogosławieństwa na drogę...

- Głupiec. - Kozak stojący u boku biskupa wyszczerzył się wilczo, obserwując odlatujący sterowiec. Trafnie przewidzieli

jego kurs, gdy wysyłali, jeszcze przed jego przybyciem, w drogę Wilka Wiatrołapa. – Własną śmierć niesie i cieszy się z tego.

– Nie wiesz, jak się to skończy, Jurku. – Biskup położył mu dłoń na ramieniu. – I nawet ja nie wiem. Słuchaj mnie teraz, synku. Ruszysz za nimi tylko ze swymi ludźmi. Ostrożnie, po cichu. Jeśli Kutrzeba nie zdoła nic zrobić, sam żadnych działań nie podejmuj.

– Znam takich jak on, batko. Świat w perzynę obróci, ale swego dojdzie. Nawet grób go nie powstrzyma.

– Może i tak. Ale nie jesteśmy gotowi jeszcze na wojnę z Rewolucją. Musimy się zdać na tego nieszczęsnego człowieka. Pomożesz mu uciec, jakby co, ale nic więcej. I pilnuj, żeby sterowiec oddał naszym ludziom.

– Tak i zrobię – skrzywił się Kozak. Wyraźnie nie cieszyła go perspektywa ewentualnej podniebnej przejażdżki. – Pobłogosławcie mnie przed walką. Jakbym miał nie wrócić, to chcę z czystym sercem do ziemi i nieba.

Niepewny, czy jego błogosławieństwo znaczyło cokolwiek dla milczącego Nieba, biskup oparł dłoń na głowie wojownika, przywołanego tak ze stepowych legend, jak i z powieści. Od modlitwy mężczyźnie zabłyśły oczy. Pieczęć błogosławieństwa, nic może niewarta w chrześcijańskim Niebie, na Dzikich Polach miała swoje znaczenie. Biskup mógł czasem w sobie wątpić, wahać się co do swej roli i znaczenia. Ale cała Ukraina wiedziała, że nie ma świętego nad Świętego Mikołaja, boga bogów na Dzikich Polach.

Nawet ziemia kładła się do stóp rycerzom, których błogosławił.

Przez chwilę przypatrywał się wnętrzu lewej dłoni, zdziwiony, że niewielka rana nie goiła się tak szybko, jak oczekiwał.

- Jestem zbyt słaby - szepnął, gdy został sam. - Co ze mnie za bóg, co ze mnie za patron! Wchodzę w sojusze z diabłami i z ludźmi przeklętymi, i żadnego z nich nie zdołam zbawić.

Ponieważ uważał, że gadanie do siebie nie świadczy ani o mądrości, ani o pobożności, a jedynie o tym, że ciągle spierają się w nim dwie natury, pogańska i chrześcijańska, uciekł tam, dokąd zawsze uciekał przed samotnością istoty nadnaturalnej - pomiędzy swoich wiernych.

Przeżegnał się na prawosławny sposób, co zawsze pomagało mu odnaleźć spokój, i poszedł odprawić mszę dla wilków i ludzi.

Rozdział 9

*czerveniec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, obóz Rewolucji*

Postanowili zorganizować spektakl, niemal misterium, by pokazać, jak muszą cierpieć ich wrogowie. Przede wszystkim jednak chcieli zademonstrować klęskę mężczyzny, który tak długo wzbudzał w nich lęk.

- Zabiłbym cię od razu, morderco, ale trzeba jeszcze wyciągnąć z ciebie to i owo. - Uśmiech wykwitł na ustach Kuntza jak ropiejąca rana.

Gnom zagryzał wargi do krwi, próbując panować nad sobą, by nie zameczyć jeńca, nim nie doprowadzi go związanego przed swoich panów, w parodii starożytnego triumfu cesarów. Choć wydawało mu się, że po tygodniach przesłuchań na Łubiance nie bał się już nikogo i niczego, obawiał się Bryka, bo nie potrafił go pojąć. W błyskawicznie awansującym człowieku kryła się jakaś tajemnica i ambicje trudne do objęcia umysłem zniewolonego sługi, w którego przemieniono niegdyś błyskotliwego agenta. Kuntz, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, kulił się na samą myśl o Bryku.

A przecież Bryk nic mu nigdy nie zrobił. Ba, wyciągnął go z dalekich, zimnych łagrów tuż przed tym, nim złamany duch

gnoma przestał dodawać sił obolałemu ciału. Z Kuntza pozostały już wtedy nic niewarte, pozbawione jakiegokolwiek refleksji odruchy. Wstawał, bo inni wstawali, i jadł, bo inni jedli. A potem pracował bez wytchnienia przy budowie ogromnej piramidy, mającej posłużyć do wyhodowania nowego, potężnego boga. Nie było światła w jego oczach, póki Bryk nie rozświetlił ich obietnicą zemsty.

Mocno poturbowanego już podczas powietrznej podróży Kutrzebę przywiązano do pala wewnątrz jednej z ziemianek. Ledwie jeden zapalony kaganek nie dawał wystarczająco dużo światła, by Jakubowski mógł dojrzeć ślady pobicia na ciele jeńca. Zdawał sobie jednak sprawę, że Kutrzeba znajduje się w kiepskim stanie.

Przede wszystkim dlatego, że wywleczono zeń zmorę.

Zanim się to stało, jeńca przywiązano na środku obozowiska, do palików wbitych tak, by rozłożone ramiona i nogi mężczyzny wpisywały się w kształt wyrysowanej na ziemi gwiazdy. W jej górnym promieniu umieszczono głowę więźnia, także unieruchomioną dzięki sprytnej kombinacji kolejnych palików i rzemieni.

- Nie bój się - zdążył szepnąć demonicy, nim wciśnięto mu w usta kołek z wyrytymi świętymi symbolami Rewolucji. Kuntz zdarł z więźnia resztki ubrania, i tak już mocno uszkodzonego podczas wcześniejszych igraszek, po czym systematycznie zamalowywał wszystkie tatuaże, w jakie Kutrzeba zaopatrywał się przez lata. Pierwotnie chciał je wypalić, ale Jakubowski z Brykiem zaprotestowali przeciw

temu zgodnie.

- Dam wam go całego, towarzyszu - obiecał gnomowi nadkomisarz. - Ale nie zamęczycie go, póki nie powie wszystkiego. I tego, co wie, i tego, co mu się zdaje, że nie wie. Baczcie, by was nie poniósł entuzjazm. Rewolucja drugi raz nie będzie już tak litościwa.

Pozostałym jeńcom oszczędzono widoku kaźni. Jakubowskiego zdziwiła ta litość Bryka, w rzeczywistości jednak nadkomisarz bał się, by gniew nie pobudził się Szulera. Boga i jego towarzyszy zamknięto w ziemiance, opisanej sześcioma magicznymi kręgami i gwiazdą Rewolucji. Ani człowiek, ani demon nie zdołałby ich przekroczyć.

Gdy Kuntz pokrył prawie całe ciało Kutrzeby farbą z ludzkiej, zwierzęcej i demoniej krwi, czarodziej Jakubowskiego przystąpił do wydobywania zmory z jeńca. Krążył nad mężczyzną, na przemian wykrzykując i szepcząc jakieś zaklęcia, a pomagało mu dwóch czerwonych szamanów przywiezionych z pogranicza Matki Tajgi. Nacinali ostrożnie ciało Kutrzeby w miejscach, które uznawali za najkrótsze ścieżki do jego duszy. Zmora wściekała się, stawiała opór, ale unikali zwinnie jej ciosów, tnąc ją w odpowiedzi po rękach i szponach srebrnymi nożykami, aż wyła z bólu. Krzyczał i Kutrzeba. Nie obiecywał sobie wcześniej, że nie da im takiej satysfakcji, zbyt dobrze znał możliwości doświadczonych katów. Nie spodziewał się jednak, że wyrywanie z niego zmory zada mu tyle bólu. Tak

często przecież wychodziła z niego sama. Czym to się różniło?

- Wyciągniemy ją z ciebie całkiem - zasyczał mu prosto w ucho Kuntz, jakby czytając w jego myślach. - Całkiem wykorzenimy i wypalimy każdą nić, jaką się z tobą związała. Zostaniesz sam, ścierwo!

Potem Kutrzeba krzyczał, z bólu, ale i z gniewu. I z żalu za traconą bezpowrotnie towarzyszką. Czy w trakcie rytuału zamęczą i ją? Przysiągł, że zemści się i za to, choć tym razem czuł, iż zemsta to za mało. Czym innym było czcić krwawo pamięć już zmarłych, czym innym żegnać się z żywymi, nie mogąc zrobić nic, by im pomóc. Przeklął własne plany, zbyt niedoskonałe, skoro doprowadziły do tej chwili i tej śmierci.

A jednak nie. Gdy wywlekli zmorę z Kutrzeby i cisnęli na ziemię czarne, zmaterializowane ciało, zmaltretowane, jakby i ona przyjmowała rany zadawane nosicielowi, Kuntz rzucił się ku zmorze z nożem, ale czarodziej powstrzymał go.

- Ona też mi obiecana! - Wrzasnął na niego Kuntz. - Zarżnę sukę na jego oczach!

- Później. Teraz mógłbyś go tym zabić.

- Przecież ich już nic nie łączy, durny niewolniku! Puść, mówię!

- Dotknij ją, a spalę cię żywcem, gnomie.

Kuntz zamarł. Patrzył chwilę z niedowierzaniem na czarodzieja, a potem obrócił się, szukając pomocy u swego dowódcy.

- Posłuchamy fachowca - rozczarował go Bryk. -

Ostrzegałem was, towarzyszu, nie przeholujcie.

Związali zmoreę srebrną nicią. Wypalili jej na ciele siedem pieczęci z imionami Wodzów i świętych Rewolucji, a potem cisnęli do klatki z żelaza. Zaraz postawiono przy niej czterech wartowników, rekrutujących się wyłącznie z komisarzy, choć nie była już w stanie walczyć.

Pozbawiony opieki zmory Kutrzeba nie mógł już leczyć ran w nadnaturalny sposób, nie dysponował też dodatkowymi siłami. Patrząc na niego, Jakubowski poczuł nareszcie, po raz pierwszy od lat, że opuszcza go strach, ten obrzydliwy strażnik podcinający mu skrzydła, wiążący umysł.

Odkąd ze współnikami upewnili się, że ich tropem podąża mściciel, ktoś, kto odkrył ich istnienie i spisek, żyli jakby w więzieniu. Jeden sam zamknął się wieży, inny wyrzekł własnego życia i imienia. Ale wszystko to okazało się daremne. Jakubowski nakarmił patrona kolejnymi ofiarami, a Bryk uciekł tam, gdzie sądził, że nawet sam diabeł nie odważy się go szukać. Na próżno. Ktoś ciągle zmierzał ich tropem, czuli, jak niewidzialna pętla zaciska się wokół nich, dławi dusze i nie pozwala żyć i działać. Ile mogliby już osiągnąć, gdyby nie bali się tego jednego przeklętego człowieka! Jednego mężczyzny!

Jakubowski zaśmiał się ochryple. Wymierzył Kutrzebie policzek i odskoczył, bo ten znalazł jeszcze siły, by splunąć. Kto wie, co mogła zawierać ślina takiego szaleńca!

- Skończyliście już, towarzyszu? - Kuntz niecierpliwił się wyraźnie. Spieszno mu było do dalszych tortur. Jego zupełnie

nie interesowały sekrety Kutrzeby, pragnął jedynie zadać mu jak najwięcej bólu. Ilekroć niemal siłą odrywano go od więźnia, szedł pastwić się nad zmorą, a potem opowiadał Kutrzebie o wszystkim, co jej uczynił.

- Pamiętaj, by go nie zabić - przypomniał mu Jakubowski. Ten przeklęty mściciel wciąż nie zdradził im wszystkiego.

Mimo wszystko teraz z ulgą opuścił ziemiankę, w której przesłuchiowano Kutrzebę. Nie znosił tortur i tego, co potrafiły robić z ludźmi. O mdłości przyprawiał go zapach przypalanego ciała, odór gnijącej krwi i smród ekskrementów. Upodlenie innych przypominało mu o własnej cielesności i wynikającej z niej śmiertelności. W tym jednym nie różnił się od pozostałych; gdyby oddać go w ręce Kuntza, też zmieniłby się w kawał mięsa, a światły umysł wypełniałoby jedynie pragnienie końca. Cieszył się z upadku Kutrzeby, ale wolałby, by zabili go szybko i czysto. Szkoda, że nie mogli, póki nie wydarli mu ostatniej, największej tajemnicy.

Kutrzeby, jak się okazało, nie trzeba było jednak za bardzo łamać. Chętnie opowiadał o tym, jak zabijał ich przyjaciół, właściwie chełpił się tym. Dopiero pod koniec pierwszego dnia zorientowali się, że choć mówił im dużo, nie zdradził prawie nikogo, kogo by już nie znali. Dali się oszukać przez nadgorliwość Kuntza, który nie ustawał w torturowaniu mściciela. W trakcie przesłuchania wydawało się, że Kutrzeba rzeczywiście zeznaje pod wpływem tortur, a nie dlatego, bo chce z nich zakpić.

- Trzy dni - przypomniał Jakubowskiemu Nowakowski, oczekujący na niego przed siedliskiem Kuntza. Towarzyszący mu bez przerwy „opiekunowie”, czterech zwyczajnych czerwonoarmistów, przyglądało się ciekawie obcemu. Dotąd słyszeli tylko o Marsjanach, ale żadnego jeszcze nie widzieli. Obcy nie garnęli się do Rewolucji, żaden dotąd nie oddał się rządzącej nią idei. - Torturujecie go już trzy dni.

Z niewiadomych przyczyn Jakubowskiemu było wstyd przed Marsjaninem. Czuł się jak barbarzyńca wobec przedstawiciela wyżej rozwiniętej cywilizacji. Zwykle uważał się za równego tym obcym przybyszom z drugiego końca kosmosu, ale tak otwarte, brutalne stosowanie przemocy uczyniło zeń barbarzyńcę nawet we własnych oczach.

- Sam to na siebie sprowadził - odpowiedział ze złością. - Panu go żal? Pana też starał się wykorzystać! Zresztą, co pan tu jeszcze robi? Czy nie skończono już załadunku?

Trzydzieści wozów miało uwieźć tę część skarbów, którą oddali Nowakowskiemu w zamian za przystąpienie do spisku. Jakubowskiego bolało serce na samą myśl o bogactwie, jakie przekazywali w ręce Marsjanina. Pocieszał się tylko myślą, że najcenniejszą zdobycz zachowali dla siebie. Czy Marsjanin zdawał sobie sprawę, że odnaleźli prawdziwy skarb, prawdziwą przyczynę jego wyprawy? Że nieuszkodzony zbiornik z masą protoboską, prawdziwą esencją marsjańskich energii, wykorzystywaną do produkcji mitbomb

bądź bóstw, zachowali dla siebie?

Oddawali mu fortunę, ale ten zbiornik, odpowiednio wykorzystany, mógł uczynić z nich bogów.

- Pomyśl. - Gdy mu to tłumaczył, Bryk mówił szeptem nawet w magicznie zabezpieczonym pomieszczeniu. - Wodzowie Rewolucji doznali transcendencji przez śmierć i wiarę dziesiątek milionów przez to, że stworzyli coś nowego na świecie, państwo, które samo jest istotą, dla którego oni są mózgiem i sercem. Ile trudu włożyli w osiągnięcie nieśmiertelności! A my mamy to na wyciągnięcie ręki... Wystarczy, że zrealizujemy swoje plany. A teraz jesteśmy tego bliżej niż kiedykolwiek!

Paradoksalnie to właśnie Kutrzeba popchnął ich na tę ścieżkę. Gdyby nie jego gniew i nieustępliwość, po prostu dożyliby w bogactwie sędziwego wieku. Może dysponowaliby niebagatelną władzą i wpływami, ale to wszystko. Broniąc się jednak przed nim, sięgali po coraz bardziej rozpaczliwe środki, aż wreszcie wpadli na prawdziwie wielki plan. Przejąć władzę w Rewolucji i odgrodzić się od nieustępliwego mściciela nie jakimiś tam ochroniarzami, ale wielomilionową armią i samym państwem-bogiem! W porównaniu z tym ich pierwsze plany wydawały się dziecięcą igraszką. A potem zdobyli nieoczekiwaną premię: skarb Marsjanina.

- Prawie zakończono - głos Nowakowskiego wyrwał go z zamyślenia. - Ale wciąż nie zgodziliście się oddać mi pozostałych jeńców.

- Nie możemy wypuścić Szulera Losu. Zabiłby nas. Nawet gdybyśmy się zasłonili tą jego córką. To silniejsze od niego.

- Ale Cyganka i wielkolud w niczym wam nie zagrażają. I chłopak. I Grabiński.

Jakubowski nie był tego taki pewny. Marsjanin nie pojmował, jak mocno byli już związani z Kutrzebą. W tym człowieku, a może w samej jego misji, było coś niezwykłego. Nie mścił się zwyczajnie, jak inni zabójcy, ale zdawał się w tym celu wykorzystywać całą osnowę nowego świata, uczynił ze swojej zemsty opowieść, upodobnił ją do mitu. Tych, którzy za nim podążyli, złączył ze sobą więzami, których sam może nie pojmował. Mogli się oni okazać niemal równie niebezpieczni jak i mściciel.

Poza tym byli świadkami, stanowili niebezpieczeństwo.

A nic teraz nie mogło stanąć na drodze do spełnienia planów Jakubowskiego i Bryka. I nikt.

Kuntz umarł szybko, jakby ulitował się nad nim jakiś bóg albo diabeł. Żadne z mamrotanych przeciw gnomowi przekleństw Kutrzeby nie miało się już spełnić. Nóż wszedł czysto, gładko między żebra. Zabijany prawie nie poczuł wnikającego w ciało ostrza, ale szarpnął się pod wielką dłonią zasłaniającą mu usta i stęknął, gdy ostrze przekrecono w sercu.

„No jakże to?” - Zdziwił się i skonał.

- Oby mieli dla ciebie specjalne miejsce w piekle - szepnął

Jewgienij i splunął na trzęsące się jeszcze ciało.

Położył ciało na ziemi. Czy się nie spóźnił?

Kutrzeba ciągle żył. Matko Tajgo, po trzech dniach tortur!

- Kto tu? - Stęknął. - Szuler, to ty?

- T-twój wielki kumpel siedzi zamknięty. Trzeba będzie uciekać bez niego.

- Jewgienij?

- Nie zdążyłem cię wydać, b-bracie. To cię ratuję. P-przygotowałem konie. Uciekniemy ku Matce Tajdze. Da Matuchna, uda nam się. A jak nie, to cię dobiję. Nie będą cię więcej męczyć.

Odwiązał Kutrzebę od pala, starając się zrobić to delikatnie.

- Czeka! - Syknął Kutrzeba. - Skurwiel przybił mi kawałki naciętej skóry do drewna. Obdzierasz mnie teraz żywcem. Odetnij je.

- Matulu, co on ci próbował zrobić!

Cichy śmiech Kutrzeby zaskoczył go. Czy ten człowiek oszalał?

Jewgienij nie odważył się rozpalić kaganka. Wymacał kawałki skóry i wbrew namowom Kutrzeby, domagającego się, by je odciąć, wyjął ostrożnie gwoździe.

- Jak tyś to przeżył, Stachu?

- Dodawali mi sił.

- Kto?

- Moi. Są tu, chodzą za mną krok w krok, ale nie mówiła mi tego, zołza. A musiała widzieć.

Nie wiedząc, o kim mowa, coraz bardziej zaniepokojony Jewgienij pomógł Kutrzebie usiąść. Jęknął głucho, gdy zbadał stan jego nóg.

- Ano, połamane. Nie uciekniemy tak, jak chciałeś, Jewgieniju. Trzeba mi mojej drogiej dziewczynki. I przyjaciół.

- Czerwonych jest tu prawie dwustu, Stachu. A twojej zmory strzeże czterech komisarzy. Cud, że jeszcze żyjemy.

- Nie widziałeś jeszcze prawdziwych cudów, przyjacielu. Musisz mi tylko pomóc, bo sam nie utrzymam noża.

- Matko Najlepsza, to ty i palce masz połamane!

- Drań niczym nie chciał ryzykować. No dobra, tu musisz ciąć.

Wyciągnął ku niemu lewą dłoń, obróconą wierzchem ku ostrzu noża.

- Oszalałeś? Mało krwi straciłeś!

- Tnij, jeśli mamy wyjść z tego żywi.

Żałując, że wmieszał się w to wszystko, Jewgienij naciął skórę w jedynym chyba niezakrwawionym dotąd miejscu na ciele Kutrzeby.

Kilka kropel spłynęło niechętnie. A potem na dłoń Kutrzeby wypłynął za nimi ogień.

- To zapłata - oznajmił pod koniec ich wspólnego spaceru biskup Mikołaj, nacinając własną dłoń. - Może wykorzystasz to teraz, może kiedy indziej. Jednak kropla. Starczy ci na siedem minut. Nie wiem na pewno, co ci da. Uleczy cię, wzmocni. Może będziesz szybszy, a może doznasz wizji. Nie staniesz się bogiem i nie zaszkodzi to tej twojej dziewczynie.

Ale na siedem minut staniesz się potężniejszy. Potem moja krew się wypali i wrócisz do poprzedniego stanu.

- Nie dasz mi ich więcej? Choćby trzech?

- Nie targuj się, synu. Wykorzystaj dobrze to, co dostajesz.

Kutrzeba zlizął ukrytą pośród jego krwi kroplę krwi Mikołaja. Zacisnął zęby, by nie krzyknąć, bo ledwie jej skosztował, żar spadł na jego ciało, wypalając od środka wszystkie rany. Jewgienij jęknął i cofnął się, zasłaniając oczy, bo na jedną sekundę wewnątrz ziemianki zalało ostre światło. Gdy odzyskał wzrok, Kutrzeba stał obok niego cały i zdrowy.

- Mamy kilka chwil, Jewgieniju. Nie każmy im wszystkim czekać.

Nie ukrywali się. Szli, jakby należeli do czerwonoarmistów i mieli wszelkie prawo włóczyć się w nocy po obozie. Wartownicy, przyzwyczajeni, że bezczelność oznacza władzę, ignorowali ich, tym bardziej że w mroku nie rozpoznawali twarzy.

Inaczej zachowali się komisarze strzegący zmory. Nastroszyli się na widok nadchodzących, wyciągnęli przed siebie szpony.

- Hasło! - Wywarczał dowódca warty.

- Sześć minut! - Odpowiedział Kutrzeba i wpadł między demony.

Dowódca rozerwał gardło gołymi rękami, drugiemu komisarzowi kopniakiem złamał kręgosłup. Dwóch pozostałych rzuciło się ku niemu, ale wtedy Jewgienij ciął bliższego z całych sił w łeb. I zmarł, gdy bestia jakby nigdy

nic odwróciła się ku niemu, warcząc. Zaraz jednak krew buchnęła z jej głowy i komisarz padł. Ostatni próbował uciekać, ale Kutrzeba dorwał i jego.

- Widzę ich ruchy, zanim nastąpią! - Otarł krew z ust, ostatniemu komisarzowi przegryzł gardło. - Co za potęga! Czy Szuler zawsze tak to widzi?

Nie tracił czasu na szukanie kluczy od klatki. Rozrzucił stopą magiczne kręgi, wyrwał żelazne drzwi i wyciągnął zmoreę na zewnątrz.

- Mirku? - Nawet nie próbowała wstać. Jewgienij, który przypatrywał się temu, co wyprawiał z nią Kuntz, nie dziwił się, że nie ma sił. Jak w przypadku Kutrzeby dziwił się za to, że jeszcze żyła. - Ty jaśniejesz... Umarłeś? Słaba jestem, nic nie poczułam.

Zdołała unieść dłoń, więc chwycił ją i przycisnął do piersi.

- Żyję, ty moja kłatwo. Oboje żyjemy.

- Ja już nie mam sił, Mirku. Przepraszam.

Więc pocałował ją, po raz pierwszy nic od niej nie przyjmując, ale wlewając w nią siłę biskupiej krwi. Na moment znów rozbłysło światło, ale teraz prędko, choć nie dość szybko, by ukryć blask przed wzrokiem wartowników, choćby i stali na drugim końcu obozu. Ale tyle wystarczyło.

Kutrzebę zaczęła pożerać czerń wypływająca ze zmory.

Cień spuchł od gwałtownej światłości, napęczniał i przyjął kształt korzeni, które wbiły się w Mirosława, otoczyły go i wrosły weń. Aż światło przygasło i nie było już czarnej kobiety przy Kutrzebie, bo zmorea znów zamieszkała w jego

duszy.

- Mamy cztery minuty - oznajmił odmienionym głosem.

- Twoje fajerwerki ściągnęły ku nam cały obóz - uprzytomnił mu Jewgienij. - Dwie setki sukinsynów. Po stu na łeb. A ja nie znam żadnego hokus-pokus, które mogłoby mnie uratować!

Rozdział 10

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola, obóz Rewolucji*

Po raz pierwszy w życiu pomyślał, że tym razem nie ma szans. Może nigdy ich nie miał? Może ściągnęli na siebie przekleństwo tamtego dnia, gdy wytyczyli świńską krwią potężny krąg, utoczyli krwi własnej i wypowiedzieli zaklęcie, by wyzwolić energię kilkuset śmierci i przelać ją na pomniejszego marsjańskiego demona, jednego z tych, którzy nie potrafili się odnaleźć na Ziemi, nie umieli jednak też umrzeć? Może Kutrzeba, czy jak on się naprawdę nazywał, nie był samotnym mścicielem, którego poczucie krzywdy zmieniło w rodzaj mrocznego herosa, ale naturalną reakcją wszechświata, zawsze dążącego do równowagi?

Gdy obudziły go strzały, od razu zrozumiał, co się stało. Nie próbował odgadywać, kto ich napadł, domyślać się, jakiego rodzaju oddziały tym razem rzuciły przeciw nim Dzikie Pola. Jakubowski usiadł na posłaniu, zapalił lampę gazową i spojrzał w oczy czarodzieja, jak zwykle wypoczętego i gotowego do działania. Dojrzał w nich oczekiwanie na wyzwolenie i pojął, że lada chwila Kutrzeba stanie w drzwiach, by go zabić. Jedyne, na co mógł liczyć, to

to, że tamten rozprawi się z nim szybko.

- Myślisz, że on pozostawi cię przy życiu? - Spróbował zarazić sługę własną goryczą.

- Będę bronił pana, jak tylko potrafię - odparł szczerze czarodziej. Nie dodał tylko, że miał nadzieję, iż mu się nie uda.

To jednak nie Kutrzeba do nich przyszedł, ale Bryk. Widok pogodzonego z losem Jakubowskiego zaskoczył go, ale nie powstrzymał. Doskoczył do łóżka i z rozmachem uderzył siedzącego w twarz. Czarodziej odwrócił wzrok.

- Chcesz czekać na śmierć, głupcze? - Wściekłością w głosie nadkomisarza można by zasilać fabryki, ale Jakubowski usłyszał czający się za nią strach. - Mamy prawie dwustu ludzi! Dwustu! A on jest słaby, ledwie żywy. Tylko ta zmora trzyma go przy życiu. Pozbieraj się! Otoczyliśmy go! Pozbieraj się, tchórzu, i wyjdź pokazać Marsjaninowi, że masz jeszcze jaja!

Odwrócił się i wyszedł.

- Słaby, samotny - zawołał za nim Jakubowski. - A jednak jakoś się uwolnił! To nie jest człowiek! - Załkał.

Zostało mu ledwie pół minuty, gdy dotarł do więzienia, w którym przetrzymywano Szulera i resztę. Jewgienijowi kazał się przyczaić, zdobyć trochę materiałów wybuchowych, gdy odciągnie od niego czerwonoarmistów. Gnali za nim prawie wszyscy, ale strzelali na oślep i chyba nie wierzyli, że mogą

trafić. Wciąż nie pojmowali, jak zdołał się uwolnić.

Gdy przebiegał przez kręgi, łamiąc zabezpieczenia aresztu polowego, wokół wystrzeliwały magiczne wyładowania, rozświetlając noc wielobarwnymi iskrami. Kutrzeba czuł na przemian gorąco i lód czarodziejskich uderzeń, ale nie zatrzymywał się. Dziesięć sekund, skok, pięć, ostatni krok, sekunda, skok ku drzwiom...

Nie zdążył.

Boska krew wyparowała, a wraz z nią cała moc. Na powrót połamane nogi załamały się pod nim, a gdy upadł, otworzyły się rany zadane przez Kuntza. Znow krzyczał z bólu, tocząc się po ziemi. I z gniewu, bo zawiódł. Zabrało mu przekłętą sekundy, by otworzyć te cholerne drzwi!

Uleczę cię – także głos zmory był słaby. *Potrzebuję tylko odrobiny czasu.*

- Czasu akurat nie mamy! Cholera!

Demonica spróbowała złożyć jego połamane nogi. Krzyknął, gdy je nastawiała. Nawet przyspieszone zrastanie kości było diabło bolesne i niestety zbyt wolne. Musiało potrwać co najmniej kilka minut, a nie mieli nawet sekund, bo tamci zbliżyli się już na tyle, by zobaczyć, że Kutrzeba wije się z bólu, i zrozumieć, że znow jest bezbronny.

Drzwi wyleciały z hukiem z zawiasów, wywalone od środka potężnym kopniakiem. Pierwszy wypadł ze środka Szuler, niczym rozmazana plama cienia. Odwrócił tor co celniejszych pocisków i po chwili już szalał między czerwonoarmistami.

Zaraz za nim gnał Burzymur. Wyrwał jednemu z żołnierzy

karabin i obracał nim jak maczugą, póki nie dojrzał maxima zainstalowanego na taczance. Wrzasnął z radości, dopadł karabinu jednym susem i strzelając z biodra, zmusił nadciągających żołnierzy do przypadnięcia do ziemi. Zaraz przywołał Jaśka, by podawał mu taśmy z amunicją. Chłopak bał się wyraźnie, ale głupio mu było okazywać strach przy Wandzie, pomagającej teraz Sarze. Cyganka i bogini zaciągnęły Kutrzebę do wnętrza służącej dotąd za więzienie ziemianki.

Grabiński postępował ostrożniej. Praktycznie czołgał się, aż dotarł do pierwszego porzuconego karabinu. Gdy już go zdobył, rozpoczął ostrzał z pozycji leżącej.

- Jak to możliwe? - Kutrzeba skrzeczał, starając się opanować ból w zrastających się kończynach. Sara szeptała litanie pomagające zamykać rany. Wanda potrafiła jedynie ścisnąć rannego za rękę i dodawać mu otuchy łagodnymi pocieszeniami. Jeśli miała kiedyś rzeczywiście zostać boginią bogów, musiała się jeszcze dużo nauczyć.

- Głupi *mulo* - wyszczerzyła się Sara. - Twój bóg tylko czekał, żebyś przerwał te kręgi. A takie drzwi dla Burzymurcia to jak papier.

Prawie się uśmiechnął.

- To tylko drobna niedogodność. - Bryk wykrzywił się pogardliwie. - Zapewne jakiś zdrajca w naszych szeregach pomógł tamtemu uciec. Ale otoczyliśmy ich, lada moment

będzie po wszystkim.

Nowakowski skinął jedynie głową.

- Pański przyjaciel zamierza zaatakować z powietrza? - Wskazał Jakubowskiego, krzątającego się przy sterowcu przycumowanym na obrzeżach obozu. - Po ciemku może poranić własnych ludzi.

Bryk zaklął. Opanował się na tyle, by przeprosić, a potem pognał ku „Chrobremu”.

- Nic nie będzie z tego sojuszu, proszę pana, że tak ośmielę się zasugerować. - Czus nie odstępował Marsjanina o krok. - Ten diabeł, Kutrzeba, ich pozabija.

- Może się tak zdarzyć. Czy mi się zdaje, czy jesteś zadowolony z tego powodu?

- Lubiłem hrabiego Rostowa, panie. Był szlachetnym człowiekiem.

- I nie żał ci straconej okazji, Franciszku? Plany tych dwóch były wielkie, nieomal wspaniałe.

- Za przeproszeniem, mój panie, wielkie plany nie są dla sług.

Mężczyźni o wielkich planach spierali się właśnie przy sterowcu. Nie dbali już o pozory. Bryk krzyczał na roztrzęsionego Jakubowskiego, a gdy ten nie dał się odwieść od ucieczki, wyciągnął broń i przystawił ją do czoła sojusznika. Widząc to, czarodziej wykonał drobny gest i niewidzialny cios odrzucił Brykę do tyłu, obalając go na ziemię. Pistolet nadkomisarza wystrzelił, jednak kula uleciała w niebo, nie czyniąc nikomu krzywdy.

Jakubowski zamarł, jakby rażony gromem. A potem na sztywnych nogach zbliżył się do wciąż oszołomionego Bryka, podniósł jego broń i pognał ku żołnierzom, daremnie starającym się pokonać więźniów.

Wielkolud, przyciśnięty do ziemi zmasowanym ostrzałem, nie przerywał ognia z maxima. Grabiński oddawał pojedyncze strzały, ale żaden z nich nie chybiał. Szuler, gardząc bronią palną, co i rusz wypadał z ciemności, wzmacnianych wokół niego zaklęciami Sary, i czmychał w nią na powrót, zostawiając za sobą tylko miażdżone z wielką siłą ciała.

A gdy wydawało się, że nie może być gorzej, z ziemianki wyłonił się na powrót Kutrzeba.

- Jedno dobre, co może wyjść z tego wszystkiego - uświadomił sobie Czus - to że przy odrobinie szczęścia wszystkie skarby trafią do nas, panie.

Odrobinie szczęścia należało jednak pomóc. Sługa Marsjanina opuścił go więc. Nie czekając rozkazu, albo może zakazu, pognał ku czerwonoarmistom, drąc się wniebogłose, że wszystko stracone, bo padł nadkomisarz zdradzony przez Jakubowskiego. Szarpał za ramię każdego żołnierza, do którego się zbliżył, ignorując świszczące wokół kule. Wskazywał na sterowiec, gdzie Bryk rzeczywiście leżał na ziemi, powoli dochodząc do siebie. Co gorsza czarodziej pochylał się nad nim, zapewne chcąc pomóc. Z tej odległości nie można było jednak wyczytać jego intencji. Niektórzy żołnierze zaczęli w maga strzelać. Zaskoczony, ale i

rozzłoszczony, cisnął w nich zaklęciem, czym tylko spotęgował zamieszanie, bo teraz i inni zwrócili się przeciw niemu.

- Wszystko stracone! - Nie ustawał w zawodzeniu Czus. Ktoś rozsądniejszy uderzył go wreszcie i uciszył. Było już jednak za późno.

Jak na zamówienie eksplodował wóz z amunicją, a potem drugi. Przekonani o zdradzie żołnierze porzucali walkę. Inni nie byli pewni, czy walczyć przeciw ludziom Kutrzeby czy Jakubowskiego. Ci zdezorientowani zbili się w gromadę, nie strzelając na razie do nikogo, ale celując na wszelki wypadek do wszystkich.

Gdyby Jakubowski zachował zimną krew, być może zdołałby odmienić losy walki. Kiedy jednak Kutrzeba, ignorując omijające go dzięki pomocy Szulera kule, ruszył ku niemu, senator krzyknął rozpaczliwie i rzucił się do ucieczki. Kutrzeba pognał za nim, a za nimi dwoma podążył czarodziej.

Szuler skoczył na niego.

- Tylko oni dwaj - wywarczał.

- Zobaczymy. - Czarodziej uśmiechnął się prawie wesoło i uderzył w boga wiązką przyzwaną z nieba błyskawic.

Szuler zawył, ale nie rozluźnił uścisku. Czarodziej, po którym też przeskoczyły wyładowania, zaklął. Już się nie uśmiechał. Natężył wszystkie siły, by strącić z siebie boga, ale osiągnął tylko tyle, że przetoczyli się po trawie, po czym bóg znów znajdował się na wierzchu. Wokół nich

czerwonoarmiści, porzuceni przez dowódców, ustępowali pola. Nie liczyli już ani na topniejącą przewagę liczebną, ani na magię, a jedynie na szansę ucieczki.

Ludzie Jakubowskiego wycofywali się powoli ku sterowcowi. Tam, ku własnemu zaskoczeniu, trafili pod komendę Bryka uzbrojonego w porzucony przez jakiegoś żołnierza karabin.

- Wasz tchórzliwy szef już nie żyje - wrzasnął na nich nadkomisarz. - Tylko ja mogę was z tego wyciągnąć!

- W Rewolucję? - Zawołał któryś z nich. Bryk zastrzelił go na miejscu.

- Wolicie śmierć od Rewolucji? - Zapytał.

Jakubowski opamiętał się dopiero, gdy zdał sobie sprawę, że znalazł się na środku Dzikich Pól samotny i właściwie bez broni, bo cóż znaczył tu pistolet z jednym magazynkiem? Rozglądnął się rozpaczliwie, szukając czarodzieja, który dotąd nie odstępował go na krok, ale nikogo przy sobie nie znalazł. Mag nie mógł zdradzić, więc zapewne zginął. Należało biec ku sterowcowi, do diabła!

Przestraszył się, że przywołuje, choćby w myślach, imię złego; przeżegnał się, ale zamarł w pół gestu. Teraz przywoływać na pomoc Boga? Jeśli już, to nie Wszechmogącego, ale tego, którego stworzyli sami. Gdzie on się podziewał? Przed zaśnięciem Jakubowski pomodlił się do niego i wydawało mu się, że usłyszał odpowiedź. Oczywiście

nawet ich bóg nie mógł pokonać wieluset kilometrów w jedną chwilę, a żadna kolej nie zdołałaby go dowieźć na Dzikie Pola. Jednak czemu ciągle znajdował się tak daleko? Czemu wypełniał przede wszystkim polecenia ostatniego z nich, tego, który ukrywał się nawet przed swymi towarzyszami? Czemu tamten trzymał ich patrona z dala od tych, którzy naprawdę go potrzebowali?

- Ty sukinsynu! - Zaskowyczał, gdy pojął, że wszystko okazało się inną grą, niż przypuszczał, i że kto inny ją rozgrywał. - Ty pieprzony, zdradziecki sukinsynu!

- A myślałem, że podkradłem się bezszelestnie - mruknął Kutrzeba, wyłaniając się z ciemności.

- Ty! - Jakubowski cofnął się o krok. Wyciągnął przed siebie pistolet. Czy zostały w nim jeszcze kule? Nie liczył! - Nie zbliżaj się! Porozmawiajmy!

Nie dostrzegał patrona Kutrzeby. Gdyby teraz strzelił, nikt nie odwróciłby lotu kuli. Ale czy miał jeszcze czym strzelać? I czy chciał? Musiał wytłumaczyć tamtemu, że wszyscy byli ofiarami! Że mają wspólnego wroga!

- Zastanawiasz się, ile razy strzeliłeś, śmieciu. - Kutrzeby miał głos spokojny i hipnotyzujący. Drapieżca był pewny swego. - Magazynek tego pistoletu mieści dwanaście kul. Liczyłeś strzały?

Podchodził do ofiary powoli, może delektując się chwilą? Może spijał strach, upajał się nim? Jakubowski nie mógł tego ocenić. Ile razy strzelił?

- Posłuchaj - odezwał się z drżeniem, być może ze strachu,

być może z przejęcia. Sam nie miał pewności. Wszystko się zmieniło. Musiał tylko przekonać tamtego. - Zrozum, szósty z nas, ten, którego nie znasz...

Kutrzeba skoczył ku niemu. W przebłysku jasnovidzenia Jakubowski przewidział to, a pracujący rozpaczliwie mózg podpowiedział mu odpowiedź: „jedenaście strzałów!”. Nacisnął na spust.

Dźwięk iglicy jak pęknięcie szklanki.

A potem ból, ciepło na piersi, i nagłe uderzenie zimna. Ostatnia myśl o zmarnowanej okazji i uświadomienie sobie, że przecież Bryk też raz wystrzelił.

- Zostało dwóch - powiedzieli równocześnie Kutrzeba i zmora, po czym zawrócili ku obozowi, skąd dobiegały już tylko odgłosy pojedynczych strzałów i miarowy warkot silników sterowca.

Piąty

Rozdział 1

*czewiec 1972 roku starego kalendarza,
pięćdziesiąty siódmy rok Kresu, dwudziesty rok
Pokoju, Dzikie Pola*

- Mogę wam pomóc - czarodziej nie tyle mówił, co charczał. Szuler ze spaloną doszczętnie brodą i poparzoną twarzą trzymał go za gardło. Z obu postaci wciąż się dymiło, a po ciele maga biegały błękitne iskry.

Nikt już nie walczył. Ostatni pozostali przy życiu czerwonoarmiści, zbici w ciasną gromadkę, siedzieli na ziemi pilnowani przez Burzymura. Wielkolud chodził wokół nich dumny jak paw i wyszczerzony niczym pies, któremu podarowano wiadro kości. Na ramieniu opierał karabin maszynowy. Sara z Wandą uwijały się przy ciężej rannych, ku zaskoczeniu Kutrzeby pomagał im Nowakowski. Na widok Kutrzeby zawahał się, chciał coś powiedzieć, ale ostatecznie zmilczał. Nie wiedział, jak się wytłumaczyć. Kutrzeba skinął mu tylko głową.

- Możesz pomóc? - Zapytał czarodzieja.

- Tamci pewnie zaraz zaczną strzelać - wyrzucił z siebie, powoli siniejący na twarzy czarodziej. - Dziw, że jeszcze nie zaczęli.

- A ty strącisz dla nas sterowiec z nieba?

- Lepiej. Zawiozę tam pana.
- Puść go, Szuler.
- Prędeż mnie mole zeżrą! Ten drań...
- Generał Korycki kazał pozdrowić - ostatkiem sił wydusił z siebie czarodziej i słysząc to, Szuler poluzował uścisk.

- Generał, ho ho. - Kutrzeba aż cmoknął. - A ty niby dla niego pracujesz?

- Teraz pewnie już tak. - Czarodziej odetchnął. - Jeśli mnie pozostawicie dla niego przy życiu. Decydujcie się prędko, bo czasu mało.

- Więcej niż ci się wydaje. Jak mnie tam przeniesiesz?

- Przynieście mi Miglanca?

- Kogo?

- Jego koguta - odpowiedziała Sara. - Burzymurciu, a wyślij po ptaszysko kogoś z tych twoich.

Uwolniony z klatki kogut urósł w kilka chwil do rozmiarów konia. Czarodziej wskoczył na jego grzbiet i z jego wysokości wyciągnął rękę ku Kutrzebie.

- Uniesie nas obu. Prędko!

Nikt do nich nie strzelał, jakby Bryk zapomniał o uzbrojeniu sterowca. Czarodziej dziwił się temu podczas lotu, ale zrozumiał wszystko, gdy wylądowali na pokładzie pośród ciał o rozerwanych wielkimi szczękami gardłach.

Wilk Wiatrołap zawarczał na widok przybyszów. Oczy Mioczki zabłyśły niebezpiecznie.

- Ty! - Zawołał i uniósł rękę, a powietrze wokół niej zmrozczało od wzbierającego zaklęcia.

W odpowiedzi czarodziej zbliżył obie dłonie, pomiędzy którymi rozbłysnął płomień.

- Dostyc tego! Obaj! - Zawarczał wilk. - Mioczka, pomnij, coś obiecał ojcu!

- Po mnie przyszli! - Odparł nawiedzeniec, nie uwalniając zaklęcia. - Po wszystko, co ze mnie zostało!

- Tyś już ojca! On to wie. Prawda, panie Kutrzeba?

- Prawda. Mioczka jest wasz i sterowiec też. Ale nie ten, co się ukrywa na jego pokładzie. Nie zabiliście go, prawda?

- Skrył się w magazynie. - Mioczka potarł nos zupełnie dziecięcym gestem, niczym jeden z miejskich urwisów, których mnóstwo uganiało się po podwórkach Krakowa. - Ale obrazy nam zostawicie?

- Obrazy? - Nie zrozumiał Kutrzeba.

- Te z gródka. Wszystkie uwieźli razem ze skarbami.

- Obrazy Rostowów! - Zawołał Kutrzeba. Kto by pomyślał.

- Skarby wam zostawimy, obrazy to inna sprawa. Jest sam?

- Tylko on mi uciekł - sapnął wilk. - Zabarykadował się. Może trzyma te obrazy jako zakładników?

Nie trzymał. Nikt nie powiedział Bryce o tym, że obrazy zrabowane z Przystani Carogrodu żyły. Z grubsza tylko poowijane szmatami i resztkami nieraz przypalonego materiału zalegały pod ścianami. Jeśli jacyś ich mieszkańcy wyglądali na zewnątrz, czynili to ukradkiem. Bryk rzucił na nie okiem i uznał, że nie będzie miał z nich żadnego pożytku. Nie rozumiał, czemu Jakubowski obciążał sterowiec tak zbędnym balastem. Uznał, że to objaw dekadencji typowej

dla świata zachodu, może i dotkniętego katastrofą Kresu, ale ciągle niepojmującego naprawdę, jak wiele zmieniła katastrofa przyniesiona przez Marsjan. Żyjąc na terenach Rewolucji i obserwując, jak można cały kraj zamienić w jeden żywy organizm, podporządkowany jednej myśli i woli, Bryk odkrył prawdziwe możliwości, oferowane światu przez magię. Wszystko mogło stanowić formę energii, a ludzi można było nią spętać trwalej niż technologią czy propagandą. To Rewolucja wskazywała właściwy kierunek rozwoju ludzkości, nawet jeśli w czerwonym państwie wciąż popełniano wiele błędów. Bryk nie uważał się za komunistę, nie dał się zarazić ideologią, która zmieniłaby go w jeszcze jednego oszołomionego niewolnika. Nie przeszkadzało mu to jednak dostrzegać zalet nowego systemu.

Oprócz obrazów w magazynie zgromadzono także część rzeczy zdobytych z pokładu marsjańskiego statku. Trudno było pojąć ich zastosowanie. Z nich dwu to Jakubowski poświęcał więcej uwagi inżynierii. Jedno, co Bryk rozpoznał, to pojemnik z protobogiem. Czy byłby teraz w stanie wykorzystać skumulowaną tam energię? Stworzyć dla siebie nowe bóstwo opiekuńcze, w miejsce starego, które tak bardzo go zawodziło? A może jego patron zmierzał już ku niemu? Może uratował Jakubowskiego?

Szczęknął zamek w drzwiach magazynu. Jak to możliwe?

- Mój statek to ja - zawołał ten straszny dzieciak, który wskoczył niespodziewanie na pokład sterowca na latającym wilku, gdy już mieli ostrzelać obóz, nie przejmując się, czy

trafialiby swoich, czy wrogów. Dopuszczalne straty były wliczone w koszt wyprawy. Gdyby tylko Bryk przybył do Rewolucji z ładunkiem sterowca, wybaczone by mu wszystko. - Trochę mi to zajęło, ale teraz znów słucha mnie już całkowicie.

- Mały, mogę ci wiele zaoferować - spróbował targów Bryk. - Tam, dokąd lecimy, zostałbyś nawet admirałem powietrznym. Rządziłbyś całą flotą takich sterowców!

- Ja już mam pana. - Dzieciak pokazał mu język, odwrócił się i odszedł. Tak po prostu?

- Witaj, piąty - powiedział ktoś, kto zajął jego miejsce. - Mnie też możesz wiele zaoferować?

On!

Bryk nie bał się zabobonów jak Jakubowski. Nie wierzył w moce kosmicznego ładu i przeznaczenie. Czyż nie przełamywał go raz za razem? Nie wpadł więc w panikę, wycelował starannie, nim strzelił. Ale tamten piekielnik poruszał się zbyt szybko, szybciej, niż zwyczajny człowiek.

Cóż, Bryk też potrafił to i owo, przeszedł szkolenie komisarza i wszczepiono mu kilka usprawnień.

Gdy opróżnił magazynek i udając złość i przerażenie, cisnął pistolet w cień, odczekał, aż Kutrzeba znajdzie się obok niego, a wtedy zmienił dłonie w szpony i uderzył, celując w brzuch. Zwyczajnego człowieka rozerwałby na pół, ale Kutrzeba zdołał jakoś uniknąć ciosu i pchnąć nożem. Ostrze przejechało po żebrach, przecinając chroniące je łuski. Bryk pisnął, ale nie zmylił kroku, a przecież obracał się

już, siłę całego ciała wkładając w drugi cios, który musiał dosięgnąć tego łajdaka. Nic już nie mogło go uratować.

Nic, prócz niezwyklej, na poły duchowej, ale prędko się materializującej czarnej dłoni, która wyrosła niespodziewanie z boku Kutrzeby, chwyciła rękę Bryka i wykręcając ją, obaliła nadkomisarza na podłogę.

Ktoś pisnął z ciemności, z kąta, gdzie nie było nic prócz zasłoniętego szmatami obrazu. Jedna z nich osunęła się nieco i teraz wyglądały zza niej wielkie, namalowane oczy. Wyglądały jak żywe. Bryk roześmiał się nerwowo. Czy aż tak się bał, że wyobraźnia zaczynała płatać mu figle? Kto tu jeszcze był oprócz Kutrzeby i jego przeklętej zmory?

- Słuchaj. - Bryk uniósł ręce, by pokazać, że chowa szpony. W razie czego potrafiliby przywołać je w ułamku sekundy. - Nie wiem, co ci zrobiliśmy, zapewne coś podłego. Ale minęło wiele lat, wszystko się zmieniło!

- Więc jednak chcesz mi coś zaoferować.

- Nie rozumiesz! Jakubowski i ja zinfiltrowaliśmy Rewolucję. Myślisz, że jej służę? Uczę się jej, zdobywam wpływy. A kiedyś przejmę tam władzę. Rozumiesz? Zburzymy piramidę z Ojcami Rewolucji i zmienimy ten kraj. Zakończymy wojnę. Polska będzie bezpieczna.

- Prawdziwi z was święci.

- Nie. Słuchaj, byliśmy głupimi draniami, zrobiliśmy wiele podłych rzeczy. Ale ty nas przebudziłeś. Ze strachu przed tobą zaczęliśmy myśleć i działać inaczej. Szukamy odkupienia, nie rozumiesz? Zmieniliśmy się, Jakubowski i ja.

Możemy ocalić miliony ludzi. Wiem, to ci nie przywróci twoich zmarłych, ale pomyśl o tych wszystkich ludziach, którzy nie muszą umierać! O lepszej przyszłości!

Kłamie! - Wysyczała zmora. Bliskość ofiary prawie pozbawiała ją zmysłów. *Powie wszystko, żebyś go nie zabijał!*

- Może masz rację - powiedział cicho, ku zgrozie demonicy, Kutrzeba. - Może rzeczywiście się zmieniłeś. Świat zmienił się na pewno.

- Widzisz! To całe zło może jeszcze przynieść dobre owoce!

- Może i tak. Tyle że, widzisz, w tym całym zmiennym świecie akurat ja się nie zmieniłem.

Epilog

*lipiec 1972 roku starego kalendarza, pięćdziesiąty
siódmy rok Kresu, dwudziesty rok Pokoju, Dzikie
Pola, ruiny Przystani Carogrodu*

Pochowali mieszkańców gródka we wspólnej mogile, nad którą usypali niewielki kopiec. Leżeli razem ludzie i demony, a z nimi wszystkimi szczątki hrabiego i jego córki. Okaleczony, dysponujący już tylko jedną ręką leszy płakał, gdy Nowakowski wygłaszał mowę pogrzebową. Ocierał łzy czapką, na której nie było już ani czerwonej gwiazdy, ani czarnej czaszki. Ziemie Rostowów nie należały już do zmartwychwstałej Rosji.

- Kościej mógłby ich pewnie ożywić - napomknął po pogrzebie Nowakowski.

- A po co? Przecież żyją - odburknął Kutrzeba. - We własnym raju, który muszą posprzątać.

Hrabia, który odnalazł się na odzyskanych obrazach, oferował mu rękę córki, byle tylko przyjął nazwisko i tytuł Rostowów. Rozpaczliwie szukał następcy. Kutrzeba odmówił stanowczo, choć grzecznie. Trudniejsza rozmowa czekała go z Olgą. Dziewczyna na portrecie wyglądała młodziej niż prawdziwa hrabianka, bo też szalony artysta namalował ją rok wcześniej, śmierć poza tym nie zmieniła jej tak bardzo,

jak obawiał się Kutrzeba. Może namalowani ludzie nie pamiętali umierania, a tylko zdawali sobie z niego sprawę, bo budzili się na portretach dopiero, gdy umarli w materialnym świecie? Malowana Olga nie okazała się dotknięta goryczą przedwcześnie utraconej młodości, co nie znaczyło, że nie była Olgą smutną.

- Ja wiem, co panu po takiej malowanej żonie - chlupała. - Pan nawet nie wie, jak go kocham, ale co komu z takiej miłości. Ale ja bym pana kochała, nawet gdyby pan sobie znalazł prawdziwą kobietę! Bo ja bym to rozumiała!

- Olgo, gdybym tylko mógł, poślubiłbym panią z radością. Ale to niemożliwe.

- Ja wiem. Taka żona malowana...

- Olgo, ja już jestem poślubiony innej. - Zmora zamruczała ukontentowana, nawet jeśli rozumiała, że nie do końca ją miał na myśli. - Nie mogę tu zostać. Proszę jednak opiekować się moimi przyjaciółmi, służyć im pomocą.

Wyruszyli do Krakowa bez Szulera, Wandy, Burzymura i Sary, bez Grabińskiego oraz Jewgienija. Wystarczyło, że Wanda powiedziała: „To powinien być nasz dom”, gdy stanęli przed potrzaskanym murem gródka, za którym przykucnęły ponuro nie do końca popalone szkielety chałup, by cała grupa podjęła decyzję, nawet nie konsultując jej między sobą. Przyszli potem porozmawiać o tym z Kutrzebą, choć każdy z osobna.

- Wiele mi już życia nie zostało - Grabiński mówił cicho, by nie niepokoić sówki śpiącej na ramieniu. - Myślę, że to dobre

miejsce na spędzenia ostatnich lat, Mirku.

Kutrzeba mógł go zapytać o wiele rzeczy. O rozmowę z panem stanicą, o duchy, które każdej nocy odwiedzały Grabińskiego w snach, a które obserwowała zawsze czujna zmora. Mógł rzucić, niby od niechcienia, coś o „Dwurekim”, bo takie imię zmora podejrziała w jego snach. Zamiast tego zażartował, że pewnie zachciało się staremu zamieszkać w rejonie, gdzie w ukrytych w stepach bimbrowniach pędzono najmocniejsze, a więc najlepsze, czarcie mleko.

- Jakie najmocniejsze? - Zdziwił się Grabiński. - Oj, nie znasz mnie, Mirku, jeśli sądzisz, że zmarnuję choćby kropelkę!

Z Szulerem i Wandą zegnali się dłużej. Dziewczyna namawiała go, by został, Szuler tylko milczał.

- Nie zmuszę cię, byś szedł ze mną - uspokoił go Kutrzeba.
- Ale nie przyrzeknę ci, że kiedyś po ciebie nie wrócę.

Sara tylko machnęła ręką, za to Burzymur omal nie zmiażdżył mu żeber, gdy dowiedział się, że Kutrzeba nie tylko spalił kontrakt Jaśka, ale nawet namówił Rostowa, by usynowił chłopaka.

- Ślub byłby lepszy... - westchnął hrabia. - Ale Olga nawet słyszeć o nim nie chce. O nikim nie chce słyszeć poza panem. Jest pan pewny, że nie pozwoli się namalować?

Potrzebowali każdej pomocy w Malowanej Moskwie, gdzie wciąż słowo Kutuzowa było prawem. Książę domagał się, by jego portret dostarczono jak najszybciej Kościejowi, by choć w tej formie mógł stanąć na czele armii nowego cara. Jasiek,

nowy pan na Przystani Carogrodu, zobowiązał się odesłać Kościejowi głowę Kutuzowa, na znak przyjaźni, ale nie poddaństwa. Nawet hrabia przystał na to. Gdy lepiej poznał Malowaną Moskwę, stracił przekonanie, że Kościej był wymarzonym carem.

- Myśli pan, że przetrwają? - Zapytał Marsjanin, stając obok Kutrzeby. Pozostawił Czusowi i czarodziejowi kierowanie przygotowaniem konwoju do drogi. Ten drugi, nieskrywający dłużej nazwiska, wyglądał na zaskoczonego, że nie zrobiło ono wrażenia na czerwonoarmistach. Być może dlatego wyjątkowo przykładał się do wrzeszczenia na nich, aż zaczęli odpowiadać „Tak jest, mistrzu Twardowski!” z odpowiednim przejęciem.

Dwadzieścia wozów załadowanych wszystkim, co udało się uratować z wraku marsjańskiego statku, ruszyło już w drogę do Krakowa. Woźnicami zostali jeńcy, którym obiecano fałszywie, że jeśli zechcą, będą mogli powrócić po wszystkim do Rewolucji. Uwierzyli bądź nie, ale się nie buntowali. Jak resztą mieli stawiać opór, gdy z nieba strzegł konwoju sterowiec Świętego Mikołaja, a na ziemi eskortowały ich duchy i wilki?

Marsjanin próbował przeproszać Kutrzebę, ale ten zbył go. „Zrobił pan wszystko, co możliwe w danej sytuacji. A kontrakt między nami nie zakładał, że to pan będzie ratował mnie, ale ja pana”.

- Takie miejsca przyciągają ludzi, panie Nowakowski. Za rok pełno tu już będzie uciekinierów i straceńców,

przekonanych, że znaleźli nareszcie swoje miejsce na świecie. Jasiek będzie ich królem, a Wanda boginią. Mając Szulera, Jewgienija, Burzymura i Sarę, przetrwają wszystko, nawet rządy Jaśka.

- Naprawdę nie kusiło pana, by z nimi zostać?

- Ja jeszcze kontraktu nie wypełniłem, prawda?

- Gdyby pan chciał, mógłbym uznać, że tak się stało.

- Lepiej nie. Malowana czy nie, Olga zaciągnęłaby mnie w końcu przed ołtarz, gdybym dał jej trochę czasu. Wolę zmykać, póki jeszcze mam okazję.

Roześmiali się i Kutrzeba, i Marsjanin, i nawet Czus. Tylko zmora się nie śmiała.

Został nam jeszcze jeden, nim się ode mnie uwolnisz - przypomniała mu gorzko, gdy tamci dwaj odjechali na czoło karawany. Mirosław obejrzał się po raz ostatni na las kryjący gródek. Wszyscy stali tam jeszcze, nawet leszy. A Burzymur, teraz nierozstający się nie z jednym zdobycznym maximem, lecz z dwoma, przywieszonymi u pasa niczym rewolwery Grabińskiego, nie przestawał machać na pożegnanie.

Kutrzeba zdjął kapelusz, zakręcił nim nad głową. W innych okolicznościach to rzeczywiście mogłoby być nie najgorsze miejsce na spędzenie reszty życia. Ale przecież pamiętał.

To jeszcze nie koniec.

- Został jeszcze jeden - powtórzył.

Postowie

Na początek podziękowania, bo jest komu i za co dziękować. Przede wszystkim Wydawcy, który w czasach, gdy łatwiej się zamyka serie wydawnicze, niż otwiera, zdecydował się zaryzykować i to zaryzykować z powieścią prawie nieznanego autora. Mam nadzieję, że mu się to opłaci. Szczególne podziękowania należą się Drakenowi, który nie tylko podpowiedział Wydawcy moje nazwisko, ale znacznie wcześniej pisywał do różnych innych wydawnictw pytając: „*co z tym Majką?*” i przyczynił się do powstania tej powieści niczym agent literacki. Dwóch facetów, pewien Tomasz i pewien Marcin, prawie każdą rozmowę ze mną rozpoczynało od pytania: „*a kiedy twoja książka, co?*” i im także należą się podziękowania za to ciągłe mobilizowanie mnie. Za kształt tej powieści współodpowiada Michał Cetnarowski. Na przykład Korycki dzięki niemu nie nazywa się tak, jak nazywał się pierwotnie. Zawsze dobrze mi się z Michałem pracuje, nawet jeśli potem obaj mamy sińce po kolejnej dyskusji na temat zachowania kruków albo jakiegoś innego drobiazgu, o który spieramy się często zawzięciej niż o rzeczy dla powieści kluczowe. Z mojego doświadczenia wynika, że Michał wkłada wiele energii w każdy mój tekst, który przychodzi mu redagować i jest to ten rodzaj energii, która pomaga i mnie myśleć o tekście kreatywniej. Dziękuję.

Historię o Czartoryskich próbujących wywieźć z okolic Krakowa swoje srebro przy pomocy flisaków zaczerpnąłem ze wspomnień przodka pewnego Radosława; dziękuję, że mi je, nieświadom co robi, udostępnił. Przy okazji – prawdziwa akcja z wywożeniem skarbów, inaczej niż u mnie, zakończyła się powodzeniem.

Teraz dwa słowa wyjaśnienia.

Nie wszystkie użyte w „Pokoju światów” terminy idealnie pasują do tego, co znamy z mądrych ksiązek. Na przykład jedna z bohaterek, z mora, nie do końca odpowiada temu, co zmorą nazywano w kulturze ludowej Słowian (to bardzo szerokie pojęcie, swoją drogą). Gdy jednak szukałem dla niej jakiegoś odpowiednika, właśnie „zmory” pasowały mi najbardziej. Podobnie może się zdarzyć i z innymi przywołanymi istotami, a także z przypowieściami, podaniami, legendami, a nawet dziełami literackimi, z których pozwoliłem sobie czerpać, być może ponad miarę. Korzystałem z czego się dało – z opracowań etnograficznych i historycznych, z literatury popularnej i filmów. Zdarza się, że to, co brzmi najbardziej nieprawdopodobnie (na przykład wątek wiewiórczy) zostało wzięte właśnie z rzeczywistości, większość jednak tropów, jakie można odnaleźć w opowieści o zemście Mirosława Kutrzeby, to efekt moich pomysłów jak dopasować baśnie, mity i legendy do wyfantazjowanego przeze mnie świata. Powiedzenie: „*jak Pan Bóg umrze, Święty Mikołaj Bogiem będzie*”, można znaleźć w jednym z tomów dzieł Oskara Kolberga, o tym, że gdzieniegdzie ten

sam święty pełnił funkcję pasterza wilków także da się wyczytać z opracowań na temat obyczajów ludowych, jednak fakt, że jedno wymieszałem z drugim i jeszcze z baśnią, w której pojawia się latający Wilk Wiatrołap, to już efekt takiej, a nie innej przyjętej przeze mnie konstrukcji świata. Gwiżdżący król węży to postać obecna w folklorze górskim, jego sługa Żelazny Marcin pochodzi już z innych baśni i legend. Pomieszałem wszystko ze wszystkim, i cała ta powieść to groch z kapustą, w którym próżno doszukiwać się sensu poza tym, jaki mieści się, mam nadzieję, w skonstruowanym na jej potrzeby świecie. Mam nadzieję, że to nie przeszkadzało i pozwoliło cieszyć się lekturą.

Kupuj książki fantastyczne taniej!



madbooks.pl



RABAT

30%

od ceny na okładce

Kod EPOKOJSWIATOWGC

**Klient może wykorzystać kupon 3 razy
ważny do 31 grudnia 2015 roku**

**Fantastyczna księgarnia
Fantastyczna promocja**